

PAULINA HENDEL

ZAPOMNIANA KSIĘGA

ŁOWCA



NASZA KSIĘGARNIA

PAULINA HENDEL

ZAPOMNIANA KSIĘGA

ŁOWCA

NASZA KSIĘGARNIA

Zapomniana księga. łowca

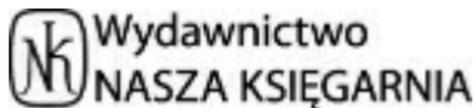
Spis treści

Zajrzyj na strony

Przeczytaj również

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR

<http://www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html>

W serii **ZAPOMNIANA KSIĘGA** :

STRAŻNIK

TROPICIEL

ŁOWCA

Dla Mateusza



ROZDZIAŁ I

– Nie powinieneś nigdzie jechać w takim stanie – ocenił Jurek, patrząc na Huberta. – Gdzie ci się tak spieszy?

– Muszę odnaleźć przyjaciół – odparł, z trudem wspinając się na siodło.

Mokła jak zwykle cierpliwie stała nieruchomo, lekko zwieszając łeb.

Hubertowi zakręciło się w głowie, a rana w boku znów zaczęła rwać, teraz jednak było to bez znaczenia. Liczyło się jedynie, że musiał pojechać na południe, odszukać Święcino i dowieść, że wydarzenia sprzed siedmiu lat wcale mu się nie przyśniły, a ludzie, których wtedy poznał, żyli naprawdę.

– Dziękuję za pomoc. – Uśmiechnął się do nauczyciela i machnął mu ręką na pożegnanie.

– Trzymaj się, chłopcze.

Hubert ścisnął łydkami grube boki kłaczy i stępem ruszyli leśną drogą. Wiosenne powietrze było przyjemnie rześkie.

Już kiedyś to wszystko się zdarzyło. Hubert ocknął się ranny w piwnicy u Jurka, lecz nie pamiętał ostatnich siedmiu lat swojego życia. W poszukiwaniu rodziny zawędrował do Święcina,

niewielkiej osady niedaleko Poznania, gdzie znalazł bezpieczną przystań. Niestety, tamta przygoda skończyła się tragicznie zarówno dla niego, jak i jego przyjaciół. Wszyscy zginęli, ale Hubert dostał drugą szansę. Wtedy już wiedział, co należy robić, żeby przetrwać wojnę i zarazę. Postanowił naprawić wcześniejsze błędy, to jednak nie okazało się proste. Teraz, gdy historia zatoczyła koło, znów ruszał do Świącina.

Omijał miasta i wsie z obawy, że spotka ludzi o złych zamiarach. Nocował w lesie, żywił się jedzeniem z puszek, raz nawet upolował zająca i upiekł go na ognisku. Gdy brakowało wody pitnej, nacinał gałęzie brzoź, podwieszał pod nimi puste puszki i cierpliwie czekał, aż napełnią się sokiem na tyle, by mógł zaspokoić pragnienie.

– Tutaj się zatrzymamy – powiedział do kłaczy, kiedy wjechali na zieloną polankę nad wąskim strumieniem.

Choć do wieczora było jeszcze daleko, to zaczął przysypiać w siodle ze zmęczenia, wszystko go bolało, dokuczala też rana.

– Nieźle mnie załatwili – mruzczał, zmieniając sobie bandaż na boku, co było dość trudne, bo palce lewej ręki wciąż miał usztywnione po niedawnej walce. – Ale ja załatwiłem ich jeszcze lepiej – dodał, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Mokła trąciła swego pana chrapami w łopatkę. Huberta owionął jej ciepły oddech; dodało mu to otuchy.

Kiedy zmienił opatrunek, dał kłaczy odrobinę owsa z worła przytroczonego do siodła. Coraz bardziej niepokoił się, że zboże jest na wyczerpaniu, nie wybaczyłyby sobie, gdyby Mokła głodowała przez jego głupotę.

Z trudem zbierał kilka gałęzi, rozpałił małe ognisko i wsunął się do śpiwora leżącego na ziemi. Skupił się, by sprawdzić, czy w okolicy nie ma żadnego demona, na szczęście nic nie wyczuł. Usnął niemal od razu. Jednak nie spał spokojnie, co chwila budziły go koszmary i nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji.

Rano czuł się tak obolały i zmęczony, jakby w ogóle nie spał.

– Dziś tam dojedziemy, zobaczysz – obiecał kłaczy, zakładając jej ogłowie.

Chwycił siodło i stęknął pod jego ciężarem, zarzucając je na grzbiet konia. Dźwignął wojskowy worek pełen broni i z trudem wspiął się na Mokłą. Przed oczyma znów miał mroczki.

„Jeżeli dziś tam nie dojadę, to padnę w środku lasu – przemknęło mu przez myśl. – A wtedy nikt mnie nie odnajdzie”.

Do południa wybierał szlaki, kierując się starymi, poniemieckimi mapami, potem jednak okolica stawała się coraz bardziej znajoma. Pozwolił Mokce prowadzić, sam w tym czasie ucinał sobie w siodle krótkie drzemki. Późnym popołudniem minął drzewa z pniami pomalowanymi na

wściekle żółty kolor.

– W końcu tu trafiłem – szepnął, jednak nie był w stanie wykrzesać z siebie choć odrobiny radości. Nie miał pojęcia, co powie dawnym przyjaciółom.

Pod wpływem impulsu skręcił nagle z głównej drogi w wąską ścieżkę, która prowadziła do domu Henryka. Hubert chciał wierzyć, że w przeciwieństwie do wielu święcinian mężczyzna najpierw będzie zadawał pytania, a potem strzelał.

Leśna dróżka prowadziła do niewielkiego domku z drewnianych bali. Tuż obok niego znajdowała się studnia z żurawiem, a z drugiej strony, między drzewami, był ukryty wychodek. Hubert zatrzymał kłacz na podwórku i spojrzął w ciemne okna.

Drzwi niespodziewanie się otworzyły i ktoś wyszedł na ganek. Hubert spojrzął na potężnego mężczyznę o szpakowatych włosach i twarzy naznaczonej siateczką blizn. Mimowolnie się uśmiechnął.

– Czego chcesz? – zapytał Henryk, mierząc do niego z karabinu.

– Eee... – zaczął chłopak – Szukam... szukam...

Henryk nie spuszczać przybyłszy z celownika, zszedł z trzech stopni prowadzących na ganek i zrobił kilka kroków w jego stronę.

– No słucham.

– Zabłądziłem. – Jedyne to przyszło Hubertowi na myśl. – Napadli na mnie... i... i prawie zabili, ale uciekłem...

Henryk nieznacznie opuścił karabin.

– Czy ty masz tam pepeszę? – zapytał z jakimś zdziwieniem.

Hubert pokiwał głową.

– Odrzuć ją na bok.

Chłopak wykonał polecenie.

– Teraz zsiądź z konia i się od niego odsuń.

„Zastrzeli mnie – pomyślał z niepokojem Hubert. – Już na samym początku mnie zastrzeli. Jak go przekonać, że nie jestem wrogiem?”

Zsiadł, a raczej zsunął się z kłaczy i chwytając się za nogi, stanął na nogach. Kręciło mu się w głowie, lewa ręka zdrętwiała, prawą przycisnął do rany w boku.

Henryk wciąż do niego celując, podszedł do Mokki i z cichym sapnięciem zdjął z niej worek.

– Proszę – cicho jęknął Hubert. – Nie mam dołączyć, boję się, że znów spotkam tamtych ludzi, a... a w lesie są demony.

Gospodarz westchnął ciężko.

– No dobrze, wchodź do środka – powiedział.

Chłopak z trudem wspiął się na schodki i przekroczył próg domu. Henryk szedł tuż za nim z karabinem, ściskając w ręku podróżny worek Huberta.

Kuchnia wyglądała jak kiedyś – prowizoryczny zlew pod oknem, kilka szafek, na środku drewniany stół i kilka niedopasowanych plastikowych krzeseł. Z ciężkim sapnięciem opadł na jedno z nich.

– To teraz mów, co ty za jeden, skąd jesteś i jak trafiłeś do Świącino. – Henryk stanął naprzeciwko niego.

– Mam na imię Hubert. Jechałem przed siebie, kiedy mnie zaatakowano...

– Gdzie cię zaatakowano?

– Długo uciekałem, aż dotarłem tutaj, nie wiedziałem, że znajdę jakąś osadę. – Uznał, że lepiej udawać głupiego.

Henryk pokiwał głową, dał gościowi coś do picia, jedzenia, a potem pozwolił położyć się w łóżku w małym pokoju.

– Jakby strzeliło ci do łba zaszlachtować mnie w nocy, pamiętaj, że śpię z pistoletem pod poduszką – ostrzegł.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Już kiedyś słyszał podobny tekst.

W końcu odnalazł Świącino. Po siedmiu długich latach. I wszystko jest tak, jak powinno. Po raz pierwszy od dawna usnął zdrowym, twardym snem. Tutaj był bezpieczny.

Obudził się późnym popołudniem i zaspany powłókł się do kuchni. Henryk kroił surowe mięso. Oderwał się na chwilę od pracy i utkwiał w chłopaku badawcze spojrzenie.

– Skoro jesteś już na nogach – odezwał się w końcu – możesz mi powiedzieć, co planujesz?

Hubert położył dłonie na oparciu krzesła.

– Jeszcze nie czuję się najlepiej – zaczął niepewnie. – I nie bardzo mam gdzie się podziać...
Mógłbym zostać tutaj?

Henryk zmierzył go wzrokiem, nie do końca przekonany, czy ma do czynienia z osobą o zdrowych zmysłach.

– Nie potrzebujecie może strażnika? – spróbował chłopak

– Nie.

– Mam konia, dobrze strzelam – przekonywał. – I... i tropię demony.

– Każdy dobry myśliwy potrafi wytropić demona – burknął Henryk

– Jestem lepszy od każdego myśliwego, jakiego znasz.

Mężczyzna przyjrzał się mu uważnie.

– Dobra, powiem wprost – odparł w końcu. – Nie wiem, co ty za jeden ani ile jesteś wart, dlatego nie wezmę za ciebie odpowiedzialności. Możesz zostać u mnie jeszcze parę dni, a potem ruszysz w swoją stronę.

Henry kodwrócił się, szukając czegoś w szafkach.

Hubert spojrział smętnie na jego szerokie plecy, a potem ukrył twarz w dłoniach.

– I gdzie ja mam iść? – jęknął cicho. – Nie mogę wrócić do domu.

Jak miał spojrzeć w twarz Ernestowi, Zuzi oraz innym mieszkańcom Dąbrówki? Czuł się winny, że sprowadził na nich niebezpieczeństwo.

Przez kolejne dwa dni Hubert przede wszystkim spał. Zamierzał porozmawiać z Sołtysem, więc musiał zregenerować siły, by zrobić jak najlepsze wrażenie. Rana w boku coraz lepiej się goiła i nie była już tak dokuczliwa. Sporo rozmyślał, ale starał się też pomagać Henrykowi w domu. Pewnego popołudnia, gdy ten wyszedł do lasu na polowanie, postanowił ugotować obiad, choć nigdy nie był w tym dobry. Wrzucił kawał mięsa do gara z wodą ze studni i postawił go na kuchnię kaflową. Pokroił warzywa i przyniósł trochę ziół rosnących za domem.

Zupa się gotowała, a on zabrał się do zmywania.

Już postanowił – następnego dnia pójdzie do Sołtysa i go przekona, że potrzebują nowego strażnika. Zadowolony, zaczął wesoło gwizdać. Humoru nie popsulo mu nawet to, że przez dobry kwadrans musiał szorować piaskiem przy palone dno garnka.

Wtem usłyszał hałas przy drzwiach.

Odrzucił się i... oniemiał. Przed nim stała niezbyt wysoka, szczupła, ale umięśniona dziewczyna ubrana w zielone bojówki, czarny T-shirt i koszulę w szarą kratę. Miała twarz w kształcie serca, ciemne włosy związane w krótką kłokę i niesamowite oczy. Jedno było intensywnie zielone, a drugie ciemnobrązowe. Zaskoczona, stanęła na środku kuchni i wpatrywała się w Huberta.

„Iza! To jest Iza!”.

Nie mógł opanować radości na jej widok. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął przed siebie rękę wciąż ociekającą wodą.

Wtedy dziewczyna ocknęła się z szoku, wyszarpnęła z kabury przy pasku pistolet i wycelowała w niego.

– Coś ty za jeden?! – warknęła. – I gdzie jest Henryk?

– Jestem Hubert – odparł, wciąż wpatrując się w nią jak urzeczony.

Chciał postąpić krok w jej stronę, powiedzieć wszystko, wytłumaczyć...

– Nie ruszaj się! – rozkazała. – Bo cię zastrzelę.

Hubert, widząc jej minę, uznał, że dziewczyna nie żartuje.

„Pięknie, zginę nie z rąk Henryka, ale Izy” – pomyślał gorzko.

– Gdzie jest Henryk? – powtórzyła.

– Gdzie? Nie wiem. – Wzruszył ramionami. Odwrócił się i zanurzył ręce w ciepłej wodzie w misce, modląc się, żeby nie strzeliła mu w plecy. – Poszedł do lasu na polowanie.

– Jak to: na polowanie? – naskoczyła na niego. – Co ty tu w ogóle robisz?

– Zmywam naczynia, nie widać? – odparł lekkim tonem.

– Stroisz sobie ze mnie żarty?! – wybuchła, podchodząc bliżej. – Jeżeli coś mu zrobiłeś...

– Taa, zadźgałem na śmierć nożem kuchennym, zakopałem w ogródku, a że nie znoszę bałaganu, to pozmywałem za niego naczynia.

Iza zaczęła oddychać coraz szybciej.

„Ona naprawdę zaraz mnie zastrzeli” – przemknęło przez myśl Hubertowi.

Odwrócił się gwałtownie, rozchlapując na boki wodę z miski. Wyrwał dziewczynie z rąk pistolet.

Iza zamachnęła się na niego pięścią, ale przed pierwszym ciosem się uchylił, a drugi zabłokował.

– Spokojnie – powiedział, odsuwając się od niej.

Wyjął z pistoletu magazynek i nabój z komory.

– Nie mam złych zamiarów. – Oddał Izie broń, amunicję zaś wsunął do własnej kieszeni.

Dziewczyna przy mrużyła oczy ze złością.

– Może sobie usiądziesz, a ja zaparzę zioła i wszystko ci wyjaśnię? – zaproponował. – Przydałaby ci się melisa – mruknął pod nosem.

Iza opadła na krzesło, nie spuszczając z niego wzroku pełnego wściekłości.

Wstał czajnik z wodą, zamieszał łyżką w zupie i nasypał ziół do dwóch kubków. Nagle Iza wstała od stołu. Hubert gwałtownie odwrócił się w jej stronę, gotowy odeprzeć ewentualny atak.

– Spokojnie – mruknęła. – Chcę dodać miodu do herbaty.

Podeszła w stronę chłopaka i wyciągnęła rękę po słoik z miodem, lecz w ostatniej chwili jej dłoń zmieniła kurs i pochwyciła duży garnek. Hubert nie zdążył zareagować w żaden sposób. A ostatnie, co zapamiętał, to osmalony rondel lecący prosto na jego twarz.

Hubert zaczął powoli odzywać się zmysły. Leżał, twarz tak go bolała, że nie mógł otworzyć oczu.

- Tym razem przesadziłaś – usłyszał jak przez mgłę.
- Jak to przesadziłaś?! Zabrał mi broń! Skąd mogłam wiedzieć, że to twój gość?
- Facet zmywał moje gary. Wniosek chyba prosty?
- Myślałam, że ci coś zrobił...

Hubert jęknął słabo i kłótnia ucichła. Zmusił się do otwarcia oczu. Leżał na podłodze w kuchni, a nad nim pochyłali się Henryk i Iza.

- Żyjesz, młody? – zapytał mężczyzna.
- Nie! – jęknął chłopak.
- Widzisz? Nic mu nie jest – syknęła Iza.

Hubert przyłożył dłoń do obolałej lewej strony twarzy. Oko miał tak zapuchnięte, że ledwie przez nie widział.

- Nieźle cię urządziła – odezwał się Henryk

Jak na gust Huberta, ton miał zbyt wesoły.

- Ale garnkiem? – zapytał z wyrzutem. – Co ja powiem kolegom?
- Wstawaj! – Mężczyzna wyciągnął do niego dłoń.

Kiedy Hubert się podniósł, całe pomieszczenie zatańczyło mu przed oczyma. Mało brakowało, a by się przewrócił. Henryk pomógł mu przejść kilka kroków i posadził chłopaka na krześle.

- Przyłóż to do twarzy – powiedział, podając mu kawał zimnego surowego mięsa.
- Ładnie traktujecie gości – mruknął Hubert, biorąc okład.

Iza prychnęła lekceważąco i oparła się tyłem o szafki, wciąż obserwując go spod przymruganych powiek

- Idę do domu – oświadczyła w końcu. – Mam jeszcze trochę do zrobienia, a jutro jest dzień handlowy.

Henryk pokiwał głową.

- Może mnie odprowadzisz kawalek? – zapytała z naciskiem.

Mężczyzna westchnął ciężko, ale wyszedł za nią z domu.

Hubert od razu podszedł do okna i patrzył, jak się oddalają. Dziewczyna coś mówiła, gorączkowo gesty kulując.

- Pewnie na niego krzyczy, że przy garnia podejrzane przybłądy – stwierdził. – Znowu początki naszej znajomości nie są kolorowe.

Jednak nic nie było w stanie zagłuszyć radości Huberta. Nieważne, że go pobiła, liczyło się to, że jest cała i zdrowa. Znowu patrzy na niego wilkiem, lecz to o niebo lepsze od ostatniego wspomnienia – światła powoli gasnącego w jej dwukolorowych oczach, gdy została postrzelona w Poznaniu. Wszystko jest lepsze od tamtego. Nigdy już nie pozwoli im pójść do miasta po...

– O cholera! – Uderzył się dłonią w czoło. – Szlag by to trafił!

Zaczął miotać się po kuchni, przeklinając własną głupotę.

– Jechałem do Święcina! Jak mogłem zapomnieć?! – wyrzucał sobie. – Jak mogłem nie zabrać demonologii?!

Przyczyna była prosta – już od dawna nigdzie nie woził książki. Leżała bezpiecznie w domu Alberta razem z kopią wzbogaconą o ich notatki. W końcu wszystkich wiadomości z niej wyuczył się na pamięć. A poza tym zawsze miał w pobliżu Ernesta, który służył radą i pomocą. Hubert uświadomił sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna jest zdany wyłącznie na siebie.

W ramach przeprosin za zachowanie Izy Henryk pozwolił Hubertowi zostać u siebie trochę dłużej. Chłopak nie protestował, gdy z z podbitym okiem nie wypadało się pokazywać Sołtysovi.

Hubert nie za wiele rozmawiał z gospodarzem; jeżeli robili coś wspólnie, to zazwyczaj w milczeniu. Kiedyś mężczyzna przyniósł z lasu dwa zające i razem je sprawili; to znów Hubert pomógł mu przywlec przewrócone przez wiatr drzewo. Henryk najwyraźniej zaczął ufać chłopakowi, gdy przed wyjściem do lasu oddał mu pistolet i bagnet, na wypadek gdyby coś ich zaatakowało.

– Wieczory są coraz cieplejsze – stwierdził Hubert, kiedy usiedli po powrocie na ganku, żeby odpocząć.

– Uhm – mruknął były wojskowy.

Słońce już dawno temu zaszło za horyzontem, chudy księżyc wzniosł się nad drzewami. W trawie grały świerszcze, a gdzieś w gęstwinie pohukiwała sowa. Delikatny wietrzyk głaskał młode liście drzew. Było cicho i spokojnie. W oddali, za lasem, czekało Święcino.

– Pora spać – powiedział Henryk, wstając z krzesła.

Hubert pokławał głową, ale się nie ruszył. Wiatr nagle ucichł i cały świat pogrążył się w ciszy, ciemność stała się jakby gęstsza, a gdzieś w głębi boru rozległ się niby-ludzki płacz. Hubert zadrżał, jego serce zaczęło szybciej bić.

– Nie, nie teraz – szepnął.

Doskonale wiedział, co toaczy.

Henryk, słysząc go, stanął w drzwiach.

Chłopak zeskokczył ze schodków prowadzących na ganek i ruszył biegiem w las.

„Jakі dzisiaj dzień? – myślał gorączkowo, pędząc przed siebie. – Przegapiłem to!”.

Stopy instynktownie niosły go przez bór, nie wiadomo, jakim cudem nie wpadł na żadne drzewo ani nie potknął się o nic w ciemnościach. Wciąż słyszał zawodzenie, które co jakiś czas przechodziło w smutny szloch. Hubert zbliżał się do głosu coraz bardziej, jeszcze kawalek, a dotrze na miejsce pierwszy. Wtem rozległo się upiorne wycie, a tuż po nim ludzki krzyk.

Za późno!

Chłopak spał wszystkie mięśnie i przyspieszył, lecz gdy pokonał niewidoczną barierę, którą odczuł niczym wylądowanie elektryczne, zachwiał się i niemal przewrócił. Jednak nie mógł się zatrzymać. Gdzieś tu była strzyga i dobrze wiedział, kogo demon zaraz zabije.

W biegu spróbował wyrównać oddech. Jedną ręką poklepał się po biodrach. Wyczuł kaburę z coltem i bagnet. Niezbyt dużo, jeżeli chciał stawić czoła strzydze, jednak było już za późno na zmianę broni.

Gdzieś za sobą słyszał ciężkie kroki Henryka, ale Hubert był młodszy, szybszy i biegł prowadzony szóstym zmysłem.

Wtem zobaczył demona. Strzyga o szarej skórze i rudych włosach przykucnęła na tylnych łapach. Posykiwała cicho, świdrując wzrokiem przerażonego człowieka, który usiłował się od niej odczołgać. Hubert z daleka dostrzegł jego bladą twarz. Wyszarpnął z kabury pistolet i strzelił kilka razy. Wiedział, że na niewiele się to zda, strzygi były bowiem odporne na kule, ale chciał odwrócić jej uwagę od ofiary. I ten manewr mu się udał.

„I co teraz, geniuszu? – zapytał sam siebie, zatrzymując się dziesięć metrów od bestii. – Masz tylko nóż i pistolet. Broń dobra na borutę, ale nie na strzygę”.

Wiedział, że są tylko dwa wyjścia: albo zabije bestię, albo sam zginie. Bardziej podobało mu się pierwsze.

Dlatego zaatakował. Z dzikim okrzykiem na ustach rzucił się na zaskoczonego demona, odrzucił pistolet i wyjął z pochwy bagnet. Strzyga, nieprzywykła do takiego zachowania ludzi, znieruchomiała i ze zdziwieniem patrzyła na szarżującego na nią chłopaka.

Hubert z impetem wpadł na bestię i nie dając jej ani chwili na reakcję, dźgnął nożem w podbrzusze. Przewrócili się na ziemię. Chłopak wylądował na demonie, wyciągnął ostrze i uderzył znowu, a potem jeszcze raz.

Strzyga wrzasnęła ogłuszająco. Zaczęła się szarpać, lecz Hubert mocno dociskał ją do ziemi. Znowu wbił bagnet w cielsko potwora. Strzyga przeczuwała, że jeżeli nie zdoła się wyrwać z morderczego objęcia, zginie.

Hubert jednak powoli zaczął słabnąć. Nie doszedł jeszcze do siebie po poprzednich

przygodach, a strzyga okazała się dorosłym silnym osobnikiem. Pazurami przejechała mu po plecach i wyszarpnęła się z uścisku.

Hubert z ciężkim sapnięciem dźwignął się na nogi. Znów stanęli naprzeciw siebie. Strzyga, chwając się, spojrzała mu prosto w oczy. Została ranna podczas polowania, była głodna i obolała. Powoli zaczęła narastać w niej wściekłość. Ugięła lekko łapy, gotowa do ponownego ataku, gdy w jej polu widzenia pojawił się kolejny cel. Uwierzyła, że tamten człowiek będzie łatwiejszą ofiarą niż wariat z nożem.

Hubert z przerażeniem patrzył, jak głowa strzygi odwraca się tam, gdzie pojawił się ktoś nowy. Nagle straciła zainteresowanie nim i z dzikim wrzaskiem skoczyła na chłopaka, który wyszedł zza drzew. Przybyszowi udało się strzelić dwa razy, nim wgrzyła mu się w gardło. Tym razem nie straszyla ofiary, nie bawiła się z nią, po prostu z lubością napawała się smakiem świeżej, jeszcze ciepłej krwi.

– Nie!!! – wrzasnął Hubert, po czym rzucił się na strzygę i zaczął na oslep dźgać bagnetem.

Usiłowała odtrącić go na boki i wtedy odsłoniła klatkę piersiową. Hubert, napędzany adrenaliną oraz bezsilną wściekłością, wbił bagneto prosto w serce bestii, cudem mijając mocne żebra.

Z trudem odepchnął martwe ciało demona i opadł na kolana przy jego ofierze.

– Nie – szepnął. – Nie, nie, nie, nie...

Z rezygnacją opuścił głowę, jego zakrwawione dłonie zaciśnięte na nożu opadły na ziemię. Przed nim leżał chudy, wysoki chłopak z potarganą czupryną, niewiele od niego starszy. Mikołaj był najmłodszym strażnikiem w Święcinie.

– Jakim cudem? – zapytał zrozpaczony Hubert. – Co ty tu robiłeś?

„Zmieniłeś bieg czasu – odpowiedziało mu sumienie. – Ale czy to dobrze? Zamieniłeś jedną śmierć na drugą”.

Gdzieś z boku usłyszał hałas. Odwrócił głowę i zobaczył Henryka z karabinem przewieszonym przez ramię i maczetą w ręku. Pomagał wstać Andrzejowi, potężnemu strażnikowi, który właśnie tej nocy miał zginąć.

– Żyjesz? – zapytał go były wojskowy.

– Powiedzmy, że tak – odparł strażnik.

Obaj podeszli do Huberta.

– Kur... – szepnął Andrzej, patrząc na martwego Mikołaja.

– Co on tu robił? – zapytał gorzko Hubert, nie podnosząc głowy. – Nie powinno go tu być!

Henryk położył chłopakowi dłoń na ramieniu, ale po chwili szybko ją cofnął.

W ciągu kilku minut wokół zaroilo się od ludzi, więc Hubert usunął się na bok. Choć on pamiętał

wszystkich, nikt nie znał jego. Wolał nie rzucać się w oczy, więc schował bagnet do pochwy, podniósł z ziemi pistolet i stanął w ciemności pod drzewem tuż przy granicy światła rzucanego przez pochodnie. Śmierć strażnika była dla niego drugocząca.

– Szedłem razem z Mikołajem – opowiadał Stanisław, najstarszy strażnik – Kiedy młody usłyszał strzały, wyrwał przed siebie i już go nie dogoniłem.

– Kto ją tak załatwił? – zapytał głośno Marek, patrząc na poranioną i zalaną kwią strzygę.

– Ty! – Iza oskarży cielsko spojrzała na Huberta. – Co ty tutaj robisz?

Podeszła bliżej do przybysza, lecz on tylko wzruszył ramionami. Stał, patrząc obojętnie dookoła.

– To przez ciebie ten potwór zabił Mikołaja. – Dziewczyna ze złością dźgnęła palcem powietrze.

– Iza, daj spokój – odezwał się pojednawczo Henryk – Gdyby nie on, mielibyśmy dwa trupy, a nie jednego.

– Ma rację, uratował mnie – dodał Andrzej.

„Wcale nie ma – pomyślał Hubert. – Gdyby nie ja, wciąż byłby jeden trup, tylko że nie Mikołaj”.

Kilka osób poniosło ciało młodego strażnika do osady, pozostali stanęli nad martwą strzygą.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedział Marek – Tak żeby się nie odrodziło ani nie wstało z grobu.

– Spalcie ją w cholerę – mruknął Hubert, nie dbając o to, że nie zdobędzie kolejnego zęba do swojej kolekcji.

Odwrócił się i odszedł w głąb ciemnego lasu. Idąc, słyszał za sobą kłótnię, lecz jemu było to obojętne.

„Zmieniłeś bieg czasu...”.

„Przynajmniej żona Andrzeja się ucieszy” – pomyślał z goryczą.

Kiedy dotarł do samotnego domku w lesie, poszedł do szopy, do Mokki. Przytulił się do jej szyi. Klaczy widocznie nie odpowiadał zapach krwi na jego rękach, więc zaczęła się wiercić i rzeć z niezadowoleniem.

– Wredna szkapa – mruknął Hubert.

Wszedł do domu, zapalił lampkę naftową i dokładnie wyszorował ręce oraz bagnet w misce z wodą. Potem zdjął zakrwawione ubranie i z zaskoczeniem odkrył, że koszulka jest w strzępach. Dopiero wtedy poczuł pieczenie skóry na łopatkach. W małym lustrze zobaczył, że całe plecy ma podrapane. Na szczęście żadna rana nie była głęboka.

– Nieżle cię załatwiła – podsumował Henryk, kiedy zobaczył chłopaka przeglądającego się w lustrze.

– Mikołaja gorzej – mruknął, biorąc nową koszulkę.

– Poczekaj, trzeba to opatrzeć, bo jeszcze wścieklizny dostaniesz. Siadaj. – Mężczyzna podsunął mu krzesło.

Hubert usiadł okrakiem na siedzisku, łokcie położył na oparciu. Syknął cicho, kiedy Henryk zaczął przemywać mu plecy.

– Nie jęcz. O, a to po czym? – zapytał, klepiąc rannego w lewe ramię.

– To? – Hubert zerknął na pojedynczą bliznę sięgającą od łopatki poprzez biceps aż do wewnętrznej strony łokcia. Nie dość, że była szeroka, to jeszcze krzywo zszyta. – Po biesie. – Machnął ręką. – Młody, głupi byłem i brałem go na przetrzymanie, kto pierwszy wyміęknie.

Henryknie dopytywał, na czym owo przetrzymanie miało polegać.

– Gotowe – rzekł z zadowoleniem, gdy skończył smarowanie ran olejem z dziurawca.

Chłopaknie odpowiedział, włożył czystą koszulkę i położył ostrzem na stole swój bagnet.

– Skąd wiedziałeś, że ta strzyga tam jest? – zapytał po chwili Henryk – Słuch mam dobry i wiem, że tutaj nic nie było słychać, a ty jakszalony pobiegłeś prosto na nią.

– Przecież mówiłem, że tropię demony. – Hubert wzruszył ramionami.

– Ale kto atakuje strzygę z samym nożem?

„Jak głupi rzucasz się na demony, nie myśląc ani o konsekwencjach, ani o tym, kogo narażasz” – zadźwięczały mu w głowie słowa Ernesta.

Znów ruszył na biesia, nie zastanawiając się nad tym, co może się wydarzyć.

– Słuchaj, Mikołaj to był fajny chłopak, ale to nie twoja wina – powiedział Henryk – Gdyby nie wyrwał tak do przodu, pewnie by żył. Nic nie mogłeś zrobić.

– Do dupy z tym wszystkim – odezwał się Hubert. – Idę spać.

Wstał z krzesła i powłókł się do swojej sypialni. Nie chciało mu się nawet zdejmować ubrań, więc po prostu runął na łóżko i od razu zasnął.

Następnego dnia do domu Henryka wpadła Iza. Obrzuciła Huberta wrogim spojrzeniem i usiadła za stołem.

– Mój ojciec chce z tobą rozmawiać – rzuciła w końcu do chłopaka.

Hubert spojrział na nią ze zdziwieniem. Czegoż mógł od niego chcieć Marian Kościuszek?

– Po co? – zapytał.

– Skąd mogę wiedzieć? – warknęła. – No już, zbieraj się i idziemy. Aha, w południe będzie msza.

„O nie, nie dam ci się zastraszyć – pomyślał Hubert, patrząc, jak dziewczyna wstaje i wyczekująco na niego zerka. – Nie mam już siedemnastu lat”.

Powoli wstał od stołu, potem, nie spiesząc się, zapiał pas z coltem i włożył bluzę od munduru. Skinął głową na znak, że jest gotowy.

Iza zirytowana zmrużyła oczy i nie oglądając się za siebie, wymaszerowała z domu. Bez pośpiechu ruszył za nią.

„Nic się nie zmienia – myślał. – Wciąż na mnie zła”.

Wyszli z lasu na szeroki gościniec, minęli pola uprawne, a potem bramę, gdzie trzymali wartę Stanisław i Jacek Lekko skinęli im głowami. Hubert pozwolił Izie poprowadzić się przez osadę, z rozrzwinięciem przy patrząc się domom i ludziom. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał – zadbane budynki, ogrody z kwiatami, dzieci bawiące się na drodze, kościół z muru pruskiego i plac, gdzie urządzano zabawy. W końcu stanęli przed starą szkołą zbudowaną z czerwonej cegły. Weszli do środka, a dalej chłodnym korytarzem ruszyli do gabinetu Sołtysa. Za biurkiem z dyktę siedział zażywny mężczyzna z czerwoną twarzą i ły siną na czubku głowy.

– Tato, to on – odezwała się Iza.

Marian podniósł głowę i bacznie przyjrzał się przybyszowi.

– A więc to tobie zawdzięczamy zabicie strzygi? – zapytał.

Hubert skinął głową.

Sołtys mierzył go wzrokiem, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Szukam miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać na jakiś czas – powiedział chłopak.

– Co potrafisz?

„Teraz mógłbym go przekupić demonologią” – przemknęło przez myśl Hubertowi.

– Wszystko, co trzeba zrobić w gospodarstwie – odparł. – Mam własnego konia, broń i amunicję. Ale przede wszystkim: znam się na demonach.

Marian zmrużył lekko oczy.

– Łowca demonów, co? – rzucił.

– Można tak powiedzieć – odrzekł powoli Hubert.

Kątem oka zerknął na Izę, która nie wyglądała na zachwyconą.

– Dobrze więc, dostaniesz posadę strażnika, zagwarantujemy ci mieszkanie i wyżywienie. Lecz pamiętaj, na razie będziesz na okresie próbnym.

– Zgoda. – Chłopak wyciągnął rękę do Sołtysa.

– Witamy w Świącinie. Jestem Marian Kościuszko. – Mężczyzna uściśnął gościowi dłoń. – Izo, pokaż naszemu nowemu strażnikowi jego kwatere. Ty będziesz za niego odpowiedzialna.

Dziewczyzna prychnęła ze złością.

– Zatem idziemy! – warknęła i wymaszerowała z gabinetu.

Hubert, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu, powędrował za nią do starego domu na uboczu.

Stanęli przed zmurszałym płotem, chłopak zastygł w bezruchu i spojrzał na budynek. Poczł ciepło w sercu. Domek był odrobinę przekrzywiony, a mech porastał grubą warstwą lekko zapadnięty dach. Szara elewacja bynajmniej nie wyglądała dobrze, ogródek zarósł, jakby ktoś podlewał chwasty wyjątkowo skutecznym nawozem.

– No co tak stoisz? – prychnęła Iza. – Chodźże.

Z trudem otworzyła stare, powyginane od wilgoci drzwi.

– Mieszkała tu stara wdowa Niwicka, ale zmarła zimą – wyjaśniła.

Hubert wszedł do środka. W nozdrza buchnęła stęchlizna. Z uśmiechem błakającym się na ustach zajrzał do dwóch niewielkich pokoi, dłonią pogładził stare łóżko, a potem przeszedł do kuchni, gdzie pod oknem ustawiono stół przykryty wyblakłą ceratą w kwiaty. Pod ścianami stały wypaczone szafki, lodówka ze sparciałymi uszczelkami i kuchenka westfalka.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytała podejrzliwie Iza.

– Podoba mi się tu – odparł.

Dziewczyzna wzruszyła ramionami.

Hubert odwrócił się do niej i rzekł poważnie:

– Posłuchaj. Nie zaczęliśmy naszej znajomości najlepiej i to ja jestem stroną poszkodowaną. Ale chcesz tego czy nie, zamierzam się tutaj zatrzymać i zostanę strażnikiem, a ty będziesz musiała znosić moje towarzystwo. Może więc zacznijmy od początku. Jestem Hubert. – Wyciągnął w jej stronę dłoń.

Dziewczyzna się zawahała.

– Iza. – Uściśnęła mu mocno rękę.

– Czyli wszystko jasne. – Rozpogodził się. – Muszę teraz wrócić po swoje rzeczy.

– Odprowadzę cię do bramy – zaproponowała.

Hubert szedł lekkim krokiem do domu Henryka. Radością, że znów jest strażnikiem Świącina, próbował uciszyć wyrzuty sumienia. W tragicznych okolicznościach stracił już wiele osób, sam zabijał, lecz ta świadomość wcale nie pomagała mu pogodzić się z tym, że przez niego zginął Mikołaj.

„A co jeżeli będzie tak zawsze? Jeżeli nie mam wpływu na to, czy ktoś umrze, czy nie?”.

Potrząsnął głową, usiłując odpędzić ponure myśli.

Kiedy dotarł na miejsce, pokrótce streścił Henrykowi przebieg spotkania z Sołtysem, a potem zaczął się pakować.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział, stając w drzwiach ze swoim workiem. – Gdyby nie ty ...

– Pokręcił głową.

– Trzymaj się, zobaczymy się później. – Mężczyzna jak zwykle był konkretny i mało wylewny.

Hubert osiodłał Mokkę, przerzucił przez siodło woreki wskoczył na grzbiet kłaczy.

– Będzie dobrze, zobaczysz – obiecał zwierzęciu.

Przed południem zaprowadził kobyłę do stajni Maciejaka i poprosił, żeby się nią zaopiekował. Stary pijak mrucał pod nosem, że nie ma czasu, ale kłacz przyjął.

– Wreszcie jestem w domu. – Hubert rzucił się na łóżko, wzbijając w górę tumany kurzu z pościeli. – Trzeba jeszcze tylko wszystko naprawić.

Kilka ubrań, które zabrał, wrzucił do jednej szafy, a drugą przeznaczyl na broń. Na półce ułożył pepeszę, siatkę pełną naboji, kilka granatów i osobno zapalniki do nich. Wzrok chłopaka padł na szafkę nocną, gdzie kiedyś trzymał zdjęcie rodziny. Zostawił je, gdy wyruszył do Poznania, skąd nigdy już nie wrócił. Teraz fotografia została w domu Alberta w Dąbrówce. Tak samo jak demonologia. Hubert poczuł złość na samego siebie, że zapomniał o książce. Gdyby teraz pokazał ją Izie, dziewczyna nigdy nie wpadłaby na pomysł straceńczej wyprawy do biblioteki. Niedbale rzucił na szafkę woreczek z zębami demonów, który ch miał już pokazać kolekcję.

Za pięć dwunasta przypomniał sobie o pogrzebie. W biegu zapinając bluzę od munduru, popędził do kościoła i stanął z tyłu, obok Henryka.

Nikt nie zaprosił Huberta na stypę, więc po pogrzebie wrócił do domu i zabrał się do porządków. Szorował właśnie blaty szafek, kiedy rozległo się pukanie i zanim zdolał zareagować, do kuchni wmaszerowała Iza.

– Mam iść z tobą na patrol i wszystko ci pokazać – powiedziała, jasno dając do zrozumienia, że mogłaby się zająć czymś ciekawszym.

Hubert wiedział jednak, że to poza. Iza zgrywa twardą, lecz tak naprawdę jest bardzo opiekuńcza. Uśmiechnął się do niej szeroko, założył pas z coltem i razem ruszyli w kierunku stajni Maciejaka.

Dziewczyna była wyraźnie zdziwiona, że już załatwił dla swojej kłaczy miejsce w przytulnym boksie, tuż obok jej wałacha, Hermesa, ale nie skomentowała tego.

Jechali stępa przez wieś. Iza opowiadała Hubertowi o mieszkańcach i co gdzie się znajduje, ale on przecież to wszystko wiedział. Słuchał jej więc tylko jednym uchem, rozglądając się ciekawie.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – naskoczyła w pewnej chwili, kiedy wyjechali za bramę.

– Co mówiłaś? Bo się zamyśliłem. – Odwrócił głowę w jej stronę.

Dziewczyna zagotowała się ze złości.

– Pytałam, czy w okolicy może pojawić się jeszcze jakaś strzyga – cedziła słowa powoli i wyraźnie.

– Aa, strzyga... nie wydaje mi się. Są bardzo terytorialne.

– Słucham?

– Strzygi wyznaczają sobie duże obszary łowieckie i nie pozwalają innym osobnikom na nie wchodzić, z wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy łączą się w pary.

Iza zamrugała i zmarszczyła brwi.

– Jak to: „łączą się w pary”? – zapytała w końcu.

– Normalnie. Nie będę przecież udzielał ci lekcji biologii.

– Ale strzyga ze strzygą?

– Nie, ze strzygoniem – poprawił ją, ciężko wzdychając.

– A jak taki strzygoń wygląda?

Zainteresowała się tak bardzo, że na chwilę porzuciła pozę gniewnej strażniczki.

– Uwierz mi, że nie chcesz wiedzieć – odparł.

„Ja też nie chciałbym wiedzieć” – pomyślał gorzko.

Iza zapatrzyła się w dal i przez dłuższy czas jechali w milczeniu, aż dotarli na niewielką polanę, gdzie pasło się stadko owiec. Wszystkie jeszcze z długą wełną, lecz już niedługo miało się odbyć strzyżenie, zatem kobiety czekało mnóstwo pracy przy praniu, gręplowaniu i przędzeniu.

W Dąbrówce nie hodowano owiec, wełnę, z której robiono swetry, szaliki i czapki, kupowano od mieszkańców Orlej.

Iza rozsiadła konia i pozwoliła mu paść się na zielonej trawie. Hubert po chwili zrobił to samo co dziewczyna.

Usiedli na ziemi, patrząc na wierzchowce. Mokka położyła się i z lubością zaczęła tarzać w trawie. Słońce świeciło wysoko nad horyzontem, wiosenne, zielone liście pobliskich drzew drżały w lekkim wietrze.

Wracając do wsi, zahaczyli o pasiekę, gdzie w równych rzędach stały kolorowe ule, na które Hubert patrzył z zazdrością. Gdy przebywał w Świącinie w tym innym życiu, nie zwrócił na nie

uwagi, ale teraz wiedział, jak ważne są pszczoły. Miód lubił przecież prawie każdy, szczególnie kiedy trudno było o cukier, z wosku robiono świece, a ktu pszczelego, zwanego propolisem, używano na rany i oparzenia, ze względu na jego silne właściwości bakteriobójcze. W Dąbrówce mieli zaledwie kilkanaście uli.

– Funkcję naszego bartnika pełni Rafał – odezwała się Iza. – Jeszcze go nie widziałeś.

Hubert z uśmiechem pokiwał głową.

Zakończyli patrol, zajęli się końmi i prosto ze stajni udali się do piwnicy szkolnej. Przeszli chłodnym i wilgotnym korytarzem z niskim, popękany stropem i ścianami niegdyś pomalowanymi na beżowo. Minęli zamknięte drzwi od rupieciarni i weszli do ciemnego, niedużego pomieszczenia. Dwa małe okienka pod sufitem wpuszczały niewiele światła. Hubert z rozrzwinięciem wpatrywał się w poustawiane w nieładzie krzesła i ławki, a pod ścianą zauważył drewnianą skrzynkę. Zjrzał do środka i zobaczył równo poukładane opakowania z nabojami.

– Skąd je macie? – zapytał.

– Co? Naboje? – Iza spojrzała na niego. – A różnie. W okolicznych wioskach było paru kłusowników. Wiesz, przed wojną nikt się specjalnie nie chwalił, że kłusuje, i po zarazie trzeba było porządnie przeszuścić wszystkie domy. No i mój ojciec zorganizował kilka wypadów na posterunki policji. W jednym magazynie znaleźli skład różnych karabinów, pistoletów i amunicji, pewnie skonfiskowanej jakiemś entuzjaście broni palnej. Stamtąd mam mojego browninga.

– A nowe produkujecie?

– Pewnie. Henryk przywiózł z jakiegoś magazynu mnóstwo spondek, a proch bierze ze starej amunicji artyleryjskiej. Trzyma ją... zresztą nieważne – zmitygowała się, nie chcąc zdradzać mu zbyt wielu szczegółów. – W każdym razie używamy amunicji bardzo oszczędnie. Na polowania do lasu zazwyczaj chodzi jedynie Stanisław, który dwa razy się zastanowi, zanim strzeli. Trochę nabołów trzymamy też w stróżówce, na wszelki wypadek. A poza tym większość broni posiadanej przez cywilów to zwykłe straszaki. Dlatego każdy chodzi z nożem.

Hubert pokiwał głową. Kiedyś, gdy zobaczył Henryka z maczetą, myślał, że ten się popisuje, teraz wiedział, że była to forma oszczędności.

Zamknął skrzynię i zerknął na niedbale nabazgrany na kawałku tektury kalendarz, aż w końcu zatrzymał wzrok na tablicy, na której wypisano kredą grafik pełnienia dyżurów.

– Przejmiesz warty Mikołaja. – Iza wyrwała go z zamyślenia.

Podeszła do tablicy i z każdej kolumny wymazała gąbką imię młodego strażnika. Hubert zauważył, że zaciska przy tym zęby i stara się nie okazywać emocji.

– Przepraszam – odezwał się.

– Za co? – Odwróciła się do niego, mrugając powiekami.

– Że nie zdołałem go uratować.

– Gdyby nie ty, zginąłby również Andrzej – powiedziała. – Nie masz za co przeproszać.

I choć starała się ukryć swoje uczucia, wydawało mu się, że jednak ma do niego żal. Hubert pojawił się znikąd, a wraz z nim strzyga, która zabiła strażnika.

Ledwie Iza zdążyła wpisać jego imię w wolne miejsca kalendarza, do piwnicy przyszli Stanisław i Marek. Dziewczyna oficjalnie przedstawiła im nowego strażnika, a chłopak uśmiechnął się do starych znajomych. Stanisław, potężny mężczyzna koło sześćdziesiątki, mocno uściśnął mu dłoń i powiedział, że z radością wita go w Świącinie. Marek nie był podobnie wylewny. Tylko skinął mu głową.

Wieczorem, gdy Hubert leżał we wciąż niewywietrzonym łóżku i wpatrywał się w znajomy ciemny sufit, zaczął się zastanawiać nad wydarzeniami z kilku ostatnich dni.

Został ranny, trafił do domu Jurka, nauczyciela historii, ale potem wszystko zaczęło iść na opak. To nie Iza go znalazła, a strzyga zaatakowała, kiedy jeszcze mieszkał u Henryka, i zginął nie ten mężczyzna, który miał zginąć.

– Pozmieniałem wszystko – mruknął.

Zresztą jak mógł nie pozmieniać, skoro nie był już tym samym człowiekiem? Zrobiło mu się przykro, kiedy zdał sobie sprawę, że to właśnie tamtego nierozgarniętego chłopaka tak wszyscy polubili.



ROZDZIAŁ II

Większość mieszkańców osady odnosiła się do Huberta z uprzejmą rezerwą, co powoli zaczynało doprowadzać go do furii. Miał też wrażenie, że cokolwiek robi, zawsze w pobliżu jest Iza, jakby wciąż go pilnowała, niepewna jego intencji.

Marika jako jedna z niewielu zachowywała się tak jak kiedyś. Gdy po raz pierwszy zobaczyła go na drodze, od razu podeszła, uśmiechając się szeroko. Miała na sobie kwiecistą sukienkę, a długie, jasne włosy związała w niedbały kok. Przedstawiła się, a podczas rozmowy rzucała mu powłóczyście spojrzenia. Hubert po raz drugi uległ jej czarowi. Młoda nauczycielka rozciągała wokół siebie spokojną i przyjazną aurę. W jej towarzystwie człowiek zapominał o wojnie, zaradzie i demonach.

– A może miałbyś ochotę na coś słodkiego? – zaproponowała i zanim się obejrzał, siedział u niej w bibliotece, z kolorowym talerzykiem pełnym ciastek

Dziewczyna przez cały czas uśmiechała się promiennie i o czymś opowiadała. Ale Hubert szybko przestał jej słuchać. Bibliotekę, która stała się kryjówką Mariki przed złym światem, dokładnie wysprzątnano, na ścianach wisiały rysunki dzieci, a w oknach śnieżnobiałe firanki, na

szafkach zaś stały równo poukładane różne figurki. Na regałach z książkami nie było ani drobinki kurzu. Chłopak w znoszonym mundurze, z ubłoconymi butami i brudnymi dłońmi wcale nie powinien czuć się tu na miejscu, a jednak było mu tu dobrze i najchętniej wcale by stąd nie wychodził.

„I pomyśleć, że zaledwie piętro niżej jest zimna i brudna piwnica strażników”.

Wtem do biblioteki weszło dwóch uczniów, którzy powiedzieli, że mają problem z pracą domową, i czar nagle prysł.

– To ja już się zbieram – powiedział Hubert, wstając z fotela.

– Wpadnij do mnie jeszcze kiedyś – odparła z uśmiechem Marika.

Już zapomniał, że jako nowy, młody mieszkaniec osady, może być łakomym kąskiem dla tutejszych pańien. Ale doskonale pamiętał, jak skończył się jego krótki i nieudany związek z Mariką.

„Trzeba będzie trzymać ją bardziej na dystans” – pomyślał z żalem.

Pewnego chłodnego popołudnia, gdy miał wolne, a za oknem siał deszcz, Hubert postanowił zrobić w końcu to, do czego zabierał się już od dawna. Od kogoś ze wsi pożyczył małe ręczne wiertelko, przygotował cienki, ale mocny sznurek i wysypał na stół zęby demonów.

Przez chwilę zastanawiał się, w jakiej kolejności je przewlekać przez linkę. W końcu zdecydował się na chronologię.

Był w połowie pracy, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął.

– Cześć. – Do kuchni weszła Iza. – Przyszłam cię skontrolować.

– Tak? Czy aby nie planuję zamordować w nocy pół wsi? – skomentował z sarkazmem.

– Mniej więcej. – Usiadła przy stole. – Co to? Naszyjnik robisz?

– Można tak powiedzieć.

– Skąd masz te zęby? – zapytała, biorąc do ręki kiel zaatakowany przez próchnicę.

– Upolowałem. To należało do biesa – wyjaśnił, przypominając sobie, jak wraz z Pawłem i innymi mężczyznami osaczyli demona w świerkowym młodniku niedaleko Kamiennej. – Bestia była wredna. A ten – wskazał inny ząb – dawno temu zostawił mi na pamiątkę to.

Podwinął rękawek koszulki, ukazując długą i grubą szramę.

– Nieźle. – Iza pokiwała głową. – A te malutkie?

– Te są boruty, taki mały wredny demon. Obstawiam, że czaszka uciska mu mózg, bo zachowuje się jakszalony.

– Ten jest chyba stosunkowo świeży? – Wzięła do ręki inny mały kiel.

– To... – zająknął się. – Dzik Gon.

– Dzikie co? – Spojrzała pytająco.

– Chcesz się czegoś napić? – Zerwał się z krzesła i zabrał do rozpalania ognia w kuchence.

Nie miał ochoty na wynurzenia. Musiałby opowiedzieć dziewczynie, jak zawędrowali do starego grodziska, gdzie zaatakowały ich tabuny demonów; każdy – oprócz Huberta – odniósł jakieś rany, nawet Zuzia, a Berda zginął.

Iza przypatrywała się uważnie, gdy wkładał do kubków liście mięty, którą zerwał poprzedniego dnia nad jeziorem. Po kuchni rozszedł się przyjemny, intensywny zapach.

– A więc rzeczywiście polujesz na demony?

Wzruszył ramionami. Mieszkańcy Dąbrówki chętnie wynajmowali jego, Ernesta i Michała do pozbywania się demonów; w zamian łowcy otrzymywali pszenicę, sadzonki, nasiona, wełnę, usługi kowalskie, weterynaryjne, a nawet dentystryczne.

– Jak trzeba... – odparł.

– A skąd ty le o nich wiesz?

– Obserwowałem, nauczyłem się, przeczytałem...

– Gdzie?!

– W demonologii słowiańskiej.

Iza była wyraźnie poruszona.

– Wiedziałaś, że te książki istnieją! Gdzie masz swoją?

– No... nie mam jej przy sobie.

– A gdzie ona jest?

– Została na Pomorzu.

Entuzjazm Izy przygasł.

– Wiesz, że jeszcze niedawno w pobliżu Święcina nie uświadczyłeś żadnego demona? – odezwała się po chwili.

Hubert pokiwiał wolno głową. To okolice Dąbrówki były idealnym siedliskiem dla potworów.

Zaparzył herbatę i postawił dwa parujące kubki na stole, odsuwając wszystkie zęby na bok.

– Wiesz... – odezwała się Iza, nie odrywając wzroku od kłów. – Wciąż nie mogę cię rozszyfrować. Jesteś albo niesamowitym człowiekiem, albo zwykłym wariatem.

Hubert się uśmiechnął.

– Wolę tę pierwszą opcję, choć rzeczywiście ludzie często mi mówią, że jestem nienormalny.

Sam nie wiem dlaczego – dodał niewinnym tonem.

Od rana Hubert pełnił z Markiem wartę przy bramie. Chłopak próbował zagadywać starszego strażnika, ale ten albo odpowiadał półsłówkami, albo udawał, że w ogóle go nie słyszy.

W końcu niezachęcony zaczął się przechadzać w poprzek drogi. Kwietniowe słońce grzało lekko, co było miłą odmianą po zimnej nocy. Hubert wystawił twarz do promieni, gdy podeszła do nich dziewczyna, na której widok uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, tato – przywitała Marka. – Mama przesyła ci kompot i ciasto.

Zerknęła na Huberta, za co ojciec zgromił ją spojrzeniem.

– Dziękuję. – Wziął od niej dzbanek i przykrył ściereczką talerz. – Możesz już iść.

Zawiedziona dziewczyna odwróciła się i odeszła.

– Sympatyczna ta twoja córka – wyrwało się Hubertowi.

Marek spojrział na niego krzywo, może nawet z wrogością.

– To znaczy: wydaje się miła – poprawił się Hubert, ale zamilkł, gdy Marek jeszcze bardziej przymrużył oczy.

Zapadła krępująca cisza, którą starszy strażnik przerwał dopiero po kilku minutach.

– Skąd masz tę pepeszę? – zapytał, wskazując brodą na karabin chłopaka oparty o ławkę.

– Dostałem ją od... od dziadka. Jeszcze przed wojną trzymał arsenał zabytkowej broni na strychu, a w garażu dziurawy kanister pełen ostrej amunicji. Miałem też kałasznikowa – westchnął. – Ale zabrali mi go, jak na mnie napadli.

– Ty chyba przyciągasz kłopoty, co? – zapytał Marek już bardziej przyjaznym tonem.

Po warcie Hubert zabrał się do generalnych porządków w domu. Wyczyścił westfalkę w kuchni i piec kaflowy w dużym pokoju. Zajrzał do piwnicy, gdzie znajdował się piec, przyjrzał się wszystkim rurom, które zostały od niego odprowadzone, a kończyły się w najróżniejszych, dość nieoczekiwanych miejscach na górze. Chłopak już wiele razy widział podobne urządzenia w starych domach. Kiedyś, gdy stawiali je Niemcy, większość budynków miała centralne ogrzewanie. Lecz potem nadeszła armia rosyjska, właściciele domów musieli uciekać, na ich miejsce zaś przesiedlono rodziny, które często nie miały pojęcia, na jakiej zasadzie działa takie ogrzewanie. Kaloryfery i zbiorniki wyrównawcze zostały wyrzucone, a zamiast nich postawiono piece kaflowe, z których korzystano aż do teraz. Może pewnego dnia Hubert znajdzie czas i materiały, żeby uruchomić dawne ogrzewanie.

Wąskimi i chybliwymi schodami wspiął się na strych i ocenił deski na podłodze. Wiele z nich

było spróchniałych. Jeżeli chciał zamieszkać tu na stałe, będzie musiał włożyć dużo pracy w naprawę całego domu. Tylko czy naprawdę chciał tu zostać? Z dala od rodziny i przyjaciół z Dąbrówki?

Od siedmiu lat marzył, że kiedyś odnajdzie Świącino, lecz rzeczywiście okazała się daleka od ideału. Miejscowi wciąż traktowali go jak obcego. Nie był jednym z nich. Nie wiedzieli, co o nim myśleć, więc go ignorowali. Nikt go nie odwiedzał ani nie zapraszał do siebie. Wcześniej też nie od razu zdobył sympatię miejscowych, lecz teraz miał wrażenie, że okres przejściowy trwa zbyt długo.

Z ciężkim westchnieniem założył pas z coltem i bagnetem, a potem wyszedł na dwór. Większość ludzi pracowała w ogródkach czy w polu. Dzieciaki bawiły się na drodze.

Hubert od razu skierował się do stajni Maciejaka.

– Cześć. – Machnął ręką do Bruna, który pakował gnój na taczkę.

Potężny mężczyzna lekko skinął głową. On też odnosił się do chłopaka z dużo większą rezerwą niż kiedyś.

Hubert wzruszył ramionami i podeszedł do boksu Mokki. Klacz zarżała cicho na jego widok.

– Co słychać, grubasie? – zapytał czule.

Mokka parsknęła z urazą.

– A co powiesz na przejażdżkę?

Kilka minut później galopowali pokrytą kurzem drogą, Mokka przyspieszyła do cwału, a Hubert jej nie zatrzymywał.

Zapuscili się daleko w las. Chłopak wdychał głęboko do płuc czyste powietrze przesączone zapachem sosen. Małe gałązki smagały go w twarz, ziemia uciekała spod kopyt klaczy. Przez drogę przebiegło kilka łań, a na samym końcu jednym susem przesadził ją młody jelonek.

Mokka zatrzymała się gwałtownie, niemal zrzucając Huberta z siodła.

– Co ty wyprawiasz?! Chcesz mnie zabić? – wyrzucał jej, zsuwając się z szyi klaczy na siodło.

„Co tak przestraszyło zwierzęta?” – zastanowił się.

Spojrzał w stronę, skąd uciekały, wziął głęboki wdech i zaczął nasłuchiwać. Jednak żaden potwór nie czaił się w cieniu drzew. Na wszelki wypadek zбочzył z drogi i pogalopował kawałek w las, lecz nie zauważył tam nic podejrzanego. Przecież nie tylko demony płoszą zwierzęta, do tego wystarczy dziki pies.

W drodze powrotnej skręcił w wąską ścieżkę prowadzącą do domu Henryka. Czy naprawdę minęły już trzy tygodnie, odkąd jechał ledwie żywy, mając nadzieję, że Świącino to nie były jedynie urojenia? Wydawało mu się, jakby od tego czasu minęły całe wieki.

Byłego wojskowego zastał przy rąbaniu drewna.

Hubert zeskokczył z kłaczy, rozsiadł ją i puścił luzem. Okolica wyglądała na bezpieczną.

– Co słychać? – zapytał Henryk

Hubert wzruszył ramionami.

– Nie ma w okolicy żadnych demonów do upolowania? – zażartował gospodarz.

– Żadnego nie widziałem.

Mężczyzna otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

– Co miejscowi na to, że ot tak sobie wyjeżdżasz ze wsi? – zagadnął.

– A co niby mieli powiedzieć? – zdziwił się łowca.

– Nie zauważyłeś, że panicznie się boją opuszczać osadę?

Hubert myślał przez chwilę. Świącino było otoczone ostrokołem, a później przecież zbudowali palisadę, żeby odgradzić się od lasu. Ludzie wychodzili jedynie na pole, a na grzyby czy jagody szli w towarzystwie co najmniej jednego strażnika. W Dąbrówce przywykł do zupełnie innego życia.

– Tam, gdzie mieszkałem, osada nie była w ogóle ogrodzona – odezwał się w końcu. – Tylko wokół gospodarstw ludzie mieli płoty. Nie baliśmy się tak bardzo wypraw do lasu.

– Może nie mieliście tyłu demonów?

Hubert uśmiechnął się pod nosem.

– Uwierz mi, że nasze lasy roją się od nich.

W następnych dniach zawalił się dach w domu Maciejaka. Kiedy tylko Hubert o tym usłyszał, zgłosił się na ochotnika do naprawy. Tak samo Henryk Pracowali szybko i w milczeniu.

Gdy przybijali deski stropowe, z nieba lał się żar. Hubert zdjął koszulkę. Odstłonił bliznę po biesie i świeże zadrapania na plecach zostawione przez strzygę.

– Jeszcze ta deska i przerwa – zarządził Henryk

Szybko przybili łatę, po czym Hubert usiadł na niej i jedną nogę zwiesił luzno.

– A umiałbyś skonstruować kuszę? – zagadnął.

– Kuszę? A na co ci kusza? – zdziwił się Henryk

– Tylko pomyśl – mówił, machając nogą. – Kusza jest celniejsza niż łuk, ma dużo większy zasięg, jest cicha i...

– I jednostrzałowa – wytknął Henryk

– I mało widoczna, to znaczy w nocy nie powoduje takiego błysku jak broń palna. Wymarzona

do cichych akcji dywersyjnych.

– A gdzie ty chcesz dywersję przeprowadzać? – zainteresował się Henryk

– Tego jeszcze nie wiem, ale o tej kuszy zacząłem myśleć już dawno. Sam jednak w życiu nie potrafiłbym takiej zrobić.

Henryk zastanowił się chwilę.

– Z drewnianą kłbłą nie byłoby problemu – odezwał się. – Gorzej z łuczyskiem i mechanizmem spustowym. I nie mam pojęcia, z czego moglibyśmy zrobić cięciwę...

Hubert zasępił się, gdyż było jeszcze jedno zadanie, z którym kusza mogłaby poradzić sobie dużo lepiej niż broń palna. Kula wystrzelona z pistoletu jedynie wbije się w worek z piaskiem, podczas gdy bełt z kuszy jest w stanie go przebić. A jeżeli porówna się worek z piaskiem do twardej skóry strzygonia, to...

– Aniu! – zawołał nagle Henryk, spostrzegłszy zbliżającą się dziewczynę. – Przyńś nam, proszę, trochę wody!

Córka Marka kiwnęła głową.

Wróciła po kilku minutach z dwiema plastikowymi butelkami wypełnionymi chłodną wodą ze studni. Hubert najpierw zszedł kilka stopni po drabinie, a potem zeskoczył i uśmiechnął się szeroko do dziewczyny.

– To ja już pójdę – mruknęła zawstydzona i szybko odeszła.

– Dzięk! – krzyknął za nią i rozczarowany wrócił na drabinę.

Podał butelkę Henrykowi, po czym obaj usiedli na szkielecie nowego dachu.

– Mam wrażenie, że Marek zabronił jej odzywać się do mnie – westchnął chłopak

– Dziwisz się? To jego jedyna córka. Ja, gdybym miał własną, zabroniłbym jej zbliżyć się do ciebie na krok

– Poważnie? – Hubert był zdezorientowany, jednak po chwili zobaczył szelmowski uśmiech Henryka. – Daj spokój, mówię serio – mruknął.

– Nie przejmuj się, pozwól Markowi przekonać się do siebie.

Następnego dnia po południu Hubert pojechał na konny patrol z Izą. Słońce mocno prażyło, choć dopiero zaczął się maj.

– A może zakończymy objazd nad jeziorem? – zaproponował chłopak, kiedy sprawdzili większość ziem należących do Święcina. – Konie się wykłapią. Ten twój Hermes jest strasznie ubłocony.

– Twoja kłacz bardziej.

– To ścigamy się, kto pierwszy nad brzegiem! – krzyknął i ścisnął Mokkę łydkami.

– Przystań się wydurniać! – zawołała za nim Iza, lecz gdy nie zareagował, popędziła swojego konia za nim.

Hubert obejrzał się i z zadowoleniem stwierdził, że dziewczyna podjęła wyzwanie. Pozwolił jej więc trochę się do siebie zbliżyć. Jednak gdy dzieliło ich niecałe dziesięć metrów, znów zmusił swoją klacz do szybszego galopu.

– Pierwszy! – krzyknął, zatrzymując się nad brzegiem.

– Oszukiwałaś! – zaprotestowała Iza.

Ruszyli stępem wąską ścieżką prowadzącą wzdłuż jeziora. Z jednej strony otaczał ich gęsty bukowy las, a z drugiej wysokie trzciny. W cieniu panował przyjemny chłód.

W końcu wyjechali na porośniętą trawą szeroki brzeg jeziora. Woda była przejrzysta, a dno piaszczyste.

– Dzieciaki często przychodzą tu się kąpać – powiedziała Iza, kiedy rozsiodłwali konie.

– Ładny brzeg – rzucił Hubert, przesuając wzrokiem po nieporuszonej tafli jeziora.

Kiedyś zaatakował go tu topielec, lecz teraz woda wydawała się spokojna.

– Jednak nie jestem pewien, czy powinniście przychodzić tu z dziećmi – mruknął po chwili, odwracając się do Izy.

– Niby dlaczego?

– W takich jeziorach mogą kryć się topielce.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, lustrując wzrokiem okolice.

– Dzieci zawsze są pod opieką jednego dorosłego i co najmniej jednego strażnika – wyjaśniła.

– A poza tym wyobrażasz sobie, że mielibyśmy przestać czerpać wodę z jeziora albo zabronić ludziom kąpać się tu latem?

– Po prostu bądźcie ostrożni – poprosił. Wiedział, że musi później znaleźć tego demona.

Puścili konie luzem, a sami usiedli na miękkiej trawie. Topielce, Hubert to wiedział, nie wychodziły z wody, tu więc byli bezpieczni.

– Uwielbiam takie dni – westchnęła Iza, wystawiając twarz do słońca.

Przeglądał się jej przez chwilę w milczeniu. W takich momentach zapominał, jak tragicznie skończyła się kiedyś jego przygoda w Świącinie. Nie mógł uwierzyć, że widział śmierć Izy.

– Co jest? – zapytała, odwracając głowę w jego stronę.

– Eee... nic. – Speszył się, że został przyłapany na tym, jak ją obserwował. – Kiedy spotkałaś swojego pierwszego demona? – zapytał, by zmienić temat.

– Pierwszego demona? Niech pomyślę – zastanowiła się. – Słyszałam o potworach wiele lat temu, ale nikt nie chciał w nie wierzyć. Ludzie nie potrafili zaakceptować, że biesy istnieją. Byłam wtedy na swoim pierwszym szabrze, jakieś trzy lata temu. Uprosiłam ojca, aby pozwolił mi jechać ze starszymi strażnikami, bo w końcu co mogło się stać? Wracaliśmy już do Świącina i rozbiliśmy na noc obóz w lesie. Przez cały wieczór słyszeliśmy pogwizdywanie i nie wiedzieliśmy, co to takiego. Wtedy Adam się zniercierpliwiał, wziął pochodnię i poszedł sprawdzić, a potem usłyszeliśmy jego krzyk. Wszyscy chwycili broń i pobiegli mu na pomoc. Henryk kazał mi zostać przy ognisku, ale ruszyłam za nimi. Demon zeskoczył z drzewa na Adama. Na szczęście nie zdążył zrobić mu krzywdy, przepłoszyło go światło pochodni. Do tej pory pamiętam dokładnie, jak wyglądał. Był nie większy niż dziecko, miał wielką głowę, duże oczy i patykowate kończyny. Kiedy zaczęli do niego strzelać, skulił się, a potem uciekł w głąb lasu. Byliśmy przerażeni. Z trudem wierzyliśmy własnym oczom. – Zaśmiała się lekko. – A teraz? To coś normalnego.

– Mielście szczęście, że trafiliście na leszego – powiedział Hubert. – W gruncie rzeczy nie jest aż tak groźny.

– Leszy? – powtórzyła Iza. – Tak się nazywa?

– W moich stronach tak na niego mówimy – przytaknął. – Łatwo go rozpoznać po tym, jak gwizdże.

– A twój pierwszy demon? – zapytała.

– Hm – zamyślił się. Tyle ich było, ale tego pierwszego nigdy nie zapomni. – Wydarzyło się to dwa lata po wojnie.

– Tak szybko? – zdziwiła się.

– Coś rozszarpało w lesie naszego sołtysa. Nikt nie chciał mi wtedy uwierzyć, że to demon. Szukaliśmy śladów, ale nic nie znaleźliśmy. Dopiero jakiś czas później, kiedy byłem sam w lesie i przysiadłem na polnym głazie, coś wielkiego rzuciło się na mnie...

– Naprawdę? – szepnęła dziewczyna.

– Uhm. Miałem wtedy więcej szczęścia niż rozumu. Kiedy wielki gadzi pysk usiłował dobrać mi się do gardła, wolną ręką chwyciłem kamień i utłukłem potwora. Zrobiłem mu papkę z mózgu, a potem zawlokłem do wsi, żeby pokazać innym.

– Nieźle. I co powiedzieli?

– Zastanawiali się, czy to jakiś okaz nie uciekł z zoo.

Iza wybuchła śmiechem.

– Pewnie sprowadzili go zza oceanu, bo wiesz, tam takie bestie żyją – zażartowała.

– A potem trafiłem z kumplami na strzygę, ale udało nam się ją zabić, bo była młoda. Z dorosłą nie mielibyśmy wtedy szans.

– I dziwić się ludziom, że wołają na ciebie „łowca demonów” – podsumowała. – Mój drugi demon to były błędne ogniki. Widziałam je o zmierzchu na bagnach. Wyglądały niesamowicie i teraz mogę już wierzyć, że składają wędrowców do schodzenia ze szlaków.

Hubert już chciał jej wyjaśnić, jak wyglądają błędne ogniki z bliska, ale nagle poczuł lekki odór. To była woń demonów. Po chwili usłyszeli czyjś krzyk oraz głośny plusk wody w jeziorze.

Spojrzeni po sobie, po czym zerwali się z trawy i popędzili wąską ścieżką, którą przybyli. Iza pierwsza wskoczyła na drewniany pomost ukryty w trzcinach. Zatrzymali się na jego końcu, gdzie stał fotel rybacki i leżało kilka wędek.

Rozejrzeli się po jeziorze, ale nic nie zobaczyli.

– Tam! – Hubert wskazał miejsce oddalone o niecałe dwa metry od pomostu. W toni toczyła się walka.

Wyszarpnął z kabury pistolet i wcisnął go Izie.

– Jakby co, strzelaj! – krzyknął i wskoczył do wody.

Stopami odepchnął się od dna, popłynął pod wodą i zobaczył szamoczącego się człowieka. Wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza, a potem znów zanurkował, wydając z pochwy bagnet. Woda mocno ograniczała widoczność, lecz po chwili dostrzegł, że mężczyzna jest unieruchomiony przez jakiegoś potwora, który trzymał skraj kamizelki nieszczęśnika. Hubert ciął nożem długą, kościstą łapę, a gdy zwolniła uchwyt, pomógł niedoszłej ofierze wypłynąć na powierzchnię. To był Bartek, wędkarz, który kiedyś uratował Huberta.

Chłopak wciąż oglądając się za siebie i spodziewając się w każdej chwili ataku, pomógł Bartkowi dopłynąć do brzegu. Iza wyciągnęła wędkarza z szuwarów. Pechowiec padł na kolana, odkrzusząc wodę.

Hubert stanął w wodzie po pas z nożem bojowo zaciśnięty m w dłoni.

– Gdzie jesteś, cholero jedna?! – wrzasnął, ale woda pozostawała spokojna.

Nie wyczuwał już demona.

– Co to było? – zapytała Iza, kiedy wrócił na brzeg.

– Przekłety topielec. Ciąłem go i się schował – odparł. – A jak Bartek?

Mężczyzna siedział na ziemi, oparty o pień drzewa, i oddychał ciężko.

– Chciał... mnie... utopić – wysapał.

– Jak to topielce mają w zwyczaju.

– Niech go szlag... – jęknął.

– Zaprowadźmy go do domu. – Hubert zerknął na Izę.

Pomogli Bartkowi wstać i ruszyli wąską ścieżką w stronę polany, gdzie czekały na nich konie. Kiedy dotarli do osady, odprowadzili niedoszłą ofiarę topielca do domu, a sami udali się do stajni. Choć oboje byli przemoczeni, najpierw zadbali o zwierzęta.

– Jak się przebierzesz, może wpadniesz do mnie pogadać? – zaproponował Hubert, kiedy szli przez wieś powoli pogrążając się w mroku.

Iza zawahała się, jednak ciekawość i chęć porozmawiania o demonie zwyciężyły.

– Będę za kwadrans – obiecała, gdy rozstali się na skrzyżowaniu.

Hubert poczuł przenikliwie zimno i zaczęły nim wstrząsać dreszcze. Przyspieszył więc kroku, żeby szybciej znaleźć się w domu. Niestety, tam również panowały chłód i ciemność. Zrzucił mokre ubranie, włożył suche i drżącymi z wychłodzenia palcami spróbował rozpalić w piecu kaflowym.

Iza przyszła, gdy za żeliwnymi drzwiczkami zamykał buzujący ogień.

– Zimno tutaj – sapnęła, przykładając dłonie do ciepłych kafli.

Hubert usiadł obok niej, żeby również się ogrzać.

Pomijając nieszczęsny incydent w domu Henryka, kiedy Iza ogłuszyła go garnkiem, Hubertowi nie zdarzyło się być tak blisko niej. Serce zabiło mu szybciej. Pomyślał, że wystarczyłoby lekko wyciągnąć rękę, aby objąć dziewczynę. Jednak ani drgnął, wiedząc, że za takie zachowanie znów mógłby od Izy oberwać.

– Jutro rano będzie zebranie w piwnicy. – Przerwała milczenie. – Musimy powiedzieć o tym topielcu.

Pokiwał głową, wciąż drżąc z zimna.

– Miałeś rację – przyznała. – Skąd wiedziałeś, że ten topielec tam będzie?

– Przeczucie... – Wzruszył ramionami. – Nie martw się, coś poradzimy – obiecał.

– Co wiesz o topielcach?

– Wiem, jak je zabić – odparł.

– Jak? – zainteresowała się.

– Przede wszystkim potrzebujemy kuszy, jak na szczupaki. Ktoś ma taką w wiosce?

– Nie wiem. I co? Tak po prostu pójdziesz nad jezioro i będziesz czekał, aż potwór do ciebie podpłynie?

– Nie. – Pokręcił głową z uśmiechem. – Topielce są cwane, skusi je tylko żywa przynęta.

– Chyba nie mówisz serio? – zapytała, poważniejąc.

- Jak najbardziej serio. – Puścił do Izy oczko.
- Ty naprawdę jesteś nienormalny – skwitowała.

Z samego rana w szkolnej piwnicy zebrali się prawie wszyscy strażnicy, a także Henryk i Sołtys.

– Bartek mówi, że sięgał po zerwany splawik, kiedy coś wyskoczyło z wody i wciągnęło go w głębinę – opowiadała Iza. – Nie widział, jak ten topielec wyglądał, lecz na pewno był bardzo silny. Hubert ranił go nożem, niestety demon zdążył uciec.

W pomieszczeniu podniósł się harmider.

Gdy mężczyźni się kóćili, Henryk podszedł do Huberta i oparł się tyłem o ławkę, na której siedział chłopak.

– Czy mi się wydaje, czy znów rzuciłeś się na demona z nożem? – zapytał.

– Nie wydaje ci się.

– Kiedyś trafisz na takiego, na którego nóż nie wystarczy.

– To wtedy będę się martwić – odparł lekko chłopak, a Henryk tylko pokręcił głową.

Wśród ogólnej wrzawy dało się słyszeć donośny głos Izy.

– Hubert twierdzi, że wie, jak się poluje na topielce.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę chłopaka.

– A więc? – odezwał się Sołtys.

– Cóż... – zaczął. – Potrzebuję kuszy na szczupaki, łodzi, sieci i ze dwóch mężczyzn do pomocy.

– Dobrze. – Marian pokłwał głową.

„I co? Ot tak się ze mną zgadza?” – zdziwił się Hubert.

– Ale musimy poczekać na pełnię. Wtedy utopce są najbardziej aktywne.

– Chłopie, trzy noce temu był nów – przy pomnił Stanisław.

Chłopak spojrzał na wyczekujące twarze strażników. Nikt nie chciał jeszcze przez dwa tygodnie mieszkają blisko jeziora zamieszkiwanego przez demona.

– Możemy spróbować i bez pełni. Poczekajmy chociaż do pierwszej kwadry, żeby było cokolwiek widać – powiedział w końcu. – Ale nie gwarantuję, że to się uda.

– Słyszałem, że pojutrze jest dzień handlowy – rzucił od niechcienia Hubert podczas nocnej warty z Izą.

Dziewczyna skinęła głową.

– Chciałbym pojechać z wami.

– Po co?

– Z ciekawości, a poza tym moja kłacz potrzebuje więcej ruchu – odparł. – Już i tak jest gruba. Jeździć na niej to tak, jak siedzieć na kanapie okrakiem.

Iza uśmiechnęła się lekko.

– Tak to jest, jak się bierze konia pociągowego pod wierzch.

– Ona wcale nie jest pociągowa – oburzył się na żarty.

– No dobrze, jak chcesz jechać, widzimy się pojutrze rano w stajni.

Hubert pokiwał głową, uśmiechając się do własnych myśli. Teraz Iza darzyła go dużo większym szacunkiem niż kiedyś.

Święcino opuścili w czwartek z samego rana. Do Izy i Huberta dołączyli Jacek oraz Marek, który jechał na wozie.

„Jak za starych dobrych lat” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

Koło południa zajechali na olbrzymi parking przed Poznaniem, na którym ludzie porozkładali swoje towary. Strażnicy ze Święcina przywieźli mnóstwo mięsa, chleba, warzyw i owoców, które zamierzali wymienić na to, co miejscowi znaleźli w ruinach miasta. Jednak nie chcieli handlować tylko z nimi. Iza zatrzymała się również na skraju placu przy kilku wozach należących do mieszkańców innych osad. Serdecznie przywitała się ze wszystkimi, wymieniła miód na kilka woreczków suszonych ziół, z kolei zioła ze Święcina na wędzone ryby. Z kilkoma osobami umówiła się, że najdalej za miesiąc przywiezie na targ runo owcze. Od niskiego mężczyzny z wystającym brzuchem wytargowała za połowę ceny duży płat miękkiej cielejącej skóry.

– Ludzie mają do Izy słabość, co? – zagadnął cicho Jacek, gdy Hubert obserwował córkę Sołtysa.

– Przecież ten facet oddał jej tę skórę prawie darmo – odparł z niedowierzaniem chłopak.

– A ty myślisz, że dlaczego to ona, a nie jej ojciec czy ktośkolwiek inny jeździ na zakupy?

– Teraz już wiem. – Pokiwał głową. – A oni co, kotami handlują? – zdziwił się, patrząc na mężczyznę, który oglądał kilka małych kociazków.

– Jakaś zaraza wytłukła im prawie wszystkie koty we wsi – wyjaśnił Jacek – Myszy się mnożą jak głupie, to trzeba brać koty od sąsiadów.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Odkąd Klakier zamieszkał w Dąbrówce, w gospodarstwie Alberta nie widział ani jednej myszy.

– Chodźmy zobaczyć, co mają miejscowi. – Jacek ruszył w głąb parkingu.

Hubert zerknął jeszcze tęsknie na Izę, która otoczona wianuszkami mężczyzn

z zaprzyjaźnionych osad, opowiadała coś, żywo przy tym gestykulując. Po chwili wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Chłopak spacerował powoli między prowizorycznymi straganami i oglądał, co ludzie mają na sprzedaż, lecz nie widział tam nic dla siebie. Nauczył się być oszczędny, wykorzystywał każdą rzecz do końca, naprawiał, zamiast wyrzucać, gdy coś się zepsuło. Dzięki temu ich schron ukryte głęboko w lesie na północy mimo upływających lat wciąż był wypełniony po brzegi najróżniejszymi fantami. Hubert wiedział, że pewnego dnia zapasy się skończą, jednak liczył, że do tego czasu będą potrafili już radzić sobie bez nich.

„Biedny ten targ – myślał. – Ludzie zdążyli już ograbić Poznań prawie ze wszystkiego”.

Wielu mieszkańców miasta zginęło, a pozostali utworzyli własne dzielnice, na teren których nie wpuszczali nikogo i wciąż prowadzili wojny między sobą. W Gdańsku było zupełnie inaczej – przeżyła tylko garstka ludzi, która ledwie wiązała koniec z końcem, chociaż całe miasto stało dla nich otworem.

Dogonił go Jacek

– Szukasz czegoś?

– Nie, tylko się rozglądam.

– Mógłbyś znaleźć sobie jakieś ubrania. Twoje ciuchy nie są w najlepszym stanie. Nie wydaje mi się, żeby dało się je zacerować.

– Myślisz?

– No, to mógłbyś drogo opylić. – Starszy strażnik wskazał na bagnet w pochwie przy pasku Huberta.

– To? Nie ma mowy. Zabiłem nim tyle demonów, że w życiu nie wymienię go na ubrania. A poza tym to prezent.

– Od dziewczyny? – Jacek wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Nie, od kumpla, który nie żyje. – Hubert pokręcił głową.

Jacek oblał się rumieńcem, poczuł się głupio.

– Przepraszam, nie wiedziałem – wydukał.

– Spokój, to było dawno temu. – Chłopak poklepał go w ramię.

Już sam nie pamiętał, kiedy dostał od Michała ten wojskowy bagnet, ale za żadne skarby by go nikomu nie oddał. Tak niewiele pamiątek zostało mu po przyjacielu.

„I pomyśleć, że kiedyś wymieniałem go na budzik i wisiorzek dla Izy – przemknęło mu przez myśl. – Jak mogłem? Choć może tak było lepiej... Przynajmniej nie pamiętałem Michała ani tego, jak zginął”.

Kiedy załadowali na wóz towar kupiony przez Izę i Marka dla mieszkańców Świącina, ruszyli w drogę powrotną do osady. Na miejsce dotarli późnym wieczorem. Rozpakowanie zakupów pozostawili innym, a sami wrócili do domów, by odpocząć.

Trzy noce później księżyc znalazł się w pierwszej kwadrze. Dzień był ciepły i pogodny, więc Hubert liczył, że gdy zapadnie zmrok, niebo się nie zachmurzy, a jezioro zaleje światło księżyca. Wolałby nie polować na topielca w zupełnych ciemnościach, zresztą, wcale nie był pewien, czy wtedy demon się pokaże.

– Czy rzeczywiście wiesz, co robisz? – zagadnął Henryk, gdy pakowali łódź.

– Wiem – odparł Hubert.

– A nie wyglądasz. – Były wojskowy pokręcił głową.

– To nie pierwszy topielec, którego utłukę – oświadczył butnie.

Nikt we wsi nie miał kuszy na ryby, co zmusiło Huberta do zmiany sposobu polowania.

Na łódź zapakowali dużą, mocną sieć, linę, kij z metalowym ostrzem, który Hubert odnalazł w rupieciarni i na wyrost nazwał oszczepem. Henryk uparł się, żeby wziąć swoją maczetę.

Pod wieczór Hubert włożył trochę przyciasny strój do nurkowania, wziął maskę z rurką i poszedł nad jezioro. Na wodzie lekko huśtały się dwie łajby. Jedną mieli zająć on z Henrykiem, a drugą Jacek...

– Co ty tu robisz? – zapytał gwałtownie Hubert na widok Izy.

– Pomagam wam, nie widać? – Wzruszyła ramionami, wskazując do łodzi.

Hubert nie wiedział, co robić. Targały nim skrajne uczucia: z jednej strony się cieszył, że będzie miał okazję wykazać się odwagą podczas walki z demonem, ale z drugiej niepokoił o jej życie.

– Iza, to nie najlepszy pomysł... – zaczął.

– Jak dotąd nikt nie miał żadnych obiekcji – stwierdziła, przytrzymując się burty, kiedy do łodzi wsiadał Jacek

– Nie podoba mi się to – mruknął. Chciał mieć czyste sumienie. Jednak był w Świącinie nowy i nie mógł rozkazywać córce Sołtysa.

Wypłynęli na jezioro, słońce skryło się za drzewami, malując na niebie fantastyczne kolorowe wzory. Zrobiło się chłodniej, wiatr ustał, a drzewa i trzciny znieruchomiały. Wkrótce kolory na niebie zgasły, a świat powoli pogrążał się w mroku. Pojawiła się mgła, której strzępy sunęły niespiesznie nad taflą wody.

Strażnicy zarzucili sieć mniej więcej na środku jeziora, gdzie znajdowało się spore

przewężenie. I zaczęli nęcić.

Kiedy ostatnim razem Hubert polował na topielca, wrzucanie do wody surowego mięsa nie wydawało się szczególnie efektywne. Do tej pory nie był pewien, czy to właśnie ono wywabiało demona z ukrycia. Równie dobrze mogła to być obecność ludzi na wodzie. Innego pomysłu jednak nie miał.

Podzielili jezioro długą siecią i wyrzucili z łodzi kawałki mięsa. Zapadła ciemność. Połówka księżycza wyjrzała zza drzew i rzucała srebrne refleksy na powierzchnię wody czarnej niczym smoła.

– I co teraz? – zapytał szeptem Henryk

– Czekamy – odparł cicho Hubert.

Ledwie widział drugą łódź, która w oddali kołysała się na jeziorze.

Cisza dzwoniła w uszach i tylko co jakiś czas przerywał ją plusk ryby, która rzuciła się w wodzie. Hubertowi zdrętwiały mięśnie, ale bał się poruszyć. Nie chciał spłoszyć demona. Dokładnie lustrował wzrokiem powierzchnię jeziora.

Po dwóch godzinach zrobiło się zimno. Chłód ciągnął od wody, wspinał się po burcie łodzi, przenikał przez piankę do nurkowania i wywoływał dreszcze.

Henryk wyjął z wiadra jeszcze jeden kawałek wołowiny i rzucił go na środek jeziora. Mięso z nieprzyjemnym pluskiem wpadło do wody. Hubert skupionym wzrokiem wpatrywał się w miejsce, gdzie na spokojnej tafli rozchodziły się kręgi.

Nagle chłopak poczuł niepokój. Coś zamajaczyło pod wodą. Śmignęło tuż przy powierzchni i zniknęło w głębi. Huberta przeszył znajomy dreszcz.

– On tam jest – powiedział najciszej, jak umiał.

Henryk skinął głową i ledwie się poruszając, poprawił chwyt na rękojeści maczety.

Lecz chwilę później woda się uspokoiła. Demon odpłynął.

Minęła godzina, dwie, trzy. Hubert zaczął trząść się z zimna. Pożałował, że ubrał się w piankę zamiast w grubą kurtkę. Maską do nurkowania założoną na czoło uciskała nieprzyjemnie.

Księżyc już dawno schował się za horyzontem. Nad drzewami na wschodzie niebo trochę pojaśniało, lecz na jeziorze wciąż panowała ciemność. Hubert zaczął wątpić w sukces polowania. Co prawda topielec zaatakował Bartka w dzień, ale to przecież na noc przypadała pora jego aktywności. Ten tutaj był najwyraźniej zbyt cwany, żeby dać się złapać w sieć. Pewnie pozbiarał z dna mięso i odpłynął do kryjówki, której nie opuści przez długi czas.

Ponure rozmyślenia Huberta przerwał huk niosący się po wodzie. Coś uderzyło w drugą łódź. Iza wyjrzała za burtę z pistoletem wycelowanym w wodę.

Głuchy huk powtórzył się, a chłopak niczym w filmie w zwolnionym tempie widział, jak kółdz przyjaciół wywraca się do góry dnem, a Iza z Jackiem wpadają do wody.

Zadziałal instynktownie. Zsunął maskę na oczy, porwał w dłoń oszczep i wskoczył do wody. Pod powierzchnią przepłynął wzdłuż sieci tak daleko, na ile wystarczyło mu powietrza. Dopiero gdy miał wrażenie, że się udusi, wynurzył głowę. Przed sobą zobaczył Izę i Jacka z dwóch stron uwieszonych przewróconej łodzi.

– On tu jest! – krzyknęła dziewczyna, usiłując przebić wzrokiem ciemną taflę.

Szarpnęła się, wyglądało, że spróbowała kopnąć niewidzialnego przeciwnika, a potem bez żadnego ostrzeżenia zniknęła pod wodą.

– Iza! – zawołał Jacek, lecz zanim zdążył cokolwiek zrobić, Hubert znów zanurkował.

W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje. Woda kołowała się tak, że nie mógł rozróżnić, gdzie jest dziewczyna, a gdzie demon.

Jeszcze raz machnął rękoma i ujrzał Izę wraz z topielcem zaplątanych w sieć. Wyglądali, jakby na chwilę zapomnieli o sobie nawzajem i usiłowali wy dostać się z tej śmiertelnej pułapki.

Hubert wyszarpnął nóż z pochwy przymocowanej na łydce i na ślepo ciął sieć, żeby tylko dziewczyna zdołała wypłynąć na powierzchnię. Jedno jej ramię wciąż było zamotane w sznurek, zaczęła słabnąć.

Odrzucił oszczep i ciął po raz ostatni, uwalniając Izę. Złapał ją obiema dłońmi za ubrania, cudem nie kalecząc jej przy tym nożem, i wypchnął ku górze. Resztkami sił machnęła nogami, lecz do falującej powierzchni wody było jeszcze daleko. I w tym momencie Jacek złapał ją za bluzę na ramionach i wyciągnął do góry.

Hubert wypłynął na powierzchnię. Z ulgą zobaczył, że Jacek podtrzymuje krztuszącą się Izę, a Henryk wciąga ją do swojej łodzi.

Zaczerpnął tchu i ponownie się zanurzył. Minął wciąż szamoczącego się w sieci topielca i spłynął na dno jeziora. Wyrównał ciśnienie w uszach i się rozejrzał. Oszczep wystawał z mułu. Chłopak pochwycił go, wykręcił się i odbił stopami od dna. Poczuił, że brakuje mu powietrza. Płynął najszybciej, jak tylko się da, ku górze, machając nogami. W rękach trzymał oszczep.

Gdy mijał topielca, który usiłował wypłatać z sieci płaską stopę, bez celowania, ale za to wkładając w cios całą siłę, wbił ostrze w ciało demona. Miał wrażenie, że za chwilę ciśnienie rozsadzi mu płuca, więc bez oglądania się za siebie wypłynął na powierzchnię. Zaczerpnął gorączkowo tchu i złapał się burty.

– Możecie... zwinąć... sieć – wysapał po chwili.

Na brzeg dopłynął wplaw. Jacek doholował przewróconą kółdz, a Henryk z Izą zajęli się zaplątanym w sieć demonem.

Kiedy stanęli na twardej ziemi, zza drzew wystrzeliły pierwsze promienie porannego słońca.

Ledwie trzymając się na nogach, Hubert zerknął na przyjaciół i upewnił się, że nikomu nic się nie stało.

– Nie wiem jak wy, ale ja idę do domu – stwierdził w końcu, szcękając zębami.

– A co z nim? – zapytał Jacek, wskazując na trupa topielca.

– Niech wartownicy go spalą. – Chłopak machnął ręką.

Był tak przemarznięty, że nawet nie pomyślał o tym, by wyrwać demonowi kieł. Nie czekając na innych, pospieszył do domu. Założył suche, ciepłe ubrania, ale wciąż trząsł się z zimna. Zgrabiłymi palcami rozpalili ogień w kuchence i chwilę siedział przy westfalce, ogrzewając dłonie.

Pół godziny później leżał zawinięty w grubą kłodę, nadal drząc z zimna, a po południu obudził się z katarą.

Zastanawiał się, czy wstawać, czy zostać cały dzień w łóżku, kiedy usłyszał pukanie.

– Czego znowu?! – warknął.

Zwlekł się z łóżka i zarzucił na siebie bluzę od munduru.

Ze zdziwieniem zobaczył Henryka.

– Cześć.

– Siema – odpowiedział Hubert i poczłapał do kuchni. – Jak chcesz coś ciepłego do picia, to musisz sobie napalić w kuchence – powiedział, siadając za stołem.

– Już piłem – odparł Henryk – Ale widzę, że tobie się przyda, co? To od Izy, suszone kwiaty lipy. Przewidywała, że możesz się przeziębić.

– Czuję się paskudnie. Ale przynajmniej nie dostałem zapalenia płuc.

Przez cały dzień Hubert siedział w domu. Późnym popołudniem odwiedziła go Kasia z gorącym obiadem. Wręczyła mu też butelkę wina z owoców czarnego bzu, zapewniając, że nie ma nic lepszego na przeziębienie.

Pod wieczór wpadła do niego Iza i namówił ją, by pokazała mu na mapie, gdzie znajdują się osady zaprzyjaźnione ze Świącinem. Nie to żeby Hubert od razu zamierzał tam jechać, ale dobrze było wiedzieć, gdzie mieszkają inni ludzie.



ROZDZIAŁ III

Czerwiec był w tym roku bardzo ciepły i kiedy Hubert skończył popołudniową wartę, nie chciał wracać do pustego domu. Wszyscy strażnicy jednak byli czymś zajęci, Ania wciąż go unikała, Mariki sam wolał unikać, a Henryk mieszkał za daleko. Pozostawała więc tylko Iza. Zastanawiał się chwilę, aż znalazł dobrą wymówkę, by odwiedzić dziewczynę.

Skierował się do starej szkoły i uderzył pięścią w drzwi.

– Proszę! – usłyszał.

– To ja! – zawołał, stając w progu.

– Jestem w kuchni!

Hubert ruszył przez ciemną, chłodną sień, lecz gdy tylko wszedł do wielkiej kuchni, uderzyła w niego fala ciepła. Przez duże okna do środka wlewały się promienie chyłącego się ku zachodowi słońca. Na środku pomieszczenia stał drewniany stół, stanowczo za duży jak na potrzeby Sołtysa i jego córki. Pod sufitem suszyły się w pęczkach mięta i młoda pokrzywa.

– Cześć – przywitał się, opierając się o futrynę drzwi.

– Cześć – mruknęła Iza.

Kuchnia kaflowa promieniowała przyjemnym ciepłem. Grzał się na niej wielki kocioł przykryty ścierką przewiązaną cienkim sznurkiem. Iza kładła na niej plastry woszczy ny.

Hubert usiadł przy stole i przez chwilę przyglądał się dziewczynie. Zastanawiał się, jakim cudem godziła zajmowanie się tak wielkim domem, jakim była stara szkoła, codzienne przygotowywanie posiłków i przetworów z licznymi przecież wartami i patrolami.

– O co chodzi? – zapytała, gdy chłopak wciąż się nie odzywał.

Hubert zmieszał się; prawie zapomniał, po co tu przyszedł.

– Martwi mnie stan kopyt mojej klaczy – odezwał się w końcu. – Nie wyglądają najlepiej, a jak zaniedbam sprawę...

– Trzeba było iść z tym do Maciejaka – przerwała mu.

– Ale wolałem przyjść do ciebie.

Zlustrowała go podejrzliwie, a kiedy uznała, że z niej nie żartuje, uniosła lekko kąciki ust.

Położyła ostatni plaster na ścierce i sięgnęła do jednej z szafek

– Dziegieć powinien pomóc. – Rzuciła mu słoiczek z ciemnobrązową mazią.

– Dzięki. Z czego to robicie? – Chciał się upewnić, zaglądając do słoiczka.

W nozdrza uderzył go charakterystyczny fetor. Nie dość, że dziegieć miał specyficzny zapach, to jeszcze pozostawiał paskudne plamy. Ale za to jego właściwości były nieocenione. Działał antyseptycznie i bakteriobójczo, Irena w Dąbrówce zalecała go wszystkim, którzy mieli problemy ze skórą. Znakomicie nadawał się również do pielęgnacji kopyt nie tylko koni, lecz także bydła.

– Karol go destyluje – wyjaśniła Iza. – Mówi, że prawdziwy dziegieć pozyskuje się wyłącznie z kory brzozej. Na pewno widziałeś u niego na podwórku małą smolarnię. Wiesz, jak tego użyć?

– Pewnie. – Uśmiechnął się. Albert pilnował, żeby z Ernestem potrafili dobrze zadbać o swoje konie.

Iza odwróciła się do garnka. Prawie cały wosk już się stopił i przeciekł przez ścierkę do garnka, pozostawiając po sobie brudny osad. Hubert przypatrywał się dziewczynie, zauważył jej spiętą postawę i nerwowe ruchy. Wzburzona, była niczym otwarta księga – wszystko można z niej wyczytać.

– Co jest? – zapytał.

– Nic.

– Gdzie jest twój tata?

– Poszedł do Stanisława – burknęła.

– Znowu się z nim pokłóciłaś, co?

– Jakże: znowu? – oburzyła się.

– Nie przejmuj się, to się zdarza. O co poszło?

– A jak myślisz? O stróżowanie.

– O to, że stoisz na warcie i jeździsz na patrolu?

– I do miasta.

– Jesteś potrzebna strażnikom – pocieszył ją. – Nie powinien ci tego zabraniać.

– Niech nawet nie próbuje – warknęła.

Spojrzała na Huberta. Jej dwukolorowe oczy płonęły wściekłością.

– Martwi się o ciebie, ma tylko jedną córkę.

Zdjęła garnek z kuchenki, postawiła go w kącie na ziemi i owinięła kołdrą, żeby wolniej stygł. Za góra dwa dni będzie mogła wyjąć z niego krążek wosku nadający się do formowania świec.

– I co z tego? Wiesz, jaką awanturę mi zrobił, gdy się dowiedział, że wypłynęłam z wami na jezioro?

„Ładnie, czyli Sołtys się na to nie zgodził” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

– Może to nie było najmądrzejsze... – zaczął.

Iza spojrzała na niego ze złością.

– I co? Teraz pewnie mi powiesz, że tylko wam przeszkadzałam, co?

– Nie, no coś ty...

– A może dziewczyna powinna mieć zakaz stróżowania? I nie powinna stawać do walki z demonami?

– Iza, nie denerwuj się...

– Albo w ogóle nie powinna wychodzić z osady, tylko pracować w ogródku i przy garach?!

– Mnie chodzi tylko o to, że ktoś inny mógł być na drugiej łodzi...

– To może po prostu zabierzecie mi broń?!

– Nie wyżywaj się na mnie, bo się pokłóciłaś z ojcem. Co ja ci zrobiłem?

– Przychodzisz znikąd, rzucasz się z nożem na demony i wszyscy gratulują ci odwagi.

– Jesteś zazdrosna! – olśniło go.

– Nie ma o co – warknęła.

– Oczywiście, że jest, bo gdybyś ty zachowywała się jak ja, toby ci zarzucono, że się narażasz.

Iza ze złością przymrużyła oczy.

– Na pewno nie zachowujemy się tak jak ty, czyli głupio i nierozsądnie.

– Nie, oczywiście, że nie. Bo wszystko, co robisz, jest przemyślane i sensowne. Wiesz co? Idę do domu. I dzięki za dziegieć – rzucił jeszcze przez ramię.

– Nie ma za co!

Zabrał pepeszę, którą zostawił w przedpokoju, i zły na Izę wyszedł z domu Sołtyśa, trzaskając drzwiami.

– Boże, ależ ona jest okropna!

Powoli zapadał zmierzch, za kilkanaście minut cała wieś, jak co noc, pograży się w ciemnościach. Hubert niespiesznie ruszył w stronę domu. Wiał chłodny wiatr, niebo było zachmurzone, zanościło się na deszcz. Nic dziwnego, że większość mieszkańców osady skryła się w domach.

Pokonał już połowę drogi, kiedy to poczuł. Przy stanął. Rozejrzał się, ale wokół panował spokój, cienie zdążyły już zniknąć w wieczornej szarości, wiatr poruszył kilkanaście drzewami. Pranie, które ktoś zapomniał zdjąć z linek, załopotalo cicho. Świącino powoli zasypiało, ale w sercu Huberta zagościły obawy.

Przecież nie powinno tu być żadnego demona. Do następnego ataku dojdzie dopiero w noc świętojańską, kiedy leszy zakradnie się do osady.

„A co jeżeli demony zawsze czaiły się w okolicy, tylko kiedyś nie potrafiłem tak dobrze ich wyczuwać?” – pomyślał i poczuł, jak przesywa go zimno.

Rozejrzał się dookoła i wzrok zatrzymał na furtce, którą wychodziło się nad jezioro. Była uchylona, co o tej porze nie powinno się zdarzyć.

Zdjął pepeszę z ramienia, odbezpieczył ją i skierował się do bramy. Kiedy tylko znalazł się poza granicą osady, odczucie obecności demona się nasiliło.

„Przynajmniej jestem dobrze uzbrojony” – pomyślał Hubert, mocniej ściskając kolbę karabinu.

Szedł powoli i bezgłośnie, miękką trawa uginała się pod jego butami, a gdy dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia, dostrzegł nieruchomą, szczupłą postać. W pierwszym odruchu wycelował do niej, ale po chwili rozpoznał przeraźliwie bladą twarz Ani, córki Marka. Opuścił lekko lufę pepeszy, lecz nie stracił czujności. Dziewczyna go nie zauważyła, gdy z stała odwrócona bokiem, z przerażeniem wpatrując się w coś szeleszczącego w krzakach.

Hubert spojrział w tamtą stronę i między zaroślami mignęło mu rude futro. Na polanę wyszła mamuna. Poruszała się na czterech łapach i trzymała pysk tuż przy ziemi, jakby czegoś szukała. Chłopak niemal słyszał, jak wciąga płaskimi nozdrzami powietrze, węsząc za czymś. Posapując cicho, kręciła się w kółko, jeszcze nie dostrzegając ludzi.

Hubert położył palec na spuście, wycelował i już miał strzelić. Powstrzymał się jednak z obawy, że przy marnej celności pepeszy nie zabije potwora, a jedynie go rozwścieczy. Wtedy los Ani będzie przesądzony. Poza tym pamiętał, że w okolicy powinna być jeszcze jedna mamuna, więc zanim zastrzeli pierwszą, musi się upewnić, że nie zaatakuje go niespodziewanie ta druga.

Zamachał ręką do Ani, lecz dziewczyna, przerażona, nawet nie odwróciła głowy w jego stronę.

– Pssst.

Nie usłyszała go.

– Pssst!

Ania, niczym w transie, spojrzała w kierunku Huberta. Jej twarz zastygła w maskę przerażenia i dziewczyna potrzebowała kilku sekund, żeby dotarło do niej, że widzi strażnika. Odetchnęła z ulgą.

Na wszelki wypadek przyłożył palec do ust i przywołał ją do siebie gestem. Skłoniła głowę, ostatni raz zerknęła na demona, który wciąż buszował w trawie, i powoli ruszyła w stronę chłopaka.

„Jest dobrze” – przekonywał siebie Hubert, ruszając naprzeciw Ani. Nagle nadepnął na suchą gałązkę, która z trzaskiem złamała się pod jego butem. Chłopak przygarbił się i zastygł w bezruchu, obserwując demona. Jednak mamuna była zbyt zajęta swoimi poszukiwaniami. Odetchnął z ulgą i wyciągnął rękę do Ani. Dziewczyna podała mu dłoń, a on ją uściśnił.

Po chwili poczuli podmuch gwałtownego wiatru, który poniosł ich zapach prosto w stronę demona. Bestia podniosła łeb. Hubert mocno pociągnął Anię za rękę, żeby stanęła za nim, i obiema dłońmi chwycił pepeszę. Wycelował, nacisnął spust i... nic się nie stało.

– Cholera! – warknął, potrząsając lekko karabinem.

Mamuna odwróciła pysk w ich stronę. Zapanowała już zupełna ciemność, lecz Hubert zdołał dostrzec błysk w jej ślepiach.

– Szlag, szlag, szlag...

Wciąż siłował się z karabinem, gdy mamuna, ciężko sapiąc, ruszyła biegiem w ich kierunku. Przypominała wypchany szmatami worek, lecz była zaskakująco szybka.

Dwadzieścia metrów.

Hubert nerwowo naciskał spust.

Piętnaście.

Zaczął mocno potrząsać karabinem i siłować się z zamkiem.

Dziesięć.

– Działaj, cholero!

Siedem.

Wyjął i ponownie podczepił magazynek

Nagle gdzieś z boku błysnęło – rozległo się pięć wystrzałów. W wieczornej ciszy brzmiały jak huk armatni.

Mamuna potknęła się i runęła pyskiem na ziemię.

Hubert się odwrócił. Zobaczył Izę. Dziewczyna stała w lekkim rozkroku, obie ręce zaciskała na pistolecie, uginając lekko łokcie. Chciał się do niej uśmiechnąć czy machnąć ręką, kiedy usłyszał dziki wrzask. Odwrócił się i odruchowo puścił serię w kolejną mamunę, która wyskoczyła z krzaków i pędziła prosto na nich. Pepesza tym razem zadziałała bez zarzutu: drugi demon również padł na ziemię.

Iza powoli podeszła do truchwał. Przyglądała się im z obrzydzeniem.

– Co to jest? – zapytała.

– Mamuny – odparł krótko Hubert.

Odwrócił się do Ani. Dziewczyna stała blada i roztrzęsiona. W pierwszym odruchu delikatnie ją objął.

– Już dobrze – powiedział cicho, gładząc ją po plecach.

Chwilę później przybiegł Jacek, który pełnił wartę przy bramie.

– Co się stało? Słyszeliśmy strzały.

W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej latarenkę.

– Demony – odparła Iza, wskazując dwa trupy.

– O cholera! – sapnął strażnik, oświetlając zwłoki potworów. – Ale jak? Co wy tu robiliście?

– No właśnie?! – Iza odwróciła się do Huberta.

– Poczulem smród demona. – Chłopak wzruszył ramionami, na co dziewczyna prychnęła głośno. – A ty? – Spojrzał na Anię. – Co robiłaś tu po zmierzchu?

– No bo ja... – zaczęła dziewczyna, odsuwając się od niego. – Bo byłam dziś z mamą i dziećmi nad jeziorem i... i zgubiłam to. – Uniosła zaciśniętą dłoń, a gdy ją otworzyła, zobaczyli złoty łańcuszek – I poszłam go poszukać. A potem zobaczyłam tego potwora...

Iza pokręciła głową.

– Odprowadzę cię do domu, a wy zróbcie coś z tymi trupami.

Dwaj strażnicy wrócili do osady i z rupieciarni w szkole zabrali szpadle oraz kanister

z benzyną. Za ogrodzeniem wykopali niewielki dół, do którego zawleki cielska mamun, dorzucili do nich kilka gałęzi, polali paliwem i podpalili. Zanim to nastąpiło, Hubert wyrwał każdemu demonowi po zębie.

– Po co ci to? – Jacek się skrzywił.

– Dawno temu zacząłem je kolekcjonować i weszło mi to w nawyk – odparł.

Śmierzący dym snuł się po ziemi, ale na szczęście wiatr wiał teraz od osady.

– Co to były za demony? – zapytał starszy strażnik, gdy patrzyli na dopalające się trupy.

– Mamuny – wyjaśnił Hubert. – Zamieszkują okolice akwenów. Te najwyraźniej dopiero się tu sprowadziły ...

„Tuż po śmierci utopca – dodał w myślach. – Przypadek czy może nie lubią swojego towarzystwa?”.

Kilka minut później Hubert wszedł do swojego ogródka i marzył już tylko o gorącej kąpiel.

– Co tu robisz? – zapytał, widząc Izę siedzącą na ławce.

– Przyszedłem porozmawiać. – Na jej twarzy malowała się determinacja.

Uznał, że nie da się spławić.

– No dobra – westchnął. – Rozpalał w kuchence, a ja przyniosę wodę – powiedział, otwierając przed nią drzwi.

Iza weszła do ciemnego domu, Hubert zaś skierował się do studni, żeby przygotować kąpiel. Przyniósł dwa pełne wiadra, przelał wodę do wielkiego gara i wstawił go na kuchenkę, a potem usiadł przy stole naprzeciwko Izy.

– O co chodzi?

– Powiedz, dlaczego jak coś się dzieje, to zawsze pojawia się w pobliżu? – wyrzuciła z siebie. Jej złość sprzed godziny niespodziewanie się ulotniła.

– Nie słyszałaś, co mówią o mnie we wsi? Że jestem łowcą demonów?

– Słyszałam – westchnęła. – Tych mamun nie ma przypadkiem więcej?

– Nie powinno być. To nie są demony stadne, łączą się tylko w pary.

Iza pokiwała głową.

– Wcześniej mówiłeś, że poczułeś smród demona. Jak... jak taki demon śmierdzi?

– Przecież zastrzeliłaś jednego, nic nie czułaś?

– Śmierdział jak mokry podwórkowy pies, ale poczułam to dopiero z odległości metra.

– Powiedzmy, że mam węch wyczulony na demony – odparł, kładąc przed sobą pepeszę i rozbierając ją na części. – Ale jakim cudem ty się tam znalazłaś?

– Wysłałam z domu za tobą, żeby... żeby cię przeprosić za mój wybuch – wyrzuciła z siebie, odwracając wzrok – Zobaczyłam wtedy otwartą bramę i postanowiłam to sprawdzić.

– Dzięki – odparł, patrząc dziewczynie w oczy. – Gdyby nie ty... Ta cholerna pepesza mi się zacięła, a tym razem nie miałem noża.

– Nie ma problemu. – Machnęła ręką. – Wiesz, że jeszcze nigdy nie napotkaliśmy tylu demonów w tak krótkim czasie? – odezwała się po chwili.

Pokiwał głową. Przecież to nie była Dąbrówka.

– Parę razy spotkaliśmy je na szabrach – ciągnęła. – Rzadko pojawiały się jakieś potwory w pobliskim lesie. Przecież jeszcze rok temu nie miałam żadnych obaw, żeby odwiedzić Henryka. A teraz? Bez broni ani rusz.

Hubert chciał ją pocieszyć, zapewnić, że nie jest tak źle, ale... cóż, Iza nie była Mariką, na nią to by nie podziałało.

– Wiesz, że będzie coraz gorzej? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, patrząc, jak Hubert czyści pepesę.

– Demony są coraz silniejsze, przestają się bać ludzi – kontynuował. – Nawet sobie nie wyobrażasz, co się dzieje na północy... Dobra wiadomość jest taka, że da się z nimi żyć, trzeba tylko wiedzieć, co gdzie się kryje, dlaczego i w jaki sposób atakuje, jak można z tym walczyć albo jak uniknąć.

– Daj spokój – powiedziała zrezygnowana Iza. – Jak żyć obok czegoś takiego? – Machnęła ręką w stronę okna.

– Uwierz, że mamuny to nie jest najgorsze, co można spotkać w lesie – odparł.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach.

– Woda ci się gotuje. – Iza wyrwała Huberta z zamyślenia.

Wstała z krzesła i skierowała się do drzwi.

– Tylko dobrze się wymocz, bo śmierdzisz dymem – rzuciła na odchodnym.

– Dzięki za wczoraj – odezwał się Marek

Razem z Hubertem miał od rana wartę. Chłopak zauważył, że podziękowanie przyszło mu z trudem. Marek od początku patrzył na niego krzywo.

– Nie ma problemu – odparł. – W końcu po to jesteście strażnikami.

Marek pokiwał głową.

– Mimo wszystko naprawdę dziękuję. Jak tylko pomyślę, że te bestie mogły zaatakować Anię... – Pokręcił roztrzęsioną głową.

– Nic jej nie jest, to najwazniejsze – powiedział Hubert.

– Nie wiem, co jej odbilo, że sama wyszła ze wsi – zdenerwował się starszy strażnik – Po głupi wisiorek! Ma szlaban na co najmniej miesiąc!

Hubert parsknął cicho.

– Daj spokój. Co to da? Najadła się strachu, wystarczy. A jaki sens ma szlaban w takiej dziurze? I tak nie może nigdzie chodzić.

– No dobrze, jeszcze o tym pomyślę – mruknął Marek – Aha, moja żona zaprasza cię dziś po warcie na obiad.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. W końcu ich znajomość zaczęła wyglądać tak, jak ją zapamiętał.

Tuż po warcie udał się do stajni, musiał w końcu zadbać o Mokkę. Klacz pasła się z innymi końmi na polanie za budynkiem. Ostatnie tygodnie spędzała dość aktywnie i pomimo tego że Maciejak smarował jej kopyta rozgotowanym siemieniem lnianym, zaczęły kruszeć.

Hubert zaprowadził klacz przed stajnię, wyczyścił i obciął jej kopyta, a potem nasmarował dziegiem. Zobaczyły to trzy psy Maciejaków, przybiegły i z apetytem zaczęły zjadać odrzucone resztki kopyt.

Wieczorem w szkolnej piwnicy odbyło się zebranie, któremu przewodniczył Sołtys. Hubert z Izą po raz setny opisywali spotkanie z mamunami, a do tego wypytano chłopaka jeszcze o wszystko, co wiedział na temat zabitych demonów.

Niektórzy trochę pokrzyczeli, inni pomarudzili, lecz ostatecznie jednogłośnie uznano za konieczną budowę wysokiej palisady wokół wsi.

Hubert pomyślał, że nadszedł czas, aby zacząć dokładnie obserwować zachowanie Bartka, wędkarza zaatakowanego przez topielca, który miał zwariować i zabić własną żonę, a potem popełnić samobójstwo. Jednak nie było to takie proste. Bartek niewiele miał wspólnego ze strażnikami, więc chłopak rzadko go widywał, a zbyt częste wpraszenie się do niego na obiad też nie wchodziło w grę. Tak więc za każdym razem, gdy mijał go na drodze, uważnie mu się przyglądał i starał się zagadywać. Jednak po kilku takich pogawędkach Bartek zaczął Huberta unikać.

Dwa dni po ataku mamun zaczęto ścinać w lesie drzewa na palisadę. Hubert, pomagając mężczyznom, uznał, że wszyscy traktują go poważniej niż kiedyś. Nie zlecano mu najgorszych i najbrudniejszych prac i rozmawiano jak z równym sobie, co bardzo mu odpowiadało.

Był gorący i duszny czerwcowy dzień. Hubert powoli zaczął nienawidzić swoich spodni od munduru, grubych i tak samo ciepłych jak buty, które Michał nazywał opinaczami – po tym, jak

dopasowały się do stopy, stały się bardzo wygodne i świetnie nadawały się do pracy w terenie, jednak nie w upalną pogodę.

Zdjął koszulkę i od razu zleciała się do niego chmara komarów.

– A nie możemy przełożyć dzisiejszej roboty na inny dzień, kiedy będzie chłodniej? – zapytał, kiedy zrobili przerwę.

– Lepiej mieć to już z głowy – odparł Marek, a inni mężczyźni pokiwali głowami.

Hubert spojrzał prosząco na Henryka, ale ten tylko wzruszył ramionami w geście „sam widzisz, jak to jest”.

Zniechęcony usiadł na pieńku niedawno ściętego drzewa.

– Niech to szlag – westchnął.

Wtem zobaczył między drzewami, że ktoś idzie w ich stronę.

– Przyniosłyśmy wam wodę – oświadczyła Ania, stawiając pięciolitrową plastikową butlę na ziemi.

– Tylko nie wypijcie wszystkiego od razu, bo więcej nie przyniesiemy – dodała Iza.

– Jesteście wspaniale. – Hubert uśmiechnął się do dziewczyn, na co Iza wyrzuciła oczyma, a Ania spłonęła rumieńcem.

Napili się zimnej wody przyniesionej prosto ze studni i pomimo że nie nabrali natychmiastowej ochoty do pracy, to przynajmniej poczuli się trochę lepiej.

– Kto idzie ze mną wykąpać się w jeziorze po robocie? – zapytał Hubert, kiedy znów zabierali się do rąbania.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, jednak żaden nie kwapił się do kąpieli w wodzie, w której do niedawna grasował topielec.

– Dajcie spokój, przecież tam jest już bezpiecznie.

– Sprawdźmy to z brzegu, gdy się będziesz kąpał – odparł Bruno.

– Henryk, ty wiesz, że nic tam nie ma – zwrócił się do przyjaciela.

– Niby nie ma, ale woda ze studni mi wystarczy.

– Łukasz, a ty?

Dryblas spojrzał na boki, potem w niebo i zatrzymał wzrok na swoich butach.

– Weźmiemy dziewczyny i pod wieczór pójdziemy nad jezioro... – zachęcał Hubert.

– Żadnych dziewczyn – powiedział stanowczo Łukasz. – Nam nic nie będzie, ale nie wybaczyliby mi sobie, gdyby którejś z nich coś się stało.

– Taa, szczególnie twojej narzeczonej, co? – zaśmiał się Jacek.

– Szczególnie – powtórzył Łukasz.

– No tak – włączył się Marek – Pamiętacie, ile czasu na szabrze szukaliśmy z nim pierścionka? Głupio by było, gdyby to wszystko nie zakończyło się ślubem.

Po kąpeli Hubert, czysty i pachnący mydłem domowej produkcji, które podarowała mu Kasia, uznał, że do zmiernych ma jeszcze trochę czasu, więc pożyczył od Bartka wędkę i wrócił nad jezioro. Od ataku topielca ludzie z obawą patrzyli na spokojną wodę, a Kamila nie chciała nawet słuchać o wyprawie męża na ryby. Łowca demonów był więc jedyną osobą, która odważyła się samotnie usiąść z wędką na pomoście.

W dwie godziny złowił ponad dwadzieścia dużych okoni i kilka płotek. Jeszcze nad jeziorem oskrobał je i wypatroszył, a potem ruszył w kierunku wsi, zastanawiając się, z kim oprócz Bartka może się podzielić zdobyczą.

Sprawa stała się dla niego prosta, gdy zobaczył otwarte okno w starej szkole.

Sołtysa jak zwykle nie było w domu, a Iza krzątała się po kuchni.

„Ona chyba nigdy nie odpoczywa” – przemknęło chłopakowi przez myśl.

– Cześć – przywitał się, wchodząc do mieszkania jak do siebie. – Mam nadzieję, że nie jadłaś dziś jeszcze kolacji.

Na ziemi postawił wiadro pełne ryb. Iza zajrzała do środka.

– Jeżeli ty je usmażysz, to nie, nie jadłam.

Hubert westchnął zawiedziony. Miał nadzieję, że jego praca zakończy się na złowieniu i oskrobianiu ryb.

Napalił w kuchence, ryby posolił, obtoczył w mące i wrzucił na patelnię.

Gdy on smażył, Iza przyniosła duży krążek wytopionego dwa dni wcześniej wosku. Na stole rozwałkowała go na cienkie plastry i pocięła nożem na prostokąty. Potem pozawijała w nie knoty z bawełnianego sznurka. Gdy posprzątała po pracy, kolacja była gotowa.

Jedli w milczeniu, patrząc przez okno na zachodzące słońce, które pokolorowało niebo na wszystkie odcienie różu. Powoli zapadał zmierzch.

Hubert odłożył kilka ryb dla Sołtysa, resztę Iza włożyła do dwóch misek, dodała cebuli, suszonych ziół i zalała octem.

– Będzie na śniadanie – wyjaśniła, podając chłopakowi jedną miskę.

Hubert wziął od niej naczynie i na chwilę zetknęli się palcami. Iza przelotnie spojrzała mu w oczy, lecz szybko cofnęła dłoń. Odwróciła się i wyjęła z szafki kilka ciemnożółtych, świeżo zrobionych świec.

– Trzymaj i dziękuję za kolację – rzuciła.

W noc kąpały na placu przed kościołem urządzono zabawę, wszędzie wokół porozwieszano lampiony, a w ziemię zatknięto pochodnie. Stoły zastawiono jedzeniem i napojami. Wszystko działo się dokładnie tak jak kiedyś, z jednym wyjątkiem – Hubert na ochotnika zgłosił się na nocną wartę, a Iza, słysząc o jego zaangażowaniu, również zrezygnowała z zabawy.

Kiedy tylko wygodnie rozsiadli się w stróżówce, dziewczyna zapytała prosto z mostu:

– Dlaczego zgłosiłeś się na ochotnika do warty podczas zabawy?

Wzruszył ramionami, udając nonszalancję.

– Dla większości mieszkańców wciąż jestem obcy – odparł. – Stwierdziłem, że inni strażnicy będą się bawić lepiej ode mnie, więc po co zmuszać ich do siedzenia tutaj? Nie patrz tak na mnie, wiem, że zламаłem przez to dziesiątki damskich serc, ale cóż poradzić, kiedy wzywa obowiązek?

Iza wywróciła oczyma, dając Hubertowi jasno do zrozumienia, co sądzi na temat jego łamania serc.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

– Jak trafiłaś do Świącina? – zapytał w końcu, choć dobrze znał odpowiedź.

Iza przez chwilę milczała, a potem zaczęła opowiadać, jak zginęła matka, skatowana na jej oczach przez kilku młodych chłopaków, jak znalazła z ojcem dom w osadzie i jak zaczęła przewodzić mieszkańcom. Potem nie wiadomo skąd pojawił się Henryk i się z nim zaprzyjaźniła, a mężczyzna uczył ją strzelać, polować i walczyć.

– Wiesz, czasami myślę, że trzeba było przetrwać to najgorsze, by potem wszystko samo się jakoś ułożyło. Jak na koniec świata, nie jest jeszcze źle.

– Ano nie jest – westchnął Hubert.

Noc była ciepła, niebo niewiele zachmurzone, z oddali płynęły ciche dźwięki instrumentów oraz szmer rozmów i śmiechu święcinių. Hubert nalał z termosu kawy zbożowej do dwóch kubków i jeden podał Izie.

– Dzięki – powiedziała, zaciągając się zapachem parującego napoju. – A ty? Co robiłeś, zanim tu trafiłeś?

– Kiedyś mieszkałem z rodziną w Poznaniu, ale tuż przed wojną przeprowadziliśmy się do dziadka na północ.

– Mielście szczęście, że zdążyliście wyjechać z miasta, co? A potem? Nie uwierzę, że cały czas siedziałeś na wsi.

– Nie siedziałem. Jeździłem trochę po okolicy, odwiedzałem sąsiednie osady, z którymi

prowadziliśmy handel. No i polowałem na demony.

Iza przyjrzała się uważnie Hubertowi, zastanawiając się nad jego słowami.

– Idziemy na obchód? – zaproponował.

– Już? Trochę za szybko.

– Chodź, zwiniemy trochę ciasta ze stołów.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Dobrze, chodźmy.

Szli główną drogą, między budynkami prześwitywały płomienie pochodni stojących na placu przed kościołem, muzyka na chwilę zamilkła, za to ludzie zaczęli głośniejsz rozmawiać i się śmiać.

Hubert już od jakiegoś czasu szykował się na tę noc. Miał przy sobie pasek z coltem i bagnetem, a przez ramię przewiesił pepeszę. Poprzednio w noc świętojańską do wsi wdarł się leszy i chłopak był gotowy na spotkanie z nim.

– Co jest? – zapytała Iza, kiedy oświetlił latarenką jeden z ogródków.

– Nic, tak tylko patrzę – odparł, wracając na drogę.

Gdzieś w cieniu musiał kryć się demon, lecz Hubert na razie go nie wyczuwał ani nie słyszał charakterystycznego pogwizdywania. Osada, nie licząc placu, wyglądała na bezpieczną.

„Albo w ogóle go tu nie ma – pomyślał. – Część palisady już stoi, może się przestraszył?”

– Czy ty czegoś szukasz? – zapytała nieco rozdrażniona Iza, kiedy chłopak zaglądał do kolejnego ogródka.

– Nie, tylko tak sobie pomyślałem, że skoro wszyscy są na zabawie, to idealna noc na atak..

– Czyj atak? Chyba nie demonów? Wątpię, żeby opracowywały jakieś szczególne strategie napadania na mieszkańców – stwierdziła ironicznie.

– Niby nie, ale przezorny zawsze ubezpieczony. – Wzruszył ramionami.

Weszli z powrotem do stróżówki, a Iza postawiła talerz z ciastem na stole.

– Cóż, to ty jesteś łowcą demonów.

Hubert nie odpowiedział na ironiczną uwagę.

Gdy znów napili się kawy i zjedli po kawałku ciasta, humory im się poprawiły.

Ostatecznie leszy nie pokazał się w osadzie, a Hubert nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy nie. Kilka razy udało mu się wyrwać na samotną przejażdżkę konną. Mokła pędziła galopem przez pola i las, zatrzymywała się dopiero na szczycie wysokiego pagórka, gdzie Hubert ją rozsiadł, siadał na trawie i patrzył na horyzont.

– Nie dostałem od losu tego, czego chciałem – powiedział kiedyś na głos, gdy Mokka tarzała się w trawie, a on śledził wzrokiem krążącego na niebie jastrzębia. – Nie trafiłem do Świącina tuż po wojnie, tak jak tego pragnąłem. Zostałem na północy, gdzie roi się od demonów i gdzie ograbiliśmy jednostkę wojskową.

Gdy wcześniej żył w Świącinie, był przekonany, że wcielił się w jakiegoś komandosa. Jednak to nie cud sprawił, że nabrał atletycznej budowy ciała, tylko ciężka praca w gospodarstwie, setki godzin ćwiczeń i zapasów w Gdańsku oraz ciągła pogoń za demonami. Może dostał od losu to, czego najbardziej potrzebował, aby móc uratować ludzi ze Świącina?

Wstał z ziemi, osiodłał Mokkę i galopem wrócili do Świącina. Miał przed sobą mnóstwo pracy – sprzątanie domu, wartę, a przede wszystkim pilnowanie Bartka.

– Ja już nie mogę – sapnął Hubert.

– Nie marudź, nie jest źle – powiedział Marek

Jechali konno wokół ukończonej poprzedniego dnia palisady, a z nieba lał się żar. Stada much latały nad końmi i strażnikami, a do tego jeszcze gryzły gzy.

– No przecież widać, że palisada stoi, więc po co cały ten obchód?

– Bo jednak coś mogło przez nią wejść do wsi.

– Daj spokój, co ci tu wejdzie?! – jęknął chłopak, ale Marek był nieugięty.

Jego córka o mało nie padła ofiarą demonów w drodze nad jezioro i nie wiadomo, jak by to wszystko się skończyło, gdyby nie Iza i Hubert. Od tamtej pory wolał więc dmuchać na zimne. Po przygodzie z mamunami zaczął też bardziej przyjaźnie patrzeć na najmłodszego strażnika.

Okrążyli całą wieś, a potem wjechali do środka główną bramą i skierowali się do stajni, gdzie wyczyszcili konie. Wreszcie mieli wolne popołudnie.

– Wpadniesz dzisiaj do nas na obiad? – zaproponował Marek – Ela robi golonkę... A tobie co? – zdziwił się, gdy chłopak gwałtownie zatrzymał się na środku drogi.

Coś było nie tak. Spokój wsi zakłóciła jakaś fałszywa nuta.

Hubert zakręcił się wokół własnej osi, jednak wciąż był skołowany.

Przypomniał sobie pewien upalny letni dzień, kiedy pracował przy budowie palisady. Było tak gorąco, że zdjął koszulkę, a Kasia przyniosła dla wszystkich wodę z lodem. W tamten dzień Bartek zwariował i zabił własną żonę.

Hubert zerwał się do biegu, pozostawiając za sobą zdumionego Marka. To mogło być cokolwiek – leszy, który wdarł się do osady, bies za palisadą albo coś zupełnie nieznanego. Hubert jednak wiedział, że jeżeli coś zaatakowało Bartka, a on spóźni się chociażby kilka minut, dojdzie do

tragedii.

Pędząc do domu wędkarza, potrącił i przewrócił jakiegoś mężczyznę, i nawet go nie przeprosił, nie było na to czasu.

Dotarł do domu, który na pozór wyglądał spokojnie, nacisnął klamkę i wpadł do środka. Nie myślał o tym, jak się będzie tłumaczył, jeżeli się okaże, że nie miał racji.

Stał w przedpokoju i zaczął nasłuchiwać, ale nie wyczuwał już demona. Za to na piętrze skrzyknęły deski. Trzymając pepeszę w obu dłoniach, powoli ruszył w kierunku schodów. Nagle coś wypadło na niego z pokoju. Zasłonił się karabinem, unikając ciosu sztyletem. Stał zadzwierzczała nieprzyjemnie. Bartek uniósł nóż i machnął nim jeszcze raz. Hubert pepeszą zbil jego cios i kopnął go od boku w kolano. Niezbyt mocno, nie chciał przecież zrobić z niego kaleki do końca życia. Mężczyzna przykleknął i wtedy ciał ponownie, trafiając Huberta w udo. Chłopak odruchowo przyłożył dłoń do rany, a gdy spojrział na Bartka, zamarł. Wędkarz miał dziki wyraz twarzy, z ust pociekła mu strużka śliny, oczy wyszły mu na wierzch, a źrenice zmniejszyły się do wielkości główki od szpilki.

– Jezus Maria! – wykrzyknęła jego żona, gdy zesza ze schodów.

– Zabiję cię, demonie! – wysapał Bartek i rzucił się na Huberta.

Chłopak kolbą pepeszy uderzył go w szczękę tak mocno, że głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, a po chwili runął na plecy. Nóż wypadł mu z dłoni i poleciał pod szafę.

– Zabiłeś go! – wrzasnęła Kamila i podbiegła do męża. Ukłękła przy nim.

– Nic mu nie jest. – Hubert oparł się o framugę drzwi.

Do domu niespodziewanie wpadł Marek

– Co tu się stało?! – krzyknął.

Spojrział na nieprzytomnego Bartka, zapłakaną Kamilę i Huberta z zakrwawioną nogą.

– Zwariował – wyjaśnił krótko chłopak

Starszy strażnik otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz się rozmyślił, zmarszczył jedynie brwi.

Cała ta sytuacja wyglądała dość podejrzanie.

– Kamila? – zwrócił się do kobiety.

– Ja... ja nie wiem – odparła, patrząc to na Huberta, to na Marka. – Nie wiem, co się stało.

Nagle Bartek krzyknął coś niezrozumiale i zaczął się miotać na podłodze. Kamila próbowała go uspokoić, ale odrzącił ją z siłą.

– Znajdź linę! – rzucił Hubert do Marka. Sam czuwał przy Bartku, żeby w razie konieczności ponownie go ogłuszyć.

Starszy strażnik przez chwilę stał niezdecydowany, jednak po chwili zaczął przetrząsać szafki

w przedpokoju.

– Mam. – Podał Hubertowi kawałek linki.

– Trzeba go związać, zanim się obudzi.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem! Zwariował, zwiążmy go, zanim zrobi komuś krzywdę, potem będziemy się zastanawiać, co dalej!

– Już!

Kamila siedziała nieruchomo na podłodze, przypatrując się im w milczeniu.

– Co wy wyprawiacie?! – usłyszeli czyjś głos.

Hubert i Marek odwrócili głowy. Na progu pokoju stał Rafał, dobry kolega Bartka, ten, którego Hubert potrafił, biegnąc po drodze. W tej samej chwili wędkarz się obudził i szarpiąc więzy, zaczął niezrozumiale bełkotać. Jedyne słowo, jakie mówił wyraźnie, to „demon”.

– Co mu jest? – zapytał Rafał.

– Nie wiem. – Marek pokręcił głową.

W przeciągu kilku minut w domu zebrała się niemal połowa wsi.

Kilku mężczyzn położyło Bartka na łóżku, dodatkowo go krępując. Ktoś zaczął mówić o opętaniu.

– Jak to się stało? – Sołtys Marian zwrócił się do Huberta.

Chłopak westchnął ciężko. Nużyło go opowiadanie tej samej historii po raz wtóry, a poza tym, gdy adrenalina przestała krążyć w jego żyłach, rana na udzie zaczęła boleć.

– Dobrze. – Marian kiwał głową, wysłuchawszy relacji. – Idź się ogarnąć – powiedział, patrząc na jego nogę.

Hubert zachlapał krwią posadzkę.

– A co z nim? – Wskazał Bartka.

– Na razie tak zostanie, ktoś będzie musiał go przypilnować. Później pomyślimy, co robić dalej.

Hubert kiwnął głową i wycofał się z zatłoczonego domu. Lekko kulejąc i wciąż przykładając rękę do uda, poszedł do siebie. Rana, choć krwawiła obficie, była płytka. Posmarował ją maścią – sporządzoną w Dąbrówce przez Irenę – którą zawsze woził gdzieś na dnie bagażu, przyłożył gazę i zawiązał bandażem.

Potem usiadł w kuchni i zabrał się do czyszczenia broni, kiedy przyszła do niego Ania.

– Cześć – odezwała się nieśmiało, stojąc na progu kuchni.

– Cześć, siadaj. – Kiwnięciem brody wskazał jej krzesło.

– Mama mnie przysłała, żebyś zobaczyła, jak się czujesz.

– Całkiem nieźle, jak widać.

– Słyszałam, że zostałeś ranny?

– E tam, nic takiego. – Machnął ręką.

– To będziesz w stanie przyjść do nas na obiad?

– Chociażbym miał się do was czołgać, nie odpuszczę sobie golonki upieczonej przez twoją mamę.

Ania zachichotała cicho.

– To dobrze. Czy to prawda, że to demon zesłał na pana Bartka szaleństwo? – spoważniała.

– Nie wiem, ale to całkiem możliwe.

– Wyzdrowieje?

– Nie mam pojęcia. Po raz pierwszy spotkałem się z czymś takim.

Posiedzieli chwilę w kuchni, a potem poszli do domu Ani na obiad. Ela nakryła już stół i właśnie stawiała na nim jedzenie.

– Ale cudownie pachnie – skomplementował Hubert.

– Nie podlizuj się – zganiała go żartobliwie gospodyni.

Zasiedli przy stole.

– I co z Bartkiem? – Hubert zapytał Marka.

– Na razie wciąż związany, choć mam wrażenie, że mniej się rzuca. Kilka kobiet siedzi przy nim i odmawia różaniec na zmianę z modlitwą do Michała Archanioła. Wydaje mi się też, że któraś pokropiła go wodą święconą. Choć nie zauważyłem, żeby te ich egzorcyzmy działały.

– Bo to wcale nie musiało być opętanie – wtrąciła Ela.

– Niby dlaczego? – zapytał Marek

– Przecież podczas zarazy stracił trzy córki. Każdy po czymś takim mógłby postradać rozum.

– To był demon – przyznał zdecydowanie Hubert.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

– Żadne tam opętanie przez diabła czy nieczyste siły ani załamanie nerwowe. Jakimś cudem zrobił to zwykły, namacalny demon.

– Skoro taktwierdzisz... – Marek wzruszył ramionami.

Po obiedzie Ela zapędziła Anię do zmywania, a Hubert zaoferował jej pomoc. Później jednak, gdy szorował garnki, wykiwał siebie, że tak się wyrwał. Ela pokroiła ciasto, a jej córka namówiła

Huberta i Marka na grę w karty.

Skończyło się na tym, że chłopak został u nich na kolację i dopiero późnym wieczorem, utylając, wrócił do siebie. Po drodze spotkał Izę.

– Jak się trzymasz? – zapytała, odprowadzając go.

– Spoko, by wało gorzej. – Wzruszył ramionami, udając twardego.

– Chciałam zapytać o to, co się wydarzyło...

Hubert westchnął ciężko.

– Na pewno słyszałaś już pełną wersję: poczułem demona, pobiegłem do domu Bartka, a on się na mnie rzucił. To musiała być sprawka demona, ale nie mam pojęcia jakiego – uprzedził jej kolejne pytanie.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, próbując przetrwać informacje.

– Nie bez przyczyny ludzie we wsi mówią na mnie „łowca demonów” – przypomniał jej.

Iza westchnęła głośno.

– Wejdiesz? – zaproponował, kiedy stanęli na skrzyżowaniu.

Spojrzała w jedną stronę, potem w drugą.

– Późno już, wróć lepiej do siebie – powiedziała. – Na razie.

– Na razie – powtórzył, patrząc, jak odchodzi.

Przez chwilę stał na skrzyżowaniu, trzymając ręce w kieszeniach. W końcu kopnął mały kamyki ruszył do siebie.

– Ech, jak ja tęsknię za tym wielkim domiskiem Alberta – westchnął, z siłą napierając na drzwi, które w inny sposób nie chciały się otworzyć. – Choć mieliśmy dużo sprzątanias i w ogóle nie byłem panem samego siebie.

Lecz tam nigdy tak naprawdę nie zostawał sam. Towarzyszyli mu Albert, który choć był starym dziwakiem, miał głowę na karku, Ernest – ten rzuciłby się za nim w ogień, pomocna Zuzia, no i ojciec, którego kochał, choć nie umieli ze sobą rozmawiać. To była jego prawdziwa rodzina.

– Do dupy z tym – mruknął, ścieląc łóżko.

Świącino nie było miejscem jego marzeń, a znajomość przyszłości nie na wiele się przydawała. Czasem miał wrażenie, że wręcz mu przeszkadza.

– Owszem, może i dziś uratowałem Bartka – powiedział do siebie – ale co się stanie jutro? Przejdzie mu czy już na zawsze będzie zagrożeniem dla innych? Może lepiej, żeby umarł? I co właściwie mu się przytrafiło? Boże, jak ja tęsknię za Ernestem i jego analitycznym podejściem. No i za tą przekłętą demonologią. Może bym w niej znalazł informacje przydatne w tej sprawie.

Hubert położył się do łóżka, lecz noc nie przyniosła ulojenia. Usnął szybko, ale męczyły go

kosmary, w których wszystkie bliskie mu osoby ginęły, a za ich śmierć odpowiadał olbrzymi i krwiożerczy demon. Hubert nie potrafił go zidentyfikować. W końcu zdołał mu się przyjrzeć.

„Strzygoń!” – chciał krzyknąć na cały głos, jednak z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Próbował uciekać, lecz nie miał siły, demon raz po raz zatapiał w nim ostre szpony.

Hubert obudził się z krzykiem. Spocony wstał z łóżka i powłókł się do kuchni, żeby się czegoś napić. Nalał do kubka kwasu chlebowego, który dwa dni wcześniej wyzbrał od Izy, i stanął przed oknem, patrząc na zarośnięty ogród. Słońce powoli zaczęło wyłaniać się znad horyzontu. Odbijało się w kroplach rosy na trawie, przeświecało przez zielone liście jabłoni i malowało na niebie kolorowe wzory. Właśnie taki świt po raz ostatni oglądał Michał.

Znów dopadły go wyrzuty sumienia. Kiedy ostatni raz odwiedził grób żołnierza? Poprzedniej jesieni. Niedługo znów musi tam pojechać, odświeżyć krzyż i tabliczkę. Przynajmniej tyle jest mu winien.

Wieś powoli zaczęła się budzić do życia. Wziął więc bagnet, usiadł na ławce przed domem i zaczął ostrzyć go pożyconą od sąsiadów ostrzałką. Patrzył na ludzi, którzy wychodzili z domów, żeby zadbać o zwierzęta czy zabrać się do prac w ogrodzie.

W końcu uznał, że sprawdzi, co z Bartkiem – którego całą noc pilnował Andrzej.

Otworzyła mu Kamila, blada na twarzy i z podkrążonymi oczyma. Prawdopodobnie przez całą noc nie zmrużyła oka.

– Jak się czuje Bartek? – zapytał.

– Już lepiej. – Kobieta uśmiechnęła się słabo. – Chodź.

Zaprowadziła go do pokoju, gdzie na krześle siedział Bartek i choć ręce nadal miał związane, wyglądał całkiem normalnie, może był odrobinę bledszy niż zazwyczaj. Na widok Huberta zaczerwienił się lekko.

– Jak się trzymasz? – zagadnął chłopak, siadając przy stole.

– Dość dobrze, zważywszy, że ponoć chciałem cię wczoraj zabić.

– Ponoć? Nic nie pamiętasz?

Bartek pokręcił głową.

– Wszystko jest takie niewyraźne. Jakbym był bardzo pijany. Nie, nie piłem nic, w ogóle nie piję – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Huberta. – Mam tylko takie migawki, że zaatakował mnie demon, chciałem go zabić, ale on dopadł mnie pierwszy, a potem... potem nie wiem. Wszędzie były demony... gryzły mnie i drapały.

Na chwilę zacisnął mocno powieki.

– To było okropne. Przepraszam – wyduślił z siebie.

– Nie masz za co. – Andrzej położył mu rękę na ramieniu.

Hubert pokiwał głową.

– To nie twoja wina.

– Muszę przy pilnować obiadu – przeprosiła Kamila i wyszła z pokoju.

– Mam wrażenie, że się mnie boi – powiedział cicho Bartek, patrząc w ślad za nią.

– Ta sytuacja trochę ją przerasta, ale zobaczysz, poradzi sobie – pocieszył go Andrzej.

– A pamiętasz, co było przedtem? – zapytał Hubert. – Stało się coś niezwykłego?

– Dzień jak co dzień. Rano wybrałem się na ryby, potem śniadanie, jadłem kanapki z szynką.

Poszedłem do ogrodu. Co było dalej, nie pamiętam.

Przyłożył związane dłonie do twarzy.

– Może z czasem uda ci się sobie przypomnieć. A to co? – Hubert zauważył ranę na jego łokciu.

– Co? – Mężczyzna zaczął oglądać swoją rękę. – Coś musiało mnie na rybach ugryźć.

Hubert przyjrzał się dwóm czerwonym kropkom oddalonym od siebie o jakieś pół centy metra. Ciało wokół nich było lekko spuchnięte.

– A dlaczego jeszcze jesteś związany? – zapytał.

Bartek zmieszał się i spuścił wzrok.

– A jak znowu mi odbije? – mruknął. – Jak kogoś zaatakuję? Jak skrzywdzę własną żonę?

Tego dnia strażnicy wraz z Sołtysem, Bartkiem i Kamilą postanowili, że mężczyzna przy najmniej przez tydzień powinien być pod ciągłą obserwacją.



ROZDZIAŁ IV

Hubert cały dzień chodził zmęczony nocnymi koszmarami. A ponieważ zgrywał twardziela, pogromcę demonów, głupio mu było się przyznać, do tych przerażających snów. Zresztą kto by rozumiał strach, jaki w nim wzbudzał strzygoń. Pozostałe demony wydawały się przy nim zwierzątkami domowymi.

– A co ty dzisiaj taki milczący? – zapytał go Jacek podczas warty.

– Niewyspany – mruknął. – Daliście mi dom i łóżko po nieboszczce, myślisz, że na takim wygodnie się śpi? Daję głowę, że babcia kupiła materac przed dwiema wojnami, i to światowymi. Więc dopasował się do jej sylwetki, nie do mojej.

Starszy strażnik się zaśmiał.

– Musisz to zgłosić, nim pojedą na szaber. Może będziesz miał szczęście i znajdą w jakimś opuszczonym domu materac w przyzwoitym stanie.

– Szaber mówisz? – zamyślił się Hubert. – A kiedy chcą jechać?

– A bo ja wiem, może za miesiąc? – Jacek wzruszył ramionami.

– A gdyby m ja też chciał się zabrać?

– Musisz pogadać z Izą, czy cię wezmą.

Westchnął zniechęcony. W Świącinie traktowali szaber jako niezwykle trudną i niebezpieczną wyprawę, podczas gdy w Dąbrówce Hubert mógł jeździć, kiedy zechciał. No i kiedy Albert im pozwolił. Teraz bardzo zależało mu, żeby dołączyć do grupy. Wiedział przecież, jakie niebezpieczeństwa na nich czyhają – dezerterzy, groźne demony, wilki i Bóg wie co jeszcze. Nie mógł więc puścić przy jaciół samych.

Po nocnej warcie Hubert udał się do domu, rzucił się na łóżko i od razu zasnął.

Obudził się około południa. Przekąsił coś z zapasów wdowy Niwickiej i poszedł do stajni. Mokła, zajęta przeżuwaniami owsa, nawet nie zwróciła na niego uwagi.

– Ty wstrętna bestio – wyrzucił jej. – Chociaż raz mogłabyś się ucieszyć na widok pana.

Żeby ją przekłupić, nabierał w sadzie jabłek i choć były jeszcze niedojrzałe, kłaczy najwyraźniej smakowały. Kilkoma poczęstował też inne konie, a zwłaszcza siwą kłacz, na której kiedyś jeździł.

W końcu osiodłał Mokłą i wyruszył w drogę. Dawno już nie widział Henryka.

– To ja! – krzyknął.

– Wchodź!

Henryk właśnie wkładał buty.

– Dobrze, że jesteś – powiedział. – Pomożesz mi.

Razem wyszli na podwórko.

– To co tam sły chać we wsi? – zagadnął Henryk.

– Słyszałeś o Bartku?

Mężczyzna spowaźniał.

– Trudna sprawa – przytaknął. – A ty, jak zwykle, byłeś w pobliżu, co?

– Jakś mi się udało – odparł zmieszany.

Henryknie pociągnął niewygodnego tematu i zaprowadził gościa za dom.

– Ty ostrzy sz siekiery, a ja kosy – poinstruował, wyjmując z szopy narzędzia.

– Niech ci będzie.

– Chyba że wolisz kosy?

– Nie. – Hubert się skrzywił. – W domu nigdy mnie do tego nie dopuszczali.

– To do roboty.

Henryk umieścił ostrze pierwszej kosy w specjalnym imadle i zaczął pukać w nie młotkiem. Żeby dobrze cięło zboże, musiało być bardzo cienkie i równe, trzeba było pilnować, aby nie powstała na nim falbanka.

Hubert przez chwilę przyglądał się Henrykowi, a potem sam usiadł na kołku i zabrał się do siekier.

Puk, puk... puk, puk... Ten charakterystyczny dźwięk przypominał mu, jak stary Albert w okresie żniw każdego ranka siadał pod stodołą ze swoją kosą, której chłopcom nigdy nie pozwalał dotykać.

– W tej wsi mało kto umie porządnie naostrzyć sprzęt – odezwał się Henryk – A potem wszystko łąduje u mnie.

– Nie powinieneś się chwalić, że umiesz – zażartował Hubert. – Czasem lepiej się do takich rzeczy nie przyznawać.

– Co roku na początku lata muszę im ostrzyć te kosy – narzekał były wojskowy. Odłożył młotek i przejechał po ostrzu oselką. – Dobrze, że w trakcie żniw już sami się tym zajmują.

Pracowali w milczeniu przez ponad dwie godziny.

Zrobiło się gorąco i duszno, w powietrzu wisiała burza. Zebrali cały sprzęt i schowali do szopy.

– Na mnie już czas. Może zdążę przed deszczem – zastanawiał się Hubert, zaczynając siodłać Molkę, która niewzruszona pogodą żuła trawę.

Powietrze z chwili na chwilę stawało się coraz gęstsze.

– To na razie! – krzyknął chłopak, kiedy wskoczył na siodło.

– Trzymaj się. – Henryk, stojąc na ganku, machnął do niego ręką.

Hubert przez kilkadziesiąt metrów pozwolił kłaczy iść stepem, ale potem mocno ścisnął łydkami jej szerokie boki, skłaniając ją do galopu.

Gdy wyjechali z lasu na otwarte pole, niemal cały horyzont był już zasnuty ołowianymi chmurami. Ostatnio wicher i ulewa zaczęły kojarzyć mu się z Dzikim Gonem – orszakami demonów pędzącymi przez gospodarstwa i zabijającymi zwierzęta. Był niemal pewien, że odpowiadały za to stwory z grodziska, które zaczął w myślach nazywać dzikimi ludźmi.

Zdążył tuż przed ulewą. Gdy wychodził ze stajni, gdzie odprowadził kłacz, ciężkie krople zaczęły spadać na przesuszoną ziemię. Kierowany impulsem nie pognął do domu, a skręcił do starej szkoły.

Hubert wspiął się po kilku stopniach z czerwonej cegły, które prowadziły do drzwi. Wyciągnął rękę w stronę klamki, lecz się zawahał. Lodowate krople zaczęły coraz mocniej i częściej uderzać w ziemię.

– A ty nie wiesz, jak się kłamki używa? – usłyszał.

Tuż za nim stanęła Iza.

– No dalej, nie chcę tu moknąć.

Wszedł do sieni ponaglany przez dziewczynę.

– Ale ulewa. – Iza zdjęła z ramion kurtkę i strzepnęła z niej kropelki deszczu.

Zachowywała się przy tym zupełnie zwyczajnie, nie krzywiła się ani nie patrzyła wilkiem. Hubert się uśmiechnął. Właśnie taką Izę zapamiętał.

– No już, co tak stoisz? – mruknęła. – Idź do kuchni, w taką zimnicę trzeba wypić coś ciepłego.

– Napalić w kuchence? – zaproponował.

Iza skinęła głową.

– Ja zrobię herbatę.

Kilka minut później na starej kaflowej kuchni grzała się woda na herbatę, a na stole płonęło kilka świeczek

– To o co chodzi? – zapytała w końcu Iza, zalewając wrzątkiem liście mięty.

– Tak sobie pomyślałem, że cię odwiedzę. – Wzruszył ramionami.

Na dworze zrobiło się prawie zupełnie ciemno, deszcz zaczął o szyby i wygrywał werble na parapetach, wiatr wył na poddaszu.

Hubert mimowolnie się wzdygnął. Wiedział, co w taką pogodę wyrusza na łowy.

Iza sięgnęła po niewielką brązową bulwę leżącą na szafce, obrała ją, ukroiła kilka plasterków i wrzuciła do kubków z herbatą. Topinambur nadał napojowi lekko kwaskowaty smak. Nikt już nie sprowadzał do kraju cytrusów, więc trzeba było radzić sobie inaczej.

W Dąbrowce również uprawiali topinambur, był niewymagający, dawał większe plony niż ziemniaki, a kobiety wciąż odkrywały nowe sposoby wykorzystywania go w kuchni, od paszy dla zwierząt, przez dodatek do herbaty, na surówkach kończąc. Aniela Janicka pędziła z niego piekielnie mocny biber.

Iza, jakby odgadując jego myśli, wstała od stołu i wyjęła z szafki butelkę z nalewką malinową. Napełniła dwa ozdobne kieliszki i jeden postawiła przed Hubertem.

– Dzięki – powiedział. – A gdzie twój ojciec? – zapytał nagle, rozglądając się po kuchni, jakby Sołtys miał zaraz wyskoczyć z jakiegoś ciemnego kąta.

– Pewnie siedzi u siebie – odparła z lekceważeniem.

– Uhm. A jak trzyma się Bartek?

– Właśnie od niego wróciłam. Na razie zachowuje się normalnie, choć dręczą go wyrzuty

sumienia i strach, że coś takiego może się powtórzyć.

– Współczuję mu.

– Nie jest źle, wyobraź sobie, co by było, gdyby najpierw trafił na Kamilę, a nie na ciebie.

Za oknem błysnęło, po niebie przetoczył się grzmot. Wypili nalewkę i Iza ponownie napełniła kieliszki.

– Chciałbym pojechać z wami na szaber – powiedział po chwili Hubert. Po to przecież tu przyszedł, prawda?

Iza zmarszczyła brwi.

– Skąd pomyśl, że ktoś będzie jechał?

– Wszyscy o tym mówią. A poza tym przydam się wam, jeżeli zaatakują jakieś demony. Ze sporej odległości wy czuwać bestie, to może komuś uratować życie.

– Nie wiem – odparła wykrętnie. – Jeszcze nie zdecydowaliśmy, kiedy jedziemy.

– To zgłaszam swoją kandydaturę. Przydałoby mi się parę rzeczy, większość tego, co posiadałem, zostawiłem na północy.

– Dlaczego? – zapytała niespodziewanie Iza.

– Co dlaczego? – zdziwił się.

– Dlaczego większość rzeczy zostawiłeś na północy przyjechałeś tutaj?

Hubert się skrzywił. Wiedział, że w końcu będzie musiał odpowiedzieć na takie pytanie, co wcale nie ułatwiało sprawy.

– Po prostu, kiedy się pakowałem, nie pomyślałem...

Jednak Izy to wyjaśnienie nie satysfakcjonowało.

– Dlaczego wyjechałeś?

Na zewnątrz szalała burza, lał deszcz, uderzały pioruny, w kuchni zaś przyjemne ciepło promieniowało od kuchenki, a płomyki świec lekko drżały, rzucając fantastyczne cienie na ściany.

Hubert spuścił głowę i zaczął wykręcać sobie palce u rąk

– Bo trochę narozrabiałem – powiedział cicho. – Potem spotkałem kilku takich, co niemal na śmierć skatowali mojego kolegę, ale ze mną już nie poszło im tak łatwo. No i na koniec trafiłem tutaj. A teraz... teraz nie wiem, jak tam wrócić.

Przez ostatnie tygodnie skupiał się tylko na tym, co działo się w Świącinie, miał przed sobą misję uratowania wszystkich przyjaciół, lecz ani przez chwilę nie zastanawiał się, co potem. Co robi, gdzie pójdzie i czy uda mu się odzyścić przyjaźń i zaufanie Ernesta.

Iza nie odzywała się, wążąc jego słowa.

Wtem usłyszeli czyjeś kroki w korytarzu i do kuchni zajrzał Sołtys. Zmierzył wzrokiem najpierw Huberta, potem córkę, a na koniec to, co stało na stole.

– Ach, to wy – powiedział po chwili.

– Ja i tak już wychodziłem – odezwał się Hubert. – Przestało padać.

Zerwał się z krzesła, potrącając przy okazji stół, na który m zabrzęczały kieliszki.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

– Na razie. – Machnął ręką Izie i wkroczył w mroknocey.

Obudził się, gdy słońce stało już wysoko. Ubrał się w pośpiechu, z sieni zabrał pepeszę i popędził w kierunku bramy. Już od dwóch godzin powinien tam być. W biegu zarzucił karabin na ramię.

– Spóźniłeś się – oświadczył Andrzej.

– Wiem... przepraszam – wydyśzał.

– Już miałem kogoś po ciebie wysłać.

– Zaspałem i nikt mnie nie obudził. Naprawdę, głupio mi.

– Spoko.

– Tylko nie mów Izie, bo się będzie czepiała – poprosił.

Andrzej zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie martw się, nie powiem.

Hubert dobrze wiedział, że akurat temu strażnikowi może ufać, w końcu uratował mu życie i Andrzej wciąż był mu za to wdzięczny. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Gdybyś nie wylegiwał się w łóżku prawie do południa, to poznałbyś księdza.

– Księdza?

– Uhm, ksiądz Adrian przyjechał dziś rano.

„Ksiądz Adrian – powtórzył w myślach Hubert. – A więc to już?”.

Nie wiedział, czy się cieszyć z wizyty duchownego, który patrzył na ludzi tak przenikliwie, jakby widział wszystkie ich grzechy. Kiedyś nie przypadli sobie do gustu, choć to ksiądz uratował Huberta przed mamuną.

– To niedługo ślub Kasi i Łukasza, co? – zagadnął.

– Pewnie tak – odparł Andrzej. – Mam przynajmniej taką nadzieję. Ty wiesz, ile żarcia kobiety przygotują?

– Wyobrażam sobie, chociaż od wojny nie byłem jeszcze na żadnym weselu.

„Chwila, podczas wesela wdarł się do wsi złodziej, a potem w lesie zaatakował go bies – pomyślał chłopak – Czy może to też już zmieniłem?”.

– Co jest? – zapytał Andrzej.

– Nic. – Chłopak wrócił do rzeczywistości. – Głodny jestem, śniadania z tego wszystkiego nie zjadłem.

– Nie trzeba było się spóźniać, teraz cierp.

Hubert jęknął cicho. Wtedy spostrzegł nadchodzącą drogą Anię. Ruszył energicznie w jej kierunku, machając radośnie ręką.

– Aniu droga – zaczął, kiedy dziewczyna podeszła do niego – mam do ciebie ogromną prośbę.

– Tak? – Ania oparła dłonie na biodrach. – Pewnie mi się to nie spodoba, co?

– Nie zdążyłem zjeść śniadania, a nie mogę przecież zejść z warty. – Uśmiechnął się do niej prosząco.

Ania pokręciła głową.

– I niby mam ci je przynieść?

Uśmiechnął się przeproszająco i wskazał stróżówkę.

– Niech ci już będzie – westchnęła i odeszła.

– Tak się załatwia sprawy. – Hubert odwrócił się do Andrzeja z szerokim uśmiechem.

– Całkiem niezłe, ale Iza prędej by ci w zęby przyłożyła, niż przyniosła śniadanie.

– Izy nie ośmieliłbym się nawet o to prosić – burknął.

Kilkanaście minut później wróciła Ania i niosła nie tylko kanapki dla Huberta, lecz także dzbanek z zimnym kompotem i talerz pełen ciastek

– Rozpieszczasz nas – powiedział Hubert.

– Wiem, ale co innego można robić na tej warcie? Tylko jeść!

– No jak to? – udał oburzonego. – Bronimy was przed całym złem tego świata.

Andrzej z zainteresowaniem uniósł brwi.

– A nie? – Hubert zwrócił się do niego.

– Ja może tak, ale ty przespałeś co najmniej dwie godziny warty. W tym czasie musiałem odpedzić całe tabuny demonów – powiedział strażnik

– Zaspałeś na wartę? – podchwyciła Ania.

– Miałeś nikomu nie mówić! – krzyknął z wyrzutem Hubert.

Późnym popołudniem cała wieś zesła się do kościoła, gdzie po raz pierwszy od wielu miesięcy

miała zostać odprawiona msza. Hubert spóźnił się na nią kilka minut, ale udało mu się wślizgnąć niezauważenie do środka i stanąć obok Henryka, który z dezaprobatą pokręcił głową.

Msza była długa i nudna, po niej zaś duchowny poświęcił groby zmarłych. Na chwilę dłużej zatrzymał się nad mogiłą Mikołaja, a potem przenikliwym wzrokiem spojrzął na Huberta. Chłopak miał nieodparte wrażenie, że ksiądz doskonale wie, co się wydarzyło, że Mikołaj wcale nie musiał zginąć.

Później ludzie porozchodzili się do domów, a strażnicy, razem z Henrykiem, zebrali się w szkolnej piwnicy. Czekali na księdza.

Gdy się pojawił, od razu podszedł do Huberta, jakby czekał na okazję do rozmowy.

– Widzę, że Święcino ma nowego strażnika – powiedział bez zbędnych wstępów.

– Jak widać – odparł chłopak.

– I już od rana słucham o twoich dokonaniach.

Huberta zatkało. Jakich znowu dokonaniach? Nic przecież nie zrobił!

– To pochodzisz z północy, tak?

Kiwnął głową.

– Z Dąbrówki.

– Nie słyszałem, a jeździłem tam trochę.

– Ja o księdzu też wcześniej nie słyszałem – odgryzł się.

Duchowny uniósł brwi.

– Kto by tam rozповідаł o prostym kapłanie, nic ciekawego – powiedział. – Ale łowca demonów to już zupełnie inna sprawa.

– Gdyby ksiądz zawędrował do nas, na pewno by usłyszał o tym czubku, który ugania się za demonami.

– Tak? I w jakich miejscach by wałęś? Może się kiedyś minęliśmy?

„Z całą pewnością nie – pomyślał Hubert. – Ksiądz na pewno bym zapamiętał”.

– W Kamiennej, Piasecznie, Miedzy, Borach, Orlej – zaczął wymieniać, lecz za każdym razem ksiądz kręcił głową.

– Przykro mi, nie słyszałem tych nazw.

Po chwili duchowny zajął się rozmową z pozostałymi strażnikami.

„On mi nie wierzy” – stwierdził w duchu Hubert.

Nie spodobało mu się protekcyjnalne zachowanie księdza, więc usiadł w kącie i nie włączył się do jego rozmowy z pozostałymi. Zresztą podobnie jak Henryk

– Izabela opowiadała mi dziś o tym, co spotkało Bartosza. – Na dźwięk tych słów Hubert gwałtownie podniósł głowę.

Był ciekawy, co duchowny będzie miał do powiedzenia na ten temat.

Nie tylko on tym się zainteresował. Wszyscy strażnicy z wyczekiwaniem wpatrywali się w księdza.

– Przede wszystkim cieszę się, że już nic mu nie dolega. Jednak wy, strażnicy, nadal musicie mieć na niego oko.

Mężczyźni pokiwali głowami, a Hubert skrzywił się lekko.

– Tyle to i my wiemy – mruknął do siebie.

– Wiem, że wiele osób najchętniej przypisałoby te zdarzenia działaniu sił nieczystych. I tak właśnie jest.

„Nie wierzę...”.

– Demony są siłą nieczystą – kontynuował ksiądz. – Spotkałem się już z podobnymi przypadkami. Szaleństwo czy opętanie... winę ponoszą demony. Niestety dawne egzorcyzmy są... – duchowny się zawahał. – Nie będę was okłamywał. To, co sprawdzało się kiedyś, niekoniecznie zadziała teraz.

– Czyli egzorcyzmy sprzed wojny nie podziałają na współczesne demony? – zapytał wprost Jacek

– Przykro mi, ale taka jest prawda. Modlitwa nigdy nie zaszkodzi... To trochę jak z ludową wiedzą medyczną. Czasem, aby znaleźć środki zaradcze, trzeba sięgnąć do starej wiedzy. Przetrwiała ona w podaniach, legendach czy w prozaicznych czy mnościach, które wykonujemy, sami nawet nie wiedząc, jakie mają źródło. Lecz gdy się nad nimi zastanowić, nagle okazuje się, że te działania mają uzasadnienie.

Hubert mimowolnie pokiwiał głową. Doskonale znał takie przypadki. Wiedział, że wiele osób nawet przed wojną przypinało czerwone wstążeczki do wózków niemowląt. Niektórzy wspominali, że to ochrona przed złym urokiem, inni w ogóle nie mieli pojęcia, dlaczego tak robią. Mało kto wiedział, że kolor czerwony miał odstraszać mamuny, które porywały dzieci.

„Gdy następnym razem natknę się na mamuny, będę musiał wypróbować, czy naprawdę boją się czerwonego” – postanowił.

– No dobrze – odezwał się Stanisław. – Ale co to zmienia w sprawie Bartka? Co mamy robić, gdy znów go spotka? Albo kogoś innego?

– Dopóki nie dowiem się, jaki to był demon, niewiele możemy zrobić – przyznał z niechęcią ksiądz.

Spotkanie trwało ponad dwie godziny, a kiedy się skończyło, Hubert z ulgą poszedł do domu i w końcu położył się do łóżka, mając nadzieję, że tej nocy nie będą dręczyły go koszmary.

Z samego rana poszedł ze Stanisławem na polowanie. Lubił starego myśliwego. Co prawda był odrobinę zręczliwy, ale podchodził do wszystkiego ze spokojem. A poza tym, kiedy kilka tygodni wcześniej wybrali się razem na łowy i okazało się, że chłopak potrafi cicho poruszać się po lesie, zna zwyczaje zwierząt i ma całkiem celne oko, mężczyzna poczuł do niego sympatię.

– Wiesz, co to za ślady? – zagadnął Hubert, kiedy przystanęli przy obdrapanych drzewach. Między popękana kora znajdowało się zaschnięte błoto.

– Zaryzykowałbym strzał, że to dzik... – zaczął Stanisław. – Ale nie do końca to wygląda na robotę dzika. Zresztą dziki tutaj nie chadzają, w lesie dalej owszem, ale tu?

– Tak właśnie myślałem – mruknął Hubert.

– A ty wiesz?

– Raczej nie – skłamał.

Widział już kiedyś podobne ślady niedaleko świerkowego młodnika, ale nie miał pewności, że te również zostawił bies, który ostrzył na drzewach pazury i drapał grzbiet o korę. Ponadto ślady były stare i nie „pachniały” demonem, a Hubert nie chciał niepotrzebnie siać paniki. Wolał nie sprawdzać tego w pojedynkę, bo sam prawdopodobnie nie dałby sobie z tą bestią rady. Już nie był tak głupi jak kiedyś, żeby myśleć, że kilka kul może powstrzymać demona. Zdobył wystarczająco dużo blizn.

Do wsi wrócili tuż przed południem z dorodnym koziołkiem.

– Dzięki za pomoc. – Stanisław uściśnął Hubertowi dłoń. – Sąsiad pomoże mi go sprawić, więc masz, młody, teraz wolne. Potem tylko zgłoś się po mięso.

Powoli ruszył do siebie, nie miał jednak ochoty na siedzenie w domu w tak piękny i upalny dzień.

– Cześć, jak polowanie? – zagadnęła go zza płotu Ania.

Miała na sobie krótkie spodenki, bluzkę na ramiączkach oraz brudne od ziemi bosa stopy i dłonie.

– Całkiem dobrze, jutro na obiad dziczyzna. A ciebie, jak widzę, do pielienia marchewki zagonili?

– Ech, już mi się nie chce, ziemia jest sucha i twarda – westchnęła.

– A może byśmy skrzyknęli kilkoro dzieci i poszli nad jezioro? – zaproponował.

Po kilku godzinach w lesie potrzebował kąpieli w chłodnej wodzie.

Ania westchnęła i spojrzała na ciemne okna swojego domu.

– Nie wiem, co mama na to...

– Topielca już nie ma, więc co to za problem? A marchewka najwyżej poczęła – zachęcał.

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę.

– No dobra, namówiłeś mnie.

– Zbierz dzieciaki, a ja pójde się przebrać. Spotykamy się za piętnaście minut przy bramie.

– To pa! – powiedziała i pobiegła do domu.

Pół godziny później pływali w jeziorze, mając pod opieką jedynie czwórkę dzieci. Inne były zajęte, tak przynajmniej twierdziła Ania, ale Hubert miał wrażenie, że niektórzy rodzice nie pozwalali swoim pociechom na wyjście nad jezioro w jego towarzystwie.

Kiedy wrócili do wsi, dzieciaki, wrzeszcząc, pobiegły przed siebie, Hubert odprowadził Anię do domu, a potem postanowił odwiedzić Kasię. Miał do niej pewien interes. Wcześniej słyszał od strażników, że jest dość sprawna w posługiwaniu się nożyczkami, a tak już zarósł, że potrzebował usług fryzjerskich.

– A ty gdzie się znowu szlajasz? – naskoczyła na niego Iza, kiedy już ostrzyżony wracał do domu.

– O co chodzi? – zapytał lekkim tonem. Wywiązał się ze swoich obowiązków, więc nie zamierzał przejmować się jej przyganą.

– Już od rana z księdzem cię szukamy. Za kilka minut wpadniemy do ciebie, dobrze?

Pokiwał tylko głową, zastanawiając się, czego właściwie chce od niego ksiądz Adrian.

– To o co chodzi? – zapytał prosto z mostu, kiedy we trójkę usiedli przy stole.

– Chciałem z tobą pogadać o demonach, jak z kolegą po fachu – odparł ksiądz.

„Oj, nie – pomyślał Hubert. – Z tego, co pamiętam, to daleko nam do kolegów po fachu. Ty się włóczyśz od wsi do wsi i marzysz, że posiądziesz wiedzę o demonach, ale tak naprawdę niewiele o nich wiesz”.

Poszedł jednak do swojego pokoju, przyniósł sznurek z nawleczonymi na niego zębami i położył je na stole.

– Wszystkie pochodzą od demonów?

– No raczej nie od by dła – mruknął Hubert, za co Iza zgromiła go spojrzeniem.

– Czy j jest ten? – zapytał duchowny.

– Biesa.

– Biesa – powtórzył Adrian. – Duże by dłę.

– Nawet ksiądz nie wie jak

– A ten?

Hubert przyjrzał mu się dokładniej.

– To był ognian.

– Ognian? – prychnęła Iza; chyba nie przekonały jej nazwy używane przez Huberta.

– Tak ognian, inaczej błędny ognik

– Od kiedy ogniki mają zęby? – zapytała.

– Od zawsze. Błędne ogniki to tak naprawdę duże węgorze, które mieszkają na bagnach. Po bokach ciała mają fluorescencyjne plamki i kiedy węgorz wiję się na moczarach, z daleka wygląda to jak taniec ogników.

Przypomniało mu się, jaki był oczarowany widokiem tego demona. Mógłby stać na brzegu bagna całe wieki i się w niego wpatrywać. A Zuzia o mało się nie utopiła, chcąc do niego podejść.

– Groźny taki demon? – dociekał ksiądz.

– Nie jest agresywny. – Hubert pokręcił głową. – Raczej płochliwy. Woli uciekać przed ludźmi, niż się na nich rzucać.

– Rozumiem. A ten?

– Wuj, paskudna bestia.

– Jak taki wuj wygląda?

– Jak olbrzymi wąż z dwiema łapami...

I tak się zaczęło. Przez ponad godzinę Hubert opowiadał księdzu o demonach, na jakie się natknął, o ich zachowaniu i zwyczajach. Duchowny niby słuchał go z zainteresowaniem, ale sprawiał wrażenie, jakby nie do końca mu wierzył.

– A ten ząb? – Ksiądz wskazał na kiel, który Hubert zdobył w starym grodzisku.

– To były takie nie za duże demony, trochę przypominające ludzi, trochę leszego – odparł powoli. – Żyją w dużych stadach...

Przypomniał sobie ból pod czaszką, jaki czuł w obecności tych demonów, i mimo woli przyłożył dłoń do czoła. Nagle, jak żywe, stanęły przed nim obrazy sprzed kilku miesięcy. Zuzia, która z bólu padła na ziemię, stwory atakujące z każdej strony, śmierć Berdy, a na koniec kłótnia z Ernestem. To przez te przeklęte demony musiał opuścić Dąbrówkę.

Odruchowo zacisnął pięści, nieświadomy, że Iza przygląda mu się badawczo.

– Pokażę wam coś jeszcze. – Wstał gwałtownie od stołu, głównie po to, żeby zmienić temat.

Poszedł do pokoju i wrócił z czarną tubą, z której wysypał na ceratę stare mapy.

– Tu macie Dąbrówkę, tu Piaseczno, a tu Kamienną, – Pokazywał, rozkładając na stole kolejne mapy. – Ołówkiem zaznaczyłem miejsca, gdzie natknąłem się na demony. Chciałem sprawdzić, czy nie ma w tym wszystkim jakiejś prawidłowości...

– I co? Doszedłeś do jakiegoś wniosku? – zapytał ksiądz.

Hubert pokręcił głową.

– Na razie mam kilka podejrzeń...

– Leszy, ognian... – mruczała pod nosem Iza. – Lejin?

– Taki duży czarny jelen, jakoś nie miałem serca go zabić – wyjaśnił.

– Nie mów mi, że ulitowałeś się nad demonem – oburzyła się.

– I to niejednym – mruknął.

„Właśnie, cielawe, co porabia teraz Klakier – zastanowił się. – Pewnie włóczy się po całej Dąbrówce i poluje, a potem wraca do Zuzy, gdy brakuje mu piieszczot”.

– Dzicy ludzie, bies, strzyga, topielec... – czytała dalej Iza. – Hubert? Dlaczego nie masz tu nigdzie mamuny?

„Cholera, że w ogóle o tym pomyślała” – zdziwił się.

– Bo... spotkałem ją dawno i... i nie pamiętam za bardzo, gdzie to było – wytłumaczył się.

– Strzygoń. – Ksiądz pochylił się nad inną mapą. – A ten krzyż co znaczy?

Hubert wpatrzył się w czarny krzyż wskazujący miejsce, gdzie pochowali Michała. Wielki polny głaz, drewniany krzyż i tabliczka mówiąca o wschodzie słońca.

– Tam pochowałem przyjaciela – powiedział powoli.

Ani Iza, ani ksiądz Adrian nie wypytawali o nic więcej.



ROZDZIAŁ V

Lipcowy upał dawał się wszystkim we znaki. Rośliny zaczęły przysychać, każdy szukał choć odrobiny cienia.

Hubert zgłosił się na ochotnika na wyprawę po dziurawiec, kwiaty lipy, a potem na jagody. Pamiętał, że podczas jednej takiej wycieczki kobiety zaatakował leszy, więc chciał uprzedzić wypadki. Demon jednak ani razu się nie pokazał, co chłopakowi wydało się dość podejrzane. Pamiętał też o biesie.

Im bliżej było do ślubu Kasi i Łukasza, tym więcej czasu mężczyźni poświęcali na prace przy domu dla narzeczonych. Hubert, jak zwykle zainteresowany tym, w jaki sposób ludzie z innych osad rozwiązywali najróżniejsze problemy techniczne, każdą wolną chwilę spędzał na budowie. Kiedyś, gdy wszystko w Świącinie było dla niego nowością, robił tylko to, co mu kazano, nie zadając zbyt wielu pytań, żeby jego niewiedza nie wyszła na jaw. Ponadto na wiele rzeczy nie zwracał uwagi. Jako nastolatek nie miał pojęcia, jak się buduje domy, nie wiedział, że tak łatwo niegdyś dostępny cement po kilku miesiącach nie nadaje się już do użytku. Teraz, siedem lat po upadku cywilizacji, powrócono do starych metod i jako spoiwa używano zaprawy wapienno-piaskowej. Była wytrzymała. Brak prądu i działającej betoniarce też utrudniał życie. Mieszkańcy

Orlejk eksperymentowali kiedyś z drewnianym keratem własnej produkcji, co byłoby dużym ułatwieniem podczas budowy.

W Świącinie zaś przez cały dzień ktoś musiał mieszać zaprawę ręcznie. A trzeba przyznać, że potrzebowali jej mnóstwo. Hubert dwukrotnie uczestniczył w wyprawie do miejsca zwanego zwirownią, skąd wykopywali drobnoziarnisty piasek.

Dom Kasi i Łukasza powstał na starych fundamentach budynku, który zawalił się wiele lat przed wojną. Planowano, że w dużej piwnicy wymurowanej z kamieni będą przechowywać zimną ziemniaki, może nie dla całej wsi, ale chociaż dla kilku rodzin. Podłogę zbito z grubych i mocnych desek. Mury wzniesiono ze starych cegieł, pozbieranych skrzętnie z domów, które nie przetrwały wojny. Okna przywieziono z szabru.

– A jak chcecie go ocieplić? – zainteresował się Hubert. – Nigdzie nie widziałem styropianu, a potrzeba go przecież całkiem sporo.

– Nawet gdybyśmy znaleźli nieobrabowany materiał budowlany, a w nim zapasy styropianu, wiesz, ile kursów musielibyśmy zrobić, żeby przywieźć wystarczającą jego ilość? Może i jest lekki, ale zajmuje mnóstwo miejsca...

– I to zbyt niebezpieczne – wtrącił Łukasz. – Nie możemy narażać mieszkańców Świącina z tak błahego powodu.

Hubert pokiwał głową.

– To jak rozwiązaliście problem ocieplenia? – zapytał ponownie. – Pustka?

Henryk uniósł lekko kąciki ust w uśmiechu.

– Chodź – powiedział i ruszył w stronę budynku.

Zatrzymał się w wejściu. Drzwi nie były jeszcze wstawione, a framuga pozostawała niewykończona. Lecz dzięki temu można było zobaczyć, że ściana domu składa się tak naprawdę z dwóch rzędów cegieł oddzielonych od siebie kilkucentymetrową wolną przestrzenią.

– Masz tu mur dwuwarstwowy z pustką powietrzną – odezwał się Henryk, gdy Hubert zaglądał do środka. – Żeby ściany się nie rozeszły, łączyliśmy je pojedynczymi ceglami co szóstą warstwę. Tak samo jest ponoć w twoim domu.

– Kiedyś to potrafili budować! – Hubert puścił do nich oko.

Szczególnie zainteresowało go, jak mężczyźni ze Świącina chcieli zrobić sufit. Dlatego kolejnego dnia zerwał się z łóżka równo ze wschodem słońca i pojechał na budowę.

Na strop poszły grube belki, które połączyli nieheblowanymi deskami. Potem przykryli je glinianą polepą, na którą wysypali zeszlorczone plewy, i położyli na to kolejną warstwę desek. Tak skonstruowany sufit, a zarazem podłoga poddasza, miał chronić przed wkradaniem się zimna,

kóre mogłoby się przedostać przez dach.

Któregoś dnia, kiedy mężczyźni podawali sobie belki na krokwie, Łukasz zagapił się i przyłożył jedną Hubertowi w kolano.

Ten ledwie się powstrzymał, aby nie puścić pod adresem kolegi kwicistej wiązanki przekleństw, ale kiedy usłyszał kajanie i przeprosiny, machnął tylko ręką.

– Nic mi nie jest – burknął.

– A nie chcesz iść do Barbary? – zapytał przejęty Łukasz.

– Daj spokój.

Hubert pracował wytrwale do końca dnia, mocno zaciskając zęby. Wieczorem okazało się, że kolano i kawał goleni pokryły się olbrzymim zielonofioletowym siniakiem.

Z samego ranka wybrał się więc do Barbary Maciejakowej. Zastał ją pracującą w ogrodzie zielowym, największym takim w Świącinie.

– Dzień dobry – przywitał się. – Ma pani coś na to?

Podciągnął lekko nogawkę krótkich spodenek, prezentując okazałego siniaka.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i zacmokała głośno z niezadowolaniem, jakby miała lepsze zajęcie niż zajmowanie się posiniaczonymi strażnikami.

– Poczekaj – rzuciła i zniknęła w domu.

Hubert przysiadł na ławce i rozejrzał się po ogródku. Rozpoznał kilka ziół, szczególnie te, które hodowały kobiety w Dąbrówce, na przykład miętę, rumianek, melisę, dziewannę, prawoślaz i lawendę. Wielu z nich wciąż nie potrafił nawet nazwać. Z uśmiechem przypomniał sobie, jak niedługo po wojnie w domach i bibliotekach szukali starych książek na temat roślin, próbując odtworzyć dawną wiedzę. Trochę dalej, pod płotem, zobaczył roślinę o smukłych, wysokich łodygach zakończonych pęczkami różowawych kwiatów o pięciu płatkach. Jesienią Barbara wykopie ich kłaczka, potnie na mniejsze kawałki i wysuszy, a potem będzie podawać je osobom cierpiącym na kaszel. Lecznica miała jeszcze jedno zastosowanie. Odwar z korzeni pienił się jak mydło i mył równie skutecznie, a może nawet lepiej, gdyż nie wysusza skóry.

– To maść z arniki. – Barbara wyszła z domu i podała Hubertowi mały słoiczek – Możesz też okładać to kolano liśćmi kapusty.

Podziękował serdecznie i pokuścił się o powrót do siebie.

Mury domu Kasi i Łukasza wznosiły się szybko. Hubert był pełen podziwu, że wszyscy tak dobrze się dogadują i pomagają sobie nawzajem. W Dąbrówce nie mieli co marzyć o takich przedsięwzięciach, gdyż mieszkańców było niewiele.

Wieczorem, gdy zakończyli budowę dachu, z dumą i radością spojrzeli na swoje dzieło. Usiedli na piasku przed domem, żeby odpocząć. Kasia przyniosła olbrzymi dzban wina i wszystkich poczęstowała. Nowożeńcy od razu po ślubie wprowadzą się do nowego domu. Trzeba będzie jeszcze tylko wszystko powyłańczać, zająć się obejściem, wczesną jesienią przekopać ogród i coś zasiać, a gdy tylko wystarczy czasu, zbudować stodołę, może nawet oborę czy chlew.

Tydzień przed ślubem Hubert wybrał się do piwnicy szkolnej. Iza i Marek stali przed tablicą i zastanawiali się nad czymś intensywnie. Iza w jednej dłoni trzymała białą kredę, w drugiej gąbkę do wycierania.

– Może Stanisław? – zaproponowała.

– W poprzednim tygodniu był bardzo zajęty – odparł Marek.

– To może Adam?

– Zobacz, już ma trzy nocki.

– Co robicie? – zagadnął ich Hubert.

– Układamy grafik na przyszły tydzień – mruknęła niezadowolona dziewczyna.

– I pewnie nie macie komu wcisnąć nocnej warty podczas wesela?

– A jak my ślisz? – burknęła.

– Ja mogę ją wziąć.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Ale przecież miałaś wartę w noc świętojańską – przypomniał Marek.

– No i co z tego? – Wzruszył ramionami. – Ale widzę, że ludzie walą drzwiami i oknami, żeby dostać tę nockę, więc nie będę się narzucał.

– Poważnie ją chcesz? – zapytała Iza.

Wyjął jej kredę z ręki i napisał swoje imię we właściwej kratce.

– Gotowe. Zadowoleni? Kto będzie ze mną?

– No dobra, ja – westchnął Marek.

Wziął kredę i zapisał swoje imię obok imienia Huberta.

– Powariowaliście – skwitowała Iza.

– Ale żyć czę sobie najlepsze dania z kolacji – zastrzegł Hubert.

Prawdę mówiąc, nie chciało mu się pełnić warty akurat w tę noc, wolały pobawić się ze wszystkimi na placu, ale zamierzał złapać złodzieja, który podczas wesela włamał się do osady.

Ślub odbył się pod koniec lipca. Po południu wszyscy mieszkańcy Świącina zbrali się w kościele na ceremonii, podczas której ksiądz Adrian popisał się zdolnościami oratorskimi. Msza trwała więc bite dwie godziny. Kasia była ubrana w ładną białą suknię przywiezioną wcześniej przez Iżę z szabru, Łukasz miał na sobie zwykły garnitur. Po mszy wszyscy wyszli na plac, gdzie kobiety zaczęły nakrywać do obiadu. Hubert nałożył na talerz olbrzymi kawał mięsa, a żeby lepiej je trawić, pacnął obok porcji kilka łyżek zielonego sosu z czosnku i pietruszki z odrobiną octu.

Niestety szybko nadeszła godzina jego warty. Poszedł więc do domu, założył pas z bronią, przez ramię przerzucił pepeszę, zabrał bluzę od munduru i pomaszzerował w stronę bramy, gdzie czekał już na niego Marek

- Trudno było opuszczać kolację, co? – zagadnął starszy strażnik
- Nawet zacząłem żałować, że się wyrwałem na ochotnika – odparł Hubert.

Posiedzieli godzinę przy stróżówce, potem upewnili się, że brama jest dobrze zamknięta, i ruszyli na obchód wsi. Noc była pochmurna i ciemna. Przyświecając sobie latarenkami, przeszli się po całej osadzie, wciąż słysząc muzykę z placu. Weszli tam na chwilę, żeby zabrać ze stołu trochę owoców, a potem wrócili na pozycje wartownicze i by zabić czas, wyjęli karty.

- Która godzina? – zapytał Hubert, ziewając.

Marek się przeciągnął.

- Na pewno po północy.
- Dopiero?! – jęknął chłopak

Czuł się zmęczony, a odgłosy zabawy na weselu wcale nie poprawiały mu humoru. Zaczął się zastanawiać, czy zgłoszenie się na ochotnika do warty było dobrym pomysłem.

Po kilku rozdaniach rozgrywką im się znudziła.

– Idziemy na obchód? – zaproponował Marek Jego też nużyło beczynne siedzenie w stróżówce.

- Chodźmy.

Po drodze spotkali Iżę.

- Jak warta? – zagadnęła, idąc kawałek z nimi.
- Nudna – poskarżył się Hubert. – A wesele?
- Bez szału. – Wzruszyła ramionami.

Nagle Marek się zatrzymał i wysunął przed Huberta wyprostowane ramię.

- Co jest?
- Coś chyba widziałem... – powiedział wolno.
- Tam ktoś jest. – Iza wskazała palcem na plamę cienia rzuconego przez jeden z domów.

Zdawało się, jakby o ścianę stał oparty człowiek. Lecz równie dobrze mogło to być złudzenie.

– Kto tam? – zapytał głośno Marek

Cień ani drgnął.

Powoli podszli kilka kroków bliżej. Gdyby to był miejscowy, na pewno by się odezwał.

Marek uniósł latarenkę, próbując zobaczyć, co lub kto kryje się w mroku. Niespodziewanie cień poruszył się i zniknął za budynkiem.

Hubert postawił na ziemi lampkę i zerwał się do biegu. W osadzie był obcy.

– Ostrzeż innych! – Marek rzucił przez ramię do Izy i pobiegł za chłopakiem.

Hubert wbiegł za dom, ale nic tam nie zobaczył. Lecz gdy porzucił latarenkę, jego oczy przyzwyczaiły się do mroku. Zajeżdżał się i wtem znów ujrzał ciemną sylwetkę, w oddali mignęła blada twarz. Zaczął biec w jej stronę, modląc się, żeby nie wpaść na jakąś nieoczekiwaną przeszkodę.

Obcy – chłopak nie miał wątpliwości, że jest to człowiek, nie demon – zaczął przed nim uciekać w stronę bramy, lecz nie był na swoim terenie, nie znał rozkładu budynków, więc poruszał się znacznie wolniej. Hubert, widząc, że zyskuje przewagę, przyspieszył. Oburącz trzymał pepeszę, jej pasek luźno wisiał mu na ramieniu. W oddali słyszał ciężkie kroki Marka. Od włamywacza dzieliło go jeszcze pięć metrów, cztery, trzy... Mężczyzna gwałtownie skręcił w stronę palisady, pewnie wierzył, że biegnąc wzdłuż niej, szybciej znajdzie bramę.

Hubert naprężył wszystkie mięśnie, puścił karabin, który zawisł na pasku, i skoczył na obcego. Potoczyli się po trawie. Chłopak zbił sobie przy tym kolana i łokieć, a pepesza uderzyła go w żebra. Zignorował jednak ból i od razu podrywając się z ziemi, przy padł do mężczyzny, który właśnie wstawał. Hubert walnął go pięścią w podbródek. Włamywacz grzmotnął plecami i głową w palisadę i nim zdążył dojsć do siebie, chłopak chwycił go za kurtkę na piersiach i szarpnął gwałtownie, znów uderzając złodziejem w drewniane pale. Obcy stęknął głucho.

Hubert, wciąż trzymając go jedną ręką, drugą przystawił mu lufę pepeszy do gardła. W ciemności mógł zobaczyć jedynie zarys bladej twarzy obcego i jego ciemnych oczu.

Po chwili przybiegł Marek, wy celował w obcego lufę pistoletu.

– Coś ty za jeden? – warknął Hubert.

Ciemne usta mężczyzny rozciągnęły się w paskudnym uśmiechu.

– Czego chcesz? – Chłopak szarpnął nim ponownie.

– Szukałem ciebie, łowco – odparł obcy.

Hubert zaniemówił. Opuścił lekko pepeszę, nie wiedząc, co robić dalej. Za sobą usłyszał krzyki pozostałych święcinian, co na chwilę go rozproszyło. Włamywacz szarpnął się gwałtownie,

zbijając jego karabin, i uderzył go głową w twarz.

Hubertowi przez chwilę mignęły gwiazdy przed oczyma, zupełnie go zamroczyło.

Przyłożył dłoń do czoła, myślał, że czaszka zaraz mu eksploduje.

– Złamał mi nos! – jęknął, lecz chrząstka wydawała się cała.

Spróbował się podnieść, lecz zakręciło mu się w głowie, więc znów opadł na ziemię, podczołgał się do palisady i oparł o nią plecami. Z nosa ciekną mu krew.

Wokół Huberta kręcili się ludzie z pochodniami.

– Młody, wstawaj. – W końcu podszedł do niego Henryk i pociągnął go za rękę.

Hubert wstał, wciąż przykładając rękaw do nosa, i pozwolił mu poprowadzić się na plac pod kościołem. Były wojskowy posadził go na krzesło, ktoś podał rannemu zimną, mokrą szmatkę.

– Pochyl głowę do przodu – rozkazała Ania, kucając przy chłopaku.

Próbował wytrzeć z twarzy krew.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Ktoś włamał się do wsi – odparła dziewczyna.

– No i zwiął. – Iza stanęła przy nich.

– Co?! – jęknął Hubert.

– Uciekł w kierunku bramy i przez nią wydostał się na zewnątrz. Zanim dopadliśmy do wyjścia, on znikł już w lesie, nie było sensu go gonić. I tak byśmy go nie znaleźli.

– Hubert, kto to był? – zapytał niespodziewanie Marek.

Ludzie, którzy kręcili się wokół, na moment ucichli.

– Nie wiem.

– Ale powiedział, że szukał ciebie.

– Nie wiem, nigdy go nie spotkałem. – Chłopak pokręcił głową.

– Szukał ciebie, musiałeś go znać – naciskał strażnik.

Hubert pokręcił głową. Był obolały, nie mógł skupić myśli, ale miał pewność, że nigdy nie słyszał głosu włamywacza ani nie widział jego twarzy.

Nagle w lesie za palisadą rozległ się przeraźliwy wrzask. Zebrani zamilkli i zaczęli nasłuchiwać, lecz nie powtórzył się już ani razu.

– Boże, co tam się stało? – zapytała szeptem Ela.

– Coś go dorwało przed nami – powiedział ponuro Hubert.

Nie było już zbyt wiele do zrobienia. Mężczyźni przeszli się po wsi, sprawdzając, czy nie ma w niej jeszcze kogoś obcego, ale włamywacz najwyraźniej działał sam. Wesele się skończyło.

Posprzątano stoły i ludzie porozchodzili się do domów, rozmawiając półgłosem. Hubert doskonale wiedział, że dyskutowali o nim i o jego ewentualnej znajomości z intruzem. Musiał to wszystko przemyśleć, lecz na razie był zbyt obolały. Strażnicy uznali, że chłopak nie wygląda dobrze, i pozwolili mu zejść z warty. Jacek, Andrzej i Iza zgłosili się do patrolu wsi.

Hubert powlókł się do domu, czując na sobie badawcze spojrzenie córki Sołtysa i kilku innych strażników.

„Będą kłopoty” – przemknęło mu przez myśl.

Rano zbudziło go walenie do drzwi.

– Otwarte! – wrzasnął, siadając na łóżku i przecierając dłońmi obolałą twarz.

Ktoś wszedł do sieni i od razu skierował się do kuchni. Hubert zwlekł się z łóżka i zerknął w małe lusterko. Wyglądał paskudnie, nos miał siny i spuchnięty, oczy podkrążone, nie pamiętał też, kiedy ostatni raz się golił, a brudne włosy sterczały mu na wszystkie strony. Wcisnął się w spodnie i bez koszulki poczłapał boszo do kuchni.

Przy stole siedział ksiądz Adrian, a Iza ze skrzyżowanymi na piersi rękoma oparła się o parapet.

– Nieżle cię załatwił – powiedział duchowny.

– Przeżyję – mruknął Hubert.

Wyłowił ze słoika ogórka kiszzonego, nabił go na nóż i skierował w stronę gości z pytającym wzrokiem. Oboje pokręcili głowami, więc wzruszył ramionami i sam go zjadł.

– Oświeciło cię już, kto to był? – zapytała Iza.

– Nie, mówiłem wam już, że go w życiu nie widziałem – odparł.

– To dlaczego cię szukał? – nie ustępowała. Jej głos nie brzmiał przyjaźnie.

– A skąd mogę wiedzieć? Gdyby jak człowiek zapukał do bramy za dnia, moglibyśmy go zapytać – mruknął. – Ale jak widać, raczej nie był moim przyjacielem. – Wskazał na swój nos.

– Za godzinę jedziemy do lasu, żeby poszukać śladów, zobaczyć, czy nie ma tam więcej ludzi.

– Nie ma – stwierdził.

– Skąd wiesz?

– Przeczucie.

Iza przeszła go spojrzeniem.

Hubert, żeby zająć czymś ręce, wziął ścierkę i zaczął wycierać blaty. Iza co chwila zerkała na niego badawczo, podobnie ksiądz. Czuł, że podejrzewają go o kłamstwo. Naprawdę chciałby wyjaśnić tę sytuację, ale dla niego również była tajemnicą. Skąd tamten mężczyzna go znał?

Ważniejsze jednak było: dlaczego go szukał? Sporządził w myślach listę ludzi, z którymi miał na pieńku. Czyżby dopadli go ci, z którymi zadarł w Gdańsku? Lecz Zgorzelec nie żył, a Czarnecki po prostu zniknął. Byli też ludzie, którzy gnębili Kamienną, a Hubert trzech z nich zastrzelił. Jednak to wydarzyło się dawno temu, a z tego, co twierdzili mieszkańcy dworu, ich wrogowie odeszli albo po prostu poumierali. Było co prawda tych pięciu typów, którzy prawie na śmierć skatowali Pawła, ale Hubert był pewien, że to żaden z nich. Kto mógł mieć powód, żeby zapuścić się tak daleko na południe? I po co? Czego mógł chcieć od łowcy demonów?

– Co takiego nabroiłeś, że aż tutaj cię szukają? – zagadnął Huberta Henryk, gdy szli z grupką strażników i innych mężczyzn przez pole w stronę lasu.

– Uwierz mi, że sam chciałbym wiedzieć – odparł. – Zrobiłem w myślach listę wszystkich ludzi, którzy mogliby mieć do mnie pretensje, ale ten facet się na niej nie znalazł.

Henryk uniósł w górę brew.

– Musiałeś prowadzić barwne życie, żebyś mógł sporządzić taką listę.

– To nie jest zabawne – mruknął chłopak – Wszyscy patrzą na mnie wilkiem, jakbym zrobił nie wiadomo co.

– Dobrze, teraz nie gadaj – zrugał go Stanisław, kiedy weszli między drzewa.

Szli powoli, z bronią w rękach. Wszyscy byli uzbrojeni. W każdej chwili spodziewali się ataku, nie wiedzieli, ilu ludzi może ukrywać się w ich lesie. Nie zamierzali jednak zamykać się w osadzie i czekać w niepewności, co się wydarzy.

Hubert rozglądał się bacznie dookoła, dostrajał wszystkie zmysły także na wykrywanie demonów. Nie chciał więcej kłopotów, a kolejne potwory z pewnością je zwiastowały. Wiedział też, co stało się kiedyś z obcym, który wtargnął do wsi podczas wesela. Zaatakował go bies, mężczyźni udało się przeżyć tamtej nocy tylko dlatego, że mieszkańcy osady pobiegli za nim. Pewnie przestraszyli demona, lecz ten i tak zdołał naznaczyć ofiarę. Włamywacz po ataku miał halucynacje i stany lękowe.

Tym razem nikt nie popędził za nim do lasu i gdy tylko usłyszeli przeraźliwy krzyk, Hubert dobrze wiedział, jaki był jego powód. Zostawił więc w domu pepeszę, a zabrał strzelbę, która całkiem nieźle się sprawowała w spotkaniach z większymi demonami.

„Bies atakuje tylko w mroku” – tak przynajmniej napisano w demonologii. Jednak w Gdańsku potwór zaatakował go pod wieczór w ciemnej hali.

– Spójrzcie tu – odezwał się cicho Stanisław i przywołał wszystkich gestem.

Brązowe bukowe liście leżące na ziemi były splamione krwią. Podobnie jak kora jednego z drzew, zupełnie jakby ktoś dotknął jej zakrwawioną ręką.

– My ślicie, że to jego? – zapytała Iza.

– Najprawdopodobniej – odparł ksiądz.

Lekko zryta ziemia i podszycie leśne wskazywały na to, że w nocy doszło tutaj do walki albo przynajmniej szamotaniny.

– Zna ksiądz taki trop? – Stanisław wskazał na niewyraźny ślad zrobiony w miękkiej ziemi.

– Nie jestem pewien... – Duchowny się pochylił. – Musiało być dość duże, ale jeszcze się nie natknąłem na coś takiego.

– A ja tak – powiedział głośno Hubert. – Włamy wacza zabił bies.

– Słucham? – zapytała Iza.

– Bies? – Marek przyjrzał mu się dokładnie. – Mówisz serio?

– Jak najbardziej.

– A skąd wiesz, że zabił, może facet został tylko ranny? – odezwał się Jacek – Może jest gdzieś blisko?

– Uwierz mi, jeden człowiek zaskoczony w nocy przez biesa nie ma szans na przeżycie.

– I wnioskujesz to tylko po czymś takim? – zapytał Maciejak, wskazując na ledwie widoczny ślad.

– Nie tylko.

Henryk stojący ze skrzyżowanymi na piersi rękoma znów uniósł brew, ksiądz Adrian przypatrywał się chłopakowi z prawdziwie akademickim zainteresowaniem, Iza zaś wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, czy się na niego wściekać, czy dziękować, że tyle wie. Strażnicy zerkali to na ślady, to na chłopaka.

– Już od jakiegoś czasu podejrzewam, że w okolicy czai się bies – powiedział w końcu Hubert. – Stanisław pewnie pamięta te dziwne zadrapania na drzewach. – Spojrzał na starego strażnika, który powoli pokiwał głową. – Wtedy zacząłem to podejrzewać. A dziś zyskałem pewność. To był bies, wielka i paskudna bestia, dzika i krwiożercza. Żaden z was nie chciałby się z nim spotkać w pojedynkę ani nawet ze wsparciem. Jego leże musi być gdzieś niedaleko. W nocy zaciągnął tam tego nieszczęsnego włamy wacza. Możemy trafić tam po śladach, jakie zostawił..

– Ty chcesz tam iść? – przerwał mu Bruno.

– A mamy inne wyjście? Zobaczcie, jak blisko wsi jesteśmy, wczoraj w nocy w tym miejscu demon zabił człowieka. Chcielibyście, żeby to był któryś z was? A jak zgłodnieje, to podejdzie bliżej, stanie pod palisadą. I co wtedy? Chcecie bronić się przed nim w mroku czy może zaskoczyć go za dnia w jego własnej norze i zabić, gdy śpi, najedzony po wczorajszym ataku?

Kilka osób wraz z Izą wpatrywało się w chłopaka. Pozostali rozglądali się dyskretnie na boki,

przy patrywali się śladom pozostawionym przez demona, własnym karabinom i butom.

– Uwierzcie, że to nie jest mój pierwszy w życiu bies i że wiem, co mówię.

– Zapolujmy na niego – rzucił Maciejak, wymachując strzelbą.

Hubert spojrział na niego z wdzięcznością.

– Nie znam się na demonach, ale moim zdaniem młody ma rację – odezwał się Henryk

– Ja też z chęcią zobaczę tego biesa – dodał ksiądz.

– No to idziemy – zdecydowała Iza, skupiając na sobie uwagę pozostałych mężczyzn.

– Nie powinnaś wrócić do wsi? – Stanisław zmierzył ją spojrzeniem.

– Nie ma mowy – odparła. – Nie będziemy tracić czasu na to, że ktoś musiałby mnie odprowadzić.

Ruszyli bezgłośnie po zakrwawionych śladach, no, może prawie bezgłośnie, ponieważ niektórzy w ogóle nie potrafili poruszać się po lesie. Prowadzili Stanisław z Hubertem, a tropienie nie okazało się trudne. Bies, ciągnąc za sobą zakrwawioną ofiarę, ani myślał o zacieraniu śladów.

Droga dłużyla się Hubertowi w nieskończoność. Serce biło mu jak młotem, trochę ze strachu, trochę od nadmiaru adrenaliny, dłonie się pociły, mięśnie lekko drżały. Chciałby już znaleźć biesa, zastrzelić go i mieć spokój.

Idąc powoli przez spokojny las, słyszał przyspieszone oddechy towarzyszy i szuranie butów na ściółce.

Wtem Hubert poczuł demona. Gwałtownie zatrzymał się i podniósł rękę, a wszyscy stanęli za nim.

– Zbliżamy się – szepnęła.

Marek głośno przełknął ślinę. Andrzej z cichym trzaskiem odbezpieczył karabin.

– Idziemy. – Hubert powiedział to tak cicho, że pozostali musieli odczytać to z ruchu jego warg.

Bukowy las powoli ustąpił miejsca sosnom i świerkom.

Byli coraz bliżej biesa, z każdym krokiem jego aura stawała się silniejsza. W końcu chłopak się zatrzymał.

– Tam. – Poruszył wargami i wskazał kilka ciemnozielonych świerków, które rosły tuż obok siebie, tworząc mroczne i przytulne schronienie.

Skinął głową księdzu i Stanisławowi, z którymi miał okrążyć leże biesa, żeby wypłoszyć go z drugiej strony wprost na czekających na niego strażników. Spojrział jeszcze na Henryka, chcąc się upewnić, że Iza będzie bezpieczna. Były wojskowy kazał jej schować się za grubą sosną. Sam stanął tuż obok niej. Pozostali również ukryli się za drzewami.

Zaczęli okrążyć świerki. Hubert i Stanisław z jednej strony, ksiądz z drugiej. Drzewa szumiały

cicho, poza tym las milczał. Hubert dostał gęsiej skórki. Bezgłośnie skradanie zajęło im dużo czasu, ale najważniejsze było zaskoczenie biesa.

Po kilkunastu minutach znaleźli się dokładnie naprzeciwko przyjaciół po drugiej stronie świerków. Stanisław szedł pośrodku, ksiądz po jego prawej ręce, Hubert po lewej. Chłopak wziął głęboki wdech, wolno wypuścił powietrze i ze strzelbą gotową do strzału zaczął zbliżać się do drzew. Między gałęziami zamajaczył kawałek szarego futra. Hubert spojrzął na białych towarzyszy w skupieniu wpatrujących się w śpiącego olbrzymiego demona. Wycelowali i...

W cichym lesie rozległ się trzask łamanej gałęzi. Hubert z dwoma towarzyszami zastygli w bezruchu. Bies podniósł gwałtownie łeb, zerwał się i wypadł ze świerków wprost na pozostałych ludzi.

Hubert strzelił do niego dwa razy, lecz kule zatrzymały się na drzewach.

– Szlag! – zaklął.

Las rozbrzmiał wystrzałami. Jakaś zbłąkana kula śmignęła Hubertowi nad głową.

Chłopak pozbierał się z kłęczek i zataczając duże półkole, by unikać pocisków, pobiegł w stronę przyjaciół. Teraz liczył się czas.

Był mniej więcej w połowie drogi, gdy usłyszał krzyk. Demon kogoś zaatakował. W tej chwili Hubert zaczął działać instynktownie. Dobiegł do miejsca, gdzie kudłata bestia, warcząc gardłowo, trzymała w pysku nogę Józka Maciejaka. Ten próbował się bronić, ale jego próby nie robiły na biesie wrażenia.

Hubert dzielił potwora kolbą strzelby w łeb. Maciejak wrzasnął przenikliwie, bo zęby demona jeszcze mocniej zacisnęły się na jego łydce. Wtedy chłopak wyszarpnął z kabury przy pasku colta, przyłożył go do wielkiego łba, którym stwór miotał na lewo i prawo, po czym wystrzelił pięć razy. Krew i drobne kawałki kości poleciały mu na ręce.

Roztrzaskana czaszka opadła na ziemię, przednie łapy demona rozjechały się na boki. Maciejak zawodził głośno.

Hubert wcisnął do pyska martwej bestii strzelbę i z trudem rozwarł jej paszczę. Maciejak zabrał nogę i odczołgał się od demona. Podbiegł do niego Henryk, zdjął mu but i zaczął owijać łydkę koszulą. Pomagała mu Iza.

– Co się właściwie stało? – zapytał głośno ksiądz Adrian.

– Maciejak oparł się o suchą gałąź drzewa, która się pod nim złamała, i runął na ziemię – wyjaśniła Iza, wstając.

– A już prawie go mieliśmy. – Stanisław uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Już prawie.

– Stary dziad i zachciało mu się na polowanie, co? – Henryk pomógł Maciejakowi wstać

z ziemi.

– To nie moja wina!

Adam bez słowa zarzucił sobie na barki ramię rannego i razem z Henrykiem poprowadzili go przez las.

– Nieźle poszło, co? – Iza wyrównała krok z Hubertem. – Choć uważam, że to marnotrawienie amunicji.

Chłopak zauważył, że lekko drży jej głos i jest trochę bledsza niż zwykle, ale na policzki zaczęły już jej wracać rumieńce.

– Nieźle, mam nadzieję, że jemu nic nie będzie. – Spojrzał na niedoszłą ofiarę biesa.

– Byłam pewna, że pogruchocze mu kości albo go rozszarpie...

– Bies był najedzony i dlatego nie chciał Maciejaka od razu zabijać. W przeciwnym razie nic by mu nie pomogło.

– A najgorsze, że nawet nie mogliśmy strzelać, baliśmy się, że postrzelimy Józka.

Hubert pokłiwał głową, a potem uniosł lewą dłoń, żeby poprawić pasek od strzelby. Iza złapała go za nadgarstek

– Co ci się stało? – zapytała, patrząc na dwa rozcięcia na zewnętrznej stronie dłoni.

– Musiałem zahaczyć o jego zęby, jak otwierałem mu paszczę – odparł, ze zdziwieniem patrząc na niezbyt głębokie rany. Nie czuł ich aż do teraz, gdy zapiekły.

Droga powrotna zajęła dużo czasu, gdyż zśli powoli ze względu na jęczącego Maciejaka.

Gdy wreszcie wyszli na pole, skąd mogli zobaczyć palisadę otaczającą wieś, wszystkim zrobiło się źzej na sercach.

Byli już na polnej drodze prowadzącej prosto do bramy, gdy Hubertowi nagle zakręciło się w głowie i lekko się zachwiał.

– Tobie co? – zdziwiła się Iza.

– Nic, potknąłem się – odparł, potrząsając głową.

Gdy mijali bramę, świat wokół niego zawirował tak mocno, że musiał się wesprzeć o grube pale.

– Pani Barbara go opatrzy – powiedziała Iza, patrząc, jak Henryk i Adam odprowadzają Maciejaka do domu.

Hubert poczuł się słabo, zrobiło mu się gorąco, a zaraz potem zimno.

– Pamiętaj, że po południu masz wartę – przypomniała córka Sołtysa, lecz ledwie ją słyszał, głos dochodził do niego jakby z oddali. – Zjedz coś i się ogarnij. Przemyj tę rękę, żebyś nie dostał wścieklizny.

Chłopak mrugając, pokijał głową, a potem chwiejnym krokiem ruszył w stronę domu. Działo się z nim coś złego, lecz nie miał pojęcia co. Fatalnie się czuł, kręciło mu się w głowie, uszy miał zatłkane i z ledwością przez nie słyszał.

Nagle przeleciał nad nim wielki cień. Chłopak odruchowo się schylił, serce podeszło mu do gardła, gdy zobaczył małego wróbla siadającego na płocie.

Pchnął furtkę od ogrodu, która zaskrzyiała rozdzierająco, aż musiał przyłożyć dłonie do uszu.

W oddali zaszczekał pies. Hubert gwałtownie odwrócił się na progu i wycelował strzelbą w stronę drogi, lecz nic tam nie zobaczył. Serce wciąż waliło mu głośno.

„Jestem chyba zmęczony – pomyślał. – Albo się przeziębiłem”.

Wszedł do domu i od razu zamknął drzwi. W sieni było ciemno i nieprzyjemnie, a wielka szafa, górująca w tym pomieszczeniu, wyglądała, jakby zaraz miała się na niego przewrócić. Szybko przemknął do jasnej kuchni i położył strzelbę na stole.

Strącił nią z blatu talerz, który roztrzaskał się na drobne kawałeczki. Dźwięk ten był tak nieprzyjemny i rozdzierający, że Hubertowi znów zrobiło się słabo. Stanął pod oknem. Wtem jabłoń w ogrodzie poruszyła się na wietrze, przypinając go prawie o zawał. Jak oparzony odskoczył od okna, przewracając krzesło, które z hukiem runęło na ziemię. Zatkał uszy rękoma, ale ten hałas wciąż rozbrzmiewał mu w głowie. A gdy ucichł, zastąpiło go dzwonienie. Oparł się ciężko dłońmi o stół i zacisnął mocno powieki.

„Co miałem zrobić? – myślał gorączkowo. – Co ja miałem zrobić?”

„Zjedz coś, ogarnij się i przemyj rękę”.

Ręka!

Spojrzał na dłoń i krzyknął z przerażeniem. Jego palce były całe pokryte krwią.

„To się nie dzieje!”.

Zamknął oczy i znów spojrzał na dłoń. Tym razem zobaczył dwie niezbyt głębokie rany.

Bies atakuje tylko w mroku...

Jak kogoś naznaczy, będzie szedł jego tropem...

„On tu jest!”.

Hubert gwałtownie odwrócił się, widząc kątem oka cień w drzwiach kuchni, ale nic tam nie było.

„I przemyj tę rękę, żebyś czasem nie dostał wścieklizny”.

Spojrzał na dłoń.

...przemyj tę rękę...

– Woda – powiedział.

Na ziemi stało wiadro z wodą, którą rano przyniósł ze studni.

Zdjął z szafki małą miskę i postawił ją na stole. Spróbował unieść kubeł, okazał się jednak zbyt ciężki. Wpadł mu z rąk i z hukiem uderzył w podłogę, część wody chlusnęła na posadzkę. Odwrócił się i chciał wziąć miskę, ale zrzucił ją ze stołu. Okropnie hałasując, potoczyła się po podłodze.

...ofiara cierpi na stany lękowe, zmęczenie fizyczne...

Gorączkowo wsadził rękę do wiadra i zabrał się do szorowania ran, które zaczęły obficie krwawić.

Jak kogoś nazaczy, będzie szedł jego tropem, aż go dopadnie...

„Ale on nie żyje!”.

Coś huknęło na dworze.

Hubert, zataczając się, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Jabłoń tańczyła na wietrze, a wszędzie wokół były cienie. Wtem chłopak poczuł, że coś jest tuż za nim. Odwrócił się, jednocześnie sięgając do kabury po colta. Usłyszał krzyk

W ostatniej chwili się powstrzymał i nie strzelił. W drzwiach stała Ania z garnkiem w rękach.

– Uciekaj! – szepnęła do niej Hubert. – On tu jest.

– Kto? Co się stało? Jakty wyglądasz?!

– Czuję go!

Hubert przyłożył dłonie do skroni, poczuł chłód pistoletu, lecz to nie pomogło. Potworny ból uciskał mu czaszkę, wwierał się w mózg. To były demony! Zgiął się wpół. Tak samo czuł się wtedy w grodzisku, gdy zaatakowali ich dzicy ludzie. Zbyt dużo demonów w jednym miejscu! Krzyknął z bólu.

– Uciekaj!

Ania upuściła garnek i wybiegła z domu. Na podłodze rozprysnął się gulasz z marchewką i dużymi kawałkami mięsa.

Hubert, zataczając się i wciąż przykładając dłonie do skroni, przeszedł do swojej sypialni. Ramieniem zahaczył o futrynę drzwi. Z krzykiem zwałił się na podłogę. Przeczółgał się na czworakach kawałek i usiadł na dywanie, opierając się plecami o łóżko. Podciągnął kolana do klatki piersiowej i oparł o nie łokcie. Podniósł w górę dłonie, zacisnął je na colcie i zwiesił głowę.

Czuł gorący oddech biesa na karku, lecz nie miał odwagi podnieść wzroku, żeby na niego spojrzeć. Gdzieś na granicy słuchu dobiegały go pogwizdywanie leszego i syk wija. W kuchni szaleli dzicy ludzie.

Nagle podeszła do niego strzyga i wyrwała mu z rąk pistolet.

– Nie!!! – wrzasnął i zasłonił się przed śmiertelnym ciosem.

– Hubert... – usłyszał, ale było to zaledwie westchnienie. – Hubert.

Coś rozdzierająco piszczało mu w uszach.

– Hubert!

Zaraz strzyga rozerwie mu gardło.

– Hubert!!!

Ktoś nim potrząsał i nie był to żaden demon.

– Co ci jest? – usłyszał jak przez mgłę.

Podniósł głowę i zobaczył rozmazaną twarz Marka.

– Odezwij się!

– Zostaw. – Spróbował się szarpnąć, ale strażnik mocno trzymał go za ramiona. – One tu są.

– Kto?

– Demony.

Ponownie ukrył twarz w ramionach. Lepiej było nie patrzeć na pełne ostrych zębów paszcze demonów wykrzywione w groteskowych grymasach. Usłyszał tylko szepty, potwory się zmawiały, jak go zaatakować.

Wcisnął się w ląt pomiędzy łóżkiem a szafką i chciał stać się jak najmniejszy, jak najmniej widoczny, może demony go nie zobaczą, może w końcu sobie pójdą, a jego zostawią w spokoju.

– Idźcie sobie – szeptał. – Idźcie...

Słyszał coraz więcej szeptów, podłoga huśtała się, a demonów przybywało. Jeszcze mocniej zacisnął powieki.

Gdzie są jego rodzice? Dlaczego nie ma ich przy nim? Dlaczego nikt go nie obroni przed bestiami?

Nagle ktoś mocno chwycił go za ramiona i uniósł jego głowę. Ale Hubert nie patrzył. Nie śmiał spojrzeć w oczy śmierci.

– Proszę, idźcie sobie.

– Hubert! To ja, spokojnie.

Ktoś do niego mówił, ale nie poznawał tego głosu. Zaryzykował jedno, tylko jedno spojrzenie – ujrzał nad sobą strzygę z olbrzymią paszczą. Znów zacisnął mocno powieki i chciał schować głowę w ramiona, ale nie pozwolono mu na to.

– Hubert! To ja!

Otworzył oczy i zobaczył zatroskaną twarz Eli.

– Wypij to.

Spróbowała wcisnąć mu do ust butelkę z jakimś płynem, ale szarpnął się i ciecz rozlała mu się na koszulkę.

– Trzymajcie go mocniej!

Ucisk na ramionach i klatce piersiowej się zwiększył, prawie nie mógł oddychać. Spróbował się wyszarpnąć, lecz na próżno, był taki słaby.

– Trzymam – usłyszał.

Nie do wiary. To była Iza. Nie! Musi ją ostrzec! Zaraz zastrzeli ją snajper!

– Uważaj! – wybełkotał. – On cię zastrzeli!

Ela siłą wcisnęła mu w usta butelkę. Chłodna woda spłynęła mu do przelyku. Połknął kilka łyków i się zakrztusił. Ktoś walił go po plecach. A potem go puścili, znów mógł się zwinąć w kłębek taki, żeby nie zobaczył go żaden demon...

Hubert obudził się zdrętwiały ze strachu. Leżał na miękkim łóżku, a wokół panowała zupełna ciemność. Był w domu w Dąbrówce? Nie. W dworze w Kamiennej? Też nie. Gdzie on, do diabła, był? Wszystko go bolało, a szóstym zmysłem wy czuwał demony. Colt! Sięgnął ręką pod poduszkę, lecz tam go nie było.

Nagle zobaczył światło. Ognian. Jak zafascynowany patrzył na tańczące wokół siebie pomarańczowe światełka, które nagle złączyły się w jedno.

– Jak się czujesz?

– Iza?

– Przynajmniej nie krzyczysz, że wyglądam jak strzyga. – Uśmiechnęła się słabo, stawiając na stoliku świeczkę.

– Co się dzieje? Jesteśmy w bunkrze?

– Bunkrze? Nie, w Świącinie.

– A więc istnieje... Miałem rację – szepnął.

– Co z nim? – W drzwiach stanął Adam.

– Nie, nie, nie – szepnął Hubert. – Wije, uważaj na wije.

Iza z Adamem wymienili spojrzenia.

– Gdzie jest Henryk? – zapytał Hubert. – Nie może zostać, oni go zastrzelą...

– Wypij to. – Iza podniosła mu głowę i podsunęła kubek pełen wody z domieszką ziół.

Chłopak, krztusząc się, posłusznie wypił wszystko i ponownie zapadł w sen.

Gdy tylko odpłynął w niebyt, stanął oko w oko ze strzygoniem. Demon najpierw uderzył czymś w płot, jakby chciał na nim zagrać, a potem rzucił się na Huberta. Chłopak widział jego szalone, gorejące oczy, żyłaste łapy i długie pazury – podniesione, żeby zadać ostateczny cios.

A potem przyszedł mu na pomoc Michał.

– Nie! Nie! – krzyczał Hubert. – Michał! Zostań w domu! Nie wychodź! On cię zabije!

Znowu i znowu przeżywał śmierć przyjaciela. Cały czas widział, jak strzygoń ze złością go rozszarpuje, jak wbija pazury w jego ciało, łamie kości.

– Michał...

Gdzie był? Otworzył oczy i ujrzał popękany sufit. Leżał na starym drewnianym łóżku. Świącino, jego dom.

Spróbował unieść się na łokciach, ale wtedy pod czaszką wybuchł mu jeszcze większy ból. Jęknął słabo i opadł na poduszkę.

– Żyjesz?

Zobaczył nad sobą Izę, bladą i z podkrążonymi oczyma.

– Ledwo – mruknął.

Uśmiechnęła się.

– No proszę, pierwsza sensowna odpowiedź tego dnia.

– Co się stało?

Uniósł do czoła lewą dłoń, była zabandażowana.

– Odbiła ci szajba, ale wygląda na to, że chyba przechodzi.

Podawała mu kubek z wodą i pomogła się napić.

– Mam tylko nadzieję, że to nie jest zaraźliwe.

Zamknął oczy i zasnął. Tym razem bez koszmarów i demonów.

Obudził się kilka godzin później. Teraz siedziała z nim Kasia. Najpierw napiła go wywarem z ziół, a potem nakarmiła rosołem.

Dopiero wieczorem był w stanie spróbować logicznie myśleć i usiąść na łóżku o własnych siłach.

– Jak Maciejak? – zapytał, gdy wpadła do niego Iza.

– Z nim jest gorzej – odparła, odwracając wzrok – Musieliśmy przywiązać go do łóżka. Myśleliśmy, że zrobi sobie krzywdę. Teraz śpi. Ela z Maciejakową przygotowały miksturę z lawendy, kozłka lekarskiego, chmielu, melisy i dziurawca w nadziei, że mu pomoże. Ciebie też

nimi poły. Wtedy się mniej rzucaliście. Ale skoro tobie się polepszyło, to jemu też powinno.

Hubert zapatrzył się w ciemność za oknem.

– To był bies, prawda? – Iza usiadła na skraju łóżka. – Jego tak mocno ugryzł, ciebie też zahaczył zębem...

– Bies, jak kogoś nazaczy, będzie szedł jego tropem, aż go dopadnie – wyrecytował fragment demonologii. – Ofiara cierpi na stany lękowe, zmęczenie fizyczne...

– Musi mieć jakieś toksyny w ślinie albo coś.

– Albo coś – powtórzył głucho.

Przecież jeszcze przed wojną słyszał o jakiejś egzotycznej żabie, która w ślinie na ciele miała substancję wywołującą omamy. I o wielu innych naturalnych środkach halucynogennych.

Hubert przespał większość dnia. Czuł się tak paskudnie, jakby ciężko chorował, ale na szczęście omamy znikły. Już nie widział wszędzie wokół demonów. Przez cały czas w ciągu dnia ktoś go pilnował. Taksamo w nocy.

Rano odwiedziła go Iza.

– Jak się czujesz?

– Pewnie tak jak wyglądam.

– Czyli paskudnie.

Iza wyszła do kuchni, a Hubert założył spodnie i powlekł się za nią. W domu było ciepło, letnie słońce wlewało się do środka przez otwarte okno. Po raz pierwszy od wielu godzin nie trząsł się z zimna ani nie pocił z gorąca.

Do kubka nalał sobie reszkę kwasu chlebowego, który dostał od Kasi, i usiadł za stołem.

– Czy mieszkańców Święcina powinno się nazywać święcinianie? – zapytał niespodziewanie, kręcąc kubkiem.

Iza uniosła jedną brew ze zdziwieniem.

– Wiesz, że to brzmi, jakbyście byli mieszkańcami innej planety? – kontynuował.

– Znowu gadasz od rzeczy – skwitowała.

– Nie, umyśl mam teraz przejrzysty jak nigdy.

Iza towarzyszyła mu przy śniadaniu, lecz gdy zjadł, poczuł się tak senny i zmęczony, że na powrót skierował się do łóżka i padł na nie praktycznie wykończony.

Kilka godzin później Iza ponownie go odwiedziła, tym razem przynosząc ze sobą obiad.

– Z godziny na godzinę czuję się lepiej – przywitał ją, przeciągając się w progu kuchni.

– To dobrze – mruknęła Iza.

– Co jest? – Dopiero teraz zauważył, że jest bardziej pochmurna niż zwykle.

– Mamy problem – powiedziała powoli.

– Coś się stało Maciejakowi? – przestraszył się.

– Tak to znaczy nie. Dochodzi powoli do siebie, ale...

– Ale co?

– Ludzie się burzą – wyrzuciła z siebie.

– Burzą? Bo Maciej jak został ranny?

– Nie, tak nie tylko...

– Boże, chodzi o to, że prawie zastrzeliłem Anię? Takmi głupio, muszę ją przeprosić.

– Hubert, nie chodzi wyłącznie o wypadek przy biesie. – Spojrzała mu prosto w oczy, jej dwukolorowe tęczęwki hipnoty zowały.

– To o co? – Nie mógł zrozumieć.

– O wszystko – westchnęła z rezygnacją, zakreślając dłońmi w powietrzu półokrąg. – Wieczorem będzie spotkanie całej wsi. Dasz radę na nie pójść?

– Iza, ja nie rozumiem, o co chodzi?

– Chcą cię wyrzucić!

W domu zapadła martwa cisza. Tylko jedna mucha objiała się o szybę, nie potrafiąc znaleźć wyjścia na zewnątrz.

– Dlaczego wyrzucić?

– Mówią, że ściągasz kłopoty – powiedziała cicho.

– Ty też tak uważasz?

– Nie, ale...

Hubert przetarł dłońmi twarz. Chcą go wyrzucić. Jak mogą go wyrzucić ze Świącina? Znów poczuł się bardzo wyčerpany.

– Przyjdź na szóstą do świetlicy szkolnej – odezwała się Iza. – Ja już muszę iść. I nie martw się, strażnicy są z tobą.

Do szóstej czas włócił się niemilosiernie. Hubert był zmęczony i usiłował usnąć, ale za nic nie mógł tego zrobić. W głowie wciąż rozbrzmiewały mu słowa Izy: „Ściągasz same kłopoty”.

Tuż przed osiemną zrezygnowany poszedł do świetlicy szkolnej. Było już tam kilkoro mieszkańców wsi. Także paru strażników z rodzinami. Ci spojrzeli na niego ze współczuciem, a nie

wrogością jak pozostali. Sołtys kazał mu usiąść na przedzie, twarzą do wszystkich. Powoli sala wypełniła się ludźmi. Zaczęło się zebranie.

Hubert dowiedział się, że stanowi zagrożenie dla wszystkich, że jest lekkomyślny i naraża innych. Nie chciano go widzieć jako strażnika. Przez niego i jego głupie pomysły ucierpiał Maciejak, prawie zastrzelił Anię, przyczynił się do śmierci Mikołaja...

– Bez przesady! – odezwał się Stanisław. – Skąd mógł wiedzieć, że Mikołaj wybiegnie z lasu prosto na strzygę?

– To on ją rozwścieczył! – krzyknęła starsza siostra Mikołaja, jej mąż trzymał ją za rękę. – Gdyby tego nie zrobił, nie rzuciłaby się na niego!

– Gdyby nie uparł się na polowanie na biesa, mojemu mężowi nic by nie było! – dołączyła Barbara Maciejakowa.

Hubert nie mógł uwierzyć własnym uszom. Rozumiał, że kobiety miały do niego żal, ale żeby aż tak?

– Obcy włamał się do osady, bo szukał jego! – dodał mąż siostry Mikołaja. – Nikt nie wie, co robił, zanim do nas trafił. Słyszałem, jaki ma arsenał! Wiecie, jak trudno coś takiego zdobyć?

– Już na samym początku trafił do nas ranny, bo ktoś go pobił! – stwierdził ktoś inny. – Myślicie, że to było ot tak, bez przyczyny?

Hubert nie potrafił tego słuchać. Jak mogli rzucać oskarżeniami, nic nie wiedząc? Ludzie, których kiedyś tak lubił, którzy lubili jego.

– Jak bardzo trzeba narozrabiać, żeby zostać wyrzuconym z własnej osady?! – krzyknęła Barbara.

Hubert z niedowierzaniem spojrzął na Izę, która zmieszana opuściła głowę.

„Wygadała!” – pomyślał zdziwiony.

Chciał się bronić, powiedzieć im wszystko, dlaczego tu się znalazł, przecież pragnął jedynie uratować ich wszystkich. Wiedział jednak, że i tak by nie uwierzyli.

Na sali rozpętało się piekło. Ludzie zaczęli się kłócić, nawoływać, że należy go wyrzucić. Strażnicy usiłowali przekrzyknąć gniewny tłum, stanąć w jego obronie, lecz było ich zbyt mało. Sołtys próbował zapanować nad zebranymi – bez skutku. Hubert już nie słuchał zebranych, głosy dochodziły do niego jak zza mgły. Wszystko przepadło.

„Gdzie popełniłem błąd? – myślał. – Dlaczego?”

Miał wszystkiego serdecznie dość. Zateknił za Dąbrówką. Tam czekał na niego dom, czekała rodzina, a rodzina przecież powinna przebaczać, prawda? Przyjaciele i sąsiedzi, którzy znali go od tyłu lat, może nie traktowali go jakoś nadzwyczajnie, ale przynajmniej akceptowali. Najchętniej

wyszedłby z sali, zabrał Mokkę i pogalopował jak najdalej od Święcina.

„Jakodejdę, Iza w końcu namówi Henryka na podróż do Poznania”.

Przetarł dłońmi zmęczoną twarz.

„Nie mogę pozwolić im umrzeć. Muszę zostać, żeby przynajmniej nauczyć Izę i innych strażników wszystkiego, co sam wiem o demonach. Potem niech się dzieje, co chce”.

– Ludzie! Czy wyście powariowali?! – nad ogólną wrzawą dało się słyszeć potężny głos Henryka.

Były wojskowy rzadko się odzywał, ale jak raz huknął, wszyscy nagle zamilkli.

– Ten chłopak, ryzykując własne życie, uratował Andrzeja! – Wskazał palcem na Huberta. – Bez namysłu wskoczył do wody, żeby wyciągnąć zaatakowanego przez topielca Bartka. Gdyby nie on, Anię zabiłyby mamuny! Nie myśląc o sobie, rzucał się na ratunek mieszkańcom tej wioski! – Powiódł surowym wzrokiem po sali, ludzie spuszczały głowy. – W ciągu ostatnich miesięcy zabił więcej demonów, niż wy wszyscy razem wzięci w całym swoim życiu!

– Demonów, które sam sprowadził! Które przyszły tu za nim! – krzyknęła Barbara. – Nigdy jeszcze nie mieliśmy aż tylu ataków!

– Hubert, wyjaśnij pani Basi, jak to jest z demonami. – Henryk z paskudnym uśmiechem zwrócił się do chłopaka.

„To jest moja szansa, jeżeli teraz ich nie przekonam...”.

Wstał z krzesła i poczekał, aż uwaga zebranych skupi się na nim.

– Czy ktokolwiek z was wyobraża sobie, że zastępy demonów wędrują za mną tylko po to, żeby pomóc mieszkańcom Święcina? – powiedział. – Dajcie spokój. Z każdym rokiem demony stają się coraz silniejsze i jest ich coraz więcej. Nie mówcie, że tego nie zauważyliście! Tam, gdzie mieszkałem, jest dużo gorzej. Demony pojawiły się już dwa lata po wojnie, a potem ich tylko przybywało. Zabiliśmy jedno, to inne sprowadzały się na ich miejsce. Strzygi, strygonie, wije, biesy, utopce, mamuny, leszy, nawet nie wiem, jak się go nazywa w liczbie mnogiej, lejnin, boruta, ogniany, dzicy ludzie, psy południcy, owinniki. A to jedynie odrobina z tego wszystkiego, co widziałem! Podróżowałem ze wsi do wsi, z miasta do miasta i broniąc ludzi, zabijałem je wszystkie. Was też chciałem nauczyć, jak się przed nimi bronić, jak na nie polować albo co zrobić, żeby w spokoju żyć obok nich, bo dobra wiadomość jest taka, że nie wszystkie są agresywne i krwiożercze. Ludzie nie muszą wciąż ginąć, dlatego, że nie znają demonów!

„Oni się mnie boją – przemknęło Hubertowi przez myśl. – Tak naprawdę mnie nie znają i boją się mnie, tego, co wiem i co potrafię”.

Niektórzy patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami, inni spuścili głowy, wpatrując się we własne dłonie. Barbara i siostra Mikołaja wyglądały, jakby chciały jeszcze coś powiedzieć, o coś

go oskarżyć, ale nie miały pomysłów. Henryk uśmiechnął się delikatnie do Huberta, jakby chciał mu powiedzieć: „To im dogadałeś”. Ksiądz Adrian kiwał głową w zamyśleniu.

– Chłopak ma rację – odezwał się w końcu, przerywając ciszę.

Huberta zatkało. Ksiądz przyznaje mu rację? Tego jeszcze nie było.

– Sam przebywałem w miejscach, gdzie z jakiegoś powodu demonów jest więcej, a ludzie tam albo ginęli, albo po prostu się wyprowadzali. Jeżeli im na to pozwolimy, demony w końcu wyprą nas z naszych ziem.

– Czy ktoś jeszcze uważa, że popełniłem błąd, zatrudniając Huberta? – zapytał Marian Kościuszko.

Ludzie pokręcili głowami, mamrocząc cicho.

– Potrzebujemy go – odezwała się Iza. – Strażnicy go potrzebują.

Hubert zerknął na nią. Uśmiechnęła się słabo, jakby chcąc przeprosić.

Spotkanie dobiegło końca. Ludzie porozchodzili się do domów. Hubertowi po zebraniu pozostał niesmak. Tak jak mówił Henryk, ryzykował dla nich życie, a oni chcieli go wyrzucić. Ładne podziękowanie.

– Chodź. – Iza podeszła do niego i złapała delikatnie za łokieć. – Idziemy do piwnicy.

Marek zrównał się z nimi i poklepał chłopaka po ramieniu.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Oni tak mają. Chcieli znaleźć sobie kozła ofiarnego, którego mogą winić za wszelkie nieszczęścia. Trzeba im było przypomnieć, co już dla nas zrobiłeś.

Do piwnicy zeszli wszyscy strażnicy oprócz Andrzeja i Adama, którzy stali na warcie, a także Ela, Kasia z Łukaszem, ksiądz Adrian, nawet Ania.

Stanisław przyniósł z domu bimber z sokiem, Marek przygotował stół, a Ela z Kasią porozstawiały na nim poobtukiwane szklanki, które znalazły w piwnicy.

– Trzeba uczcić zwycięstwo – powiedział głośno Jacek – Zatrzymujemy naszego łowcę!

– Jakbym był szczeniakiem do przy garnięcia – mruknął Hubert, wzbudzając śmiech.

– Jak cię pierwszy raz zobaczyłem, to tak właśnie wyglądałeś – stwierdził Henryk.

Wypili jego zdrowie. Wszyscy – oprócz Ani, której Marek zabraniał nawet stać obok alkoholu. Rozmawiali, żartowali i się śmiali.

Chłopak przyglądał się twarzom przyjaciół. Stanęli po jego stronie, byli gotowi bronić go przed całą wsią. W końcu stał się naprawdę jednym z nich.

– Uważam, że powinniśmy zabrać cię na szaber – odezwała się Iza.

– Naprawdę? – zdziwił się Hubert, zresztą nie on jeden.

Iza najwyraźniej wcześniej oponowała przeciwko jego uczestnictwu w podróży.

– Tak Niech widzą, że jesteś nam potrzebny i że ci ufamy.

– Nie jest to głupi pomysł. – Stanisław pokiwał głową.

Hubert nie siedział w piwnicy zbyt długo. Już po dwóch godzinach dopadło go zmęczenie i potrafił myśleć tylko o własnym łóżku. Czuł się, jakby dopiero co wyszedł z długiej choroby. Zresztą nic dziwnego, skoro dwa dni wcześniej został „naznaczony” przez biesa, na szczęście martwego.

Kilka dni później spotkali się z Izą i Markiem w domu Henryka, żeby ustalić szczegóły podróży.

Hubert nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w mapę, na której zaznaczali trasę szabru, i wtedy zapaliła mu się w głowie czerwona kontrolka.

Przypomniał sobie przewrócone drzewo, którego nie można wyminąć, i zmianę planów. Przez przypadek natrafili wtedy na niewielką, ale prawie niezniszczoną miejscowość. W niej spotkali czterech żołnierzy, w tym starszego kaprala Czarneckiego.

– Nie możemy tędy jechać – zaprotestował.

– A to niby czemu? – zapytała Iza.

– Słyszałem, że... że tam są demony – wyjąkał.

– Że tam są demony? – powtórzyła dziewczyna. – Tam, czyli gdzie?

– O tutaj. – Postukał palcem w mapę. – Ktoś ze starych znajomych kiedyś mi mówił o całym stadzie wijów, które się tam zagnieździły.

– Akurat o tym miejscu? – zapytał podejrzliwie Marek.

– No tak, przejeżdżał tamtędy i pokazywał mi na mapie, kiedy usiłowałem rozpracować, gdzie występują demony. A uwierzcie mi, że naprawdę nie mam ochoty na wkraczanie na terytorium stada dorosłych wijów. Widziałem, co potrafią zrobić z człowiekiem.

– Ale może się już stamtąd wyprowadziły? – zasugerowała Iza.

– I chcesz się o tym przekonać na własnej skórze?

– No dobrze, to co w takim razie proponujesz?

– Pojedziemy trochę bardziej na południe, możemy zatrzymać się w tym miasteczku, spójrzcie. Może coś w nim jest. Wiem, że nadłożymy drogi, ale przynajmniej będziemy bezpieczni.

„Bezpieczni? Akurat. Może i nie spotkamy żołnierzy, ale kto wie, co za cholerstwo tam siedzi”.

– Myślę, że powinniśmy posłuchać Huberta – odezwał się Henryk – W końcu ponoć się na tym wszystkim zna.

– Ponoć – powtórzył.

– Niech wam będzie. – Iza wzruszyła ramionami.



ROZDZIAŁ VI

Na początku sierpnia rano opuszcili Święcino. Hubert jechał na Mokce, która wydawała się uszczęśliwiona perspektywą podróży, gdy z ostatnio ją zaniedbywał. Iza i Henryk również jechali wierzchem, Marek na jednym wozie, a Kasia z Łukaszem na drugim.

Przez cały dzień bez pośpiechu posuwali się przed siebie. Na noc zatrzymali się na polanie przy drodze. Zjedli kolację, ustalili warty i poszli spać do namiotów. Hubertowi przypało towarzystwo Henryka.

Kolejny dzień był dość podobny, zboczyli tylko do niewielkiej wsi, żeby się po niej rozejrzeć. Niestety większość domów popadła w ruinę, więc zebrali niewiele fantów. Późnym popołudniem ruszyli dalej w drogę i na wieczór zatrzymali się w lesie.

- Boże, ile tu komarów – narzekała Iza, oganiając się od owadów.
- Zjedzą nas żywcem – dodała Kasia.
- Dziwicie się? Kto wybrał na nocleg miejsce na bagnach? – powiedział Marek
- Skąd mogłem wiedzieć, że tu będą bagna? – bronił się Hubert.
- Mamy chyba umiesz czytać, co? – wytknął mu Henryk

– No umiem – mruknął chłopak

– To teraz za karę pójdziesz po drewno.

Chłopak z rezygnacją ruszył za Łukaszem do lasu. Przez kilkanaście minut znosili gałęzie w jedno miejsce, żeby potem zabrać wszystko do obozowiska.

– Powinniśmy się pospieszyć, niedługo będzie się zmierzchać – zauważył kompan.

– Spieszę się, nie widać?

– Jakś nie.

– Cii, sły szysz? – Hubert zniżył głos do szeptu.

Łukasz nerwowo rozejrzał się dookoła.

Las zamarł, ucichł, jakby w oczekiwaniu na coś niezwykłego. Hubert postąpił kilka kroków w głąb lasu i mocniej to poczuł. Niedaleko był demon, i to nie byle jaki.

– Co jest? – zapytał szeptem Łukasz, zniecierpliwiony brakiem reakcji kolegi.

– Pospieszmy się – odparł Hubert podekscytowanym głosem.

Złapał za końce kilka długich i potężnych gałęzi, po czym zaczął je ciągnąć w stronę obozowiska.

– Co się dzieje? – dopytywał się Łukasz.

– Zaraz wam wszystko powiem.

Hubert jeszcze bardziej przyspieszył kroku, słońce skryło się już za horyzontem.

– Chcecie coś zobaczyć? – zapytał, rzucając gałęzie obok ogniska.

– Co takiego? – zapytał podejrzliwie Henryk

– Niespodzianka, ale trzeba iść do lasu.

– Dlaczego mi się to nie podoba? – zapytała ponuro Iza.

– Bo on znów ma jakiś głupi pomysł – mruknął były wojskowy.

– No? To kto idzie ze mną?

Nie oglądając się na pozostałych, ruszył między drzewa. W pobliżu nie czaiły się żadne krwiożercze demony, tylko ten jeden niezwykły, którego nauczył się już odróżniać od pozostałych po aurze. Przeszedł kilka kroków i obejrzał się za siebie.

Tuż za nim dreptały dziewczyny, a dalej Łukasz i Henryk. Marek został, by pilnować obozu.

Z każdym krokiem aura demona stawała się coraz bardziej wyczuwalna, aż stanęli przed rozległym bagnem. Kilkanaście metrów od brzegu wystawało z błocka kilka uschniętych, skarlłowaciałych drzewek, a dalej, na samym środku, znajdowało się czarne oczko wodne. Wokół trzęsawiska rosły sosny, brzozy i dęby, które wyglądały, jakby nie śmiały przekroczyć jego

granicy.

– To, co zobaczycie, nie jest niebezpieczne, więc nie panikujcie – zaczął tłumaczyć. – W okolicy nie czuję żadnego demona, więc choć zapada zmrok, nie musimy się niczego obawiać. Aha, dobrze by było, gdybyście zachowywali się cicho, bo inaczej się przestraszy. Zrozumieście?

Nikt nie pokiwał głową. Z minuty na minutę robiło się ciemniej, twarze przyjaciół stawały się coraz bledsze w mroku. Hubert czuł demona całym sobą.

– Panie i panowie – zaczął, odwracając się w stronę bagna i stając na samej jego krawędzi. – Przedstawiam wam...

Celowo przeciągnął zdanie w oczekiwaniu. Wtem usłyszał cichy plusk na środku trzęsawiska.

– Oto ognian.

Z wody wynurzyły się błędne ogniki. Drobne, zielonkawe, tylko trochę jaśniejsze od nocy. Wyszły na trawę oraz mchy porastające powierzchnię bagna i zaczęły swój taniec. Kręciły się wokół własnej osi, usłakiwały, znikwały w zaroślach i za drzewami, żeby potem znów się pokazać, czarować i przyzywać do siebie.

Hubert usłyszał ciche westchnienie Kasi i Łukasza przełykającego głośno ślinę. Zerknął na przyjaciół wpatrzonych w bagiennego demona. Henryk położył dłoń na rękojęści maczety wsuniętej za pasek, Iza na wszelki wypadek wyjęła z kabury pistolet. Poza tym ani drgnęli.

Hubert z lekkim uśmiechem znów spojrzął na ogniana.

– Są co najmniej dwa albo trzy – szepnęła oczarowany.

Kilkadziesiąt błędnych ogników tańczyło na powierzchni bagna, przyzywały go do siebie. Były takie magiczne, takie piękne, takie niezwykłe. Nawet nie wiedział, jak bardzo tęsknił za ich widokiem. Mógłby wpatrywać się w nie całą noc. Postąpił krok do przodu, żeby się im lepiej przyjrzeć, żeby być bliżej nich.

– Hubert... – szeptały.

Jeszcze jeden, tylko jeden krok

– Hubert...

Tańczyły coraz szybciej i szybciej. Musiał podejść bliżej.

– Hubert! – Ktoś szarpnął go za ramię i wyrwał z transu. – Co ty wyprawiasz?! Chcesz się utopić?!

Odrzucił się i nieprzytomnym wzrokiem dostrzegł Izę.

– Złaź stąd natychmiast! – pociągnęła go za bluzę w stronę przyjaciół.

Wtem usłyszał głośny plusk. Zerknął na środek bagna, po błędnych ognikach pozostały jedynie

kółka wody tworzące się na małym bajorku.

– No chodź! – Iza ciągnęła go na brzeg. – Ja nie wiem, co ci odbiło.

Hubert pozwolił się poprowadzić, a gdy stanął na twardym gruncie, przetarł dłońmi twarz, usiłując pozbyć się uczucia, jakie pozostawił na nim widok demonów.

– Co to było? – zapytała Kasia.

– Ogniany, inaczej zwane błędnymi ognikami – wyjaśnił Hubert, starając się trzeźwo myśleć.

– Naprawdę piękne – westchnęła dziewczyna. – Ale nie były niebezpieczne?

– Nie, nie dla was – odparł. – Wracajmy do obozu, żeby Marek się nie martwił.

Wyminał przyjaciół i ruszył przez las, starając się nie widzieć badawczego wzroku Henryka i Izy. Było mu głupio. On, niby taki wielki łowca demonów, a dał się oczarować zwykłym ogniom.

„Głupek! – wyrzucał sobie. – Przecież mogłeś przypuszczać, że tak to się skończy. Ogniany zawsze tak na ciebie działały. Gdyby nie Iza, jak durny polazłbyś na sam środek bagna i się utopił!”

– Gdzie byliście tak długo? – zapytał z wyrzutem Marek, kiedy weszli w krąg światła rzuconego przez ognisko.

Konie, przypalikowane do ziemi, stały przy wozach i rżały cicho.

– Hubert pokazywał nam demony – odparł Henryk, jakby wciąż sam nie do końca wierzył w to, co zobaczył.

– Co?! Jakie demony?!

– Ogniany – wyjaśniła rozmarzonym tonem Kasia.

– Słucham?!

– Takie świecące węgorze na bagnach – wyjaśnił Łukasz. – Ponoć nie są agresywne.

Usiedli na matach wokół ogniska.

– Ale demony? – Marek kręcił głową.

– Przyznamę, dość ładne były te błędne ogniki – powiedziała Iza. – Ale najciekawsze było to, jak oczarowały naszego łowcę.

Spojrzała na Huberta, który był pewien, że się zaczerwienił.

– Prawie by się utopił, idąc do nich – kontynuowała. – Nawet przypomniały mi się te wszystkie opowieści o młodzieńcach zwabionych przez rusalki.

– Jezu, raz mi się zdarzyło – mruknął.

– Ale dlaczego? – zapytała miękko Kasia. – Wiesz, to było naprawdę niepokojące.

– Jestem bardziej czuły na obecność demonów niż inni – mruknął. – Z jednym ognianem jeszcze jakoś daję sobie radę, ale nie przypuszczałem, że będą aż trzy. I one po prostu... ja...

– No cóż, to dopiero ciękawostka – przerwał mu Henryk – Dziewczyny, zapamiętajcie, jak będziecie chciały się go pozbyć bez świadków ani brudzenia sobie rąk, wystarczy pokazać mu te ogniany.

Wszyscy się zaśmiali. Nawet Hubert, choć wciąż było mu głupio.

Kolejnego dnia po południu natrafili na małą wioskę, którą pozostawiono w zaskakująco dobrym stanie. Włamali się do lokalnego sklepu. Nawet przed wojną musiał mieć ubogi asortyment, ale znaleźli w nim trochę paczkowanego jedzenia i kilka kilogramów soli. Potem przeszukali domy. W mieszkaniach śmierdziało stęchlizną, na parapetach leżały zdechłe owady, a kurz pokrywał wszystko grubą warstwą. Z kilku domostw zabrali ubrania, buty, garnki, naczynia, nawet materace, koce i pościelenie. Na wóz pakowali wszystko, co tylko mogło się przydać w Świącinie.

Hubert, spacerując po jednym z domów, zapędził się na piętro, do pokoju, który musiał kiedyś należeć do młodej dziewczyny. Na kolorowej tapecie poprzyklejano plakaty z aktorami i zespołami muzycznymi, wszystkie lekko wyblakłe, niektóre odczepiły się od ścian i smętnie zwisały. Przechodząc koło biurka, przeciągnął po nim palcem, tworząc rysę w kurzu, i wtedy potknął się o plecak wypakowany książkami.

– Miałś iść do szkoły? – powiedział. – Ale nie zdążyłaś, zabrakło prądu, potem ustanowili godzinę policyjną i w końcu rozpętała się epidemia. Nawet nie przypuszczałaś, że tak to się skończy.

Mógłby wyjąć podręczniki z plecaka i zobaczyć, jak dziewczyna się nazywała, ale wolał tego nie robić. Lepiej, gdy pozostawała dla niego bezimienną istotą, która odeszła z tego świata dawno temu.

Stał przed regałem z książkami i zaczął czytać tytuły. Nic mu nie mówiły, ale przecież nigdy nie czytał tego, czego nie musiał, a to, co musiał, omijał szerokim łukiem. Wziął do rąk jedną książkę i przeczytał notatkę na tylnej okładce.

Uśmiechnął się do siebie. Skoro książkę czytała jakaś nastolatka, to czemu miałyby się nie spodobać Ani, która w Świącinie może liczyć na dostęp jedynie do kilku encyklopedii i romansów. Wyjął z regału całą trylogię i wziął ją pod pachę. Zadowolony z dobrze wypełnionej misji zbiegł ze schodków i podszedł do wozów.

– Oho, Hubert będzie się nam dokształcał – rzuciła złośliwie Iza, patrząc, jak zawija książki w kolorową poszwę na koldrę, którą znalazł w innym domu.

– Ja i książki? Daj spokój, to prezent.

– Prezent – powtórzyła. – Dla kogo?

– Tajemnica.

– Dzieciak – Wywróciła oczami.

Podszedł do nich Marek

– Skończyliście się kłócić? Bo mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do zapakowania, a niedługo się ściemni. Henryk właśnie szuka dla nas domu na nocleg.

– Więc pakuj. – Iza ustąpiła Hubertowi z drogi. – W końcu ty jesteś facetem. A ja pójde pomóc Henrykowi.

Hubert poukładał na wozie wszystkie rzeczy, jakie znaleźli w domach, starając się, żeby zajęły jak najmniej miejsca. Później przeciągnęli wozy do ogródka znajdującego się za domem, który wybrał Henryk, puścili konie luzem i zamknęli bramę.

Kasia na ognisku ugotowała obiad, który zjedli w salonie.

Chociaż Hubert opróżnił trzy talerze, to wciąż czuł ssanie w żołądku. Niestety jedzenie się skończyło. Z żalem wyjrzał za okno, na niebo zasnutę ciemnymi chmurami.

– Zbiera się na deszcz – zauważył Marek

– Wozy są zabezpieczone? – zapytał Henryk

– Tak – odparł zadowolony z siebie Hubert.

– A konie mają gdzie się schować w razie ulewy?

– Mają. – Podczas gdy Kasia gotowała, otworzył dla nich garaż.

– To co? Karty? – zaproponował Marek

Wszyscy ochoczo pokiwali głowami. Hubert przysunął swój wielki fotel do stolika.

– Rozłóż. – Zatarł ręce, w końcu kiedyś musi się odegrać na koleдке.

Zaczęli grać, niestety Hubert dostał słabe karty i nie miał szans na wygraną. Za drugim rozdaniem bardziej mu się poszczęściło, ale tym razem wygrał Henryk. Po pięciu smrotnych przegranych chłopak był już znudzony i jeszcze bardziej głodny.

– Nie mamy nic więcej do jedzenia? – narzekał.

– Nie mamy – ucięła Kasia.

Hubert zaczął wzdychać z takim żalem, że dziewczyna w końcu się zdenerwowała.

– Heż można jeść! – wybuchła.

– Co ja na to poradzę? – Spojrzał na nią niczym zraniony szczeniak

– Jak chcesz, to na wozie mam schowaną wędzoną kielbasę – jęknęła zrezygnowana.

– Dzięki! Jesteś najlepsza! – krzyknął i wybiegł na dwór w ciemną noc.

Ledwie mógł dostrzec sylwetki koni. Uważając, by o nic się nie potknąć, dotarł do wozu i zaczął go przeszukiwać.

– Na wozie, na wozie – narzekał. – Ciekawe tylko, na którym.

W końcu po długich poszukiwaniach znalazł to, czego szukał. Triumfalnie wyciągnął pętko wędzonej kiełbasy zawinięte w kawałek materiału.

– Czemu tak długo?

Gwałtownie się odwrócił.

– Dlaczego się skradasz? – zapytał z wyrzutem.

– Nie skradam – odparła Iza. – Już się martwiliśmy, że coś cię pożarło.

– Martwiliście się?

– Tak, że może nie dokończy roboty i wrócisz do nas żywy – odparła sarkastycznie.

– Chodźmy już, bo zaraz tu umrę z głodu.

Skierowali się w stronę ciemnego domu, którego okna lekko rozświetlał blask świec palących się w salonie.

Coś zaszeleściło w zdżiczających krzewach porzeczek. Hubert odwrócił się w tamtą stronę i nagle to poczuł – aurę demona, którego rozpoznalby wszędzie. Nie musiał go zobaczyć, by wiedzieć, że będą kłopoty.

– Szlag – zaklął.

– Co się stało? – Iza się zatrzymała.

– Idź do środka, zaraz przyjdę.

Lecz dziewczyna nie zamierzała słuchać Huberta, badawczo mu się przyglądała.

– No idź, muszę siku. – Wcisnął jej w rękę pętko kiełbasy i lekko popchnął w stronę domu.

Przez kilka sekund patrzył na oddalającą się Izę, a potem podszedł do porzeczek.

– Co ty tu robisz? – zapytał szeptem krzewów, kucając przed nimi.

W ciemności, niczym dwa diabelskie ogniki, mrugnęły do niego czerwone oczy.

– Wyłaź stamtąd.

Wyciągnął ręce przed siebie, ale demon ani drgnął, jedynie cicho warknął.

– Ośle jeden! – zdenerwował się. – Po cholere za mną przyłazłeś? Zastrzelą cię i tyle. Nie? Nie zamierzasz stamtąd wyjść? No dobra, jak sobie chcesz. Twoja sprawa.

Wyprostował się i odszedł od krzaków, ostentacyjnie odwracając się do nich tyłem.

– Co za głupia bestia – mruknął.

Usłyszał cichy szelest i zerknął przez ramię do tyłu. Wielki czarny kocur powolnym dumnym

krokiem wyszedł z porzeczek, wlepiając swoje czerwone ślepia w chłopaka.

– Hubert? Uważaj!

Spojrzał w kierunku domu, pod którym stała Iza z pistoletem wycelowanym w demona.

– Nie! – wrzasnął. – Poczekał!

Rzucił się w stronę kota i porwał go w ramiona, co było nie lada wysiłkiem, gdyż demon ważył swoje i wcale nie miał ochoty na pieszczotę.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła dziewczyna. – To demon!

Klakier, urażony takim bezceremonialnym traktowaniem, wbił pazury i zęby w ramiona Huberta.

Chłopak wrzasnął i go upuścił. Kot czmychnął w zarośla. Iza wystrzeliła.

– Nie!

Hubert podbił w górę jej pistolet.

– Nie strzelaj – sapnął.

– Odbiło ci?!

– Oddaj mi to. – Wyszarpnął jej broń, zabezpieczył i wsunął za pasek spodni.

Z domu wybiegli pozostali.

– Co się dzieje? – zapytał Henryk

Iza spojrzała na Huberta i wykonała dłońmi nieokreślony gest.

– Znow ma jakiś atak – stwierdziła.

– Wszystko gra, poczekałcie chwilę – próbował uspokoić przyjaciół.

Przykucnął przy krzakach.

– Chodź tu, ty przekłety kocie – mamrotał. – Bo jak się naprawdę zdenerwuję, to nawet Zuza cię nie obroni.

Demon powoli wyszedł z zarośli, okazując przy tym całym sobą, że jest na Huberta obrażony, a potem usiadł obok niego na ziemi i z zainteresowaniem wpatrywał się w jego przyjaciół.

– Przedstawiam wam Klakiera – powiedział niepewnie chłopak

Iza sapnęła głośno, Henrykowi wyrwało się z ust przekleństwo, a Marek mocniej zacisnął dłonie na karabinie.

– Spokojnie, nic wam nie zrobi. – Hubert zasłonił go swoim ciałem, żeby nikt nie wpadł na pomysł, by go zastrzelić. – Nie jest agresywny. To jest ee... taki domowy demon.

– Czy ciebie pogięło?! – wybuchł Marek

– On naprawdę jest niegroźny – przekonywał Hubert. – Zobaczcie.

Pochylił się nad kotem, który akurat lizał sobie łapę, i pogłaskał go po głowie. Ten nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– Widzicie?

– Jak możesz bratać się z demonami? – zapytała z wyrzutem Iza.

– Nie wszystkie są złe. Sami widzieliście ogniany ...

– Tak, te same, przez które prawie się utopiłeś! – syknęła.

– Ale nie były groźne, bały się nas. A Klakier... Klakier jest z nami od kociaka, zwykła kocica go przygarnęła i karmiła razem ze swoimi młodymi. Jeszcze nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy.

– Właśnie widzę. – Iza spojrzała na podrapane ręce Huberta.

– Nic mi nie jest, zawsze się tak bawimy. – Machnęła ręką.

– W sumie wygląda na całkiem miłego – odezwała się Kasia.

Zanim Łukasz zdążył ją powstrzymać, minęła go i podeszła do Huberta.

– Mogę?

Skinął głową. Przykucnęła przed kotem i uśmiechnęła się do niego.

– Cześć – powiedziała.

Mężczyźni wraz z Izą wstrzymali oddech.

Klakier spojrzał na Kasię badawczo, potem raczył się podnieść z ziemi i otarł się o nią bokiem, mrucząc. W porównaniu ze zwykłymi kotami jego mruczenie przypominało warkot silnika motorowego.

– Ale jesteś słodki – przyznała Kasia, odwracając roześmianą twarz do pozostałych, gdy wielkie kocisko ocierało się o jej kolana.

Łukasz zaklął cicho, nie wiedząc, co robić.

– Może wejdziemy do domu? – zaproponował Hubert.

– A co z nim? – zapytała Kasia.

– Zrobi, co będzie chciał, zawsze tak było.

„Diabeł jeden, wybrał sobie kolejną dziewczynę o miękkim sercu – pomyślał. – On już dobrze wie, dla kogo trzeba być miłym, i ja do tych osób na pewno nie należę”.

Wszyscy weszli do domu, Hubert z Kasią na samym końcu. Stanęli w otwartych drzwiach i poczekali na Klakiera, który najwyraźniej uznał, że w środku będzie ciekawiej niż na zewnątrz.

Wrócili do salonu. Kasia zajęła miejsce na kanapie, a demon wskoczył tam za nią i ułożył się wygodnie, kładąc wielki łeb na kolanach kobiety.

– Cwaniak – mruknął Hubert, opadając na swój fotel.

Przypomniał sobie o wędzonej kielbasie, która leżała na stole. Urwał spory kawałek i podał Kasi.

– Daj mu, będzie cię uwielbiał jeszcze bardziej.

Uradowana dziewczyna nakarmiła kota, a raczej to on pozwolił jej dostąpić tego rzadkiego zaszczytu i dumnie przyjął od niej jedzenie.

Iza, siadając po drugiej stronie stołu, spoglądała na niego z wrogością. Podobnie Marek i Henryk Nikt nie usadowił się na kanapie, którą zajmował demon, choć było na niej jeszcze dużo miejsca. Łukasz znalazł się w patowej sytuacji. Najchętniej zająłby miejsce przy żonie, ale jakoś nie odpowiadało mu towarzystwo wielkiego czarnego kota o czerwonych ślepiach. Stał więc obok, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

– To teraz prosimy o słowo wyjaśnienia, dlaczegoż to przyjaźnisz się z demonami – powiedziała głośno Iza.

– Latem, jakieś trzy czy cztery lata temu, coś kradło nam w nocy kury i gęsi – zaczął Hubert. – Nie wiedzieliśmy, co to takiego, ale urządziliśmy polowanie. Był to owinnik, demon w postaci kota. A jak go zabiliśmy, okazało się, że to samica, która broniła swojego młodego. Klakier mieścił się wtedy w jednej dłoni, kilka dni wcześniej musiał jeszcze być ślepy.

– Przepraszam bardzo – przerwał mu Henryk – I nie przyszło wam do głów, że to demon i trzeba go zabić?

– No... przyszło. Chcieli go zabić, ale była z nami taka dziewczyna, która go uratowała i nie pozwoliła na to. Ja jej zresztą pomogłem.

– Jesteście nienormalni – podsumowała Iza.

– Uwierz, że już nam to mówiono. Przygarnęła go kocica sąsiadki, więc uznaliśmy, że nie może być taki zły, prawda? A potem rósł, rósł i sam zaczął zdobywać pożywienie.

– Kury i gęsi? – odpowiedział Marek

– Nie, Zuza pilnowała, żeby nawet nie myślał o tknięciu zwierząt gospodarskich. No i tak sobie żył z nami prze te wszystkie lata. Ludzie się do niego przyzwyczaili i zaczęli traktować jak każde inne zwierzę.

– A jakim cudem znalazł się tutaj? – dopytywała Iza.

– Są koty, które przemierzyły setki kilometrów, żeby wrócić do domu – odparł Hubert. – Klakier musi mieć ten zmysł dużo bardziej rozwinięty i potrafi odnaleźć ludzi, nie wiedząc nawet, dokąd się wybrali. Najwyraźniej nudziło mu się w domu i postanowił mnie odszukać.

W Dąbrówce nikt nie miał wątpliwości, że owinnik należy do Zuzi, i gdy tylko wyjeżdżała ze

wsi, zawsze jej towarzyszył. Jakimś cudem musiał zdawać sobie sprawę z tego, że także Hubertowi zawdzięcza życie, i już wiele razy podązał za nim i za Ernestem podczas szabru, nawet gdy Zuzia zostawała w Dąbrówce. Nikt nie wiedział, dlaczego Klakier tak postępował, po prostu jak każdy kot chadzał własnymi ścieżkami.

Święcinianie spoglądali z podejrzliwością na demona, który z przymkniętymi powiekami mrucał z błogością, gdy Kasia drapała go za uszami.

– Zaraz każda kobieta w Święcinie będzie chciała mieć swojego – mruknął niezadowolony Łukasz.

– Mów, co chcesz – zaczął Hubert. – Ale odłąd się do nas sprowadził, nie widziałem w gospodarstwie ani jednej myszy.

Następnego dnia podróż minęła bez problemów. Klakier zniknął zaraz po śniadaniu, ale odnalazł Kasię w porze obiadu, czym zasłużył sobie na solidną porcję mięsa. Łukasz narzekał, że mają niewiele zapasów i nie powinna dzielić się nimi z demonem, dziewczyna jednak zwyczajnie go zignorowała.

– Cwany ten twój demon – skwitowała Iza.

– Czasami aż mnie to przeraża – odparł z uśmiechem Hubert.

Późnym popołudniem dojechali do kolejnego miasteczka, które wyglądało, jakby strawił je pożar. Podczas zarazy sprzęty z większości domów wyniesiono za wieś i tam spalono, kilka domów też nie uniknęło tego losu.

Trudno nawet było znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg. Ogołoczone budynki stały się domem dla dzikich zwierząt, panowały w nich brud i wilgoć. W końcu zdecydowali się na niewielki domek stojący na początku wsi, w którym udało się rozłożyć na podłodze maty i śpiwory.

Hubert nakarmił konie jęczmieniem wymieszonym z owsem, wyszczotkował je i wyczyścił im kopyta. Na skórze Mokki pojawiło się kilka otarć od siodła, więc posmarował je maścią z nagietków zabraną ze Święcina przez Kasię. Gdy skończył, przycupnął na łamieniu obok Izy, która usiłowała rozpalic ognisko w ogródku.

Dziewczyna ułożyła niewielki stosik z sosnowych gałązek, a pod nim usypała kopczyk z igliwia. Lecz wszystko było mokre po wczorajszym deszczu i nie chciało zająć się ogniem.

– Coś słabo ci idzie – zauważył Hubert, przyglądając się staraniom Izy.

– Jak taki cwaniak jesteś, to sam spróbuj wykręsać ogień z mokrego drewna – mruknęła, dmuchając w igliwie, które ledwie się żarzyło.

Hubert podniósł się z kamienia i rozejrzał. Już po chwili zobaczył to, czego szukał. Dwa ogródki dalej rosła brzoza. Bagnetem naciął białą korę, a potem ją oberwał.

– Mogę? – zapytał, podchodząc do Izy.

– A proszę cię bardzo – odparła, podnosząc się z kłęczek.

Hubert położył zwitki brzożowe pod stosikiem gałązek, wziął od dziewczyny zapalną i przyłożył ją do kory, która od razu zajęła się ogniem. Delikatnie na niego dmuchnął, a płomyki wkrótce przeniosły się na igliwie i w końcu na drobne gałązki.

Hubert wyprostował się i szeroko uśmiechnął do Izy.

– Punkt dla ciebie – przyznała.

Gdy zapłonął duży ogień, Kasia przygotowała kolację w stalowym kociołku. Klakier oczywiście w jakiś magiczny sposób doskonale wiedział, kiedy będzie podawane do stołu, i pojawił się zaledwie kilka minut wcześniej.

Okazało się, że było za mało drewna, więc Hubert z Łukaszem wyszli do lasu.

– Będę musiał w tych Piotrkowicach znaleźć porządne meble – powiedział Łukasz, gdy ciągnęli za sobą gałęzie; jego stos był dużo większy niż ten Huberta. – Wiesz, do domu, bo na razie nie mamy tam nic.

– Ludzie chyba wam pomogą i dorzucą coś od siebie, prawda?

– Pewnie tak, ale wiesz, nikt nie ma kompletu mebli do salonu na zbyciu.

– To fakt. A gdyby tak się wybrać na szaber tylko po to?

– Co? Zdurniałeś? Sołtyś w życiu by nas nie puścił.

– No i właśnie to jest wasz błąd – stwierdził Hubert. – Jak dla mnie Święcino jest na tyle duże, by wyznaczyć dwoje ludzi, których obowiązkiem byłoby tylko i wyłącznie jeżdżenie na szaber.

– Taa? I niby kto miałby to robić? Chyba nie znajdziesz wielu chętnych do podróżowania. To nie jest zbyt bezpieczne.

– Ja bym mógł. Już tyle się po świecie...

Weszli właśnie na podwórko i Hubert stanął jak wryty, a gałęzie, które ciągnął za sobą, upuścił na ziemię. Krew ścięła mu się w żyłach – przy ognisku siedzieli nie tylko jego przyjaciele, lecz także czterej żołnierze.

– Dziękuję ci, kochana. – Najstarszy stopniem przyjął od Kasi kubek z kawą zbożową. – O, następni goście? – Spojrzał na chłopaka.

– Nie, to nasi – wyjaśnił Henryk.

Trzej pozostali żołnierze, w tym także starszy kapral Czarnecki, zmierzli Huberta i Łukasza

zaciekawiony m wzrokiem.

Pod Hubertem ugięły się kolana.

„Co robić? Co robić?” – myślał gorączkowo.

Na razie Czarnecki jeszcze go nie rozpoznał, ale chłopak dobrze wiedział, że to kwestia czasu.

Szywno podszedł do ogniska i rzucił na bok drewno.

– Witam, porucznik Brzozowski – przedstawił się dowódca grupy, podając mu dłoń. – Starszy kapral Czarnecki, sierżant Barański. – Wskazał na niższego i grubszego żołnierza w okularach. – I sierżant Krzywicki. – Mężczyzna wyglądał, jakby jego twarz przeżyła spotkanie z maszynką do mielenia mięsa.

– Hubert i Łukasz – dokonał prezentacji Henryk

„Co robić? Pozabijają nas – myślał gorączkowo chłopak – A może sobie nie przypomni? Może zaraz sobie pójdą? Przecież zmieniłem się przez te cztery lata od momentu wyjazdu z Gdańska. Boże, zrobiłem wszystko, żeby ich nie spotkać! Jakim cudem? Zupełnie zmieniłem trasę naszej podróży!”.

Tymczasem porucznik Brzozowski mówił o tym, jak to wyjechali na zwiad z bazy wojskowej w górach, że chcą odbudować stary świat. Zapytał, skąd pochodzą jego nowi znajomi, na co Henryk rzucił jakieś kłamstwo.

„Wszystko jest tak samo!”.

– Czy my się czasem nie znamy? – zapytał nagle starszy kapral Czarnecki, a serce Huberta niemal przestało bić.

Zadziałał odruchowo. W jednej chwili wstał, wyciągnął z kabury pistolet, odbezpieczył go i wycelował. Pozostali wojskowi drgnęli zaskoczeni, kiedy Henryk, Marek i Iza również w nich wymierzili. Karabiny żołnierzy leżały na ziemi niedaleko wozów, na szczęście nie zostali dopuszczeni z nimi do ogniska. Kasia zamarła z przerażenia, Łukasz zasłonił ją sobą.

– Tak, znamy się – powiedział powoli Hubert. – Przypomnieć ci Gdańsk?

Czarnecki sapnęła cicho.

„A więc pamięta”.

– Niech no pomyślę – kontynuował z pistoletem wciąż wycelowanym w czoło starszego kaprala. – To chyba ty kłamałeś na prawo i lewo, żeby tylko dostać się na Górę Gradową. Byłeś w zмовie ze Zgorzelcem i Nowym Portem. To ty zabiłeś kapitana Brzeszczota i Bóg wie, ilu jeszcze! – Mówił, a jego głos brzmiał coraz pewniej i donośniej. – Przez ciebie zginął Filip, który nie miał nawet siedemnastu lat, zginęli Sacharuk, Prawy, że o samym Zgorzelcu nie wspomnę.

Przypomniał sobie te bolesne wydarzenia i czuł, jak wzbiera w nim złość i nienawiść do tego

żołnierza. Hubert widział, jak na czole przybysza pojawiają się kropelki potu.

– Strzeliłeś Brzeszczotowi w plecy – powiedział chłopak już ciszej.

– Taak, już ciebie pamiętam – odparł Czarnecki, odzyskując animusz. – I tego twojego wielkiego kolegę. Przez was prawie zginąłem tam, na Starym Mieście.

– Szkoda, że cię wtedy nie powiesili.

– Szybko się stamtąd wyniosłeś, prawda? Jakbyś chciał wiedzieć, Portowcy dawno temu opanowali Górę i Starówkę.

Hubert zamarł. Opanowali Górę i Starówkę. Czy to znaczy, że cała jednostka upadła, a mieszkańcy nie żyją? Wtem zrobił coś, na co miał ochotę już od długiego czasu: poprawił chwyt na colcie i z wciąż zaciśniętą na nim pięścią przyłożył Czarneckiemu w nos, aż usłyszał chrupot łamanej chrząstki. Starszy kapral zalał się krwią. Nie mógł nawet przekłinać chłopaka, bo pluł posoką. Jego koledzy ani drgnęli. Byli na celownikach.

– Tylko nie myśl, że jesteśmy kwita – powiedział głośno Hubert. – Jeżeli jeszcze kiedykolwiek się spotkamy, obiecuję, że cię zabiję.

Chociaż zdawał sobie sprawę, że groźbę zrealizowałyby tylko wtedy, gdyby przyjaciele byli w bezpośrednim niebezpieczeństwie, to przecież żołnierz nie mógł tego wiedzieć.

– Zabierzcie swojego kolegę. – Chłopak zwrócił się do pozostałych mężczyzn. – Zasłużył sobie na to, co tu dostał. Tylko czasem nie próbujcie zaatakować nas w nocy.

Żołnierze pomogli Czarneckiemu wstać, Henryk nie pozwolił im zabrać broni. Kilka minut później znikli w lesie.

– W nocy będzie trzeba uważać – powiedział Henryk, kiedy zostali sami.

– Nie powiem, ty to masz dopiero ciekawy życiorys – dodał Marek, znacząco patrząc na Huberta.

– O niektórych rzeczach wolałbym nie pamiętać – westchnął chłopak.

Wszyscy usiedli wokół ogniska.

– A więc o co chodziło? – nie wytrzymała Iza.

Hubert posłał jej zmęczone spojrzenie.

– Myślę, że mamy prawo wiedzieć. Możemy przecież spodziewać się ataku żołnierzy – dodała pojednawczo.

– Opanowali Górę i Starówkę. – Chłopak powtórzył słowa Czarneckiego. – Niech ich szlag.

– Co to za Góra? – dopytywała się Iza.

– Góra Gradowa w Gdańsku – powiedział. – Na niej były stare fortyfikacje, gdzie zamieszkali żołnierze pod dowództwem kapitana Brzeszczota. Była to właściwie zbieranina dzieciaków, które

nie miały gdzie się podziąć. – Jego wzrok zamglili się, gdy wspominał dawnych przyjaciół. – U stóp Góry, na Starym Mieście, w zabytkowych kamienicach żyli cywile. Mieszkałem na Górze przez kilka miesięcy i naprawdę nie było tam tak źle. Do czasu, aż zjawił się Czarnecki, który był w zмовie z zastępcą kapitana. Przekłęty Zgorzelec chciał sam dowodzić jednostką. Zorganizował to tak, żeby Brzeszczot zginął, a on przejął władzę. Lecz potem wszystko się posypało. Była strzelanina, ludzie poginęli... – Pokręcił głową, myśląc, ile krwi rozlano wtedy zupełnie niepotrzebnie. – Zrobiło się naprawdę nieciekawie. Wiosną opuściłem z kumplem Gdańsk mając nadzieję, że jakoś sobie poradzą, ale... ale chyba im się nie udało.

Zwiesił głowę. Co się stało z Agatą, Kajetanem, Burtowym? Czy Sylwia i Ada były bezpieczne w Brzeźnie? Czy Beacie z rodziną udało się uciec? Dawno już o niej nie myślał. Ostatnie miesiące tak obfitowały w wydarzenia, że niemal zapomniał, że kiedykolwiek był w Gdańsku i całymi godzinami siedział z piękną skrzypaczką na dachu kamienicy, mając u stóp niemal cały świat. Tylko z nią potrafił tak szczerze rozmawiać. Hubert ukrył twarz w dłoniach. Kiedyś zastanawiał się, co by było, gdyby nigdy stamtąd nie wyjechał. Czy wciąż byłby z nią? Czy udałoby się obronić jednostkę przed Portowcami? A może by tam zginął?

– Wiesz, że on mógł kłamać? – Iza niespodziewanie przysunęła się do niego i położyła mu dłoń na plecach. – Wiedział, że zależało ci na tamtych ludziach, na tamtym miejscu, więc powiedział, że ktoś ich zaatakował. To wcale nie musiało się wydarzyć.

– Mam nadzieję. – Głos Huberta ledwo było sły chać.

„Ale wiesz, że się wydarzyło – szepnęła złośliwa myśl w jego głowie. – To było tylko kwestią czasu, kiedy Góra upadnie”.

– Iza ma rację – przyznała Kasia, podając Hubertowi kubek z parującą herbatą. – Ja bym nie wierzyła tamtemu ty powi na słowo.

– Dziękuję. – Chłopak wziął od niej gorący napój.

„Dlaczego mam wrażenie, że gdziekolwiek się ruszę, śmierć jest tuż za mną? Tak chętna, żeby mnie oszczędzić, choć wiele razy wcale na to nie zasługiwałem. Lecz wciąż zabiera moich bliskich”.

Tego wieczoru Henryk zlitował się nad Hubertem i wyznaczył mu pierwszą wartę. Chłopak siedział więc samotnie przy ognisku, wpatrując się w płomień i wsłuchując w odgłosy lasu. Klakier wrócił ze spaceru, na który udał się tuż po kolacji, i zwinął się w kłębek tuż przy jego nogach.

Hubert wiedział, że żołnierze raczej nie wrócą tej nocy. Byli przecież w mniejszości, a poza tym stracili karabiny. Obawiał się za to, że usłyszy w oddali wycie demonów w wilczej skórce. Wyglądało na to, że jednak historia zatacza koło, i nie chciał, żeby potwory zaskoczyły ich

w ciemności. Okolica wyglądała jednak na spokojną.



ROZDZIAŁ VII

Następnego dnia dotarli do Piotrkowic i od razu skierowali się do supermarketu. Tak jak kiedyś magazyn był nienaruszony i już wkrótce wozy wypełniły się wszelkimi dobrami, a w szczególności solą. Dziewczyny w towarzystwie Klakiera wybrały się do sklepów z ubraniami.

Gdy mężczyźni огоłocili magazyn, Łukasz namówił Huberta, żeby przeszedł się z nim w poszukiwaniu mebli do salonu. Dość szybko znaleźli elegancki zestaw z ciemnego drewna, prawie nienaruszony, jednak potrzebowali pomocy Marka i Henryka, żeby wynieść wszystko z mieszkania i zapakować na wóz.

Zanocowali w Piotrkowicach, a następnego dnia z samego rana ruszyli dalej w drogę. Z wozami zapakowanymi po brzegi jechali dużo wolniej, lecz nie mieli powodów, żeby specjalnie się spieszyć. Na noc zatrzymali się w lesie, a kolejnego dnia, późnym popołudniem, dotarli do Lipczynka, wsi zaprzyjaźnionej ze Święcinem.

Swoje rzeczy zanieśli do szkoły, w której mieli spać. Konie i wozy, zabezpieczone plandekami, zostały przed budynkiem.

– Twój demon nie pojawił się od śniadania – powiedziała Iza, gdy przesuwali ławki, żeby mieć miejsce na rozłożenie mat do spania.

– W rzeczy samej – odparł Hubert, wyglądając przez okno.

– Nie żeby mnie to martwiło. – Dziewczyna wruszyła ramionami. – Ale wiesz, że robi się marnie, jak ni z tego, ni z owego wkroczy do Lipczyńka jak do siebie?

– Nie jest chyba aż tak głupi.

– Też mam taką nadzieję. Martwię się o niego – westchnęła Kasia.

Łukasz i Iza równocześnie wywrócili oczyma.

Kasia zwróciła gniewne spojrzenie na swojego męża.

– Jak ty chcesz iść na obiad do sołtysa? – naskoczyła na niego. – Ubierz się elegancko. Już, tu masz koszulę i spodnie.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Kiedyś gdzieś słyszał, że czystość jest potrzebą duszy, nie ciała. Mógł być koniec świata, ale jak szło się w odwiedziny, należało założyć coś czystego i eleganckiego. W czasach gdy większość ludzi była bardzo zżyta z ziomkami i dumna ze swoich niewielkich społeczności, stało się to formą przekazu: „Spójrzcie, jak dobrze wiecie się naszej wsi”.

Jednak Hubert nigdy nie przejmował się tym, w co się ubiera. Ku zgorszeniu przyjaciół, założył więc spodnie od munduru, które były tylko trochę brudne, i wyblakłą czarną koszulę z zaledwie jedną dziurą na rękawie.

– Coś mi tu nie gra – powiedział Marek, gdy szli przez wieś zatopioną w wieczornej szarówce.

Henryk skinął lekko głową.

– Co masz na myśli? – zapytał Hubert.

– Nie wiem. Jest jakoś ponuro, jakby wydarzyło się u nich coś niedobrego.

– Zaraz się dowiemy – odezwała się Iza, kiedy stanęli przed drzwiami domu sołtysa.

Paweł Kamiński zaprowadził gości do jadalni, gdzie czekała na nich kolacja.

– Jak minęła wam droga? – zagadywał podczas posiłku.

– Całkiem niezłe – odparł Henryk – Praktycznie bez większych problemów. A co słyście u was?

Kamiński westchnął ciężko.

– Już nie tak dobrze – odparł. – Bestie przypominające wilki pożerają nam bydło. Jeszcze nie zaatakowały człowieka, ale z dnia na dzień stają się coraz bardziej zuchwałe.

Hubertowi widelec wypadł z rąk i z głośnym brzdękiem uderzył o pusty już talerz, a potem spadł na dywan.

Henryk spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Przepraszam – bąknął chłopak, schylając się pod stół.

„A więc dlatego za nami nie szły – pomyślał. – Tym razem zostały tutaj!”.

– Wystarczy, chodźmy – szepnęła do niego Iza, gdy się wyprostował.

– Słucham? – Spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem.

Dziewczy na pociągnęła go za rękę i wyszli z jadalni tuż za Kasią i Łukaszem.

Henryki Marek, pogrążeni w rozmowie z gospodarzami, nie zwrócili na nich uwagi.

Szli przez ciemny korytarz, kiedy nagle Iza się zatrzymała, odwróciła i lekko mrując oczy, spojrzała na Huberta. Chłopak cofnął się o krok i poczuł za plecami ścianę.

– To demony, prawda? – szepnęła, dźgając go palcem wskazującym w klatkę piersiową.

– Co? – zapytał zaskoczony.

– Nie udawaj głupiego – fuknęła. – Te willi, o których mówił sołtys.

Hubert spoważniał. Nic nie mówiąc, spojrział w oczy Izy.

– Słyszałeś już o nich?

– Tak – Skinął głową.

– Są niebezpieczne?

– Nie chciałyś ich spotkać.

– Cholera – mruknęła. – Dobra, idziemy.

Odwróciła się i nie patrząc, czy Hubert ruszył za nią, skierowała się w stronę wątego światła sączącego się z pokoju na końcu korytarza. Weszli do przestronnego salonu, w którym siedziało kilka osób. Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę i Hubert nagle pożałował, że włożył elegancką koszulę do wojskowych spodni.

Iza przedstawiła mu wszystkich, choć i tak nie zapamiętał imion, po czym usiedli na kanapie naprzeciwko Kasi i Łukasza. Na stole było trochę jedzenia, ciasto, coś do picia i dwa wielkie kwiaty słonecznika z dojrzałymi ziarnami.

Hubert uśmiechnął się do swoich myśli. Doskonale pamiętał ten wieczór. Tylko że wtedy był poturbowany, zmęczony i nie dawała mu spokoju myśl o tym, co robił, zanim trafił do Świącina. Tym razem znał swoją przeszłość i wiedział, jak powinna wyglądać jego przyszłość.

Przejechał wzrokiem po twarzach nowo poznanych osób. Większości w ogóle nie pamiętał, kojarzył jedynie Marcina, dwudziestoletniego syna sołtysa, który coś właśnie opowiadał, gwałtownie gestykulując. W jednej chwili słuchający go wybuchli śmiechem. Byli wśród nich Łukasz i Kasia. Iza z kolei oparła się łokciami o stół i rozmawiała z jakimś chłopakiem. Hubert widział, jak się w niego wpatrywała szeroko otwartymi oczyma i słuchała z zapartym tchem.

Rozmówca wydawał się zachwycony jej uwagą, tłumaczył coś ściszym głosem.

– Gdyby wzrok mógł zabijać, biedny Piotrek padłby już trupem – usłyszał.

Odwrócił się i zobaczył ładną dziewczynę z krótkimi włosami.

– Julka jestem. – Wyciągnęła do niego dłoń.

Wciąż kątem oka zerkając na Iżę, uściśnęła jej rękę.

– Słyszałam, że jesteś nowy w Świącinie – zagadnęła dziewczyna.

– Taa, mieszkam tam od paru miesięcy.

– A skąd jesteś?

– Z mrocznej i demonicznej północy.

Zaśmiała się.

– Jesteś strażnikiem?

– Tak, ale zastanawiam się nad przekwalifikowaniem się na zawodowego szabrownika.

– Poważnie? – zdziwiła się.

– A czemu nie?

– To jest... to jest niebezpieczne.

– Życie jest niebezpieczne.

– I chciałbyś ciągle jeździć tylko na szabry? – dopytywała.

– Pewnie, nawet nie wiesz, ile ciekawych rzeczy można znaleźć w opuszczonych miastach.

– Ja bym tak nie mogła. Pomijając kwestię demonów i niebezpiecznych ludzi, jeżdżenie po opuszczonych miastach jest dla mnie straszne – rzekła z namysłem. – Chodzenie po cudzych domach, w których kiedyś mieszkali ludzie, dzieci... – Potrząsnęła głową. – Jakś czas po wojnie nocowałam w takim dużym, opuszczonym domu. Był tam pokój pomalowany na błękitno, wszędzie leżały zabawki, a pod oknem stało dziecięce łóżeczko. Nigdy tego nie zapomnę.

– Przykro mi – odezwał się Hubert. – Ja staram się po prostu o tym nie myśleć.

– I co? Pomaga?

– Nie bardzo.

Julka przysunęła się do niego bliżej. Pochlebiało mu jej zainteresowanie.

Na chwilę oderwał od niej wzrok i zerknął na Iżę – zmroziła go spojrzeniem, co jeszcze bardziej poprawiło mu humor.

– A czym ty się zajmujesz? – zapytał Julkę.

– Niczym ciekawym. Pracuję w domu, w gospodarstwie. Trochę się uczę u naszego weterynarza. No i na imprezach gram na gitarze.

„Kolejna muzykalna dziewczyna” – przemknęło mu przez myśl. Przypomniał sobie o Beacie i humor mu się zwarzył. Nie widział jej już cztery lata, ale mimo to tęsknił i bardzo się martwił.

Gdy zegary wybiły drugą w nocy, Iza zarządziła powrót do szkoły. Hubert przyjął to z niejaką ulgą, gdyż ż powoli zaczął już przyśypiać.

– Dawno już nie poznałam tyłu ludzi naraz – stwierdziła Kasia, kiedy znaleźli się we czwórkę na sali.

– Ale było miło – powiedział Łukasz.

– Dlatego właśnie lubię jeździć na szaber – dodała Iza.

– Mnie też się podobało – odezwał się Hubert, przez co córka Sołtysa posłała mu wrogie spojrzenie.

Usiadł na macie i zaczął rozsznurowywać buty.

– Dowiedzieliście się czegoś ciekawego? – zagadnął.

Kasia i Łukasz pokręcili głowami.

– Same plotki – powiedziała dziewczyna.

– Ja usłyszałam całkiem sporo o tych demonach – rzuciła od niechcienia Iza.

– Boże! Myślisz o demonach nawet w tak piękny wieczór? – westchnął Hubert.

– W przeciwieństwie do ciebie, łowco – odparła złośliwie.

– Czy musimy rozmawiać o tym w tej chwili? – zapytała z wyrzutem Kasia.

– Masz rację, nie musimy – mruknęła Iza. – Nasz myśliwy jutro się wszytkim zajmie.

– O co ci chodzi? – jęknął Hubert.

– O nic – burknęła. – Dobranoc. – Położyła się na macie i przykryła śpiworem.

Obudził go Henryk Miał wystraszony wyraz twarzy. Obok Iza niespokojnie przestępowała z nogi na nogę.

– Wstawaj, w nocy zaatakowały demony – ponagliła go.

– Co?! – Podniósł się gwałtownie i spojrzał na Henryka. – Powiedz, że ona żartuje.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Cholera. – Hubert przetarł dłońmi twarz.

– Nie rozumiem, jak mogły się ot tak wedrzeć do wsi? – odezwała się Kasia, stojąc przy oknie.

Objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

– Czy komuś coś się stało? – zapytał Hubert. – Konie?!

– Nic im nie jest – odparł Henryk. – Ale demony porwały człowieka. No, rusz się, idziemy

spotkać się z innymi. Marek jest już na miejscu.

Hubert skinął głową. W minutę się ubrał i założył pas z coltem. Wątpił, że w takiej chwili cokolwiek będzie miał coś przeciwko jego ubiorowi.

Razem z Izą, Henrykiem i Łukaszem poszli do domu sołtysa. Kasia została w szkole.

Weszli do jadalni, w której poprzedniego wieczoru tak bez troski jedli obiad. Było tam już kilku mężczyzn, sołtys Kamiński, jego żona i młoda, zapląkana kobieta.

– Wcale nie było tak późno – mówiła przez łyżę. – Może o północy...

– To jest wnuczka zaginionego – Marcin, syn sołtysa, szepnął do nowo przybyłych. – Wczoraj był u niej z wizytą, a w nocy miał wrócić do swojego domu, lecz do niego nie dotarł.

Kobieta zanosła się płaczem i nie była w stanie już nic z siebie wydusić. Zresztą, i tak nic nie widziała. Nikt nic nie widział, dopiero rano znaleziono rozbitą lampę naftową i plamy krwi na trawie. Sołtysowa wyprowadziła szlochającą wnuczkę ofiary z salonu.

– To te przekłete wilki – mruknął ktoś. – Zrobiły podkop pod siatką.

– Do tej pory nie były aż takie bezczelne – powiedział sołtys.

– Jak to nie były?! Atakowały nasze bydło, podczas gdy lasy roją się od dzikiej zwierzyny!

– Ma rację – dodał ktoś inny.

„Wczoraj po północy – myślał Hubert. – Jakim cudem ich nie wyczułem?! Może byłem zbyt zmęczony albo chodzi o odległość? Boże, wracaliśmy w ciemnościach do szkoły, kiedy te demony mogły już włóczyć się po wiosce!”

Wzburzeni mieszkańcy Lipczyńska zaczęli opracowywać plan ataku na bestie. Chcieli je wytropić, osaczyć i wybić co do jednej.

Wtem do domu wkroczyło trzech mężczyzn ze strzelbami. Miny mieli ponure. Jeden pokręcił głową.

– Znaleźliśmy tylko kilka kości – powiedział.

– Nie musieliśmy nawet wchodzić zbyt głęboko w las – dodał drugi.

Pozostali spuścili głowy. Zyskali już pewność, że zaginiony mężczyzna nie żyje.

Teraz wszyscy pragnęli jedynie zemsty.

– Jak je znajdziemy? Mogą być już daleko stąd – powiedział ktoś w ogólnym zamieszaniu.

Hubert wypuścił z płuc powietrze; pochwycił spojrzenie Izy. Zdawało się mówić: „No, dalej, łowco”.

„Jesteś gościem w obcej wsi – odezwał się głos w głowie chłopaka. – Nikt nie wynajmował twoich usług, nie możesz im rozkazywać”. „Ale mogę spróbować ich uratować” – odparł w myślach.

– Nikt nie pójdzie do lasu – powiedział głośno.

Wrzawa przycichła. Zaskoczeni miejscowi spojrzeli na niego.

– Jeżeli w lesie spotkacie te wilki – mówił dalej Hubert, wykorzystując chwilę ciszy – zabijają was. A jeżeli, nie daj Boże, traficie do ich gniazda, nie macie nawet najmniejszych szans. Nikt nie ujdzie z żyć ciem.

– A ty skąd to wiesz? – zapytał Kamiński.

– Bo to nie są zwykłe wilki. Te demony są znacznie większe, silniejsze i cwańsze niż jakiegokolwiek zwierzęta. Sami wiecie, jak trudno je zabić. Można wpakować w takiego cały magazynek, a on mimo to się podniesie!

– Spotkałeś się już z nimi? – zapytał jeden ze starszych strażników Lipczyńka.

– Tak – Hubert skinął głową. – Cudem przeżyłem. Zaatakowały mnie i moich towarzyszy w lesie. Wiedzieliśmy, że nadchodzą, stanęliśmy plecami do jeziora, po dwóch stronach ustawiliśmy wozy. Było nas pięciu roślących mężczyzn uzbrojonych po zęby, mieliśmy nawet granaty. – Trochę naginał prawdę, ale przecież nikt tego nie mógł sprawdzić. – A wilków było zaledwie siedem. Udało nam się zabić jedynie trzy i dopiero wtedy reszta odpuściła. Myślicie, że będziecie mieli jakiegokolwiek szansę, jeżeli zaskoczą was w środku lasu?

– Chłopak może mieć rację – powiedział ktoś.

– Dobrze, co więc proponujesz? – zapytał sołtys.

– Poczekaj na nie tutaj. Na pewno się zjawią, odkąd na łąkach nie pasie się wasze bydło, a w okolicy nie ma żadnych podróżników, na których mogłyby napaść.

Wrzawa wybuchła na nowo.

– Chcesz, żeby znowu wdarły się do wsi?!

– A jak tym razem porwą jakieś dziecko?!

– Zwariowałeś?!

I tak dalej. Hubert pozwolił mężczyznom pokrzyzczeć, a potem znów podniósł głos.

– Przecież będziemy na nie czekać przy gotowaniu!

Henryk z aprobatą pokiwał głową.

– Mówicie, że weszły pod siatkę? – kontynuował chłopak – Zostawmy im to wejście. Ale dalej, między domami, postawimy płot, tak żeby znalazły się w pułapce. Myśliwi będą czekać w budynkach. Każdy chyba umie strzelać z okna, prawda? Wystrzelamy te demony jak na strzelnicę, nawet się nie zorientują, co się dzieje, i nikomu nie stanie się krzywda.

– Od razu się zorientują, że coś jest nie tak, jeden wejdzie, zauważy pułapkę i po sprawie – powiedział starszy strażnik Lipczyńka.

– To zrobimy tę zagrodę odpowiednio dużą, możemy też zostawić przynęty.

Mieszkańcy osady patrzyli po sobie, niepewni, co zrobić. Owszem, pomysł nie wydawał się głupi, ale to nie oni na niego wpadli.

– Możecie mi wierzyć – odezwał się nagle Henryk – że jeżeli chodzi o demony, ten chłopak zna się na nich jak nikt inny. Zabił strzygę uzbrojony jedynie w nóż, podobnie było z topielcem, urządził razem z nami polowanie na biesa. W ciągu kilku miesięcy uratował już życie co najmniej połowie ludzi ze Świącina.

Słyszając o jego wyczynach, mężczyźni z Lipczyńką spojrzeli na niego odrobinę inaczej.

– Dobrze – westchnął w końcu Kamiński. – Mów w takim razie, co jeszcze wiesz o tych demonach.

Hubert przywołał w pamięci wiadomości z demonologii.

– Nazywają się trojany – powiedział. – Wolą unikać światła. Ogień może odstraszyć je jedynie na chwilę, bo jak chcą coś upolować, nic ich od tego nie odwiedzie. Najlepiej strzelać w ich łby...

Ostatniego nie był pewien, ale w końcu sprawdziło się to przy biesie.

Mówił dalej, czerpiąc ze wspomnień ze spotkania z tymi samymi bestiami. „Ernest na pewno miałby więcej do powiedzenia – przemknęło mu przez myśl. – Umiałby przekonać miejscowych”.

Ale Hubert znów był zdany na własne siły.

Po jego argumentach sołtys zarządził budowę zagrody. Lecz święcinianie udali się wprawdzie do szkoły, żeby zjeść śniadanie. Dopiero później mieli dołączyć do pozostałych.

– Całkiem niezłe. – Marek poklepał Huberta po ramieniu, kiedy szli przez wieś. – Jak dzisiejsze polowanie się uda, to zostaniesz okrzyknięty gwiazdą.

– Zawsze marzyłem o sławie – odparł z uśmiechem.

Wchodzili już do budynku, kiedy Iza gwałtownie złapała go za ramię i zatrzymała.

– Założę się, że wymyśliłeś to na poczekaniu – powiedziała, przykładając palec wskazujący do jego piersi.

Hubert był przekonany, że znów będzie się go czepiała. Lecz, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył, że Iza lekko się uśmiecha. Najwyraźniej minął jej zły humor z poprzedniego wieczoru.

– Przyznamę, zmyśliłem samą nazwę, ale reszta jest prawdą.

– Dlaczego zmyśliłeś?

– Bo to nie są zwykłe wilki. Już dawno stwierdziliśmy, że dużo łatwiej jest walczyć z bestią, którą potrafimy nazwać, niż z bezimiennym potworem. Choć większość demonów pasuje mniej

więcej do swoich opisów w demonologii, kilka razy zdarzyło się nam nagiąć lekko prawdę, żeby nadać demonowi imię.

Iza powoli pokiwała głową.

– Dobrze, chodźmy na śniadanie, to będzie długi dzień.

Czterech mężczyzn ze Świącina pracowało na równi z miejscowymi, zbijając pale i deski. Najbliżej siatki, pod którą demony przedostały się do środka, stały cztery domy. Plan zakładał, żeby zostały w środku zagrody, a ściany budynków znajdujących się dalej miały posłużyć jako łączniki dla płotu. Konstrukcja musiała być wytrzymała i wysoka, żeby wilki nie wdarły się głębiej do wsi.

– Przyniosłam wodę.

Hubert odwrócił się i zobaczył Julkę z dwiema butelkami.

– Dzięki. – Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Czy to prawda, że zabiłeś mnóstwo demonów? – zapytała cicho.

– Kilka. – Wzruszył ramionami.

– Dlaczego mi wczoraj nie powiedziałeś? – zapytała z wyrzutem.

– Bo nie było o czym.

– Uważam, że było.

Hubert nonszalancko oparł się o płot, ale kiedy usłyszał głośny trzask, natychmiast się od niego odsunął. Jeszcze tego brakowało, żeby runął na ziemię wraz ze stertą desek

– Trochę trzeba jeszcze popracować, żeby się nie zawalił – stwierdził.

– Julia! Gdzie ty jesteś z tą wodą?! – krzyknął ktoś.

– Muszę iść. To na razie.

Był pogodny dzień, na niebie pojawiło się kilka chmurek, ale nie zdołały zasłonić słońca. Wieś rozbrzmiewała szumem ludzkich rozmów, uderzeniami młotków i chrobotem pił. Można by rzec, że to zwykle popołudnie, gdyby nie to, na co wszyscy się przygotowywali.

Nagle wśród odgłosów wsi rozległ się kobiecy wrzask, głośny, długi i ścinający krew w żyłach.

Hubert z Markiem stanęli jak wryci, spojrzeli po sobie i w tej samej chwili pomyśleli dokładnie o tym samym.

– Klakier! – krzyknęli równocześnie.

Ruszyli biegiem w stronę, skąd dochodził krzyk. Przez otwartą bramę wpadli na podwórko dużego domu.

Na miejsce dotarli równocześnie z Marcinem, synem sołtyśa, i Wojtkiem, roslim strażnikiem.

– Tam coś jest! – powiedziała drżącym głosem Julka, wskazując palcem na zadaszony stos drewna. – Jakieś duże zwierzę.

– Spokojnie, zaraz zobaczymy, co to. – Wojtek położył jej dłoń na ramieniu.

– To on? – zapytał szeptem Marek

Hubert kiwnął głową. Nie miał żadnych wątpliwości, że czuje zapach owinnika.

– Poczekajcie. – Marek zatrzymał Wojtkę z pistoletem i Marcina z grubym kijem. – Hubert to załatwi.

– Tylko nie strzelcie mi w plecy! – poprosił chłopak

Cudem przekonał przyjaciół, by nie zabijali Klakiera. Jak odwiedzie od tego ludzi z Lipczyńką, nie miał pojęcia.

– Sam się o to prosisz, głupi kocie – mamrotał, zaglądając za drewno.

Ukryty w cieniu, na ugiętych łapach, machając ogonem, siedział Klakier.

– Kici, kici – spróbował Hubert, ale demon spojrział na niego z wyrzutem. – Zastrzelą cię, zobaczysz. Przyłazisz tu sam, straszysz ludzi...

– Co on robi? – usłyszał Wojtkę.

– Zobaczysz – odparł Marek – Weź schowaj ten pistolet, nie będzie potrzebny. Hubert! Pospiesz się, bo zaraz cała wieś się tu zleci!

Chłopak podszedł do bardzo niezadowolonego kota.

– Klakier, ja ciebie proszę, zachowuj się – jęknął. – Jeżeli coś ci się stanie, Zuza nie daruje nam obu. – W końcu demon drgnął i podszedł do Huberta. – Tak, chodź, zabiorę cię do Kasi – obiecywał chłopak

Klakier otarł się grzbietem o jego nogi i zaczął cicho mruczeć.

– Teraz wezmę cię na ręce, tylko bez takich numerów jak ostatnio.

Kot pozwolił mu się wziąć w ramiona i Hubert w końcu odetchnął z ulgą. Wyszedł zza stosu drewna i aż się uśmiechnął, widząc miny Wojtkę i Marcina.

– Co to, do cholery, jest?! – wybuchł strażnik

– Jego zwierzątko – wyjaśnił Marek

– Czy to jest kot? – zapytał Marcin.

– To jest demon! – krzyknął jakiś mężczyzna, który dopiero co przyszedł.

– Nie wszystkie demony są złe – odezwał się Hubert, modląc się, żeby Klakierowi nie zachciało się bawić w berka. – Ten jest jak taki przerośnięty kot, nawet mruczy. – Podrapał go za uchem. – Mrucz, pchlarzu – szepnął.

– Zanieś go do szkoły, Kasia się nim zajmie – zaproponował Marek

Hubert z zapalem pokijał głową, minął wciąż osłupiałych mężczyzn i ruszył w stronę szkoły, zapewniając demona, ile to pyśności tam na niego czeka.

– Klakier! – zakrzyknęła na ich widok Kasia. – Martwiłam się o ciebie!

Kot wyrwał się z ramion chłopaka i truchtem do niej podbiegł. Z radością zaczął ocierać się o nogi dziewczyny i głośno mruczeć.

– Nic ci się nie stało? – dopytywała, głaszcząc go.

– Na razie nic – burknął Hubert. – Ale coś czuję, że będą z tego jeszcze kłopoty.

Wyrzał przez okno; na drodze kilkanaście metrów od szkoły zaczęli zbierać się mieszkańcy Lipczynka.

– Zaopiekuj się nim i nie pozwól wyjść z budynku – poprosił Kasię, po czym wyszedł na zewnątrz.

Tak jak przypuszczał, rozpętała się awantura. Nikt nie chciał demona we wsi, nie pomagało tłumaczenie, że jest nieszkodliwy. Skoro tak bardzo wystraszył Julkę, to nie wiadomo, do czego jeszcze jest zdolny. Przyjaciele Huberta oczywiście stanęli po jego stronie, gotowi bronić Klakiera, i dopiero gdy zagrozili, że nie pomogą w nocnym polowaniu, sołtys Kamiński spuścił trochę z tonu.

– Ma być cały czas zamknięty – zdecydował w końcu. – Jak go zobaczę chodzącego po wsi, nie rękę za siebie. Nie chcemy demonów szwendających się po okolicy.

– Dobrze, będzie zamknięty – obiecał Hubert.

Afera skończyła się, więc ludzie zaczęli się rozchodzić.

Na ulicy pozostał jedynie młody łowca z przyjaciółmi.

– Mało brakowało – odezwał się Marek

– I kto by pomyślał, że kiedykolwiek będziemy bronić demona – powiedziała Iza, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Hubert spojrział na nią z wdzięcznością.

– Dzięki – westchnął. – Kiedyś będę miał poważne kłopoty przez tego kota.

– Ale ponoć dobrze myszy łapie – zażartował Henryki z siłą uderzył go w łopatkę.

Do wieczora czas minął tak szybko, że zanim się obejrzel, słońce zniknęło za horyzontem. Kilku mężczyzn wykonywało jeszcze ostatnie prace przy płocie, pozostali zjedli kolację i pozajmowali pozycje w domach. Nie tylko w tych wewnątrz zagrody, lecz także wokół niej, na wypadek gdyby wilkom udało się jednak sforsować ogrodzenie.

Konie ze Świącina zostały zamknięte w stajni.

Hubert z Izą usiedli na lekko spadzistym dachu budynku w środku zagrody, skąd mieli dobry widok na całe obejście, piętro niżej z okien mieli strzelać Marcin i Łukasz.

– Pamiętaj, żeby dać znać Henrykowi, jak tylko go wyczujesz – przy pomniała Iza.

– Tak, wiem – westchnął.

– Mam nadzieję, że nikt nie zacznie strzelać przedwcześnie, bo wtedy się wystraszą i uciekną.

– Spokojnie, będzie dobrze.

Spojrzał na sąsiedni dach, gdzie usadowili się Henryk z Kamińskim. To oni mieli dać sygnał do rozpoczęcia ostrzału.

– A płot wytrzyma?

– Powinien.

Kątem oka zerknął na Izę. Na policzkach dziewczyny pojawiły się rumieńce, w oczach błyszczały iskierki. Siedziała na dachu, trzymając z pewną nonszalancją strzelbę na kolanach, lecz Hubert doskonale wiedział, że jest zdenerwowana, choć w życiu by się do tego nie przyznała. Nikt nie zdołałby jej odwieść od udziału w polowaniu.

– Strzelam lepiej i celniej niż niejeden facet, a na dachu nic mi nie grozi – powiedziała, ucinając wszelkie dyskusje, choć niektórym mężczyznom z Lipczynka nadal się to podobało.

– Jak samopoczucie? – zagadnął Hubert, kiedy świat spowiła wieczorna szarówka.

– Całkiem niezłe – odparła lekko. – Choć nie lubię czekać.

– Poprzedniej nocy zaatakowały po północy, możemy więc jeszcze trochę tu posiedzieć.

– Dobrze, że przy najmniej nie pada deszcz.

Hubert pokiwał głową. Po niebie płynęło jedynie kilka chmur, mogli więc liczyć na dobrą widoczność i nie martwić się, że w ciemnościach nie dostrzegą demonów.

– Naprawdę są groźniejsze od wilków? – zapytała Iza po chwili milczenia, patrząc na uwiązaną na końcu zagrody kózę, która miała służyć za żywą przynętę.

– Na pewno większe i wredniejsze. Co prawda nie dorównują biesowi, ale polują w stadzie.

– Z biesem jakś nam poszło, więc i tutaj może nie będzie źle.

– Poszło? Daj spokój, po tym wszystkim chcieli wyrzucić mnie ze Świącina.

– Trochę się przestraszyli. – Machnęła ręką. – Zobaczysz, przejdzie im.

– Mam nadzieję.

– Hubert?

– Tak?

– Pamiętasz, jak mówiłeś, że chciałbyś nas nauczyć wszystkiego, co sam wiesz o demonach?

– Tak I?

– Oczywiście nie wątpię w to, co mówisz, ale czy nie lepiej byłoby zdobyć demonologię?

Hubertowi serce podskoczyło do gardła. Mniej więcej w tym samym czasie Iza zaplanowała kiedyś wyprawę do biblioteki po tę przekłętą książkę.

– Wybij to sobie z głowy – powiedział zdecydowanie.

– Słucham? – zapytała zaskoczona.

– Nie pojedziesz do Poznania.

– Po co do Poznania? – Wyglądała na zbitą z tropu. – Myślałam, że skoro masz tę książkę w domu, może moglibyśmy tam pojechać.

Hubert poczuł ulgę, ale zaraz opuścił głowę i zaczął skubać palcami mech rosnący na dachówkach.

– Nie jestem pewien, jak wygląda sytuacja w domu.

– Mogłobyś pojechać tam tylko na chwilę, nie musisz zostawać na dłużej. Weźmiesz książkę i wracasz, proste.

– No właśnie nie. Ta książka nie do końca należy tylko do mnie.

– Mówiłeś, że to twoja demonologia.

– Niby tak, ale... ten mój kumpel... Nie wiem, co z tym wszystkim robić – westchnął, przeczesując dłonią włosy.

– Skoro tam są twoja rodzina i przyjaciele, może powinieneś spróbować z nimi pogadać? – zaproponowała. – Może już dawno zapomnieli?

– Nie wiem...

– Chciałabym pojechać z tobą.

– Słucham?

– No wiesz...

– Ty chcesz jechać na północ?

– Chciałabym zobaczyć, jak wygląda tam życie. Nawiązać kontakt z innymi miejscowościami, a nie kiść się we własnym sosie.

– Twój ojciec nigdy cię nie puści.

– A jeżeli to załatwię? – Spojrzała mu wyzywająco w oczy.

– Zobaczymy. Na razie skupmy się na...

Nagle wyczuł demony. Uniósł rękę wysoko w górę, żeby zobaczyli to Henryk i sołtys.

Odbezpieczył broń, Iza zrobiła to samo. Usłyszał, jak przesuwa się lekko na dachu, żeby mieć lepszą widoczność. Wzięła głęboki wdech. Wtem w oddali rozległo się wycie.

– Przygotowują się do polowania – szepnął Hubert.

Od tamtej chwili minęło mnóstwo czasu, aż na polu za wsią zobaczyli pierwszy cień. Wszyscy czekali z niecierpliwością. Na dachu obok ktoś strącił na ziemię małą gałązkę. Koza meczała cicho, ona też już coś wyчуła.

Na polu pojawiło się więcej cieni. Hubert naliczył sześć, wszystkie w odległości kilkunastu metrów od siebie; zaczęły zbliżać się do wsi. Z lasu wyszły kolejne.

Były ostrożne. Dobrze widział w księżycowym świetle, jak się czają i obserwują ciemną wieś.

Minuty przeciągały się w nieskończoność. W końcu pierwszy wilk znalazł się tuż przy podkopie pod siatką. Lecz na razie tylko węszył, nie mając zamiaru wchodzić na teren wsi.

Hubert przełknął głośno ślinę. Miał wrażenie, że serce bije mu tak mocno, iż wszyscy w okolicy je słyszą. Kątem oka widział bladą Izę leżącą płasko na dachu.

Demon krążył przy podkopie, czekając, aż dotrą do niego inne wilki. Wówczas przelaż na drugą stronę. Za nim podążyły pozostałe. Cztery były już wewnątrz zagrody, gdy nagle zamarły w bezruchu na lekko ugiętych łapach. Zastrzygły uszami, łby spuściły nisko przy ziemi, a ich oczy błyszczały w ciemnościach. Koza zameczala ze strachu. Zaczęła biegać raz w jedną, raz w drugą stronę, mocno się szarpiąc, aż zaplątała się w sznurek

Hubertowi było jej żal. Co musiała czuć, będąc na uwięzi i wiedząc, że demony się zbliżają? Lecz ludzie byli ważniejsi. Te potwory poprzedniej nocy zagryzły starszego mężczyznę. Jedna koza to niewielka cena za spokój wsi.

Kolejne wilki przecisnęły się pod siatką. Hubert nie śmiał nawet drgnąć. Czuł, jak zaczynająą drętwieć mu nogi, krzywa dachówka boleśnie wbijała się w brzuch.

„Cztery, pięć...” – zaczął liczyć.

Sześć w środku, trzy na zewnątrz.

Kątem oka zobaczył, jak Iza bezgłośnie porusza wargami – również liczyła bestie.

Osiem.

Demony wyglądały jak szarobure wilki, z tym że były od nich znacznie większe. Miały szersze łby, dłuższe pyski, potężniejsze łapy i gęstsze futro. Ich oczy błyszczały złowrogo.

Dziewięć.

„Jakim cudem jest ich więcej niż kiedyś?” – przemknęło przez myśl Hubertowi.

Dwa demony dobiegły do kozy i zaszyły ją z dwóch stron. Biedne zwierzę rozdierająco meczało. Trzecia bestia rzuciła się na nią z przodu. Olbrzymim cielskiem zasłoniła ją całą

i zacinęła szczęki na szyi i kozy.

„Zaraz ją stąd wyniosą” – pomyślał Hubert, gdy Henryk w końcu gwizdnął głośno.

W tym momencie noc rozdarł huk wystrzałów. Demony wpadły w panikę. Rozbiegły się na wszystkie strony, tylko jeden czy dwa ruszyły w stronę podkópu, lecz wymierzyli w nie broń Hubert i Iza. Dziewczyna nie kłamała, zapewniając o swoich umiejętnościach – żaden z jej strzałów nie chybił. Wilki w końcu padły martwe przed siatką, tarasując przejście, każdy miał przynajmniej kilkanaście kul w ciele.

Gdy Hubert odwracał się w drugą stronę, szukając nowego celu, usłyszał brzdęk tłuczonego szkła. Ktoś zamiast demona trafił w szybę.

„Martwy, martwy, prawie martwy...”.

Strzelił dwa razy, skamłający demon znieruchomiał.

– O cholera!

Największy basior, oszalały ze strachu, a może z wściekłości, rzucił się na płot całym cielskiem. Deski zatrzęszczały pod jego ciężarem, a potem złamały się w drzazgi. W zagrodzie powstała duża wyrwa, przez którą demon przebiegł do wsi.

Wystrzały powoli milkły, ludzie wypatrywali bestii, które ocalały i najwidoczniej musiały poukrywać się w cieniu budynków.

– Zostań tu! – rozkazał Hubert, po czym zeskoczył z dachu na przybudówkę, która kiedyś była zapewne garażem, a stamtąd na drogę.

– Hubert! Zastrzelą cię! – krzyknęła za nim Iza.

Chłopak nie potrafił się powstrzymać. Ernest pewnie zarzuciłby mu bezmyślność i brawurę, ale tam we wsi były kobiety i dzieci pozamykane w domach, między które właśnie dostał się wielki demon. Nie mógł pozwolić mu uciec.

Przebiegł przez drogę, modląc się, by nikt do niego nie strzelił, wspiał się na płot i miękko wylądował po drugiej stronie.

Spróbował uspokoić oszalałe serce, skupić zmysły, jednak cała wieś jednakowo cuchnęła demonami, więc nie potrafił namierzyć basiora.

Zaczął się skradać między domami. Piasek zachrzęścił pod butami Huberta, słyszał własną krew szumiącą w uszach.

„Gdzie jesteś?”.

Jakby przywołany tą myślą, na końcu ulicy stanął wielki wilk. Jego oczy zaświeciły w ciemności, warknął groźnie, wpatrując się w chłopaka.

Hubert wystrzelił raz, potem drugi i następny. Demon, zamiast uciekać, zaczął biec w jego

stronę. Czwarty, piąty strzał. Trojan zachwiał się, jego łapy zaczęły się plątać. Łowca nie przestawał strzelać, aż w końcu wilk zarył łbem w piasek tuż przed jego stopami.

– Tu jesteś, głupku! – Zza rogu wybiegła Iza. – Myślałam, że cię zastrzelili!

– Dobrze jest – odparł. – Ile trupów zostało w zagrodzie?

– Siedem.

Równocześnie spojrzeli na zabitego demona, a potem na siebie.

Wtem Hubert poczuł uderzenie w plecy – z taką siłą, że stracił równowagę. Przy uchu usłyszał warczenie dziewiątego trojana. Kiedy chłopak padł na ziemię, demon przeleciał nad nim i wylądował na drodze na czterech łapach. Ledwie odzyskał równowagę, a już ruszył do ataku. Łowca zasłonił się pepszą, Iza krzyknęła i kolbą strzelby zaczęła uderzać wilka w łeb.

Hubert, zbyt zamroczony, by orientować się w sytuacji, zobaczył jakiś cień, który wystrzelił z mroku. Był przekonany, że to przy widzenie. Jednak to się działo naprawdę. Jakieś zwierzę rzuciło się na trojana i wczepiło w jego grzbiet, sycząc i pry chając.

„Klakier!”.

Wielki demon odskoczył od chłopaka i zaczął miotać się na drodze, usiłując strząsnąć ze swojego grzbietu owinnika.

Niewiele można było dostrzec w tej miotającej się kuli futra. Słyszeli za to warczenie, skomlenie, posapywanie i pry chanie.

Hubert zdołał się podnieść i zobaczył, że trojan rzucił się bokiem na ścianę domu i zdołał w końcu strząsnąć z siebie Klakiera. Wówczas kot wgrzył się w jego gardło, lecz wilk przycisnął go łapą do ziemi, zacisnął na nim szczęki i miotnął Klakierem o płot. Czarna kula futra jęknęła cicho i znieruchomiała.

– Nie!!!

Hubert, zapominając o bólu, podniósł się z ziemi, ukłęknął i wycelował w wilka. Iza stanęła obok niego. Strzelali tak długo, aż demon padł, a im skończyły się naboje.

– Nie, nie, Klakier... – Hubert podniósł się z klęczek i kulejąc, podbiegł do kota. – Nie, tylko nie to. – Opadł na ziemię i delikatnie ujął w ręce głowę kota.

Rozległo się ciche miauknięcie.

– Żyje – westchnęła z ulgą Iza.

Hubert powstrzymał napływające do oczu łzy.

Klakier o własnych siłach podniósł łeb, a potem spróbował usiąść. Zachwiał się, więc Hubert go przytrzymał.

Po chwili podbiegł do nich Henryk

– Nic wam nie jest?

– Jakś żyjemy – odpowiedziała Iza.

– Co on tu robi? – zapytał Marek, patrząc na Klakiera.

– Uratował mi tyłek – odparł Hubert.

– To wszytkie? – Henryk spojrział na dwa martwe demony.

Iza kiwnęła głową.

– Chyba nasza drużyna ma najlepszy wynik – Hubert uśmiechnął się do niej słabo.

– To braliśmy udział w jakichś zawodach? – zdziwił się Marek – Trzeba było mi wcześniej powiedzieć.

– Nie strzelałbyś wtedy ludziom w okna? – zapytał chłopak

– To akurat byłem ja – powiedział ze wstydem Łukasz.

– Tylko nie przyznawaj się miejscowym. – Marek klepnął go w łopatkę.

Klakier spróbował wstać, ale stracił równowagę i ponownie przysiadł na ziemi, potrząsając łbem.

– Zaniosę go do szkoły, Kasia się nim zajmie – zaproponował Łukasz, biorąc kota delikatnie na rękę. – Ciężki jest – sapnął, odchodząc.

– A ty wstawaj. – Iza wyciągnęła rękę do Huberta.

Dźwignął się na nogi i syknął z bólu, gdy jedno kolano się pod nim ugięło.

– Ostrożnie. – Marek podtrzymał go. – Ty też idziesz do Kasi.

– Odprowadźcie go – rozkazał Henryk – Ja poszukam sołtysa.

– Jezu, jak ty wyglądasz?! – wykrzyknęła na widok Huberta Kasia.

– Jak zwykle oszalamiająco? – Chłopak nie tracił poczucia humoru.

– Bynajmniej.

Marek posadził rannego na krześle.

– Iza, zajmiesz się Klakierem? – zapytała Kasia. – Nie ma poważniejszych ran do szycia, ale sprawdź, czy nie jest połamany. Ja zobaczę, co z Hubertem.

Córka Sołtysa uklęknęła przed kotem leżącym na ściworze. Klakier spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Tylko mnie nie pogryź, demonie jeden – mruknęła i zaczęła delikatnie badać palcami ciało zwierzęcia.

– A ciebie gdzie boli? – Kasia zapytała Huberta.

– Wszędzie.

– Pewnie ucieszy was wiadomość, że cała wataha została wybita – oznajmił Henryk, gdy po półgodzinie wrócił do szkoły. – I nikt, oprócz tych dwóch – wskazał na Huberta i Klakiera – nie ucierpiał. Nawet zadrapania. Demony już się palą poza wsią...

– Ząb – jęknął Hubert. – Nie mam zęba trojana.

– Głupi jesteś – ofuknęła go Iza. – Ciesz się, że żyjesz.

Chłopak burknął coś pod nosem. Strasznie bolała go głowa – i nic dziwnego, bo miał na niej spory guz – na kolanie i ramieniu wykwitwały mu pokaźne siniaki, które Kasia potraktowała maścią na stłuczenia.

„Tyle futra się zmarnowało – pomyślał, nie wiedzieć czemu. – Gdyby to były zwykłe wilki, miejscowi na pewno by ich nie spalili”.

– W każdym razie nie omieszkalem wspomnieć Pawłowi, że gdyby nie Hubert i Iza, mielibyśmy dwa demony wciąż zagrażające wsi. Powiedziałem też o wyczy nie Klakiera, gdyby ktoś jeszcze miał coś przeciw niemu. No właśnie, co z kocurem?

– Hipochondryk z niego – burknęła Iza.

– Jest poobijany. – Kasia wzięła owinnika w obronę.

– Nawet nie ma za wiele zadrapań. – Córka Sołtysa oskarżycielsko wskazała palcem na demona, który z niewinną miną zajaadał kielbasę.

– No, panie i panowie – odezwał się Marek, stawiając na stole butelkę z winem. – Muszę nam pogratulować udanej akcji. Świącino może być dumne ze swoich obywateli.

– A ty skąd to masz? – zdziwił się Łukasz.

– Znalazłem w Piotrkowicach i zatrzymałem na szczególną okazję. – Strażnik się uśmiechnął. – Myślicie, że ta do takich należy?

– W życiu nie zdołamy się odwdzińczyć za waszą pomoc – zapewniał następnego dnia po raz wtóry sołtys.

– Nic takiego – odparł Henryk – Wpadnijcie do nas, jak będziecie w okolicy Świącina.

– Na pewno ktoś do was zawita. Dziękuję szczególnie tobie, Hubercie – zwrócił się do chłopaka.

– Gdyby nie ty, stracilibyśmy wielu ludzi, idąc na polowanie do lasu. Podziwiam twoją odwagę. Zszedłeś z dachu, żeby stanąć twarzą w twarz z dwoma potworami.

Ego Huberta zostało mile połechtane.

– A ja podziwiam jego głupotę – odezwał się Henryk – W nocy jest strzelanina, a on

zeskakuje na ulicę... dziwię się, że jeszcze żyje.

– Popsuleś moje pięć minut – powiedział chłopak z wyrzutem.

– Nie martw się, i tak pozostaniesz dla nas autorytetem w kwestii demonów – zapewnił soły s. – A jeżeli chodzi o ciebie, Izo, mam nadzieję, że twój ojciec nie wie o wszystkich twoich czynach, bo pewnie by osiwił.

Iza wciągnęła powietrze do płuc, gotowa powiedzieć soły sowi coś do słuchu.

– Nie denerwuj się – uśmiechnął się Kamiński. – Podziwiam twoją odwagę, jesteś niezwykłą kobietą.

W odpowiedzi Iza tylko głośno sapnęła.

W Lipczyńku zostali na jeszcze jedną noc. Potrzebowali odpoczynku. Dzień spędzili na słodkim lenistwie i rozmowach z miejscowymi, a wieczorem położyli się wcześniej spać, żeby wypocząć przed podróżą.

Z Lipczyńka wyruszyli od razu po śniadaniu, zaopatrzeni w pokaźne zapasy. Przyjaciele posadzili Huberta na koźle obok Marka, a Mokkę przywiązali do wozu. Jeżeli zaś chodzi o Klakiera, to szczęśliwy usadowił się obok Kasi, która co chwila czymś go dokarmiała.

Trzeciego dnia późnym popołudniem wjechali do Świącina, z radością witani przez mieszkańców. Powstało trochę zamieszania, gdy z wozu niespodziewanie zeskokczył Klakier i przeciągnął się na drodze, zupełnie nie zwracając uwagi na miejscowych. Kasia zasłoniła go sobą, żeby nikt go nie zastrzelił. Choć tłumaczenie, że demon jest udomowiony, nie do wszystkich trafiało, to jednak zostawiono go w spokoju. Matki na wszelki wypadek zabroniły dzieciom zbliżać się do niego.

Kilka osób zajęło się rozpakowywaniem wozów. Jacek zaproponował, że odprowadzi Mokkę do stajni, ale Hubert podziękował mu i sam się nią zajął. W końcu niosła go na grzbiecie tyle kilometrów, był jej to winien. Klakier podążył za nim i gdy chłopak czyścił kłacz, kot rozglądał się po stajni, jakby należała już do niego. Potem razem poszli do domu, gdzie demon od razu zajął łóżko.

Hubert nie zaczął nawet rozpakowywać się po podróży, kiedy przybiegła do niego Ania.

– Cześć – przywitała się, stając w progu kuchni.

– Cześć, siadaj, proszę – odparł. – Dzięki za ogarnięcie domu.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– A kto inny byłby dla mnie taki dobry? Poczekał chwilę.

Zerwał się z krzesła i poszedł do pokoju, gdzie na ziemi w nieładzie leżały porzucane jego

bagażę. Zaczął czegoś szukać, aż znalazł to, co chciał.

– Nie wiem, czy będą ci się podobały, ale pomyślałem, że zimą chciałabyś poczytać coś nowego – powiedział, wręczając jej trzy książki.

– To dla mnie? – zdziwiła się.

– Dla ciebie.

– Jejku, nikt nawet by nie pomyślał – zaczęła. – Trzy książki tylko dla mnie.

Spojrzała na Huberta wzruszona, oczy Ani napełniły się łzami.

– Ej, no co ty? – spieszył się chłopak.

– Dziękuję. – Objęła go, pociągając nosem.

– No już. – Poklepał ją lekko po łopatkach.

Po chwili Hubertowi udało się uwolnić z uścisku Ani, która z zachwytem wpatrywała się w książki.

– A co się działo tutaj, jak nas nie było? – zapytał, wkładając szczapki drewna do kuchenki.

– Panował spokój, w okolicy nie pojawiły się żadne demony – odparła. – Moja mama razem z panią Barbarą eksperymentowały z ziołami. Jedna z mieszanek uspokajających całkiem nieźle działa. Nafaszerowały nią Maciejaka i na wszelki wypadek pana Bartka. Od tej pory nie mieli żadnych omamów, a rana po biesie zaczęła się normalnie goić. Obie są z siebie bardzo dumne.

– I mają do tego prawo. – Skinął głową. – Będę musiał wziąć od nich przepis.

Usłyszał również, że są plany uruchomienia dawnego systemu doprowadzania wody do domów, ale przecież o tym już wiedział.

– A więc to prawda – westchnęła Ania, kiedy do kuchni wmaszerował Klakier. – Masz demona.

– Tak naprawdę to nie wiem, kto kogo ma – odparł. – Diabeł jeden robi, co chce, w ogóle mnie nie słucha, ale w Lipczynku uratował mi tyłek, więc muszę go znosić.

Klakier prychnął z dezaprobatą, a potem podszedł do wystraszonej Ani i zaczął ocierać się o jej nogi.

– Ależ on wielki – szepnęła.

– A waży tyle co mały koń.

Kot wskoczył miękko na krzesło i usiadł na nim, zerkając na stół, zainteresowany, jakie też smakołyki przygotowali dla niego ludzie.

– Mogę? – zapytała Ania, wyciągając rękę po nóż i szynkę.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami. – Tylko nie dawaj mu za dużo, i tak jest już spasiony.

Dziewczyna, pełna obaw, nakarmiła demona, a potem drżącą ręką podrapała go za uszami. W domu rozległo się mruczenie porównywalne z warkotem piły motorowej.

– Jest niesamowity – szepnęła.

Pod wieczór Hubert wyczyścił broń, po czym odstawił ją w sypialni, tuż obok siatki z resztką naboju, jakie mu pozostały. Potem rozpakował się, wkładając na półki nie do końca czyste ubrania i nowe fanty. W szafkach i w skrzyni z pościelą dostrzegł kilka woreczków z białego płótna przewiązanych chłasiem. W środku znajdowała się suszona lawenda.

– Ta dziewczyna jest niesamowita. – Z uśmiechem pokręcił głową.

Następnego dnia po warcie Hubert wracał do domu, zastanawiając się, co zje na kolację. Czeekała tam na niego jednak całkiem miła niespodzianka – talerz pełen kanapek i kubek z parującą herbatą.

– Czy mi się zasłużyłem na takie traktowanie? – zapytał Izę, która siedziała na krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami i bawiła się własnym nożem.

– Mam do ciebie interes. A zdaje się, że tylko dzięki jedzeniu można cię przekupić – odparła.

– Wcale nie – zaprotestował. – Ale to przynajmniej dobry początek. Gdzie Klakier?

– Denerwował mnie, więc go wygoniłam – mruknęła.

– Co? – zapytał z uśmiechem.

– Trącał mnie łapą, kiedy kroiliam szynkę, to go pogoniłam. Jest lato, wokół pełno myszy i innych gryzoni, niech zapoluje i się na coś przyda, a nie żebrze o jedzenie. Wyglądał, jakby się obraził.

Hubert się zaśmiał.

– Przyda mu się trochę ruchu – powiedział. – Choć, jak znam życie, pewnie poszedł się najść do Kasi.

Zabrał się do kolacji. Dopiero gdy zjadł połowę kanapek, zapytał Izę, czego od niego chce.

– Jutro rano masz wartę, ale po południu spotkamy się z innymi w piwnicy. Powiesz nam o demonach wszystko, co wiesz.

Hubert skinął głową, przecież tak naprawdę po to tu był.

– Ja przepraszam bardzo, ale co to za dżdżownica? – zapytał Jacek

– Jaka dżdżownica?! – oburzył się Hubert.

Krytycznie przyjrzał się swojemu dziełu narysowanemu na tablicy zawieszanej w piwnicy strażników.

– Tylko te rączki... – odezwała się Iza.

– No, wygląda trochę jak ty ranozaur – dodał Jacek

– Wy pchajcie się, to jest wij. – Hubert postukał palcem w potwora.

– Nie wygląda zbyt demonicznie. – Iza pokręciła głową.

– To nie będzie takie łatwe, jak myślałem – westchnął Hubert.

– Dobrze, przepraszamy – powiedziała córka Sołtysa. – Nie powinniśmy się śmiać, mów dalej.

Chłopak powiódł wzrokiem po twarzach strażników. Na zebraniu pojawiło się też kilku innych mieszkańców wsi. Przyszedł nawet Henryk. W jaki sposób przekazać im wiedzę? Jakich słów użyć, by zrozumieli? Nikt nie pojmie tej grozy, która ogarnia człowieka w gęstej mgłę, gdzie z każdej strony słychać wrogie syczenie lub kiedy nagle zza drzewa wyłania się głowa olbrzymiego gada z paszczą zębów mogących pogruchotać kości, z ogonem, który zaledwie delikatnym ruchem może zwalić mężczyznę z nóg.

– Wije są szybkie – powiedział w końcu. – Mogą przemykać po ziemi i drzewach. Gdy jeden człowiek z karabinem stanie z takim oko w oko, znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeśli demonów jest więcej, nie ma szans. Wije lubią chłód i wilgoć. Łączą się w pary i stada, młode mają wczesną wiosną. Za wszelką cenę bronią gniazda...

Przez dwie godziny opowiadał o wijach wszystko, co wiedział. Miał wrażenie, że niektórzy nie do końca biorą na poważnie jego słowa, jakby trochę przesadzał. W końcu mówił o stworzeniu zupełnie im nieznanym. Liczył jednak na to, że jego wiadomości kiedyś ocalą komuś życie.

To były pracowite dni dla Huberta. Od Eli dowiedział się, że po feralnym polowaniu na biesa poila Maciejaka wywarem z kłącza kozłka lekarskiego, melisy, odrobiny lawendy i dziurawca. Aby zneutralizować okropny smak, dodawała do niego kilka łyżeczek miodu. Od Barbary wyłudził po małym woreczku każdego z tych suszonych ziół.

Często pełnił warty, co jakiś czas spotykał się z mieszkańcami w piwnicy i opowiadał o demonach. Odwiedzał Henryka i pomagał mu w różnych pracach. Na obiady chodził do innych – do Eli, Kasi, Kamili, a gdy nikt go nie zapraszał, najczęściej po prostu nie jadł, gdyż nie miał czasu na gotowanie. Zanim się obejrzała, minął dwudziesty sierpnia, a w Świącinie panował względny spokój.

Któregoś wieczoru przed nocną wartą zszedł do piwnicy w szkole, żeby odczytać grafik na następny tydzień. Spojrzał na niedbale rozpisany kalendarz.

– Kiedy to było? – Wpatrywał się w numerki oznaczające dni. – Kiedyś wróciliśmy z Lipczynka z dwudniowym opóźnieniem, dzień wolny, noca z Izą, kłótnia z Henrykiem – zaczął

mamrotać, wykreślając ołówkiem po kolei dni. – Spotkanie rady miasta, przygotowania, dzień spędzony w Gnieździe, w Poznaniu...

Nagle ołówek wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze.

– To dzisiaj – szepnęła. – Tej nocy mieliśmy zginąć w Poznaniu. Henryk, Jacek, Iza, ja...

Niczym we śnie wyszedł z piwnicy i stanął przed szkołą. Chłodny podmuch wiatru uderzył go w twarz. Powoli zapadał zmrok, ludzie się spieszyli, żeby przed nocą znaleźć się w domach. Jakaś rodzina kończyła grillowanie w ogródku.

„A co jeśli naszym przeznaczeniem jest zginąć? – zastanowił się. – Jeżeli i tak musimy dziś umrzeć, nawet jeśli nie opuściliśmy granic Święcina? Przecież już raz wymienilem śmierć za śmierć”.

– Ale Bartek i Kamila żyją – powiedział na głos, przekonując siebie, że nic nie jest z góry ustalone.

– Nic ci nie jest? – Adam podszedł do niego. – Co się stało?

– Co? – Hubert spojrział na niego nieprzytomnie.

– Marnie wyglądasz. Chcesz, by ktoś cię zastąpił na warcie?

Ale chłopak nie słyszał. Na chwilę znów znalazł się w Poznaniu – dawno temu, w gęstej mgle, atakowany przez wije. Jeden z nich powalił go na ziemię. A potem inny zagryzł Adama. Zobaczył rozharatane gardło strażnika, wszędzie wokół była krew.

– Hubert! – Adam potrząsał jego ramieniem.

W końcu spojrział na zaniepokojoną twarz strażnika i się uśmiechnął.

– Wszystko w porządku – odparł. – W jak najlepszym porządku.

Wyminał zaskoczonego Adama i poszedł na bramę. Nic nie jest pewne. Można zmienić przyszłość. Na wartę dotarł pierwszy. Postawił na ziemi pepeszę, wyciągnął się na krześle i czekał na Izę.

– Po raz pierwszy punktualnie – zauważyła dziewczyna, wchodząc do stróżówki.

– Zaskoczona?

– Pewnie, że tak.

Iza usiadła i spojrzała na Huberta.

– Coś taki blady?

– Nie wiem – skłamała, przecierając dłońmi twarz. – Zmęczony trochę jestem.

– Pociesz się, że jutro mamy wolne.

„Jeżeli dożyjemy” – pomyślał.

Posiedzieli przy bramie przez godzinę, a potem, upewniwszy się, że jest dobrze zamknięta, ruszyli na obchód. W większości domów paliły się jeszcze lampki i świece. Kasia z Łukaszem wracali właśnie od rodziców do swojego nowego domu. Klakier przemknął przez drogę w tylko sobie znanym celu. Noc zapowiadała się na spokojną.

– Mam wrażenie, że już nie chcą mnie wieszać ani wyrzucać – odezwał się Hubert.

– Potrzebowali czasu, żeby to wszystko przemyśleć. – Iza kiwnęła głową. – No i Maciejak wyzdrowiał, więc Barbara też nie ma na co narzekać.

– Gorzej z siostrą Mikołaja – westchnął.

– To nie była twoja wina, w końcu musi to do niej dotrzeć. Opowiedziałam ojcu i innym o polowaniu na trojany i twoich zasługach. Niech wiedzą, że czasem potrafisz być przydatny.

– Tylko czasem?

– Kiedy nie masz żadnych głupich pomysłów – zazartowała.

– Dzięki, nikt nie potrafi prawić komplementów tak jak ty.



ROZDZIAŁ VIII

Hubert wyniósł z domu fotel i postawił go w sadzie. Uznał, że trzeba korzystać z ostatnich ciepłych popołudni. Niedługo przyjdzie wrzesień, zrobi się chłodniej.

A co potem? Nie miał pojęcia. Po raz pierwszy od siedmiu lat nie wiedział, co kryje przyszłość. Lecz zamiast się tym martwić, czuł jedynie spokój.

Rozłożył się w fotelu, obok na ziemi postawił butelkę z chłodnym podpiwką i przytknął oczy.

Wypełnił swoją misję. Iza żyje, nikt nie zastrzelił Henryka ani Jacka, wije nie dopadły Adama. Teraz będzie musiał naprawić to, co wydarzyło się w domu, w Dąbrówce.

Jabłoń szumiała nad głową, owady brzęczały w wysokiej trawie. Już dawno temu powinien był ją skosić, lecz nie przepadał za machaniem kosą. Gdzieś w oddali usłyszał krowę, zaszczekał pies. Dzieci ze śmiechem przebiegły po drodze.

Nic nie było w stanie zmącić jego radości z tego, że wszyscy wciąż żyją. Udało mu się zmienić przyszłość.

Powoli odpłynął w spokojny sen.

– To teraz już wiem, dlaczego nie wróciłeś do domu na żniwa.

Zdawało mu się, że słyszy znajomy głos, lecz nie był pewien, czy nie śni. Leniwie otworzył jedno oko. Ujrzał Iżę. Wyglądała jak zawsze: bojówki, koszula w kratę, włosy związane. W rękach trzymała strzelbę.

– Hubert, ten facet twierdzi, że cię zna – powiedziała.

Otworzył drugie oko.

– Ernest!

Zerwał się z fotela, nie wierząc własnym oczom, i stanął przed przyjacielem. Zdawało mu się, że Ernest jeszcze urósł od czasu, gdy widział go ostatni raz. Był wyższy, szerszy w barkach, mocno opalony, a jego zaniedbane rude włosy sterczały we wszystkie kierunki.

Przez chwilę stali w milczeniu, mierząc się wzrokiem, aż równocześnie padli sobie w ramiona, klepiąc się po łopatkach.

„Jak mogłem myśleć, że on mi nie wybaczy? Że nie będzie chciał mnie więcej widzieć? Jesteśmy jak bracia, a tego nie można ot tak sobie zapomnieć”.

– Co ty tu robisz? Jakim cudem?

Huberta rozpieszczały radość i ulga, tak samo jak jego przyjaciela. Obaj radośnie się uśmiechali.

– Ktoś musiał zobaczyć, czy żyjesz. I sprawdzić, czy nie narozrabiałeś.

– Bardzo zabawne. Jak mnie znalazłeś?

– Głupku jeden, przecież zostawiłeś mi dokładną szerokość i długość geograficzną w bunkrze.

– No tak, już zapomniałem.

Hubert przecesał palcami włosy i zerknął na Iżę, która stała z boku.

– Izo, to jest Ernest. Ernest – Iza.

Podali sobie ręce, a kumpel rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie.

– Zostawiam was samych – odezwała się córka Sołtysa. – Tylko pamiętaj: jeszcze dziś zgłoś się do mojego ojca.

Hubert kiwnął głową.

– Cholera, skubany, miałeś rację. – Ernest patrzył na odchodzącą dziewczynę. – Ta wioska istnieje.

– Przecież ci mówiłem. Wszystko jest tak, jak mi się śniło. To znaczy prawie wszystko, bez tego umierania na końcu.

Ernest się uśmiechnął.

– I ta dziewczyna też istnieje. A jak podjechałem pod bramę, spojrzęła tymi fascynującymi

dwukolorowymi oczyma i wycelowała we mnie strzelbę; pomyślałem, że nie wyjdę z tego spotkania żywy.

– Nie jest taka groźna, jaką zgrywa. Chodź do domu, pewnie jesteś głodny. Gdzie twój koń?

– Na drodze, wpuśćmy ją do ogródka, trawy podje.

Przywiązali Inkę w sadzie i poszli do domu. Ernest rzucił na podłogę w sieni swoją torbę.

– Nie gadaj, że z tym chodzisz – odezwał się, patrząc na opartą o ścianę pepeszę.

– Straciłem kałacha. Da się do niej przyzwyczaić, choć prawie skończyły mi się naboje zabrane z domu.

– Zobaczysz, kiedyś ten grat wystrzeli ci w twarz.

Ernest usiadł w kuchni za stołem, a Hubert zaczął ustawiać przed nim weki z jedzeniem.

– Tu masz pasztet, ogórki, jakiś sos – potrząsnął słoikiem – nie mam pojęcia jaki. Chleb, szynkę...

– Nieźle się tu urządziłeś. – Ernest rozejrzał się po kuchni. – Choć taki trochę zabytkowy ten twój dom.

– Nie narzekam. Miejscowi mnie dokarmiają za to, że biegam z karabinem. Żyć nie umierać.

– Żyć nie umierać – powtórzył Ernest.

– A co w domu? Wszyscy cali?

Rudy chłopak spuścił wzrok

– Co się stało? Coś mojemu ojcu? Albertowi?

Ernest pokręcił głową.

– Zuza zaginęła.

– Jak to: zaginęła? Kiedy?

– Jakiś miesiąc temu.

– Chryste, co się stało?

– Trochę obcych kręciło się po okolicy, byli w Kamiennej i Borach, wyypywali o nią. Musieli nas wszystkich obserwować. I pewnego dnia, gdy była z Woźnicą na polu, po prostu ją porwali. Jego ogłuszyli, a ją zabrali.

– Ale... ale dlaczego?

– Nie domyślasz się? Wyczuwa demony jak nikt inny.

Hubert poderwał się z krzesła i zaczął krążyć nerwowo po kuchni.

– Szukaliście jej?

– A jak myślisz? – burknął Ernest. – Szliśmy ich tropem przez wiele kilometrów, ale potem się

urwał. Przetrasaliśmy całą okolicę i nic. Jeździliśmy po wioskach, szukając śladów, pytając ludzi, ale tamci zapadli się pod ziemię.

– Szlag, szlag, szlag – mamrotał Hubert.

Podszedł do drzwi i uderzył pięścią w drewnianą framugę. Potem przyłożył do niej czoło.

– Cholera!

Odszedł od ściany, złapał się obiema rękoma za głowę i znów zaczął się miotać po kuchni. Był taki wściekły! Najchętniej kogoś by pobił. Cała radość z tego, że przeżyli poprzednią noc, że zobaczył Ernesta, nagle uleciała.

Podszedł do stołu, wziął w rękę nóż i wbił go z siłą w blat, nie zważając na to, że niszczy ceratę. Opadł na krzesło. Spojrzał na zrezygnowaną twarz przyjaciele. Dopiero teraz dostrzegł, że wcale nie wygląda dobrze: wokół podkrążonych oczu pojawiło się kilka drobnych zmarszczek. Ostatni miesiąc musiał być dla niego trudny.

– Znajdziemy ją – obiecał z przekonaniem, patrząc na przyjaciela. – Zobacysz, że ją znajdziemy.

Ernest pokręcił głową.

– Albert się załamał, sąsiedzi zupełnie stracili nadzieję, tylko Woźnica wciąż przemierza lasy, szukając jakiegokolwiek śladu. Przyjechałem po ciebie, bo miałem nadzieję, że ty coś wymyślisz. Ze swoimi szalonymi pomysłami – uśmiechnął się smutno – będziesz miał świeże spojrzenie na sprawę. A poza tym zawsze lepiej się z nią dogadywałeś niż ja.

Hubert skinął powoli głową.

– Liczyłem też na Klakiera, przecież zawsze potrafił nas odnaleźć, nawet jak podróbowaliśmy – kontynuował przyjaciel. – Ale zniknął na kilka dni przed porwaniem i od tego czasu go nie widzieliśmy. Martwię się, że coś mu się stało.

– Coś mu się stało? – powtórzył Hubert. – Pchlarz jeden, już od dłuższego czasu jest ze mną w Świącinie.

– Poważnie? – Ernest ucieszył się, słysząc dobrą nowinę.

– Znalazł mnie tutaj, znajdzie i Zuzę... Tylko czy brałeś pod uwagę, że... że coś jej się stało? Że może ona...

– ...nie żyje? – dokończył ponuro przyjaciel. – Każdego dnia o tym myślę. Jednak nie mogę... nie mogę tego do siebie dopuścić, bo jeśli choć na chwilę stracę nadzieję, to jej nie znajdę.

– Poczekaj, mówisz, że wypytywali o nią, tak? To znaczy, że potrzebowali jej żywej. W innym wypadku po co zadawaliby sobie tyle trudu, żeby porywać ją z domu? No i nie są mordercami, w przeciwnym razie zabiliby Woźnicę, a nie tylko ogłuszyli...

– Albo chcieli załatwić to cicho.

– Nożem też można kogoś cicho dźgnąć. Tylko po co im dziewczyna, która wyczuwa demony?

– Mnie nie pytaj. Może do obrony?

– O cholera – szepnęła nagle Hubert.

– Co?

– Oni tu byli.

– Kto? Po co?

– Ci ludzie! Szukali mnie!

– Co ty wygadujesz?!

– Którejś nocy miesiąc temu jakiś facet wdarł się do osady. Złapałem go i powiedział dokładnie tak „Szukałem ciebie, łowco”.

– I co?

– A jak myślisz? – odparł ponuro Hubert. – Zanim zdążyłem z nim pogadać, uciekł do lasu na tereny łowieckie biesa.

Ernest pokiwał głową.

– Ale „łowco”? – zapytał. – Na cholere im radar na demony?

– Nie dowiemy się, dopóki sami ich nie zapytamy. – Hubert uśmiechnął się złowieszczo. – Jeszcze pożąłują, że porwali naszą Zuzię.

Ernest uniósł lekko kąciki ust.

– Brakowało mi ciebie.

– Uwierz, że mi ciebie też. Wiesz co, wyglądasz jak nieboszczyk na wczasach – powtórzył jedno z powiedzeń Alberta. – Powinieneś wypocząć trochę po podróży, a potem pojedziemy podbijać północ.

– Dzięki.

– A Pawła widziałeś? – zagadnął Hubert.

– Trochę nam pomagał przy poszukiwaniach, a co?

– To dobrze, bo jak ostatnio go spotkałem, to był w marnym stanie. Mówił ci?

– Że jacyś dezterterzy mu wkropili? Mówił. Wspominał też coś o tobie.

– Spotkałem go. – Hubert kiwnął głową. – A potem tych dezterterów. Już raczej nikogo nie pobiją.

– Przecież ich było pięciu!

– Wiem, mieli małe szanse, ale co zrobisz?

– Czubek – skwitował Ernest.

Nagle usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych.

– Hubert! Mój tata pyta, gdzie się podział jego...

Na progu kuchni stanęła Ania. Widząc Ernesta, zaniemówiła.

– Tak? – zapytał rozbawiony Hubert.

Dziewczyna przy mrużyła oczy.

– Co?

– O co pyta twój tata?

– Gdzie jest jego... jego ten, no... szpadeł.

– A, zapomniałem oddać. Zaraz mu przyniosę.

– To dobrze – mruknęła, nie odrywając wzroku od wielkiego rudego chłopaka siedzącego przy stole.

– Ania, to jest Ernest.

– Cześć. – Chłopak machnął do niej ręką.

– Cześć – bąknęła. – To ja lecę, pamiętaj o szpadlu.

Obróciła się na pięcie i wybiegła. Drzwi trzasnęły, a Hubert parsknął śmiechem.

Poszli z Ernestem do Marka, by oddać szpadeł, który Hubert pożyczył całe wieki temu. Chłopak przedstawił strażnikowi i jego żonie kolegę. Już mieli wychodzić, kiedy Ela zatrzymała ich w drzwiach.

– Poczekaj, mam coś dla ciebie – powiedziała, po czym zniknęła w głębi domu. – Proszę. – Podała mu tacę zawiniętą w ściereczkę.

– Ciasto! – ucieszył się Hubert.

– I tak całego byśmy nie zjedli. Smacznego.

– Ludzie rozpieszczają cię tutaj – stwierdził Ernest, kiedy skierowali się do starej szkoły.

– Cóż, takie życie bohatera.

– Nic się nie zmieniłeś przez te wszystkie miesiące. – Ernest pokręcił głową. – Wciąż jesteś jak duży dzieciak.

Weszli do ciemnego i zimnego budynku z czerwonej cegły. Od razu skierowali się do gabinetu, gdzie Sołtyś siedział za biurkiem.

– Zastanawiałem się, kiedy przyjdiesz. – Marian nie podniósł nawet głowy nad książkę.

– Więc jestem.

– I to jest ten twój kolega?

– Tak, Ernest.

– Witam. – Rudy chłopak wyciągnął rękę w stronę Sołtysa, a gdy ten podał mu swoją, mocno ją uściśnił.

– Marian Kościuszkó, Sołtys Świącina – przedstawił się mężczyzna.

– Wiem, że na to nie wygląda, ale Ernest to porządny człowiek – rzucił lekko Hubert. – Nie będzie sprawiał kłopotów. Na noc zatrzyma się u mnie. Pojutrze wyjeżdża.

– Dobrze, mam tylko nadzieję, że ty nie będziesz zaniedbywał swoich obowiązków.

– No właśnie jest jeden problem...

Sołtys spojrział na Huberta, tak samo jak Iza przewiercał człowieka wzrokiem na wylot.

– Tak?

– Też muszę wyjechać. W domu... w domu potrzebuję mojej pomocy.

– Rozumiem. – Marian pokławił głową. – Zresztą spodziewałem się, że kiedyś nas opuścisz.

– Ale... – Hubert zająknął się. – Chciałbym tu wrócić, jeżeli to będzie możliwe.

– Dobrze. Jedź, zrób, co musisz, a jeżeli będziesz chciał wrócić, wróć. Nasza brama zawsze będzie dla ciebie otwarta.

– Dziękuję.

Wieczorem pojawił się Klakier.

– Martwiliśmy się o ciebie. – Ernest podrapał kota za uszami.

Hubert chciał poczęstować przyjaciela winem, ale ten był zbyt zmęczony; zaledwie zapadł zmrok, poszedł spać, a Klakier ułożył się na łóżku razem z nim.

Usiadł więc sam nad szklanką alkoholu w kuchni. Z sypialni dochodziło głośne chrapanie.

„To musiał być dla ciebie straszny miesiąc, stary” – pomyślał.

– Znajdziemy ją – powiedział na głos. – Choćby nie wiem co, znajdziemy.

Zuzię zawsze traktował jak młodszą siostrę. Można rzec, że wychowywał się razem z nią i Ernestem, a gdy po wojnie zamieszkali razem, ich więzi jeszcze bardziej się zacieśniły. Stworzyli rodzinę – ich dziadek stał się jego dziadkiem, ich dom jego domem. Poza tym tylko Zuza tak naprawdę rozumiała, co dzieje się w jego głowie, gdy w pobliżu znajdują się demony. Była niezwykle osobą, miała ten sam dar co Hubert, ale na nią wpłynął trochę inaczej, zmienił ją. Ludzie często postrzegali ją jako wariatkę, a przecież to właśnie przez te zdolności patrzyła na świat zupełnie inaczej.

Hubert wstał rano, obolały od spania na wersalce w małym pokoju, coś przekąsił i podszedł do wciąż śpiącego Ernesta.

– Ty! – Kopnął ciężkim butem w łóżko. – Ja idę na wartę na bramę.

Przyjaciół mruknął coś niezrozumiale, więc Hubert, uznając, że spełnił swój obowiązek gospodarza, poszedł do stróżówki. Na ławce przed budką siedział już Jacek.

– Jak tam, poimprezowałeś wczoraj z kumplem? – zapytał.

– Daj spokój, poszedł spać przed dziesiątą. Co to za impreza?

– Faktycznie, marna. Jak on w ogóle cię tu znalazł?

– A bo ja wiem, plotki o moim bohaterstwie szybko się rozchodzą.

Przez dwie godziny siedzieli na ławce przed stróżówką z wyciągniętymi nogami i obserwowali, co dzieje się we wsi. Czas płynął leniwie. Hubert zdał sobie sprawę, że to jego ostatnia warta i następnego dnia musi wyjechać. Bał się, że gdy raz opuści Świącino, więcej do niego nie trafi. A to wszystko okaże się tylko snem i przez kolejne siedem lat nie będzie mógł go odnaleźć, aż dojdzie do wniosku, że ta wieś nie istnieje. Nie miał też na razie serca powiedzieć o tym koledze.

Wtem jakiś cień przesłonił im słońce. To Ernest. Był lekko zaspany, a jego rude włosy wyglądały jeszcze gorzej niż zwykle.

– Cześć – przywitał się. – Inka gdzieś znikła.

– Inka? – powtórzył Jacek

– Moja kłacz.

– Chyba żartujesz? – Stróż spoglądał to na Ernesta, to na Huberta.

– No co? Są z jednej hodowli – wyjaśnił Hubert. – Rano zabrałem ją do stajni. Siadaj. – Szturchnął Jacka, żeby zrobił miejsce na ławce. – Ernest, Jacek

Podali sobie ręce.

– Wczoraj nie powiedziałaś mi, jak minęła ci droga – zagadnął Hubert.

– Raz natknąłem się na borutę – odparł Ernest. – Tak się zaciętrzewił, że zrobiło mi się naprawdę gorąco, ale udało mi się go zastrzelić. Przez pewien czas słyszałem też w oddali gwizdanie leszego, lecz nie mogłem go namierzyć.

Hubert pokiwał głową w milczeniu.

– A na początku lata niedaleko Kamiennej pojawiła się strzyga.

– Zabiła kogoś?

– Ranila Marynarza, ale Paweł i Szmidt ją załatwili.

– A co Teresa na to?

– Chyba już się pogodziła z hobby syna.

– A co z... – zaczął Hubert, nie do końca pewien, czy to dobry pomysł, ale chciał wiedzieć. – Z dzikimi ludźmi i z grodziska?

– Nie pojawili się już w Dąbrówce, choć Zuza mówiła, że nadal rządzą Dziką Gon w lesie. Dopóki nie atakują naszego bydła, niech robią sobie, co chcą.

Po warcie dwaj przyjaciele udali się do stajni, gdzie czekały ich kłaczki. Osiedlili je i popędzili do małego domku w lesie. Gdy stanęli na progu, drzwi otworzyła im Iza.

– A ty co tu robisz? – zdziwił się Hubert.

– Ktoś musiał ugotować mu obiad – powiedziała. – Przecież wiesz, że jest beznadziejnym kucharzem.

– Gotuję lepiej niż ty! – krzyknął Henryk z wnętrza domu. – Tylko nie mam czasu!

– Chodźcie, zostało jeszcze trochę zupy, jak chcecie.

Hubert wszedł do kuchni i od razu skierował się do garnków. Podniósł przykrywkę jednego. Jego zawartość miała zielonkawoszary kolor i pachniała przypalonymi ogórkami.

– Tylko nie próbuj wybrzydzać – zastrzegła Iza. – Nie musisz jeść.

– W sumie nie jestem głodny – stwierdził i usiadł za stołem.

Hubert wiedział, że musi powiedzieć przyjacielom o wyjeździe, ale tak trudno było mu się na to zdobyć. Jak może ich opuścić po tym, co razem przeżyli? Jeszcze nie nauczył ich wszystkiego o demonach.

– To mów, co się dzieje – odezwał się w końcu Henryk

Chłopak wziął głęboki wdech.

– Muszę wyjechać. Jutro.

Iza głośno nabrała powietrza w płuca, Henryk milczał, patrząc na niego.

– Przepraszam, muszę wyjechać. Ale wrócę.

– Nie możesz wyjechać! – wybuchła nagle Iza. – Potrzebujemy cię tutaj! Co z demonami?!

– Zanim tu przyjechałem, radziliście sobie beze mnie.

– Wiesz, że mamy za mało strażników! Zastąpiłeś Mikołaja, a jak odejdziesz, będzie nas tylko szóstka.

– Iza, jęgo siostra zaginęła i tylko ja mogę ją znaleźć.

– Dlaczego tylko ty?

– Bo jestem tak samo stuknięty jak ona – odpowiedział ponuro.

– Dokąd chcecie jechać? – zapytała już spokojniej.

– Najpierw do Dąbrówki, na północ, potem dołądkolwiek poprowadzi nas ślad.

Córka Sołtysa przypatrywała się mu spod lekko przy mrużonych powiek. Dłonie leżące na stole zacisnęła w pięści. Rozmowa przestała się kleić.

– Musimy się spakować – powiedział Hubert.

Podszedł do Henryka i wyciągnął do niego rękę.

– Dzięki ci za wszystko.

Jednak mężczyzna zignorował jego dłoń i z siłą go uściśkał.

– Uważaj na siebie, młody, a jaką znajdziecie, wróć do nas.

– Tak zrobię – obiecał.

Potem Henryk uściśnął rękę Ernestowi.

– Miło było poznać – powiedział. – I pilnij go, jest czasem... zresztą sam pewnie lepiej wiesz...

– Wiem. – Ernest znacząco się uśmiechnął.

– Wracasz z nami? – Hubert zapytał Izę.

– Muszę jeszcze zostać.

– Wpadnij wieczorem, wtedy się pożegnamy.

– Dobrze – mruknęła.

Wrócili do wsi i zostawili konie w stajni. Ernest poszedł do domu się przespać, a Hubert odwiedził swoich znajomych, żeby się z nimi pożegnać. Czuł przy tym przykry ucisk w żołądku. Znów miał ich wszystkich opuścić. Czy jeszcze kiedyś ich zobaczy?

Odwiedził strażników, zajrzał do Bartka i Kamili, potem wpadł do Kasi i Łukasza. Wszystkim obiecywał, że wróci.

– Dlaczego nikt nie wydaje się szczególnie zdziwiony, że wyjeżdżam? – zapytał, gdy zęgnął się z Markiem.

– Kiedy się u nas zjawisz, wyglądałeś jak jedno wielkie nieszczęście – odparł strażnik – Oczywiście było, że przed czymś uciekasz, i wszyscy wiedzieli, że kiedyś twoja przeszłość w końcu cię dogoni. Ale my będziemy na ciebie czekać.

Ania odprowadziła Huberta przed dom i tam się popłakała.

– Niedługo się zobaczymy – powiedział. – Nie płacz. Może uda się przed zimą, a jak nie, to na pewno na wiosnę.

Gdy usłyszała te słowa, po jej policzkach zaczęło płynąć jeszcze więcej łez.

– No coś ty. – Przytulił ją. – Ta dziewczyna, która zaginęła i muszę ją znaleźć, jest dla mnie jak

siostra. Tak samo jak ty i gdyby tobie się coś stało, też popędziłbym ci na pomoc.

Ania pokiwała głową, usiłując się opanować.

– Tylko wróć cały – poprosiła.

– Obiecuję – powiedział, tuląc ją. – Obiecuję.

Hubert wszedł do domu w paskudnym humorze.

– Cześć – rzucił do Ernesta, który siedział w kuchni i czyścił karabin, a potem skierował się do sypialni.

Z żalem zerknął na kolorową pościel, którą przywiózł sobie z szabru. Już sprawy zaczęły iść ku dobru, ludzie w Święcinie skłonni byli go zaakceptować, świetnie dogadywał się ze strażnikami, nawet z Izą. Udało mu się wypełnić swoją misję, lecz nie cieszył się zbyt długo sukcesem – znów wszystko zaczęło się walić.

Rzucił na łóżko wojskowy worek i zaczął niedbale pakować do niego cały swój dobytek. Nie miał tego zbyt dużo. Pepesza, strzelba, znacznie mniejszy zapas naboju, kilka granatów, trochę ubrań, tuba z mapami.

– Jak tam? – W progu pokoju stanął Ernest.

– Już spakowany. – Wzruszył ramionami.

Spojrzał na kolegę i poczuł się głupio. To Ernestowi zaginęła siostra, przez miesiąc jej szukał, prawie nie spał ani nie jadł w tym czasie, aż w końcu z desperacji przejechał tyle kilometrów, by go odnaleźć. Hubert musi jedynie mu pomóc. Jak wszystko się skończy, będzie mógł wrócić do domu. Tylko gdzie był jego prawdziwy dom?

Tego wieczoru Ernest znów położył się wcześniej spać, a Hubert usiadł w kuchni przy świecy i pograżony w ponurych myślach patrzył, jak topi się wosk. Czekał na Izę, chciał ten ostatni raz z nią porozmawiać i pożegnać się, ale nie przyszła.

Spojrzał w okno, na dworze zapadły już ciemności. Nie wahając się długo, zarzucił bluzę od munduru i poszedł do starej szkoły. Jednak okna budynku były ciemne, nie palił się w nich nawet najmniejszy płomień świecy. Bez większych nadziei zapukał do drzwi, lecz odpowiedziała mu cisza. Sołtyś pewnie siedział u kogoś w gościnie, a jego córka? Cóż mogła robić o tej porze? Gdzie ją poniosło? Czyżby aż tak bardzo pogniwała się na niego?

– Zobaczę się z nią rano – postanowił Hubert.

Wsadził ręce do kieszeni i powoli ruszył w stronę domu, kopiąc łamyki leżące na drodze.

Skoro świt Huberta obudził Ernest. Na śniadaniu pojawił się również Klakier.

Gdy zjedli, strażnik rozejrzał się po łąkach domu, by sprawdzić, czy zostawi za sobą porządek.

Poskładał pościel, mył naczynia, podświadomie odwracając to, co nieuniknione.

– Pora ruszać – powiedział w końcu Ernest.

– Idź do stajni osiodłać konie. Ja jeszcze muszę coś załatwić.

Wtem ktoś bez pukania wszedł do domu. Hubert wyjrzał na korytarz i ku swojemu zdziwieniu zobaczył Iżę.

– A ty co tu robisz?

– Jedziemy z wami – oświadczyła.

– Słucham? Jakie „jedziemy”? Jakie „my”?

– Henryki ja.

Zaniemówił. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Stał więc nieruchomo w sieni i wpatrywał się w Iżę.

– Twój ojciec wie? – To było jedyne, na co wpadł.

Wywróciła oczyma.

– No raczej.

– Ale jak to? Nie możesz...

– Dlaczego nie?

– No bo...

– We czwórkę będzie bezpieczniej podróżować, pomożemy wam w poszukiwaniach, a poza tym już od dawna chciałam nawiązać kontakt z miejscowościami na północy. Lepszej okazji nie będzie.

– A co ze strażnikami? Bez ciebie będzie im jeszcze trudniej.

– Łukasz i Bartek zgodzili się nas zastąpić.

Hubert odwrócił się i spojrzął na Ernesta.

– Mnie to obojętne. – Rudy chłopak wzruszył ramionami.

– Gotowi? – Do domu zajrzał Henryk – Bo wczoraj słyszałem coś o wyjeździe z samego rana, a zaraz będzie południe.

Opuścili Świącino żegnani przez Jacka i Marła, którzy stali na warcie, i skierowali się na północ. Przez pierwsze kilka kilometrów towarzyszył im Klakier, ale potem zniknął gdzieś w lesie. Koło południa zatrzymali się na krótki odpoczynek, zjedli trochę i ruszyli dalej.

– Opowiedz, co jeszcze działo się w domu, jak mnie nie było – poprosił Hubert podczas drogi.

– Olga Górską jest w ciąży – odparł Ernest.

– To chyba dobrze, co?

Po wojnie w Dąbrówce zostało jedynie troje dzieci młodszych od Zuzi, teraz już prawie dorosłych. Wiś potrzebowała młodej krwi.

– Tak mi się wydaje. Oskar i Jędrzek prześcigają się w podrywaniu Jagody...

– Biedna dziewczyna – zaśmiał się Hubert.

– Nie słyszałem, żeby narzekła. I jestem prawie pewien, że Woźnica i Irena mają romans.

– Poważnie?

– Tak mi się wydaje.

Zarówno myśliwy, jak i pielęgniarka stracili współmałżonków podczas zarazy,

– Duża jest ta wasza Dąbrówka? – zapytała Iza.

– Niestety nie – odrzekł Ernest. – Razem z nami dwoma osiemnaście osób, choć kiedyś było więcej.

Dziewczyna pokiwała głową.

Ludzie umierali codziennie, jednak Hubert sądził, że stracili zbyt wielu przez demony.

Na noc zatrzymali się w domu, w którym kilka dni wcześniej spał Ernest.

Gdy zapadł zmrok, usiedli w salonie przy kominku. W milczeniu zjedli kolację, na którą wprosił się również Klakier. Po posiłku demon zwinął się w kłębek tuż obok Ernesta.

– Opowiedzcie nam więcej o tej dziewczynie – poprosiła Iza. – Co się stało, dlaczego zaginęła?

– Zuza jest... – zaczął Hubert. – Niezwykła. W porównaniu z nią właściwie nie umiem tropić demonów. Ona wyczuwa je niczym radar. Ernest mówił, że jacyś ludzie kręcili się w okolicy Dąbrówki i pytywali o nią. A potem ją porwali. Myślę, że to ktoś z tej grupy włamał się do Świącina podczas wesela Kasi i Łukasza. To by wyjaśniało, dlaczego szukał akurat mnie. Jednak skoro zadali sobie tyle trudu, żeby mnie znaleźć, a ją porwać, myślę, że nie zrobili jej krzywdy.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jak mało przekonująco wypowiedział te słowa. Jednak musiał wierzyć, że Zuzi nic nie jest, że ją znajdują, bo inaczej sam by się załamał.

– Wiecie, gdzie mogli ją zabrać? – zapytał Henryk

Hubert zerknął na Ernesta.

– Przeszukaliśmy wszystkie opuszczone wsie i miasta w promieniu dwudziestu kilometrów – odparł chłopak – Wypytałiśmy ludzi z sąsiednich osad, lecz niewiele wiedzieli. Ostatnio kręciło się po okolicy kilku żołnierzy, wydawali się nieszkodliwi, rozmawiali zwyczajnie z ludźmi, zainteresowali się zdolnościami mojej siostry i Huberta...

Henryk pokiwał głową.

– Z tego, co o nich słyszałem – kontynuował Ernest, łamiąc na drobne kawałki cienką gałązkę – wywnioskowałem, że należy kierować się na południowy zachód od Dąbrówki, ale to jest jak

szukanie igły w stogu siana... – Ze złością wrzucił garść patyczków do ognia.

– Dlatego przyda się nam Klakier – wtrącił Hubert. – On ją znajdzie.

– Chyba nie zamierzacie użyć go jako kota tropiącego? – Iza z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Czemu nie? – Chłopak się uśmiechnął. – Skoro mnie znalazł tak daleko od domu, to ją też znajdzie.

Kolejnego dnia, kiedy jechali przed siebie asfaltową drogą, Iza zrównała swojego konia z koniem Ernesta.

– Tak się zastanawiałam... – zaczęła, zerkając na niego. – Nie masz przy sobie tej książki... tej demonologii?

Hubert, patrząc na nią, zauważył, że choć dziewczyna udawała nonszalancką, była spięta.

– Niestety. – Ernest pokręcił głową. – Została w Dąbrówce. Ale nie martw się, jak tylko tam zajedziemy, to ci ją pokażę – obiecał. – Tak przy okazji – zwrócił się do Huberta – twój ojciec przepisuje ją na maszynie w rozszerzonych wersjach.

– To dobrze. – Hubert skinął głową. – Ma przynajmniej zajęcie, a nam przydadzą się nowe egzemplarze.

Zbierało się na burzę. Niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, powietrze zdawało się naelektryzowane, cała przyroda zastygła w oczekiwaniu.

– Nie wiem, jak wy, ale ja nie mam najmniejszej ochoty moknąć, więc może się pospieszymy? – zaproponował Henryk

Zmusili konie do kłusu. Może nie były tym zachwyczone, ale najwyraźniej one też nie chciały być zaskoczone przez burzę w szczerym polu.

Na horyzoncie pojawiło się kilka budynków.

Wjechali do małej wsi i zatrzymali się na samym środku.

– Żeby było szybciej, proponuję się rozdzielić – powiedział Hubert, gdy zeskokczył z siodła.

Henryk skinął głową.

– Zostań z końmi – rzucił do Izy.

– Chyba sobie żartujesz – burknęła. – Przywiążcie je do płotu, ja sprawdzę tamten dom, podoba mi się.

Jej opiekun westchnął ciężko, ale nie zaprotestował.

Hubert i Ernest pobiegli przed siebie, zaglądając po kolei do wszystkich domów. Szukali takiego, który nadawałby się na nocleg.

Powietrze zaczęło drżeć, a po chwili zerwał się lodowaty wiatr, tocząc po ziemi uschnięte liście i szarpiąc koronami drzew. Buroszare chmury pędziły po niebie w stronę opuszczonej wsi.

Hubert się spieszył. Czuł napięcie w przyrodzie, świat wstrzymał oddech.

Wtem wsią wstrząsnęły strzały. Chłopak znieruchomiał, jego serce na moment przestało bić, a potem zaczęło walić niczym oszalałe.

Nie myśląc wiele, zaczął biec. Odbezpieczył karabin. Z bocznej uliczki wybiegł Ernest. Nie musieli nic mówić, obaj reagowali instynktownie.

W kilka kroków pokonali zarośnięty ogródek i wpadli do dużego domu. Ich oczom ukazało się przestronne pomieszczenie z podłogą wyłożoną panelami. Na prawo znajdowało się przejście do kuchni, a wprost drzwi frontowych były schody, a obok nich olbrzymie wejście do salonu. Wokół panował względny porządek, nie licząc wszechobecnego kurzu. Ściany wciąż zachowały biel. Pod jedną z nich siedziała Iza z pistoletem w dłoniach.

– W porządku? – Hubert podszedł do niej, nawet na nią nie spoglądając, wzrokiem przeszukiwał dom, który cuchnął demonem.

– Coś mnie zaatakowało...

– Wuj... – Hubert powiedział do przyjaciela drżącym głosem.

Ernest gwizdnął cicho i wskazał brodą wyłożone kafelkami schody prowadzące do piwnicy. Właśnie stamtąd wydobywał się zapach demona. Podszedł do stopni i wycelował w mrok. Za ścianą po prawej stronie coś cicho syknęło.

Przyjaciele porozumieli się wzrokiem. Ernest bardzo powoli, celując przed siebie karabinem, minął wejście do salonu. W tym samym czasie Hubert wkroczył do kuchni. Okazało się, że oba pomieszczenia są połączone jadalnią.

Przyjaciele zerknęli na siebie, a potem odwrócili się do siebie plecami, lustrując dom. Hubert skupił wszystkie zmysły. Przecież wuj to nie mała jaszczurka, musi gdzieś tu być. I wtedy zerknął na przewrócony duży stół. Wycelował w tamtym kierunku i w tej samej chwili zza mebla wyskoczył demon. Chłopak nacisnął spust. Rozległ się huk. Demon, sycząc gniewnie, wspiął się na szafki kuchenne i przemknął po nich, zrzucając na podłogę garnki. Przyjaciele usiłowali go zastrzelić, lecz trudno trafić długie węzowe ciało w ruchu.

Wuj zawrócił, a jego trójkątny gadzi łeb kierował się prosto na Huberta. Chłopak odskoczył, lecz demon podciął mu nogi ogonem i rzucił się na Ernesta, który wykonał unik i pochwycił silnymi ramionami szyję demona. Wuj zaczął się rzucać, wyrzucił chłopaka na podłogę, jednak ten nie tylko nie zwolnił chwytu, lecz także objął bestię nogami, blokując jej łapy. Potwór usiłował go z siebie strząsnąć, miotał się we wszystkie strony, uderzając łbem o podłogę.

Hubert odrzucił na bok niezbyt celną pepeszę. Nie chciał zastrzelić kolegi, który tarzał się na

drewnianych panelach z demonem. Gorączkowo rozglądał się wokół. Zobaczył kominek, a obok niego na eleganckim stojaku miotełkę, szufelkę i, co najważniejsze, pogrzebacz. Chwycił go i wziął potężny zamach. Z siłą uderzył wija w czaszkę, aż zadudniło glucho. Demon na chwilę stracił orientację, a wtedy Ernest zdołał przycisnąć jego łeb do podłogi. Hubert znów uniósł pogrzebacz i wbił w czaszkę demona. Jego ciało wilo się jeszcze przez chwilę w konwulsjach i znieruchomiało.

Jednak to nie koniec walki. Przyjaciele dobrze wiedzieli, że wije to zwierzęta stadne. Skoro był jeden, to gdzie kryła się reszta. Bez słowa podnieśli z ziemi karabiny i wrócili do przedpokojku. Iza stała pod ścianą z pistoletem wycelowanym w schody. Tuż obok znalazł się Henryk. W rękę trzymał maczetę i gdy tylko kolejny wuj, dużo mniejszy niż ten poprzedni, wylał z piwnicy i rzucił się na niego, były wojskowy machnął bronią. Na ziemię wypłynęły krew i szczątki mózgu.

– To wszyscy? – zapytał Henryk, gdy zobaczył chłopaków.

– Nie. – Hubert pokręcił głową. – W piwnicy musi być ich więcej.

– Nie weszły do domu przez drzwi. – Ernest spojrzał na przyjaciela.

– Zostańcie tu i zastrzelcie wszystko, co wylezie z piwnicy. – Hubert zwrócił się do Henryka i Izy.

Razem z Ernestem wyszedł z domu i skierował się do wjazdu do garażu. Tak jak przy puszczeniu, jedno skrzydło drewnianych drzwi wisiało przechylone na pojedynczym zawiasie.

Minęli je i weszli do ciemnego garażu. Wewnątrz było chłodno i wilgotno. Małe, brudne okienko pod sufitem nie wpuszczało do środka zbyt wiele światła.

– Czysto – powiedział Hubert, rozglądając się dookoła.

Przez otwarte drzwi przeszli dalej do piwnicy. Tam było jeszcze ciemniej. Ale udało im się dostrzec zwinięte w kłębie na betonowej posadzce dwa węzowe ciała. Nie dali młodym wujom czasu na ucieczkę i od razu otworzyli ogień. Nie chcąc marnować amunicji, celowali we łby, ale i tak kilka kul poleciało bokiem. Wije jeszcze kilka sekund się ruszały, a potem zastygły w bezruchu. Pod nimi na podłodze zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

– Jeszcze jeden – szepnął Hubert, wskazując wąskie przejście do kolejnego pomieszczenia.

Ernest kiwnął głową. Jeżeli drugi dorosły osobnik nie był na polowaniu, musiał znajdować się właśnie tam.

Powoli minęli drzwi, w każdej chwili spodziewając się ataku rozwścieczonego demona. Jednak to nie nastąpiło.

Hubert w ostatniej chwili zobaczył znikający na schodach długi ogon.

Nie zastanawiając się wiele, puścił pepeszę, pozwalając jej zawisnąć na pasku na ramieniu, i rzucił się na demona, który miał do pokonania jeszcze tylko kilka stopni.

Hubert złapał go za ogon i gwałtownie szarpnął w dół. Potwór, zaskoczony, stracił oparcie pod łapami i wielką szczęką grzmotnął o schody. W następnej sekundzie młody łowca poprawił chwyt na ogonie i znów szarpnął ciałem stwora w swoim kierunku. Wij z hukiem uderzał łbem w kolejne stopnie, aż dzwoniły jego zęby.

Ernest, widząc to, stanął obok przyjaciela i zaczął strzelać. Zaskoczony demon nie był trudnym celem.

Hubert puścił ogon wija, wyprostował się i spojrzał w półmroku piwnicy na przyjaciela. Ernest głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Szlag by trafił te przekłete demony – mruknął.

Zanim poszli na górę, dokładnie sprawdzili, czy w piwnicy nie czają się jakieś wije, ale nie zobaczyli nic podejrzanego.

– To my! – krzyknął Hubert, kiedy zaczęli się wspinać po schodach. Miał nadzieję, że z nadmiaru emocji Iza go nie zastrzeli.

Gdy tylko zobaczył jej bladą twarz i Henryka z maczetą, gotowego rzucać się na demony, nie mógł powstrzymać się przed uśmiechem.

– Nic wam nie jest? – zapytał.

Pokręcili głowami.

– Chyba jednak nie zdąży my przed deszczem – stwierdził, patrząc na okna, za którymi zaczęły spadać na ziemię pierwsze krople.

– Niedaleko jest całkiem niezły dom – powiedział Ernest.

– To chodźmy tam – odparł Henryk.

Iza pokiwała głową.

Wyszli na zewnątrz, odwiązali konie i poprowadzili je przez wieś do domu wybranego przez Ernesta.

– Czy to były ... – zaczęła Iza.

– Wije – dokończył Hubert, zerkając na dziewczynę.

Dopiero teraz zobaczył, że prawą rękę trzyma kurczowo przy ciśniętej do ciała.

– Ugryzł cię? – zapytał z niepokojem, zatrzymując ją.

– Co? – Zerknęła na swoją rękę. – Aaa, nie, jak się na mnie rzucił, przewróciłam się na szafkę i rozbiłam łokciem jakąś wazę. Dobrze, że uciekł, gdy zaczęłam do niego strzelać, bo... – Odwróciła wzrok

Weszli do zarośniętego ogródka, kiedy zerwał się wiatr i zaczęło lać. Hubert pomógł Izie rozsiadnąć Hermesa. Potem wprowadzili zwierzęta pod niewielką altankę, a sami zanieśli torby do domu.

– Małabra – westchnął Ernest, opadając na fotel w salonie.

– Rusz lepiej tyłek i rozpal w kominku. – Hubert, przechodząc obok, kopnął go w stopy. – Masz jakiś bandaż? – zapytał po chwili, bezceremonialnie zaglądając do jego torby.

– Co się stało? – Ernest spoważniał.

– Mnie nic.

Henryk, jak tylko to usłyszał, spojrzął od razu na Izę.

– Pokaż – powiedział.

– Nic mi nie jest – prychnęła dziewczyna.

– Już!

Iza westchnęła ciężko i wywróciła oczyma, ale posłusznie zdjęła kurtkę i podwinęła rękaw zakrwawionej koszuli.

– Biedny wazon – westchnął Hubert, kiedy zobaczył brzydkie rozcięcie na przedramieniu dziewczyny.

Iza zmroziła go spojrzeniem.

– Daj mi ten bandaż. – Henryk wyciągnął rękę w jego stronę.

Chłopak wręczył mu podręczną apteczkę, którą Ernest zawsze woził ze sobą. Między innymi z tego powodu brakowało mu przyjaciela, Hubert nigdy nie myślał o tak „przyziemnych” sprawach jak apteczka.

– Będziesz miała chwalebny bliznę po spotkaniu z wijem – powiedział do Izy, gdy Henryk opatrywał jej rękę.

– Chyba z wazą – burknęła. – Wstyd, że mnie tak zaskoczył.

– Ciesz się, że żyjesz – mruknął Henryk.

Burza szalała przez cały wieczór i ustała dopiero późno w nocy.

Hubert spał twardo na kanapie w salonie przy kominku. Ernest ułożył się na wersalce w pokoju obok Henryk wraz z Izą poszli na piętro i tam znaleźli jakieś łóżka.

Z samego rana, jeszcze przed śniadaniem, Hubert poszedł do domu, gdzie zabili wiję, i największemu wyrwał ząb. Kiął mocno się trzymał i chłopak musiał porządnie go obluźować, żeby w końcu wyszedł. Ściskając w ręku nowe trofeum, stanął nad demonem i przez chwilę mu się przypatrywał.

– Tyle mięsa... – westchnął chłopak

Z tego, co wiedział, jeszcze nikt nie odważył się spróbować ciała upolowanego demona. Hubert też nie miał na to najmniejszej ochoty, co nie zmieniało faktu, że w czasach gdy zdobycie zwierzęcego białka nie było łatwe, bolało go takie marnotrawstwo. Poza tym może udałoby się obedrzeć go ze skóry. Przecież kiedyś ludzie wykorzystywali skórę węży, a ten był naprawdę okazały. Po prawdzie był to najdłuższy i najgrubszy wij, jakiego do tej pory spotkał.

„Czy żyby wciąż rosły?” – zastanowił się Hubert.

Dwa lata po wojnie był w stanie zabić dorosłego wija kamieniem. Gdyby wtedy zaatakował go tak duży osobnik, nie miałby szans.

Podczas śniadania chłopak zauważył, że zranione przedramię mocno Izie doskwiera, jednak starała się udawać twardą. Gdy się pakowali i wyjął jej z rąk torbę podróżną, którą zawiesił na Hermesie, dziewczyna spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Powinniśmy po drodze zahaczyć o bunkier. – Hubert wyrównał chód Mokki z chodem Inki.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. – Przyjaciel pokręcił głową, zerkając za siebie na dwójkę święcinian.

Do tej pory o istnieniu bunkra poza nimi wiedzieli jedynie Albert, Daniel i Zuzia.

– Daj spokój, przecież to Iza i Henryk. Oni nas nie okradną. Na Boga, w tamtym wcieleniu Henryk poświęcił siebie, żeby nas ratować. I nawet nie mów, że to był sen – uprzedził słowa Ernesta, gdy ten tylko otworzył usta. – Dobrze wiesz, że to się działo naprawdę. Wszystko ci opowiedziałem, o Święcinie, o tych ludziach. Teraz sam ich spotkałeś i nie zaprzeczysz temu.

– Niech ci będzie, ale nie powiem, żeby mi się to podobało.

– Teraz może nadłożymy odrobinę drogi, ale do Dąbrówki zajedziemy uzbrojeni i od razu będziemy mogli rozpocząć poszukiwania.

Dwa dni później wjechali na polną drogę prowadzącą do schronu.

– Gdzie nas wywozicie? – westchnęła Iza, kiedy musieli zejść z koni i poprowadzić je przez las.

– Oto nasz bunkier. – Hubert machnął ręką, gdy stanęli przed żelbetową bryłą w większości znajdującą się pod ziemią.

– Zapraszamy w nasze skromne progi – dodał Ernest.

Konie zaprowadzili do szopy zbudowanej kilka lat wcześniej. Hubert otworzył drewniane drzwi, które kiedyś zabrali ze starej stodoły, i przepuścił Henryka oraz Izę pierwszych.

– Łał – wyrwało się dziewczynie, kiedy chłopak zapalił lampkę naftową stojącą przy drzwiach. Henryk uniósł brwi i rozejrzał się dookoła.

– Ile broni. – Iza przeszła z jednego pomieszczenia, wypełnionego paczkami z odzieżą

i żywnością, do drugiego, gdzie znajdował się skład kałasznikowów, wojskowych pistoletów P-83, granatów i mnóstwa amunicji oraz kilka skrzynek ze spłonkami, które były potrzebne do produkcji nowych nabojów. A przecież kiedyś znajdowało się tu tego jeszcze więcej.

– Skąd wy to macie? – zapytał Henryk

– Po wojnie ograbiliśmy jednostkę wojskową – odparł Hubert z uśmiechem.

Całkiem nieźle się bawił, patrząc na miny przyjaciół rozglądających się po schronie.

– Dzisiaj tu przenocujemy – zdecydował Ernest, wnosząc do środka swoją torbę. – I tak jest już późno, a jak jutro z samego rana wyjedziemy, to pojutrze przed południem będziemy na miejscu.

Wieczorem rozpalili przed wejściem ognisko, na którym Ernest ugotował kolację, a potem przy świetle lamp naftowych usiedli w bunkrze na podgumowanych materacach.

– Podobają mi się tu. – Iza patrzyła na sterty rzeczy wywiezionych z jednostki.

Hubert uśmiechnął się lekko. Gdyby pół roku wcześniej ktoś mu powiedział, że będzie teraz siedział tutaj z Izą, z Henrykiem... Potrząsnął głową. Do tej pory nocowali tu jedynie we dwóch, z Ernestem. A jeszcze wcześniej – z Michałem.

Spojrzał na przyjaciela, który słabo pokijał głową. Najwyraźniej pomyślał o tym samym.

– Pójdę zobaczyć, co z końmi. – Hubert zerwał się z materaca i skierował do wyjścia.

Las był pogrążony w absolutnej ciemności, więc chłopak doszedł do wiaty praktycznie po omacku. Konie zarżały cicho, gdy tylko go wyczuły. Wszystko wydawało się w porządku.

– Mnie też go brakuje – usłyszał nagle za plecami. Odwrócił się i dostrzegł ciemną sylwetkę przyjaciela. – Jesienią trzeba pojechać na jego grób.

Hubert pokijał głową, ale po chwili zdał sobie sprawę z tego, że przyjaciel nie może tego widzieć w ciemności.

– Będzie trzeba – powtórzył.

– Przepraszam za to, co powiedziałem wtedy w Dąbrówce – wydusił w końcu Ernest. – Wiesz, że taknie myślę. To nie twoja wina, że zginął.

– Moja.

– I ten Dzik Gon to też nie przez ciebie. Mogłem się uprzeć, żeby ją odprowadzić do domu, lecz byliśmy już tak blisko, też chyba nie chciałem, żeby wróciła. A poza tym nic jej potem nie było. Szkoła tylko Berdy, ale to przecież część naszego zawodu, prawda?

– Dobrze wiedziałem, że w grodzisku czai się coś groźnego. Ale nic nie zrobiłem, nie ostrzegłem... Oni wszyscy... oni wszyscy zginęli przeze mnie.

– Nawet nie waż się tak mówić. – Ernest dobrze wiedział, że Hubert ma na myśli każdą śmierć,

kórej nie zdołał zapobiec. – To nie twoja wina. A poza tym pomyśl tylko, ilu już uratowałeś. Tam, w bunkrze, siedzą Iza i Henryk. Oboje cali i zdrowi.

Hubert westchnął ciężko. Tak bardzo brakowało mu przyjaciela.

Rankiem zaczęli się pakować.

– Czego będziemy potrzebować? – zastanawiał się Hubert.

Stanął przed skrzyniami pełnymi broni.

– Ja bym wzięła wszystkiego po trochu – mruknęła nieśmiało Iza.

Hubert zerknął na nią i się uśmiechnął.

– Częstuj się – powiedział.

– Słucham?

– Weź dla siebie, co chcesz.

– Poważnie?

– Pewnie, wolałbym, żebyś w razie czego osłaniała moje plecy uzbrojona w coś więcej niż tego browninga.

Dziewczy na z iskierkami w oczach podeszła do sterty broni i wybrała karabin.

– Możesz też wziąć jakiś mundur, jeśli chcesz – powiedział Hubert. – Ja sam też muszę wymienić swoje ubranie.

Pepeszę, do której nie miał już prawie nabojów, postanowił zabrać do Dąbrówki i tam zostawić. A teraz uzbroił się w nowy kałasznikow.

Zaopatrzeni w broń, amunicję i ubrania opuścili bunkier, a w drodze Hubert opowiadał przyjacielowi o demonach, na które natknął się od ich rozstania.

– Trojan? – powtórzył Ernest, kiedy Hubert opowiadał, jak osaczyli olbrzymie wilki w Lipczyńku.

– No trojan, co ci się nie podoba?

– Czy według opisu z demonologii trojany przypadkiem nie mają skrzydeł, trzech głów, z czego jedna pożerała ludzi, druga bydło, a trzecia ryby?

– Trojany są wrażliwe na światło – przypomniał.

– I tylko na tej podstawie nazwałeś te wilki trojanami? W książce jest tyle nazw... W tej chwili mogę wymienić co najmniej pięć demonów, których opis bardziej pasuje do tych twoich wilków. Czemu się uparłeś na trojana?

– Nie czepiaj się – burknął Hubert. – Borutę ty nazwałeś, to zostaw mi tego przekłętą trojana.

– Niech ci będzie. Mam tylko nadzieję, że twój ojciec jeszcze nie dotarł do „t” przy

przepisywaniu demonologii.



ROZDZIAŁ IX

Ostatniego popołudnia sierpnia przekroczyli granice Dąbrówki.

– Nic się nie zmieniło – stwierdził Hubert.

Henryk i Iza z zainteresowaniem rozglądali się po niewielkiej wsi, w której większość domów stała opuszczona.

W oddali Hubert zobaczył starego Borowskiego. Mężczyzna oparł się o płot i obserwował nowo przybyłych, a po chwili uniósł dłoń w pozdrowieniu.

„Jak mogłem myśleć, że mnie tu nie chcą? – zastanawiał się Hubert. – Przecież jestem jednym z nich”.

Wjechali na podwórko gospodarstwa Alberta.

– Co za upiorne domiszczko – stwierdziła Iza, patrząc na ciemny budynek.

– Ej, ja tu mieszkam – oburzył się Hubert.

Z obory wyszedł właśnie Albert. On również wyglądał jak zawsze – na łysawej głowie miał starą czapkę, na nogach gumofilce, ubrał się w spodnie i koszulę w kratę, która pamiętała jeszcze komunę. Na widok przybyłych zatrzymał się i zmierzył każdego wzrokiem.

– Przewodzę go – odezwał się Ernest, zsiadając z konia.

Albert objął wnuka, a potem stanął przed Hubertem.

– Chodź tu, uciekinierze – powiedział po chwili, po czym wyszczerzył te kilka zębów, które mu jeszcze zostały, i wyciągnął ręce w jego stronę.

Hubert uściśkał go, czując w gardle duszącą gulę. Dobrze było znów zawitać do domu.

Potem Albert, starając się ukryć łzy lśniące w kącikach oczu, spojrział na Henryka i Izę.

– A to kto? – zapytał.

– Są ze Świącina, pomogą nam – powiedział Ernest.

– Witamy w Dąbrówce, jestem Albert. – Zdjął z głowy nakrycie.

– Iza i Henryk – przedstawił gości Hubert.

– Zróbcie coś z tymi końmi i chodźcie do środka. – Albert wcisnął czapkę na łysinę i poszedł do domu.

Konie zostały w stajni, a czworo podróżnych weszło do domu. W progu przywitał ich Daniel. Mocno wyściskał syna, a potem burknął coś niezrozumiałego i wrócił do salonu, gdzie usiadł za stołem zawalonym kartkami papieru, różnymi notatkami i książkami. Między nimi górowała stara maszyna do pisania.

– Zrób coś do picia – Albert rzucił do Ernesta.

– Ej, ja właśnie wróciłem z długiej podróży... – zaczął jego wnuk, ale starszy pan rzucił mu spojrzenie typu: „Nie chcesz, żebym teraz przypomniał ci, od czego kował ma szczytę”.

Ernest westchnął teatralnie i rzucając jadowite spojrzenie Hubertowi, wyszedł do kuchni.

Albert spojrział na Huberta i bez niepotrzebnego wstępu spytał:

– Gdzie byłeś?

– Trafiłem do Świącina, gdzie spędziłem ostatnie miesiące.

Albert w zamyśleniu pokiwiał głową, przypatrując się uważnie chłopakowi.

– Znaleźliście tego przekłętą kota?

Chłopak kiwnął głową.

– Wczoraj nocował z nami, zwinął się po śniadaniu, ale wydaje mi się, że dzisiaj powinien być w Dąbrówce.

Starszy pan odetchnął z ulgą. Dopiero teraz Hubert zauważył, że Albert jakby bardziej się przygarbił, na jego twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, a dłonie wciąż drżały. Starał się zachowywać jak zwykle, żartował, żeby ukryć strach o wnuczkę, ale chłopak nie dał się zwieść.

Nagle rozległo się głośne pukanie, po czym, nie czekając na zaproszenie, do domu

wmaszerowała sąsiadka Janicka. Pozostali mieszkańcy Dąbrówki, choć na pewno ciekawi, co dzieło się z Hubertem i dlaczego przyjechał z obcymi, postanowili dać mu trochę czasu, by mógł przywitać się z bliskimi. Lecz pani Aniela zawsze powtarzała, że jest za stara, by na cokolwiek czekać, więc bez skrępowania przysła dowiedzieć się, co się dzieje.

– Słyszałam, że znaleźliście swoją zgubę – odezwała się, wchodząc do salonu.

Wtem jej wzrok padł na Henryka. Uśmiechnęła się zalotnie i poprawiła fryzurę; nie przeszkadzało jej, że jest od niego dwa razy starsza.

– Dzień dobry. – Hubert lekko się podniósł i skinął jej głową.

– Dobry, dobry – mruknęła, po czym usadowiła się na fotelu naprzeciwko byłego wojskowego i co chwila rzucała mu zalotne spojrzenia.

Hubert bawił się przednio. Pierwszy raz widział, by Henryk w czyimś towarzystwie czuł się nieswojo.

Wymienili z Izą rozbawione spojrzenia.

Ernest wszedł do pokoju, niosąc tacę z kubkami z herbatą.

– Syn marnotrawny wrócił do domu, a ty herbatę podajesz?! – oburzył się Albert. – Jak chcesz, żeby coś było dobrze zrobione, zrób to sam – mamrotał, idąc do piwnicy po butelkę bimbru.

Ernest spojrział zmartwiony na wychodzącego dziadka. Szepnął Hubertowi, że Albert od czasu zaginięcia Zuzi dużo pije. Kiedyś też nie stronił od alkoholu, ale nigdy nie zaniedbywał gospodarstwa.

Ernest podał wszystkim herbatę.

– Wiadomo coś nowego? – Ernest zapytał Daniela, który siedział w kącie przy swojej maszynie do pisania.

– Odwiedził nas Paweł – odparł mężczyzna. – Słyszał o ludziach, którzy zajęli jakieś miasto dwieście kilometrów na południowy zachód od nas. Mówił, że to całkiem dobry trop, wcześniej nikt tam nie mieszkał, ale w Kamiennej mieli problemy z demonami i nie był w stanie tego dokładnie sprawdzić.

Hubert porzekał na stole swoje stare mapy i zakreślił na nich miejsca, które Ernest zdążył już sprawdzić. Wielkim kółkiem zaznaczył okolicę, gdzie wedle wiadomości Pawła mogli sprowadzić się obcy. W tej chwili był to ich jedyny trop. Jeżeli w ciągu następnego dnia Klakier nie wróciłby do domu, postanowili tam wyruszyć bez niego. Zresztą co innego mogli zrobić? Ten kierunek był równie dobry jak każdy inny. Przy najmniej nie będą siedzieć beczynnym w domu.

– Jak ona wygląda? – zapytała Iza, kiedy goście już poszli, Albert rozmawiał z Henrykiem,

Ernest wciąż pochylał się nad mapami, a Daniel szkicował postać jakiegoś demona.

– Zuza? – Hubert zastanowił się chwilę. – Ma rude włosy. Ma też takie spojrzenie, że... – zaczął, ale nie potrafił się wysłowić. Tylko ten, na kogo spojrziała, a raczej kogo prześwietliła wzrokiem na wylot, potrafiły to zrozumieć. – Ernest miał gdzieś album, chodź na górę.

Zaprowadził Izę do swojego starego pokoju, gdzie przez siedem lat mieszkał razem z przyjacielem, i bezceremonialnie zaczął przetrząsać jego szafki.

– Mam! – Wyjął z szuflady stary album ze zdjęciami zrobionymi jeszcze przed wojną. – To ona. – Wskazał na roześmianą małą dziewczynkę z burzą rudych loków. – Oczywiście wyrosła od tego czasu, ale...

Westchnął ciężko.

– Nie martw się. – Iza usiadła obok niego na łóżku. – Znajdziemy ją.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w zdjęcie.

„Kiedyś byłaś inna – pomyślał Hubert. – I gdybyś nie miała tego przekłętą daru, może dziś byłabyś z nami”.

Poczuł gulę w gardle. Musiał zamrugać powiekami, żeby rozproszyć łzy napływające do oczu. Tak bardzo się martwił, brak wieści o Zuzi nie dawał mu spokoju. A co jeśli jej nie odnajdą? Do końca życia będą się zastanawiać, co się stało? Trwać w niepewności, czy ich ukochana siostra żyje gdzieś daleko, czy może jej szczątki spoczywają zakopane gdzieś pod ziemią?

Nagle wielki dom Alberta wydał się cichy, pusty i nieprzyjemnie ponury.

– Chodźmy się przewietrzyć – zaproponował Hubert, zamykając z hukiem album.

Odwrocił głowę, aby Iza nie zobaczyła jego chwili słabości.

Opuścili dom i przeszli się po zarośniętym ogródku. Najwyraźniej nikt nie miał czasu, by się nim zająć i zebrać dojrzałe warzywa. Zuzia zaginęła, Ernest jej szukał, wszystkie obowiązki spadły na Alberta i Daniela.

– Gdybym nie wyjechał... – westchnął.

Iza zerknęła na niego.

– Nie mów, że masz wyrzuty sumienia.

Wzruszył ramionami.

– Gdybyś nie wyjechał, strzyga zabiłaby Andrzeja, Bartek skrzywdziłby Kamilę, o ile wcześniej nie wykończyłby go topielec, Anię zaatakowałyby mamuny i mnóstwo ludzi w Lipczynku zginęłoby zagryzionych przez trojany. Teraz, zamiast się nad sobą uzalać, weź się w garść i pomyśl, co jeszcze możemy zrobić, żeby ją odnaleźć, skoro nadajecie na tych samych falach.

Hubert uśmiechnął się słabo. To była cała Iza.

Stanęli przed domem i spojrzeli na niewielką wieś. Słońce już wcześniej skryło się za horyzontem i teraz senna miejscowość powoli pogrążała się w wieczornej szarówce. Po pewnym czasie Iza się odezwała:

– Ta wieś jest inna.

– Co masz na myśli?

– Nie ma palisady wokół, nie ma strażników ani wart. Jaksobie dajecie radę?

– Jakiś musimy – odparł. – Jest nas dużo mniej niż w Święcinie. Każdy musi pracować, nie stać nas to, żeby ludzie mogli pełnić warty. Są potrzebni gdzieś indziej, na polu, w ogrodzie. A jeżeli ktoś lub coś nam zagrozi, wszyscy chwytają za broń. Można powiedzieć, że u nas każdy jest strażnikiem.

– Nie macie też sołtyśa.

– Mamy za to radę starszych.

– Hubert!

– Gdzie ty się podziewał?

Przez wieś szli Oskar, piętnastoletni syn Teresy, bratanicy Berdy, i Jędręk, szesnastoletni wnuk byłego sołtyśa, którego po śmierci dziadka przygarnęli Górscy.

Hubert serdecznie przywitał się z chłopcami.

– Brakowało tu ciebie – powiedział Oskar.

– Dobrze, że jesteś – dodał Jędręk.

– Chyba jednak aż tak bardzo nie narozrabiałeś, skoro wszyscy tak się cieszą na twój widok – stwierdziła Iza, kiedy chłopcy się pożegnali.

– Przeze mnie zginął wujek Oskara – mruknął Hubert.

– Ale chłopaknie sprawia wrażenia, jakby o cokolwiek cię winił.

Cały następny dzień upłynął na oczekiwaniu. Niestety Klakier nie pojawił się w Dąbrówce. Hubert wraz z przyjaciółmi uznał, że nie ma sensu dłużej zwlekać. Spakowali trochę ubrań, zapasów żywności i broni, żeby następnego ranka móc wyjechać.

Ruszyli na południowy zachód. Przez trzy dni podróżowali znanymi trasami, lecz później wkroczyli na tereny, gdzie od czasu wojny się nie zapuszczali. Często nadrabiali drogi, zbaczając do wsi i miast oznaczonych na starych mapach w poszukiwaniu ludzi. Jednak okolica była opuszczona.

Pewnego wieczoru, gdy grzali się przy ognisku w lesie, z mroku jak gdyby nigdy nic wyszedł

Klakier i usiadł w kręgu światła, jakby wrócił z krótkiego spaceru.

– Gdzie się szlałeś tyle dni? – Ernest warknął z wyrzutem, lecz demon tylko spojrział na niego protekcjonalnie.

– Nigdy nie rozumiem, w jaki sposób funkcjonuje ten kot – dodał Hubert. – Trzeba by dać mu jakąś kiełbasę, żeby znowu nie znikł gdzieś na kilka dni.

Ernest nakarmił Klakiera sporą porcją szynki, po czym demon ułożył się do snu na jego spiworze. Jednak już z rana zniknął. Postanowili ruszać bez niego.

W kolejnej wsi, do której zajrzeli po drodze, usłyszeli żałosne zawodzenie.

– Co się dzieje? – Iza rozejrzała się nerwowo.

– To chyba Klakier – powiedział zdziwiony Hubert. – Co mu jest?

– Może coś mu się stało. – Ernest wyglądał na zaniepokojonego. – Sprawdź.

– Jadę z tobą. – Hubert zawrócił Mołkę.

Przejechali kilkaset metrów, skręcili na jedynym skrzyżowaniu we wsi i tam, na samym środku drogi, zobaczyli siedzącego Klakiera, który wydierał się, jakby obdzierano go ze skóry.

– Zamknij się, ściągniesz nam na głowę wszystkie demony z okolicy – zganiał go Hubert, ale owinnikowi najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Zamilkł dopiero, gdy przyjaciele zatrzymali tuż przed nim swoje kłaczki. Wtedy poderwał się z ziemi, oddał kilkanaście metrów, znów usiadł na asfalcie i czekał na reakcję ludzi.

– Nic mu nie jest, możemy jechać. – Hubert zawrócił Mołkę.

Klakier znów zaczął wyć.

– Poczekaj. – Ernest zatrzymał przyjaciela. – On chyba chce, żebyśmy ruszyli za nim.

Demon przestał zawodzić, gdy ponownie do niego podjechali.

– To co? Pozwolimy mu się poprowadzić? – zapytał rudzielec.

– Niby taki był plan. Poczekaj tu z nim, ja pojedę po resztę.

Klakier wyprowadził czwórkę podróżników z opuszczonej osady, a potem znikł, gdy wjechali na prostą drogę. Pojawił się znów, gdy kilka kilometrów dalej zatrzymali się na skrzyżowaniu w lesie.

Sytuacja do wieczora powtórzyła się kilka razy. Nie mieli wątpliwości, że demon chce, żeby za nim podążali, obawiali się jednak, że nie prowadzi ich do Zuzy.

Przez dwa kolejne dni demon pilnował, żeby czwórka podróżników jechała dokładnie tam, dokąd on chciał, aż trzeciego ranka nie pojawił się na śniadanie i ludzie byli zmuszeni wyruszyć dalej sami.

Po południu zatrzymali się na wąskiej drodze asfaltowej prowadzącej przez gęsty las. Roziodłali konie i pozwolili im skubać zielone liście krzewów rosnących na poboczu. Zjedli trochę chleba z wędzoną szynką i odrobinę suszonych owoców zabranych z Dąbrówki. Hubert rozłożył się na ziemi, opierając głowę o siodło Mokki, a stopy o siodło Inki.

Ernest zgarnął z asfaltu suche liście, rozwinął na nim mapę okolicy i począł ją ze skupieniem studiować. Henryk zaś nasmarował olejem z dziurawca ranę na ręce Izy i owinął ją świeżym bandażem. Z dnia na dzień wyglądała coraz lepiej. Dziewczyna na miała szczęście, że nie dostała zakażenia.

Nagle Hubert gwałtownie usiadł, wypuszczając z płuc całe powietrze. Coś się czaiło w lesie. Chłopak zamknął oczy. Wyczuł kilka demonów, wszystkie były rozdrażnione. Ktoś wszedł na ich terytorium, przygotowywały się do ataku. Hubertowi zakręciło się w głowie, wrażenie, że demon jest w pobliżu, jeszcze nigdy nie było tak silne. Po raz pierwszy w życiu odebrał emocje potworów. Jedno wiedział na pewno – to nie na niego i jego towarzyszy były tak wściekłe. Gdzieś niedaleko w lesie miały zaraz zaatakować innych ludzi.

Zerknął na Ernesta, który podniósł głowę znad mapy i wpatrywał się w niego.

Hubert poderwał się z ziemi i złapał za karabin. Już wiedział, z której strony dotarł do niego zapach demonów. Postąpił krok w tamtą stronę.

– Hubert, nie – zaprotestował stanowczo Ernest. – Nie mamy na to czasu.

Dobrze znał przyjaciela. Od razu domyślił się, co się dzieje. Ale wiedział też, że nie ma najmniejszych szans go zatrzymać.

– Zabiję go kiedyś – warknął, gdy Hubert pobiegł do lasu.

Łowca nie panował już nad sobą. Demony zagrażały ludziom, czuł ich gniew i żądzę krwi. Nie umiał tego zignorować.

Pędził przez las. Sprawnie wymijał pnie sosen i brzoź, przesakał przez wystające z ziemi korzenie, przewrócone drzewa. Aura demonów stawała się coraz silniejsza. Jego mięśnie drżały z napięcia, adrenalina buzowała w żyłach, zmysły się wyostrzyły. Był panem życia i śmierci.

Już z daleka zobaczył psy południcy. Wyglądały jak bure kundły z czarnymi oczyma. Warczały, odsłaniając wszystkie zęby i czarne dziąsła.

Coraz ciasniejszym kręgiem otaczały starszego mężczyznę.

Hubert zatrzymał się gwałtownie i strzelił do kilku najbliższych demonów. Dwa padły martwe, pozostałe, słysząc nagły huk wystrzałów, przypadły do ziemi. Tylko jeden, największy, odebrał to jako sygnał do ataku i rzucił się na mężczyznę, przewracając go na ziemię.

Hubert znów zaczął biec, po czym kopnął demona z taką siłą, że pogruchotał mu żebra i zrzucił go z człowieka.

Pies wyładował kilka metrów dalej i skomląc głośno, spróbował się podnieść z ziemi. Nie był w stanie. Chłopak go zastrzelił. Inny demon, szczelając zajadle, rzucił mu się do nóg, ale tego też zabił.

Pozostałe bestie straciły rezon. Hubert czuł, że ich wściekłość przerodziła się w strach. Zaczęły uciekać. Przyłożył karabin do ramienia i posłał kilka kul w ich kierunku. Kolejne dwa padły martwe.

Opuścił karabin, nie było sensu gonić pozostałych demonów, nie doścignąby ich. Emocje wciąż go rozsadzały. Odwrócił się i spojrzał na pobojowisko. Pięć cielek leżało na ziemi. Szósty skomlał jeszcze cicho i drapał łapą trawę. Hubert podszedł do niego i wbił mu bagnet między żebra. Nie chciał bez potrzeby marnować amunicji.

Odwrócił się i zobaczył przyjaciół. Spojrzał przeproszająco na Ernesta, który tylko pokręcił głową. Iza przypatrywała się martwym demonom. Henryk podszedł do starszego mężczyzny i pomógł mu wstać z ziemi.

– Dzięki – sapnął człowiek – W ogóle ich nie zauważyłem, aż nagle zdałem sobie sprawę, że otacza mnie kilkanaście tych kundli. Co za przekłete bestie. Dziękuję – zwrócił się do Huberta, ale nie podał mu dłoni.

– Co pan robił sam w lesie? – zapytał Ernest.

– Na grzybach byłem, co mogłem robić? – Mężczyzna schylił się i zaczął zbierać grzyby, które wysypały się z czerwonego plastikowego wiaderka.

– A skąd pan jest?

Starszy człowiek się zawahał. Różnych ludzi spotyka się w tych czasach i niekoniecznie dobrym pomysłem jest zdradzanie im, skąd człowiek pochodzi. Jednak ich było czworo, a poza tym przecież go uratowali...

– Nie zamierzamy przeprowadzać ataku na pana wioskę – zapewnił Hubert.

– Głupek – syknęła Iza i uderzyła go łokciem w żebra. Niestety zapomniała, że to ten rozbity łokieć, i po chwili syknęła jeszcze głośniejszym razem z bólu.

– Mam na imię Władysław i jestem z Duszników – powiedział w końcu mężczyzna.

– Możemy pana odprowadzić, a poza tym chętnie odwiedzimy tę miejscowość i porozmawiamy z ludźmi – odparł Henryk.

Władysław skrzywił się lekko, ale skinął głową. Henryk miał rzadki dar budzenia w ludziach zaufania.

Duszniki były niewielką wsią otoczoną wysoką siatką. Przy bramie, zdobytej prawdopodobnie

z jakiegoś zakładu produkcyjnego, siedział strażnik ze strzelbą. Na widok obcych poderwał się z ławki i choć nie wycelował w nich broni, jasno dał do zrozumienia, że w każdej chwili może to zrobić. Gdy zobaczył, jak uzbrojeni są przybysze, zrzęda mu mina.

– Mamy gości – poinformował go Władysław.

– Właśnie widzę. Broń musicie przechować u mnie – zwrócił się do nich.

Chłopcy i Iza spojrzeli na Henryka.

– Dobrze. – Były wojskowy skinął głową. – Gdzie możemy zostawić konie?

– Możecie tutaj, dawno nikt nie kosił trawy.

Rozsiodłali zwierzęta i przypalikowali je przy płocie niedaleko strażnika. Siodła i bagaże złożyli na jeden stos.

– Zaprowadzę was do wójta – oznajmił Władysław.

Ruszyli przez wieś, a ludzie przyglądali się im z ciekawością. Wtem jedna kobieta, w ogóle nie zwracając na nich uwagi, podeszła do starszego pana. Była czerwona z wściekłości, ręce jej drżały.

– Gdzie ty znowu byłeś! – naskoczyła na Władysława. – Przecież zabraniałam ci wychodzić poza wieś!

– Byłem na grzybach! – próbował bronić się mężczyzna, zasłaniając się czerwonym wiaderkiem niczym tarczą.

– Głupi stary dziad jesteś! Ktoś mógł cię zaatakować!

Dopiero teraz zauważyła czworo przybyszów i zamilkła speszona.

Hubertowi wystarczyła zaledwie chwila, żeby ją rozpoznać. Ciemne, poprzetyłane siwizną włosy do ramion, dość potężna sylwetka i mocny głos, który potrafił zapanować nad całą klasą rozwrzeszczanych licealistów. Co prawda minęło siedem lat i kobieta się zmieniła, postarzała, ale nie miał wątpliwości, że ją rozpoznał.

– Pani generał Goeb... – zaczął, ale Ernest uderzył go pięścią w ramię.

– Pani Ciesielska! – zawołał rudy chłopak

– Jezus Maria! – sapnęła kobieta, patrząc na nich nieco podejrzliwie. – Ernest? Hubert? Wy żyjecie?

– Jak najbardziej – odparł Hubert.

– Ale jakim cudem...?

Chłopcy uśmiechnęli się szeroko do byłej nauczycielki.

– Co wy tu w ogóle robicie? Co oni tu robią? – Spojrzała pytająco na Władysława.

– Znalazłem ich na grzybach. A teraz prowadzę do wójta.

– Idź, zrób coś z tymi grzybami, ja ich zaprowadzę – rozkazała.

– To nasza była matematyczka. – Hubert szepnął do Izy i Henryka.

Joanna Ciesielska zaprowadziła całą czwórkę do okazałego domu, a raczej obok niego, gdzie potężny mężczyzna koło czterdziestki kopał ogródek

– Macieju, mamy gości – powiedziała.

Mężczyzna zmierzył ich wzrokiem.

– Skąd jesteście? – zapytał.

– Z Dąbrówki i... Świącina – odparł Ernest.

– To moi byli uczniowie – dodała Joanna.

Ta informacja nie zrobiła na wójcie żadnego wrażenia.

– Co was sprowadza w te strony? – zapytał konkretnie.

– Może usiądziemy gdzieś i spokojnie porozmawiamy? – zaproponował Henryk

Ernest, który nie wiedział, jak to wszystko najlepiej wyjaśnić, spojrzał na niego z wdzięcznością.

Zajęli miejsca na ławkach przy stole w cieniu jabłoni, po czym nastąpiła grzecznościowa, choć niezbyt poufala rozmowa. W końcu wójt zapytał, czego tak naprawdę szukają w tych stronach. Henryk zamilkł i spojrzał na Ernesta. Ten nabrał w końcu śmiałości.

– Jacyś ludzie porwali moją siostrę – wypalił.

– Jak to porwali? – zapytała pani Ciesielska.

– Po prostu: porwali, a mężczyźnię, który wtedy z nią był, ogłuszyli.

– Trochę daleko zawędrowaliście z tej Dąbrówki – stwierdził wójt. – Jesteście pewni, że to nikt z waszej okolicy? Takie rzeczy się zdarzają, ale w bliskim otoczeniu.

– Nie, nie był to nikt z pobliskich osad, ze wszystkimi jesteśmy w dobrych stosunkach.

– Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu i porywać jedną dziewczynę z waszej wsi, a potem wlec ją ze sobą tyle kilometrów? Teraz, gdy na świecie istnieją tak małe społeczności, takie zbrodnie popełniają ludzie, którzy znają ofiarę...

Hubertowi wcale nie przy padł do gustu sceptyczny ton wójta, ale nie komentował.

– Porwali ją, bo potrafi tropić demony – wyrzucił z siebie Ernest.

Zapadła cisza.

– Słyszałam o takim chłopaku, który potrafi wyczuwać demony z kilometra... – zaczęła była nauczycielka, po czym zamilkła i spojrzała na rudego chłopaka. – Ernest?

– Jestem niewinny – mruknął.

Wszyscy skierowali wzrok na jego przyjaciela.

– Hubert? – zdziwiła się kobieta.

– Z tym kilometrem to przesada. – Wzruszył ramionami.

– No masz ci los – westchnęła nauczycielka.

– Dzięki temu dzisiaj uratowałem Władysława.

– Mojego ojca zaatakowały demony?!

– Cóż...

– Ja go zabiję – syknęła. – Stary głupiec nigdy się nie nauczy, że nie może sam wychodzić poza ogrodzenie!

– Joasiu, uspokój się – upomniał ją Maciej. – Wracając do tej dziewczyny...

– Myślisz, Maciej, że to mogą być oni? – zapytała Joanna.

Czwórka podróżników od razu zaczęła uważnie się przysłuchiwać.

– Nie wiem, nic nie wiem – burknął wójt.

– O kogo chodzi? – zapytał ostro Ernest.

Maciej westchnął, a potem zaczął mówić.

– Jakieś siedemdziesiąt kilometrów stąd jest opuszczone miasteczko. To znaczy było. Do niedawna. Bo rok temu ktoś się tam wprowadził. Nie mamy pojęcia kto, nie nawiązali z nami kontaktów, my też nie wchodziliśmy na ich teren. Otoczyli wysokim ogrodzeniem kawał miasta i tam siedzą, ale co robią i po co, nie mam pojęcia.

– O tym mówił ten wasz Paweł – szepnęła Iza. – I w to miejsce prowadził nas Klakier.

Wójt Maciej pozwolił swoim gościom przenocować w Dusznikach. Czwórka podróżników ucieszyła się, gdyż wszyscy potrzebowali chwili odpoczynku po tygodniu spędzonym w drodze. Konie pasły się w ogrodzie, dostały też owsa.

Po obiedzie zjedzonym u wójta Hubert porozkładał na stole swoje poniemieckie mapy. Pokazali gospodarzowi, skąd dokładnie pochodzą oraz gdzie znajdują się pokojowo nastawione osady. Potem zaś przestudiowali mapę miasta, do którego niedawno wprowadzili się ci podejrzani ludzie.

– Myślicie, że to jest to? – zapytał Hubert, kiedy poszli do domu gościnnego.

– Mam nadzieję – westchnął Ernest.

– Może być. – Henryk pokwał głową. – Sprowadzili się tam niedawno i teraz zaczęli sprawiać

problemy. Nie wpuszczają nikogo do siebie, więc możliwe, że mają coś do ukrycia.

– Albo po prostu boją się obcych – wtrąciła Iza.

– Oboje czujecie demony, dlaczego nie wyczuwacie siebie nawzajem? – zapytał nagle Ernest.

– Ja z Zuzą? – zdziwił się. – Daj spokój, to by było... dziwne.

– Bo jesteście dziwni.

Na kolację zostali zaproszeni do domu pani Joanny w podziękowaniu za uratowanie jej ojca, a także przez wzgląd na dawne czasy. Hubert po raz pierwszy od wojny spotkał kogoś z dawnego życia. To było dla niego dziwne doświadczenie. Często zapominał, że kiedyś życie wyglądało zupełnie inaczej. Komputery, prąd, wszelkie elektryczne urządzenia zdawały się snem, jakby urodził się dopiero po wojnie, a dawną cywilizację znał jedynie z opowiadań.

– Ja się pani udało wrócić z Paryża? – zapytał Ernest podczas posiłku.

– To było coś potwornego – westchnęła kobieta. – Ten wybuch, ta panika... – Pokręciła głową.

– Na szczęście wysłali nas z powrotem do Polski przed wprowadzeniem stanu wojennego. Prawdziwy koszmar. A gdy skończyła się zaraza i jakimś cudem ją przeżyłam, przyjechałam tutaj, żeby zamieszkać z ojcem.

– Cieszę się, że go pani odnalazła – westchnął Ernest.

„Czy ona miała męża, dzieci?” – zastanowił się Hubert.

– Ano odnalazłam – powtórzyła. – Ale czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, ile strachu się najadłam przez waszą dwójkę? – Nagle się zdenerwowała. – Luwr wybucha, a was nigdzie nie ma! Wszyscy pozostali uczniowie grzecznie kręcą się niedaleko. A ja się dowiaduję, że umówiliście się pod tym przeklętym Lувrem z jakimś Francuzkami!

Ernest, udając skrucę, opuścił głowę.

– Wszyscy myśleliśmy, że zginęliście! Nawet policja to stwierdziła! Gdyby nie wy, lachudry jedno, dużo wcześniej wrócilibyśmy do domu! Chryste, w Polsce osobiście posłam do waszych domów przekazać tę wiadomość waszym rodzicom. Wy wiecie, jak ja się wtedy czułam?! Pod moją opieką zaginęło dwóch uczniów! Tylko że nikogo nie zastałam.

– Przepraszamy – powiedział ugodowo Ernest.

Pani generał spróbowała uspokoić oddech.

– Co się wtedy stało? Jak wróciliście do Polski? – zapytała już spokojniej.

– Kiedy wybuchł Luwr, Hubert ukradł samochód i wróciliśmy do domu – oznajmił Ernest.

Hubert spojrział na przyjaciela spod oka, zły, że zrzuca całą winę na niego.

– Ukradł samochód – powtórzyła głucho nauczycielka. – Przecież byliście niepełnoletni.

Pokonałście setki kilometrów...

- Nieże numery kiedyś wykręcałeś – podsumowała szeptem Iza.
- Nigdy nie mogłam w to uwierzyć. – Joanna pokręciła głową. – Dziecko z dobrej, porządnej rodziny, a zawsze sprawiał takie problemy wychowawcze.
- Świat się walił, musiałem wracać do domu – rzekł na swoją obronę Hubert.

– Ernie?

– Co? – mruknął Ernest.

Było już późno. Za oknem panowała absolutna ciemność, a dwaj przyjaciele leżeli na matach w jednym z pokoiów domu gościnnego.

Hubert z założonymi za głowę rękoma wpatrywał się w ciemny sufit.

– Ty wiesz, że ja musiałem zabić te demony, prawda?

– Niech cię... O tym chcesz teraz gadać? Idź spać.

– Ja wiedziałem, że one tam były...

– Wiem. Udało ci się, zabiłeś je, przy okazji uratowałeś ojca generała Goebbels, więc nie wyszło źle.

– Pamiętasz, jak matka Klakiera zabijała nam zwierzęta?

– No.

– I Zuza raz powiedziała, że ona przyszła w nocy do naszego gospodarstwa. I że była głodna.

Ernest westchnął znacząco, dając przyjacielowi do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać w tej chwili o czymś, co wydarzyło się wieki temu. Tym bardziej że jest zmęczony i po raz pierwszy od wielu dni może spać w bezpiecznym domu.

– Wtedy nie zwróciłem na to uwagi – kontynuował chłopak – Ale teraz już chyba wiem, co miała na myśli.

– Że demon był głodny, nic więcej.

– Dziś poczułem coś podobnego...

– Co? Głodnego demona? – Ernest podniósł się na łokciach i spojrzał na niego.

– Tak Nie... Chodzi o to, że wiedziałem, że te psy kogoś zaatakowały. Czuję, że są rozwścieczone, pałają żądzą mordy.

– Ty chyba nie mówisz poważnie? – jęknął Ernest.

– Jestem jak najbardziej poważny.

– No dobrze, niech ci będzie. Potem pomyślimy, jak możemy to wykorzystać. Teraz mamy inne sprawy na głowie. Idź spać, dobrze?

Hubert odwrócił się na bok i zamknął oczy. Zaledwie usnął, śniło mu się, że jest psem południcy i przygotowuje się do ataku na człowieka.

Pożegnani przez wójta, panią Joannę i Władysława, opuścili Duszniki, by zbadać wspomniane przez miejscowych miasto.

– Odwiedźcie nas, jak będziecie w pobliżu. I uważajcie na siebie. – Nauczycielka przypatrywała się, jak jej byli uczniowie siodłają konie.

– Do widzenia – odparł Ernest z uśmiechem, a Hubert skinął jej głową.

Podróż zajęła im dzień. Gdy dotarli na miejsce, Henryk zdecydował, żeby zostawić konie w ogródku jednego z domów na przedmieściu. Dalej powinni udać się pieszo.

Bagaż ukryli w jednym z budynków.

Klakier nie dał znaku życia od dwóch dni, więc liczyli, że dotarli na właściwe miejsce.

Hubert, szykując się do drogi, włożył do kieszeni trzy granaty, zabrał taśmę klejącą i złączył nią dwa magazynki do karabinu. Gdyby amunicja w jednym się skończyła, błyskawicznie mógł go odczepić i zamocować do kałasznikowa drugi. To samo zrobił z kolejnymi dwoma magazynkami i schował je do kieszeni spodni.

Poprawił jeszcze pas z coltem i bagnetem, a po chwili zastanowienia w cholewę buta wsunął mały nóż, który kilka lat wcześniej dał mu Kajetan w Gdańsku. Wierzył, że jest gotowy stawić czoła wszystkiemu, co ich czeka w mieście.

Na ulicach wały się śmieci. Znajdowały się na nich porzucone samochody, przewrócone drzewa, kawałki murów, szkło, wyrzucone kosze. W jednym miejscu natknęli się na kilka wózków sklepowych. Pozarastane trawniki, chwasty wystające pomiędzy płyt chodnikowych, ograbione domy z powybijanymi szybami i graffiti na ścianach – to właśnie był obraz powojennego miasta, któremu się nie poszczęściło. Po okolicy kręciły się dzikie zwierzęta.

– Kto by chciał tu mieszkać? – zastanowił się na głos. – Przecież istnieje wiele lepszych i mniej zdevastowanych miejsc.

W końcu dotarli do wysokiego ogrodzenia, które składało się ze starych płotów, desek i płyt wiórowych, a miejscami bardziej przypominało barykadę, taką jaką Hubert widział w Poznaniu, a więc stos mebli, opon, gałęzi i złomu. Na szczycie leżał gruby zwój drutu kolczastego.

– To prawdziwa twierdza – zauważył Ernest, gdy stanęli kilkanaście metrów od ogrodzenia. – Czyżby demony i ludzie dali im popalić aż tak bardzo, że musieli budować coś takiego?

– Nie podoba mi się to – orzekł Henryk

– Mnie też nie – dodał Hubert.

Z własnego doświadczenia wiedział, że takie rzeczy budowali tylko fanaty cy.

– To co? Szukamy bramy? – zapytała Iza.

– Tylko musimy być naprawdę ostrożni – przestrzegł Henryk

Zachowując bezpieczny dystans, żeby nikt ze środka ich nie dostrzegł, obeszli dookoła całe ogrodzenie. Okazało się, że osada, o ile w ogóle można ją tak nazwać, miała jedno wejście, pilnowane przez mężczyzn z karabinami.

– Założę się o demonologię, że to właśnie ich szukamy – stwierdził Hubert.

– Na razie nie możemy im się pokazać – powiedział Henryk – Powinniśmy wrócić na przedmieścia, zadbać o konie, przynieść tu trochę zapasów i obserwować bramę. Może się czegoś dowiemy, a jak nie, to złapiemy kogoś miejscowego, gdy wyjdzie na spacer, i wydusimy z niego informacje.

– Wy idźcie, ja tu zostanę – odparł Ernest. – Nie chcę niczego przegapić.

– Nie powinieneś zostawać tu sam. – Iza pokręciła głową.

– Zostańcie we dwóch – Henryk zwrócił się do Huberta. – Ja pójdę z Izą i jak się uda, to za kilka godzin wrócimy do was.

– Ukryjemy się w tym domu. – Hubert wskazał wysoki budynek, z którego okien był dobry widok na główną bramę i może nawet na to, co dzieło się za ogrodzeniem.

– Uważajcie na siebie i nie róbcie nic... głupiego – powiedział Henryk

– My? Głupiego? – zdziwił się Hubert. – Przecież zawsze działamy z rozważą.

Iza spojrzała na niego krzywo i pokręciła głową.

Henryk z dziewczyną się oddalili, a dwaj łowcy weszli do zrujnowanego budynku. Mieszkania w starej kamienicy dokładnie splądrowano, nie został w nich żaden cenny przedmiot. Wszystkie albo wyniesiono, albo zniszczono. A mimo to Hubertowi udało się znaleźć lekko pęknięte wiadro, które odwrócił do góry nogami i usadowił się na nim przed oknem, skąd miał widok na bramę i osadę. Niestety nie mógł dostrzec, co się dzieje w środku. Kilka razy pochwycił jakiś ruch spieszącego się dołądś człowieka, ale nic ponadto.

– Po co im park? – odezwał się Ernest, siedząc przy sąsiednim oknie.

– Nie wiem, może warzywa tam hodują? – odparł Hubert.

Jemu ten park się nie spodobał: czubki zielonych drzew przesłaniały widok

– Zadali sobie tyle trudu, żeby to wszystko ogrodzić, a przez ten park jeszcze dołożyli sobie pracy.

– Najwyraźniej mieli jakiś powód. – Hubert wzruszył ramionami.

Znów zobaczył wewnątrz jakiegoś mężczyznę z karabinem, ale ten szybko znikł za budynkiem.

– Widziałem już siedmiu facetów – odezwał się trzy godziny później. – Dwie kobiety i ani jednego dziecka.

– Przypadek?

– Nie, zobacz taką Dąbrówkę, mamy tylko trójkę dzieciaków, no może nie dzieciaków, ale przez trzy godziny byśmy już ich zobaczyli. W Świącinie dziesięciolatki ciągle biegają po wsi.

– Patrz! – syknął Ernest.

Nagle brama się otworzyła i wymaszerowało z niej sześciu mężczyzn. Każdy był uzbrojony w karabin i oprócz zwykłych ubrań wszyscy mieli na sobie choć jeden element munduru wojskowego: spodnie, bluzę lub chociaż koszulkę.

– Wojsko? – zastanowił się Hubert, odsuwając się nieznacznie od okna.

Ernest natychmiast zerwał się z krzesła i pobiegł do innego pokoju, skąd mógł dalej ich obserwować.

– Dokąd oni idą? – zastanawiał się, patrząc, jak grupa mężczyzn znika za budynkami.

– Na szczęście w innym kierunku niż Iza i Henryk

– Cholera! Że też musi być ich aż sześciu – zdenerwował się Ernest. – Gdyby było mniej, moglibyśmy ich zatrzymać i wypytać o wszystko!

Rudy chłopak zaczął się miotać bezsilnie po mieszkaniu.

– No i gdzie się podziewają Iza i Henryk?! – złościł się. – Czworo na sześciu byśmy dali sobie radę!

– Ernie, uspokój się. To i tak by było zbyt wielkie ryzyko. Musimy jeszcze poczekać.

– Poczekać?! Czeakałem już półtora miesiąca! I wciąż nic nie wiem! Ty wiesz, co oni mogą jej w tej chwili zrobić?!

Uderzył pięścią w ścianę.

– Ciszej, bo jeszcze ktoś nas usłyszy.

Ernest dyssał ciężko, na zmianę zaciskając i rozluźniając pięści.

– Wiem, że się martwisz – mówił Hubert. – Ja też, jednak musimy być ostrożni. Boże, nie wierzę, że ja to mówię, ale ten jeden raz nie możemy działać impulsywnie.

Czekali do końca dnia. Sześciuosobowy oddział zdążył już wrócić do miasta, a Iza i Henryk wciąż nie dawali znaku życia.

– Zaczynam się o nich martwić – westchnął Hubert, patrząc przez okno na zachodzące za budynkami słońce.

Ernest przestał już miotać się po pokoju, siedział teraz przygarbiony na krześle, obserwując bramę osady. Huberta zaczynało denerwować jego milczenie, porozmawiałyby z nim, ale przyjaciel nie zwracał na niego uwagi.

– Może sobie odpuścili? – Ernest odezwał się po raz pierwszy od dwóch godzin.

– Jak odpuścili?

– Wrócili do domu. Zresztą co za interes tutaj mają? Nawet Zuzi nie znają. Po co ryzykować dla obcej dziewczyny?

– Ernest, daj spokój, to przecież Iza i Henryk – oburzył się Hubert. – Nie zostawią nas ot tak sobie, nic nam nie mówiąc.

Rudy chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem, to twoi przyjaciele, nie moi.

Hubert zacisnął zęby i powstrzymał się, żeby mu nie przygadać. Przyjaciel źle znosił świadomość, że ktoś mógłby skrzywdzić jego siostrę. Zresztą co w tym dziwnego? Już od półtora miesiąca jej szuka, ma prawo być zgryźliwy.

– Znowu wychodzą – szepnął Ernest, podnosząc się z krzesła.

Hubert dopadł do okna.

– To ona! – syknął.

Przez bramę wymaszerowało ośmiu mężczyzn, a między nimi ujrzeli szczupłą sylwetkę z burzą rudych loków. Zuzia wyglądała na całą i zdrową. Szła pomiędzy żołnierzami zamyślona, jakby znajdowała się w zupełnie innym świecie. Nie można było pomylić jej z nikim innym.

– Musimy iść za nimi!

Nie było czasu do namysłu. Ernest pierwszy dopadł do schodów i niezbyt przejmując się hałasem, zbiegł i wypadł na ulicę. Hubert podążył tuż za nim. Tamtych było ośmiu, ich zaledwie dwóch, lecz nie zamierzali spuszczać Zuzi z oczu.

Nie byli zbyt ostrożni, ale żołnierze nie spodziewali się, że ktokolwiek będzie ich śledził.

Po kilkunastu minutach znaleźli się na dużym osiedlu domków jednorodzinnych. Żołnierze kluczyli wąskimi uliczkami w sobie tylko znanym kierunku.

– Gdzie oni zniknęli? – syknął cicho Ernest, gdy wyjrzeli zza rogu.

Dosłownie przed chwilą mężczyźni z Zuzią skęcili w tę drogę, a teraz ich tam nie było, zupełnie jakby rozplynęli się w powietrzu.

– Nie wiem, powinni tu być – odparł Hubert.

Nie podobało mu się to. Powoli, z karabinami gotowymi do strzału, skęcili w wąską uliczkę. Po obu jej stronach stały domy z zarośniętymi ogródkami.

– Nie ruszać się!

Słyszac obcy głos, zamarli. Hubert rozejrzał się i zobaczył wystający z drzewa rosnącego w jednym z ogródków karabin. Tuż obok następny.

– Cholera – szepnął.

Tak łatwo dali się zaskoczyć. Na pustej ulicy byli jak cele na strzelnicy.

– Odrzućcie karabiny!

Przyjaciele zerknęli na siebie. Zsunęli z ramion paski od kałasznikowów i cisnęli broń na bok.

Za drzewa wychylił się jeden z żołnierzy.

– Coście za jedni?

Ernest już otworzył usta, by wymyślić jakieś w miarę wiarygodne kłamstwo, gdy z drugiego drzewa wyszedł inny mężczyzna.

– Ty, to oni – powiedział.

Pierwszy zmierzył chłopców wzrokiem i lekko opuścił karabin.

Hubert wiedział, że to, co w tej chwili zamierzał zrobić, jest wyjątkowo głupie – ale tylko to przyszło mu do głowy. Pochylił się lekko i wystartował wprost na żołnierza stojącego bliżej. Wpadł na niego tuż przed tym, jak ten podniósł lufę karabinu. Chłopak odepchnął ją na bok, gdy żołnierz odruchowo nacisnął spust. Spokojną okolicą wstrząsnął huk wystrzałów.

Hubert uderzył mężczyznę pięścią w twarz, a potem kopniakiem zwałił go z nóg. Ernest zaś powalił na ziemię tego drugiego.

Łowca pochylił się i podniósł z ziemi broń nieprzytomnego żołnierza. Spojrzał na przyjaciela, który nagle zbladł, i zanim zorientował się, co się dzieje, błysnęło mu przed oczami i poczuł bolesne uderzenie w tył głowy. Zdawało mu się, że słyszy krzyk Ernesta i Zuzi, a potem ogarnęła go ciemność.



ROZDZIAŁ X

Hubert otworzył jedno oko i zobaczył ciemny sufit. Otworzył drugie, a sufit zaczął falować.

– Ja pier... – zaczął, ale wstrząsnęła nim fala nudności.

Zamknął oczy i spróbował powstrzymać wymioty. Jeszcze nigdy w życiu głowa nie bolała go tak bardzo. Tępe pulsowanie nie pozwalało skupić na niczym myśli.

– Gdzie ja...? – jęknął, lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Znów spróbował otworzyć oczy i tym razem sufit pozostał nieruchomy. Otaczał go półmrok. Uniósł się na łokciach i pomimo że znów poczuł mdłości, rozejrzył się dookoła.

– No czad, mama zawsze powtarzała, że skończę w takim miejscu.

Usiadł na twardym łóżku i zerknął na przeciwległą ścianę pokrytą liszajami pleśni i brudu, potem na obrzydliwy, metalowy sedes. Na koniec zatrzymał wzrok na grubych kratkach, które zastępowały jedną ze ścian. Był zamknięty w areszcie.

– Nie wierzę – jęknął i wstał.

Zakręciło mu się w głowie, guz na potylicy zaczął jeszcze mocniej pulsować tęnym bólem. Podszedł do krat i spróbował je szarpnąć – ani drgnęły.

– Nie spodziewałeś się chyba, że będzie łatwo? – zapytał samego siebie.

Dokładnie obejrzał zamek, ale bez klucza czy chociażby łomu nie miał najmniejszych szans wyjść z celi.

Nie do końca wiedział, co się stało, pamiętał, że obezwładnili dwóch żołnierzy, a potem zapadła ciemność.

– Pewnie mnie złapali – westchnął.

Usiadł na łóżku i oparł się plecami o ścianę.

– Ernest? – zapytał dość głośno, jednak odpowiedziała mu cisza.

Martwił się o przyjaciela i Zuzię, lecz w tej chwili nic nie mógł dla nich zrobić. Najpierw musiałyby się stąd dostać. Nie miał na razie planu działania, więc postanowił zregenerować siły i się wyspać.

Kilka godzin, a może minut później obudziły go jakieś hałasy. Na podłodze zaszurały ciężkie buty. Ktoś stanął przed celą.

– Żyjesz? – usłyszał męski głos.

Hubert zignorował go z czystej przekory.

– Nie udawaj!

Chłopak westchnął i otworzył jedno oko. Za kratami stał żołnierz w spodniach od munduru, zwykłej koszuli, z krótko ostrzyżonymi ciemnymi włosami.

– Przyniosłem ci jedzenie.

Dopiero teraz Hubert zauważył, że mężczyzna trzyma w jednej ręce plastikowy pojemnik z niebieską przykrywką.

Z nonszalancką wstał z łóżka i podszedł do krat.

Żołnierz podał mu pojemnik. Hubert wziął go i otworzył – poczuł zapach mięsa w ciemnym sosie z ziemniakami.

– Nie wiedziałem, że więźniów tak dobrze się żywi – mruknął. – Już wiem, na co szły podatki rodziców.

– Nie będziemy przecież cię głodzić, łowco.

Mężczyzna odwrócił się i już zamierzał odejść.

– Czeka! – Hubert postawił obiad na łóżku i podszedł do krat. – Co z moim kumplem?

Żołnierz wzruszył ramionami i zostawił go samego.

Chłopak rzucił za nim kilka niewybrednych przekleństw, a potem zabrał się do jedzenia.

„Jeżeli mnie nic nie zrobili, to Ernie też jest pewnie cały – rozumował. – Chyba że... chyba że

go nie potrzebują...”.

Stracił apetyt. Żołnierze najprawdopodobniej porwali Zuzię, a jego zamknęli w areszcie, bo oboje wyczuwają demony. Ernest nie miał tej zdolności. Czy to znaczy, że był dla nich bezwartościowy?

– Nie – zgañił się głośno. – Nie mogę tak myśleć. Też go pewnie zapuszkowali, muszę się tylko dowiedzieć gdzie.

Zjadł cały obiad, a potem z braku lepszego zajęcia znów położył się z rękoma założonymi za głowę.

Denerwowało go, że nie wiedział, ile czasu leżał nieprzytomny w celi ani co się działo z jego przyjaciółmi. Co zrobią Iza i Henryk, gdy przyjdą do umówionego budynku, a ich tam nie będzie? A jeśli żołnierze zastawią na nich pułapkę? Na samą myśl o tym, że obcy mogliby złapać Izę, zrobiło mu się niedobrze.

Po jakimś czasie znów usłyszał trzask otwieranych drzwi i ciężkie kroki. Ledwo spojrział na młodego chłopaka, który stał przed kratami.

– Już od kilku godzin czekam na obsługę hotelową – powiedział, nie podnosząc się z łóżka.

Młody żołnierz schylił się i wsunął do celi termos.

– Co to? – zapytał zdziwiony Hubert. Nie spodziewał się takiego traktowania przez porywaczy.

– Herbata.

Nagle poderwał się z łóżka i podszedł do krat, na co żołnierz odsunął się dwa kroki w tył.

– W którym pokoju ułokowaliście mojego kolegę? – Hubert przełożył ręce przez kraty i oparł się o nie. – Taki duży, rudy.

Młody żołnierz pokręcił głową.

– Ja cię znam – stwierdził nagle Hubert.

Chłopak otworzył szerzej oczy, jakby się wystraszył.

– Nie znamy się – burknął.

– Właśnie, że znamy – nie ustępował. Coś świtało mu w głowie, znał te rysy twarzy, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je widział.

– Oddaj mi pudełko po obiedzie.

Hubert, wciąż wysilając pamięć, sięgnął po nie i podał chłopakowi. A gdy ten zbliżył się do krat, wyciągnął ręce przed siebie, chwycił za koszulę na piersiach i przyciągnął go do krat. Oczy żołnierza rozszerzyły się ze strachu, zaczął szybciej oddychać.

– Gdzie masz klucze? – warknął Hubert.

– Ja nie... nie mam – jęknął chłopak.

– Nie kłam!

Hubert, jedną ręką trzymając go za koszulę, drugą zaczął przeszukiwać kieszenie. Chłopak usiłował się szarpać, ale łowca był silniejszy.

– Nie daliby mi kluczy...

– Cholera, masz rację, też bym ci nie dał – mruknął Hubert.

I nagle go rozpoznał.

– Chodziliśmy do tej samej szkoły – powiedział na głos.

Chłopak zmieszał się, więc Hubert uznał, że się nie pomylił.

– Boże, jak miałeś na imię... Da... Damian, Da... riusz? Da...

– ...wid – dokończył chłopak

– Dawid! Wiedziałem!

Hubert puścił go, nie wypadało bić kolegi ze szkoły.

– Co ty tu robisz? Z tymi... tymi ludźmi?

– Nieważne.

Dawid sięgnął po pudełko obiadowe leżące na ziemi.

– Ej! Oni porwali siostrę Ernesta! Pamiętasz Ernesta?! – krzyknął Hubert, kiedy chłopak skierował się do wyjścia. – Dlaczego z nimi trzy masz?!

Trzasnęły zamknięte drzwi.

– Szlag! – mruknął Hubert, rzucając się na łóżko.

Słabo pamiętał Dawida ze szkoły, ale chłopak niewiele się zmienił. Był od Huberta rok młodszy, dobrze się uczył. Hubert w ogóle by go nie pamiętał, gdyby nie to, że kiedyś pojechali na biwak z jego klasą.

– Co on tu robi? – zastanawiał się na głos. – Nie ma lepszego domu? Jest tyle wsi, które przyjęłyby do siebie z otwartymi rękoma młodego, spokojnego chłopaka... Chyba że już nie jest taki spokojny.

Hubert czuł się okropnie. Brak jakichkolwiek informacji o przyjacielach go dobijał. Żeby tylko się czymś zająć, policzył wszystkie pęknięcia w ścianach, nadał imię każdej plamie pleśni, narysował palcem na zakurzonej posadzce kilka scen batalistycznych, zjadł kolację, przespał się, wypił cały termos herbaty, a teraz turlał go stopą po ziemi. Dopiero potem się dowiedział, że w celi spędził nie więcej niż dwie doby.

W końcu, gdy już wydawało mu się, że za kilka minut zacznie wariować, do aresztu wkroczyło

czterech uzbrojonych żołnierzy. Byli bardziej słusznej postury niż Dawid.

Gdy trzech celowało z karabinów do Huberta, jeden otwierał celę.

– Odwróć się i ręce za plecy – warknął mężczyzna z grobową miną.

Żołnierz miał jego pasek z coltem i bagnetem.

– Ładnie traktujecie gości – stwierdził, kiedy na nadgarstkach zatrzaśnięto mu jednorazowe kajdanki. Żołnierze wyprowadzili go przed posterunek policji. – Nieźle się tu urządziliście – ciągnął, rozglądając się. Chciał zapamiętać każdy szczegół, każdą drogę i budynek znajdujące się w osadzie.

– Idź – Jeden z żołnierzy go popchnął.

Przez całą drogę przez miasto Hubert z czystej przekory plótł, co mu ślina na język przyniosła. Jednak żołnierze byli cierpliwi i żaden z nich nie pozwolił się sprowokować.

W końcu dotarli do dużej kamienicy. Mężczyźni wprowadzili Huberta do mieszkania na piętrze. W jednym z pokoi przy oknie stała na oko czterdziestoletnia wysoka, smukła kobieta. Miała krótkie, ciemne włosy i lodowate spojrzenie. Ubrana była dość elegancko jak na obecne możliwości – w czarne spodnie i marynarkę. Hubert przyśiągłby też, że jest lekko umalowana.

Jeden z mężczyzn posadził go na krześle przy okrągłym stole.

– Mam nadzieję, że moi żołnierze nie poturbowali cię za bardzo.

Kobieta w końcu odwróciła się od okna. Wydawała się władczą i charyzmatyczną. Hubert założyłby się, że jest psychopatką.

– Zostawcie nas – zwróciła się do żołnierzy.

Jeden chciał chyba zaprotestować, lecz zmroziła go spojrzeniem.

– Przecież nasz gość nic mi nie robi, prawda?

Spojrzała na Huberta.

– Nie wypada mordować gospodarzy – powiedział.

Coraz mniej mu się tu podobało. Szczególnie ta kobieta. Miał wrażenie, że bez zmruczenia oka zastrzeliby go, jeżeli miałyby taki kaprys.

– Jak ci się u nas podoba? – zapytała, kiedy żołnierze wyszli.

Wzruszył ramionami, rozglądając się za cymkolwiek, co mogłoby mu posłużyć za broń. Jednak nic takiego nie zauważył, a poza tym przeszkadzałyby mu skrępowane za plecami ręce.

– Dobrze cię traktowali?

– Czulem się niczym w Sheratonie. Ile gwiazdek ma wasz areszt?

Machnęła ręką w powietrzu, jakby odganiając natrętą muchę.

– Jestem Alicja.

– Hubert, ale to już pewnie wiesz.

– Wiem znacznie więcej. – Uśmiechnęła się, a Huberta przeszedł dreszcz.

– Gdzie jest Ernest i Zuza? – Nie wytrzymał.

– Twój kolega uciekł, jak tylko moi żołnierze pojмали ciebie, a Zuzi nic nie jest. Ma się całkiem dobrze.

– Chcę ją zobaczyć.

– Porozmawiamy o tym później, jak się będziesz dobrze zachowywał.

Hubert przygryzł wargę. Miał nadzieję, że Zuzi nic nie jest. A co do Ernesta... jeśli rzeczywiście uciekł, może uda mu się sprowadzić pomoc.

– Przejdziemy się na spacer? – zaproponowała Alicja.

– Nie będę się upierał.

– To świetnie. Zatem chodźmy.

Alicja wyrównała z nim krok, gdy szli ulicą. Czterech żołnierzy maszerowało metr za nimi.

– Musisz wybaczyć mi kajdanki – odezwała się po drodze – ale to taki środek ostrożności, na wypadek gdyby choć połowa rzeczy, które o tobie mówią, okazała się prawdą.

– Co o mnie mówią?

– Różne rzeczy.

Szli przez spokojne miasto, gdy nagle wyczuł demona. I to niejednego. Miał wrażenie, jakby czaszka uciskała mu mózg. Zrobiło mu się niedobrze, guz na potylicy znów zaczął tępo pulsować. Nerwowo rozejrzał się dookoła, starając się nie dać niczego po sobie poznać. Jeżeli w okolicy jest demon i zaatakuje, może zdoła się wymknąć.

Alicja wciąż obserwowała go kątem oka.

– A oto przyczyna, dla której tu jesteśmy – wyjaśniła, gdy weszli w cień drzew w parku.

W oddali, między brązowymi pniami, zobaczył klatki z dawnych metalowych ogrodzeń i siatek

– Chryste... – jęknął, gdy wreszcie zobaczył, co zamknięto w klatkach.

– Muszę przyznać, że Zuzia wyczuwa je wcześniej niż ty – rzuciła lekko Alicja. – Dlatego musiemścić z dala od parku. Im dłużej jest blisko nich, tym bardziej wariuje.

– Trzymacie w klatkach demony!!! – Hubert nie mógł uwierzyć.

– Podobają ci się? Mamy tu wiję, borutę... tak go nazywacie, prawda?

– To są demony! Na cholere wam demony?!

– Mielismy biesa, ale zdechl przed kilkoma dniami – kontynuowała Alicja. – Podczas osaczania odniosl zbyt wiele ran. O, a tam dalej sa psy poludnicy.

Hubert zaczal chodzic w kolo z wciaz skutymi rekoma. Zolnierze, ktorzy ich eskortowali, nerwowo poprawili chwyt na karabinach.

– Demony, cholera, to sa demony! – sapnala, a potem osunal sie na kolana.

Bylo mu slabo, na przemian goraco i zimno, bol rozsadzal Hubertowi czaszke.

– Pomozcie mu – rzucila Alicja do zolnierzy.

Dwoch mencyzn zlapalo go za ramiona i dzwignelo w gore, a potem ruszyli za kobieta.

Odeszli kilkaset metrów od parku. Alicja usiadla przy starym kawiarnianym stoliku. Zolnierze posadzili Huberta naprzeciw niej i staneli nieopodal.

– To jest fascynujace, jak na nie reagujecie – powiedziala kobieta.

Hubert wdychal glęboko swieze powietrze. Z jednym demonem doskonale dawal sobie rade, z cala rodzina takze, ale kontakt z kilkunastoma roznymi gatunkami naraz podzialal na niego gorzej niz cala gromada dzikich ludzi ze starego grodziska.

– Zwylky czlowiek w ogole nie wie, ze znajduja sie w poblizu, dopoki ich nie uslyszy albo nie poczujecie ich smrodu, lecz przeciez tak samo jest w przypadku zwylkich zwierzat. A wy? Wiecej sztuki Zuzia wyczuwa juz z dwuch kilometrow, mniejsze z niecalego kilometra. Musi mieszkac co najmniej trzysta metrów od parku, zeby mogla spokojnie spac w nocy i nawiazywac kontakt z ludzmi. Tylko raz wprowadzilam ja miedzy klatki. Moi ludzie musieli ja stamtad wyniesc. Zemdlala i doszla do siebie dopiero po dobie.

– Jak mogliście jej to zrobic?! – warknala.

– W imie nauki. Nic jej nie jest, nie panikuj. Nasze kobiety dobrze sie nia zajmuja.

Gdy to mowila, usmiechnela sie dziwnie, a Huberta przeszly ciarki.

Ta kobieta byla psychopatką. Bo kto zamyka w klatkach demony?! Musi sie z nia jakos dogadac, uspic jej czujnosc i poczekać na odpowiedni moment na ucieczke.

– Po co? – zapytal. – Po co wam te wszystkie demony?

– Uczymy sie o nich – odparla.

Jakis zolnierz postawil przed nia filizanke.

– Wybacz, ze cię nie poczesuję. Jednak wolałabym jeszcze cię nie rozwiazywac.

Hubert probowal zebrać myšli.

„Spokojnie, dasz rade” – przekonywal siebie.

– Szukaliście mnie w Świącinie, prawda?

– Hm. – Alicja upiła łyk herbaty. – Nazwijmy to nieautoryzowanym wyskokiem. Jeden z moich ludzi chciał się wykazać... Co się z nim w końcu stało?

– Umarł śmiercią naturalną.

– Naturalną? – zdziwiła się kobieta.

– Tak, zjadła go natura.

Alicja przez chwilę mu się przypatrywała, a potem kąciła jej ust lekko się uniosły.

– Odpowiednia nauczka – odparła.

Hubert był trochę zawiedziony, że nie udało mu się wyprowadzić jej z równowagi.

– Dlaczego potrzebujecie Zuzi i mnie? – zapytał.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? – Pokręciła głową. – Nie jesteś zbyt bystry. Żeby nauczyć się o demonach wszystkiego, ciągle potrzebujemy nowych egzemplarzy. Niektóre gatunki źle znoszą niewolę, szybko zdychają. Z wami ich łapanie jest łatwiejsze i szybsze.

– Czego się już dowiedzieliście?

Alicja wyjęła z kieszeni małą fiolkę pełną białozółtego płynu.

– Wiesz, co to jest? Ślina biesa.

Hubert spróbował zachować pokerową twarz.

– Widzę, że coś wiesz na ten temat. – Uśmiechnęła się. – Stany lękowe, halucynacje?

Pokiwał głową.

– Jak to się stało?

Opowiedział jej, jak zapolowali w Świącinie na biesa.

– Brawo – podsumowała. – I jak długo cię trzymało?

– Przez niecałą dobę.

Alicja dopiła herbatę i odstawiła na stolik pustą filiżankę.

– Zastanawiałeś się, dlaczego bies jest wyposażony w taką broń?

Hubert nic nie odparł, tylko wpatrywał się w jej oczy, ciekaw, co też kobieta ma do powiedzenia na ten temat.

– Bies jest szybkim demonem, lecz jedynie na krótkich dystansach – zaczęła wyjaśniać. – Przy jego rozmiarach nie tak łatwo podejść bezgłośnie ofiarę. Jednak jeśli tylko poczeła w ciemnościach i zaledwie draśnie ją zębami, nie musi już jej gonić. Wystarczy poczełać, aż toksyny dostaną się do krwiobiegu nieszczęśnika, i podążyć za nim. Zabicie kogoś, kto ma halucynacje i nie panuje nad własnym ciałem, jest dziecinnie proste. Teoretycznie te szkodliwe

substancje w końcu rozłoży się w ciele ofiary, halucynacje miną, ale zanim to się stanie, jest już dawno rozszarpana.

Hubert nie komentował, lecz jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Porównywał słowa Alicji z informacjami z demonologii. Dopiero teraz nabrały one pełnego sensu.

– Swoją drogą, ciekawe, czy jest jakiś lek, który mógłby przyspieszyć oczyszczanie organizmu z substancji zawartych w ślinie biesa – zastanowiła się kobieta.

Hubert wzruszył ramionami. Nie miał najmniejszego zamiaru powiedzieć jej o mieszance ziół stworzonej przez kobiety ze Święcina, która zdawała się działać w takim przypadku.

– Późno już – stwierdziła w końcu Alicja i się podniosła. – Myślę, że na dziś wystarczy. Zostaniesz odprowadzony do swojej celi. Jutro znów się spotkamy.

– A co z Zuzą? – zapytał.

– Porozmawiamy o tym niebawem.

Kobieta odeszła od stolika. Hubert patrzył za nią, aż jeden z żołnierzy podniósł go za ramię i odprowadził przez ponure miasto do celi.

Słońce skryło się za budynkami, cienie znikły w szarzącym wieczorze. Idąc ulicami, Hubert usłyszał skrzywienie. Odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał hałas, i ujrzał potężnego mężczyznę ubranego w rzeźnicki fartuch. Przed sobą pchał taczkę przykrytą płachtą. W pierwszej chwili chłopak pomyślał, że żołnierze wywożą poza teren jednostki śmieci i nieczystości. Jednak do jego nozdrzy przeniknął zapach krwi. Gwałtownie się zatrzymał. Rzeźnik spojrzął na chłopaka, nie zauważył, że plandeka lekko się zsunęła, zahaczyła o koło i po chwili zupełnie spadła na ziemię, odkrywając makabryczną zawartość. Hubertowi zrobiło się słabo, gdy zobaczył kawały mięsa, futra i kości. Alicja zgłębiała wiedzę zarówno o zachowaniu demonów, jak i o ich anatomii.

– Idziemy – warknął żołnierz eskortujący Huberta i dźgnął go lufą karabinu między łopatkami.

Chłopak powoli ruszył w stronę aresztu.

Rano Dawid przyniósł mu śniadanie i wodę.

– Poczekał – poprosił Hubert, kiedy chłopak już chciał odejść.

Usiadł na łóżku i zaczął jeść, a Dawid przysunął się do krat.

– Dlaczego jesteś z nimi? – zapytał łowca.

Młody żołnierz zerknął na boki, a potem wzruszył ramionami.

– A gdzie indziej mam iść? Oni mnie przyjęli do siebie, nałarmili, ubrali, dali broń i zajęcie.

– Ale... ale oni są szaleni! Zamykają demony w klatkach!

– A co w tym złego? Ty je zabijasz, oni się o nich uczą. Wiesz, co się stało, gdy kiedyś

próbowałem znaleźć schronienie w jednej z tych waszych osad? Przepędzili mnie. Strzelali do mnie...

– Porwali Zuzię... – spróbował jeszcze Hubert.

– Przecież nic jej nie zrobili.

– Zaraz zaczną zabijać ludzi.

– To ludzie z waszych osad zabijają obcych. – Dawid spojrział wymownie na Huberta i dodał:

– Tu nie jest tak źle, zobaczysz.

– Nie zostanę tutaj na dłużej – mruknął.

Lecz żołnierz spojrział na niego, jakby miał inne zdanie na ten temat.

Przez kilka godzin Hubert siedział sam w celi i potwornie się nudził. Potem przyniesiono obiad, a gdy zjadł, skuto mu ręce, tym razem z przodu, i wyprowadzono go na zewnątrz. Tego popołudnia lał deszcz i spotkał się z Alicją w tym samym pokoju co poprzedniego dnia.

Jakaś kobieta przyniosła dwie filizanki z kawą zbożową i elegancką cukiernicę. Hubert ledwie zerknął na przybyłą.

– No dobra, pogadajmy sobie dziś szczerze – odezwał się, gdy Alicja sypała cukier do swojej kawy.

– Co chcesz wiedzieć?

– Skąd jesteście? Wiem, że jeszcze przed rokiem was tu nie było.

– Masz rację, nie było. Słyszałeś o tej jednostce założonej po wojnie w górach?

– Znowu? – jęknął.

Ostatnio zbyt często słyżał o tej przeklętej jednostce.

– Zobaczysz, że pewnego dnia świat znów stanie się taki jak dawniej. Ludzi będzie przybywać i zaczną tworzyć coraz większe grupy. Dobrze jest mieć wpływy w takim świecie. Weźmy na przykład Dąbrówkę, niby mała i nieznacząca wioska. Ale w koalicji z Kamienną, Borami, Piasecznem, Orlą i Miedzą stanowi już pewną potęgę. Jeżeli wszyscy opowiedzą się po tej samej stronie, mogą stać się zagrożeniem dla innych. To samo jest ze Świącinem. Niby samowystarczalna i niepodległa wioska, lecz również ma wielu przyjaciół. A w tych czasach bronią dysponuje licznych ludzi. Służby mundurowe straciły znaczenie. Natomiast władzę można przejąć tylko w jeden sposób: opanować demony.

– One nie są do opanowania. Nie można ich wytresować!

– Nie można? Wasz kot powiedziałby coś zupełnie innego.

Huberta zatkało.

– Wyobraź sobie takiego wija lub biesa zupełnie oddanego właścicielowi. Posłusznego

i karnego. Tutaj są inne demony niż w górach. Dlatego nas tutaj przysłano. Żeby dowiedzieć się o nich jak najwięcej.

Hubert związanymi dłońmi chwycił filiżankę i upił łyk kawy, próbując zebrać myśli. Gorączkowo rozważał, w jaki sposób mógłby się stąd dostać.

– Nie chciałbyś wiedzieć o nich więcej? – zapytała Alicja.

Jego milczenie potraktowała jako przejaw zainteresowania i wewnętrznej walki.

– Widzę, że chciałbyś. Nie jesteś taki jak inni. Nie boisz się ich. Jako jeden z pierwszych stanąłeś oko w oko z dorosłym wijem i przetrwałeś bez szwanku. Nie ogarnia cię ślepy strach na widok biesa, bez zastanowienia potrafisz zabić topielca. Minęło siedem długich lat, a ludzie wciąż panikują na samą myśl o demonach. Tylko ty i Zuzia widzicie je inaczej i inaczej je czujecie...

– Po co wam ona, skoro macie mnie? Wypuście ją.

Uśmiechnęła się.

– A ty?

– Ja zostanę. W Dąbrówce nie ma dla mnie miejsca, w Świącinie właściwie też. Ostatnio chcieli mnie wyrzucić, bo stwierdzili, że demony przyszły za mną.

Alicja zaśmiała się chłodno, a Huberta przeszył dreszcz.

– Widzisz? Zwyczajni ludzie nie rozumieją.

– Nie rozumieją. – Pokręcił głową. – Boją się mnie. Traktują jak wariata. Myślą, że jak ktoś nie boi się demonów, to coś jest z nim nie tak. Pozwól mi zobaczyć się z Zuzą, powiem jej, że ja tu zostanę, niech ktoś odprowadzi ją do Dąbrówki. A my urządzimy sobie polowanie.

Alicja znów uniosła kąciki ust w uśmiechu, który jednak nie dotarł do jej zimnych, okrutnych oczu. Najwyraźniej właśnie takiej wypowiedzi oczekiwała.

– Przeprowadźcie dziewczynę – zwróciła się do żołnierza stojącego przy drzwiach.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł. Nie minęło dziesięć minut, kiedy wprowadził do pokoju Zuzię. Hubert zerwał się z krzesła. Wyglądała tak jak zawsze, miała lekko zamglony wzrok i nieprzytomne spojrzenie. Była ubrana w czarną, zwiewną sukienkę do kolan i elegancki sweterek, miała schludnie uczesane włosy. Zauważył nawet kolczyki w uszach.

Na widok Huberta uśmiechnęła się szeroko. Chłopak podszedł do niej i objął ją związanymi rękoma.

– Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku – odparła, jakby nikt nigdy jej nie porwał. – Upiękliśmy dziś placek z jabłkami...

– Nic ci nie zrobili?

Pokręciła głową.

– Trochę za długo trzymałyśmy go w piecu, ale jak się zeszkobie przypaloną warstwę, jest całkiem dobry. – Nagle spoważniała. – Gdzie Ernest? – zapytała.

– Nie wiem. – Spuścił wzrok

Odsunął się od niej.

– Teraz mnie posłuchaj – powiedział poważnie. – Ja tu zostanę, a ty wrócisz do Dąbrówki...

Pokręciła głową.

– Posłuchaj mnie. Wrócisz do domu, ktoś stąd cię odprowadzi. Ja tu zostanę przez jakiś czas, pomogę im w polowaniach, dowiem się więcej o demonach. Przecież zawsze o to chodziło, prawda?

Zuzia popatrzyła mu prosto w oczy, jej spojrzenie się wyostriżyło.

„Jesteś naiwny – zdawała się mówić. – Może i lepiej polujesz, ale ja lepiej tropię. Nie wypuszczaj ani mnie, ani ciebie”.

– Jakś sobie poradzimy – powiedział. – Obiecuję ci to.

– Czas odwiedzin skończony – przerwała im Alicja. – Odprowadź Zuzię do jej domu – zwróciła się do żołnierza.

Hubert patrzył, jak drzwi się za nimi zamykają, a potem odwrócił się do kobiety.

– Kiedy idziemy na polowanie? – zapytał.

– Nie tak szybko – uśmiechnęła się. – Nie puszczę cię samego z moimi żołnierzami do lasu, gdzie grasują demony. Jeszcze zrobilibyś coś nierozsądnego.

Resztę popołudnia Hubert spędził w swojej celi, zaczął ją już szczerze nienawidzić. Kolację przyniósł mu Dawid.

– Poczekaj – poprosił, gdy żołnierz chciał już wyjść. – Nudno tu, pogadaj chwilę ze mną.

Dawid stanął w korytarzu niezdecydowany, lecz po sekundach wahania podszedł do krat.

– Wiesz może, czy ktoś inny z naszej szkoły przetrwał? – zagadnął Hubert.

– Nie wiem, nie spotkałem nikogo.

– Parę dni temu widziałem się z generał Goebbels, pamiętasz ją?

Dawid uśmiechnął się lekko.

– Jeśli ktoś miał przeżyć, to właśnie ona.

– I nic się nie zmieniła. Jest dokładnie taka sama jak kiedyś. Już na dzień dobry na nas nawrzeszczała.

– Z tego, co pamiętam, na ciebie ciągle wrzeszczała.

– To dlatego, że zawsze mnie lubiła. Mieszka niedaleko, wiesz?

– Naprawdę?

Hubert pokiwał głową.

– Na mnie już czas.

– Dawid, poczekaj.

Chłopak się zatrzymał.

– To nie jest miejsce dla ciebie.

– A skąd możesz wiedzieć, co jest dla mnie? – zdenerwował się.

– Nie jesteś taki jak oni. Oni tylko ślepo wykonują rozkazy Alicji. Ty myślisz samodzielnie.

– A co ty, do cholery, możesz wiedzieć?! Jestem sam, zupełnie sam, cała moja rodzina zginęła podczas zarazy, znajomych zabiły demony! A oni mnie przygarnęli. Nie mam tak jak ty przyjaciół w wielu wioskach! Tu jest mój dom.

– Ale możesz to zmienić. W Dąbrówce potrzebujemy młodych ludzi...

– Już ja wiem, co się dzieje z takimi jak ja, którzy nie mają rodziny. – Dawid podszedł znów do krat i spojrzał Hubertowi w oczy. – Tacy jak ty przyjaźnią się z takimi jak ja do czasu, gdy przestaną ich potrzebować, a potem zostawiają na pastwę demonów.

Chłopak odwrócił się i skierował do wyjścia.

– Nie wiem, kto cię tak potraktował, ale ja bym cię nie zostawił! – krzyknął za nim Hubert. – Ja dbam o przyjaciół!

Uderzył ze złością ręką w kraty.

– Szlag.

Zbliżał się wieczór, areszt zaczął pogrążyć się w mroku.

Hubert mógł tylko leżeć na niewygodnym, śmierzącym łóżku i myśleć. Ci ludzie wiedzieli o nim wszystko. Nawet gdyby zdołali z Zuzią uciec, ich sytuacja nie wyglądała najlepiej.

„Ukryjcie się głęboko w lesie i już nigdy stamtąd nie wyjdziecie? A może zaryzykujecie życie wszystkich, których znasz, gdy pojedziesz do domu, a oni staną w twojej obronie? – pytał głos w jego głowie. – Gdzie Ernest? Gdzie Iza i Henryk? Może cię zostawili? A może przygotowują plan działania? A jeśli zginęli z rąk żołnierzy?”

Hubert wiele by dał, żeby znów wiedzieć, co niesie przyszłość. A może ich wszystkich czeka śmierć, której uniknęli, nie wyjeżdżając do Poznania?

– Już się nie dziwię, dlaczego demony w kłatkach zdy chają – powiedział do siebie.

Jego głos rozniósł się głucho po całym areście.

Sam nie wiedział, czy przysnął, czy nie, czy dziwne obrazy, jakie zaczął widzieć, to sen czy jawa. Przez wiele godzin trwał w stanie zawieszenia między rzeczywistością a majakami, kiedy z odrętwienia niespodziewanie wyrwał go odgłos cichych kroków.

Słaby płomień lampki naftowej rozjaśnił mrok

– Dawid – szepnął Hubert z radością. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Jesteś tu po to, żeby mnie wypuścić, a nie cichaczem zamordować?

– Zawsze miałeś za dużo do powiedzenia – odrzekł chłopak, wyjmując z kieszeni klucze.

Otworzył celę, a Hubert poczuł, że los w końcu zaczyna mu sprzyjać.

– Wiem, gdzie jest luka w ogrodzeniu, uda ci się tamtędy przecisnąć...

– Najpierw muszę iść po Zuzę.

Dawid z niechęcią kiwnął głową.

– Wiesz, gdzie ją trzymają?

Znów kiwnięcie.

– Tylko przestań w końcu gadać.

Dawid wyprowadził Huberta z aresztu i zdmuchnął wąty płomień lampki. Noc była pochmurna i ciemna, zaczął mżyć deszcz. Samotne światełko wędrujące ulicami mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę. Lepiej było przemknąć bezszelestnie w ciemnościach.

Po kilku minutach stanęli przed niewielką kamienicą.

– Powinno być otwarte – szepnął Dawid. – Zuzia jest w mieszkaniu na piętrze po prawej stronie. Mam nadzieję, że nikt nie przyjdzie o tej porze.

– Niby po co?

– Chodź już.

Otworzyli drzwi i weszli do korytarza. Trzymając się ściany, odnaleźli schody i ruszyli w górę. Nagle tuż przed sobą usłyszeli jakiś hałas. Obaj zamarli. Dopiero po chwili zorientowali się, że źródłem dziwnego dźwięku jest chrapiący mężczyzna leżący na stopniach.

Hubert nie miał pojęcia, co jegomość robił w takim miejscu, ale zalatywało od niego alkoholem i chłopak miał nadzieję, że go nie zbudzą.

Po kilku sekundach grozy udało im się minąć mężczyznę. Stanęli pod drzwiami mieszkania na piętrze. Hubert nacisnął klamkę, ale nie ustąpiła.

– Cholera – syknął.

Zacisnął mocno zęby i delikatnie zapukał. Miał wrażenie, że dźwięk rozniósł się po całej kamienicy.

– Zuza? – szepnęła w kierunku zamka.

Odpowiedziała mu cisza.

– Trzeba wyważyć. – Hubert spojrzął na Dawida, choć w ciemności widział tylko zarys jego sylwetki.

– Zdrnialeś?! – syknął chłopak – Wszystkich obudzisz! Wiesz, ilu żołnierzy może tu spać?! Przecież to jest burdel!

– Co? – zdziwił się Hubert.

Nagle usłyszeli szcęk przekręcanego klucza. Po chwili drzwi uchyliły się lekko i w szparze zobaczyli Zuzię.

– Hałasujecie – stwierdziła.

– Chodź, uciekamy stąd. – Hubert otworzył szerzej drzwi i złapał dziewczynę za rękę.

Wciąż była ubrana tak samo jak po południu. Pomyślał, że pewnie całą noc siedziała przy oknie i nasłuchiwała demonów.

Hubert wyprowadził ją z budynku.

– Gdzie teraz? – zapytał.

– Chodźcie – szepnęła Dawid. – Niestety musimy przejść koło parku.

Już z odległości kilkuset metrów obecność demonów dała jej się we znaki. Zuzia zaczęła się trząść, ale nie zwolniła kroku. Hubert słyszał, jak szybko oddycha, czuł, że coraz mocniej ścisną jego rękę.

Park w nocy wydawał się mrocznym i złym miejscem. Demony hałasowały w kłatkach. Psy południcy powarkowały, a boruta rzucił się z wściekłością na kratki.

– Obudzą wszystkich – syknął Hubert.

– Zawsze tak się zachowują w nocy – uspokoił go Dawid.

Przeszli skrajem parku na jego drugi koniec.

– Niedaleko jest przejście – szepnęła Dawid. – Do rana nikt się nie zorientuje, że was nie ma.

– Ty nie idziesz?

Chłopak pokręcił głową.

I wtedy powróciły do Huberta wcześniejsze myśli: „Ukryjcie się głęboko w lesie i już nigdy stamtąd nie wyjdziecie? A może zaryzykujesz życie wszystkich, których znasz, gdy pojedziesz do domu, a oni staną w twojej obronie?”.

Musiał mieć pewność, że żołnierze nie będą ich ścigali. Alicja nie pozwoliłaby im tak po prostu odejść z jednostki. Nie była z typu tych, co łatwo przegrywają.

– Poczekajcie tu na mnie – rzucił i zanim Dawid zdążył go powstrzymać, pobiegł truchtem do parku.

Uspokoił zmysły i lekko się zataczając, podszedł do pierwszej klatki. Pies południcy skulił się w przeciwnym kierunku i zawarczał głucho, kładąc uszy po sobie i strosząc sierść.

– Spokojnie, tym razem gramy w tej samej drużynie – przekonywał Hubert, mając nadzieję, że to wcale nie jest tak głupi pomysł, jak mu się wydaje.

Demony codziennie zabijały ludzi, z łatwością poradziłyby sobie ze skołowanym, nieuzbrojonym człowiekiem, ale łowca doskonale zdawał sobie sprawę, że jeżeli nic nie zrobi, żołnierze odnajdą jego i Zuzę, a potem wymordują ich bliskich. Musiał zaryzykować.

Szybkim ruchem odsunął zasuwę i stanął za klatką. Demon powoli zbliżył się do wyjścia, zaczął węszyć, a potem nagle zerwał się do biegu i zniknął gdzieś w ciemnościach.

– Jeden z głowy – szepnęła Hubert z ulgą. – Jeszcze kilkanaście.

Po kolei otwierał wszystkie klatki, zaczynając od tych najmniej groźnych i agresywnych stworów. Na szczęście większość z nich, widząc szansę ucieczki z niewoli, nie zwracała sobie głowy obecnością człowieka. Tylko jeden boruta rzucił się na Huberta i chłopak musiał kilka razy go kopnąć, a potem dzielić kijem, aż dał sobie spokój i pobiegł za innymi. Najmniej chętne do ucieczki i najbardziej podejrzliwe okazały się wije, które musiał szturchać patykami przez kratki, żeby zdecydowały się wyjść.

Wiele klatek stało pustych, w tym dwie olbrzymie, skonstruowane z grubych prętów. Hubert nie miał pojęcia, skąd żołnierze je zdobyli, możliwe, że z cyrku. Prawdopodobnie trzymali w nich biesa.

Hubert nagle usłyszał cichy gwizd. Odwrócił się i zobaczył jeszcze jedną klatkę, którą wcześniej przeoczył. Kulił się w niej leszy z krwawą szramą na głowie. Łowcę ogarnęła wściekłość. Rozumiał sens polowania na demony, ale trzymanie takiego w klatce, w której nie było miejsca, by rozprostować kończyny, wydawało się okrucieństwem.

Hubert wyjął skobel, uchylił drzwiczki i usunął się na bok, lecz leszy, skamieniały ze strachu, usiłował się wcisnąć w najgłębszy kąt swojego więzienia.

– Wyłaź! – syknął chłopak

Demon nerwowo zaświszczał. Nie przypominało to typowego dla niego gwizdania.

Hubert czuł wściekłość na żołnierzy i Alicję. Żał mu było przerażonego leszego. Dlatego zrobił

coś, na co normalnie nigdy by się nie odważył. Przyklucnął przed klatką, powoli wsunął do niej rękę i złapał demona za skórę na karku. Ten zaświszczał cicho i spróbował wcisnąć się jeszcze głębiej w klatkę.

Choć leszy zapierał się wszystkimi łapami, Hubertowi udało się go w końcu wyciągnąć. Demon stanął niezdecydowany, co robić, a potem z gwizdem umknął w ciemność.

Wtem gdzieś w oddali rozległy się strzały. Wstrząsnęły uśpionym miastem, ich huk przetoczył się ulicami, odbijając się echem od ścian budynków. Ludzie zaczęli krzyczeć. W ciągu kilku minut rozpętało się prawdziwe piekło. Hubert nawet nie marzył o tym, żeby wywołać aż takie zamieszanie.

Została tylko jedna klatka.

Łowca powoli do niej podszedł i spojrzał prosto w oczy strzygi. Nie należała do największych okazów, jakie widział w życiu, ale było w niej coś niepokojącego. Nie miotła się od ściany do ściany ani nie kulila w rogu, jak to czyniły inne demony. Stała przygarbiona, opierając się przednimi łapami o ziemię. Patrzyła na łowcę, jakby była świadomym stworzeniem, a nie tylko wściekłą maszyną do zabijania. „Wypuść mnie, lecz nie obiecuję, że cię nie rozszarpię” – zdawało się mówić jej spojrzenie.

„Jak ją wypuścisz, będziesz miał na rękach krew tych wszystkich, których zabije” – szepnęło mu sumienie.

Zastanawiał się tylko chwilę. Odsunął zasuwę i uciekł.

Strzyga niespiesznie wyszła z klatki. Obejrzała się na Huberta i wrzasnęła rozdzierająco. Chłopakowi zrobiło się gorąco, właśnie uświadomił sobie, że nie ma żadnej broni. Jednak demon odwrócił się i popędził w stronę budynków.

Hubert wypuścił z płuc powietrze.

– To nie było najmądrzejsze – stwierdził, po czym przebiegł przez park i dołączył do przyjaciół.

– Pogięło cię?! – nie wytrzymał Dawid. – Pozabijasz nas wszystkich!

– Zamknij się i chodź – warknął Hubert, pociągając jego oraz Zuzię w stronę odległego ogrodzenia.

Wtem gdzieś w okolicy głównej bramy rozległ się potężny wybuch. Trójka uciekinierów przy padła do ziemi.

– Co to, do cholery, było?! – zdenerwował się Dawid.

– Granat – odparł równie zdziwiony Hubert. – Używacie granatów na demony?!

– Odbiło ci?

– Kawaleria przybyła – powiedziała lekko Zuzia.

– Ty zdrajco!

Odwrócili się i zobaczyli żołnierza z karabinem wycelowanym prosto w nich. To był ten sam, który przywłaszczył sobie broń Huberta. Miał na sobie pas z coltem i bagnetem.

– Alicja ci nie daruje – wysyczał do Dawida.

„Zastrzeli go!” – pomyślał Hubert w panice.

Wtem miastem wstrząsnął kolejny wybuch. Wszyscy obejrżeli się w kierunku bramy. Wszyscy – oprócz Huberta, który rzucił się na żołnierza.

Mężczyzna był potężnej postury, toteż silne ciosy w brzuch, a potem w szczękę, jakie otrzymał, nie wywarły na nim wrażenia. Kolbą karabinu uderzył Huberta w podbródek, aż chłopak się przewrócił.

Kiedy usiłował podnieść się z chodnika, żołnierz ponownie wycelował broń w Dawida. Już naciskał spust, ale coś wyskoczyło z cienia i z cichym warkotem rzuciło mu się do gardła. Mężczyzna padł i przez chwilę tarzał się po ziemi, usiłując strząsnąć z siebie demona, a potem znieruchomiał.

Hubert stanął na chwiejnych nogach i spojrzał prosto w czerwone oczy demona.

– Klakier! – krzyknęła radośnie Zuzia.

– Głupi kot – mruknął łowca. – Gdzie byłeś wcześniej, jak ciebie potrzebowaliśmy?

– Uciekajmy stąd, zanim inni nas złapią! – jęknął Dawid.

Hubert skinął głową, lecz najpierw pochylił się nad nieprzytomnym żołnierzem, odpiął mu pas z coltem i bagnetem, a potem zabrał karabin.

Pobiegli przez miasto, co chwila rozświetlane przez wybuchy i wystrzały. Już nie musieli zachowywać się cicho. Coś działo się przy bramie, na ulicach żołnierze walczyli z demonami.

Dobiegli do skrzyżowania dróg, jednak w alejce, w którą mieli zamiar skręcić, niespodziewanie rozległy się strzały. Cała trójka przypadła do ściany budynku znajdującego się na rogu. Hubert odbezpieczył karabin, policzył w myślach do trzech, po czym wychylił się zza domu. I nadział się na wycelowaną w jego klatkę piersiową lufę kałasznikowa. Nie sądził, by miał jakiegokolwiek szanse, gdy usłyszał znajomy głos:

– Hubert?

– Ernest?

– Boże, mało co cię nie zastrzeliłem!

– Ze wzajemnością.

Przyjaciele opuścili broń.

Po chwili zza rogu kamienicy wyszli Zuzia i Dawid.

– Zuzia – sapnął wzruszony Ernest, a potem porwał ją w ramiona. – Nic ci nie jest?

– Dobrze, przy witacie się później – gorączkował się Dawid. – Jak już się stąd wy dostaniemy.

Ernest zerknął na niego przelotnie, a potem skinął głową.

– Chodźcie – rzucił. – Tylko uważajcie na demony, wszędzie ich pełno.

– Wiem. – Hubert uśmiechnął się tajemniczo.

Ernest ruszył pierwszy, trzy mając za rękę siostrę, za nimi szedł Dawid, a na końcu Hubert.

– Gdzie Henryk i Iza? – zapytał.

– Henryk zajął się dywersją przy bramie. Iza przed chwilą zniknęła mi z oczu, ale musi być gdzieś w pobliżu.

Hubert poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Nie podobało mu się, że dziewczyna została sama w ogarniętej chaosem jednostce, gdzie za każdym rogiem mógł się zczaić demon.

Pobiegli wzdłuż ulicy, mijając domki jednorodzinne, a Hubert co chwila oglądał się za siebie i na boki. Jeżeli Iza się zgubiła albo trafiła na jakiegoś demona...

Przyjaciele skręcili w wąską dróżkę między dwoma domkami, lecz on znów zatrzymał się, by zlustrować wzrokiem okolicę za sobą. Izy nie było nigdzie widać. Odwrócił się, żeby pobiec za pozostałymi, i nagle wpadł na niespodziewaną przeszkodę. Siła uderzenia odrzuciła go do tyłu, upadł plecami na asfalt, zdzierając sobie naskórek z dłoni i łokci oraz boleśnie objając kość ogonową.

Zanim zorientował się, co się dzieje, zza samochodu stojącego tuż przy zakręcie wyszła Alicja. Odrzuciła na chodnik szpadel. Upadł z nieprzyjemnym brzdękiem.

– Już nas opuszczasz? – zapytała, celując do Huberta z pistoletu.

Tym razem była ubrana w zwykłe dzinsy, sweter i nieumalowana, a jej włosy pozostawały w nieładzie, co sugerowało, że została wyrwana ze snu.

– Nie spodobała mi się okolica – odparł, wciąż siedząc na ziemi.

Upadając, upuścił karabin, który leżał teraz metr dalej, zaczął więc gorączkowo myśleć, czy zdąży wyjąć z kabury colt, zanim ta wariatka go zastrzeli.

– Myślisz, że cię wypuszczę? – zapytała, mrużąc oczy.

– Rozejrzyj się, to koniec, większość twoich ludzi zginie dziś w nocy. Wasza jednostka upadnie!

– W takim razie zabierzemy cię ze sobą – syknęła i strzeliła.

Hubert skulił się, gdy kula świsnęła mu koło głowy i uderzyła w asfalt za nim.

Usłyszał kolejny strzał. Był pewien, że tym razem kobieta nie chybiła, lecz nie poczuł żadnego

bólu. Za to Alicja, przelidnając, upuściła na ziemię pistolet i złapała się za przedramię. Po kilku sekundach, zanim Hubert się zorientował, że to nie do niego strzelano, gdzieś z boku rozległ się ogłuszający wrzask – zwabiona krwią wypadła z ciemności strzyga. Rzuciła się kobiecie do gardła. Alicja krzyknęła przeraźliwie.

– Wstawaj! – Ktoś pociągnął Huberta za ramiona w górę.

Stała chwytając go za nogi i uśmiechnęła się do Izy.

– Dzięki.

Lecz dziewczyna nie odpowiedziała. Chwyła Huberta za rękaw i poprowadziła między domy do przyjaciół.

– Gdzie ty był? – rzucił Ernest, pomagając Zuzi wspiąć się na przewróconą ciężarówkę z naczepą, która stanowiła część ogrodzenia.

Na górce czekał już Dawid i podciągnął dziewczynę za rękę.

– Musiałem się pożegnać – odparł niezbyt przytomnie Hubert.

Spojrzał na Izę, która przewiesiła swój kałasznikow przez ramię i z nadzwyczajną zwinnością wspięła się na ciężarówkę.

– No już! – Ernest pchnął przyjaciela w stronę samochodu.

Chwilę potem cała piątka znalazła się po zewnętrznej stronie ogrodzenia.

– Zabierz ich stąd – Ernest zwrócił się do Izy, a sam pobiegł wzdłuż płotu.

– Gdzie on idzie? – zapytał Hubert, patrząc za przyjacielem.

– Po Henryka. No chodźcie!

Pobiegli przez ciemne, wymarłe miasto. Za ich plecami wciąż rozlegały się wystrzały, a luna, którą Hubert zobaczył, gdy zerknął za siebie, musiała być spowodowana pożarem. Po kilkuset metrach zwolnili do szybkiego marszu.

Zaczynało świtać, kiedy Iza doprowadziła ich do tego samego domu, w którym zatrzymali się trzy dni wcześniej.

– Jest coś do picia? – zapytał Hubert, siadając na podłodze i opierając się plecami o kanapę.

Wszystko zaczynało go boleć – klatka piersiowa od uderzenia szpadłem, podbródek od ciosu kolbą karabinu, zdarte dłonie i łokcie. I bardzo chciało mu się spać.

Iza podała Hubertowi butelkę z wodą, a sama stanęła przy oknie z karabinem, obserwując pustą ulicę.

Przy drugim oknie usiadła Zuzia, sprawdzając, czy w okolicy nie ma demonów. Przez chwilę obie dziewczyny patrzyły na siebie, po czym siostra Ernesta uśmiechnęła się słabo i odwróciła głowę w stronę szyby, przestając zwracać na cokolwiek uwagę. Iza wykorzystała ten czas, żeby

dokładnie się jej przyjrzeć.

Dawid usiadł w fotelu i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Zuza? – odezwał się nagle Hubert.

Dziewczyna go zignorowała.

– Zuza!

– Tak? – Spojrzała na niego.

– Czy ty tam... czy ty... mieszkałaś w burdelu?

– Uhm. – Pokiwała głową.

– I...?

– Czy dobrze mnie tam traktowano? – zapytała lekko. – Tak, całkiem dobrze. Dziewczyny były bardzo miłe. Od jednej z nich mam tę sukienkę i kołczyki. Gotowały też dobre obiady, często im pomagałam.

Hubert spojrział na Dawida.

– No co? – odezwał się chłopak – To normalne, że w wojsku są takie... przybytki. Alicja nie chciała, żeby Zuza mieszkała sama, więc lepsze chyba to niż spanie w koszarach z żołnierzami, prawda?

„Żeby moi i jej rodzice to widzieli – pomyślał Hubert. – Zuza mieszkała w burdelu, a ja wyłudowałem w areszcie. Normalnie czad”.

Zerknął na Izę, która utkwiała zdziwione spojrzenie w Zuzi.

Chyba nie spodziewała się, że dziewczynka będzie taka... no właśnie, taka jak zawsze.

– Ale nie trzymali cię pod kluczem? – ponownie zwrócił się do siostry przyjaciela.

– Monika kazała mi zamykać drzwi na noc, na wypadek gdyby jakiś żołnierz się pomylił.

– I mogłaś chodzić spokojnie po całej jednostce?

– Uhm, nie podchodziłam tylko do klatek

„A mnie ciągle wiązali”.

– To dlaczego nie uciekałaś?

– Dlaczego nie uciekałam? – Spojrzała na niego zdziwiona. – To chyba logiczne.

– Niekoniecznie. – Pokręcił głową.

– Brama była dobrze strzeżona – odparła. – A nawet gdyby jakimś cudem udało mi się wymknąć, to jak trafiłabym do domu? Pieszko, bez jedzenia, przez lasy pełne demonów. Zginęłabym w ciągu kilku pierwszych dni, o ile wcześniej by mnie pościg nie dopadł. Wiedziałam, że prędzej czy później po mnie przyjedziecie. Rozsądniej było czekać na was na

miejscu.

– Idą! – Iza nagle zerwała się z krzesła.

Hubert wybiegł za nią z domu. Szarówka przemieniła się w rzeński poranek

W bladym świetle rozpoznali Henryka.

– Wszyscy jesteście cali? – zapytał.

Obok niego siedł Ernest.

– Wszyscy – odrzekła Iza, po czym padła mu w ramiona.

Ernest wbiegł do domu, żeby wyściskać siostrę.

– To jest Dawid, pomógł mi uciec z aresztu – wyjaśnił Hubert, kiedy już znaleźli się w salonie.

– Pamiętasz go? – zwrócił się do przyjaciela.

– Pamiętam. – Rudzielec podał mu rękę. – Miło znów cię widzieć.

– Grzeczności wymienione? – mruknął Henryk z przekąsem. – Nie chcę wam przeszkadzać, ale powinniśmy już się stąd wynieść.

W kilkanaście minut spakowali się, wsiedli na konie i opuścili miasto.

Ernest jechał z siostrą na Ince, a Dawid dostał konia, który do tej pory wioził bagaże. Zdążyli w znacznym stopniu uszczuplić zasób arsenału oraz zapasy żywności, to zaś, co zostało, podzielili równo między siebie.



ROZDZIAŁ XI

– Co się z wami działo, kiedy byłem w więzieniu? – zagadnął Hubert, gdy po południu zatrzymani się na krótki popas. – Jakim cudem mnie złapali, a ciebie nie? – Spojrzał na Ernesta.

Przyjacieł się zmieszał.

– Przepraszam – mruknął. – To wszystko moja wina. Kiedy tylko zobaczyłem Zuzę, przestałem logicznie myśleć, to przeze mnie wpadliśmy w tę głupią zasadzkę. Gdy unieszkodliwiliśmy tamtych dwóch, pojawił się trzeci – on cię uderzył, a za nim przyszli następni. Straciłeś przytomność i wiedziałem, że nie dam rady uciec razem z tobą. Wymknąłem się sam, mając nadzieję, że będę w stanie ci pomóc. Bo gdyby nas dwóch złapali... – Pokręcił głową. – Naprawdę przepraszam.

– Spoko, na pewno ci to wypomnę, jak będę od ciebie czegoś chciał – odparł Hubert. – I co dalej?

– Znaleźliśmy go – wtrąciła Iza – i zaczęliśmy planować akcję ratunkową. Henryk zajął się dywersją przy bramie, żeby odwrócić uwagę żołnierzy, a my wkradliśmy się do środka. Okazało się jednak, że nasza dyskrekcja była zbędna. Co tam się w ogóle działo, skąd te demony?

– Powypuszczają je z katek – odrzekł Dawid. – Wszystkie. Nie wiem, jakim cudem jeszcze żyjemy.

– Te demony były tak samo oglupiałe jak ludzie – odezwał się Henryk

– Wiecie, że oni chcieli je hodować? I szkolić? – powiedział Hubert. – Żeby być potężniejszymi niż inni ludzie.

Opowiedział przy jaciółom o wszystkim, czego dowiedział się od Alicji.

– Ktoś musiał w końcu wpaść na taki głupi pomysł – skwitował Henryk

Na noc zatrzymali się w opuszczonej wsi. Zdawali sobie sprawę, że po okolicy mogą włóczyć się niedobitki z oddziału Alicji. Jednak byli dobrze uzbrojeni, więc gdyby doszło do jakiegokolwiek rozróby, poradziłoby sobie. Poza tym woleli nocleg w ludzkiej osadzie, gdyż w lesie grasowały demony, które właśnie odzyskały wolność, a to mogło znacząco wpłynąć na ich poziom agresji.

Od czasu gdy Klakier zaatakował żołnierza, nikt kota nie widział. Hubert zdążył zobaczyć, jak owinnik cały i zdrowy czmychnął w ciemność, lecz i tak się o niego martwił. Zwierzak już drugi raz uratował mu życie. Natomiast Zuzia nie wydawała się zaniepokojona o pupila, jakby cały czas wyczuwała jego obecność. Na wypadek gdyby Klakier wrócił w nocy, na progu domu, w którym się zatrzymali, pozostawili miseczkę z jedzeniem.

Wrześniowe słońce szybko skryło się za horyzontem, świat spowił mrok, a wraz z nim obudziły się demony. Las przylegający do opuszczonej wsi ożył i nawet przy pozamykanych drzwiach i oknach dało się słyszeć zawodzenie, szczekanie, gwizd i warczenie stworów.

– Demony wyruszyły na łowy – powiedział cicho Hubert.

Wraz z przyjaciółmi siedział w dużym pokoju opuszczonego domu. Choć przewietrzyli budynek, wciąż śmierdziało w nim stęchlizną, wszystko pokrywały kurz, brud i pleśń. Komin okazał się niedrożny, więc nie mogli rozpalic ognia, aby się ogrzać i wysuszyć ubrania, które bardzo szybko zawilgotniały. Siedzieli więc pozawijani w śpiwory przy dwóch kagankach naprędce zrobionych z tłuszczu, kawałka bawełnianego sznurka i małych miseczek. Wątle płomyki dawały niewiele światła, tworzyły za to całe mnóstwo cieni na ścianach.

Zuza, narzekając na ból głowy, zwinęła się w kłębek na kanapie. Wyglądała, jakby zasnęła, jednak Hubert dobrze wiedział, że tak naprawdę nasłuchuje demonów; zauważył, że lekko drżała.

Ernest usiadł z karabinem na kolanach przy oknie, za którym rozlewała się ciemność czarna niczym smoła.

Niewiele rozmawiali, wszystkim udzielił się ponury nastrój. Byli zmęczeni po podróży, lecz nikt nie mógł zasnąć przy hałasach dochodzących z zewnątrz.

Nagle usłyszeli rozzwierający skowyt, który zdawał się trwać w nieskończoność. Znieruchomieli, spoglądając na siebie, jakby w poszukiwaniu potwierdzenia, że to nie jest

złudzenie. To był krzyk umierającego stworzenia. Po mrozących krew w żyłach sekundach ucichł.

– Co to było? – zapytała szeptem Iza.

– Coś upolowały – odparł Henryk

Przez całą noc pełnili warty.

Hubert wątpił, by demony spróbowały wejść do domu. Po okresie niewoli u ludzi na pewno były spragnione wolności i świeżej krwi, a łatwiej było im zapolować na dzikie zwierzęta w lesie. Jednak niewiele spał tej nocy. Rano, gdy demony zamilkły i zdawało się, że odeszły głęboko w gęstwinę, wciąż czuł niepokój. Jakby w cieniu lub za rogiem pobliskiego budynku czaił się stwór, który wołał ludzkie mięso. Lęk ten towarzyszył mu przez cały dzień, i choć wiele razy sprawdzał okolicę, nie znalazł żadnego śladu demona.

Kolejnego dnia dotarli do Duszników. Choć w bramie zabrano im broń, to resztę bagaży pozwolono zanieść od razu do domu gościnnego, a konie zostawić w ogrodzie.

– Nie sądziliśmy, że tak szybko znów was zobaczymy – wójt Maciej powitał ich w progu.

Zaprosił gości do domu, przy czym badawczo przyglądał się Zuzi i Dawidowi.

– Widzę, że odnalazłeś siostrę – zwrócił się do Ernesta.

Chłopak kiwnął głową.

– Gdzie oni są?! – Do domu wpadła pani Joanna.

Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na swoich byłych uczniów.

– I co? Nie racycie się ze mną nawet przywitać? – rzuciła z udawaną przyganą.

Ernest wstał z kanapy, podszedł do niej i wyciągnął rękę, lecz była nauczycielka zignorowała ten gest i uściśkała chłopaka. To samo zrobiła z Hubertem.

– Pamięta pani Dawida? – zagadnął łowca.

– Dawid, Dawid... – Przygryzła wargę, zastanawiając się. – Pierwsza „c”?

– „B”, pani profesor – odparł grzecznie.

– Ach, no tak Rzeczywiście. Zawsze grzeczny byłeś, nie sprawiałeś problemów, prawda? Nie to co te dwa diabły. – Zerknęła na Huberta i Ernesta.

– Niech pani nie przesadza... – mruknął łowca.

– Nie przesadza? Dziecko, przez ciebie zaczęłam myśleć, że się w ogóle do tej pracy nie nadaję! Po dwudziestu latach nauczania w szkole! Zawsze byłeś takim oryginałem... – Pokręciła głową.

– Dobrze już, Joasiu – odezwał się wójt. – Później powspominacie stare czasy, teraz

chciałbym się dowiedzieć, co też nasi goście porabiali w ostatnich dniach.

Henryk zaczął opowiadać o jednostce w mieście, a z każdym jego słowem wójt bladł coraz bardziej.

– Żołnierze raczej nie stanowią dla was zagrożenia – zapewnił były wojskowy. – Jednak powinniście uważać na ewentualnych niedobitków. Martwią mnie też te demony, więc naprawdę bądźcie ostrożni.

Po rozmowie wójt pozwolił podróżnym udać się na odpoczynek i zaprosił na kolację wieczorem. Pani Joanna zaproponowała zaś dziewczętom kąpiel u siebie w domu.

– To niesprawiedliwe – jęknął Hubert, patrząc, jak Iza i Zuzia idą za nauczycielką. – Ja też bym się wykąpał.

Odrzucił się od okna i wtedy Ernest wcisnął mu w rękę wiadro.

– Studnia jest u sąsiada – poinformował.

– Ale nie mamy ani na czym podgrzać wody, ani żadnej większej miski...

– Jesteś twardym facetem, radź sobie jakoś.

Po godzinie, gdy mężczyźni doprowadzili się do porządku, wróciły dziewczyny.

– Uczeszysz mnie? – Zuza zagadnęła Izę, wyciągając w jej stronę rękę ze szczotką do włosów.

Hubert z zainteresowaniem podniósł głowę i zobaczył spłoszoną minę Izy.

– E... wiesz... nie jestem w tym dobra... – zaczęła się tłumaczyć. – Nawet zwykły warkocz wychodzi mi krzywo.

– Nic nie szkodzi – odparła z uśmiechem Zuzia.

– Chodź do mnie, ja cię uczeszę – powiedział Ernest, podnosząc się z kanapy.

Iza odetchnęła z ulgą.

– Pójdę... zobaczyć, ehm, co się dzieje na zewnątrz – mruknęła, a potem pospiesznie wyszła z domu.

Hubert wymienił rozbawione spojrzenie z przyjacielem.

– Pójdę za nią – rzucił.

Zastał Izę w ogródku, gdy głaskała Hermesa po chrapach.

– Widzę, że nieźle się dogadujecie – zagadnął. – Zostałyście już najlepszymi przyjaciółkami, co?

– Daj spokój – mruknęła.

– Nie przejmuj się, Zuza jest... – zaczął. – Cóż, każdy czuje się nieco nieswojo w jej towarzystwie. Ale można się przyzwyczaić.

– Jest sympatyczna i miła – powiedziała Iza. – Ale... proszę, nie zostawiajcie mnie samej w jej towarzystwie. Czasem tak dziwnie na mnie patrzy. A poza tym ja naprawdę nie umiem pleść warkoczy.

Mołka podeszła do Huberta i trąciła go chrapami w ramię, oczekując smakołyka.

– Nic nie mam – powiedział, drapiąc ją po szyi. – Ale widziałem w czymś ogródka jabłoni, jak będę wracał z kolacji, coś ci wyszabruję – obiecał.

Przez chwilę Hubert i Iza stali w milczeniu, zatopieni we własnych myślach.

– Dzięki – odezwał się w końcu chłopak

– Za co?

– Za waszą pomoc – odparł. – Nie musieliście jechać tu z nami ani nam pomagać. Naraziliście własne życie, a przecież nawet nie znaliście Zuzi. I gdyby nie wy... nie wiem, jak Ernest wyciągnąłby nas z tej jednostki.

– Ponoć całkiem dobrze sobie radziłeś.

– Szczególnie wtedy, gdy dostałem od Alicji szpadlem. Gdybyś jej nie postrzeliła...

– Oj, przestań, po raz nie wiem który uratowałam ci tyłek Nic niezwykłego. – Machnęła ręką.

– Tylko nie zapominaj, kto uratował tobie tyłek w domu, w którym mieszkały wije.

– Ernest i Henrykoczywiście.

Pokręcił głową z uśmiechem.

– W każdym razie: dzięki – powiedział.

W Dusznikach zostali na noc. Choć była spokojniejsza niż poprzednia, już wczesnym wieczorem znów dało się słyszeć hałasy w pobliskim lesie. Miejscowym się to nie spodobało. Krzywo patrzyli na przybyszów, którzy mogli sprowadzić na nich kłopoty. Chcąc w niewielkim stopniu naprawić szkodę, Hubert zamierzał wybrać się na polowanie. Demonów jednak było zbyt wiele. A proponowanie miejscowym wspólnych łowów wybił mu z głowy Henryk.

Wyjechali z samego rana. Niespodziewanie przy śniadaniu Dawid oznajmił, że chce zostać. Huberta zaskoczyła jego decyzja, myślał, że chłopak pojedzie z nimi do Dąbrówki, przecież potrzebowali tam młodych ludzi. On jednak najwyraźniej nie miał ochoty na dalekie podróże. Tym bardziej że pani generał obiecała za niego poświadczyć przed wójtem.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – powiedział łowca, żegnając szkolnego kolegę. – Dzięki za wielką pomoc.

– Starzy kumple ze szkoły powinni sobie pomagać, czyż nie? – odparł Dawid, ściskając jego dłoń.

– Trzymaj się!

Wsiadli na konie i żegnani przez wójta oraz panią Joannę z ojcem, opuścili wieś.

– Dziwię się, że nie chciał jechać z nami – powiedziała na głos Hubert.

– A ja nie – odparł Ernest. – W końcu to przez nas musiał uciekać z jednostki.

– Ale przecież zabiłyby go demony.

– A kto wypuścił je z klatek? Jakakolwiek ta jednostka była, pewnie miał tam kilku kumpli.

A przez nas większość z nich zginęła.

Hubert się zamyślił. Do tej pory uważał, że wszyscy żołnierze znajdujący się pod dowództwem Alicji pochodzili z tego samego sortu co ona. A przecież mogło tam być więcej takich zagubionych chłopaków jak Dawid. No i przebywały tam też kobiety. Huberta dopadły wyrzuty sumienia. Nic nie wyglądało na czarne i białe. Wszędzie wokół byli tylko zwykli, szarzy ludzie, którzy starali się przeżyć, nie myśląc o obcych.

– Jeżeli tamto gospodarstwo okaże się w porządku, zostaniemy w nim na noc – powiedział Henryk, patrząc na jedną z map Huberta.

Zatrzymali konie na szczycie małego wzniesienia, skąd był dobry widok na okolicę. Niecały kilometr za pobliską wsią od głównej szosy odbijała w las zarośnięta, wąska droga. Jeżeli mapy się nie myliły, prowadziła do dużego gospodarstwa.

– Nie za wcześnie na szukanie noclegu? – zapytała Iza. – Do wieczora dalibyśmy radę przejechać jeszcze kilka kilometrów.

Henryk pokręcił głową.

– Nie mamy już zapasów. A tamten dom leży daleko od innych miejscowości, może znajdziemy tam jakieś paczkowane jedzenie. Poza tym jak będzie bezpiecznie, to zostaniemy tam też jutro.

Ernest otworzył usta, by zaprotestować.

– I wybierzemy się na polowanie – dokończył Henryk – Nie chcesz chyba, żeby po drodze siostra padła ci z głodu?

– Niech będzie – zgodził się rudzielec.

– Zostań tu z dziewczynami, a ty – mężczyzna zwrócił się do Huberta – chodź ze mną.

We dwóch skierowali konie na starą, dziurawą drogę. Nie przejechałby nią żaden wóz, dlatego mieli nadzieję, że gospodarstwo ukryte głęboko w lesie nie zostało jeszcze splądrowane przez szabrowników.

– Jakież demony? – zapytał Henryk

– Nic nie czuję – odparł Hubert.

Po kilku minutach minęli zmurszały płot i znaleźli się na terenie gospodarstwa. Zsiedli z koni, wzięli karabiny i ruszyli na obchód. Henryk zajrzał do stodoły i pozostałych pomieszczeń gospodarczych, podczas gdy chłopak sprawdził dom. Był to stary budynek z ciemnoszarym popękany m tyńkiem i dachem porośnięty mchem. W środku znajdowały się dwa potężne piece kaflowe i wiekowa kuchnia. W korytarzu na ziemi leżało przewrócone krzesło, w pokoju stała szafa otwarta na oścież, a ubrania były rozrzucone na wersalce. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, w kątach wisiały pajęczyny.

Hubert zajrzał do każdego pomieszczenia, a potem wyszedł na zewnątrz.

– I jak? – zapytał go Henryk

– Czysto. Chyba od wojny nikogo tu nie było.

– I dobrze. Ogarnij w stodole miejsce dla koni, ja pojadę po pozostałych.

Godzinę później wszyscy siedzieli w kuchni. Z Dąbrówki zabrali zmieloną suszoną wołowinę, którą w krowim pęcherzu przy siodle wiózł Ernest. Została im zaledwie garść, którą Zuza wrzuciła do gotującej się wody. Jednak taki bulion z odrobiną kaszy jaglanej to było za mało, żeby mogli się nim nasycić. Dlatego Iza wybrała się do piwnicy i przyniosła kilka słoików z przetworami gospodarzy.

– Nie wyglądają na spleśniałe – stwierdziła, oglądając pod światło jeden z weków. – Ale ja ich próbować nie będę.

Zuzia spojrzała na brata, a on na Huberta.

– I znów mam się dla wszystkich poświęcać – westchnął ciężko chłopak – Pokaż mi to.

Wziął pierwszy z brzegu słoik i go otworzył. W twarz buchnął mu smród zepsutego jedzenia.

– Dobra, następny – mruknął.

Zachlupotał w nim zielony płyn, który kiedyś prawdopodobnie był kiszony mi ogórkami, jednak przez lata się rozpuściły.

Po chwili odkręcił kolejną pokrywkę i ostrożnie powąchał.

– Jakież leczy? – zastanowił się. – Nie śmierdzi. Ale też nie pachnie zbyt pięknie.

Wziął odrobinę na koniec noża i spróbował.

– Hm, nie jest złe – stwierdził, biorąc kolejną, dużo większą porcję.

– Wystarczy. – Zuzia wyjęła mu słoik z rąk – Skoro jest dobry, będzie na kolację.

– Za mało spróbowałem! – zaprotestował, lecz dziewczyna nie zamierzała mu oddać słoika z warzywami.

Po kolacji, na którą składały się bulion z kaszą i niezbyt dobre placki z jarzynami ze słoika,

napalili w piecach. W domu zrobiło się przyjemnie ciepło. Choć Klakier wciąż się nie pojawił, Hubert wystawił mu na próg domu miseczkę z jedzeniem. Potem wszyscy po kolei wykłapali się w resztkę mydlnicy zabranej z Dąbrówki, przygotowali łóżka do spania i usiedli w salonie przy świetle kilku marnych świeczek, które Iza znalazła w jakiejś szafie.

– Co będziemy robić, jak wrócimy do Dąbrówki? – zagadnął Hubert.

– W domu jest mnóstwo pracy – przypomniał mu Ernest.

Hubert westchnął ciężko. Miło było zrobić sobie wakacje w Świącinie i zostać tam strażnikiem, ale tym razem nie mógł zostawić rodziny. W gospodarstwie przed zimą zawsze jest dużo do zrobienia. Lecz jakoś nie wyobrażał sobie, by całe dnie znów wypełniały mu obowiązki gospodarskie.

– A wy? – zwrócił się do Izy i Henryka.

– Zobaczmy – odparł były wojskowy. – W końcu przyjechaliśmy tu, żeby nawiązać kontakt z innymi osadami. Na pewno nie od razu wrócimy do Świącina.

Następnego dnia Henryk i Ernest ze wschodem słońca ruszyli na polowanie, zaś Hubert został z dziewczynami w domu. Był z tego zadowolony, bo mógł wyczyścić broń i wyprać ubrania. Zuzia postanowiła poszukać w piwnicy innych zdalnych do jedzenia przetworów, a Iza przejrzała wszystkie szafki gospodarzy.

Wierzchowce pasły się na polanie przed gospodarstwem, uradowane z wolnego dnia.

Hubert postanowił o nie zadbać. W bagażach odnalazł szczotkę, zgrzebło oraz kopystkę.

„Podoba mi się tu – pomyślał, czesząc Inkę mechanicznymi ruchami. – Gospodarstwo leży z dala od drogi, więc nikt nic nie zdewastował, nawet stare zapasy jedzenia są nienaruszone. Gdyby na trasach między zamieszkanymi osadami znajdowało się więcej takich miejsc, podróżowanie byłoby łatwiejsze. Powinniśmy zostawić jakieś zapasy w domu, w którym zawsze nocujemy, jadąc do bunkra”.

Wyobraził sobie wszystkie znane mu osady połączone przejezdnym szlakiem, gdzie na trasie znajdowałyby się bezpieczne domy, każdy z zapasem jedzenia i suchego drewna.

– Przecież to wymyślili już Krzyżacy – powiedział do Inki. – Ich zamki były od siebie oddalone o odległość jednego dnia jazdy konnej. Dlaczego my o tym nie pomyśleliśmy? Zbyt mało ludzi podróżuje w tych czasach – westchnął.

Skończył czyścić Hermesa i usiadł na trawie, gdy zobaczył biegnącą w jego stronę Izę.

– Hubert! – krzyknęła wystraszona.

Wstał z ziemi i podbiegł do niej.

– Zuzia zniknęła – sapnęła dziewczyna.

– Jak to zniknęła? – zapytał twardo.

– Po prostu zniknęła. Powiedziała, że idzie zobaczyć, czy w ogródku nie rosną dzikie warzywa, i nie wróciła. A to było pół godziny temu.

– Jezus, tylko nie to! – jęknął. – Szukałaś wszędzie w domu? Czasami może się gdzieś zaszyść i nie odpowiada na wołanie...

– Sprawdzalam – warknęła Iza. – Nie jestem przecież głupia.

– A ogród? Stodoła?

– Wszystko sprawdziłam!

– Ernest mnie zabije.

Wpadli do domu i zabrali swoje karabiny.

– Musiała pójść do lasu – powiedział Hubert. – Czasami, jak coś jej odbije... Ty sprawdź tamtą stronę, ja pójdę w tę. Mam nadzieję, że nie odeszła daleko.

Iza kiwnęła głową i się odwróciła.

– Spotkamy się tu za godzinę! – krzyknął za nią. – I uważaj na siebie!

Dziewczyna machnęła ręką na znak, że słyszy, a potem zagłębiła się w las.

Hubert wszedł między drzewa z drugiej strony gospodarstwa. Przemierzył kilkadziesiąt metrów, a potem przystanął. Wziął głęboki wdech i się skupił, lecz nie wyczuł obecności demonów.

– Zuza! – krzyknął. – Zuza!

Odpowiedziała mu cisza.

– Cholera, głupia dziewczyna – narzekał, idąc dalej. – Poczuję jakiegoś demona i już za nim lezie. Mam nadzieję, że to demon, a nie ludzie. Z demonem może sobie jakoś poradzi, ale z ludźmi... Zuza! Zuza! Jak ją porwą, to znowu przez półtora miesiąca będzie trzeba jej szukać...

Przez ponad godzinę Hubert krążył po lesie, lecz nie znalazł nawet śladu po Zuzi. Martwił się o nią i zastanawiał się, co powie Ernestowi, kiedy ten wróci z polowania.

Zaszedł do gospodarstwa, ale tutaj też jej nie było.

Izy również nie zastał. Poczekał kilka minut, mając nadzieję, że dziewczyny jednak się pojawiają, a potem ruszył w stronę, gdzie poszła Iza. Teraz zaczął się martwić, że i ona ma w kłopoty.

Szedł przez las, ciągle nawołując. Wrześnie słońce prześwitywało przez liście drzew. Popołudnie było naprawdę ciepłe i słoneczne.

Nagle Hubert poczuł demona. Uznał, że tam, gdzie jest demon, znajdzie i dziewczyny.

Przestał nawoływać i zaczął cicho iść przez las. Wolał, żeby to on zaskoczył potwora, a nie na odwrót. Z każdym krokiem demoniczna aura stawała się coraz silniejsza. Lecz najgorsze było to, że Hubert nie rozpoznawał tego zapachu. Nie miał pojęcia, jaki demon ukrywa się w lesie, i wcale mu się to nie podobało.

Potem usłyszał jakieś szepty. Bezszelestnie wychylił się zza drzewa.

Zobaczył małą leśną sadzawkę, a kilka metrów przed nią siedziała na ziemi Zuzia i szeptała coś spokojnie. Parę kroków za nią kuciała blada Iza z karabinem w rękach. Zaś pomiędzy dziewczynami a stawem siedziało coś szarobrunatnego rozmiarów dużego psa. Było pokraczne, pokryte krótką szczecinią, miało potężne łapy i paskudny pysk. Z dolnej szczęki wyrastały mu dwie zakrzywione, długie na kilkanaście centymetrów szable. Z zainteresowaniem przyglądało się Zuzi i chrumkało cicho.

„Zwariowały” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

Może i demon nie zachowywał się agresywnie, ale jego szable mówiły same za siebie. Hubert dobrze wiedział, jaką krzywdę mogą zrobić takie same u rozwścieżonego dzika.

Przyłożył karabin do ramienia, wycelował w stwora i wyszedł zza drzewa.

– Cofnijcie się – powiedział cicho.

Wszystkie trzy głowy zwróciły się w jego stronę. Iza była blada, Zuzia miała lekko rozmarzony wyraz twarzy, demon zaś wydał się zdziwiony, lecz po chwili jego zaskoczenie przerodziło się w rozdrażnienie.

Nagle chłopak całym sobą poczuł jego strach i złość.

Demon zakwiczął głośno niczym świnia, a potem rzucił się przed siebie, odtrącając na bok Zuzię. Łbem uderzył w Izę, przewracając ją na ziemię, i popędził prosto na Huberta.

Łowca najpierw chciał strzelić, ale przestraszył się, że spudłuje, a kula trafi którąś z dziewczyn. Spojrzał we wściekłe ślepie, które zapłonęły czerwienią, i w ostatniej chwili odskoczył na bok. Przeturlał się po ziemi, uniósł głowę i zobaczył, jak demon zawraca.

– Nie podnoś się! – krzyknęła Iza.

Strzeliła, trafiając demona w bark. Po lesie rozniósł się przeraźliwy kwik, potwór zwolnił, postąpił kilka kroków naprzód, a potem się zatrzymał. Iza oddała jeszcze jeden strzał, kula utkwiała w przedniej łapie, co skłoniło demona do ucieczki.

Hubert zerwał się z ziemi i wycelował tam, gdzie zniknął, lecz najwyraźniej stwór nie zamierzał już wrócić.

– Czy wam odbiło?! – Odwrócił się do dziewczyn. – Co wy wyprawiacie?! Mógł was zabić!

– Nic mi nie jest – oświadczyła Zuzia, wstając z ziemi.

Spokojnie otrzepała spodnie i ruszyła w stronę gospodarstwa.

– Dopóki nie przyśedłeś, demon był całkiem spokojny – dodała Iza.

– Zwariowałyście – powiedział. – Widziałaś jego szablę? Mógłby was nimi rozszarpać.

– Nie dramatyzuj – burknęła córka Sołtysa.

Wyminęła go i poszła za Zuzią.

– Kulejesz – stwierdził.

– Bo mi przywalił brem w nogę, przez ciebie będę miała siniaka – odparła, nie odwracając się nawet.

– Za jakie grzechy? – jęknął Hubert i zrównał się z nią. – Co tam się w ogóle stało? Jak ją znalazłaś?

– Szłam przed siebie, aż w końcu zobaczyłam, jak siedzi kilka metrów przed sadzawką i do niej gada – odparła. – Kazała mi być cicho i odłożyć karabin. Byłam ciekawa, co się wydarzy, więc stanęłam za nią i czekałam. Aż w końcu z wody i błota wynurzyło się to coś. Nie wyglądało groźnie, było raczej nami zainteresowane...

– I przyszło ci do głowy, że może nagle się na was rzucić?

– Byłam gotowa do zastrzelenia go w każdej chwili. Gdybyś go nie zaskoczył, pewnie nic by się nie stało. A poza tym myślisz, że jesteś jedynym, który może interesować się demonami? Na moim miejscu pewnie zrobiłbyś to samo.

Hubert westchnął ciężko. Pewnie tak by było.

Gdy wrócili do gospodarstwa, ich przyjaciele już tam na nich czekali. Byli dość zaniepokojeni.

– Teraz się im tłumaczcie. – Hubert spojrział na Izę spod oka, wyminął wszystkich i poszedł do kuchni. Naładował sobie do brudnego kubka wody i usiadł na krześle przy stole. Ledwie słyszał, jak na dworze Iza coś mówi.

Po kilku minutach wszyscy weszli do kuchni.

– Więcej z nimi nie zostaję – powiedział Hubert, patrząc na kolegów. – Nie będę ich pilnował.

– Jakby trzeba było mnie pilnować. – Iza spojrzała na niego ze złością.

– Przecież ten demon nie był agresywny – oświadczyła Zuzia.

Wszyscy spojrzeli na nią.

– Jeszcze nigdy nie widział człowieka – wyjaśniła. – Był młody i zaciekawiony, nie zły.

– Jakim cudem możesz to wiedzieć? – zapytał z przekąsem Hubert.

– Jakim cudem ty mogłeś tego nie wiedzieć, łowco? – odparła zdadliwie.

Hubert sapnął głośno, ale nic nie odpowiedział. Nie wyczuł zainteresowania u demona z bagien, ale za to doskonale wiedział, kiedy ten się zezłościł. Poczł jego strach i rozdrażnienie. Czyżby Zuzia mówiła właśnie o tym? Czy była aż taka dobra w odczytywaniu emocji demonów?

Na spóźniony obiad Zuzia ugotowała zającą, którego upolowali Henryk i Ernest. Do sosu dorzuciła kilka grzybów, które znalazła w lesie. Dwa pozostałe zające przygotowała jako zapas na drogę.

Zanim zaczęło się ściemniać, Hubert poszedł po konie na łąkę i zaprowadził je do stodoły. Gdy zamykał zwierzęta, podszedł do niego Ernest.

– Nowy gatunek demona, co? – zagadnął.

– W życiu takiego nie widziałem ani nie słyshałem o nim – odparł chłopak.

– Trochę mnie to martwi.

Ernest oparł się plecami o ścianę stodoły i spojrział na szarzące niebo.

– Minęło tyle lat – powiedział powoli. – Myślałem, że poznaliśmy już je wszystkie. Że więcej niespodzianek nie będzie. A tu nagle wyskakuje taki. Jeżeli rzeczywiście byliście pierwszymi ludźmi, których spotkał, to pomyśl, jakie wspomnienia mu zostaną. Założę się, że już nie będzie nas lubił i kolejnego człowieka z chęcią nadzieje na te swoje szable. Kilkanaście centymetrów, mówisz? Dużo.

Hubert pokiwał głową.

– Nie przypominam sobie, żeby m kiedykolwiek czytał o podobnym stworzeniu w demonologii – powiedział. – Wyglądał jak dzika świnia znutowana z małpą.

– Pamiętaj, żebyśmy sprawdzili, jak wrócimy. A na razie równie dobrze możemy mówić na niego „błotnik”.

Nagle w oddali usłyszeli wysoki, urywany gwizd. Spojrzeli po sobie i powiedzieli równocześnie: „Leszy”.

– Co robimy? – zapytał Ernest.

– Zaraz się ściemni, a leszy jest raczej daleko...

– Musimy dobrze zabezpieczyć drzwi i okna na noc, to nic się nie stanie.

Hubert skinął głową. Wiele razy podczas swoich podróży słyszeli leszego, który z zainteresowaniem towarzyszył ludziom kawałek drogi, nie robiąc im krzywdy. Zastanowił go tylko ten charakterystyczny, wysoki i lekko urywany gwizd. Brzmiał znajomo.

Kilka dni później wjechali do Dąbrówki. Wszyscy ucieszyli się, widząc ich i Zuzię całych

i zdrowych. Hubert podejrzewał, że większość mieszkańców wsi już przestała wierzyć, że dziewczyna żyje.

Gdy tylko wjechali na podwórko Alberta, pojawił się przy nich Woźnica.

– Boże, nie wierzę własnym oczom – powiedział.

Hubert przysięgłby, że w kącikach oczu zaślniły mu łzy.

Myśliwi uściśkał wszystkich, nie wyłączając Izy, a Zuzię nawet kilka razy.

– Przepraszam... – zaczął, ale głos uwiązał mu w gardle.

– Już dobrze – odparła cicho Zuza i położyła mu rękę na ramieniu.

Godzinę później wszyscy siedzieli w domu i jedli paskudny obiad przygotowany przez Daniela. Zanim zdążyli opowiedzieć, co się z nimi działo przez ostatnie tygodnie, odwiedziła ich Aniela Janicka, a po niej Górcy i Borowscy. Do końca dnia drzwi domu Alberta się nie zamykały, ciągle ktoś wchodził, wychodził, przyносił jedzenie i ciasta. Ku wielkiemu rozbawieniu Huberta i Izy sąsiadka Janicka znów flirtowała ze skonsternowanym Henrykiem.

– I wyobraźcie sobie, że wypuścił wszystkie demony z klatek – opowiadał Ernest.

Woźnica zrobił wielkie oczy i spojrział na Huberta.

– A co innego miałem zrobić? To się nazywa dywersja – bronił się chłopak

– Srywersja! – przerwał mu Albert. – Mogły cię zeżreć! Albo moją wnuczkę!

– Ale nie zeżarły, a dzięki temu przynajmniej nie będzie już problemów z tamtymi pseudożołnierzami.

– Cicho bądź. I co dalej? – starszy pan zwrócił się do swojego wnuka.

– Znaleźliśmy się, choć mało brakowało, a byśmy nawzajem się zastrzelili – powiedział Ernest. – I choć wokół szalały demony, a ludzie strzelali, udało nam się uciec z tej jednostki, przy okazji zupełnie ją pacyfikując.

– Dobrze się spisaliście – pochwalił ich Albert.

– Możesz być dumny ze swoich chłopaków – przyznał Henryk

Starszy pan z zadowoleniem wyprostował się na krześle, jakby to jego chwalono.

– Chodźmy do kuchni, co? – Hubert zaproponował Izie i Ernestowi.

Oboje pokiwali głowami.

Zebraли ze stołu brudne naczynia i wyszli z pokoju. Tuż za nimi pomaszrowała Zuzia.

– Podoba mi się ten wasz dziadek – stwierdziła z uśmiechem Iza, wkładając talerze do miski. –

Wy zmywacie.

Dwaj przyjaciele wymienili zmęczone spojrzenia.

– No już, do roboty – pogoniła ich dziewczyna.

– Ty zmywasz, ja płuczę. – Ernest rzucił w koleżkę gąbką do mycia.

Nagle Zuzia wstała z fotela i wyszła z kuchni. Wróciła z Klakierem płaczącym się jej między nogami.

– A ten głupi kot skąd się tu wziął? – Hubert poczuł ulgę, widząc owinnika.

– Szedł za nami – odparła dziewczyna. – Całą drogę trzymał się z tyłu.

Niecały kwadrans później Zuzia usadowiła się w fotelu z demonem na kolanach, a pozostała trójka przyjaciół usiadła za stołem.

W kuchni płonęły knoty dwóch lamp naftowych, a kuchenka, choć ogień został wygaszony, wciąż dawała przyjemne ciepło.

– Skoro ta historia już się skończyła, i to szczęśliwie dla nas, mam jedno pytanie – odezwała się Iza.

Przyjaciele spojrzeli na nią zaciekawieni.

– Ernest, skąd wiedziałeś, gdzie szukać Huberta? Przyjechałeś do Święcina i zapytałeś o niego, jakbyś był pewien, że go u nas znajdziesz.

Hubert zerknął na przyjaciela, który zaczął błędzić wzrokiem po ścianach kuchni.

– Wiedziałem, że udał się mniej więcej w tamtych kierunku – odparł w końcu.

– Mniej więcej? – powtórzyła Iza. – To mnie nie przekonuje. Przecież Hubert zablądził w lesie i przez przyadek trafił do Henryka, nie mogłeś o tym wiedzieć.

Ernest spojrzął na Huberta.

– Ty jej powiedz.

– Nie mam co powiedzieć! – spróbował się bronić Hubert.

– Mnie nie uwierz.

– Mnie tym bardziej.

– W co?

– W to, że Hubert już kiedyś był w Święcinie – odezwała się Zuzia.

Iza spojrzała na nią, na Huberta, znowu na nią i na Ernesta.

– Jak to: był? – zapytała, lecz Zuzia przestała zwracać na nią uwagę. – O czym ona mówi?

– Czy to się będzie za mną ciągnęło do końca życia?! – jęknął chłopak

– Mnie też jeszcze nie powiedziałeś, jakim cudem odnalazłeś Święcino po tych siedmiu latach – powiedział Ernest.

– Odnalazł? Po siedmiu latach? – powtórzyła Iza.

– Znalazłem wieś na starych mapach, ot tak, po prostu – mruknął Hubert. – Kiedyś Świącino mi się przyśniło – zwrócił się do Izy. – I ty, i Henryk i wszyscy inni.

– Jak to: przyśniło? Jaja sobie ze mnie robisz?

Hubert westchnął ciężko, a potem zaczął mówić. Opowiedział, jak za pierwszym razem trafił do Świącina, jak strzyga zabiła Andrzeja, o weselu Kasi i Łukasza, na którym zaatakował bies, o topielcu, mamunach i trojanach.

– Zaraz, chcesz mi powiedzieć, że wiedziałeś, że to wszystko się wydarzy? – Iza przeszyła Huberta wzrokiem.

– Część rzeczy, niektóre pozmieniałem.

– To dlaczego nie ocaliłeś Mikołaja? – zapytała sceptycznie.

– Próbowałem... – Pokręcił głową.

A potem opowiedział o tragicznej w skutkach wyprawie do Poznania po demonologię. O tym, jak Henryk poświęcił siebie, żeby ich ratować, jak Adam zginął zagryziony przez wiję, a Jacek – postrzelony przez snajpera.

Przez cały ten czas Iza słuchała go z zainteresowaniem, z którym mieszało się niedowierzanie wymalowane na twarzy.

– Głupoty gadasz! – prychnęła, gdy skończył. – W życiu nie poszłabym do Poznania, do dzielnicy Łazarza, po jedną książkę.

Iza wyszła z kuchni, a dwaj przyjaciele spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się nieznacznie.

– Rzeczywiście, teraz wydaje się, że to był naprawdę kiepski pomysł – przyznał Hubert.

Ernest pokłivał głową.

– Kiedy zostawiłeś mi wiadomość, że wybierasz się do Świącina, pomyślałem, że zupełnie ci odbiło – odezwał się po chwili namysłu. – A potem nie wracałeś przez długie tygodnie i wówczas były dwie możliwości: albo wpłatałeś się w poważne kłopoty, albo odnalazłeś tę osadę.

Hubert wzruszył ramionami, już dawno przestał się zastanawiać, jakim cudem jego sen mógł okazać się prawdą.

– A potem postanowiłem po ciebie pojechać – kontynuował Ernest. – I podczas drogi miałem mnóstwo czasu na myślenie.

– Taa?

– Jedyne wyjaśnienie, na jakie wpadłem, jest takie, że wybuch wielkiego muzeum uwolnił olbrzymią energię, fale elektromagnetyczne czy coś w tym rodzaju. Do tego należy dodać słońce odbijające się w milionach kryształków szkła z wysadzonej piramidy. Jeżeli te fale wraz ze światłem zogniskowały się na tobie, mogły rzucić cię do równoległego świata, stworzonego

z antymaterii. Jakimś cudem zaliczyło ciebie jedynego do obu rzeczy w istocie i gdy w tamtej trafieś do Świącina, ta czekała w zawieszaniu, bo nie mogła ruszyć dalej bez ciebie.

– Aha... – mruknął sceptycznie Hubert.

– I dopiero gdy tam zginąłeś, przerzuciło cię z powrotem na miejsce, do Paryża. I ta rzeczywistość ruszyła do przodu.

– A co z tamtą?

– Cóż, gdyby było tak, jak mówię, to podejrzewam, że w tamtym świecie umarliście na dobre i reszta dzieje się już bez was.

Nastała chwila ciszy. Hubert spróbował wyobrazić sobie, jak mogłyby potoczyć się losy przyjaciół i rodziny po jego śmierci.

– A najlepsze w tym wszystkim jest to – kontynuował Ernest – że nie można powtórzyć takiej sytuacji. Wybuch, szklana piramida, nawet położenie słońca już nigdy nie będą takie same.

– Szczególnie że tej piramidy już nie ma – mruknął łowca. Dla niego nie było ważne, w jaki sposób znalazł się kiedyś w Świącinie. Mądre słowa wyjaśniające to zjawisko też nie miały znaczenia. Najważniejsze, że udało mu się uratować tych, na których mu zależało.

Hubert był przekonany, że następnego dnia z samego rana Albert zagoni ich do pracy w gospodarstwie, lecz czekała go miła niespodzianka. Co prawda starszy pan kazał im wstawać skoro świt, ale okazało się, że podczas ich nieobecności sąsiedzi pomogli Albertowi i Danielowi zebrać plony z ogrodu, przekopać ziemię i zająć się zwierzętami. Kobiety zaś zebrały zioła z ogródka Zuzi i je ususzyły. Trzeba tylko było naprawić dach w stodole, do czego chłopcy zabrali się od razu po śniadaniu. Z kolei Iza, ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu, została zagoniona do pomocy Zuzi przy obiedzie. Jednak szybko się czymś wykręciła i poszła do salonu, gdzie Daniel na stole zarzuconym kartkami papieru przepisywał kolejną kopię demonologii.

– Henryki i Iza chcą obejrzeć inne wsie w okolicy – odezwał się do przyjaciela Hubert, kiedy naprawiali dach. – Po to przecież tu są, nie? Ale gdy zapukają do bramy jakiejś osady, mogą dostać kłukę. Dlatego ktoś musi zostać ich przewodnikiem.

– I to pewnie musimy być my, tak?

– A kto inny? Nie mów, że nie pojechałbyś do Kamiennej.

Ernest zamyslił się chwilę.

– Wiedziałem – ucieszył się Hubert.

– Co?

– Gdybyś bardzo nie chciał jechać, od razu byś zaprotestował.

Ernest sapnął ciężko.

– Niech ci będzie – powiedział w końcu. – Ale pobądźmy w domu chociaż przez tydzień, zanim wyjedziemy.

Po powrocie do Dąbrówki większość czasu Hubert i Ernest spędzali przy codziennych pracach, Iza natomiast często pomagała Zuzi w kuchni, co wcale jej się nie podobało. We wsi nie było jednak wart ani patroli, zatem nie znalazło się dla niej żadne inne zajęcie. W czasie wolnym przesiadywała na kanapie, czytając oryginalną demonologię albo przeglądając karty zapisane przez Daniela. Popołudniami Ernest i Hubert z ojcem siadali razem nad stertami papierów i uzupełniali kolejne karty ich własnej demonologii, a Iza za każdym razem przysłuchiwała się im z ciekawością.

Pewnego wieczoru, gdy domownicy siedzieli w salonie przy ciepłym kominku, Hubert wyszedł na zewnątrz i usiadł na ławce, wsłuchując się w odgłosy przyrody. Z oddali dobiegł go basowy ryk, który rozniósł się po okolicy. Serce chłopaka zadrżało.

„Blisko podszedł pod wieś” – pomyślał.

Był koniec września, więc jelenie wychodziły na rykowisko.

– Tu jesteś. – Iza usiadła obok niego na ławce.

– Lubię przysłuchiwać się jeleniom na rykowisku – odparł, patrząc w przestrzeń przed siebie. – Ten dźwięk jest niesamowity, taki surrealistyczny. Jakby nieznaną bestię czuła się w pobliżu.

– Właśnie, à propos bestii – powiedziała dziewczyna. – Przeczytałam tę waszą demonologię. Chciałabym ją przepisać i zabrać do Święcina, jeżeli nie macie nic przeciwko.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Zawsze ją ciągnęło do tej książki.

– Nie ma sensu – odparł.

Iza spojrzała na niego zaskoczona. Dodał więc szybko:

– Nie chcę, żebyś sama ją przepisywała. Rozmawiałem już z ojcem na ten temat. Obiecał, że to zrobi. Demonologia, którą dostaniesz, będzie elegancko przygotowana, z rysunkami i ze wszystkim.

Iza przesunęła dłoń, położyła ją na ręce Huberta i ścisnęła jego palce.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie ma sprawy – odparł i spojrzał na dziewczynę, ledwie widząc w ciemności jej twarz.

– To ja już pójdę, zrobiło się zimno – powiedziała, pospiesznie podnosząc się z ławki.

Hubert roześmiał się w duchu. Iza nie umiała okazywać ludziom wdzięczności. Nie lubiła być zależna od innych. „A przecież o to chodzi w tych czasach, prawda? Każdy musi mieć kogoś, na

kim może polegać”.

Chłopak wyciągnął nogi przed siebie i oparł głowę o ścianę domu, wciąż nasłuchując. Jelenie trochę oddaliły się od wsi, ale jeszcze nie zamilkły, a po chwili do ich ryku dołączył cichy gwizd. Hubert zerwał się z ławki i wybiegł na drogę, lecz gwizd ucichł. Nie było sensu wyprawiać się do lasu w nocy. Samotny leszy, nawet gdyby odważył się wejść do wsi, nie wyrządziłby nikomu krzywdy. Huberta jednak wciąż dręczyło uczucie niepokoju.



ROZDZIAŁ XII

– Ale forteca – powiedziała Iza, patrząc z podziwem na wysoki mur otaczający stary dworek szlachecki w Kamiennej. W końcu tu przyjechali, zabrawszy z Dąbrówki towary na wymianę.

– Poczekaj, aż zobaczysz go od środka – odparł Ernest.

Hubert zeskokczył z wozu i uderzył kilka razy pięścią w drewnianą bramę. Wewnątrz rozszczełały się psy.

– Zamknąć się! – ryknął ktoś w środku. – Głupie kundlie!

Psy, niezrażone, ujadły dalej. Po serii przekleństw okienko w bramie się otworzyło.

– Goście! – zawołał Hubert, widząc skrzywioną minę strażnika.

– To jednak żyjesz! – zawołał Szmidt i odwrócił się do psów. – Wynocha! – wrzasnął do zwierząt, po czym zaprosił przybyszów do środka: – Wjeżdżajcie.

Otworzył bramę, a gdy wszyscy znaleźli się na terenie dworku, szybko ją zamknął.

Hubert zeskokczył z wozu i uściskał jego dłoń.

– Hej, ty! – Szmidt krzyknął do jakiegoś dziecka. – Leć, powiedz Teresie, kto przyjechał. Wiecie, dołąd iść – zwrócił się do gości. – Zobaczymy się na kolacji.

Podróżnicy zaprowadzili konie do stajni, tam je rozsiadłali, napoiłi i nakarmili.

– Widzę, że czujecie się tu jak u siebie – zauważyła Iza.

– Często tu bywamy – przyznał Ernest.

Weszli do dworku. Iza i Henryk z zachwytem rozejrzeli się po przestronnym holu, rzeźbionych drewnianych kolumnach, ozdobnych poręczach.

– Nie wierzę własnym oczom!

Po szerokich schodach zbiegł Paweł.

Chłopak przywitał się ze wszystkimi, a gdy stanął przed Izą, uśmiechnął się do niej, patrząc dziewczynie prosto w oczy. Hubertowi to się nie spodobało.

– Chodźcie do jadalni, moja mama zaraz przyjdzie – powiedział.

Na Teresę nie musieli długo czekać. Potężnej postury kobieta, przewodząca Kamiennej, zjawiała się już po kilku minutach i serdecznie powitała gości.

„I pomyśleć, że kiedyś się jej bałem” – przemknęło Hubertowi przez myśl, gdy na nią spojrział. Niejeden mężczyzna pozazdrościłby jej figury: miała szerokie bary, dłonie wielkości talerzy, kwadratową szczękę, krótkie ciemne włosy i spojrzenie, które potrafiło kruszyć kamień.

Tuż za Teresą przydreptała do jadalni pani Irka, potężna kucharka.

– Gdzie oni są? – zapytała, a gdy ujrzała chłopców, jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Jeszcze więksi niż poprzednio – stwierdziła, witając się z nimi. – Mam nadzieję, że twoja siostra jest cała i zdrowa?

– Jest bezpieczna w Dąbrówce – odparł Ernest.

– Bardzo dobrze, biedne dziecko – powiedziała, a potem spojrzała na Henryka, zarumieniła się i wygładziła fartuch.

Po krótkiej rozmowie z Teresą Hubert zapytał Izę, czy ma ochotę na spacer po dworku.

– Idę z wami – rzucił Paweł, zrywając się z krzesła.

We trójkę wyszli na korytarz.

– Może zaczniemy zwiedzanie od góry? – zaproponował syn Teresy.

Weszli na trzecie piętro, gdzie Paweł pokazał kilka pustych sypialni. Potem zwiedzili drugie i pierwsze piętro, chłopak zaprowadził ich do łazienki i z dumą pokazał, że z kranu, dzięki podłączeniu do studni artezyjskiej, leci woda. Następnie zeszli do kuchni, skąd pani Irka szybko ich wyprosiła, bo przygotowywała kolację.

Gdy zwiedzili cały dworek, przeszli po parku i zajrzeli do ogródków. Spacer zakończyli w altance znajdującej się pod samym murem.

Paweł usiadł tuż obok Izy, a Hubert, krzywo na niego zerkając, usadowił się na barierce

naprzeciwko, opierając plecy o słupek. Niebawem przyjaciele pograżyli się w rozmowie i przestali zwracać na niego uwagę. Po kilku minutach zeskokczył więc z barierki i podszedł do muru.

Wspiął się na wysokie ogrodzenie i usiadł na nim okrakiem. Las na zewnątrz wydawał się spokojny. Zawiał wiatr, strącił kilka drobnych listków, które zatańczyły w powietrzu. I nagle wszystkie ptaki ćwierkające wysoko w koronach drzew zamilkły. Wiaterek powiał Hubertowi w twarz, był delikatny, przyjemnie chłodny i niósł coś ze sobą. Bardziej sugestią zapachu niż konkretną woń. Chłopak nie miał pewności, czy mu się jedynie nie wydało. Po chwili ptaki znów podjęły swoją pieśń.

„Szukam demonów nawet tam, gdzie ich nie ma – uznał Hubert. – A może nie... Co jeśli staję się coraz wrażliwszy pod względem ich wyuczowania?”

Przez chwilę posiedział na murze, ale nie poczuł już nic. Za to zaczęło burczeć mu w brzuchu. Zeskokczył więc na ziemię i podszedł do altanki, gdzie Paweł z ciekawością wypytywał Iżę o jej doświadczenia z demonami.

– Głodny jestem – oświadczył Hubert.

– Ty zawsze jesteś głodny – odrzekła Iza.

– Pani Irka nie będzie zachwycona, jak spóźnimy się na kolację – powiedziała, a potem, nie oglądając się za siebie, skierował się do dworku.

Po chwili z satysfakcją usłyszał za sobą kroki przyjaciół.

Po kolacji zostali w jadalni: Teresa, jej syn, Marynarz, który był miejscowym lekarzem, i czwórka gości.

– Paweł mówił, że spotkał cię pół roku temu. – Teresa zagadnęła Huberta.

Chłopak kiwnął głową.

– Nie byłem pewien, czy mi się to nie przyśniło w gorączce – powiedział Paweł. – I to ty dałeś tamtemu dziadkowi pistolet?

– Miałem dużo broni. – Hubert wzruszył ramionami. – A wypadło jakoś podziękować mu za opiekę nad tobą.

– Dziękuję. – Teresa uściśliła mu dłoń. – Gdybym tylko spotkała tamtych ludzi... – powiedziała twardo. – Odechciałoby im się napadać na innych.

– Oni już nie... – zaczął Hubert. – Ja... Oni już nie będą na nikogo napadać.

Kobieta spojrzała na niego uważnie, lekko przekrzywiając głowę.

– Spotkałeś ich?

Pokiwał głową.

Teresa przez chwilę patrzyła na niego, a potem wybuchła śmiechem.

– Ty to masz szczęście do naszych wrogów – powiedziała.

Przez cały kolejny dzień pani Irka pichciła w kuchni, a mężczyźni snuli się po dworcu i parku, udając zapracowanych. Ernest wręczył Teresie wszystkie nasiona, wygarbowaną skórę z koziołka i butelkę miodu pitnego, który przywieźli ze sobą z Dąbrówki, a Hubert przesiedział z Marynarzem kilka godzin na warcie przy bramie. Iza większość dnia spędziła z Henrykiem, choć uwadze Huberta nie umknął fakt, że Paweł zawsze kręcił się gdzieś w jej pobliżu.

Gdy nadszedł wieczór, stół zastawiono najróżniejszymi smakołykami, a z piwnicy przyniesiono kilka butelek wina.

Hubert nie dał się tym razem zaskoczyć i zabrał czarną elegancką koszulę.

– Odstawiłeś się jak szczur na otwarcie kanału – oświadczył mu Ernest, cytując jedno z powiedzonek Alberta.

Hubert, niezrażony, udał się do jadalni, gdzie dołączyła do niego Iza.

– I jak ci się tu podoba? – zagadnął.

– Ten dworek jest niesamowity.

– Twój zalotnik usiłuje zwrócić na siebie twoją uwagę – powiedział, zerkając na stojącego na drugim końcu sali Pawła, który ciągle uśmiechał się do dziewczyny.

Iza zmroziła spojrzeniem najpierw Huberta, a potem Pawła. Tamten zmieszał się i odwrócił wzrok na Huberta jednak jej krzywe spojrzenia już nie działały. Był przyzwyczajony do humorów Izy.

– Przez cały dzień za mną laził – mruknęła dziewczyna.

– Spodobałaś mu się – powiedział z przekąsem.

– Dawno chyba w zęby nie dostałeś, co?

– To dlaczego nie przeproszyłaś go swoją złośliwością?

– Myślisz, że nie próbowałam?

Widząc jej niezadowoloną minę, Hubert bawił się w najlepsze.

– Widać za słabo – odparł, udając powagę. – Ale Paweł to naprawdę fajny chłopak, dobra partia.

– Nie denerwuj mnie – warknęła Iza, po czym bez ostrzeżenia zacisnęła pięść i przyłożyła Hubertowi prosto w brzuch z taką siłą, że zgiął się wpół.

– Mogłem się tego spodziewać – jęknął. – Nigdy nie chybiasz, co?

– Następnym razem dostaniesz w zęby – zagroziła.

Nagle drzwi jadalni otworzyły się z hukiem i stanął w nich strażnik pełniący nocną wartę. Rozmowy ucichły.

– Teresa – odezwał się. – Chodź na chwilę.

Kobieta wyszła za nim, lecz wróciła już po kilku minutach. Wzrokiem odszukała wśród ludzi Huberta.

– Weź Ernesta i chodź na zewnątrz – rzuciła i wyszła.

– Co się dzieje? – zapytała zaskoczona Iza.

– Nie mam pojęcia. – Hubert pokręcił głową. – Ernie! – zawołał.

– Idę z wami – stwierdziła Iza.

Wyszli z jadalni do ciemnego, zimnego holu i dalej na dwór. Zerwał się nieprzyjemny, chłodny wiatr, który szarpał płomieniem pochodni trzymanej przez strażnika. Mężczyzna stał przed schodami wraz z Teresą i jeszcze jakimiś osobami, ale było zbyt ciemno, żeby Hubert mógł je rozpoznać.

Zeszli ze schodów i spojrzeli na czwórkę obcych.

– Co do... – zaczął Hubert, gdy nagle rozległ się stłumiony szloch i jedna z osób rzuciła się w ramiona Ernesta.

– Hubert! – najniższa postać krzyknęła radośnie i zanim zdążył zareagować, wpadła na niego, mocno obejmując go w pasie.

Iza zdziwiona zerkała to na niego, to na dziewczynę, która wtuliła twarz w koszulę Huberta.

Chłopak w końcu wyswobodził się z jej uścisku i podniósł palcem wskazującym jej brodę, by móc się jej przyjrzeć.

– Ada? – zapytał z niedowierzaniem.

Dziewczynka uśmiechnęła się przez łzy i znów do niego przywarła. Hubert ledwie ją poznał: brudna, ciemne, rozczochrane włosy sięgały jej do ramion. Nieźle wyrosła, odkąd widział ją ostatni raz.

Kiedy to było? Jakież cztery lata wcześniej, kiedy z Ernestem zostawili ją i Sylwię pod opieką wujka w Gdańsku.

– A więc to one – westchnęła Teresa. – Nie poznałabym ich.

Hubert spojrzała na pozostałe dwie osoby, które do tej pory stały nieco z tyłu.

– Agata? Kajetan? – upewnił się.

Dawni przyjaciele z Gdańska pokiwali głowami. Hubert ledwie zdołał wyswobodzić się z uścisku Ady, żeby się z nimi przywitać.

– Co wy wszyscy tu robicie? – zapytał Ernest, odsuwając od siebie Sylwią.

– Nie pytaj, nawet nie wiesz, jak trudno tutaj trafić – powiedziała dziewczyna. – To był prawdziwy koszmar.

– Chodźcie do domu – rzekła Teresa. – Umyjcie się, zjedzcie coś i wtedy porozmawiamy.

Wszyscy skierowali się do dworku. Ada, choć nie była już dzieckiem, swoim dawnym zwyczajem złapała Huberta za rękę, Sylwia zaś przyłgnęła do boku Ernesta.

Ponad godzinę trwało, zanim czworo nowych gości się umyło i zjadło kolację. Teraz byli czyści, sy ci, mieli na sobie nowe ubrania, jednak mimo tego wciąż nie wyglądali najlepiej.

Przypomniawszy sobie, co mówił Czarnecki.

„To jednak prawda?” – przestraszył się.

– Mówcie – rzekła w końcu Teresa.

Nowo przybyli zostali posadzeni na kanapach w jednym z pokoi na parterze. Przyszedł również Paweł, a Henryk ze skrzyżowanymi na piersi rękoma oparł się o framugę przy drzwiach.

– To było okropne – zaczęła Sylwia. – Już od wielu dni błąkamy się po okolicy, szukając Kamiennej. Straciliśmy większość zapasów, nie mieliśmy broni...

– Już zaczęliśmy wątpić, czy ten dworek rzeczywiście istnieje – wtrąciła Agata. – Ale dziewczyny były przekonane...

– Wiedziałam, że nam pomożecie. Zresztą nie pierwszy raz.

– No dobrze – odezwał się Ernest. – Ale dlaczego nie jesteście w Brzeźnie? Gdzie wasz wujek? Sylwia i Ada spojrzały po sobie.

– Zmarł ponad rok temu – powiedziała ze smutkiem starsza siostra. – Podejrzewamy, że na wyrostek wyobrażasz to sobie? Tyle przetrwał, żeby umrzeć na atak wyrostka robaczkowego!

– Przykro mi. – Złapał ją za rękę. – Dlatego opuściliście Brzeźno?

Agata pokręciła głową.

– Tam nie było już bezpiecznie – odparła. – Nigdzie nie było bezpiecznie.

– Czy Portowcy... – zaczął Hubert, ale nie zdążył dokończyć pytania.

– Zajęli Górę – dokończył Kajetan. – I Stare Miasto. Rozstrzelali Burtowego i innych. Przejęli magazyn.

Hubert zamknął na chwilę oczy. Koszmar stał się prawdą.

– Nam udało się uciec – wtrąciła Agata. – Dotarliśmy do Brzeźna, zamieszkaliśmy

z Łęczyńskimi. I przez pewien czas radziłem sobie nieźle, ale wtedy wujek dziewczyn zmarł, a Portowcy robili wypadki na miasta coraz dalej od Góry. Myśleliśmy, że nie dotrą do nas, że jesteśmy bezpieczni. Ale w końcu trafili i do Brzeźna. Nie wiedzieli, że się tam ukrywamy, bo inaczej nie udałoby nam się zbiec.

– Nie było czasu, żeby się spakować, zabrać broń czy jedzenie – odezwała się Sylwia. – Musieliśmy uciekać w tym, co mieliśmy na sobie. Od razu skierowaliśmy się do Dąbrówki, ale tą drogą szliśmy już dawno, a nie mieliśmy żadnej mapy... Długo się błakaliśmy.

Zapadło milczenie. Nikt nie chciał zabrać głosu.

– Cóż, tu jesteście bezpieczni, dziś w nocy będziecie mogli spać spokojnie – odezwała się Teresa.

– Co się stało z ludźmi ze Starówki? – zapytał Ernest.

Hubert już od dawna chciał się tego dowiedzieć, jednak bał się tego, co może usłyszeć.

– Wielu rozstrzelano, część przyłączyła się do Portowców, kilkoro uciekło, ale nie wiem, czy ukryli się w Gdańsku, czy wyruszyli gdzieś dalej – odparła Agata.

– A Beata? I jej rodzina? – wyduśił wreszcie Hubert.

Kajetan i Agata spojrzeli na siebie, a potem na niego i pokręcili głowami.

– Przykro mi – powiedziała dziewczyna. – Ty to widziałeś, prawda? – zwróciła się do kolegi z wojsła.

Chłopak pokiwał głową.

– Chcieli uciec i udałoby im się, już byli na granicy Starówki – odparł. – Ale wtedy Beata krzyknęła coś o Heńku. Pamiętacie Heńka? Nie chciała go zostawić i wróciła po niego razem z bratem. Złapali ich, jak wyprowadzali go z kamienicy, i rozstrzelali całą trójkę. Również jej siostrę i mamę.

Hubert niewidzącym wzrokiem zapatrzył się na napis na koszulce Kajetana. Rozstrzelali ją. Rozstrzelali Beatę, Heńka, jej rodzeństwo i matkę. Coś zaczęło dławić go w gardle, nie był w stanie się ruszyć, przestał słyszeć, co mówili ludzie wokół niego.

Była taka ładna, drobna. Miała jasną cerę i kasztanowe długie włosy. Chodziła w grubym płaszczu i kolorowym szaliku. Pachniała ziołowym szamponem. I tak pięknie grała na skrzypcach. Chciała być sławna. I dbała o swoją rodzinę, choć sama przecież była taka krucha. Zajmowała się Heńkiem. Tym wielkim, łagodnym, upośledzonym chłopakiem, który lubił malować, oglądać obrazki w książkach i bawić się kamykami. Dlaczego ktoś chciałby go zabić? Po co? W jakim celu pozbawiać życia śliczną skrzypaczkę?

Inni rozmawiali, a Hubert wpatrywał się tępo przed siebie, trzymając na kolanach mocno

zaciśnięte pięści. Dlaczego? Dlaczego?

Przecież też mogli uciec. Dlaczego im się nie udało? Mogliby bezpiecznie siedzieć tutaj, w ciepłe, czystości i najedzeni po podróży. Beata mogła żyć. Ale chciała ratować słabszego od siebie. Nikt już nigdy nie usłyszy jej gry.

Chyba ktoś rzucił hasło do pójścia spać, bo ludzie zaczęli się podnosić. Hubert mechanicznie wstał z krzesła i wyszedł za nimi do holu. Teresa i Ernest zaprowadzili czworo gości na piętro, należał się im wypoczynek.

– Hubert? – odezwała się cicho Iza.

– Idę się przewietrzyć – rzucił, nie patrząc na nią.

Zostawił ją razem z Henrykiem w ciemnym holu. Patrzyli, jak odchodzi, ale nie ruszyli za nim.

Znów to samo. Znowu śmierć zabrała bliską mu osobę, a jemu nic się nie stało. Wyszedł obronną ręką z tyłu walk z demonami i złymi ludźmi. Na pamiętkę po nich zostało mu tylko parę bliźni, nic więcej. A osoby z jego otoczenia wciąż ginęły.

Gdy opuszczał Gdańsk, liczył, że wszystko się tam jakoś ułoży. Że pomimo śmierci Brzeszczota, Sacharuka, Filipa i innych pozostali jakoś sobie poradzą. Że będą tam bezpieczni! Nie byli. A on znów nic nie zrobił, żeby ich uratować.

Lidia, Beata z rodziną, Heniek, Michał, Berda, Mikołaj...

Lista stawała się coraz dłuższa.

Chłopak się potknął i uderzył kolanami o ziemię. Dopiero teraz zauważył, że dotarł w okolice ogródków. Podniósł się i już chciał kopać to, o co się przewrócił, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. Schylił się i podniósł maczetę, której ktoś musiał używać do wycinania krzaków w ogrodzie. Miała starą, przesuszoną drewnianą rękojeść, która dobrze leżała w ręku.

Hubert na próbę machnął w powietrzu. Ostrze śmignęło mu tuż nad głową. Znów się zamachnął, tym razem atakując krzew porzeczek. Kilka równo odciętych gałązek spadło miękko na trawę. Chłopak poprawił chwyt na rękojeści i pewnym krokiem ruszył do parku, tnąc gałęzie, które pojawiły mu się na drodze. Wyłączył umysł, lepiej było nie myśleć o tym, co przed chwilą usłyszał, nie wyobrażać sobie, jak obcy ludzie strzelają do jego Beaty, jak dziewczyna leży na bruku w kałuży krwi.

Zaciśkał mocno zęby. Trzymał maczetę w dłoni i szedł przed siebie, szeroko otwartymi oczyma wypatrując coraz to nowych celów.

W końcu dotarł do altanki, ledwo rejestrując, gdzie się znalazł. Nie zastanawiając się, co i dlaczego robi, wspiął się na mur i usiadł na nim. Silny wiatr uderzył go w twarz, zmierzwił włosy i przyniósł ze sobą znajomy zapach.

Hubert mocno wciągnął go w płuca. Jego mięśnie napięły się jeszcze bardziej, słuch wychwycił odległe hałasy, świsty, pokrzykiwania. Za murem, w opuszczonej wsi, znajdował się wróg lepszy niż gałęzie.

Zeskoczył i lekko opadł na ziemię, a potem ruszył w kierunku demonów.

Hubert stanął na środku drogi i czekał. Wiatr stawał się coraz silniejszy, wył w koronach drzew i wpadał przez wybite okna oraz wyważone drzwi do domów, wzbijał w górę tumany kurzu, piachu i suchych liści, wypadał na zewnątrz, szarpał krzewami, przygniatał do ziemi chwasty. A razem z nim pędziły demony.

Kiedy pierwszy stwór z dzikim wrzaskiem wypadł z mroku prosto na Huberta, chłopak był na to gotowy. Wziął zamach maczetą i zatrzymał go w locie, niemal przepoławiając. Martwy demon padł na ziemię, chłopak przycisnął go nogą, wyszarpnął broń z jego cielska i niemal natychmiast wbił ją w głowę następnej bestii.

Porywisty nocny wiatr był idealnym sprzymierzeńcem Dzikiego Gonu. Kiedyś ludzie wierzyli, że podczas takiej pogody orszaki demonów pędzą z dzikim wyciem przez strychy i poddasza. Hubert jednak dobrze wiedział, że zamiast strychów dzicy ludzie wolą obory i kurniki pełne zwierząt domowych.

W zarośniętym ogrodzie po prawej Hubert zobaczył ruch. Demon, cały porośnięty brązowym futrem, przypominający małpę, wyskoczył z okna domu. Przebiegł przez krzaki, w kilku susach wspiął się na starą gruszę, a potem przeskoczył z niej nad płotem i wylądował na zakurzonej drodze. Gdy ujrzał człowieka, zatrzymał się i wyszczerzył kły. Hubert podbiegł do niego i jednym ciosem pozbawił go życia. Wtem inny wskoczył mu na plecy, ale chłopak lewą ręką chwycił bestię za skórę na karku i rzucił nią na ziemię, a potem kopnął, przetrącając jej kręgosłup. Kolejny demon wspiął się na płot i skoczył na Huberta, lecz cios maczetą zatrzymał go w locie.

Wicher pędził po niebie ciężkie chmury, które zasłoniły gwiazdy i księżyc.

Tamtej nocy, gdy uciekał z jednostki i wypuścił stwory z niewoli, w Hubercie coś pękło. Poczul ich strach, wściekłość demonów. Wiedział, co czują i myślą.

Teraz jego zmysły wyostrzyły się jeszcze bardziej. Chłopak dobrze wiedział, gdzie bestie się znajdują, nie musiał ich widzieć ani słyszeć. Odbierał ich złość i zawód, że w domostwach nie znalazły ani ludzi, ani zwierząt. Pobiegł przez wieś, zabijając kolejnych dzikich ludzi. Nagle jeden z demonów zeskoczył z drzewa na Huberta i wgrzył się w jego przedramię. Chłopak zrzucił potwora na trawę i wbił w niego broń, przy szpilając go do ziemi.

Siłę tych demonów stanowiła liczebność. Pojedynczy nie był groźniejszy od psa. Lecz kilka lub kilkanaście takich mogło już stanowić zagrożenie. Gdyby razem zaatakowały łowcę, z łatwością by go pokonały. Oglupił je zapach ludzi z Kamiennej i ich zwierząt. Liczyły na ucztę,

a zamiast mięsa znalazły opustoszałą wieś. Zawiedzione i głodne rozproszyły się, popędziły przed siebie razem z wiatrem prosto na łowcę i jego maczetę.

Wziął głęboki wdech, próbując wyczuć, gdzie czai się następny stwór. Usłyszał coś tuż za sobą.

Wykonał obrót, uniósł maczetę nad głowę i znieruchomiał. Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się nad sobą zapanować.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła Iza, usiłując przekrzywić wiatr.

Hubert spojrzął nad głową dziewczyny, gwałtownie odrzucił ją na bok i ciął demona, który już rzucał się na jej plecy.

Iza upadła na ziemię i wtedy zobaczyła kolejnego stwora przyczajonego pod płotem. Strzeliła do niego z pistoletu. Celnie. Błysk wystrzału na ułamek sekundy rozświetlił opuszczoną wieś.

– Co to jest?! – krzyknęła, kiedy Hubert pomógł jej wstać.

– Dzicy ludzie!

Iza nie dopytywała o nic więcej. Zresztą nie było na to czasu, gdyż z ciemności wypadły na nich kolejne trzy demony. Dwa zastrzeliła dziewczyna, ostatniego zabił Hubert.

I wtedy spłynął na niego spokój. Wichura nadal szarpała drzewami i hulała po domach, ale teraz była już tylko zwykłym ruchem powietrza. Nie niesła ze sobą zapachu demonów. Większość z nich leżało martwych, a jeżeli jakieś przeżyły, to uciekły. Dziki Gon się skończył.

Hubert odetchnął lekko, wbił maczetę w piasek na drodze i oparł się dłońmi o rękonoże. Spojrzął na bladą twarz Izy i uśmiechnął się słabo.

– Właśnie zaliczyłeś swój pierwszy Dziki Gon – wyjaśnił.

Dziewczyna opuściła dłoń z pistoletem, drugą przetarła twarz. Najwyraźniej zabrakło jej słów.

Po chwili milczenia podniosła głowę i spojrzała gdzieś poza Hubertem. Chłopak odwrócił się i zobaczył światło pochodni szarpane przez wiatr. Drogą nadchodzili Henryk, Szmidt i Paweł, każdy z karabinem w rękach.

– Co wy tu...? – zaczął Henryk, lecz wtedy zobaczył martwego demona leżącego na ziemi.

Szmidt oświetlił go pochodnią i skrzywił się z obrzydzeniem. Paweł z niedowierzaniem patrzył na ciało nawet wtedy, gdy Szmidt odsunął pochodnię.

– Są jeszcze jakieś? – zapytał rzeczowo były wojskowy.

– Nie, to już wszystko – odparł Hubert. – Chodźmy do domu.

Wyminał zaskoczonych mężczyzn i skierował się do bramy dworku.

Kiedy wkroczyli do holu, na spotkanie wyszli im niemal wszyscy mieszkańcy Kamiennej. Coś mówili, pytali, krzyčeli jeden przez drugiego.

Hubert ich zignorował i poszedł do jadalni. Był bardzo spragniony. Stał przed stołem i zaczął

się rozglądać. Zobaczył kubek pełen jakiegoś płynu, wypił zawartość jednym haustem. Było to okropne, rozcieńczone wodą wino, lecz w tej chwili wypiłby wszystko.

Zaspokoił pragnienie i uniósł do góry rękę z zakrwawioną maczetą. Ludzie odsunęli się od niego.

– Tała dobra koszula... – Z żalem popatrzył na rozszarpany rękaw.

Z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło, broń oparł o stół.

Przez tłumek przecisnął się Ernest i stanął przed przyjacielem.

– Co ty znowu robiłeś? – zapytał.

– To nie moja wina – mruknął. – Pamiętasz Dziką Gon?

– Jak to... Co? Dziką Gon? Żartujesz sobie?

– Nie. – Hubert pokręcił głową. – Ale już sobie poszli.

– Pokaż tę rękę, zanim zachłapiesz krwią całą podłogę. Gdzie jest Marynarz?

W ciągu kilku minut Teresa rozgoniła ludzi, by Marynarz mógł opatrzyć przedramię Huberta. Nie wyglądało najlepiej, lekarz jednak uznał, że rana nie wymaga szycia. Kiedy ręka została opatrzona, chłopak zabrał się do zimnego już jedzenia. Walka z demonami poważnie naruszyła jego zapasy energii.

– Co tam się tak naprawdę wydarzyło? – zapytała w końcu Teresa.

Hubert wziął do rąk kawał kurczaka, odgryzł duży kęs i żując go, popatrzył po twarzach zebranych.

– Byłem na spacerze w parku – powiedział w końcu, kiedy przełknął mięso. – Zobaczyłem maczetę, wziąłem ją, a potem poczułem demony i poszedłem za nimi do wsi. To wszystko.

– Ale jakim cudem? Przecież w okolicy nie ma demonów – odezwał się Paweł. – Wciąż chodzę na patrole i nic nie widziałem. A takie stado zostawia ślady. Ile ich tam było?

– Co najmniej piętnaście – odpowiedziała Iza.

– Cholera. – Chłopak przyłożył dłonie do skroni.

– To byli tylko zwiadowcy – powiedział Hubert.

– Jak to zwiadowcy? – zapytała Teresa.

– Skąd wiesz? – dodał jej syn.

Hubert spojrzał na nich wymownie.

– Dzicy ludzie łączą się w naprawdę duże stada. Ci tutaj tylko sprawdzali, czy znajdują pożywienie.

– W takim razie gdzie jest reszta?

– Ernie, przyniesiesz mapy? – Hubert zwrócił się do przyjaciela.

Ten skinął głową, wyszedł z sali i wrócił po kilku minutach, niosąc czarną tubę podarowaną przez geodetę z Gdańska. Hubertowi przy pomniała o Beacie, o tym, jak chodził przez Stare Miasto do niej i do Terleckiego. Jednak teraz nie było czasu na rozpamiętywanie przeszłości i śmierci dziewczyny. Zacisnął mocno pięści. Kiedy je rozluźnił, odczuwał już spokój.

Wyjął mapy i zaczął je przeglądać. Było ich dużo, ale szybko znaleźli tę, która przedstawiała Kamienną i jej okolice.

– Czego szukasz? – zapytał Ernest, pochylając się nad mapą obok niego.

– Pamiętasz grodzisko? Myślę, że to nie przypadek, że tam siedzieli. Tu lub tu. – Wskazał palcem.

– Ale tam nic nie ma – zauważył Szmidt. – Tu był kiedyś stary młyn, a to tutaj to jedynie rozległa dziura z kamieniem w środku.

– Dziura? – zdziwił się Ernest.

– Takie wielkie zagłębienie jak olbrzymia miska.

– Jestem za dziurą – powiedział Hubert. – Trzeba będzie wysłać tam kilku ludzi...

– Jutro – przerwała Teresa. – Jutro o tym spokojnie porozmawiamy.

Przywódczyni odeszła, żeby powiadomić pozostałych mieszkańców Kamiennej o tym, co zasłó. Kilka kobiet zaczęło sprzątać naczynia ze stołów. Hubertowi udało się uratować kilka żeberek i kubek wina, z którymi ruszył na górę.

– Wiesz co? – Ernest wspinał się po schodach tuż za nim. – Ty naprawdę jesteś głupi.

– Słucham?

– W ninja się bawiłeś? Po co wychodzisz za mur uzbrojony jedynie w takie coś? – Machnął ręką za siebie. – Dlaczego nie przyszedłeś po mnie?

Hubert wzruszył ramionami. Nie miał ochoty tłumaczyć się przed przyjacielem.

Ernest pokręcił głową. Otworzyli drzwi sypialni, rudzielec zgarnął ze stolika krzesiwo, hubkę i zapalił świeczkę. Usiedli na materacach.

Do pokoju weszli Henryk z Izą. Były wojskowy trzepnął Huberta dłonią w głowę.

– To za brak odpowiedzialności – powiedział.

Hubert spojrział na mężczyznę z wyrzutem za tak beczceremonialne traktowanie.

– Masz szczęście, że jeszcze żyjesz – kontynuował Henryk – Co to za nowe zwyczaje? – zwrócił się do Izę. – Normalni młodzi ludzie wymykają się z imprez, żeby побыć sami, a nie żeby razem mordować demony.

Dziewczyna lekko się zmieszała, a potem oskarżycielsko wskazała na Huberta.

– To jego wina – powiedziała.

– Co?! – zdziwił się chłopak

– Chciałam zobaczyć, czy nic mu nie jest. A potem usłyszałam hałasy za murem i wiedziałam, że on musi tam być.

– I tobie też nie przeszło przez myśl, żeby zawołać jeszcze kogoś, a nie samej przechodzić przez ogrodzenie?

– Nie przesadzaj, oboje żyjemy, nic się nie stało – burknęła.

Hubert przez chwilę obgryzał żeberka. W pewnej chwili stracił apetyt.

– Gdyby Sylwia i cała reszta dotarli do Kamiennej trochę później... – zaczął, ale nie był w stanie dokończyć zdania. Przed oczyma stanął mu obraz czwórki przyjaciół, którzy weszli do wsi pod dworkiem podczas Dzikiego Gonu. Wyścieńczeni i nieuzbrojeni, zaskoczeni przez demony, nie mieliby szans na przeżycie.

– Hubert? – szepnął Ernest, gdy godzinę później leżeli na materacach w ciemnym pokoju.

– Co?

– Trzymasz się?

– Taa.

– Nie powinieneś być iść do wsi sam, ale rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Chcesz o tym pogadać?

– Nie.

– Ja wiem, że ona dużo dla ciebie znaczyła, ale nic nie mogłeś zrobić...

– To było dawno temu – mruknął. – Idź spać.

Ernest westchnął ciężko, ale nic już nie powiedział.

Chociaż nie zdążył jeszcze ochłonąć po walce z demonami, a ręka go bolała, Hubert szybko usnął. Śniła mu się Beata.

– Hej, wstawaj!

– Jeszcze nie – mruknął Hubert.

– Wstawaj, nie chcę wziąć cię na polowanie. – Iza stanęła nad nim ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

– Co?! – Poderwał się.

– A ja pomyślałam, że jednak chciałbyś pójść.

– A Ernest?

Nie przejmując się obecnością Izy, odrzucił na bok kocyk i zaczął się ubierać.

– Miejscowi uznali, że jesteś ranny i należy ci się odpoczynek. Ernest i Henryk zbytnio nie protestowali, żeby zostawić cię w dworaku.

– Nie protestowali... – mamrotała, wiążąc sznurówki butów. – Gdzie oni są? – zapytał, wstając.

– Na dole.

Ruszył za Izą i pewnym krokiem wszedł do jadalni, lecz zastał tam tylko Ernesta i Pawła, obu pochylonych nad mapami.

– Moje mapy, moje demony i moje polowanie – powiedział twardo. – Na pewno nie dam się zostawić w domu z kobietami. Bez urazy – rzucił w stronę Izy.

– Spoko, ja też idę – odparła.

– Co? Ją bierzecie, a mnie nie chcieliście?

– Nie przeginaj – ostrzegła Iza.

– Spójrz na siebie, nie wyglądasz najlepiej – przekonywał Ernest.

– Hubert, wykonałeś wczoraj świetną robotę – dodał Paweł. – Wykończyłeś stado demonów. Spaliliśmy już ciała, było ich szesnaście. To niezły wynik. Jednak nie możemy oczekiwać, że dzisiaj też będziesz ryzykował...

– Młody, nie denerwuj mnie – warknął chłopak.

Paweł spojrzał na Ernesta, szukając u niego poparcia.

– Nie ma co mu zabraniać, jak się uprze, i tak pójdzie. – Rudy chłopak wzruszył ramionami. – Ale ogarnij się, zjedz coś i idź do Marynarza, żeby zmienił ci bandaże.

– Ja go przypilnuję. – Iza złapała Huberta za łokieć i zaprowadziła do kuchni.

– Ty już tutaj? – zdziwił się, kiedy zobaczył Sylwię krojącą na stole warzywa.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Słyszałam, że wczoraj nieźle zaszalałeś. Ada, daj mu śniadanie.

Nastolatka położyła na stole bochenek chleba, miskę z twarogiem, kilka ogórków i wędzoną szynkę, a potem usiadła na ławie naprzeciwko, oparła brodę na rękach i wpatrywała się w niego z uśmiechem.

– Brakowało mi was – powiedziała po chwili.

– Mnie was także – odparł z pełnymi ustami.

Nie mógł się nadziwić, jak dziewczynka wyrosła. Już nie była dzieckiem. Jej siostra również wyglądała poważniej, była chudsza, lecz wciąż miała długie blond włosy zaplecione w warkocz.

– Co to znaczy KD? – zapytała Iza, podbierając Hubertowi kanapkę.

– *Kulturdenkmal*.

– A co to znaczy?

– Zabytek kulturowy.

– Dlaczego uważasz, że tam będzie kryjówka demonów?

– Wiem z doświadczenia.

Iza spojrzała na niego krzywo, dając do zrozumienia, że takie wyjaśnienie jej nie satysfakcjonuje.

– Przez kilka lat dzicy ludzie mieszkali w starym grodzisku dość daleko od Dąbrówki – powiedział w końcu. – Też było oznaczone na mapie jako KD. Wiem, że strzelam w ciemno, ale mam przeczucie, że ich ciągnie do takich miejsc.

– Jakich?

– Nie wiem. – Przetarł dłonią twarz. – Takich, gdzie dawno temu byli ludzie, gdzie żyli, umierali, z którymi są związane duże emocje...

Iza skrzywiła się sceptycznie.

– Jak dla mnie to trochę naciągane. Ale cóż, ty tu jesteś łowcą, więc nie będę się kłócić.

Godzinę później grupa myśliwych wymaszerowała z Kamiennej. Wśród nich znajdowała się czwórka gości, Teresa, Paweł, Szmidt i jeszcze kilku mężczyzn. Kajetan i Agata byli zbyt wycieńczeni po długiej podróży i nawet gdyby chcieli iść na polowanie, nikt rozsądny by im na to nie pozwolił.

W pewnej chwili Ernest zrównał się z Hubertem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Wyśmienicie – odparł przyjaciel nieco ironicznie.

– Jesteś pewien, że dasz radę?

Hubert spojrział na niego wymownie.

– Daruj sobie. Nie licz na to, że w trakcie walki z demonami załamie się psychicznie.

Paweł, ponieważ najlepiej znał okolicę, prowadził grupę przez las. Hubert wydawał się pewny, że zastaną demony dopiero w miejscu oznaczonym na mapie jako zabytek kulturowy, lecz większość uczestników polowania czuła się nieswojo. Obawiali się, że demony zaskoczą ich po drodze albo że w wyznaczonym miejscu ich nie będzie. A to oznaczałoby, że mogą zaatakować dwór, podczas gdy większość mężczyzn poluje na nie w innym miejscu. W domu zostało tylko

dwóch strażników, kilka kobiet i dzieci.

Po paru godzinach kluczenia w lesie Paweł powiedział w końcu:

– Jeszcze jakieś pięćset metrów.

– Czujesz coś? – Iza szeptem zapytała Huberta.

Chłopak pokręcił głową.

Podzielili się na trzy osobowe grupki i zaczęli skradać przez gęste zarośla.

Hubert siedział pomiędzy Izą a Ernestem. Miał wrażenie, że przy jaciele go pilnują.

Czas zaczął się mu dłużyć. Żeby zaskoczyć dzikich ludzi, poruszali się cicho i powoli.

„Dlaczego ich jeszcze nie czuję?” – zastanawiał się Hubert. Już widział prześwit między drzewami w miejscu, gdzie miała być wielka dziura, jak ją nazywał Szmidt. Zaczął się martwić, że wszystko potoczy się jak ostatnim razem – wejdą na ich terytorium i dopiero wtedy dzicy ludzie zaatakują.

Spojrzał w górę i zlustrował wzrokiem korony drzew, lecz tam także nie zauważył niczego podejrzanego.

W końcu wyszedł z lasu i stanął na skraju skarpy. U jego stóp rozciągała się niewielka okrągła kotlina przywodząca na myśl amfiteatr.

Pośrodku znajdował się olbrzymi kamień.

Hubert zaczerpnął haust powietrza. Było rześkie i czyste.

– Nic tu nie ma – powiedział, patrząc na Ernesta.

– Jesteś pewien?

Skinął głową, po czym powoli zszedł ze skarpy. Pozostali myśliwi odprężyli się, choć nie przestali lustrować okolicy. Część z nich nigdy nie polowała z Hubertem, nie znali jego normalnego zachowania.

Młody łowca opuścił karabin i przewiesił go przez ramię. Podeszedł do wielkiego, obrośniętego częściowo mchem głazu.

– A ty skąd się tu wziąłeś? – zapytał na głos.

Wyobraził sobie, jak setki lat temu ludzie odziani w skóry przychodzili tutaj zaopatrzeni w jedzenie oraz wodę i siadali na skarpie. A potem przez cały dzień wpatrywali się w kamień. „Taka prehistoryczna telewizja – pomyślał z rozbawieniem. – Może nawet oddawali mu cześć”.

Podeszła do niego Teresa.

– W ostatnim czasie nie było tu żadnych demonów – powiedział Hubert.

– Szlag. Co teraz?

– Proponuję iść w to drugie miejsce – rzekł Paweł.

– Zatem chodźmy, żeby załatwić sprawę przed zmrokiem.

Wszyscy zaczęli się wspinać z powrotem na skarpe. Hubert jeszcze raz rzucił okiem na płaski kamień z lekkim zagłębieniem na środku.

– Widziałem kiedyś coś podobnego – odezwał się Henryk – Archeolodzy uważali, że był to kamień ofiarny.

– To znaczy?

– To znaczy, że składano na nim krwawe ofiary ku uciesze gawiedzi.

– Nie rozumiem, przecież to idealne miejsce dla dzikich ludzi – westchnął chłopak.

Dojście do miejsca, gdzie kiedyś znajdował się młyn, zajęło im kolejną godzinę. Większość osób była już zmęczona ciągłym napięciem i obawą, że w każdej chwili mogą zostać zaatakowani.

Słońce coraz niżej zwieszało się nad horyzontem, przeświecając przez ciemnozielone liście. Z minuty na minutę stawało się coraz chłodniej, zaczęła wiać lekka wiatr.

„Jeżeli zerwie się wichura taka jak wczoraj, to pozamiatane – pomyślał Hubert. – Demonów nie będzie w kryjówce. Żeby tylko nie wróciły do Kamiennej pod naszą nieobecność”.

Skradali się przez las, aż doszli do miejsca, gdzie znajdowały się resztki fundamentów starego młyna. Wokół rosły gęste chaszczki, bukowe drzewa przesłaniały słońce.

– Szlag by to trafił – mruknął Hubert.

– Brawo, cielawe, jak się teraz wytłumaczy my. – Ernest po minie przyjaciela odgadł, że ten nic nie poczuł.

Hubert westchnął ciężko i usiadł na zmurszałym pieńku. Widząc to, Szmidt jęknął z zawodem.

– Tyle łażenia po lesie na nic? Żebyśmy chociaż coś upolowali, na obiad by było...

Hubert przestał słuchać jego utyskiwań. Zwiesił nisko głowę i przymknął oczy. Był zmęczony wydarzeniami poprzedniego dnia, rana na przedramieniu zaczęła piec.

– Przekłête demony – mruczał pod nosem. – Dlaczego nie ma ich tam, gdzie powinny być?

Lekki wiatr zmierzwił mu włosy.

Poczuł niepokój, serce zabiło mu szybciej.

Głód... rozdrażnienie... strach...

Potrząsnął głową. Wciąż to czuł. Pierwotny głód, pragnienie krwi i strach.

Powiódł wzrokiem dookoła. Kilka osób siedziało na ziemi i odpoczywało, Szmidt ciągle narzekał, Henryki i Iza opierali się bokiem o pień potężnego dębu i rozmawiali cicho.

Przez cały ten zamęt Hubert nie mógł się skupić. Przeszedł kilka metrów i zatrzymał się w gęstych chaszczach. Przyłożył dłonie do skroni.

– Gdzie jesteście? – szepnęła.

Zaczął kręcić się w miejscu i po chwili zupełnie stracił orientację. Świat zawirował, drzewa i krzewy zwały się w jedną brązowożółtozieloną plamę.

Wtem ktoś go zatrzymał i mocno złapał za ramiona. Tuż przed sobą ujrzał twarz Ernesta.

– Puść mnie. – Szarpnął się.

– Co się dzieje? – zapytał przyjaciela.

– Ja... one...

Hubert wyrwał się z uścisku.

Wiatr niespodziewanie zmienił kierunek i przyniósł ze sobą zapach demonów.

– Zbierz wszystkich – rozkazał łowca i ruszył przed siebie.

– A jednak idziemy na polowanie – Ernest zwrócił się do pozostałych.

Hubert szedł pewnie i szybko przed siebie. Z każdą chwilą coraz bardziej wy czuwał demony. Odbierał ich głód i niepokój, jakby sam był jednym z nich. Stado przybyło tu niedawno. Znalazło odpowiednie miejsce na dom, pobliski las obfitował w zwierzynę, cała okolica pachniała ludźmi, a tam gdzie są ludzie, jest też łatwe jedzenie – uwięzione zwierzęta, które nie uciekają ani się nie bronią. Lecz grupa zwiadowcza nie powróciła z łowów. Młode były głodne, a dorosłe osobniki rozdrażnione i przestraszone. Jeżeli stado nie znajdzie wkrótce pożywienia, będzie trzeba porzucić szczeniaki, zacząć jeść byle co, znalezione w stawach i kałużach żaby, robactwo, a to nie wystarczy, żeby zaspokoić głód i pragnienie. Wszyscy chcieli krwi, świeżej, cieplej, pachnącej krwi.

Hubert zachłysnął się nadmiarem wrażeń, przez chwilę nie wiedział, kim jest: wściekłym na wszystko stworem czy człowiekiem pędzącym przez las. Stracił równowagę. Przekoziłkował kilka metrów, zahaczając rannym przedramieniem o gałęzie. Ból go otrzeźwił.

– Niech te demony szlag trafi – mruknął, zbierając się z ziemi. – Pospieszcie się! – krzyknął przez ramię i znów ruszył biegiem.

– Hubert! Nie możemy wpaść nieprzygotowani na terytorium demonów! – wrzasnął Ernest.

– Uda się! Zaufaj mi!

– Tylko że to się zawsze źle kończy! – jęknął rudzielec.

Nie mógł jednak pozwolić przyjacielowi w pojedynkę atakować dzikich ludzi. Rzucił przekleństwem i pobiegł za nim. Iza i Henryk spojrzeli po sobie i również przyspieszyli, podobnie jak Paweł. Jednak pozostali mieszkańcy Kamiennej, którzy nie mieli pojęcia, co się właśnie stało,

zaczęli się wahać.

Hubert znacznie wyprzedził przyjaciół. Gałęzie chłostały go po twarzy i rękach, szarpały boleśnie za włosy. Wypadł na niewielką polanę, na której rosło w rzędzie kilka starych leszczyn. Z boku wystawały z ziemi ruiny jakiejś budowli porośnięte trawą i chaszczami. To tu ukryło się stado dzikich ludzi, lecz demony były zbyt podenerwowane, żeby zauważyć człowieka. Osobniki, które zazwyczaj stały na straży, nie wróciły z nocnego polowania.

Łowca zatrzymał się i spojrzął na stwory. W głowie mu huczało od nadmiaru emocji. Ledwie mógł się skupić na tym, kim i po co tu jest. Wtem młody samiec ze stada zagapił się i wpadł na starszego, który syknął gniewnie i wyszczerzył zęby. Młody zbyt wolno odskoczył na bok i oberwał po łbie. Inne osobniki zaczęły poszczekiwać i wrzeszczeć. Kilka samców zerwało się do walki. Chodziło o rozładowanie napięcia i ponowne ustalenie hierarchii w stadzie. Zapanowało zamieszanie. Parę demonów gryzło się i tarzało po ziemi, pozostałe osobniki wrzeszczały, warczały i syczały z podekscytowania. Skakały wokół walczących, rwały trawę i wyrzucały ją w górę razem z grudkami ziemi.

Demony wciąż nie zauważały obcego. Hubert spróbował się uspokoić. Przyłożył karabin do ramienia. Ernest wypadł z lasu i stanął po jego prawej stronie, a Paweł po lewej. Trochę z boku zatrzymali się Henryk i Iza. Rozpoczęła się strzelanina.

Po lesie rozniósł się huk Bójka natychmiast ustała. Przerazone bestie podniosły wrzask. Próbowaly uciekać, ale było za późno. Padały na ziemię poszatkwane kulami.

– Wystarczy! – krzyknął Henryk

Strzały ucichły.

Hubert, drżąc z napięcia, osunął się na ziemię. Serce waliło mu tak mocno, jakby chciało wy dostać się spomiędzy żeber. Czuł spływający po plecach lodowaty pot.

Henryk poszedł z Ernestem i Pawłem podobiając nożami te stwory, które ocalały.

Iza usiadła na ziemi tuż obok Huberta.

– Zbladłeś – zauważyła.

– Co? – Spojrzął na nią nieprzytomnie.

– Co się stało?

– Ja... po prostu...

„No powiedz jej, że przez chwilę czuleś to co one” – odpowiedział mu złośliwie głos w umyśle.

Zaczerpnął powietrza w płuca, ale akurat zawiął wiatr i przyniósł ze sobą smród krwi i martwych demonów. Chłopak potrzebował chwili, żeby się uspokoić.

– Wiesz, że jesteśmy „na pustce”? – odezwał się.

Ludzie z Kamiennej mijali ich i szli w stronę trupów.

– „Na pustce”?

– Tutaj było kiedyś gospodarstwo.

– To akurat widzę.

W milczeniu patrzyli, jak ich towarzysze zaciągają truchła dzikich ludzi na stos.

– Chyba powinnam im pomóc – powiedziała Iza i się podniosła.

– Zostań – poprosił.

Dziewczyna ponownie opadła na trawę.

– Jak to jest wyczuwać demony? – zapytała cicho.

Hubert przy mknął na chwilę oczy, a potem zaczął mówić.

– Kiedyś to było jak uczucie niepokoju przed burzą, gdy wszystko milknie, a powietrze drży z napięcia...

– A teraz? Teraz jest inaczej, prawda?

Chłopak powoli skinął głową.

– Gdy patrzysz na psa, widzisz, kiedy jest przestraszony, zły, kiedy czegoś chce lub szykuje się do ataku. A im bardziej tego psa znasz, tym lepiej odczytujesz jego emocje. Nie wiem dlaczego, ale ja tak mam z demonami. Wiem, co myślą, czy się boją, czy są czymś zainteresowane, głodne, spragnione, podenerwowane. I wcale nie muszę na nie patrzeć, żeby to wiedzieć. To jest tak jak z zapachem – unosi się w powietrzu, a ty czujesz go i wiesz, co on oznacza. No i tak samo trudno wytłumaczyć jego fenomen komuś, kto nigdy tego nie odczuwał.

Iza zapatrzyła się w dal, ważąc jego słowa, a potem zacisnęła palce na brudnej dłoni Huberta.

– To coś niesamowitego – powiedziała. – I zarazem przerażającego. Nie jestem pewna, czy chciałabym mieć taki „dar”.

Hubert wyczuł w jej głosie nutę podziwu. Po raz pierwszy od ich spotkania miał wrażenie, że Iza go rozumie.

W przeciągu godziny ciała demonów spalono, pozostały po nich jedynie kości i zwęglone kawałki mięsa.

– Wiesz, że tam były samice z młodymi? – odezwał się Ernest w drodze do Kamiennej.

Hubert kiwnął głową.

– Wystrzelaliśmy je jak kaczkę – kontynuował przyjaciel.

– Były spragnione mięsa zwierząt domowych i ludzi – powiedział w końcu Hubert. –

Gdybyśmy ich nie wykończyli teraz, wróciliby do Kamiennej, przeszły przez mur i zaatakowały dworek

– Skąd wiesz?

Hubert spojrział na kumpla wymownie.

– No tak – mruknął Ernest. – Jesteś coraz lepszy w te klocki, prawda?

– Aż sam siebie się boję – rzucił pół żartem, pół serio Hubert.

Dotarli do dworku, gdy już zupełnie się ściemniło; zerwał się pory wisty wiatr.

Ledwie przekroczyli próg domu, a Sylwia rzuciła się na Ernesta.

– Tak się martwiłam! Nic ci nie jest?

Hubert westchnął znacząco, kierując się do łazienki.

– To dziś urosłeś w Kamiennej do rangi bohatera, co? – zagadnęła go po kolacji Agata.

– To nic takiego. – Machnęła ręką.

Po dobie spędzonej w bezpiecznym i ciepłym miejscu wyglądała dużo lepiej, choć wciąż nie dało się ukryć, że ma za sobą trudną podróż.

– Przykro mi z powodu Beaty – odezwała się po chwili. – Gdybym mogła tylko coś zrobić...

– Dobrze, że chociaż wam się udało uciec – przerwał jej.

Nie chciał rozmawiać o Beacie. Jeszcze nie teraz. Ból był zbyt świeży.

– Hubert?

Otrząsnął się z ponurych myśli.

– Tak?

– Gdy uciekaliśmy z Gdańska, to najważniejsze było znaleźć się jak najdalej od Portowców i całej tej zgrai, ale potem zaczęłam się zastanawiać... to znaczy... czy Dąbrówka...

– Czy możecie się tam zatrzymać? – podpowiedział.

Pokiwała głową.

– Dąbrówka jest mała. Liczy zaledwie osiemnastu mieszkańców. To nie za dużo. Przyda się każdy młody, rozsądny człowiek. Załatwimy wam to z Ernestem. Dostaniesz z Kajetanem własny dom, przed zimą podzielimy się z wami zapasami. A potem, gdy już staniecie na nogi, będziecie pracować razem z innymi. Zobaczysz, będzie lepiej niż na... na Górze.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się słabo. – Przyda się nam prawdziwy dom. Czasem mam wrażenie, że Kajetan tak naprawdę nigdy nie pozbył się po śmierci Filipa. A to, co działo się potem, jeszcze bardziej mu zaszkodziło.

– Będzie dobrze – obiecał.

Kiedy Hubert obudził się późnym rankiem, był w pokoju zupełnie sam. Zwlekł się z łóżka i zszedł do kuchni, gdzie wokół stołu zgromadziła się grupa kobiet. Z ciekawością przyglądały się dwóm słoikom stojącym na środku drewnianego blatu.

Hubert zajrzał przez ramię pani Irce i przez chwilę patrzył na weki z jakąś masą, ale nie dostrzegł w nich nic nadzwyczajnego.

– Co się dzieje? – zapytał w końcu.

– Przeprowadzamy eksperyment – odparła niemal nabożnym szeptem pani Irka.

– Aha. I jak idzie?

Kucharka spojrzała na chłopaka najpierw z niecierpliwością, jakby przeszkadzał jej w czymś niezwykle ważnym, lecz po chwili jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Otwórz. – Wepchnęła mu w dłoń pierwszy ze słoików.

Hubert przekręcił pokrywkę, która kliknęła cicho, gdy tylko dostało się pod nią powietrze. Wyciągnął dłoń z wekiem w stronę kucharki, lecz ta ani myślała go odbierać.

– Spróbuj – zachęciła.

Hubert nabrał podejrzeń i ostrożnie powąchał coś, co zdawało się pasztetem o nieciekawym kolorze. Pachniało ładnie – mięsem. Wyjął więc bagnet, wbił jego końcówkę w masę, a potem wziął do ust.

Kobiety wpatrywały się w niego z wyczekiwaniem, jakby się spodziewały, że zaraz padnie martwy. Przez chwilę nawet chciał udać, że się dusi, ale uznał, że to głupi pomysł.

Pani Irka wcisnęła mu do rąk kolejny słoik i rytuał się powtórzył, tym razem jednak była to pokrojona na kawałki wołowina w ciemnym sosie.

– Dobrze – skwitował Hubert.

Kobiety odetchnęły z ulgą i zaczęły wesoło gawędzić na temat wekowania mięsa oraz innych przetworów.

– Ale o co chodzi? – zapytał głośno chłopak.

– Wiesz, ile lat ma to mięso? – zapytała pani Irka. – Cztery. Dokładnie cztery.

Hubert spojrział zdziwiony na pasztet i wołowinę.

– Jakim cudem? Nikt u nas we wsi nie jest w stanie zrobić przetworów mięsnych, które nie zepsułyby się po takim czasie.

Kucharka uśmiechnęła się szeroko.

– Mięso w słoiku musisz przegotować, prawda? – odparła. – Ale to nie zabije wszystkich bakterii, które w nim są. Dlatego po dobie przegotowałam je jeszcze raz. I po trzech dobach ponownie. Słyszałam o czymś takim jeszcze przed wojną, ale nigdy nie było potrzeby wypróbować tego sposobu. W tych czasach jednak mięso w słoiku, które się nie popsuje przez kilka lat, to jest coś.

Hubert pokiwał w zamyśleniu głową. Opowie o tym Zuzi i innym kobietom w Dąbrówce. Będą zachwycone.

Z kuchni powędrował do jadalni, lecz to, co tam zobaczył, już mu się nie spodobało.

Przy stole siedzieli Iza z Pawłem. Oboje pogrążeni w cichej rozmowie, pochylali głowy nad mapami Huberta.

– Co robicie?

Paweł, lekko zmieszany, natychmiast odsunął się od Izy.

– Eee... Iza prosiła, żeby... żeby pokazać jej, gdzie są inne zamieszkałe miejscowości.

– Wzięłam mapy, jak spałeś – dodała.

– A Ernest gdzie?

– Z Sylwią w ogrodzie.

– Dołączysz do nas? – zapytał Paweł.

– Nie, widzę, że sobie dobrze radzicie beze mnie – mruknął Hubert i wyszedł z jadalni.

Szedł przez park, gdy usłyszał głosy dzieci. Trójka najmłodszych mieszkańców Kamiennej stała na środku dróżki i zawzięcie się o coś kłóciła.

– Co robicie? – zagadnął.

– On oszukuje! – jedna z dziewczynek oskarżyła kolegę.

– Wcale że nie! – bronił się chłopiec.

– A w co gracie? – zapytał Hubert.

– W państwa – odparła druga dziewczynka.

– Na czym to polega? – zainteresował się.

Teraz zrobiły wszystko, żeby zająć czymś myśli i nie zastanawiać się, co by było, gdyby podjął inne decyzje w życiu. Tak bardzo chciałby przestać się obwiniać o śmierć ludzi, którzy go otaczali.

Dzieci zaczęły tłumaczyć Hubertowi reguły gry. Każdy uczestnik wybierał sobie jakieś państwo i zagarniał tereny innym graczom. Trzeba było rzucić patykiem, powiedzieć jakiś niezbyt mądry wierszyk i trochę pobiegać. Po kilku minutach dzieciom udało się namówić Huberta, żeby do nich dołączył.

„Ciekawe, czy wiedzą, gdzie te państwa się znajdują i z czego kiedyś słyneły” – zastanawiał się, gdy wszyscy na nowo wybierali narodowość i ustalali swoje granice.

Przez następne pół godziny Rosja, która należała do Huberta, znacząco wzbogaciła się o nowe tereny, a miejscowe dzieciaki były wniebowzięte, że mogą grać z osobą tak poważaną jak łowca demonów.

– Paweł nigdy się z nami nie bawi – poskarżyła się jedna z dziewczynek – Zawsze jest zajęty.

Hubert uśmiechnął się lekko. Dzięki dzieciom ponure myśli na chwilę odpływały.

– No dobra, wygrałem – oświadczył, gdy zajął całą „mapę”.

O dziwo, dzieci były zachwycone tym, że przegrały, i pobiegły bawić się gdzieś indziej.

Tymczasem dołączyła do niego Iza – już bez Pawła. Powoli ruszyli przez park w stronę altanki.

– Musimy porozmawiać o tym, co teraz planujesz – powiedziała poważnie.

– Ja nic nie planuję. – Wzruszył ramionami. – Od tego jest Ernest.

– My z Henrykiem zamierzamy jutro jechać dalej, ale rozumiemy, jeśli wy będziecie chcieli wrócić do domu.

„A więc po to były jej potrzebne mapy – olśniło go. – Boi się, że dalej będą musieli jechać sami”.

– Nie możecie jechać sami – powiedział. – Nie znacie tych terenów, a poza tym pełno tu demonów.

– A więc co proponujesz? Nie możemy czekać dłużej, jeśli chcemy wrócić na zimę do Święcina.

Zapadło krępujące milczenie.

– Pomyśl nad tym. – Iza przerwała ciszę, odwróciła się i wyszła z altanki.

– Poczekaj! – Zatrzymała ją. – Ja pojedę z wami. Ernest odprowadzi pozostałych do Dąbrówki. Możemy wyruszyć nawet jutro.

Dziewczyna wróciła i stanęła obok niego, opierając się łokciami o barierkę.

– Jesteś pewien? Nie wyglądasz za dobrze.

– To? – Wskazał na ugryzienie demona na rękę. – To nic.

– Nie o tym mówię.

– Potrzebuję jakiegoś zajęcia, żeby nie myśleć o... – zaczął, ale nie był w stanie dokończyć zdania. – Po prostu nie chcę wracać jeszcze do domu – dodał szybko.

Iza zapatrzyła się w dal.

– Czasem wydaje mi się, że jesteśmy jak liście na wietrze – odezwała się. – Niby jesteśmy

panami samych siebie, ale tak naprawdę nic od nas nie zależy.

Hubert się zamyslił. Kiedyś wydawało mu się, że może zmienić przyszłość. Ale tak naprawdę przez te wszystkie lata miotał się bezsilnie, patrząc jedynie, jak wszystko się sypie, a wokół giną ludzie.

Iza odsunęła się od barierki i kilka razy stuknęła o nią dłońmi.

– To ustalone, jutro wyjeżdżamy – rzuciła lekko. – Chyba powinni już podawać obiad. A jak znam życie, na pewno jesteś głodny. Idziemy?

Skinął głową i razem wyszli z altanki.

Wieczorem Hubertowi udało się na chwilę odciągnąć Ernesta od Sylwii, żeby w spokoju z nim porozmawiać.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – wyraził swoje wątpliwości przyjaciel, gdy usłyszał o planach łowcy.

– Mnie to mówisz? Ale lepszego pomysłu nie mam.

– Nie powinienes... to znaczy... nie obraż się, ale sądzę... – Ernest nie miał pojęcia, jak wyrazić to, co myśli.

– No mów – zachęcił go Hubert.

– Boję się, że coś ci odbije – wypalił w końcu rudzielec.

– Słucham?

– Po śmierci swojej mamy rzuciłeś się z kamieniem na wija, a potem sam chciałeś wyjechać w drogę, żeby splądrować jednostkę wojskową. A kiedy zginął Berda, pojechałeś aż pod sam Poznań.

– Nie przesadzaj – burknął Hubert.

– Tylko uważaj na siebie, dobrze?



ROZDZIAŁ XIII

Kolejnego dnia z samego rana Hubert, Iza i Henryk pożegnali się ze wszystkimi i opuścili Kamienną. Przed sobą mieli długą drogę do Piaseczna, Orlej, Miedzy i Borów. Świecinianie planowali odwiedzić wszystkie znane Hubertowi osady. Ich wieś leżała co prawda zbyt daleko, aby nawiązywać jakąkolwiek współpracę, lecz zawsze dobrze było mieć kontakty w świecie.

Najpierw zajechali do Piaseczna. Osada ta była tylko trochę większa niż Dąbrówka. Nie miała też jednego dowódcy, decyzje podejmowała rada starszych, choć Hubert już dawno temu zauważył, że w razie głosowania to Konarzewski, miejscowy dentysta, ma głos rozstrzygający. Cóż, w tych czasach ludzie liczyli się z osobami wykonującymi poważane zawody.

Goście w tych czasach zdarzali się rzadko, więc takie odwiedziny były traktowane niczym święto. Wszyscy chętnie słuchali opowieści o tym, co słychać na świecie. Już od kilku lat nie spotkali przybyszy z tak daleka jak Iza i Henryk. Przyjezdni zjedli kolację w domu Konarzewskich, a potem wybrali się na wycieczkę po wsi.

Najpierw skierowali się do kuźni, gdzie przez cały czas rozlegało się uderzanie młotka o metal.
– A ty jak zwykle pracujesz od świtu do nocy – odezwał się Hubert, wchodząc do dużego

pomieszczenia pełnego przedmiotów ze stali.

Od paleniska kowala odwróciła się krępa osoba. Hubert kątem oka obserwował reakcję przyjaciół i z pewną uciechą stwierdził, że takiego powitania się nie spodziewali.

– Hubert! W końcu! Czekaliśmy na was już od dobrych kilku tygodni. Jak znam życie, twoja kobyła podkowy zdarła już do cna – powiedziała Martyna.

Podeszła do łowcy i uściślała go z siłą, wielkimi dłońmi klepiąc po łopatkach. Była niewiele od niego wyższa i jak on szeroka w barach, ale ręce miała umięśnione tak, jakby już w kółysce bawiła się młotem. Co nie odbiegało od prawdy. Ojciec Martyny pracował bowiem jako kowal, a skoro żona nie urodziła mu syna, postanowił tajemnicze rzemiosło przekazać jedynej córce. Ta chętnie chłonęła wiedzę i nie wyobrażała sobie innej przyszłości jak praca w kuźni i przy koniach. A po końcu świata jej umiejętności okazały się bezcenne.

Hubert przedstawił Martynie Izę oraz Henryka, a potem zapytał, czym dziewczyna się zajmowała przed ich przyjściem.

– Dyszel od beczkwozu połamali, to i mam robotę – odparła. – Ale jeszcze dziś powinienam skończyć.

Uśmiechnął się szeroko. Dobrze wiedział, co oznacza fakt, że beczkowiec znów będzie sprawny.

W Piasecznie nie było typowego domu gościnnego jak w innych miejscowościach. Mieli za to uszczelnioną gliną budowlę z grubych drewnianych bali, zwaną Domem Hadama. Ulokowano w niej olbrzymią kuchnię zbudowaną z cegieł szamotowych, czyli takich, które są odporne na szybkie zmiany temperatury. Z jednej jej strony znajdowało się szerokie palenisko z rusztem, z innej wielka płyta żeliwna, na której można było gotować, jeszcze dalej zaś stała wędzarnia z drewnianymi drzwiczkami. Budowla ta przy pomiñała domek bajkowych stworów, a jej komin piął się wysoko, przechodził przez dach i kończył się metr nad nim. Z dwóch stron kuchni ustawiono masywne drewniane stoły z ławami.

Sypialnie dla gości umieszczono na niewielkiej antresoli wyłożonej siennikami i kocami.

– Dziwne miejsce – orzekła Iza, obchodząc dookoła piec.

– Można się przyzwyczaić – odparł Hubert, wspinając się po drabinie. – No i ma swój klimat.

Henryk krzucił mu plecaki.

– A jak się w piecu napali, to jest nawet całkiem ciepło – zapewniał chłopak.

– Jakoś ciężko mi w to uwierzyć – westchnęła Iza, dołączając do niego.

Podczas gdy Henryk rozpałał ogień, Hubert wraz z Izą rozłożyli na siennikach śpiwory.

– Dlaczego nazywają to Domem Hadama? – zapytała dziewczyna, siadając na skraj piętka i zwieszając nogi.

Hubert rozłożył się na sienniku tuż obok niej. Dłonie skrzyżował pod głową.

– Jeszcze przed wojną wybudował to facet o takim nazwisku – odpowiedział, patrząc na pogrążone w cieniu belki stropowe. – Na podwórku miał skansen z najróżniejszymi przyrządami z minionej epoki i urządzał tu imprezy dla turystów.

– I co się z nim stało?

Hubert milczał przez chwilę.

– Umarł podczas zarazy – powiedział w końcu. – Pozostali zabrali jego obiekty muzealne, naprawili je i wciąż z nich korzystają. A dom, jak sama widzisz, służy przyjeźdnym.

Tuż po wschodzie słońca Huberta obudziły hałasy na zewnątrz – wielu ludzi już było na nogach. Odwrócił się na bok i spojrzał na pogrążoną we śnie Izę. Pod głową trzymała dłoń, jej rysy wygładziły się, a włosy leżały w rozsypce na sienniku. Hubert wziął długą słomkę i połaskotał ją po policzku.

Iza najpierw zmarszczyła nos, a potem otworzyła oczy i przeszła spojrzeniem chłopaka.

– Chcesz coś zobaczyć? – szepnęła.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Co? – zapytała podejrzliwie.

– No chodź. – Uśmiechnęła się i na czworakach powędrował do dziury w podłodze, a potem zszedł po drabinie.

Spał w ubraniach, więc teraz musiał tylko zarzucić na siebie bluzę od munduru.

Wkrótce Iza dołączyła do niego i razem wymknęli się na zewnątrz przez duże drewniane drzwi.

Poraziło ich jesienne słońce, które dopiero co wzniosło się ponad lasem. Powietrze było rześkie i mroźne, z ust ulatywały obłoczki białej pary. Cały świat skrzył się w porannej rosie.

W oddali szczyły, żylasty mężczyzna po pięćdziesiątce zaprzęgał dwa konie do beczkowiezu. Hubert od razu skierował się w jego stronę.

– Pomóc? – zaproponował.

Mężczyzna rozejrzał się z rozdrażnieniem.

– Ten przekłety diabeł zaspał – stwierdził.

– Na razie mogę go zastąpić – powiedział Hubert.

Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, o jakim „diabie” mowa, ale domyślił się, że chodziło o kogoś z młodszych chłopaków ze wsi.

– A panienka? – zapytał mężczyzna, patrząc na Izę.

– Będzie się przyglądać – odparł łowca. – Janusz, Iza – przedstawił ich sobie.

Przez chwilę miał wrażenie, że miejscowy zaraz zeskończy z wozu, by pocałować dziewczynę w rękę, lecz na szczęście jej tego oszczędził.

Mężczyzna cmoknął na konie, które powoli ruszyły przed siebie, a Hubert wraz z Izą podążyli za nimi.

Po kilku minutach dotarli nad spore jezioro, a Janusz wprowadził wóz do wody.

– Nie wierzę, że znów to robię – westchnął Hubert, po czym zdjął spodnie, wziął w garść wiadro, wszedł powyżej kolan do lodowatego jeziora i zaczął nalewać wody do beczkwozu.

Iza przyśiadła na trawie na brzegu i przyglądała mu się z ciekawością.

Gdy słońce weszło wyżej, a beczkowóz był w połowie pełen, przybiegł do nich zasapany chłopak, na oko osiemnastoletni.

– Przepraszam, zasnęłam – wydyśzał.

Zmienił Huberta, który z ulgą wyszedł na brzeg i założył spodnie. Było mu zbyt zimno, żeby czekać, aż beczkowóz zapełni się wodą, więc zabrał Izę z powrotem do wsi.

Potężne drzwi domu gościnnego, przywodzące na myśl wrota od stodoły, zostały otwarte na oścież. Wokół kręciło się kilka kobiet, a gdy weszli do środka, zobaczyli Henryka, który pod czujnym okiem pani Konarzewskiej rozpałał ogień w palenisku. Dwie młode dziewczyny kroїły warzywa na stole, inna przygotowywała w olbrzymim garze wywar z mydlnicy.

Kiedy Janusz wrócił z jeziora, zaprowadził beczkowóz na najwyższe wzniesienie we wsi, ustawił na specjalnym rusztowaniu i wypiął konie. Potem rozpałał pod nim małe ognisko, do którego przez następnych kilka godzin co chwila dorzucał drwa.

Ktoś inny podłączył beczkowóz do szlauchu, który z samego szczytu wzniesienia prowadził do małego domku zbudowanego po wojnie. Znajdowały się w nim dwie łazienki. Raz na tydzień czy dwa mieszkańcy Piaseczna urządzali w Domu Hadama wspólny obiad, podczas którego po kolei brali prysznic z ciepłą wodą. Ścieki odprowadzali na pobliską łąkę.

Takie przedsięwzięcie wymagało współpracy i dobrej organizacji, a wodę należało odkręcać oszczędnie, ale wszyscy uważali, że dla tej namiastki dawnej cywilizacji warto się postarać.

Wczesnym popołudniem, kiedy woda się zagrzała, a obiad był gotowy, mieszkańcy zgromadzili się w domu gościnnym. Po krótkiej przemowie Konarzewskiego i toaście z miodu pitnego zasiedli do stołów. Hubert nie miał pojęcia, na jakiej zasadzie ustalają kolejność kąpieli, ale goście zawsze byli pierwsi. Gdy tylko się więc posilili, wraz z Izą i Henrykiem ruszyli do łazienek

Impreza trwała do późnego popołudnia. Pani Konarzewska podzieliła między rodziny resztki

jedzenia, a potem posprzątało. Przyjezdni pomogli pozmywać naczynia w wodzie zagrzanej w dużym garze na kuchni, a pomyje zanieśli do świń.

Zrobiło się już ciemno, gdy w Domu Hadama zamknięto drzwi i zapanowała cisza. Henryk przycupnął przy kominku i powolnymi, metodycznymi ruchami zaczął ostrzyć myśliwski nóż. Ogień rozświetlał jego twarz i rzucał surrealistyczne cienie na drewniane ściany. Gdy mężczyzna zakończył pracę, wziął do ręki starą, pożółkłą książkę o hodowli zwierząt, pożyczoną od miejscowych, i pogрузił się w lekturę.

Iza usiadła na antresoli ze zwieszonymi nogami, łokiec oparła o barierkę i obgryzała zabrane z uczy jabłko. Hubert, senny z przejedzenia, położył się na sienniku tuż obok niej, a po chwili zastanowienia oparł głowę o jej udo.

– Od ponad siedmiu lat nie brałam ciepłego prysznica – odezwała się po chwili dziewczyna, z zamyśleniem patrząc na nadgryziony owoc w dłoni.

– Kąpiel w misce się do tego nie umywa, co?

– W sumie nie jest to trudne do wykonania – kontynuowała. – Konstrukcja tej ich łaźni jest prosta. Wystarczy tylko zdobyć materiały albo przystosować już istniejący budynek...

– Kiedyś chcieliśmy z Ernestem zrobić coś podobnego w Dąbrówce, ale skończyło się na planach, bo nie udało nam się znaleźć sprawnego beczkowitzu.

– A my w Świącinie w ogóle o czymś takim nie pomyśleliśmy – westchnęła Iza.

– Dawniej różne pomysły i wynalazki rozprzestrzeniły się po świecie szybko. Dziś jak sama nie odwiedzi innej wsi i nie zobaczysz, jak się w niej ludzie urządzili, na pewne rzeczy po prostu nie wpadniesz. A wyobraź sobie miejscowości bardziej na południe od Świącina albo gdzieś na wschodzie.

– Może nawet mają gdzieś prąd – zażartowała Iza.

– Może... – westchnął Hubert.

Zaczął padać, lecz w drewnianym domku było ciepło i przytulnie. Wciąż pachniało pieczonym mięsem. Większe polano w kominku przełamało się na dwie części z trzaskiem, rozsypując iskry.

Wkrótce Henryk wszedł do nich na górę i usnęli przy jednostajnym szumie deszczu.

Rano trzeba było ruszać dalej.

Kilkunastoletnia brunetka o imieniu Karolina z samego rana wręczyła gościom trochę jedzenia na drogę, które przygotowała jej ciocia.

– W tym roku plony były naprawdę udane – powiedziała, słysząc gorące podziękowania. – Jesteśmy przygotowani na zimę tak dobrze jak jeszcze nigdy.

Kolejnego dnia dotarli do Orleju. Ku swojej radości Hubert odkrył, że jej mieszkańcom udało się w końcu doprowadzić bieżącą wodę do każdego domu. Na długo przed wojną hydrofor o wyglądzie olbrzymiej metalowej beczki dostarczał do budynków wodę z pobliskiej rzeki. Co prawda pompa, która go napełniała, działała na prąd, ale po wielu miesiącach prób i poszukiwań odpowiednich materiałów uruchomiono kierat napędzany przez jednego konia. Ktoś musiał tylko dbać o zwierzę i o konstrukcję, a także pilnować, żeby nie nalać zbyt dużo wody do hydroforu, gdyż mogłoby go rozsądzić ciśnienie. To samo ciśnienie wypychało wodę do rur należących do dawnego systemu wodociągów. Przy większości domów znajdowały się zbiorniki z szambem, które co jakiś czas trzeba było opróżnić.

Iza zachwyciła się rozwiązaniem doprowadzania wody do domów. Razem z Hubertem dokładnie obejrzała kierat, hydrofor, a na koniec wypytała miejscowego inżyniera, jak to wszystko działa.

Łowca był przekonany, że od razu po powrocie do Święcina dziewczyna popędzi do Łuczyka, aby zdać mu szczegółową relację z poznanych w podróży nowinek technicznych.

Za suszone zioła i kilka słoików z miodem zabranych z Dąbrówki Hubert otrzymał dwa worki runa owczego dla Dąbrówki i tyle samo dla mieszkańców Miedzy.

W Borach zaś czekała na podróżników inna niespodzianka. Gdy tylko wjechali do wsi, Hubert zauważył, że wszystkie domy są połączone wiszącymi na wysokości dwóch metrów kablami. Gdy ostatnim razem tu był, nie dostrzegł niczego podobnego.

Sołtys Antoni Wróblewski, który gościł podróżnych w swoim domu, z dumą oświadczył, że znaleźli sposób na doprowadzenie do mieszkań prądu.

– Nie wierzę – stwierdził Hubert.

Antoni uśmiechnął się pod nosem.

– To patrz, niedowiaraku. – Wstał od stołu, przełączył włącznik, po czym mała żarówka pod sufitem zaświeciła.

Goście przez chwilę wpatrywali się w nią z niedowierzaniem.

– Jak to możliwe? – zapytała Iza.

– Każdy wie, że żarówki nie działają od czasu wojny – odparł sołtys. – Ale mało kto zdaje sobie sprawę, że stare żarówki piętnastowatowe nie zostały zniszczone przez impuls. A to dlatego, że żarnik jest prosty, a nie skręcony, choć następują przy nim większe straty energii. Wykorzystaliśmy koło młyńskie na rzece i mamy prąd.

– Kiedy na to wpadliście? – zainteresował się Hubert.

– Jakis miesiąc temu nasi chłopcy byli na szabrze i coś ich podkuśiło, żeby wejść do sklepu ze sprzętem elektronicznym. W starym magazynie znaleźli te żarówki. Trochę się narobiliśmy przy

budowie, ale było warto. Uruchomiliśmy wszystko dwa dni temu. Możliwe, że jesteśmy pierwszą wsią, która ma sztuczne oświetlenie.

Jednak radość sołtysa trwała krótko, bowiem następnego wieczoru żarówki zaczęły nagle świecić intensywniej, aż nagle błysły i się przepaliły. Jak się okazało, gdzieś wyżej, gdzie płynął ich strumień, były potężne ulewy, przez co woda wezbrała, koło młyńskie kręciło się szybciej i szybciej, więc żarówki dostały zbyt dużo mocy. Wieś na nowo pogrzyżyła się w smutku i ciemnościach. Jednak już następnego dnia, żegnając gości, mieszkańcy zapowiedzieli, że skonstruują transformator.

W drodze pogoda nieco się poprawiła, a przede wszystkim przestało lać. Podróżni z podziwem rozmawiali o pomysłach ludzi, których spotkali w minionych trzech tygodniach. Ostatnią osadą, którą odwiedzili, była Miedza. Hubert dał jej mieszkańcom dwa worki runa owczego podarowane przez Orlą i kilka podków oraz stalowych kociołków wykutych przez Martynę z Piaseczna. Takie garnki dużo bardziej nadawały się do gotowania w palenisku niż te używane tuż przed wojną. W podziękę Hubert dostał kilka bawełnianych woreczków wypełnionych suszonymi owocami i grzybami.

Na ostatnią noc w drodze powrotnej do Dąbrówki zatrzymali się w sprawdzonym domu. Wieczór był już dość chłodny i choć koło kominka w salonie leżało trochę wysuszonego drewna z poprzednich wypadów, trzeba było uzupełnić jego zapas, dlatego Henryk wybrał się do lasu. Hubert musiał przynieść wodę ze starej studni na drugim końcu wsi, a Iza niechętnie zabrała się do przygotowania kolacji. Często zdarzało jej się coś przypalić, więc wkrótce po całym domu rozniósł się swąd spalenizny. Na koniec się poparzyła. Ze złości kopnęła kanapę, a gdy Hubert, który już od kilku minut ją obserwował, parsknął cicho śmiechem, zmierzyla go takim spojrzeniem, że burknął coś o sprawdzaniu, czy okolica jest bezpieczna, i czym prędzej opuścił dom.

Lubił towarzystwo Izy, ale czasem, gdy coś szło nie po jej myśli, wolał usunąć się z pola jej widzenia.

Z karabinem przewieszonym przez ramię powędrował na koniec wsi. Chłodny jesienny wieczór tchnął spokojem. Drzewa mocno się zażółciły, zmierzch z każdym dniem nadchodził coraz szybciej. Jeżeli Iza i Henryk chcieli przed zimą wrócić do Świącina, nie pozostało im już zbyt wiele czasu.

No właśnie, Hubertowi wcale się to nie podobało. Rozumiał, że muszą tam wrócić, ale jednocześnie odczuwał ogromny żal. On sam musiał zostać w Dąbrówce: spędzić trochę czasu z ojcem, pomóc Albertowi w domu i innym ludziom we wsi.

Westchnął ciężko i usiadł na pożółkłej trawie na poboczu tuż za wsią. Gdzie tak naprawdę był jego dom? Tam, gdzie rodzina i przyjaciele, czy w miejscu, do którego ciągnęło go przez długie siedem lat? W Dąbrówce żyli jego najbliżsi, lecz w Świecinie podobało mu się to, kim był – dzielnym strażnikiem, a nie chłopcem od brudnej roboty. Zżył się z mieszkańcami obu osad i miał wrażenie, że zarówno jedni, jak i drudzy potrzebowali jego pomocy.

Odchylił głowę i spojrzął na ciemne chmury wlokące się po niebie. Iza pewnie jeszcze nie skończyła kolacji, lepiej więc było na razie nie wracać do domu. Położył się na ziemi i założył ręce za głowę, wciąż wpatrując się w niebo. Z błogością przymknął oczy.

Wsluchiwał się w odgłosy okolicy, wziął głęboki wdech i nagle wyczuł gdzieś daleko w lesie demona. Ledwie zdołał rozpoznać aurę, jaką roztaczał wokół siebie lejnin, olbrzymi jelen o matowej czarnej sierści i wielkim porożu. Potem usłyszał odległe stukanie.

Łowca zacisnął mocniej powieki, skupiając się na tym jednym odczuciu. Wszystkie inne dźwięki stały się cichsze. Hubert usłyszał, jak potężne kopyta stąpają powoli po ziemi, jak drobne gałązki drzew łamią się z trzaskiem pod naporem poroża, jak wielkie zęby przeżuwają soczystą trawę. Poczuł, jak silne mięśnie grają pod grubą skórą. Lejina coś zaciękało, podniósł łeb i zastrzygł uszami. To zając przemknął po lesie. Znow można wrócić do posiłku. I nagle do jego nozdrzy dotarł obcy zapach, zapach człowieka. Demon zaczął przestępować z nogi na nogę, bał się ludzi. Gdy zaszeleściły liście i gałązka pękła pod ciężkim butem, wykonał zwrot i popędził przez las byle dalej od obcych.

Hubert otworzył gwałtownie oczy. Znow znajduje się na poboczu drogi tuż za wsią, trawa drapała go lekko w ramię, ciemne chmury wciąż płynęły leniwie po niebie. Odetchnął głęboko i usiadł.

– Wyłaż z tego rowu i pomóż mi! – zakrzyknął do niego Henryk

Mężczyzna wyszedł właśnie z lasu i ciągnął za sobą kilka grubych gałęzi.

– I skąd ja wiedziałem, że to ty nadchodzisz? – mruczał pod nosem chłopak, podnosząc się zwinnie. – Bo lejnin cię wywęszył i się spłoszył. To jest trochę przerażające.

– Co ty tam gadasz?

– Nic.

Wziął od Henryka połowę gałęzi i razem ruszyli w stronę domu.

Już z daleka mogli wyczuć zapach palonego plastiku, ale kiedy weszli do domu, okazało się, że gulasz, który Iza przyrządziła z zapasów otrzymanych w Borach, nie jest wcale taki zły.

W nocy Hubert usłyszał w oddali pogwizdywanie. Nie poświęcił mu większej uwagi, ale Iza się zaniepokoiła.

– Słyszałeś to? – zapytała, pochylając się nad nim z pistoletem.

– Taa – mruknął.

– Co z tym robimy?

– To tylko leszy. Daleko stąd. Raczej nie wejdzie do zamieszkanego domu. Te demony zazwyczaj nie opuszczają lasów.

Dziewczy na wyprostowała się, niezdecydowana, co dalej robić.

– Proszę, połów się spać – jęknął Hubert.

Iza po czasie, który wydawał się dla niego wiecznością, mruknęła coś pod nosem i wróciła do swojego łóżka.

Następnego dnia po południu wjechali do Dąbrówki.

– Gdzie są wszyscy? – zastanowił się Hubert, patrząc na pustą ulicę.

Jesienią o tej porze zawsze jest coś do zrobienia, czy to na polu, czy w ogrodzie. A wokół nie było żywej duszy.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Iza.

Wjechali na podwórko Alberta. Hubert zeskoczył z Moki i zostawiając ją tam, gdzie stała, wbiegł do domu.

– Hej! Jest tu kto?! – krzyknął.

Zajrzał do kuchni, do salonu i kolejnych pokoi.

– Gdzie ich wywiało? – mruknął.

Wyszedł właśnie z sypialni Alberta do ciemnego korytarza i kątem oka zobaczył jakiś cień. Błyskawicznie odwrócił się w tamtą stronę, serce podeszło mu do gardła.

– W końcu jesteś – oznajmiła Zuzia, stając na środku korytarza.

– Gdzie wszyscy?

– Na naradzie wojennej – odparła, a potem skierowała się do kuchni.

Hubert nic z tego nie rozumiał.

– Słucham? – pobiegł za dziewczyną.

– Na naradzie wojennej. Napadli na Piaseczno.

– Co?! Jakto? Przecież byłem tam dwa tygodnie temu!

– Dwa tygodnie to jednak dość długo.

– Gdzie ta narada?

– W świetlicy.

Odwrócił się na pięcie. W drzwiach stali Iza i Henryk.

– Słyszeliście?

– Chodźmy – powiedział były wojskowy.

Konie zostawili przywiązane do płotu. Byli zbyt przejęci tym, co powiedziała Zuzia, żeby je rozsiadłać.

Szybkim krokiem przeszli przez wieś i wpadli do świetlicy wiejskiej. Gdy stanęli na progu, wszystkie twarze ludzi znajdujących się wewnątrz odwróciły się w ich stronę.

– Nareszcie! – przywitał ich Albert.

– Co się dzieje? – zapytał Hubert, podchodząc do stołu.

Po minach zgromadzonych mógł stwierdzić, że Zuzia mówiła prawdę – działo się coś poważnego.

– Jakież dzikusy napadły na Piaseczno – odparł starszy pan.

– I? Mówcie, co się stało! – wybuchł Hubert.

– To, co słyszysz. – Głos zabrał Ernest. – Grupa kilkudziesięciu osób napadła na nich, wybili pół wsi, a teraz przygotowują atak na nas.

Hubert opadł na krzesło.

– Skąd to wiecie?

– Pamiętasz Karolinę?

Chłopak pokiwał głową.

– Ona mówi, że kilka dni temu po południu usłyszała wybuch na ulicy. Zaskoczeni miejscowi powypadali z domów wprost pod lufy karabinów. Zostali wystrzelani jak kaczki. Tam ci mieli ciężki karabin maszynowy, który ustawili na głównej drodze prowadzącej do wsi, i w kilka minut było po wszystkim. Potem tylko przeszli przez wieś, wyciągając z domów tych, którzy się ukrywali, i wymordowali ich na ulicy. Nie wiemy, ilu ludziom udało się uciec do lasu.

– Chryste! – jęknął Hubert.

– Karolina zdołała tak się ukryć, że jej nie znaleźli. Za to słyszała, jak rozmawiali między sobą. To była z góry zaplanowana akcja. Ci ludzie wędrują w dużej grupie przez kraj i napadają na wsie. Tym razem szukali schronienia przed zimą. Łatwiej przecież jest napaść na osadę już przygotowaną do zimy, niż samemu bawić się w składowanie drewna, robienie przetworów i całą resztę. Uznali jednak, że to, co znaleźli w Piasecznie, to dla nich za mało. Karolina słyszała, jak pod groźbą zastrzelenia sąsiad mówił im o Dąbrówce i o tym, jak najłatwiej do nas trafić.

Hubertowi zrobiło się słabo. Dwa tygodnie wcześniej był w Piasecznie, wszyscy tam mieli się dobrze, mówili, że są świetnie zaopatrzeni na zimą, dzieciaki biegały po ulicy, bawiąc się w berka.

Urządzili uroczy sty obiad połączony z ciepłą kąpielą. Karolina dała im zapasy na drogę. A teraz większość tych ludzi nie żyła; zginęli, bo komuś nie chciało się przygotowywać do zimy na własną rękę!

Ledwie poczuł, jak Iza kładzie mu dłoń na ramieniu.

Wezbrała w nim wściekłość. Mocno zacisnął pięści. Mięśnie zaczęły mu lekko drżeć.

– I co teraz? – zapytał, siląc się na spokojny ton.

– Wysłaliśmy Woźnicę do Orlej i Miedzy, a Górskiego do Borów. Musieliście się z nim minąć gdzieś na trasie. Ja właśnie wróciłem z Kamiennej – odparł Ernest. – Prosiłiśmy o pomoc, bo sami w życiu sobie nie damy rady, a jeżeli zrównają Dąbrówkę z ziemią, to w następnej kolejności uderzą w nich.

– I co?

– Teresa obiecała wysłać kilku mężczyzn z bronią, Paweł chciał wyruszać natychmiast – zaśmiał się gorzko – ale kazała mu odczekać chociaż dzień, żeby na spokojnie to przedyskutować. Spodziewamy się ich jutro. Dziś Górski powinien wrócić z wiadomościami z Borów.

– Na nas też możecie liczyć – odezwał się Henryk

Albert skinął głową.

– Nie będziemy udawać, że się nie przydadcie – powiedział.

– Macie już jakiś plan? – zapytał konkretnie były wojskowy.

Ernest przesunął mapę na stole tak, żeby trójka nowo przybyłych mogła ją zobaczyć.

– Najkrótsza droga z Piaseczna do nas jest tutaj. – Wskazał palcem. – Pięć kilometrów przed Dąbrówką, wiedzie przez dno głębokiego wąwozu. Kojarzyś?

Hubert pokiwał głową.

– Nie możemy pozwolić im wejść do Dąbrówki, to jasne. Nie będziemy też walczyć z nimi w otwartym polu. Ale gdybyśmy urządzili na nich zasadzkę tutaj, mielibyśmy całkiem spore szanse. Jeśli dobrze pójdzie, będzie nas trochę więcej niż ich, ukryjemy się na szczytach skarp po obu stronach jaru, możemy więc ich powystrzelać.

– A ten ich karabin? – zapytał Hubert.

– Jeżeli mają wprawę, rozłożenie go nie zajmie im nawet minuty – powiedział Albert. – Ale liczymy, że nie zdążą tego zrobić. A poza tym nawet Herkules dupa, gdy przeciwników kupa. – Starszy pan uśmiechnął się przebiegle.

– No dobrze, a skąd wiadomo, że już nie są w drodze do nas?

– Wystawiliśmy czujki przy drodze i kilku innych możliwych trasach. Będziemy wiedzieli, kiedy zaczną się zbliżać. Poza tym idą pieszo, więc poruszając się końmi, mamy przewagę.

Hubert powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

„Przecież to sami rolnicy!” – pomyślał.

Każdy z nich oczywiście w miarę dobrze posługiwał się karabinem, w końcu mieli siedem lat, żeby się tego nauczyć, Woźnica rzadko kiedy chybiał, Albert też miał niezłego cęla, ale już trochę niedowidział, Kajetan i Agata przez kilka lat służyli w wojsku, o ile można tak nazwać mieszkanie na Górze, ale to wciąż za mało. Nikt z nich nie był wyszkolonym zabójcą. Co innego zabijając demony, a co innego strzelać do drugiego człowieka...

„A ja? Czy ja dam radę strzelać do ludzi jak do kaczek? Bo tak to będzie wyglądało, jeśli zasadzka się uda. Wystrzelamy ich wtedy do nogi, zanim zdążą się zorientować, co się dzieje, i zrobią krzywdę komuś z nas”.

Nie zostało już wiele do powiedzenia. Wszyscy byli gotowi chronić domy i rodziny. Nawet za cenę własnego życia.

Wkrótce spotkanie dobiegło końca. Ludzie zaczęli się rozchodzić.

– Dobrze, że wróciliście. – Do Huberta podszedł Kajetan i przez chwilę szli przez wieś razem. – Trzy karabiny więcej robią różnicę.

– Zmieciemy ich w proch, zobaczysz – odparł łowca.

– Mam nadzieję. To na razie.

Kajetan szedł za Agatą, skręcili do małego domu, który przez ostatnie dwa i pół roku stał opuszczony.

– Oni tam mieszkają? – Hubert zapytał Ernesta.

– To jest dobry dom... – Ernest zmierzył go wzrokiem. – A oni musieli się gdzieś zatrzymać. Są tam też Sylwia i Ada.

Hubert pokiwiał tylko głową.

– Dobrze, że ktoś będzie w nim mieszkał.

„Gdyby nie ja, nie stałby opuszczony” – podszeptało mu sumienie.

Nagle zataśknął za Michałem. Minęło już tyle czasu od śmierci młodego żołnierza, a Hubertowi wciąż go brakowało. Ciągle też nawiedzały go koszmary o strzygoniu.

– Myślę, że mógłby dogadać się z Agatą – powiedział na głos.

– Tak, pasowaliby do siebie – przytaknął Ernest.

Tuż przed zmierzchem Górski przyjechał z pięcioma mężczyznami z Borów. Nie były to zbyt wielkie posiłki, ale zawsze lepsze niż nic, a przecież inne osady mogły odmówić im pomocy.

Goście zatrzymali się w jednym z opuszczonych domów. Olga Górská i Dorota Borowska przyniosły im gorący obiad oraz koce do spania. Hubert zabrał konie przyjezdnych do stajni

Alberta. Nałarmił je, napoił i zabrał się do czyśczenia.

Zaczął szcztokować pierwszego wałacha, kiedy do stajni weszła Iza.

– Dobrze, że macie takich sąsiadów – powiedziała, opierając się ramieniem o ściankę boksu.

– My z Ernestem i... Michałem, kiedy jeszcze żył, często jeździliśmy do nich, żeby pomóc w tępieniu demonów. Co prawda nie robiliśmy tego zupełnie za darmo, ale oni zawsze woleli „wypożyczyć” swojego dentystę, weterynarza czy dać kilka worków pszenicy, niż radzić sobie sami z potworami. Ten układ funkcjonował całkiem niezłe przez kilka lat. Teraz pora, żeby się odwdzińczyli.

– Zawsze mogli odmówić. A teraz to ich wioski straciły mężczyzn z bronią.

– Przecież za kilka, góra kilkanaście dni wrócą do domów.

– Jesteś pewien? – Uniosła brew.

– Mam nadzieję. A poza tym lepiej w walce z wrogiem zewrzeć siły. Gdybyśmy sobie nie pomogli, pewnie nas wszystkich spotkałby los Piaseczna.

Uśmiechnął się gorzko.

– A ciebie co tak bawi?

– Wiesz, że właśnie o czymś takim mówiła Alicja?

– Jaka znowu Alicja? – skrzywiła się.

– Ta, co przewodziła tym wariatom, którzy porwali Zuzię. Twierdziła, że osobno każda z naszych wsi nie stanowi wielkiej siły, ale jeżeli się skrzyknjemy, możemy już zdziałać co nieco. Tutaj, na Pomorzu, jesteśmy całkiem niezłą potęgą.

– Nie przesadzaj – sprowadziła go na ziemię. – Was wszystkich razem wziętych jest niewiele więcej niż mieszkańców Świącina.

Hubert spojrzął na nią krzywo.

– Pomogłabyś mi, zamiast stać i patrzeć – burknął.

Iza westchnęła.

– To daj jakieś zgrzebło.

Hubert rzucił je ponad grzbietami koni.

Przez chwilę szcztokowali zwierzęta w milczeniu.

– Do tej pory myślałam, że moje życie jest interesujące – odezwała się w pewnej chwili. – Pomagałam strażnikom, jeździłam na szaber, robiłam dużo ciekawsze rzeczy niż inne kobiety w Świącinie. A potem spotkałam ciebie.

– Wprowadziłem dreszczyk emocji do twojej nudnej egzystencji?

– A żebyś wiedział. Jeszcze w życiu nie widziałam tylu demonów co w ciągu ostatnich miesięcy. Poznałam mnóstwo ludzi, zrównaliśmy z ziemią małą jednostkę wojskową, a teraz szykujemy się na wojnę z jakimś nomadami.

– Wreszcie czujesz, że żyjesz? – Uśmiechnął się.

– O ile to wszystko nie skończy się dla mnie gwałtowną śmiercią, to można powiedzieć, że tak.

Skończyli czyścić konie, odłożyli szczotki, dokładnie zamknęli stajnię i skierowali się do domu. Na podwórku panowała ciemność, lecz w salonie i kuchni słabo paliły się lampki naftowe.

– Wystarczy nam broni i nabojów? – zapytała Iza.

– Mam taką nadzieję, zawsze trzymamy w magazynie spory zapas, ale jedynie na demony, a nie na strzelaninę z ludźmi. Szkoda, że nie zdążymy już pojechać do bunkra. Przez całą zimę trzeba będzie produkować nowe naboje.

– Damy radę. Żeby mój ojciec wiedział, co ja tu z wami wyprawiam... – Pokręciła głową.

– Wiesz, kiedyś myślałem, że to demonów należy się bać – zmienił temat. – Jednak jakiś czas temu uznałem, że ludzie są znacznie gorsi. Demony wyczuwam i mogę zrozumieć. Owszem, niemal zawsze są spragnione krwi, lecz ludzie są tak samo okrutni, a do tego zupełnie nieprzewidywalni.

– Hej, wy tam! – Na progu domu stanął Albert. – Koniec randki, chodźcie na kolację!

Iza parsknęła coś niezrozumiale.

– Już idziemy! – odrzknął Hubert.

Następnego dnia z samego rana Hubert, Ernest, Henryki i Kajetan pojechali zmienić zwiadowców na trasach wiodących z Piaseczna do Dąbrówki. Na razie panował spokój, nie zauważono obcych ludzi i Hubert zaczął wątpić, czy tamci rzeczywiście zamierzają napaść na ich osadę. Jednak rozmawiał z Karoliną i choć dziewczynka była w kiepskim stanie psychicznym, to wydawała się pewna tego, co widziała i słyszała. Mieli szczęście, że udało jej się uciec, a potem trafić do Dąbrówki. Gdyby nie ona, nikt nie zdołałby się przygotować na atak Olga Górską wzięła ją do siebie. Karolina dość szybko zaczęła się dogadywać z jej przygarniętym synem, Jędrkiem, wnukiem zmarłego sołtysa Cegły.

Hubert wspiął się na potężne drzewo tuż przy drodze. Kilkadziesiąt metrów dalej, na małej polance w lesie pasła się spętana Mółka.

Już od trzech godzin tkwił na gałęzi, więc mięśnie zaczęły mu drętwieć. Zdążył zjeść większość zapasów, które dostał na cały dzień, i martwił się, że do końca warty umrze z głodu. A gdy pod wieczór przyjedzie ktoś, żeby go zmienić, zastanie na drzewie trupa.

Słońce zaszło za horyzontem, kiedy usłyszał cichy gwizd. Hubert nie pamiętał, żeby leszy podszedł kiedykolwiek tak blisko. Czuł jego zainteresowanie, chęć zbliżenia się do człowieka.

Na wszelki wypadek odbezpieczył karabin i czekał. Jeszcze chwila, a zobaczy demona wśród drzew. Lecz wtem do jego uszu doszło lekkie stukanie kopyt na asfalcie przykrytym warstwą zeszłorocznych liści. Ktoś się zbliżał od strony Dąbrówki. Spłoszony leszy uciekł w las.

– Nie spieszy mu się – mruknął Hubert pod nosem.

Wkrótce między gałęziami i liśćmi ujrzął sylwetkę jeźdźca.

– Złaż, wiem, że tam jesteś. – Usłyszał głos Izzy.

– Ale jakim cudem? – jęknął. – Jestem dobrze zakamuflowany...

– Ernest mi powiedział, gdzie cię znajdę – odparła. – Gdzie twój koń?

– Pasie się jakieś sto metrów stąd.

– To złaż, przyszedłam cię zmienić.

Hubert zaczął schodzić. Starał się robić to zgrabnie i szybko, lecz ostatnia gałąź złamała się pod nim i z głuchym łoskotem zwałił się na ziemię.

– Moje plecy – jęknął.

– Przystań się bawić i mów, gdzie dokładnie jest ta polana.

Hubert wskazał kierunek. Dziewczyna na zaprowadziła tam Hermesa i wróciła po kilku minutach.

– Zostaniesz chwilę ze mną? – zapytała.

Usiedli w gęstych krzewach trzy metry od drogi, na kocu przywiezionym przez Izę.

– Coś się działo? – zainteresowała się dziewczyna.

– Nic. A w domu?

– Też spokój. Kilka osób już czuwa przy tamtym wozie, szylują kryjówki. Inni przy gotowali broń i naboje. Generalnie wszyscy są gotowi do walki. Ale jak na razie tamci się nie pojawili. Aha, z Kamiennej przyjechali Paweł, Szmidt i jeszcze trzech ludzi. No i Marynarz, ale on w Dąbrówce ma tylko pomagać tej waszej pielęgniarkie w razie czego opatrywać rannych.

– Głupio by wyszło, gdyby tamci jednak się rozmyślili i nie chcieli napadać na Dąbrówkę.

– No głupio, ale jeszcze głupiej, jakby napadli, a wy bylibyście nieprzygotowani. Aha, jeszcze jakiś facet z Piaseczna dowlekł się do Dąbrówki. Udało mu się uciec na samym początku, a potem błąkał się po lesie, usiłując do was trafić. Ale nic nie wiedział o planach tamtych.

– Jak się z nimi uporamy, trzeba będzie przejrzyć okolice Piaseczna i poszukać tych, którzy przeżyli.

– Ale to już wasza broszka – powiedziała Iza. – Jak tylko wasza sprawa się wyjaśni, wracamy

z Henrykiem do domu.

Hubert spojrział na Izę i poczuł smutek. Nie chciał się z nimi rozstawać. Jeszcze nie teraz.

Dziewczyna patrzyła na niego wyczekująco, jakby myślała, że poprosi ją, by pozostała w Dąbrówce. Jednak zanim to sobie uświadomił, było już za późno – odwróciła wzrok i zaczęła bawić się słomką suchej trawy.

„Na wiosnę na pewno pojedę do Święcina” – obiecał sobie.

– A ciebie kto tu przyśłał? – zapytał po chwili.

– Sama się zgłosiłam na ochotnika.

– Jak coś się dzieje, to zawsze musisz się tam pchać, co?

– Albert nie chciał mnie puścić, ale przekonałam go, że to przecież boczna droga i jest mało prawdopodobne, by akurat tędy szli.

– Ale zawsze jakieś niebezpieczeństwo istnieje. A poza tym zbliża się noc. Tu jest więcej demonów niż w Święcinie.

– Przestań marudzić – mruknęła.

Nagle usłyszeli tętent kopyt na drodze. Ktoś się zbliżał od Dąbrówki, i to bardzo szybko. Iza i Hubert spojrzeli po sobie, a potem poderwali się z ziemi i wyszli z zarośli.

Oskar ledwie wyhamował konia, którego kopyta zaczęły ślizgać się na asfalcie.

– Idą! – sapnął.

Hubert i Iza pobiegli na polanę po konie. Chwilę trwało, zanim je osiodłali, ale już po kilku minutach mogli ruszać.

– Gdzie są? – zapytał łowca.

– Idą tak, jak przewidywaliśmy. Zatrzymali się na noc w opuszczonej wiosce piętnaście kilometrów od wąwozu.

– To dobrze, mamy jeszcze czas – powiedziała Iza, wskazując na konia.

Zrobiło się zupełnie ciemno, dlatego nie jechali szybciej niż kłusem. Bali się, że konie mogłyby połamać nogi.

Kiedy dojechali do Dąbrówki, wciąż panowało tam zamieszanie.

Zaprowadzili wierzchowce do stajni, a potem udali się do domu.

– I co teraz? – Hubert zapytał Ernesta.

– Ściągnęliśmy już wszystkich z posterunków i zostawiliśmy jedynie kilka osób na trasie, którą idą tamci. Niektórzy już czekają przy wąwozie. Zjedzcie coś i chwilę się prześpijcie, bo w nocy wszyscy wyruszamy, żeby dotrzeć tam o wschodzie słońca.

– Ilu w sumie mamy ludzi? – zainteresowała się Iza.

– Od nas jest jedenaście osób, razem z wami, Kajetanem i Agatą. Cztery z Orlej, tyle samo z Kamiennej, pięć z Borów i trzy z Miedzy. Czyli razem dwadzieścia siedem.

– A ich ilu dokładnie jest?

– Dwudziestu trzech. To Henryk ich widział. Mówi, że wszyscy mają karabiny plus ten ciężki maszynowy, który niesie jeden koń. Chyba MG-42.

– Skąd oni go wzięli? – zdziwił się Hubert.

– Albert mówi, że musieli go poskładać z części wyciągniętych z jakiegoś muzeum. A naboje pewnie mają stare, powojenne, może zwinęli je komuś takiemu jak mój dziadek.

– Dobra, a co z tymi, którzy zostają? – zapytał łowca.

– Mają się nimi zająć stary Borowski i Marynarz. Już zapakowali część jedzenia i dobytku na wozy. Z samego rana opuszczają wieś. Zatrzymają się kilka kilometrów dalej, tak by nikt tu nie został, gdyby tamci jednak zdołali się przedrzeć do Dąbrówki.

– Dobrze. – Hubert skinął głową.

– Jędreki i Oskar też chcieli iść z nami, lecz Woźnica przekonał ich, że gdyby nam się nie udało, ktoś musi się zająć kobietami.

– Nic nam nie będzie, zobaczysz. – Hubert poklepał przy jaciela po ramieniu.

Też się martwił. Gdyby zginęli, kto zaopiekowałby się Zuzią, Sylwią, Adą? Olga Górską była w zaawansowanej ciąży, a Aniela Janicka, choć to naprawdę twarda kobieta, miała już swoje lata. Zresztą podobnie jak Albert, który z taką werwą pchał się do bitwy.

„Śmierć kroczy tuż za mną – pomyślał nagle Hubert. – Ludzie w moim otoczeniu ciągle giną. Boże, spraw, żeby tym razem moi bliscy wyszli z tego cało, a wrogowie zostali pokonani”.

Szybko przekąsił kolację i poszedł do swojego pokoju. Miał wrażenie, że ledwo co położył się do łóżka, a już do sypialni wszedł Albert ze świeczką.

– Wstawać! – krzyknął do chłopców.

Obaj od razu zerwali się z łóżek.

Hubert, drżąc z zimna, ubrał się w mundur. Założył pas z coltem i bagnetem, a do kieszeni wepchnął wojskową czapkę i rękawiczki. Dzięki temu nie zmarznie, a poza tym będzie mniej widoczny w lesie.

Dom był pogrążony w mroku. W korytarzu Hubert spotkał zaspaną Izę.

– Idziesz coś zjeść? – zapytał.

– Żartujesz? Nic teraz nie przełknę.

– Jak nie, to nie.

Poszedł więc do kuchni sam, wyjął z szafki kawał kielbasy i zjadł ją z chlebem.

Ernest wręczył mu cztery magazynki, po dwa sklejone taśmą.

– A granaty?

– Dziadek i Woźnica wzięli kilka.

– Jesteście pewni, że to wystarczy?

– Wystarczy – powiedział Albert, który akurat przechodził obok – Nie chcemy przecież nawzajem pozabijać się odłamkami.

Hubert skinął głową. Wiedział, co potrafi zrobić jeden taki granat, i nie zamierzał się sprzeczać ze starszym panem. Jednak uznał, że karabin i colt to może być za mało, gdyby skończyła się amunicja. Wiedziony nagłym impulsem poszedł do stodoły, gdzie ostatnio widział starą maczetę Alberta. Tę samą, z którą kiedyś wyruszył do walki z wujami.

Wkrótce wszyscy zebrali się pośrodku wsi. Albert wraz z Górkim sprawdzili ich uzbrojenie, jeszcze raz przypomnieli plan działania i zarządzili wymarsz ze wsi.

Szli dość powoli ciemną drogą, lecz niebo na wschodzie powoli się rozjaśniało. Hubert maszerował obok Ernesta, a po chwili zrównał się z nimi Paweł.

– Jak samopoczucie? – zagadnął szeptem syn Teresy.

Hubert wzruszył ramionami. Nie chciał przyznać przed kolegą, że się boi. Nie o siebie, lecz o rodzinę i przyjaciół.

– Dzięki, że przyjechaliście – powiedział Ernest. – Naprawdę to doceniamy.

– My zawsze mogliśmy na was liczyć. Pora się odwdzińczyć. Dobrze, że nie pada. Nie chciałbym czekać na nich kilka godzin, moknąc i trzęsąc się z zimna.

– To będzie słoneczny dzień – zapewnił Hubert, patrząc w niebo, na którym gasły ostatnie gwiazdy.

Powietrze wydawało się mroźne, ale w tej chwili nikt nie miał czasu myśleć o chłodzie. Wszyscy byli podenerwowani tym, co ich czekało.

Minęła ponad godzina, zanim dotarli na miejsce. Droga wila się dnem wąwozu, z obu jej stron wyrastały wysokie skarpy. Na ich szczytach stały potężne drzewa, których korzenie chroniły ziemię przed osypywaniem się.

Mieszkańcy zjednoczonych osad zajęli miejsca na obu wzgórzach. Wśród nich znajdowało się dwudziestu pięciu mężczyzn oraz Iza i Agata.

Hubert położył się na brzuchu za niewielkim wałem usypanym z ziemi tuż przy grubym pniu potężnego buka. Jakies trzy metry dalej ułożyli się Henryk wraz z Izą. A z lewej strony – Ernest i Paweł.

– Tylko pamiętaj, czekałamy na sygnał Woźnicy – upomniał go przyjaciel.

– Przecież wiem – mruknął.

– Jasne, ty wiesz, a potem coś ci strzeli do łba i wyrwiesz się przed szereg.

Hubert nie skomentował słów przyjaciela i zerknął na przeciwną stronę jaru. Gdzieś tam, ukryty w chaszczach, czuwał Albert wraz z Danielem. Nie podobało mu się, że ojciec również tu przyszedł, rzadko brał do rąk karabin. No ale potrzebowali każdego.

– A co jeśli to nie będą oni? – zapytał w zamyśleniu.

– Co? – zdziwił się Ernest.

– Jeżeli będzie tędy przechodziła spokojna grupka praworządnych obywateli, a my bez ostrzeżenia ich wystrzelamy?

– Zdurniałeś?

– Nie mów, że o tym nie pomyślałeś.

– Jaka jest szansa, że akurat tędy będzie szła jakaś wycieczka? Żadna. A gdybyśmy grzecznie ich zapytali, czy nie zechcą wrócić tam, skąd przyszli, to z naszej zasadzki raczej nici. Poza tym nasi ludzie śledzą ich od samego Piaseczna, nie ma szans, żebyśmy się pomylili.

– Mądrala się znalazł – mruknął pod nosem Hubert, za co Ernest zdzielił go pięścią w ramię.

– Uspokójcie się! – syknął Henryk – Słuchać was, idioci, z kilometra.

Hubert sprawdził, czy ma dobrze ustawiony karabin i czy nic nie przesłania mu pola widzenia.

Czas wlokł się niemilosiernie. Godzina mijała za godziną, a okolica wyglądała na spokojną.

Hubertowi było niewygodnie, a poza tym ziemia dawała nieprzyjemne zimno i zaczął już marznąć. Innym czekanie też dawało się we znaki.

Nagle, po drugiej stronie, Albert podniósł się i dał wszystkim ręką znak, że wrogowie się zbliżają. Woźnica i młody Borowski, którzy mieli obserwować obcych, dołączyli do swoich.

Niestety, fakt, że się zbliżali, nie oznaczał, że szli szybko. Uplęnęła kolejna godzina, zanim w polu widzenia pojawił się pierwszy człowiek.

Hubert położył palec na spuście, lecz poza tym nie śmiał nawet drgnąć. Uważnie obserwował obcego. Wkrótce zza wzniesienia wyłonili się kolejni ludzie. Znajdowało się wśród nich także kilka kobiet. Dwóch ludzi prowadziło za uzdę konia, który miał przewieszony przez bok ciężki karabin MG-42, a z drugiej strony przytroczone cztery niezbyt wielkie skrzynki z amunicją. „Jeżeli zdążą go odpalić, to pozamiatane, nie mamy szans się obronić” – myślał łowca. Słyszał, co taka broń potrafi zrobić. Wystarczyło choć lekko nacisnąć spust, a karabin wypluwał co najmniej pięćdziesiąt kul. To jest naprawdę dużo, biorąc pod uwagę, że w magazynku kbk AKMS-ów znajdowało się jedyne trzydzieści sztuk amunicji.

Hubert zaczął liczyć przeciwników.

Dziesięciu, jedenastu, dwunastu...

Obcy nie spodziewali się ataku z żadnej strony, liczyli zapewne, że z Dąbrówką pójdzie im tak samo łatwo jak z Piasecznem. Szli mało zwartą grupą, rozmawiali między sobą.

Piętnastu, szesnastu...

Hubert wycelował w mężczyźnię prowadzącego konia. Wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze i nagle się zachłysnął.

„Niech to szlag trafi, jak coś ma się spieprzyć...”.

Serce zaczęło mu bić w zawrotnym tempie, mięśnie drżały tak mocno, że musiał zdjąć palec ze spustu, bojąc się, że mimowolnie go naciśnie. Zakręciło mu się w głowie, skronie zaczęły pulsować tępy m bólem. Czuł tak silne uciskanie mózgu, że zabrakło mu powietrza.

W lesie były demony. Potężne stado.

Hubert, błąd na twarzy, spojrział na Ernesta, lecz przyjaciel uznał, że jest przerażony perspektywą strzelania do ludzi.

„Jakich ostrzec? Dwudziesty. Niech Woźnica da znak!”.

Demony znajdowały się daleko, lecz Hubert wyczuwał ich głód. Wędrowały przez las, szukając zdobyczy. Nikt przy zdrowych zmysłach by ich nie zaatakował.

„Jeżeli poczują krew, to koniec”.

Zerknął na Henryka, ale przyjaciel był zbyt skupiony na wrogu, żeby zwrócić na niego uwagę.

„Tam, za nami, czai się jeszcze gorszy wróg!”.

Dwudziesty drugi.

„Dlaczego Woźnica nic nie robi?! Może stworzy przestraszą się huku wystrzałów”.

Hubert dyszał ciężko.

Wtem Ernest spojrział mu prosto w oczy.

– Demony ... – Łowca poruszył wargami.

Przyjaciel zrobił wielkie oczy, ale w tej chwili nie mogli nic uczynić.

Nagle ze skarpy po drugiej stronie coś poleciało łukiem i wylądowało na drodze. Obcy z zaskoczeniem obserwowali przedmiot.

Hubert skulił się lekko i schował głowę.

Granat wybuchł, raniąc kilka osób na dole. Tuż za nim z góry posypały się następne.

Huknęło, aż ziemia się zatrzęsała.

Ludzie zaczęli wrzeszczeć w panice.

Mieszkańcy zjednoczonych wsi otworzyli ogień. Już na samym początku padło kilka osób oraz koń, który przewrócił się na bok, gdzie miał zawieszony MG-42. Niestety tuż za zwierzęciem schroniło się dwóch ludzi, którzy prowadzili. Niektórzy ukryli się pod trupami towarzyszy.

Zawiał wiatr.

Krew... krew... świeża krew.

Hubert poczuł napięcie demonów. Już zwęszyły ludzi. I wcale nie przstraszyły się huk wystrzałów. Były zbyt podniecone, żeby się nimi przejąć. Samiec alfa szczeknął gardłowo, dając watasze sygnał do ataku.

Hubert poczuł zapach wilgotnej od nocnej rosy sierści, wielkie łapy miętko opadały na ziemię, kilka osobników zaczęło ujadać z emocji. Czuł pęd powietrza, gdy demony biegły przed siebie wiedzione wonią śmierci, widział wywieszone jęzory oraz zęby, które pragnęły zatopić się w ciepłym ludzkim mięsie.

Opuścił gwałtownie głowę i uderzył czołem o kałasznikowa. Przed oczyma rozbłysły mu gwiazdy, dzięki czemu wrócił do rzeczywistości.

– Trojany!!! – wrzasnął do Ernesta.

Na drodze trwała strzelanina.

Hubert podniósł się z ziemi, usłyszał, jak wokół niego świszczą kule. Nieostrożnie dotknął dłonią rozgrzanej lufy karabinu i się oparzył, jednak nie poczuł bólu. Przypadł plecami do grubego pnia starego dębu z takim impetem, aż zadudniło. Zabłąkana kula roztrzaskała bok drzewa, na ziemię posypały się drzazgi. Łowca mocniej zacisnął dłonie na swojej broni. Wystrzały z karabinów i krzyki ludzi stały się dla niego odległe, jedyne, co wyczuwały jego zmysły, to zew krwi, który sprowadził demony.

– Zwariował?! – krzyknęła Iza.

Pierwszy trojan pojawił się dokładnie naprzeciw Huberta. Przeskoczył przewrócone drzewo i biegł prosto na niego, szczerząc zęby.

Łowca zaczął do niego strzelać, lecz kule zdawały się nie robić mu krzywdy. Nagle demon potknął się nieznacznie, łapy mu się splątały i gdy Hubert wpakował w niego jeszcze kilka pocisków, padł martwy.

Ernest poszedł w ślady przyjaciela. Zignorował strzelaninę z ludźmi, oparł się plecami o drzewo i zaczął celować w kolejne demony, które wylaniały się zza drzew.

– Tam! – krzyknął rudzielec i wybiegł trojanom na spotkanie, by w ten sposób osłaniać towarzyszy leżących na skraju skarpy.

Hubert strzelił do bestii biegnącej w kierunku Pawła. Demon padł, lecz łowcy skończyły się

naboje. Płynnym ruchem odczepił magazynek, odwrócił go i podłączył kolejny, sklejony taśmą z pierwszym.

Zdezorientowany Paweł spojrział na demona przy pominającego przerośniętego wilka, a potem na kolegę.

– Uważaj! Następne! – ryknął Hubert.

Chłopak z Kamiennej przeturlał się po ziemi, aby odsunąć się od zbocza skarpy, ukleknął na jedno kolano i zaczął strzelać.

Demonów było wiele i trzy karabiny nie zdołały powstrzymać ich ataku.

Jednemu z mniejszych trojanów udało się przedrzeć przez ostrzał. Henryk strzelił do niego, jednak za późno. Demon wgrzył się w jego nogę i zaczął szarpać. Hubert, modląc się, żeby nie trafić przyjaciela, wypuścił serię z karabinu. Zrobił z wilka sito.

Henryk odtrącił kopniakiem trupa i spróbował wstać.

– Iza! – krzyknął nagle Paweł.

Hubert skierował wzrok na dziewczynę akurat w chwili, gdy olbrzymia bestia wyskoczyła na nią zza krzaków. W ostatnim momencie odwróciła się i wystrzeliła kilka razy, jednak to nie powstrzymało bestii.

Zasłoniła się karabinem, gdy potwór się na nią rzucił. Straciła równowagę i upadła na plecy. Na nieszczęście tuż za nią kończyła się skarpa i dziewczyna potoczyła się w dół.

– Oslaniaj mnie! – krzyknął Henryk i bez chwili wahania, pomimo że był ranny, zbiegł za Izą.

– Szlag!

Hubert spojrział w dół. Na drodze bronilo się jeszcze kilku mężczyzn. Dwóch ukrywało się za trupami konia oraz martwych kolegów i stamtąd prowadziło ostrzał. Chłopak wykonał obrót wokół drzewa i stanął na szczycie skarpy. Teraz nic innego się nie liczyło, tylko to, aby Henryk bezpiecznie dotarł do Izy, która leżała nieprzytomna na dole. Usłyszał głuchy trzask iglicy. Magazynek był pusty. Odczepił go, jednocześnie sięgając do kieszeni spodni, gdzie trzymał kolejne. Zamiana nie trwała dłużej niż sekundę, a mimo to była zbyt długa.

Henryk dopadł do Izy i ukleknął nad nią. Wtedy zza konia wychylił się człowiek i strzelił w byłego wojskowego.

Jak na zwolnionym filmie Hubert patrzył, jak kula uderza w klatkę piersiową mężczyzny i przelatuje na wylot. Henryk padł na ziemię.

Łowca wrzasnął wściekle, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Przyłożył karabin do ramienia i strzelił do człowieka ukrywającego się za koniem.

Niemal w ostatniej chwili poczuł aurę wściekłości wymieszanej ze strachem i żądzą krwi.

Odruchowo odwrócił się i wpakował niemal cały magazynek w trojana, który szykował się do skoku na niego.

Ponownie spojrzął na przyjaciół na drodze. Wystarczył ułamek sekundy, żeby ocenić sytuację. Na dole nie przetrwał żaden z ich ludzkich przeciwników. Jednak za jego plecami czaiły się kolejne demony, przez cały czas ostrzeliwane przez Ernesta i Pawła. Pozostali mężczyźni, którzy zdążyli się zorientować, co się dzieje, również podjęli walkę z nowym wrogiem. Ludzie znajdujący się po drugiej stronie wąwozu byli zdezorientowani, dlatego ich towarzysze zaczęli strzelać w kierunku lasu. Do momentu aż zobaczyli trzy trojany, które zeskoczyły na drogę i zmierzały w kierunku trupów. Lecz tam znajdowali się też Henryk z Izą.

Hubert serią wystrzałów uśmiercił jednego z demonów na dole, potem wymienił magazynek i z dzikim wrzaskiem zbiegł ze skarpy, na ślepo strzelając do następnych dwóch. Jedna z bestii została ranna i zatrzymała się zdezorientowana, a po chwili padła przedziurawiona przez kule Alberta.

Łowca dopadł do przyjaciół leżących na asfalcie. Nie miał pojęcia, czy żyją, ale zamierzał bronić ich za wszelką cenę.

Staął przed nimi i opróżnił cały magazynek

Odrzucił na bok karabin i wyjął z kabury colta, to jednak nie wystarczyło, żeby zatrzymać trojana, który był ranny, wściekły i nie miał najmniejszego zamiaru ustąpić.

Daniel i Albert z przerażeniem patrzyli, jak Hubert wyrzuca pozbawiony amunicji pistolet. Chłopak był zdany jedynie na siebie, gdyż bali się, że jeżeli zaczną strzelać do demona, mogą trafić i jego.

Wyciągnął zza paska maczetę, którą zaledwie kilka godzin wcześniej zabrał ze stodoły. Czas zwolnił. Gdzieś tam na górze jego przyjaciele walczyli ze stadem trojanów, a tu, na dole, Hubert został sam na sam z samcem alfa.

Spojrzał we wściekłe, gorejące ślepia, ujrzał ciemny jęzor i duże białe kły. Trojan zwolnił kroku. Był tylko on i ten słaby człowiek. Powoli stawiał jedną łapę za drugą. Napiął mięśnie, gotowe do ataku, ale nie musiał się spieszyć. Wyszczrzył zęby, marszcząc skórę na pysku, sierść na grzbiecie mu się zjeżyła. Wszędzie czuł zapach krwi i jeszcze ten okropny smród, który występował zawsze tam, gdzie byli ludzie i huk. Jasno widział przed sobą cel.

Hubert całym sobą czuł głód bestii. Widział w jej oczach wściekłość i pogardę dla gatunku ludzkiego. Dla trojana był przekąską, która nie potrafiła ani uciekać, ani porządnie się bronić. Nie miał ani kłów, ani pazurów. A mimo to jakimś cudem przeżył tyle lat na tym świecie, jego gatunek zepchnął demony w cień, a potem o nich zapomniał. Ale koniec z tym! Teraz nadszedł czas demonów.

– Neeee!!!

Łowca wrzasnął ogłuszająco i rzucił się w stronę basiora. Demon nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji. Zatrzymał się, niepewny, co tak naprawdę się dzieje.

Hubert z impetem wpadł na niego, na oślep zamachnął się maczetą i trafił trojana od boku w łeb. W cios włożył tyle siły, że przetrącił bestii kręgi, a ostrze wbiło się głęboko w kości czaszki.

Demon poczuł rozdzierający ból i padł martwy.

Hubert osunął się na ziemię, na chwilę ogarnęła go ciemność. Jak przez mgłę słyszał wystrzały z karabinów, czuł twardy asfalt pod plecami i dłońmi, a nad nim znajdowało się błękitne niebo prześwietlające przez żółtoczerwone liście. „A mówiłem, że będzie dziś ładna pogoda” – pomyślał.

Ale komu i po co to mówił, już nie pamiętał. W końcu mu się przy pomniało.

Z głuchym jękiem przetoczył się na brzuch i na czworakach podczołgał się do przyjaciół.

– Iza? Iza!

Dopał najpierw do córki Sołtysa. Niezbyt delikatnie uniośł jej głowę i zaczął ją klepać po policzkach.

– Iza!

Dziewczyna z trudem uchyliła powieki. Zamrugała, a potem zmarszczyła brwi.

– Złaz ze mnie! – warknęła.

To były najpiękniejsze słowa, jakie mógł usłyszeć.

Zostawił ją i przysunął się do Henryka.

Były wojskowy patrzył na niego.

– Nic jej nie jest? – zapytał.

– W porządku – sapnął Hubert.

– To dobrze. – Przykniął oczy.

– Nie! Co ty robisz?! Nie zamykaj oczu!

Chłopak poklepał go po twarzy, kątem oka wciąż widział plamę krwi, która wykwitła tuż pod prawym obojczykiem.

– Nie drzyj się – mruknął Henryk – Jeszcze nie umieram.

Chłopak uśmiechnął się słabo i usiadł na asfalcie, opierając się plecami o martwego konia. Strzały na górze powoli milkły.

„To koniec” – pomyślał.

Po chwili zbiegli do niego Albert i Daniel, a gdy upewnili się, że Hubertowi nic nie jest, wspięli się na drugą skarpe, sprawdzić, czy tam wszyscy są cali.

Iza po chwili doszła do siebie. Oprzytomniała na tyle, że była w stanie założyć na ranę Henryka prowizoryczny opatrunek, składający się z kawałka bandaża i taśmy izolacyjnej, które miała w kieszeni.

Hubert przy mknął oczy i westchnął z ulgą, gdy dowiedział się, że choć mają kilku rannych, nikt tego dnia nie zginął.

Trojan rozszarpał Ernestowi ramię, ale zanim demonowi udało się poczynić większe szkody, Paweł go zabił. Ktoś jeszcze został pogryziony, ktoś lekko postrzelony, a jeszcze ktoś inny skręcił kostkę.

Kilka osób pojechało po Irenę i Marynarza. Sprowadzono wóz i zabrano na nim do wsi Henryka, Ernesta i osobę ze skręconą kostką. Iza, która miała olbrzymiego guza nad brwią i wciąż lekkie zawroty głowy, dostała konia. Podobnie jak Hubert, który był cały umazany krwią, ale nie odniósł poważniejszych ran.

Tuż po nich do wsi dotarli pozostali wraz z bronią i karabinem MG-42 oraz ze skrzyniami z amunicją bandytów. Wszystko to zostało zamknięte w magazynie.

Ludzie wciąż byli podekscytowani strzelaniną, atakiem demonów i tym, że wyszli z tego cali i zdrowi. Irena zorganizowała w swoim domu szpital, gdzie wylądowali ciężiej ranni. Zostali pod opieką Marynarza, a pozostali odwiedzili już w ich domach, chcąc sprawdzić, jak się czują.

- Masz pewnie lekką wstrząs mózgu – oświadczyła Izie.
- Nic mi nie będzie – odparła dziewczyna. – Tylko trochę mi niedobrze...
- Przyłóż coś zimnego do tego czoła. A co z tobą? – zwróciła się do Huberta.
- Ze mną? Czuję się świetnie – powiedział odrobinę bełkotliwie.
- A nie wyglądasz.
- Nie, naprawdę, musiałem jedynie uderzyć się gdzieś w głowę...

Zaledwie Irena nałożyła na oparzoną dłoń Huberta okład z rumianku, chłopak wraz z Izą powleki się do domu pielęgniarki. Ernest spał, tak samo Henryk

Marynarz twierdził, że nic mu nie będzie.

- Miał cholerne szczęście – mówił lekarz – że kula przeszła na wylot przez ciało i nie zahaczyła o żadną kość. Bo wtedy byłoby gorzej, dużo gorzej.

Późnym popołudniem kilku mężczyzn wróciło na miejsce strzelaniny. Hubert uparł się, by im towarzyszyć.

Gdy dotarli do wąwozu, były już tam całe stada gawronów czyhających na łatwą zdobycz. Mężczyźni zapakowali trupy ludzi na wozy i wywieźli na polanę, gdzie pochowali je w zbiorowej mogile.

– Niezbyt to humanitarne – stwierdził Kajetan, gdy wrzucali martwych do wielkiego dołu.

– Mają szczęście, że dostali chociaż to – odparł Woźnica. – Za to, co zrobili z Piasecznem, powinniśmy zostawić ich na drodze.

Kiedy pogrzebali trupy ludzi, kilku mężczyzn zabrało się do kopania dołu na truchła demonów, pozostali zaś wrzucali je na wóz.

– Poczekajcie – poprosił Hubert, gdy Woźnica wraz z Górskim usiłovali poderwać z ziemi ciężkie cielsko basiora leżące na asfalcie.

– Co tam? – zapytał myśliwy.

– Szkoda go, ma ładne futro, pewnie jest ciepłe...

– Czy ty zwariowałeś?! – wybuchnął Górski. – To jest demon! Demony palimy i zasypujemy wapnem. Ty wiesz, jakie choróbska może mieć?!

Hubert spojrział prosząco na Woźnicę.

– Przecież nie zamierzam go jeść – powiedział spokojnie. – Zęby demonów zbieram już od wielu lat i jeszcze nic się nie stało.

– Chłopak ma trochę racji – odezwał się myśliwy.

– Róbcie sobie z nim, co chcecie – warknął obrażony Górski i odszedł.

– Możemy wziąć na próbę dwa, nie więcej – ostrzegł Woźnica. – Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Podejrzewam, że awantura – mruknął Hubert.

Uważał jednak, że ludzie już zbyt długo boją się wszystkiego, co jest związane z demonami, nawet martwymi. Alicja wraz ze swoimi żołnierzami wpadła na makabryczny pomysł, by obserwować bestie, ale miała rację, chcąc o demonach dowiedzieć się jak najwięcej. Wiele razy widział też smutek na twarzy Woźnicy, kiedy palili ciała upolowanych stworów. Kiedyś, dawno temu, gdy upolowano zwierzę, nic z niego nie mogło się zmarnować. Taką właśnie zasadę wyznawał myśliwy i Hubert się nie pomylił, licząc na jego wsparcie.

– Pięć lat – odezwał się chłopak, kiedy przebijali ścięgna na tylnych łapach basiora, żeby podwiesić go pod drzewem. – Pięć długich lat, odkąd zobaczyliśmy pierwszego demona. I wciąż się ich boimy, nawet gdy są zdechłe. Przez ten strach przed czymś nowym, nieznanym dużo tracimy.

– Nie gadaj, tylko tnij – mruknął Woźnica, zerkając kątem oka na pozostałych mężczyzn. – Trzeba było wcześniej powiedzieć, że zamierzasz skórować demony, to odpowiedni nóż bym wziął.

Nie mieli zbyt wiele czasu, aby zachować łeb, pazury czy ogon demona, więc po prostu

obcięli skórę trojana przy łapach i szyi, a potem poprowadzili dwa poziome cięcia łączące tylne i przednie kończyny oraz jedno długie – od ogona po samo podgardle. Skóra demona była twarda, trudno odchodziła od ciała i Hubert nieźle musiał się natrudzić, żeby ją zedrzeć. Krwi przy tym nie było prawie wcale.

W ten sam sposób oskórowali kolejnego trojana, który niestety był dość podziurawiony przez kule. Hubert odrąbał im jeszcze łby i oczyścił z mięsa. To, co zostało z demonów, wrzucili do dołu, spalili i zasyпали wapnem.

Do zmierzchu pozostała niecała godzina, gdy mężczyźni uporali się z pracą i wrócili do Dąbrówki. Jednak Hubert z Woźnicą nie mieli co marzyć o udaniu się na spoczynek. Aby wyczyć skórę z resztek tłuszczu, rozłożyli je na pieńkach i oskrobali aluminiową łyżką, a potem natarli bułkowymi trocinami. Następnie naciągnęli je na drewnianych prawidłach, aby podczas suszenia nie powstały na nich żadne załamania czy zagięcia.

Tym razem Hubert nie musiał wyrywać żadnemu trojanowi kłów – zyskał dwie czaszki pełne zębów.



ROZDZIAŁ XIV

– Gdzie są wszyscy? – zapytał, zakrywając głowę poduszką, gdy raniem następnego dnia bezceremonialnie obudziła go Iza.

– Zuza od świtu siedzi u waszej pielęgniarce i nie odstępuje łóżka Ernesta, a Marynarz zabronił Henrykowi wstawać i ten jest tak marudny, że nie idzie z nim wytrzymać.

– A mój ojciec i Albert?

– Pojechali do Piaseczna.

– Co?! – Poderwał się.

– Spokojnie, chyba z dziesięciu ich tam było. Chcą sprawdzić, czy jakiś mieszkaniec nie ocalał i tam nie wrócił. Może trochę posprzątać, zadbać o zwierzęta, zabezpieczyć domy, gdyby jednak ktoś chciał znów tam zamieszkać. A jak nie, to ściągną wszystko do Dąbrówki i podzielią się z innymi osadami.

– Aha. – Opadł na łóżko.

– No, wstawaj.

– Dobra, już.

Iza wyszła, a Hubert niespiesznie się ubrał i zszedł do kuchni.

Zajrzał do każdego garnka, każdej szafki, ale znalazł tylko stary chleb i odrobinę twarogu.

– Nie ma nic lepszego? – zapytał Izę, która rozsiadła się z dużą tarczą słonecznika na fotelu pod oknem i zaczęła skubać nasiona.

– Niestety. – Pokręciła głową. – A do tego podejrzewam, że to my będziemy musieli przygotować obiad.

– Zawsze możemy odgrzać jakieś mięso ze słoików i podać je z ziemniakami – zaproponował.

– Też tak myślę. Aha, a potem pojedziemy do tamtego wąwozu i pozbieramy łuski do elaboracji.

– Do czego?

– Produkcji nowych. – Wzniosła wzrok ku niebu.

– W ogóle istnieje takie słowo?

– Jak możesz go nie znać, mając taki arsenał?

– Bo jak trzeba było zrobić nowe naboje, to je po prostu robiliśmy, a nie gadaliśmy o tym. – Wzruszył ramionami.

Po śniadaniu Hubert przyniósł z piwnicy koszyk pełen ziemniaków. Iza przysunęła krzesło, żeby mu pomóc w obieraniu.

– Dobrze, że Henrykowi nic nie będzie – odezwał się chłopak – Przez chwilę naprawdę się wystraszyłem.

Iza pokiwała głową.

– Wiesz, że on teraz nie nadaje się do podróży do Święcina? – zapytał.

– Nie wiem, co robić – westchnęła. – Już na dniach powinniśmy wyjechać, ale nie chcę ryzykować. Pięknie, mój ojciec naprawdę się wścieknie, jak nie wrócimy na zimę. Niby mu mówiliśmy, że możemy się nie wyrobić, ale wiesz, jak to jest.

– Uhm. Będzie się martwił.

– No będzie, ale co mogą zrobić?

– Gołębie pocztowe! – Huberta nagle olśniło.

– Słucham?

– Gołębie. Ludzie przecież już setki lat temu korespondowali ze sobą za pomocą gołębi. Wyobraź sobie, jak by to ułatwiło nam życie, gdyby tak stworzyć sieć komunikacji pomiędzy zaprzyjaźnionymi osadami. Wysłalibyśmy teraz takiego gołębia do Święcina i wszyscy by wiedzieli, co się z wami dzieje, i nie musieli się martwić. W razie czego też byłoby o wiele łatwiej prosić kogoś o pomoc.

– Taa? A wiesz, jak się zakłada takie stado gołębi? – zapytała krytycznym tonem. – I czym w ogóle się je karmi i tak dalej?

Hubert się zamyślił.

– Będzie trzeba popytać starszych albo poszukać informacji w jakichś książkach.

– To pytaj i szukaj, chętnie popatrzę, co ci z tego wyjdzie.

Obrali wielki gar ziemniaków, zalali je wodą i poszli do domu Ireny. Było tam dość tłoczno. Przy Ernestie siedziały Zuzia i Sylwia, Ada zagadywała z nudów Henryka.

– Co słychać? – zapytał Hubert.

– Dzisiaj możemy wrócić do domu – odparł przyjaciel.

– To dobrze. A co u ciebie? – zwrócił się do byłego wojskowego.

– Świetnie – mruknął Henryk.

– Nieprawda – zaprzeczyła Ada. – Pani Irena mówiła, że ma pan wysoką gorączkę!

Mężczyzna spojrzał krzywo na dziewczynkę.

– A ty, dziecko, nie masz innego zajęcia? – zapytał.

– Jest nieznośny, kiedy musi leżeć w łóżku. – Iza szepnęła do Huberta.

– Ale nie głuchy – burknął Henryk.

– Przygotujemy wam pokoje w twoim domu, dobrze? – Sylwia zwróciła się do Ernesta.

A potem popatrzyła na Huberta oraz Izę i rzuciła krótko. – Chodźmy.

– My też? – Hubert skrzywił się nieznacznie.

– W tej chwili jesteś w tym domu jedynym gospodarzem, który jest na nogach.

Kiedy wrócili, Sylwia zarządziła dokładne sprzątnięcie, wietrzenie pościeli i ścielenie łóżek. Bardzo uprzejmie, acz stanowczo zagoniła wszystkich do pracy. A na koniec zapytała, co planują na obiad.

– Obraliśmy cały gar ziemniaków – pochwalił się Hubert.

– Ziemniaków? I co dalej? – Oparła dłonie na biodrach.

Chłopak wymienił z Izą zdziwione spojrzenie.

– Planowaliśmy poszukać jakichś słoików z mięsem czy bigosem, a może nawet gołąbkami.

– Boże! – westchnęła Sylwia. – Macie w domu dwóch ciężko rannych i chcecie podawać im ziemniaki z bigosem?! Trzeba ugotować rosół. Znajdź warzywa, a potem je pokrój – Sylwia zwróciła się do Ady. – Ty zabij kurę – poleciała chłopakowi. – A my ją oskubujemy – powiedziała do Izzy.

Po południu Ernest i Henryk przenieśli się do sypialni na piętrze. Sylwia dopilnowała, żeby

zjedli rosół, zmieniła im bandażę i zaaplikowała na rany maści polecane przez Irenę i Marynarza.

Po obiedzie Hubert wystawił na słońce skórę z trojana, żeby przeszła. Potem wyciągnął największy gar, jaki mieli w domu, nalał do niego wody, wrzucił czaszkę demona i wstawił na kuchenkę. Iza przez cały czas z zainteresowaniem zerkała mu przez ramię.

– I co chcesz z tym zrobić? – zapytała, kiedy obie czaszki, już białe i oczyszczone, stygły na stole.

– Powieszę na płocie – odparł, patrząc w wielkie oczodoły.

– Ja poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. We wsi jest jedna droga. Powieszę czaszki na wlocie i wylocie, niech wszyscy postronni wiedzą, kto tu mieszka.

– Taa, sami wariaci! – Iza się uśmiechnęła.

– Ale każdy przynajmniej dwa razy się zastanowi, zanim postanowi na nas napaść.

Następnego dnia Huberta obudziły hałasy na dole. Ktoś trząsał szafkami, uderzał garnkami i w końcu coś stłukł.

Gdy huknęło przewracane krzesło, chłopak wciągnął pospiesznie spodnie i zszedł na parter.

Na środku kuchni stała Zuzia, a wokół niej panował okropny bałagan. Szafki były pootwierane na oścież, kilka kromek chleba leżało rozrzuconych na blatach, na podłodze wały się potłuczone odłamki talerza.

– Co ty robisz? – zapytał zdziwiony.

– On gdzieś tu jest!

Dziewczyna wzięła do ręki nóż i zaczęła przeszukiwać szafki.

– Kto? Co?

– Nie widziałam, gdzie jesteś, przeklęty ... – mamrotała pod nosem.

Jednym ruchem ręki strąciła z szafki kilka słoików z przetworami. Dwa się potłukły, a na podłogę wylały się dżem i kompot.

– Przestań.

Podszedł do niej i wyrwał jej z ręki nóż, lecz Zuza odepchnęła go, wsadziła głowę do kolejnej szafki i wyrzuciła z niej worek z mąką. Biały pył rozsypał się na posadzce.

– Zuza! Uspokój się!

Hubert jedną ręką złapał jej nadgarstki, a drugą chwycił ją w pasie. Zuzia machnęła nogami w powietrzu.

– Puść! Bo ucieknie! – wrzasnęła.

Lecz Hubert posadził dziewczynę w fotelu i pochylił się nad nią, opierając dłonie na podłokietnikach.

– Kto ucieknie? – zapytał. – Jakiś demon?

On nic nie czuł, ale przecież Zuza była w tym lepsza.

– Nie wiem – mruknęła, krzyżując ze złością ręce na piersi.

– Zuza, słup się!

– Nie wiem. Coś małego.

– Mamy szczura w domu?

Zuzia obraziła się i odwróciła od niego głową.

– Zobacz, jaki bałagan zrobiłaś – jęknął Hubert, patrząc na kuchnię, która wyglądała, jakby przeszło przez nią tornado.

– Co wy wyprawiacie? – Do kuchni weszła zaspana Iza.

Powiodła wzrokiem dookoła i uniosła brew.

– Porządki?

– Tak, porządki – mruknęła wciąż obrażona Zuza, po czym wstała z fotela i zamknęła się w swoim pokoju, trzaskając przy tym drzwiami.

– Nie wiem, co się stało. – Hubert wzruszył ramionami. – Coś jej odbiło.

– Czyżby to jakiś demon?

– Nie wydaje mi się. Ja nic nie czuję, a demony nie chowają się po szafkach.

– Może jest zdenerwowana tym, co się dzieje wokół? Ernest został ranny, to się o niego martwi. A teraz jeszcze jej dziadek wyjechał, no i twój ojciec. Może to wszystko razem tak na nią wpłynęło?

– Boże, co tu się stało?!

Oboje odwrócili się, gdy w drzwiach stanęła Sylwia. Ada zaglądała jej przez ramię.

– Nawet nie pytaj. – Hubert podniósł z ziemi krzesło i na nim usiadł.

– Przyszliśmy przy gotować śniadanie – oświadczyła dziewczyna i zaczęła zbierać skorupy z podłogi.

Ada zakrzętnęła się przy szafkach. Hubertowi zrobiło się głupio, że dziewczyny sprzątają w jego domu, więc wziął miotłę, by zamieść podłogę. Iza gdzieś się ulotniła.

Po śniadaniu Zuza znów zaczęła się dziwnie zachowywać. Teraz jednak już nie bałaganila, zaglądała do szafek, garnków i pod stół.

– Zuza, nie przeszkadzaj Sylwii – poprosił Hubert, ale go zignorowała i zajrzała pod fotel. – Jeżeli ty nie chcesz gotować, to ktoś musi się tym zająć...

– Weźmy ją na przejażdżkę – zaproponowała nagle Iza. – Przecież wczoraj mieliśmy się wybrać, by pozbierać łuski, niech jedzie z nami.

– No nie wiem, a jak coś się stanie? Ernest się wkurzy...

– Chcę jechać – oznajmiła Zuzia, wstając z podłogi.

– A nie będziesz wariować?

– Nie będę – obiecała. – Idę się ubrać.

– Popilnuj jej – Hubert zwrócił się do Izy. – Ja pójdę po Agatę i Kajetana.

Zbieranie łusek nie było trudnym zajęciem. Hubert mógł pozwolić swoim myślom poszybować gdzieś daleko i tylko co jakiś czas zerkał, czy z Zuzią wszystko w porządku. Jakimś cudem, gdy znalazła się daleko od wsi, zaczęła zachowywać się normalnie.

Uwinęli się w niecałą godzinę, wsiedli na konie i skierowali do Dąbrówki.

– Hubert? – Byli niecały kilometr od wsi, gdy Zuza spojrzała na niego uważnie.

– Ta?

– Wiesz, że Woźnica suszy sieć na płocie?

– Aha.

Ledwie jej słuchał. Choć rano przejeżdżali obok domu myśliwego, chłopak nie zwrócił uwagi na żadną sieć, ale przecież Woźnica często używał jej do łowienia ryb w jeziorze.

– To wytrzymała sieć.

– Uhm.

– A wiesz, że w Dąbrówce jest demon?

Hubert gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

– Co?!

– Demon jest we wsi. Ten szalony.

– Zostańcie z nią! – rzucił do Agaty, a sam spiął Mokkę do galopu.

Klaczy nie spodobało się takie traktowanie, ale już po chwili, lekko się ślizgając, popędziła asfaltem w stronę Dąbrówki.

Hubert zerknął za siebie. Tuż za nim ruszyła Iza. Kajetan pochwycił wodze konia Zuzy, żeby ten również nie zerwał się do galopu.

Trasę do wsi pokonali w kilka minut. W tym samym momencie usłyszeli czyjś wrzask Hubert

wyczuł demona, jednak pędząc przed siebie, nie potrafił się skupić na tyle, by zorientować się, co to za gatunek.

Krzyki doprowadziły ich pod dom Górskich.

Hubert zeskokczył z konia i wpadł na podwórkę. Pod stodołą stała Olga, na starej gruszy kilka metrów w bok siedziała Karolina z Piaseczna, a na drugim końcu obejścia zobaczył Jędrka – rzucał kamieniami w borutę usiłującego się wspiąć na drzewo, na którym schroniła się dziewczyna.

Łowca wiedział, jak trudno zabić niezbyt dużego, piekielnie szybkiego demona. Przyłożył karabin do ramienia, ale obawiał się, że przez przypadek może zastrzelić człowieka.

Boruta ze swoim długim pyskiem i okrągłymi uszami zawsze przypominał Hubertowi borsuka. Miał czarną krótką sierść, mały zadek i drobne tylne łapy. Przednie zaś były nieproporcjonalnie duże i wyposażone w długie pazury.

Na szczęście nie potrafił się wspinać i jak tylko wślazł po pnium kilkadziesiąt centymetrów, spadł. Wtedy dostał w łeb kamieniem. Z wściekłością zaczął syczeć i parskać. Obrócił się i stracił zainteresowanie Karoliną, gdy zobaczył Jędrka. Rzucił się w jego stronę.

Chłopak przez chwilę patrzył jak oniemiały na stwora. Najwyraźniej jego plan działania kończył się na etapie odciągnięcia demona od Karoliny.

– Sieć... – przypomniał sobie Hubert. – Sieć!

Iza natychmiast wybiegła z podwórka.

Wtem Olga zaczęła krzyczeć, żeby odciągnąć demona od jej przyszwanego syna.

Hubert jęknął.

Boruta zawrócił i ruszył w stronę kobiety w zaawansowanej ciąży. Lecz zanim zdążył uczynić jej krzywdę, przyłożyła mu wiadrem w łeb, aż zadudniło.

Hubert poczuł wtedy wściekłość boruty. I coś jeszcze. Dezorientację.

Podniósł z ziemi kamień i rzucił. Trafił w grzbiet. Demon odwrócił się i zaczął biec w jego stronę. Łowca wciąż nie mógł w niego wycelować, gdyż bał się, że postrzeli Olę.

Nagle Karolina zaczęła krzyczeć. Boruta zwolnił i wyraźnie zdeorientowany, potrząsnął łbem.

Na podwórku wpadła Iza z siecią. Jeden koniec rzuciła Hubertowi i ruszyli razem na demona. Po chwili boruta już mიაł się schwyty. Hubert zaplątał stopę w sieć i gdy demon mocniej nią szarpnął, chłopak się wyrócił. Kiedy tylko znalazł się w polu widzenia stwora, ten spróbował się na niego rzucić, niezrażony krępującymi mu ruchy sznurami. Drapał i gryzł ziemię oraz sieć zaledwie kilka centymetrów od łokci chłopaka.

Iza stanęła nad rozwścieczonym borutą, wyjęła z kabury pistolet i strzeliła trzy razy. Hubert

odruchowo skulił się, gdy ogłuszył go huk

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła, po kilku sekundach dochodząc do siebie.

– Zastrzeliłam demona – oświadczyła Iza.

– Mogłaś mnie postrzelić!

– Przecież celowałam.

Chłopak wyplątał się z sieci.

– Wszyscy cali? – zwrócił się do pozostałych.

Olga, z twarzą bladą niczym papier, pokiwiała głową, Karolina zeskokczyła z drzewa, a Jędrek podszedł do demona, żeby dokładniej mu się przyjrzeć.

– Wiecie, że Woźnica się wścieknie, gdy zobaczy, że porwaliście mu sieć? – zapytał. – Kilka dni temu ją latał.

Hubert spojrział na chłopaka umęczonym wzrokiem. Spróbował wyplątać borutę, ale nadaremno.

– Trzeba go spalić z siecią – oznajmił.

Na podwórku Górskich przyszło kilka osób zaniepokojonych wystrzałami. Wśród nich byli również Kajetan, Agata i Zuza, którzy zdążyli już dojechać do wsi.

W ciągu kilku minut przyjaciele z Gdańska odprowadzili Zuzię do domu, łowca wyrwał Borucie ząb, ktoś zaciągnął demona poza wieś i go spalił, a ktoś inny zaopiekował się końmi Izy i Huberta.

Choć dwójka bohaterów zarzekała się, że niczego nie chcą, kobieta uparła się, by zrobić im po filiżance kawy i poczęstować ciastkami.

– Jak się czuje Karolina? – zapytał Hubert.

Olga wyjrzała przez okno, upewniając się, że dziewczyna wraz z jej synem są na podwórku i nie będą ich słyszeć.

– Całkiem nieźle, zważywszy na to, co przeżyła – odpowiedziała w końcu. – Tamci ludzie zabili jej przybraną ciotkę, która opiekowała się nią od wojny. Widziała śmierć sąsiadów. Taki uraz zostawia blizny na całe życie. Nie wiem, jakim cudem znalazła drogę do Dąbrówki i zachowała zimną krew.

– Biedna dziewczyna – westchnęła Iza.

– Codziennie w nocy ma koszmary i budzi się z krzykiem.

– Dobrze, że ją przygarnęłaś – dodał Hubert.

– Jak mogłabym się nią nie zaopiekować? – odparła gorzko Olga. – Może już nie jest dzieckiem, ale każdy potrzebuje kogoś bliskiego. A poza tym, w domu przyda się druga kobieta. –

Uśmiechnęła się słabo.

Skóry z trojanów wyschły, Woźnica je wygarbował, a Zuzia wyczesła z nich niewielkie grudki błota. Szare futro było wyjątkowo grube i, jak się okazało, bardzo przyjemne w dotyk.

Hubert przczesał palcami miękkie włosie, zastanawiając się, co zrobi ze skór. Tak jak pozostali miał mieszane uczucia. To jednak nie to samo co futro z owcy, sarny czy dzika. Gdy dotykał trojana, jego serce zaczynało bić szybciej, mięśnie lekko drgały. Mimo to rozłożył futro na kanapie w dużym pokoju. „Demon to prawie zwykłe zwierzę” – przekonywał sam siebie.

W pierwszych dniach wszyscy domownicy omijali feralną kanapę szerokim łukiem. Hubert całkiem nieźle się bawił, gdy widział Izę, która za każdym razem nonszalancko ignorowała kanapę, siadając na parapecie. W końcu Ernest zapomniał i usadowił się na futrze, Henryk przysiadł się do niego i przez dobrą godzinę o czymś dyskutowali, zanim zorientowali się, dlaczego Hubert z rozbawieniem się im przygląda. Od tego dnia futro trojana na kanapie stało się czymś zupełnie naturalnym. Nawet goście, z Anielą Janicką na czele, nie widzieli nic złego w takiej dekoracji salonu.

Hubert, tak jak planował, wywiesił czaszki demonów przy wjeździe do wsi i wyjeździe z niej. Podświadomie wciąż czekał na awanturę, lecz gdy dwa białe, szczerzące zęby czerepy zawisły przy drodze, mieszkańcy Dąbrówki spoglądali na nie z mieszaniną grozy i podziwu. Nie każdy mógł się pochwalić taką ozdobą, a w świecie pełnym cieni i demonów czaszki te mogły mieć właściwości odstrasżające złe siły.

Zuzia przestała już dziwnie się zachowywać, teraz myślała i mówiła całkiem jasno. Ernest, znużony nadopiekuńczością Sylwii, zaczął unikać jej jak ognia. Jego rany nie były poważne i szybko doszedł do siebie. Jednak dziewczyna wciąż marudziła, że Ernie nie może się przemęczać, musi dużo odpoczywać – najchętniej zamknęłaby go w sypialni i zabroniła mu wstawać z łóżka. Hubert podejrzewał, że jest przeczulona po tym, jak widziała śmierć swoich rodziców, wujka oraz wielu innych, i nie chciała, aby cokolwiek stało się kolejnej osobie, która obiecała się nią zaopiekować. Zapewnienia Ernesta, że czuje się świetnie, nic nie pomagały, więc gdy tylko pojawiała się na horyzoncie, on gdzieś zniknął, a Hubert i Iza z rozbawieniem obserwowali ich podchody.

Ada szybko dogadała się z miejscową młodzieżą. Teraz miała czternaście lat, tyle samo co Karolina, z którą znalazły wspólny język A dla Jędrka, Oskara i Jagody, którzy od siedmiu lat byli skazani tylko na swoje towarzystwo, spędzanie z nimi czasu stanowiło miłą odmianę.

Jeżeli zaś chodzi o Henryka, to nie było z nim najlepiej. Rana postrzałowa goiła się wolno, pogryziona noga jeszcze gorzej. Dostał wysokiej gorączki i przez cały czas ktoś musiał przy nim

czuć. Irena dwoiła się i troiła, żeby mu pomóc, ale Henryk po prostu potrzebował więcej czasu. A gdy poczuł się trochę lepiej, stał się już w ogóle nie do zniesienia. Nie cierpiał bezczynności, więc leżenie w łóżku było dla niego katorgą, i choć wszyscy zabraniali mu wstawać, stwierdził, że „w łóżku ludzie umierają”, i chodząc o lasce, krążył po domu i usiłował znaleźć sobie zajęcie.

Wkrótce wrócili mężczyźni z Piaseczna. Odnaleźli siedem osób, które przetrwały napaść, w tym Konarzewskiego i Martynę z babcią. Ci ostatni zdecydowali się zostać w Dąbrówce. Przypędzili konie i krowy, a kury, kaczkę i świnię przywieźli na wozach. Zabrali również jedzenie, które mogło się popsuć. Domy zabezpieczyli przed zimą, beczkowóz ukryli w jednej ze stodół i zamierzali zabrać go stamtąd na wiosnę. Zostawili wiadomość dla innych, którzy mogli przetrwać, żeby szukali pomocy w Dąbrówce.

Goście z sąsiednich osad zabrali część żywego inwentarza i wrócili do siebie. Cztery osoby z Piaseczna zdecydowały, że osiedlą się w Kamiennej, gdzie również potrzebowano rąk do pracy.

– Dąbrówka się nam rozrasta – zauważył Hubert, patrząc, jak wszyscy pomagają nowym mieszkańcom urządzić się w domach, które od wojny stały opuszczone.

– To chyba dobrze – odparła Iza.

– Będzie więcej rąk do pracy, do obrony przed ludźmi i demonami. – Skinął głową. – Kiedyś się martwiłem, że jeżeli starsze pokolenie wymrze, nikt tu nie zostanie. Ale więcej mieszkańców oznacza też więcej problemów, kłótni.

– Dogadacie się. W końcu wszystkim zależy na tym, żeby przetrwać. A każdy wie, że w tych czasach najłatwiej przetrwać w grupie.

Jeszcze tego samego dnia Iza oświadczyła Henrykowi, żeby nawet nie myślał o tym, że na zimę wróć do Świącina. Mężczyzna nie był tym zachwycony, ale nie miał argumentów, aby protestować.

Hubert kilka razy namówił Izę na wyprawę po grzyby. Jesień była ciepła i deszczowa, więc za każdym razem wracali do domu z pełnymi po brzegi koszykami.

– Wiesz, że przed wojną nigdy nie chodziłem na grzyby? – zagadnął raz chłopak, gdy stanęli na skraju polany, na której co krok wystawał z trawy kapelusz. – I nie miałbym wtedy pojęcia, czy to w ogóle jest jadalne albo pomyliłbym z muchomorem sromotnikowym.

Schylił się i zerwał dorodną kanię.

– Uwielbiam ich zapach – stwierdziła Iza, niemal wsadzając nos w białe blaszki.

Hubert ubierał całe naręczce kań i zrobił z nich bukiet, który w domu wręczył Zuzi, mając nadzieję, że dziewczyna zrozumie aluzję i usmaży ich kapelusze w panierce z bułki tartej, czyli tak, jak lubił najbardziej.

Większość grzybów, jakie Hubert i Iza zbierali, zostało ususzonych na zimę.

Drzewa coraz szybciej traciły liście, zaścielając ziemię złocisto-czerwonym dywanem. Ozimina już dawno temu została zasiana, aby pod pierzyną ze śniegu, która wkrótce miała zakryć pola, czekać na wiosnę. W ogrodach wykonywano ostatnie prace przed zimą, przekopano ziemię, robiono przetwory. Jako że ręka Ernesta wciąż nie była do końca sprawna, to na Huberta spadł obowiązek porąbania całego stosu drewna, którym wcześniej nikt nie miał czasu się zająć.

Zmęczony wstawaniem skoro świt i wykonywaniem codziennych obowiązków, Hubert zerwał się pewnego ranka z łóżka i z radością odkrył, że oszronione źdźbła trawy lśnią we wschodzącym słońcu, a ostatnie liście pokryte srebrną warstwą drżą na lekkim wietrze i z cichym szelestem opadają na ziemię. Zaczęły się nocne przymrozki, a to oznaczało, że można iść na bagna i zebrać żurawinę, która dopiero teraz nadawała się do jedzenia, gdyż przemrożenie pozbawiało ją cierpkości.

Kiedy tylko się ubrał, Hubert wpadł do pokoju Izy i oznajmił, że na pewno marzy jej się długi spacer w ten chłodny poranek. A że wyprawa na trzęsawisko nosła ze sobą pewien dreszczyk emocji, dziewczyna nie miała najmniejszego zamiaru odmawiać.

W pośpiechu zjedli śniadanie, po czym Hubert zgarnął z kuchni pół bochenka chleba, kilka ząbków czosnku, do małego słoika wrzucił garść pęczaku z wczorajszego obiadu, a w kawałek białego płótna zawinął szczyptę soli i suszonego majeranku. Wsunął to do przepastnych kieszeni munduru.

– A występują na tym waszym bagnie ogniany? – zagadnęła Iza, gdy maszerowali zarośniętą leśną drogą. Z jej ust wylatywały obłoczki pary.

– Do tej pory nie było – odparł Hubert, wymachując pustym plastikowym wiaderkiem. – Ale nie dziwiłbym się, gdyby kiedyś się tam sprowadziły. W końcu demonów jest coraz więcej.

Gdy słońce znalazło się wysoko nad drzewami, załśniło w kropkach wody na trawie i gałęziach drzew, dotarli do bagna zarośniętego przez zielonożółte trawy i mchy. Hubert przeszedł wzdłuż brzegu, szukając jakichkolwiek śladów demonów. Kiedy uznał, że okolica jest bezpieczna, wygodnie zawiesił karabin na plecach. Iza wsunęła pistolet do kabury i ją zapięła.

Hubert, w pożyczonych od Alberta kałozach, pierwszy wkroczył na bagno, które przypominało falującą łąkę. Wilgotny mech ugiął się pod jego stopami, a woda zassała lekko buty, cmokając charakterystycznie przy każdym kroku. Iza ruszyła tuż za nim, z niewielkim wiaderkiem w garści, rozglądając się za lśniącymi czerwienią owocami płożącymi się wśród gąszczu.

Jeżeli było się ostrożnym i wiedziało, jak chodźć po bagnie, zbieranie żurawiny stanowiło dość

łatwe, choć nudne zajęcie. Gdy zebrali wszystkie owoce na jednym trzęsawisku, przenieśli się na następne i na jeszcze jedno.

– Co powiesz na obiad w lesie? – zaproponował Hubert, kiedy minęło południe, a ich wiaderka zostały napełnione.

– Jestem trochę głodna, a do domu kawał drogi – przyznała Iza.

– To chodź, znam świetną miejscówkę. – Uśmiechnęła się tajemniczo i poprowadził ją bezdrożami nad pobliską sadzawkę.

Dość rzadko, ale zdarzało mu się przychodzić w to miejsce z Ernestem lub Zuzią.

– Rozpalał małe ognisko, a ja zdobędę obiad – powiedział Hubert, sięgając do dziupli w starym dębie.

Iza z ciekawością przyglądała się, jak wyjmuje z niej żyłkę i haczyki na ryby.

W tych czasach trudno było o dobrą, sprawną wędkę. A jak ktoś taką miał, to dbał o nią i trzymał w domu. Ale nie zawsze człowiek mógł przewidzieć, kiedy znajdzie się na swoim ulubionym łowisku. Bat – lub, jak zwał to Albert, szach – mógł z powodzeniem zastąpić wędkę.

Hubert wyciął długi leszczynowy patyk, przywiązał do niego żyłkę, a do żyłki haczyk. W listopadzie nie miał co liczyć na dżdżownicę, więc rzucił na środek sadzawki garść pęczaku i już po chwili pod powierzchnią wody się zakotłowało. Z kawałka chleba ulepił kulkę, którą nabił na haczyki i zarzucił.

W niecałą godzinę Iza nabierała chrustu oraz kilka grubszych, w miarę suchych gałęzi i rozpałała niewielkie ognisko. Hubert zaś złowił kilkanaście ciemnych karasi.

– Często tu przychodzisz? – zapytała Iza, kiedy zabrali się do skrobania ryb; żadne z nich nie wychodziło z domu bez noża.

– Czasem po żurawinę przed zimą – odparł. – Albo jesienią chodzimy w te okolice na grzyby. No i kiedy zachce nam się ryb na obiad. Może te tutaj nie są zbyt piękne czy smaczne, ale szybko można nałowić całe wiadro.

Wypatroszone i umyte w wodzie z sadzawki ryby natarli solą, majerankiem i posiekany na grubej gałęzi czosnkiem. Potem nabili je na patyki i upiekli nad ogniem. Zjedli z chlebem.

– Dobre było – westchnął Hubert, siadając na przewróconym pniaku. Wyciągnął nogi przed siebie, a brudne palce rąk wytarł w spodnie.

– Mnie też smakowało – zgodziła się Iza, grzejąc dłonie przy dogasającym ognisku.

Nie spieszyło im się z powrotem do domu. Córka Sołtysa wzięła do ręki krótki patyk i grzebała nim w resztkach żaru. Miała lekko zaróżowione policzki, a w jej oczach lśniły dogasające płomienie ogniska. Hubert coraz częściej przyłapywał siebie na tym, że wodzi za nią wzrokiem.

Lubił patrzeć na Izę, gdy nie zdawała sobie sprawy, że jest obserwowana. Cieszył się, że postanowiła pojechać razem z nim na północ.

– Co? – Nagle podniosła wzrok na niego.

Hubert, z lekkim uśmiechem błędzącym na ustach, odpłynął już myślami gdzieś daleko i nic nie odpowiedział.

Wzruszyła ramionami, podniosła z ziemi dorodną szybkę i rzuciła w niego.

Trafiła go w czoło, na co chłopak, gwałtownie wyrwany z marzeń, krzyknął z bólu. W tej samej chwili usłyszeli trzask łamanej gałęzi do wtóru wysokiego gwizdu na drzewie ponad ich głowami.

Łowca zerwał się z pniaka, gdy między niego a Izę spadł nagle demon.

Stwór pozbierał się z ziemi, potrząsnął łbem i przykluczył gotowy do ataku. Miał długie, kościste kończyny, krótkie ciało i wielką głowę z szeroką blizną. Był bez sierści, za to z grubą, chropowatą skórą przywodzącą na myśl korę drzewa. Olbrzymie czarne oczy z wrogością wpatrywały się w Izę. Z jego gardła wydobywał się cichy świst.

Hubert bardzo powoli wyciągnął rękę po leżący obok karabin. Przez głowę z prędkością błyskawicy przelatywały mu najróżniejsze myśli. Zadawał sobie pytanie, dlaczego go nie wycofał.

Nienaturalnie błada Iza tylko na chwilę oderwała wzrok od demona i zerknęła na Huberta, dając mu do zrozumienia, żeby się pośpieszył z karabinem. Sama bała się sięgnąć po pistolet, aby jej ruch nie rozdrażnił stwora.

Leszy wyszczerzył kły, patrząc na dziewczynę, syknął ostrzegawczo, po czym odwrócił się do Huberta. Lekko opuścił łeb, gwizdnął cicho i niepewnie postąpił bokiem w jego stronę.

Łowca znieruchomiał z ręką wyciągniętą po karabin. Spojrzał w wielkie, czarne i błagalne oczy.

Hubert cofnął rękę i bardzo powoli skierował ją w stronę demona. Leszy wciąż gwizdał cicho. Wyciągnął do niego szyję, szerokie nozdrza filtrowały badawczo powietrze. Przez chwilę człowiek i bestia patrzyli sobie w oczy.

W tym czasie Iza wyciągnęła z kabury pistolet, odbezpieczyła go i wycelowała.

– Poczekaj! – powstrzymał ją Hubert.

Leszy gwizdnął głośno, podbiegł do najbliższego drzewa i błyskawicznie wspiął się po pniu. Ostatni raz zerknął na ludzi, potrząsnął łbem i przeskoczył na sąsiedni świerk, gdzie znikł między ciemnozielonymi igłami. Iza wciąż celowała w tamtych kierunku.

Hubert opadł na pniaki przeczesał palcami włosy.

– Hubert? – Dziewczyna schowała broń i podeszła do niego. – Czy mi się wydaje, czy ten demon zachował się jakoś dziwnie? – zapytała.

– Znam tego leszego – odparł powoli Hubert. – Wyciągnąłem go z klatki w tamtej jednostce... Iza zmarszczyła brwi.

– Ale to było dawno temu i daleko stąd.

Hubert spojrział na nią wymownie.

– Widziałś bliźnę na jego łbie? I ten jego charakterystyczny gwizd... słyszałem go już wiele razy. Ty zresztą też. Przez cały czas szedł za nami.

Iza pokręciła głową.

– Nie za nami. Za tobą.

– Tym demonom już zupełnie odbiło – mruknął Hubert. – Założę się, że to właśnie jego poczuła Zuza, gdy ostatnio zaczęła wywracać kuchnię do góry nogami.

Przez chwilę przepatrywali korony drzew.

– I co teraz? – Iza przerwała milczenie.

– A co ma być? Nic – odparł Hubert.

– Nie podoba mi się to. Trzeba na niego zapolować – stwierdziła, ale w jej głosie zdrząła nuta niepewności.

Zabijając demona, który czyha na ludzkie życie, to jedna sprawa, a zupełnie inna polować na takiego, który z jakiejś przyczyny uznał, że człowiek to jego kumpel.

– Nie po to ratowałem leszego, żeby teraz go ścigać – zdecydował łowca, zagarniając butem ziemię na żarzące się polana. – Tym bardziej że nie miał złych zamiarów, nawet ciebie nie chciał atakować.

– Mam tylko nadzieję, że nie będzie z tego jeszcze kłopotów.

– Ja też – westchnął Hubert. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Wiedział, że właśnie wziął na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo bliskich mu osób. I to za co? Za życie demona. Jednak od dłuższego czasu, a szczególnie odkąd odkrył w sobie zdolność wyczuwania emocji bestii, nie potrafił już traktować ich jak groźnych maszyn do zabijania.

– Twoja decyzja, łowco – powiedziała Iza, sprząając ich tymczasowe obozowisko.

– Chcę jechać na szaber – oznajmił Hubert podczas obiadu kolejnego dnia. – Magazyn świeci pustkami, a nas jest więcej niż podczas poprzednich zim.

Strzelanina późną jesienią mocno nadwerżyła ich zapasy amunicji i broni, a kilka jej sztuk oddali sąsiadom w podzięce za pomoc w walce. We wsi zaczęło też brakować różnych rzeczy,

przede wszystkim ubrań i butów. Bo choć noszono wszystko aż do zniszczenia i naprawiano, ciągle łatwiej było zdobyć nowe podczas szabru, niż produkować samemu.

– Trochę późno się obudziłeś – mruknął Albert. – Mamy środek listopada, a co jak drogi zasypie śnieg?

– Na razie jest ciepło i słonecznie. Jeżeli taka pogoda utrzyma się chociaż przez kilka dni, zdążę przed śniegiem i mrozem.

– On ma rację – dodał Ernest. – Rzeczywiście potrzebujemy broni, amunicji i ubrań. Powinniśmy jechać.

Hubert popatrzył na przyjaciela z dezaprobatą.

– Ale bez ciebie, ręka ci się jeszcze nie zagoiła.

– Zagoiła się wystarczająco, żeby dotrzeć do Koszalina i z powrotem. Ty wiele razy podróżowałeś w gorszym stanie.

– Ja też chciałabym jechać – oświadczyła Iza.

Nie znaleźli żadnych argumentów, aby jej tego zabronić. Iza dobrze strzelała, prawdopodobnie najcelniej z całej ich trójki, a poza tym – jako dziewczyna – mogłaby się zająć przygotowaniem posiłków...

– Tylko wybijcie sobie z głów, że będę gotować – dodała.

Nie da się ukryć, że byli zawiedzeni.

Tego wieczoru mieszkańcy Dąbrówki sporządzili listę potrzebnych rzeczy. Sylwia głośno wyraziła niezadowolony z faktu, że Ernest chce jechać. Chłopak jednak jej wytłumaczył, że od wielu lat był odpowiedzialny za szaber i nie zamierza z tego zrezygnować. Henryk zaś wymusił na Hubercie obietnicę, że zaopiekuje się Izą, bo w przeciwnym razie „inaczej sobie porozmawiają”.

Następnego dnia z samego rana opuścili Dąbrówkę. Powietrze było rześkie, z ust ulatywały obłoczki pary, a na trawie lśnił szron po nocy. Hubert pod kurtkę włożył gruby wełniany sweter zrobiony przez Dorotę Borowską.

Na noc zatrzymali się w małej wiosce, tej samej co zawsze. Zmienili jedynie lokum. Kiedy po wyjeździe Huberta nie zastał przyjaciela w bunkrze, Ernest, żeby się czymś zająć, wybrał dom z kominem, przeczyścił otwór kominowy, wstawił nowe drzwi, zabił deskami okna i przygotował idealne schronienie na chłodniejsze dni. Do tej pory nocowali w domku bez żadnego ogrzewania, a ogień palili w ogródku, jednak nigdy nie podróżowali do bunkra tak chłodną porą.

Iza zajęła się końmi, Ernest przygotowaniem kolacji, a Hubert wybrał się do lasu po drewno, ponieważ zapas przywieziony z Dąbrówki malał w zastraszającym tempie.

Gdy zbierał gałęzie, zobaczył świeże ślady zostawione przez stadko saren.

„Można by zapolować w drodze powrotnej” – pomyślał.

Z uwagą rozejrzał się po lesie i nagle odniósł dziwne wrażenie pustki. Był przyzwyczajony do obecności leszego. Demon podchodził bliżej, gdy łowca był sam, lub trzymał dystans, kiedy Hubertowi towarzyszyli inni ludzie, lecz nigdy nie opuszczał go na stałe. Dopiero teraz chłopak uświadomił sobie, że od wyjazdu z Dąbrówki ani razu go nie wy czuł. A to rodziło pytanie, gdzie w takim razie podział się leszy. Został w domu? Może zrobi komuś krzywdę?

W Dąbrówce została Zuza, ostrzeże innych, gdyby demon chciał coś nabroić.

„A jeżeli coś mu się stało?” – pomyślał Hubert i niespodziewanie zmartwił się o leszego.

Kolejnego dnia dojechali do Koszalina. Pięć lat wcześniej gdzieś na drugim końcu ponoć żyli ludzie, ale Hubert z Ernestem nie natknęli się na żadne ślady. Podejrzewali, że mieszkańcy po prostu wyprowadzili się na wieś, gdzie można było uprawiać ziemię, albo powymierali. Dwaj przyjaciele byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi, którzy korzystali z zapasów opuszczonego miasta.

– To gdzie najpierw? – zapytała Iza. – Nie wiem, jak wam, ale mnie kończą się ubrania, no i z Henrykiem nie jesteśmy przygotowani na zimę.

Wskazała na ciepłą kurtkę pożyczoną od Olgi Górskiej.

Problem polegał na tym, że gdy ponad siedem lat wcześniej kataklizm ogarnął świat, panowała wiosna. W sklepach na półkach były wtedy jedynie cienkie kurtki, lekkie buty i nic z ubrań zimowych. Czasem zdarzało się, że znajdowali je na zapleczu, lecz w odzież zaopatrywali się przede wszystkim w opuszczonych domach.

– Najpierw produkty spożywcze – odparł Ernest. – Potrzebujemy soli, zresztą jak zwykle. Dopiero potem zajmujemy się ubraniami.

– Patrzcie tam. – Hubert wskazał restaurację na końcu ulicy. – Duża knajpa, może tam coś znajdziemy.

Wnętrze restauracji nie wyglądało najlepiej – przewracane stoły, zniszczone krzesła, potłuczone szklanki. Siedem lat wcześniej, gdy zabrakło prądu, ludzie zaczęli włamywać się do sklepów i cudzych domów. Ciemność, która ogarnęła miasta, była ich sprzymierzeńcem. Gdy zaś rozpętała się epidemia, w panice i bezsilnej złości na władze demolowano, co popadnie. Dlatego wiele miejscowości wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado.

Hubert przemierzył dużą salę, minął drzwi z napisem „Nieupoważniony m wstęp wzbroniony” i wkroczył do kuchni.

– Wiecie, że jak byłem mały, to zawsze chciałem przejść przez takie drzwi? – rzucił do przyjaciół idących tuż za nim. – Być „osobą upoważnioną”...

– Teraz też nie jesteś upoważniony – odparł Ernest. – Po prostu kradniesz.

Hubert zajarzał do szafki, gdzie znalazł trzy woreczki z solą.

Opróżnili restaurację ze wszystkiego, co mogło się przydać w Dąbrówce – soli, cukru, naczyń, a nawet kuchennych noży. Później zaprowadzili konie do niewielkiego parku między blokami, gdzie rośla bujna trawa, i je tam spętała, a sami zaczęli przeszukiwać pobliskie sklepy.

Gdy się ściemniło, zatrzymali się w jednym z mieszkań w starej kamienicy. Zapowiadała się chłodna noc, więc przyszykowali mnóstwo koców i kołder. Na kolację zjedli bigos zabrany z domu, który Ernest podgrzał na ognisku w ogródku. Potem usiedli w pokoju przy blasku świec. Choć ciemność ogarnęła miasto, było jeszcze dość wcześnie i nikomu nie chciało się spać.

– Patrzcie, co dziś znalazłem. – Ernest podrzucił w dłoniach pudełko z szachami.

– Nie mów, że chcesz w to grać! – jęknął Hubert.

– No co? Ponoć to była rozrywka królów.

– Akurat. Ja nie wiem, kto wymyślił te kretyńskie zasady...

– To, że ty jesteś zbyt głupi, żeby zrozumieć szachy, nie znaczy, że inni też. Iza?

Dziewczyna spojrzała przelotnie na Huberta, a potem uśmiechnęła się do Ernesta.

– Z przyjemnością z tobą zagram.

– Dziwaki – burknął Hubert.

Zawinął się w koc i usiadł przy oknie.

– Przejdziemy się dziś po mieszkaniach w tej dzielnicy – zdecydował Ernest, kiedy kończyli jeść śniadanie. – Wiecie, czego szukać. Izo, rozejrzyj się za ubraniami zimowymi dla kobiet?

Dziewczyna skinęła głową.

– To widzimy się tutaj w południe.

– Kto nabiera więcej fantów, wygrywa – oznajmił Hubert i wyszedł z mieszkania.

Przez kilka godzin włamywał się do kolejnych mieszkań i cenne znaleziska kładł na wóz. Ku swojej ogromnej uciechu wygrzebał gdzieś krzesiwo magnezowe wraz z blaszką. Wcześniej tylko raz widział podobne. Można nim było rozpalić ogień prawie tak szybko jak zapałkami. A z nich

korzystało coraz mniej ludzi, bo zapasy były na wyczerpaniu. Podobnie sprawa się miała z zapalniczkami. Trzeba było próbować sobie radzić bez nich. Do łasek wracały krzesiwa i hubki robione z nadrzewnych grzybów.

Potem Hubert włamał się do dość dużego, eleganckiego domu. Przeszukał parter i pomaszzerował do pokoi na piętrze. W największej sypialni wykwił na ścianie malowniczy grzyb. Prawdopodobnie dach przeciekał i zielonkawa plama powiększała się z roku na rok w szybkim tempie. Hubert przejrzał wszystkie szuflady i szafki, ale nie znalazł w nich niczego wartościowego. W ostatniej chwili jego wzrok padł na małą szkatułkę. Otworzył ją i wyjął z niej srebrny łańcuszek z zawieszką.

„Jesteśmy jak liście na wietrze – przypomniał sobie słowa Izy wypowiedziane kilka tygodni wcześniej. – Wydaje nam się, że jesteśmy panami samych siebie, ale tak naprawdę nic od nas nie zależy”.

Wsunął łańcuszek do kieszeni w bluzie.

Po drodze na miejsce zbiórki trafił na mały sklep z tekstyliami wciśnięty między bloki. Na zapleczu znalazł kilka belek lnu i bawełny. Co prawda tkanina trochę wyblakła na wierzchu, ale Hubert wiedział, że kobiety w Dąbrówce będą zachwycone. Dorota Borowska i Olga Górską miały stare maszyny do szycia i potrafiły wyczarować prawdziwe cuda nawet z kawałka materiału. Wrzucił je na wóz i podszedł do Izy, która stała w ogródku i grzała dłonie przy ognisku.

– Wygrałem – oświadczył.

– W nic nie graliśmy – odparła. – A nawet gdyby, to zostałbyś właśnie zdyskwalifikowany za spóźnienie.

– Wy nie potraficie się bawić – mruknął rozczarowany. – Widzę, że znalazłaś coś na użytek własny – dodał, podziwiając ciepłą kurtkę i czarne skórzane oficerki do kolan, które Iza miała na sobie.

– Uhm, głupio ciągle pożyczać ciuchy od waszych kobiet.

– Gdzie Ernest?

– Wrócił jeszcze do jakiegoś ciekawego domu. I prosił, żebyś poukładała wszystko na wozie tak, by zajmowało jak najmniej miejsca.

Hubert jęknął z zawodem.

– A ty? Co będziesz robić?

– Grzać się i dobrze wyglądać – odparła Iza.



ROZDZIAŁ XV

Postanowili nie zatrzymywać się na noc w mieście, tylko ruszać jak najszybciej w kierunku domu. Śnieg, który zaczął prószyć, utwierdził ich w tej decyzji. Jeszcze tego samego dnia dojechali do bunkra, choć ostatni kawałek drogi pokonali w szybko zapadającej ciemności. Wczesnie rano ruszyli dalej przez śnieg. Na szczęście szybko przestało padać, więc nie musieli przekopywać się przez zaspy.

Po południu dojechali do znajomego opuszczonego miasteczka i postanowili się tam zatrzymać, już wiedzieli, że do Dąbrówki nie zdążą za dnia. A Hubert chciał zapolować w pobliskim lesie, by wrócić do domu ze świeżym mięsem.

Ernest i Iza zajęli się końmi i wozem, a on sam wziął broń i zapuścił się w las.

Zimą było tam spokojniej niż kiedykolwiek. Cisza aż dzwoniła w uszach. Zwierzęta spały, nie było ptaków ani owadów. I tylko ciemne pnie drzew nadawały temu puszy stemu i białemu światu lekko upiorny wygląd.

Postąpił krok naprzód, jego buty zaskrzyphiały głośno na śniegu. Zacisnął zęby i postąpił jeszcze kilka kroków. Wszędzie było pełno śladów saren. Ich odchody jeszcze lekko parowały.

„To będzie łatwe polowanie” – zawyrokował.

Wtem usłyszał coś niepokojącego. Za ledwie szelest, skrzypnięcie śniegu, ale jego zmysły były nad wyraz wyczulone. Przyłożył karabin do ramienia i powoli podszedł do drzewa, za którym coś się ukrywało.

I wtedy ktoś rzucił się na niego z dzikim wrzaskiem. Człowiek z okazałym nożem w garści. Hubert uchylił się i sam pchnął napastnika, który siłą rozpędu poleciał w śnieg. Nóż wylądował w zaspie tuż obok. Dopiero teraz zauważył, że jego przeciwnik to za ledwie nastolatek. Rozluźnił mięśnie, nie zamierzał przecież bić dzieciaka. Ale ten gwałtownie poderwał się z ziemi i wpadł na Huberta, łapiąc go ramionami w pasie.

Łowca obezwładnił go i przycisnął do ziemi.

– Dzieciaku, co ty wyrabiasz?!

– Puszczaj! – krzyknął chłopak

– Najpierw się uspokój!

Nieznamy znieruchomiał. A gdy Hubert go puścił, wtedy wstał i próbował uciec. Łowca jedną ręką złapał go za kaptur i szarpnął mocno.

– Zostaw mnie! – warknął chłopak z obcym akcentem.

– To ty mnie zaatakowałeś. Co tu robisz?

– Nie twoja sprawa.

– Skąd jesteś?

Nastolatek skrzyżował ręce na piersi i nie zamierzał odpowiadać na żadne pytania.

– Nie możesz sam włóczyć się zimą po lesie – powiedział Hubert, wygrzebując ze śniegu nóż, który następnie wetknął sobie za pasek – Jesteś tu z rodziną?

– Tak, z rodziną – burknął. – Ojciec ci wleje i jego kumple też.

– Ilu was jest?

Hubert nie lubił spotykać w takich okolicznościach grup nieznamych. Ostatnio coś takiego skończyło się strzelaniną. A zimą, gdy wszyscy są głodni, nawet ci spokojni stają się nieprzewidywalni.

– Dużo.

Lecz głos chłopaka zadrżał lekko.

– Odprowadzę cię do twoich ludzi – powiedział łowca.

– Nie.

– To nie była propozycja.

– Po co chcesz mnie odprowadzać?

– To są moje tereny. I nie lubię, gdy pojawiają się na nich obcy. Już, wstawaj.

– Nie zaprowadzę cię do rodziny. – Chłopak nie ruszył się z zaspą.

– Co za uparty gnojek – westchnął Hubert, złapał go za ramię i pociągnął w górę. – Przecież nic ci nie zrobię, chcę tylko pogadać z twoimi bliskimi.

– Akurat! – prychnął dzieciak

– Chcesz się kłócić? – Hubert zabezpieczył karabin, ale trzymał go tak, żeby dać młodemu do zrozumienia, że w każdej chwili może broni użyć.

Chłopak, udając twardego, ruszył przez las w kierunku wsi.

– Zatrzymaliście się we wsi? – zapytał łowca, podążając za młodzikiem.

– Tak

Hubert poczuł nagły skurcz w żołądku. Przecież tam zostali Ernest i Iza.

– Po cholere w ogóle mnie zaatakowałeś?

– Bo masz karabin – odburknął chłopak

– Słucham?

– Przydałby mi się. Ojciec ma taki i pozostali też, ale mnie żadnego nie chcą dać.

Wracając, natknęli się na martwego zająca powieszzonego za słoiki wysoko na drzewie.

– To twój? – zapytał Hubert.

– Tak

– Weź go, żeby się nie zmarnował. A dlaczego rodzina wysłała cię samego na polowanie?

Chłopak tylko wzruszył ramionami, wspinając się na drzewo, żeby odwiązać łup.

„Coś mi się twoja historia nie trzyma kupy – pomyślał Hubert. – Masz nie więcej niż czternaście lat. Prawie tyle co Oskar, a on ma zakaz wychodzenia do lasu w pojedynkę”.

– Jak masz w ogóle na imię? – zapytał łowca, kiedy zbliżyli się do wsi.

– Hans.

– Poważnie? – zdziwił się. – Ja jestem Hubert – dodał, widząc wrogą minę chłopaka.

– Słuchaj, nie musisz iść ze mną – powiedział Hans po chwili. – Nie chcieliśmy wtargnąć na twoją ziemię, przenocujemy tu tylko i pójdziemy dalej. Nie będziemy ci przeszkadzać.

– Prowadź do domu, w którym się zatrzymaliście. Tylko nie zrób czegoś głupiego.

Chłopak zgarbił się lekko, ale ruszył dalej.

Po chwili zatrzymali się przed starym budynkiem z zabitymi oknami i dymem wylatującym z komina.

– To tu. Widzisz? Nic złego nie robimy.

– I cała twoja wielka rodzina zatrzymała się w tym jednym domu?

– Tak – odparł ponuro.

– No już, idź, nic wam nie zrobię.

Chłopak przeszedł przez podwórkę i stanął przed drzwiami. Obejrzał się jeszcze na Huberta i z ponurą miną zastukał kłuciami w charakterystyczny sposób.

Usłyszeli w środku jakieś hałasy. Łowca na wszelki wypadek odbezpieczył karabin, a potem pchnął lekko Hansa, żeby otworzył drzwi.

Chłopak upuścił zajęcia, wpadł do środka i odbiegł w cień.

Hubert powoli przestąpił próg z karabinem przy ramieniu. Przez chwilę musiał przyzwyczajać wzrok do ciemności. Ostrożnie przeszedł przez krótki korytarz i zatrzymał się w wejściu do salonu. W kominku trząsał ogień, rzucając fantastyczne cienie na ściany i kanapę, na której leżała mała postać przykryta grubą pierzyną. Pomiędzy nią a Hubertem stanęła kobieta uzbrojona w dzidę, za paskiem miała wielki nóż. Jej oczy lśniły lodowatym blaskiem.

„Zaraz się na mnie rzuci” – przemknęło chłopakowi przez myśl.

Zabezpieczył karabin i powoli go puścił, pozwalając mu swobodnie zawisnąć na pasku. W pojednawczym geście odsunął ręce od siebie.

– Chciałem tylko porozmawiać – zadeklarował ugodowo, siląc się na spokojny ton.

Kobieta wciąż się w niego wpatrywała. Była gotowa na wszystko, żeby bronić swoich dzieci.

– Przepraszam, ale on do mnie celował – odezwał się cicho Hans, stając przy kanapie. – Nie chciałem go tu przyprowadzać.

Wtem osoba leżąca na łóżku jęknęła cicho i przewróciła się na drugi bok. Na poduszce załśniły długie czarne włosy.

Kobieta nerwowo zerknęła w tamtym kierunku.

– Co jej jest? – zapytał Hubert.

– Ma gorączkę – rzuciła zdawkowo kobieta.

– Mam o!!! – wrzasnęła nagle dziewczynka.

Wszyscy drgnęli nerwowo, a kobieta opuściła dzidę i podbiegła do córki.

– Już dobrze, jesteś bezpieczna – szepiała, gładząc małą po głowie.

– Wróć za chwilę – powiedział Hubert, po czym wyszedł z pokoju i przyniósł zajęcia porzuconego na progu przez Hansa. Spojrzał na nieznajomą. – Twój syn go upolował – wyjaśnił, kładąc zwierzę na stole.

Kobieta skinęła lekko głową. Była dość wysoka, mimo grubej warstwy ubrań sprawiała wrażenie chudej i niedożywionej. Włosy miała schowane pod chustką.

– Mamo, one tu są! – jęknęła dziewczynka. – Potwory tu przyszły...

Rzuciła się na łóżko, a gdy matka chciała ją uspokoić, z wrzaskiem zasłoniła się przed nią.

Hubert z przerażeniem spojrział na dziecko. Widział już takie objawy, ba, sam je miał. Podszedł szybko do łóżka, a wtedy kobieta rzuciła się po dziecę.

– Spokojnie... Chcę pomóc. – Spojrzął nieznajomej w oczy. – Czy coś ją zaatakowało?

Pokręciła głową.

– Była sama w lesie?

Znów przeczenie.

– Czy spotkała demona?

Kobieta wybałuszyła oczy.

– Ona nie jest tylko chora, prawda? – zapytał. – Co się stało?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Jeżeli to był bies, wróci po nią! – warknął zniecierpliwiony. – A wtedy żadna dzida ci nie pomoże!

– Mamo – odezwał się cicho Hans. – Powiedz...

Hubert wpatrywał się w chłopca wyczekująco. Jeśli czai się tu gdzieś bies, nie spocznie, póki nie dopadnie ofiary. Jego bliscy również znajdowali się w niebezpieczeństwie. Kobieta westchnęła z rezygnacją.

– Wczoraj coś ją ugryzło. Zabiłam to i wyrzuciłam, ale w nocy dostała gorączki i zaczęły się omamy.

– Zabiłaś... Dobrze. Gdzie trup?

– Pokaż mu – zwróciła się do syna.

Chłopak kiwnął głową i wyprowadził Huberta z domu. Na podwórku, kilka metrów od drzwi, zaczął odgarniać śnieg.

– To było gdzieś tu... O, jest.

Łowca pochylił się i ujrzał dużego robaka zwiniętego w spiralę. Miał co najmniej trzydzieści centymetrów długości i wiele odnóży. Jego grzbiet był pokryty chitynowym pancerzem. Przypominał przerośniętego pędraka. Hubert ułamał z pobliskiego krzaka gałązkę, wsunął ją pod robaka i podniósł go lekko. Robak miał małą szczękę, z której wystawały dwa zęby.

Powąchał go i natychmiast upuścił w śnieg. Martwy stwór był demonem.

Wstał, odszedł dwa kroki i wziął głęboki wdech, żeby pozbyć się z płuc smrodu.

– Użarł ją – mamrotał pod nosem, a Hans przypatrywał mu się z mieszaną ciekawości i strachu. – Użarł... teraz dziewczynka ma gorączkę i omamy.

Ręką przetarł twarz. W myślach porządkował informacje o demonach zsyłających na ludzi omamy.

– Na pierwszym miejscu bies – mamrotał Hubert. – Ognian? Nie, on tylko kusił. Wid? Nie, wywołuje omamy tylko u pijaków. Południca... ból głowy, ale nie gorączka. Jakaś mara? Też nie. Kat! – olśniło go w końcu. – No przecież! Dręczy sumienie, zsyła omamy!

Nie oglądając się na Hansa, z powrotem wpadł do domu.

– Gdzie ją ukąsił?

– W nogę – odparła matka.

– Pokaż ranę – nakazał.

Kobieta po chwili wahania odsłoniła kończynę dziewczynki. Tuż powyżej kostki widniały dwie małe czerwone kropki oddalone od siebie o niecały centymetr. Takie samo ugryzienie miał kiedyś Bartek

– To był łas – orzekł łowca.

– Co? – zdziwiła się kobieta.

– Kat, taki demon. Dręczy sumienie, zsyła omamy – zacytował demonologię. – Pilnuj jej dobrze, pochowaj wszystkie ostre narzędzia, bo inaczej zrobi krzywdę albo sobie, albo któremuś z was. Jeżeli będzie bardzo źle, przywiąż ją do łóżka. Jednak nie martw się, to przejdzie; jutro, pojutrze wyzdrowieje.

– Kim ty jesteś?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Mam na imię Hubert.

– Natalia, a to jest Blanka.

Łowca spojrzął na okno zabite deskami. Na zewnątrz było jeszcze jasno. Minie godzina, dwie, zanim przyjaciele zaczną się o niego martwić.

– Pomogę wam – powiedział. – Nie odchodź od niej na krok. A ja sprawię waszego zająca.

Kobieta uśmiechnęła się lekko i przez małą chwilę wydawało mu się, że skądś ją zna.

Wziął zająca i wyszedł z nim na dwór. Po chwili dołączył do niego Hans i patrzył, jak mężczyzna ostrym bagnetem obdziera zwierzę ze skóry.

– Na pewno jej przejdzie? – zapytał po kilku minutach.

– Tak, widziałem już coś takiego.

– Dziękuję – szepnął cicho.

Kiedy wrócili do domu, Hubert nasypał trochę śniegu do garnka, stopił go i zagotował. Do wrzątku wrzucił pokrojonego zająca. Dobrze by było jeszcze go posolić, przyprawić i dodać jakieś warzywa, lecz nic takiego nie znalazł.

– Co was w ogóle przywiało tutaj w taką pogodę? – zapytał, kiedy gulasz się gotował.

Siedział na krześle obok kominka, a kobieta przycupnęła na skraju łóżka córki. Hans położył się na dywaniku przy ogniu.

– Jedziemy do rodziny – odparła.

– Daleko? O tej porze roku to nie najmądrzejsza decyzja.

– Nie, blisko. – Uśmiechnęła się słabo. – Taką mam przynajmniej nadzieję. Wszystko się zmieniło od wojny.

– Gdzie dokładnie? Może będę umiał pomóc. W promieniu ponad stu kilometrów znam wszystkich.

– To była taka mała wioska. Nazywała się Dąbrówka.

Hubert zaniemówił.

– Nie znasz jej? – zapytała z rozczerwaniem.

– Ja tam mieszkam.

– Naprawdę? Są tam ludzie?

W oczach kobiety pojawiły się łzy. Drżała na całym ciele.

Hubert zaczął domyślać się wszystkiego.

– A znasz może Alberta? Jest dość stary, ale mam nadzieję, że przeżył...

– Pani Natalia?

Kobieta zdziwiona zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, skąd miałyby kojarzyć nieznanego, który przed nią siedział.

– Jestem Hubert, przyjaciel Ernesta.

Po policzkach Natalii popłynęły łzy, nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

– Czy Ernest...?

– Ma się całkiem nieźle. A przynajmniej miał, gdy go widziałem dziś po południu.

Kobieta zaczęła się śmiać przez łzy, a już po chwili poderwała się z kanapy i mocno wyściskała Huberta, aż prawie spadł z krzesła.

– Gdzie on jest?! – wykrztusiła.

– W domu na końcu wsi, czeka, aż wrócę z polowania.

Nagle Blanka zaczęła się rzucać na łóżku i krzyczeć. Oboje musieli ją unieruchomić, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Dopiero po kilku minutach zapadła w niespokojny sen.

– Boże, ale ty wyrosłeś! – westchnęła Natalia. – W życiu bym cię nie poznała.

– Ja pani też nie.

– Mów mi, proszę, po imieniu.

Uśmiechnęła się i zdjęła z głowy chustkę. Na ramiona opadły jej płomiennorude loki poprząkane pasemkami siwizny.

– Teraz rozpoznaję... – Hubert się uśmiechnął.

– A Zuzia? – zapytała Natalia.

– Cała i zdrowa. Albert też. Wszyscy mieszkamy w Dąbrówce.

Kobieta znów zaczęła płakać.

– Dacie sobie radę sami przez chwilę? – Hubert wstał. – Pójdę po Ernesta i go tutaj przyprowadzę.

– Dziękuję – szepnęła.

Powoli pchnął drzwi. Na dywaniku w korytarzu otrząsnął ze śniegu kurtkę i buty.

– Wrócił nasz łowca. – Usłyszał głos Ernesta.

Hubert wszedł do pokoju, w którym na grubym dywanie siedzieli przy kominku jego przyjaciele i grali w szachy.

– Ej! Buty zdejmujecie się w korytarzu! – huknęła Iza. – Śniegu nam tu nanosisz.

– Upolowałeś coś? – zapytał Ernest, nie podnosząc głowy znad szachownicy.

– Co? Nie... – odparł, wciąż stojąc w progu.

Przyjaciele spojrzeli na niego zdziwieni.

– Ja... – zająknął się.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Iza.

– Spotkałem kogoś. Najlepiej będzie, jak ubierzecie się i pójdziecie ze mną – wykrztusił w końcu.

Co prawda sprawa dotyczyła jedynie Ernesta, ale Hubert nie chciał, żeby Iza została sama w domu.

Leżko zaniepokojeni, ale też zaintrygowani przyjaciele ubrali się i wyszli za Hubertem w mrok. Wciąż prószył śnieg.

– Gdzie ty nas prowadzisz? – uty skiwała Iza.

– Zaraz zobaczycie, jeszcze kawalek.

Dotarli do domu na końcu wsi. Hubert zastukał krótko do drzwi, a potem wszedł do środka.

– Wróciłem! – zawołał. – Idź pierwszy. – Popchnął lekko przy jaciela.

Stanęli na progu salonu. W kominku wciąż palił się ogień.

Natalia poderwała się z kanapy, na której leżała Blanka, przeszła kilka kroków i stanęła naprzeciw Ernesta. Płakała.

– Ernest! Synku! – zaszlochala i rzuciła mu się w ramiona.

Chłopak, wciąż nie rozumiejąc, odruchowo ją objął.

– Kochanie, poznajesz mnie?

Spojrzał na jej wychudzoną twarz i rude loki.

– Mama?

Pokiwała głową, a wtedy on z całej siły uściskał matkę.

– Co się dzieje, bo nie do końca rozumiem? – Iza zapytała szeptem Huberta.

– To jest jego matka, ostatni raz widzieliśmy ją przed wojną – wyjaśnił.

– A tamten? – Wskazała na Hansa stojącego w kącie.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Gdy Ernest skończył witać się z mamą, co Hubertowi wydawało się wiecznością, wszyscy usiedli przy kominku.

Patrzył na kumpla, który wciąż nie wierzył w swoje szczęście. Ernest już dawno temu pogodził się z myślą, że więcej nie zobaczy rodziców. Nawet nie marzył, że coś takiego może się stać.

– Co z tatą? – zapytał w końcu.

Natalia spuściła wzrok

– Zmarł trzy lata temu.

Ernest kiwnął głową. To był cud, że odzyskał matkę, ale nie umiał ukryć żalu, że ojcu się nie udało.

– Co się z wami działo przez te wszystkie lata? – Hubert zmienił temat.

Natalia uśmiechnęła się smutno i założyła kosmyk rudych włosów za ucho.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Może jak wy dostaliście się ze Sri Lanki? – zaproponował Ernest.

– Tak... – Skinęła głową. – To było najprostsze. Kiedy wszędzie na świecie odpalano bomby, a wielkie mocarstwa zaczęły się wzajemnie ostrzeliwać, wstrzymano wszystkie loty. Mieliśmy

jednak nadzieję, że to będzie tylko tymczasowe i jakoś wrócimy do domu. A potem zabrakło prądu. Nam, turystom, mówiono niewiele, żeby nie się paniką, ale z czasem zaczęli dbać tylko o siebie. Miejscowi uciekali, kelnerzy, portierzy, sprzątacze – oni wszyscy opuszczali hotele, w których mieszkaliśmy. Nikt nie chciał zabrać nas do Indii. I w sumie tylko dzięki temu przetrwaliśmy pandemię. Ludzie z wyspy uciekali, a mało kto na nią płynął. Choroba do nas nie dotarła. Zresztą o ogromie śmierci, jaki spowodowała, dowiedzieliśmy się dopiero potem, gdy wraz z innymi turystami z Europy znaleźliśmy porzuconą łódź i wykonując kilka kursów, dotarliśmy na stałą ląd.

– A co potem? Przecież to było ponad siedem lat temu – odezwał się Ernest.

– Indie znalazły się w tragicznej sytuacji – odparła Natalia. – Niewiele przetrwało. Zaraza wytrzebiła ich prawie do nogi. A ci, którzy przeżyli, cóż, dobrze było, jak po prostu nas unikali. Bo zdarzało się niestety, że czasem atakowali. To wyglądało jak koniec świata. A najgorsze, że nie mogliśmy się z nikim skontaktować. Nie wiedzieliśmy, co się działo w Europie. Z twoim ojcem mieliśmy nadzieję, że Polska jest tak niewielkim i mało znaczącym krajem, że to wszystko ją jakoś ominie. Pandemia ogarnęła cały kontynent, a potem nastąpił ten impuls elektromagnetyczny. Jak się później okazało, to samo działo się w Europie. Ale nie mogliśmy zostać w Azji, ciągnęło nas do domu, do rodziny. Wyruszyliśmy z Indii w ponad czterdzieści osób. Jednak nikt nie był przygotowany na taką podróż. Nie mieliśmy pojęcia, jak sobie radzić w obcym świecie. Pogoda dawała nam się we znaki, przychodziły okropne upały i deszcze monsunowe. Nie wiedzieliśmy, jakimi roślinami możemy się żywić, jakich zwierząt unikać, a jakie nie stanowią dla nas zagrożenia. Już na samym początku straciliśmy kilku ludzi. Przestaliśmy wierzyć, że kiedykolwiek uda nam się wydostać z tamtego piekła. Ale wciąż parliśmy naprzód, pomagaliśmy sobie nawzajem, bo przyświecał nam jeden cel: dotrzeć do Europy. To było niesamowite, nagle starsze francuskie małżeństwo stało się naszymi sąsiadami, a Hiszpania leżała rzut beretem od Polski. Musieliśmy trzymać się razem. Co oczywiście nie znaczy, że nie zdarzały się kłótnie ani rozłamy. Kilka osób się od nas odłączyło i ruszyło do Europy na własną rękę, nie mam pojęcia, czy przetrwały. Przez kilka lat prowadził nas pewien Litwin, Witold. Był twardym i mądrym człowiekiem. Dzięki niemu przetrwaliśmy. Z początku zdobywaliśmy jedzenie w opuszczonych sklepach i domach, ale z czasem nauczyliśmy się polować, dowiedzieliśmy się, które rośliny są jadalne. Zdobyliśmy kilka wołów i wozów, dzięki czemu mogliśmy zabrać ze sobą pewien dobytek – jedzenie, wodę, ubrania. Czasem z ojcem śmialiśmy się, że jesteśmy niczym Cyganie podróżujący z miejsca na miejsce, niczym małe miasteczko. Co prawda ta podróż wcale nie szła nam tak łatwo, ale jakoś sobie radziliśmy. Wszystko odbywało się powoli. Przebyć pieszko dwa kontynenty to nie bajka. I pomyśleć, że kiedyś samolotem zajmowało to chwilę.

Natalia uśmiechnęła się smutno.

Blanka spała, oddychając płytko, blask płomieni lśnił na jej włosach. Hubert dołożył drewna do kominka, starając się nie obudzić przy tym Hansa, który usnął na dywanie tuż obok ognia. Iza spojrzała przelotnie na łowcę, poprawiła się na krześle i znów popatrzyła na Natalię. Ernest położył rękę na dłoni matki i lekko ją ścisnął.

– Dotarliśmy w końcu w chłodniejsze rejony – kontynuowała kobieta. – Nie mogliśmy podróżować zimą, to zbyt niebezpieczne. Trzeba było na jakiś czas gdzieś się osiedlić, zabezpieczyć na następne miesiące, żeby wiosną ruszać dalej. W ciągu kolejnych lat nauczyliśmy się, jak żyć w podróży w nowym świecie. Z czasem stawało się to coraz łatwiejsze, głód nękał nas coraz rzadziej. Jednak brakowało nam prawdziwej opieki lekarskiej oraz leków. Ludzie umierali od zwykłego przeziębienia czy zakażeń. I pojawiły się te... stwory.

– Demony? – wtrącił Ernest.

Pokiwała głową.

– Kilka razy udało nam się zatrzymać w zamieszanych osadach i za pomoc w gospodarstwach oraz na polu mogliśmy pobyc tam jakiś czas, żeby odpocząć. Część osób decydowała się wtedy zostać, wszyscy byli zmęczeni ciągłą podróżą, a nie mieliśmy przecież pewności, że nasze rodziny żyją. Do Europy nie dotarła nawet połowa ludzi, którzy wraz z nami uciekli ze Sri Lanki. Przetrawiali głównie dzieci i najstarsi. Ci w zaawansowanym wieku posiadali ogromne życiowe doświadczenie, potrafili łagodzić wszelkie spory, więc byli cenni dla grupy. Z kolei jeśli chodzi o dzieci, to cóż, nimi trzeba się opiekować. Wiele razy inni oddawali im swoje jedzenie, wodę, poświęcali się, żeby najmłodszy przetrwali. Kiedy opuszczaliśmy Indie, Blanka miała zaledwie trzy lata, Hans siedem. Ale nie opiekowali się nimi wyłącznie ich rodzice. Kiedy trzeba było, nosiliśmy je na zmianę. Zaprzyjaźniłam się z ich matką, która była w połowie Polką, i gdy umierała, obiecałam jej, że zajmę się dziećmi. Zresztą wszyscy nam pomagali. Od nas dzieciaki nauczyły się polskiego.

„No, stary – pomyślał Hubert, patrząc na Ernesta. – Jesteś bogatszy o nowe rodzeństwo. Ciekawe, co na to Zuza. I co powie Natalia, widząc, jak jej córka zmieniła się po wojnie”.

– Twój ojciec zmarł na zapalenie płuc – podjęła opowieść kobieta. – Przykro mi. Myśleliśmy, że oboje was znajdziemy... Przepraszam. – Pokręciła głową, rude loki przesłoniły jej twarz. – Do Polski dotarło łącznie ze mną i dziećmi siedem osób.

– To gdzie jest pozostała czwórka? – zapytał Hubert.

– W centrum kraju trafiliśmy na spokojną osadę. Tamci postanowili, że zostaną w niej na zimę i wiosną zastanowią się, co dalej robić. Ale ja już nie mogłam dłużej czekać. Byłam tak blisko domu, tak blisko was. Nie potrafiłam już znieść niewiedzy na temat tego, co się z wami stało.

Choć zima zbliżała się wielkimi krokami, postanowiłam jechać dalej. Hans uparł się, że nie opuszczam mnie z Blanką... A potem spadł śnieg, Blankę ugryzło tamto coś...

– Coś? – zapytał Ernest.

– Kat, potem ci powiem. – Hubert machnął ręką.

– A nie pomyślałeś o tym, że w Dąbrówce mogłaś nikogo nie zastać? – Ernest zwrócił się do matki.

– Liczyłam na to, że jeśli nie przeżył nikt z rodziny, to w okolicy trafimy na przyjaznych ludzi, którzy nas przygarną. A poza tym przetrwaliśmy wiele lat w obcych krajach, poradziłibyśmy sobie.

Ernest sapnął głośno, wyrażając niezadowolenie.

– I kto by pomyślał, mój syn wydorósł i zmądrzał. – Natalia uśmiechnęła się szczęśliwa.

– Bez przesady – mruknął.

– Ojciec byłby dumny, gdyby cię zobaczył. Ale teraz opowiadajcie, co u was się działo. Wiedziałam, że Zuzia była u dziadka, więc miałam nadzieję, że nic jej nie będzie. O ciebie martwiłam się bardziej. Sam za granicą. – Pokręciła głową. – Bałam się, że nie wrócisz.

– Jakoś się udało – odparł. – A potem z rodzicami Huberta przyjechaliśmy do Dąbrówki i tam zostaliśmy.

– Twoi rodzice żyją? – Natalia spojrzała pytająco na Huberta.

– Ojciec tak, mama zmarła dwa lata po wojnie – odparł po chwili milczenia.

– Przykro mi.

Zapadła cisza.

– Do Dąbrówki mamy pół dnia drogi – odezwał się w końcu Hubert. – Myślę, że stan małej poprawi się przez noc i rano będziemy mogli ruszyć. Zresztą lepiej się poczuje w ciepłym i czystym domu.

Natalia pokiwała głową.

– My już chyba powinniśmy iść – powiedziała Iza. – Zajrzyjmy do koni.

Wstała z krzesła, a kiedy Hubert się nie ruszył z podłogi, kopnęła go w udo.

– A, tak idziemy. – Pozbierał się z ziemi. – Widzimy się rano.

Rano spakowali się, a potem część zdobyczy z szabru, bez których mogli się obyć w Dąbrówce, zanieśli do domu i poukładali w salonie, żeby zrobić miejsce na wozie dla nowych pasażerów. Potem zabrali resztkę jedzenia i ruszyli na koniec wsi.

W pewnej chwili Hubert poślizgnął się na lodzie i stracił równowagę. Iza chciała go podtrzymać, ale podciął jej nogi i oboje wyśliznęli w zaspie.

Dziewczyna parsknęła z wściekłością, ale jego śmiech był zaraźliwy, więc również zaczęła się śmiać, co nie znaczy, że zamierzała podarować mu winę. Nabrała garść śniegu i rzuciła w niego.

Hubert nie pozostawał jej dłużny i ulepił dużą śnieżkę.

– Nawet nie próbuj – zastrzegła, wstając z ziemi.

– Bo co?

– Pożalujesz – zagroziła.

Hubert rzucił śnieżkę. Celował w ramię, ale Iza spróbowała się uchylić i kulka trafiła ją w głowę.

– Ups.

Dziewczyna spojrzała na niego, mrużąc powieki, i sięgnęła po nową porcję śniegu.

– Tylko bądź delikatna – poprosił.

Podbiegła i wrzuciła mu śnieg za kołnierz.

– No wiesz... – oburzył się.

– Wstawaj. – Wyciągnęła do niego rękę i pomogła mu wstać.

– Ślicznie wyglądasz – oznajmił, patrząc na jej zaróżowione od mrozu policzki. – Jak Królowa Śniegu. – Delikatnie wyjął jej grudki lodu ze związanych włosów.

– A ty jak bałwan śniegowy. Nie ruszaj się, to cię otrzępię, bo masz całe plecy białe.

Przez chwilę Hubert poczuł się tak jak przed wojną, jakby nigdy nie spotkało go nic złego, jakby nie było zarazy ani demonów czających się w mroku. Jakby znów był beztroskim nastolatkiem.

Odwrócił się do Izy i patrząc w jej roześmiane oczy, wiedział, że poczuła dokładnie to samo.

Do domku na końcu wsi dotarli, wciąż rzucając się śnieżkami.

– Przynieśliśmy śniadanie – przywitał się Hubert. – Jak Blankka?

– Gorączka spadła i nie ma już omamów – odrzekła Natalia. – Myślę, że możemy niedługo jechać.

Ruszyli w drogę.

Gdy po południu dotarli do Dąbrówki, zrobiło się niezłe zamieszanie. Nagle olbrzymi dom Alberta stał się mały i ciasny. Gdy wszyscy zebrali się w salonie, zabrakło miejsca na kanapie i krzesłach. Iza usiadła na parapecie, Hubert na ziemi, opierając się plecami o kaloryfer. Natalia jeszcze raz

musiała opowiadać o tym, co działo się z nią od czasu wojny.

– Przez tyle lat szłam do Polski – powiedziała na koniec – mając nadzieję, że zastanę was tu całych i zdrowych, ale gdy widziałam, co działo się na świecie, w głębi serca nie wierzyłam, że jeszcze żyjecie. Nawet nie wyobrażacie sobie, jaka jestem szczęśliwa.

Kobieta otarła łzę z policzka i spojrzała z uśmiechem na swoją rodzinę, a Hubert poczuł się trochę jak intruz. Od dawna traktował Alberta jak dziadka, a Zuzia mówiła do Daniela „wujku”, ale przecież tak naprawdę nie byli spokrewnieni. Co będzie teraz, gdy Natalia z dwójką nowych dzieci sprowadzi się do domu?

„Jakoś sobie poradzimy – pomyślał. – Ponoć im tłumniej, tym weselej”.

I wtedy spojrzał na Zuzię, która z kolanami podciągniętymi pod brodą siedziała na krześle przy stole. Ucieszyła się, widząc własną matkę, a nawet z radości się popłakała, ale teraz jakby odsunęła się od wszystkich. Już się nie uśmiechała, wyglądała wręcz na ponurą.

Nagle jej oczy zaszyły mgłą i zaczęła mamrotać pod nosem. Prawdopodobnie nikt nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby z każdą sekundą nie mówiła coraz głośniej.

– Siedzą w domach... zamknięci... ślepi i głusi... nic nie wiedzą... nic nie rozumieją...

Wtem jej wzrok odzyskał ostrość. Gwałtownie poderwała się z krzesła.

– Klakier wrócił – rzuciła i pospiesznie wysła z pokoju.

– Co się stało? – zapytała Natalia, patrząc w ślad za nią.

– Ee... nic – zająknął się Ernest. – Czasem mówi... do siebie. Poszła do swojego, ehm, kota.

– To mówisz, że gdzie zostali tamci ludzie, z którymi podróżowaliście? – Albert zmienił temat.

Ernest przyniósł mapę, żeby jego mama mogła wskazać tamto miejsce.

Następnie starszy pan opowiedział, co się działo w Dąbrówce przez ostatnie lata.

– Widzę, że radziliście sobie nieźle – podsumowała Natalia. – To cudownie wiedzieć, że w domu u jest wszystko w porządku. Dziękuję, że zająłeś się moimi dziećmi.

– Przecież to moje wnuki, co miałem zrobić?

– Co nie umniejsza twoich zasług. Spójrz tylko na Ernesta, wyrósł na porządnego mężczyznę. Już wcześniej mówiłam, że ojciec byłby z niego dumny.

Hubert wywrócił oczyma, słysząc ciągle pochwały pod adresem przyjaciela. Przeciągnął się, lecz żeberka kaloryfera boleśnie wbijały mu się w plecy.

„Cielawe, gdzie wcięło Zuzę” – pomyślał.

Przymknął oczy i wziął głęboki wdech. Klakier siedział w kuchni, więc jego właścicielka pewnie też.

Hubert wstał z podłogi i wyszedł z pokoju. Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Tak jak przypuszczał, w fotelu pod oknem w kuchni siedziała Zuzia ze swoim pupilem. Demon otworzył jedno oko i zerknął na chłopaka, a potem powrócił do błęgiego nicnierobienia. Zuzia z nieobecnym wzrokiem głaskała owinnika po czarnej sierści.

– W porządku? – zapytał Hubert.

Dziewczyna nie zareagowała.

– Zuza! W porządku?

Dopiero po chwili spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

– Idę rozpakować wóz, pomożesz mi? – zaproponował.

Skinęła głową.

Ubrali się i przeszli przez zaśnieżone podwórko do stodoły, gdzie stał wóz. Klakier został w fotelu w kuchni.

– O co chodzi? – zapytał Hubert, kiedy odwiązywał plandekę.

– O nic.

– Daj spokój, przecież widzę twoją skwaszoną minę. Nie cieszysz się, że mama wróciła?

– Oczywiście, że się cieszę. Co to w ogóle za pytanie?

– Ale?

– Spójrz na mnie, jak ja wyglądam? – zapytała gorzko.

– Normalnie? – zaryzykował.

– Może dla was normalnie, ale wyobraź sobie, co ona musiała pomyśleć?

– Że wyrosłaś na ładną dziewczynę? – odpowiedział.

– Akurat! – prychnęła. – Przez dwie godziny bardzo się pilnowałam, żeby nie zrobić albo nie powiedzieć czegoś głupiego. Nawet nie wiesz, jakie to trudne!

– E tam, niepotrzebnie się przejmujesz. Ja zawsze robię albo mówię coś głupiego.

– Ale ciebie ludzie nie uważają za czubka!

– Musisz przyznać, że trochę tak...

– Nie tak jak mnie! Tysiące razy już słyszałam, że gadam od rzeczy! I że zachowuję się dziwnie! Tylko pomyśl, co musiała przeżyć mama. Wyjeżdża na wakacje, zostawiając zupełnie normalną trzynastoletnią córkę. A gdy po siedmiu latach wraca do domu, zastaje szurniętą dwudziestolatkę!

Zuzia ze złością zdarła z wozu plandekę i usiadła na odwróconym wiadrze, podpierając brodę dłońmi.

– Często sama nie wiem, co mówię, po prostu słowa wylewają się ze mnie. Czasem nie

odróżniam, co widzę naprawdę, a co mi się mami. I śnię na jawie! Wydaje mi się, że gdzieś jestem, w lesie albo na polu, a potem budzę się nagle na środku kuchni z nożem w rękę! Wyobraź sobie, jakie to uczucie. A co jeśli raz przyśniłoby mi się, że atakuje mnie demon, i zrobiłabym komuś krzywdę?!

– Nie zrobiłabyś, ja to wiem. – Kucnął przed nią i pogładził dłonią po ramieniu.

– Słyszałam, co mówiła – westchnęła z zalem. – Jaka jest dumna z Ernesta. Że wyrósł na wspaniałego mężczyznę. I nie ma się co dziwić. Jest silny i inteligentny. Nie to co ja, pokręcona czarna owca.

– Ej, to ja zawsze byłem uważany za czarną owcę. Mama ciągle mi to powtarzała.

Lecz jego słowa wcale nie pocieszyły Zuzy.

– Słuchaj – odezwał się po chwili. – Twoja mama wracała do domu przez wiele lat. Nic nie było w stanie jej powstrzymać. Tak bardzo was kocha. Nic w was jej nie rozczaruje. Co prawda może się wydawać, że bardziej cieszy się na widok Ernesta, ale to tylko dlatego, że bardziej się o niego martwiła. Ty byłaś bezpieczna pod opieką Alberta, a on przecież utknął w Paryżu, jak zaczęła się wojna. Siedemnastolatek ma niewielkie szanse na dotarcie do domu w takich warunkach.

Zuzia niepewnie pokiwała głową.

– Pomyśl tylko, jaka jesteś niezwykła – kontynuował Hubert. – Pierwsza zaczęłaś wyczuwać demony. Jesteś w tym najlepsza ze wszystkich. I czujesz o wiele więcej niż tylko to, że są w pobliżu, prawda?

Dziewczyna spojrzała na niego przenikliwie. Hubert miał wrażenie, jakby czytała w nim niczym w książce.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam – odparła powoli. – Zresztą sama często się zastanawiałam, czy to nie przez to, że coraz bardziej wariuję.

– W takim razie jest nas dwoje.

Spojrzała na niego pytająco.

– Zaczęło się od psów południcy. Poczulem ich głód. Innym razem odebrałem niepokój dzikich ludzi, a potem miałem wrażenie, jakbym znalazł się w środku ich stada. Jakbym był jednym z nich. No i te trojany, które zaatakowały nas dwa tygodnie temu.

Zuzia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wiem, kiedy są głodne – przyznała. – Wiem, kiedy są złe, przestraszone, zawiedzione, szczęśliwe, zainteresowane. A od czasu, gdy trzymali mnie w tamtej jednostce, jest jeszcze gorzej.

Hubert zamyślił się na chwilę.

– Czasem zastanawia mnie, skąd to się u nas wzięło. Dlaczego nikt inny nie wyczuwa demonów?

– Nie wiem i myślę, że nigdy się tego nie dowiemy.

– Pięknie – westchnął. – Jeden potrafi ładnie malować, inny śpiewać, a my wiemy, co czują demony. Dobrze, że szpitale dla umysłowo chorych już nie funkcjonują, bo na pewno by nas tam zamknęli.

Zuza uśmiechnęła się lekko.

– Kiedyś wykorzystamy ten dar do innych celów niż zabijanie ich – powiedziała spokojnie, patrząc w górę.

Hubert powędrował za jej wzrokiem, ale nie zobaczył na drewnianym suficie stodoły nic ciekawego. Piętro wyżej było jedynie siano. Przez chwilę miał wrażenie, jakby dziewczyna chciała dodać coś jeszcze, ale się rozmyśliła.

– No i pamiętaj, że wariaci zawsze mają taryfę ulgową u innych ludzi – podsumował. – A teraz pomóż mi w końcu z tym wozem.

Na noc Natalia ze swoimi przybranymi dziećmi położyła się w pokoju na piętrze, który do tej pory zajmowała Iza, a dziewczyna przeniosła się do Zuzi. Ernest musiał tylko dostarczyć dwa materace z domu gościnnego.

Przed ósmą Huberta obudziły odgłosy krzątania. Jednak on sam nie wstał tak wcześnie. Wolał uniknąć tłumu w kuchni. Teraz było ich dziesięcioro i nie zamierzał przepychać się do stołu. Po dziesiątej wreszcie zwlekł się na dół. Nakroił chleba, wziął kawałek kielbasy, o której istnieniu zapomnieli pozostali, i usiadł za stołem, rozkoszując się spokojem. Niestety nie na długo.

– Ile można spać? – oskarżycielsko zapytała Iza, wpadając do kuchni.

– Tyle ile trzeba, żeby to boskie ciało nabrało energii.

W odpowiedzi tylko prychnęła sarkastycznie i usiadła okrakiem na krześle po przeciwnej stronie stołu.

– Musimy pogadać – powiedziała po chwili.

– Petentów przyjmuję w dni powszednie w godzinach od jedenastej do jedenastej trzydzieści – oświadczył.

Iza wzięła z miseczki leżącej na stole suszoną śliwkę i rzuciła w niego.

– Ogarnij się.

– No dobra. O co chodzi? – zapytał już poważnie.

– Zrobiło się trochę ciasno w waszym domu – odparła Iza powoli. – Nie chcemy z Henrykiem wam przeszkadzać, więc myślę, że powinniśmy załatwić nam mieszkanie w domu gościnnym.

– Daj spokój, tamta chałupa nie nadaje się na zimę. Ogrzewanie nie działa, a poza tym tam prawie nie ma mebli.

– Hubert, tak nie może być. Samo wykarmienie dziesięciu gęb to już problem...

Hubertowi nie podobało się to, co mówiła Iza. Miała trochę racji, ale nie chciał, żeby się z Henrykiem wyprowadzali. Problem polegał na tym, że przestał się czuć uprawniony do podejmowania jakichkolwiek decyzji w tym domu.

– Nie ma mowy. – Do kuchni weszła Natalia. – Nie chcę, żebyście cokolwiek zmieniali z naszego powodu. Pomieścimy się tutaj wszyscy. To jest wielki dom. Ojciec mówił, że wystarczy nam zapasów, jeśli będziemy gospodarować nimi oszczędnie.

Iza spojrzała na Huberta zmieszana.

– A poza tym – kontynuowała Natalia – wczoraj wieczorem ojciec mi opowiedział, co zrobiliście dla mojej córki. Za to nigdy nie zdołam się wam odwdziżyć.

– No to problem rozwiązany – odparł wesoło Hubert. – Myślę, że można przenieść łóżko Hansa do pokoju mojego i Ernesta – zaproponował w przyływie dobrego humoru.

Natalia uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Najwyraźniej zależało jej na tym, żeby jej prawdziwe i przybrane dzieci jakoś się dogadały.

Tego dnia odwiedziła ich sąsiadka Janicka i wręczyła Albertowi pięć słoików z ogórkami, potem Woźnica podarował mu kilka kawałków wędzonej dziczyzny. Hubert po raz pierwszy od bardzo dawna zabrał się do sprzątnięcia pokoju, a gdy już kończył, dołączył do niego Ernest.

– Słyszałem, że dokwaterowałeś nam Hansa – powiedział rudy chłopak.

– Ale nie jesteś chyba o to zły?

– Nie, coś ty. Trochę ciasno nam będzie, ale w końcu to duży chłopak, głupio, żeby spał z dziewczynami. A co ci mówiła wczoraj Zuza?

– Trochę się boi, co wasza mama o niej pomyśli. O tym, jak się zmieniła.

Ernest pokiwał głową i usiadł na łóżku.

– Wieczorem próbowaliśmy z dziadkiem jej powiedzieć, że Zuza jest trochę inna.

– I co ona na to?

– Że to nie ma znaczenia.

– To dobrze. A co ty o tym wszystkim myślisz? O tym, że masz nowe rodzeństwo?

– Trochę dziwne uczucie. Wiesz, już dawno przyzwyczailem się do myśli, że rodzice nie żyją.

Nie dociera do mnie, że za ścianą jest mama, cała i zdrowa. A dzieciaki wydają się w porządku. Zresztą w Dąbrówce brakowało młodej krwi.

– To co powiesz na to, żeby w ramach zacieśniania więzi zabrać je na obchód wsi?

– Czemu nie? Pójdę po nie, a ty znajdź dziewczyny.

Iza siedziała z Danielem w salonie i przeglądała demonologię, którą przepisywał, co jakiś czas zadawała pytania. Widząc ich razem, Hubert poczuł lekkie ukłucie zazdrości, że nawet ona lepiej dogaduje się z jego ojcem. Zuzia z Klakierem leżeli na łóżku u siebie.

– Ubieraj się, idziemy na spacer – rzucił krótko.

Wyszli z domu całą szóstką i ruszyli przez zaśnieżoną wieś. Ernest mówił Hansowi, kto gdzie mieszka i czym się zajmuje. Lecz Blanka nie wykazywała zbytniego zainteresowania tą wycieczką. Zuza również błądziła myślami gdzieś daleko, więc Hubert postanowił je odrobinę rozweselić.

Kilkanaście metrów dalej zobaczył Oskara Berdę.

– Teraz patrzcie. – Ulepił twardą śnieżkę.

– Co ty... – zaczęła Iza, lecz pocisk już leciał w stronę Oskara, a kiedy rozbił się na jego głowie, Hubert schował się za pniem drzewa.

Oskar odwrócił się w ich stronę. Jego wzrok padł na Ernesta.

– Pogięło cię?! – syknął, po czym nabrał dużą garść śniegu i wy celował.

– Co? To nie ja! – bronił się Ernest.

– Akurat!

Hubert, ukryty za pniem drzewa, wybuchnął śmiechem.

Zanim zdążył się schylić po kolejną śnieżkę, Dąbrówkę ogarnęła śnieżna wojna. W ciągu kilku minut na ulicy znalazło się całe młode pokolenie mieszkańców wsi i zaczęło obrzucać się śniegiem.

Pół godziny później, gdy nikt nie miał już siły walczyć, przemoczeni do suchej nitki wrócili do domów.

– Czy wam odbiło?! – naskoczył na nich Albert w korytarzu, gdy strząsali z siebie resztki śniegu. – Stare konie, a zachowują się jak jakieś szczeniaki. A wy – zwrócił się do Izy i Zuzy – myślałem, że jesteście mądrzejsze od tych bałwanów.

– Nie denerwuj się, dziadku. – Zuzia pocałowała go w policzek

Albert się skrzywił, ale zostawił ich w spokoju.

Czekało ich jeszcze kłamanie od Natalii – zaledwie dwa dni wcześniej Blanka była chora

i powinni lepiej o nią zadbać.

– Idźcie się przebrać, potem pościeracie podłogę w korytarzu – zakończyła tyradę. – A ja zrobię wam coś ciepłego do picia.



ROZDZIAŁ XVI

Zima zagościła na dobre, chwyciły wysokie mrozy. To był spokojny czas. Należało jedynie zadbać o zwierzęta, zająć się odśnieżaniem i chodzić do lasu na ścinkę drzew. Hubert lubił te obowiązki, były odskocznią od siedzenia w ciemnym domu. Kilka razy wybrał się z Izą na przejażdżkę po okolicy, żeby i konie zażyły ruchu. Ernest dużo czasu spędzał z Sylwią. Henryk dochodził do siebie. Jego rany w końcu zaczęły się goić i przestał być już marudny. Wycieńczeni po długiej, wyczerpującej podróży Natalia i dwójka przybranych dzieci często się przeziębiali, toteż Irena leczyła ich najróżniejszymi wywarami i ziołami, naparem z lipy, mniszka lekarskiego czy sokiem z czarnego bzu. Albert zaś co wieczór podawał swoją nalewkę malinową, która była bardzo słodka i piekielnie mocna.

Zuzia nawiązała bliższy kontakt z Blanką. Podarowała jej swoje stare puzzle i kilka książek. Spędzając razem czas, najczęściej milczały, jednak najwyraźniej żadnej to nie przeszkadzało. Hans miał większe problemy z odnalezieniem się w nowym środowisku. Do tej pory był przyzwyczajony do życia w podróży, innego świata właściwie nie pamiętał. Jeszcze miesiąc wcześniej czuł się dorosły i odpowiedzialny za opiekę nad Blanką i przybraną matką, a teraz znalazł się nagle w domu pełnym starszych od niego mężczyzn. Z początku był pyskaty

i wypróbował, na ile może sobie pozwolić, ale Albert traktował go zdecydowanie. Przy tylu osobach mieszkających w jednym domu często zdarzały się różne sprzeczki, jednak żadna nie okazała się zbyt poważna.

Drzwi do domu Alberta prawie nigdy się nie zamykały. Sąsiedzi ciągle ich odwiedzali, szczególnie pani Janicka, której nudziło się samej. Daniel przepisywał kolejne kopie demonologii, gdy z zgodnie postanowili, że wiedzą o demonach należy się podzielić z innymi i zaprzyjaźnionymi osadami.

Gdy na dworze mróz ścinał kałuże, a w piecu buzował ogień, sprawiając, że w całym domu było przyjemnie ciepło, Zuzia wraz z Natalią i Blanką zabierały się do produkcji mydła. Kilka lat wcześniej, kiedy zapasy środków czystości jeszcze sprzed wojny powoli się wyczerpywały, kobiety w Dąbrówce musiały zacząć eksperymentować. Nieocenionym źródłem wiedzy okazała się wtedy Aniela Janicka. Na początku efekty ich pracy były mizerne – mydło wcale się nie pieniło. Dużo lepsze wydawało się mydło z tłuszczu roślinnego, bo to z owczego zatykało pory i choć pieniło się obficie, pozostawiało też krople tłuszczu na skórze. Wkrótce jednak udało się wyprodukować takie, którym już wygodnie można było się umyć. Szarą bądź brązową masę, konsystencją przypominającą masło, kobiety trzymały w drewnianych foremkach zbitych przez Górskiego i odkrajały nożem grube plastry.

Teraz każda kobieta we wsi najczęściej produkowała mydło sama. Dodawała mieszanki suszonych ziół czy kwiatów, lawendę, melisę, rumianek, miętę.

Zimą można było również prząść wełnę z Orlej. Odnalezione lata wcześniej na strychach i w piwnicach kołowrotki znajdowały się teraz prawie w każdym domu. Hubert często przy sypiał, słysząc jednostajne kłopotanie drewnianego kołowrotka Zuzy, a gdy się budził, obok dziewczyny leżały w koszyku równo poukładane włóczki, z których potem powstawały swetry, czapki i szalik.

Przez zimowe miesiące trójka uciekinierów z Piaseczna, czyli Konarzewski i Marty na z babcią, mieszkała w jednym z opuszczonych domów.

Na początku grudnia Olga Górska urodziła syna, co było nie lada wydarzeniem dla mieszkańców Dąbrówki. Po raz pierwszy od prawie ośmiu lat we wsi pojawiło się niemowlę. Narodziny te oznaczały nowy początek życia dla wszystkich.

– Tak jakby wcześniej wszyscy zostali zawieszani w próżni – stwierdził Hubert. – Najważniejszym zadaniem było przetrwać i nie dać się zabić. A teraz jest tak, jakby ludzie naprawdę zaczęli żyć.

– Znow ponosi cię wyobraźnia – skwitował Ernest.

Jednak najważniejsze było to, że Dąbrówka przestała być wsią starych ludzi. Zyskała nowych mieszkańców w sile wieku. Teraz można było zacząć myśleć o organizowaniu innego życia.

W planach na niezbyt daleką przyszłość pojawiło się zbudowanie ogrodzenia wokół całej osady. W końcu wystarczy ręk do pracy, a poza tym więcej mieszkańców oznaczało więcej osób, które należało chronić.

Przed Bożym Narodzeniem mróz odpuścił, a śnieg się stopił. Taka zmiana pogody przyczyniła się do choroby kilku osób, ale nie było to nic poważnego, czego Irena nie mogłaby wyleczyć. Mieszkańcy osady urządzili świnioobicie, a potem zajęli się przygotowaniem mięsa. Albert wędził szynki i kazał Izie i Zuzi czyścić jelita na kiełbasę. Hubert pomagał starszemu panu przy wędzeniu ryb. Henryk wybrał się na polowanie wraz z Woźnicą. Przesilił jednak chorą nogę i wrócił, kulejąc. Iza, jak tylko go zobaczyła, zrobiła mu awanturę i zabroniła wychodzić poza obręb gospodarstwa. Tydzień przed świętami terytorium kuchni opanowała Natalia z córkami. W ręcznej maszynie zostały zmielone kiszona kapusta i grzyby, ulepiły pierogi i uszka do barszczu, upiekły pierniki.

Hubert starał się im schodzić z drogi, żeby na niego nie krzyczały. Czasem, gdy były czymś bardzo zajęte, wkradał się do kuchni i podbierał jedzenie. Raz udało mu się nawet zdobyć kawałek wędzonej gęsiny i pół bochenka chleba, a żeby nikt go nie przyłapał na obżarstwie, postanowił zaszyć się w jakimś zacisznym miejscu.

Przemknął na piętro pogrążone w półmroku, obejrzał się za siebie i ruszył do schodów na strych.

– Co ty tu robisz? – zapytała oskarżającym tonem Iza i zagroziła mu drogę.

Szybko schował jedzenie za plecy.

– Co? Ja? Nic.

Podeszła do niego.

– Co tam chowasz?

Zmarszczyła brwi i jedną ręką chwyciła go za kołnierz, a drugą wyciągnęła jego dłoń zza pleców.

– Co to... Gęś?

Hubert skruszony pokiwał głową.

– Tylko mnie nie wydaj, bo nie będę miał życia.

– Gdzie z tym szedłeś?

– Na strych.

Iza wpatrywała się w niego nieprzeniknionym wzrokiem.

– Dobra, nie wydam cię, ale podzielisz się ze mną.

Usiedli na zakurzonych workach z ubraniami i za stertą pudeł i kartonów.

Przez małe, powleczone warstewką lodu i śniegu okienka w dachu docierało niewiele światła.

Hubert znalazł kawałek deski, ukroił kilka kromek chleba i cieniutkich plasterków gęsiej pierś. Mięso było twarde i niemal czarne, ale znakomicie przyprawione.

– Częstuj się. – Nabił na nóż plasterki i podał Izie.

– Boże, ależ to dobre – westchnęła.

– W sklepie w życiu byś czegoś takiego nie dostała – powiedział, żując drugi kawałek.

Na strychu, wygodnie rozłożeni na workach z ubraniami, nie rozmawiając o niczym ważnym, spędzili ponad godzinę. Nie chcieli im się schodzić do tego zgiełku i hałasu, jaki zazwyczaj panował w domu.

Nagle usłyszeli skrzypienie drzwi i kroki na drewnianych schodach. Wymienili spojrzenia, a potem wychylili się zza kartonów. Najpierw zobaczyli poświatę lampki naftowej, a potem wyłoniła się duża sylwetka Ernesta.

– Hubert, jesteś tu? Właśnie, wszędzie cię...

Zamilkł, gdy zobaczył Izę.

– Co wy tu... – zaczął. – Ee... aha, dobra, nie przeszkadzajcie sobie... to ja już... ten, sobie pójdę.

Zanim zdążyli go zatrzymać, pospiesznie zszedł ze schodów i zatrzasnął za sobą drzwi.

Hubert i Iza spojrzeli na siebie w półmroku i wybuchnęli śmiechem.

– Widziałas jego minę? – zapytał chłopak, wycierając palcem łzy spod oczu.

– Ty wiesz, co on sobie pomyślał?

– Wiem – powiedział uradowany. – Ale to lepiej, niżby dowiedział się prawdy: że chowamy się na strychu, bo ukradliśmy najlepszą wędzonkę Alberta.

– Myślisz, że powiem innym?

– Coś ty, to dobry kumpel, nie zdradzi nikomu naszego „romansu”.

Następnego dnia Hubert z Ernestem, Hansem i Woźnicą wybrali się saniami do pobliskiego lasu i przywieźli choinki dla mieszkańców wszystkich domów we wsi.

Od obowiązku strojenia drzewka świątecznego Ernest wykrcił się tym, że musi pomóc w przygotowaniach do świąt Sylwii i pozostałej trójce uciekinierów z Gdańska. Hubert ubierał więc choinkę z Blanką i Hansem. Narzekał przy tym tak głośno, że Iza zlitowała się nad nim

i postanowiła dotrzymać mu towarzystwa – choć podejrzewał, że to raczej dlatego, iż nie chciała pomagać Natalii i Zuzi w kuchni.

Kończyli właśnie zawieszanie łańcuchów, kiedy do pokoju wszedł Henryk

– Przeczytałem tę waszą demonologię. – Położył na stole starą, sfatygowaną książkę, którą tyle lat wcześniej Hubert i Ernest ukradli z biblioteki.

– I jak wrażenia? – zapytał chłopak

– Interesujące. Jak odróżnialiście prawdę od fikcji?

– Ciężko było – odparł chłopak – Na początku wykułem to wszystko na pamięć. Potem Ernest zaczął sporządzać notatki na marginesach, opisujące nasze doświadczenia, aż postanowiliśmy stworzyć własną wersję demonologii, bazującą na oryginale i na tym, czego sami się dowiedzieliśmy.

– Mądrze. – Henryk kiwnął z uznaniem głową. – Macie rację, że taka książka powinna się znaleźć w każdej osadzie.

– Można by ją wzbogacić o doświadczenia innych ludzi z demonami – westchnął Hubert.

– Ale to by wymagało podróżowania – stwierdziła Iza. – Jeżdżenia po tych wszystkich wioskach, rozmawiania z ludźmi...

Hubert się uśmiechnął.

– No i o to chodzi.

W Wigilię po kolacji wszyscy mieszkańcy wsi wybrali się z pochodniami do kościoła na czuwanie – nie było księdza, który odprawiłby pasterkę.

Kolejne dwa dni świąt upłynęły leniwie – i na odwiedzinach sąsiadów. A gdy Hubert chciał choć na chwilę odpocząć od zgiełku, zaszywał się na strychu, gdzie wyniósł sobie koc. Często drzemał na workach z ubraniami. Oczywiście gdy był potrzebny, Iza doskonale wiedziała, gdzie go szukać, i nader chętnie go budziła.

Na sylwestra wszyscy młodzi zostali zaproszeni do starego domu Michała. Zebrało się ich trzynaście osób. Kiedy Hubert patrzył na znajome twarze, nie mógł uwierzyć, że w osadzie przybyło tylko mieszkańców.

Wszystkie dziewczyny się wystroiły. Tylko Iza włożyła dżinsy, twierdząc, że w razie ataku demonów nie zamierza ganiać za nimi po lesie w wieczorowej kiecce. Hubert właściwie po raz pierwszy od wojny ubrał się w białą koszulę i spodnie od garnituru, ale już po godzinie wyglądał tak jak zazwyczaj – czyli niechlujnie.

Każdy przyniósł ze sobą trochę jedzenia i coś do picia, a sąsiadka Janicka podarowała im

butelkę bimbrowego z topinamburu, lecz nie cieszył się zbyt dużym powodzeniem. W przeciwieństwie do słodkiego wina Doroty Borowskiej.

Rozmawiali, grali w różne gry i kalambury.

Tuż przed północą wyszli na dwór. Na środku wsi zbierali się wszyscy mieszkańcy. Daniel wraz z Henrykiem zajęli się kilkoma petardami znalezionymi podczas szabru ubiegłej wiosny. I choć było ich niewiele, zabrakło szampana i nie mieli pewności, czy świętują Nowy Rok równo o północy, wszyscy dobrze się bawili. Przeżyli kolejny rok, przetrwali atak obcych, stracili tylko jednego człowieka – Sylwestra Berdę, a porwana Zuza się odnalazła, Górskim urodziło się zdrowe dziecko, byli bliżej z innymi osadami niż kiedykolwiek. Patrzyli w przyszłość z nową nadzieją.

Po skromnym pokazie sztucznych ogni wszyscy, ściskając się i całując, złożyli sobie noworoczne życzenia.

W przypływie dobrego humoru Hubert, wbrew zdrowemu rozsądkowi, pocałował Izę w usta, za co dostał cios pięścią w wątrobę. I choć przez blisko pięć minut zwijał się z bólu, nie żałował, bo przecież taka okazja zdarza się tylko raz w roku.

Popatrzył na otaczających go ludzi. Jednych lubił bardziej, innych trochę mniej, ale wszyscy byli mu bliscy. Albert w swojej czapce uszance wciśniętej na łysinę składał życzenia Borowskiemu, Daniel stał tuż obok z Ireną i Woźnicą, Natalia, obejmując przed sobą Blankę, przyglądała się im z uśmiechem, Teresa Berda dopadła Henryka i składając mu życzenia, ucałowała go w oba policzki. A potem spojrział na obejmujących się Ernesta i Sylwię.

Jakimś cudem siostrom, Agacie i Kajetanowi udało się umknąć z Gdańska. A Beata chciała ratować Heńka i przypłaciła to życiem nie tylko własnym, lecz także rodziny. To nie powinno się zdarzyć. Hubert przymknął na chwilę powieki i oczyma wyobraźni zobaczył drobną skrzypaczkę leżącą na bruku w kałuży krwi. Potrząsnął głową, próbując odpędzić tę wizję, ale nie potrafił.

– Co jest? – Iza szturchnęła go łokciem po żebrach.

– Co? Nie, nic. – Pokręcił głową.

– Przecież widzę.

– Najlepiej! – Niespodziewanie Oskar rzucił się na Huberta, składając mu życzenia.

Potem stanął przed Izą.

Ludzie zaczęli się rozchodzić do domów. Sylwester sylwestrem, ale zrobiło się zimno. Nie wszyscy szli spać. Młodzi ruszyli w stronę dawnego domu Michała.

Iza zrównała się z Hubertem, który włókł się ze spuszczoną głową, i wzięła go pod rękę. Pozostali mijali ich powoli i po chwili zostali w tyle.

– To o co chodzi? – zapytała Iza.

- Teraz chcesz mnie męczyć? – jęknął.
- Chyba należy mi się coś po tym, jak mnie pocałowałeś.
- Tak, należało ci się i mnie pobiliś. To chyba wystarczy?
- Nie, nie wystarczy.

Zanim Hubert się zorientował, weszli między ogródki i wracali na imprezę już okrężną drogą. Dał w końcu za wygraną.

– Przypomniała mi się pewna dziewczyna – zawiesił na chwilę głos. – Pewnie pamiętasz, jak Agata i Kajetan mówili o Beacie z Gdańska. Miała szansę uciec ze Starego Miasta, ale wróciła, żeby ratować niedorozwiniętego chłopaka. Zastrzelili ją oraz jej rodzinę. Koniec historii – powiedział cierpko.

- Zależało ci na niej – bardziej stwierdziła, niż zapytała.
- Gdyby mi naprawdę zależało, zostałbym w Gdańsku albo zabrał ją ze sobą.
- Nie mogłeś przewidzieć, że ktoś ich zaatakuje.
- No widzisz, nic nie mogłem zrobić – mruknął. – A poza tym to było dawno temu.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Był w Lipczynku taki jeden chłopak, kilka lat starszy ode mnie – odezwała się Iza. – Zawsze go spotykałam, kiedy jechaliśmy na szaber. Aż któregoś razu go tam nie zastałam. Powiedzieli, że poszedł na polowanie i już z niego już nie wrócił. Szukali, ale ślad po nim zaginął. Prawdopodobnie został zabity przez demona.

Hubert spojrział na Izę. W ciemności widział tylko zarys jej bladej twarzy.

- Byliście blisko?
- Wszystkim mówiłam, że nie. Że nawet go nie lubiłam.
- Ale to nie była prawda?
- Nie, bo nie chciałam, żeby mi współczuli. Łatwiej było mówić, że mi na nim nie zależało, bo przynajmniej nie musiałam z nikim o nim rozmawiać.

Stanęli przed domem Michała. Przez okna wylewał się słaby poblask lamp naftowych. Słychać było śmiech imprezowiczów.

- Wchodzimy? – zapytała Iza.
- Panie przodem. – Otworzył jej drzwi.
- Już myśleliśmy, że coś was pożarło! – wykrzyknęła na ich widok Agata.
- Coś ty – odezwał się Ernest. – Tej dwójki żadne demony nie ruszą. Dobrze wiedzą, że lepiej trzymać się od nich z daleka.

Styczeń minął jak z bicia strzelił, a luty był dużo bardziej mroźny niż w poprzednich latach. Chłód wkradał się do domów, obór i kurników, ściał jezioro grubą na kilkadziesiąt centymetrów pokrywą lodu. Głodne i spragnione dzikie zwierzęta podchodziły niemal pod samą granicę wsi.

Pewnej nocy Hubert obudził się z poczuciem dziwnego niepokoju. Ernest chrapał na swoim łóżku, a Hans zwinął się w kłębek pod grubą pierzyną. Księżyc wyszedł zza chmur, a jego blask odbił się w grubej warstwie śniegu przykrywającej świat i wlał przez okno do pokoju. Noc wydawała się spokojna, co jakiś czas ciszę mąciło jedynie trzeszczenie desek w starym domu. A mimo to Hubert nie mógł usnąć. Rzucił się w pościeli, a gdy kołdra zsunęła się z niego, zaczął trząść się z zimna. Szczękając zębami, wstał z łóżka. Postawił stopy na zimnej podłodze. Szybko się ubrał, zapalił świeczkę stojącą na szafce i zszedł do piwnicy.

Dom był pogrążony w ciemnościach i ciszy. Wszyscy twardo spali.

– Albo udają, że śpią, bo nikomu nie chce się dorzucać drewna w środku nocy – mrknął Hubert, zaglądając do pieca. Tak jak podejrzewał, ogień wygasł.

Na nowo rozpalili w piecu i przez kilka minut grzał się przy otwartych drzwiczkach. A potem powlekł się do kuchni, aby pociągnąć łyk wody.

Stanął z kubkiem przed oknem i zapatrzył się na zaśnieżone podwórko. Klakier zwinięty w kłębek na fotelu pomrukiwał cicho. Nagle ciszę w uspionym domu przeszył przeraźliwy wrzask. Na ułamek sekundy Huberta sparaliżowało. Po chwili postawił kubek na stół, pobiegł ciemnym korytarzem i wpadł do pokoju, prawie wyważając drzwi. Tuż za nim mknął owinnik.

Na jednym łóżku zobaczył Iżę dopiero co wyrwaną ze snu. Na drugim siedziała Zuza; zapatrzona w przestrzeń, znów zaczęła krzyczeć.

Hubert dopadł do niej i potrząsnął za ramiona.

– Co się dzieje?!

Zuza, wciąż go nie widząc, z przerażeniem malującym się w oczach, przyłożyła palce do ust.

– Zuza!

– Tam jest potwór!

Hubert odruchowo zerknął za siebie, ale szybko znów skierował wzrok na dziewczynę.

– Gdzie? Zuza! Gdzie?!

Wreszcie spojrzała na niego.

– We wsi – powiedziała cicho. – We wsi jest demon.

Hubert skinął głową i podniósł się z łóżka. W głębi pokoju stali zaniepokojeni Ernest, Albert i Natalia.

– Co robimy? – zapytał łowca.

Wiedział, że szukanie demona po nocy we wsi nie było dobrym pomysłem.

– On kogoś zabije – szepnęła Zuza. – Już czuje krew.

– Ubierzcie się – postanowił Ernest.

Natalia została z Zuzią tulącą w ramionach Klakiera, a pozostali wyszli na korytarz.

Hubert narzucił na ramiona kurtkę, stopy wsunął w buty, które dobrze zawiązał, wziął z korytarza karabin i wyszedł przed dom. Zaczepnął w płuca głęboki haust mroźnego powietrza. Teraz i on zaczął wyczuwać demona. Jego głód i pragnienie krwi.

– Pospieszcie się! – syknął w głąb ciemnego domu.

W korytarzu stanęła gotowa do wyjścia Iza.

– Iza, proszę cię, nie! – jęknął Hubert.

– Pomogę wam.

Hubert poczuł ukłucie strachu. Demon był głodny i spragniony krwi.

– Błagam cię. – Chłopak zagroził jej drogę. – Zostań, ktoś musi ich ochronić. – Spojrzała na dom poza nią. – To są jeszcze dzieci, a Zuza nie będzie potrafiła...

– Natalia sobie poradzi – przerwała mu, chociaż mniej pewnym tonem.

– Ona nic nie wie o naszych demonach.

Po chwili, która wydawała mu się wiecznością, Iza w końcu skinęła głową i cofnęła się w cień sieni.

– Tylko uważaj na siebie – szepnęła.

Na dwór wyszli Ernest, Albert, Henryki i Daniel. Nieśli broń.

Wtem gdzieś w oddali rozległy się huk i trzask łamanego drewna. Zwierzęta zaczęły ryczeć z przerażenia.

Powoli ruszyli przez wieś.

Gdy mijali dom Górskiego, ten wyszedł na próg, wcisnął pistolet Oskarowi, a sam z karabinem wyszedł za ulicę. Zaraz potem dołączyli do nich Kajetan z Agatą oraz Marty na z Korzeniowskim.

Wciąż słyszeli hałasy, trzeszczenie drewna i zawiasów, ryczenie krów i przeraźliwe rżenie koni, które kopytami uderzały w deski swoich boków.

W Huberta uderzyła gwałtowna fala. Zachłysnął się powietrzem, jego ciało zatrzęsło się niczym w febrze.

Przez głowę chłopaka przelatywały dziesiątki myśli i obrazów, poczuł młodości.

Nagle dobiegł ich hałas. Coś wielkiego biegło w ich stronę. Słyszeli tętent jakby kopyt,

słumiony częściowo przez śnieg, i cichy pomruk

Jak na komendę wszyscy wycelowali.

– Nie strzelać! – krzyknął nagle Henryk

Z cienia prosto na nich wybiegła krowa. Widząc ludzi, nawet się nie zatrzymała. Gdy ich mijiała, zobaczyli przekrwione białka oczu zwierzęcia, z pyska toczyła się gęsta żółtawa ślina.

Mężczyźni spojrzeli po sobie ze strachem. Nie tak łatwo krowie uciec w nocy z obory. Coś musiało śmiertelnie ją przerazić, skoro pokonała zagrodę.

– Idziemy – zakomenderował Albert, występując przed szereg.

Hubertowi zaczęły drętwieć zmarznięte palce, mocno zaciśnięte na karabinie. Przed sobą ujrzął ciemny dom Borowskich, to zza niego dochodziło ryczenie zwierząt. Wkroczyli na podwórko i dopiero wtedy Kazimierz wyszedł z budynku. Był śmiertelnie błydy, jego dłonie trzęsły się jak w gorączce, bał się stawiać w pojedynkę czoła demonowi.

– To coś wdarło się do obory – powiedział drżącym głosem, nie patrząc sąsiadom w oczy.

Albert podzielił ich na dwie grupy. Hubert był w tej, która miała zakraść się do tylnych drzwi prowadzących na pole. Wciąż starał się uspokoić zmysły, lecz miał mętlik w głowie. Wszędzie wyczuwał demona, a po chwili doszedł do tego jeszcze zapach krwi wymieszany z obornikiem. Solidne drewniane drzwi zostały wyłamane, a śnieg przed nimi wydeptany i splamiony krwią, jakby ktoś chlusnął całym wiadrzem farby. Krwawy ślad prowadził w pole i niknął w ciemnościach.

Hubert z karabinem wciąż trzymany w pogotowiu zajrzał do obory.

– Pusto – odezwał się Henryk, idąc z naprzeciwka. – Demon włamał się od podwórka i uciekł tylnymi drzwiami. Wiesz jaki?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, jego zapach jest zbyt niewyraźny.

Wiktor Borowski wrócił do domu i przyniósł lampę naftową, by oszacować szkody. Większość drewnianych zagród została połamana. W jednym miejscu niski, pobielony wapnem murek z cegieł miał dużą dziurę. Krowy i świny zbiły się w ciasną gromadkę w jednym kącie, drżąc ze strachu.

– Brakuje jednej jałówki – ocenił młody Borowski.

– Jezu Chryste. – Jego ojciec się przeżegnał.

– I stratowały dwa prosiaki – dodał grobowym tonem Wiktor.

Hubert wyszedł znów na zewnątrz i zapatrzył się w dal. Księżyc schował się za chmurami, ale na śniegu wciąż można było dostrzec ślady krwi, teraz czarne niczym smoła.

Kiedy wszędzie słońce, wyruszą na polowanie. Teraz, w ciemnościach, niewiele mogli zdziałać.

Do rana nikt we wsi już nie usnął. O pierwszym brzasku większość mieszkańców Dąbrówki zebrała się pod domem Borowskich. Przy porannym świetle okazało się, że nie dwa, a trzy prosiaki zostały zdeptane. Brakowało jednej jałowki i stało się jasne, że to jej krew zbroczyła śnieg przed oborą oraz na polu. Dwie krowy miały pokaleczone nogi, a jedna na szyi nosiła ślady ostrego pazurów. Lecz to nie były wszystkie straty. Jednej jałowce demon wygryzł kawał ciała na zadzie. Ledwie stała na trzech nogach; czwartą miała bezwładną. Cała była zalana krwią. Mimo skrajnego wyczerpania tłuka łbem o ściany, mucząc żałośnie, śliniąc się i wywracając przekrwione oczy. Zachowywała się, jakby była wściekła. „Albo miała halucynacje” – dodał w myślach Hubert. Nikt nie miał wątpliwości, że nie można jej ocalić.

Stary Borowski ogłuszył ją uderzeniem młota w łeb, a potem podciął gardło. Nikomu nie przeszłoby przez myśl, żeby jeść mięso krowy oszalałej po ugryzieniu przez demona, więc jej truchło spalili. Lecz przedtem Hubert uważnie przyjrzał się ugryzieniu i niewyraźnym śladom pozostawionym na śniegu przez stwora.

Ernest spojrział na przyjaciela wymownie i pokłwał głową.

– Zawsze myślałem, że bies zasypia na zimę jak niedźwiedź – powiedział.

Godzinę później uzbrojeni i ciepło ubrani mężczyźni z Dąbrówki brnęli przez wysokie zasy, podążając za śladami odcisniętymi w śniegu. Nie było wątpliwości, że skoro demon raz zaatakował osadę, zrobi to ponownie. Nie tej nocy, to następnej.

Bies wlekkł zdobycz wiele kilometrów. Tropienie go nie było trudne, jednak na każdym kroku należało zachować wyjątkową ostrożność.

– Nie podoba mi się to – mruknął półgębkiem Hubert, równając krok z przyjacielem.

– Co? Polowanie na demona? – zapytał zaskoczony Ernest.

– Widziałeś odcisk jego łap? Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek widział tak wielkiego biesa.

Na samą myśl o bestii łowca odczuwał dziwny niepokój. Lekko go zemdlilo, gdy tylko przypomniał sobie polowanie na tego demona w Świącinie. Za nic w świecie nie chciałby znowu mieć takich halucynacji jak wtedy.

Mężczyźni powoli parli naprzód przez olbrzymią polanę. Kilka dni wcześniej mróz trochę zelżał, a w nocy skuł lodem nadtopioną górną warstwę śniegu, która była zbyt cienka, żeby kogokolwiek utrzymać. Przy każdym kroku łamała się z trzaskiem, a ludzie wpadali w zasy po kolana i szybko się zmęczyli. Zrobiło im się gorąco, więc pozdejmowali z głów czapki i porozpinali

kurtki. Na gęstej brodzie Woźnicy zaślśniły kryształki lodu.

Gdy na powrót wkroczyli do lasu, byli tak zmęczeni, że musieli zrobić przerwę. Hubert oparł się o grube drzewo i się rozejrzał. Ciemne pnie nadawały okolicy mroczny i upiorny wygląd, a między nimi kluczyła ścieżka wydeptana przez demona. Od dłuższego czasu nie było już na niej czerwononych plam.

Po kwadransie Woźnica zarządził koniec odpoczynku.

Im głębiej w las, tym wszyscy stawali się bardziej nerwowi. Nie podobało im się, że są tak daleko od wsi, jeszcze trochę, a do domów będą musieli wracać po ciemku. Na dodatek znów zaczął padać śnieg.

– Powinniśmy wracać – odezwał się Górski.

Pozostali spojrzeli po sobie niepewnie.

Hubert zdał sobie sprawę, że i on najchętniej zagłosowałby za powrotem.

– Chodźmy jeszcze kawalek – poprosił wbrew sobie.

Z każdym krokiem odczuwał coraz większy niepokój. Nagle Woźnica zatrzymał się gwałtownie, wskazując przed siebie.

Drogę zagroziły im gęste krzaki, a między nimi ujrzeli wydeptaną ścieżkę. Wszędzie widniały ślady demona.

„To tu” – pomyślał Hubert, ale coś było nie tak.

Wszystkie oczy skierowały się na chłopa.

– Nie czuję go – powiedział szeptem.

– Okrążmy go i wypłoszymy z barłogu, jeżeli tam jest – zdecydował Albert.

Hubert z Ernestem u boku zaczął okrążyć zarośla. W pewnej chwili natrafili na przewrócone drzewo, którego pień niknął w krzakach, a wyrwane z ziemi korzenie sterczały w kierunku nieba.

Przyjaciele wymienili spojrzenia, wspięli się na gruby pień i podążyli nim w stronę gałęzi i zarośli. Ostrożnie stawiali stopy w obawie, że się ześlizgną z zaśnieżonej kory. Z obu stron otaczały ich wysokie krzaki.

Dotarli mniej więcej do połowy przewróconego pnia, gdy Hubert zeskokczył z niego na skrawek udeptanej ziemi. Zajrzał pod przewrócone drzewo i ujrzął ciemną jamę, utworzoną z gałęzi i liści przysypanych śniegiem. W norze leżał pogruchotany łeb jałowki. Połamane kości, kawałki mięsa i skóry były rozrzucone wszędzie wokół.

– Nie ma go tu, prawda? – zapytał Ernest, zaglądając do kryjówki demona.

Hubert pokręcił głową. Demon już wiele godzin temu opuścił swoje leże.

Przez zarośla przedarli się do nich Woźnica i Górski.

– Jest dzień, powinien tu spać, syty po zjedzeniu krowy – powiedział Hubert. – Chyba że taka jałówka to dla niego za mało...

– Wynośmy się stąd – odezwał się Górski.

Po pniu wyszli z leża demona.

– Pusto – powiedział do pozostałych Woźnica.

W pierwszej chwili mężczyźni odetchnęli, ale zaraz potem zaczęli się nerwowo rozglądać.

Odnaleźli nowe ślady.

Szukanie demona po lesie, gdy robiło się coraz zimniej i ciemniej, byłoby samobójstwem. A śnieg zasypywał tropy. Jednak droga do domu też nie okazała się taka prosta.

Rozszalała się śnieżnica. Myśliwi dotarli do Dąbrówki mokrzy, zmarznięci i zmęczeni, a najgorsze było to, że wcale nie mieli dobrych wieści.

– Niech wszyscy zaryglują dobrze drzwi – powiedział Albert, zanim porzuchodzili się do domów. – A obory i stajnie można zabarykadować.

– Pomożemy pozostałym – zaferował Hubert.

Czuł wyrzuty sumienia, że wraca z polowania z niczym.

– Tylko przeberzemy się w suche ubrania – dodał Ernest.

Czym prędzej skierowali się do domu, lecz w jego oknach nie paliła się ani jedna świeczka. Czyżby wszyscy spali? I nie czekali na ich powrót?

Hubert z niepokojem przyspieszył kroku. Na progu strząsnął z kurtki śnieg i wszedł do ciemnej sieni. Wiatr świszcział na poddaszu, nadając pograżonemu w mroku domostwu grobową atmosferę.

– Jest tu kto? – zawołał łowca.

Odpowiedziała mu cisza.

– Gdzie oni są? – zapytał Ernest lekko drżącym głosem.

– Sprawdź górę.

Po kolei wchodził do każdego pomieszczenia, nawołując domowników. Słyszał, jak przyjaciel robi to samo piętro wyżej.

W końcu został mu już tylko salon. Drewniana podłoga zaskrzypiała pod zimowymi butami. W kącie leżały na wpoli ułożone puzzle, którymi i jeszcze poprzedniego dnia bawiła się Blanka. Stół był zawalony papierami Daniela, wystawał spod nich tylko jeden kant maszyny do pisania. Część kartek spadła na ziemię. Na zaściciającej kanapę skórze trojana leżał talerzyk z niedojedzoną kromką chleba ze smalcem.

Wyglądało to tak, jak gdyby wszyscy domownicy nagle wyparowali. Hubert po raz ostatni

bezradnie rozejrzał się po ciemnym pokoju i wtem jego wzrok padł na przedmiot na dywanie. Była to książka odwrócona grzbietem do góry. Podniósł ją. W ciemnościach ledwie zobaczył rysunek wielkiego, niedźwiedziopodobnego stwora.

Coraz bardziej nerwowy Hubert rzucił demonologię na stół i wyszedł na korytarz, gdzie spotkał się z Ernestem.

Wtem do domu wszedł Albert.

– Zabezpieczyłem oborę i... – zaczął mówić, ale zamilkł, zobaczywszy ponure twarze chłopców.

– Nikogo tu nie ma – wyjaśnił Hubert.

– Jak to: nie ma? Nie gadaj głupot.

– Pójdziemy do sąsiadów, może są u nich – odezwał się Ernest.

Albert skinął głową, wciąż oglądając się na ciemny korytarz.

Zajrzeli do Anieli Janickiej, potem do Teresy Berdy, ale i tam panowała głucha cisza.

– Sylwia! – wykrzyknął nagle Ernest i nie oglądając się za siebie, pobiegł przez wieś.

– Poczekaj! – krzyknął Hubert i ruszył za przyjacielem.

Śnieżyca rozszalała się na dobre, małe lodowate płatki boleśnie kłuły twarz i wpadały do oczu. Ciemność napierała z każdej strony. W żadnym budynku nie paliło się światło.

Hubert dogonił kumpla pod domem Sylwii. Po jego minie mógł się domyślić, że i tam nikogo nie zastał. Wieś była zupełnie opustoszała.

Łowca poczuł ukłucie strachu. Co się ze wszystkimi stało? Czy zbiegliby w taką zamieć gdzieś do lasu? Przed czym uciekli?

Przyjaciele rozejrzeli się bezradnie. Po raz pierwszy od bardzo dawna byli tak przerażeni, że nie wiedzieli, co robić. Wtem dogonił ich Albert.

– Kościół! – spróbował przekrzywić zamieć.

Hubert zezłościł się na siebie, że sam na to nie wpadł. Przecież w trudnych chwilach ludzie zawsze chowali się w kościele, czerpiąc otuchę, nawet gdy od wielu lat był tylko opustoszałym budynkiem, gdzie nie odprawiano już mszy.

Po drodze zebrali pozostałych myśliwych, którzy byli tak samo przestraszeni jak oni, nie zastawszy rodzin w domach.

Ernest uderzył pięścią w drewniane drzwi. Pomimo zamieci i wiatru hulającego w łysych gałęziach drzew dało się słyszeć szmer w środku.

– To my! – krzyknął chłopak

Wewnątrz rozległo się szuranie, jakby ktoś przesuwiał po podłodze coś ciężkiego, po czym

w wąskiej szparze ujrzeli Martynę.

Kobieta z ulgą odetchnęła na widok myśliwych i wpuściła ich do środka.

Hubert spojrział na przerażone twarze przyjaciół i sąsiadów. Siedzieli ciasno zbiti na kościelnych ławach przy wątych płomykach zaledwie dwóch świec. Sylwia zerwała się z miejsca i przyłgnęła do Ernesta, nie dbając o to, że jest cały mokry od śniegu.

– Co tu się dzieje? – zapytał Albert.

– Ten demon... – zaczęła Martyna drżącym głosem. – On wkradł się do naszego domu... i zabił...

Głos jej się załamał.

– Zabił Konarzewskiego – dokończyła za nią babcia, kreśląc w powietrzu krzyż.

Hubert zdał sobie sprawę, że na ławkach nie widzi wszystkich. Brakowało Izy, Henryka, Zuzy i Natalii, Górskich i Agaty z Kajetanem.

– Gdzie są pozostali? – zapytał ostro.

– Martyna podniosła alarm – odezwała się Dorota Borowska. – Kilku mężczyzn wyszło z domów z bronią, ale nie znaleźli demona. Lecz skoro wdarł się do domu, mógł zrobić to ponownie, dlatego postanowiliśmy wszyscy zebrać się w jednym miejscu, zabarykadować drzwi i czekać na was oraz na świt.

– Słisłmy do kościoła, kiedy zaatakował – wtrącił stary Borowski. – Rozdzielił nas, kogoś ranił...

– Kogo? – zapytał Hubert, czując wielką gulę w gardle.

– Nie wiem. – Mężczyzna pokręcił głową. – Wszyscy krzyczeli, próbowaliśmy strzelać, ale było bardzo ciemno. Podejrzewamy, że inni uciekli do świetlicy.

Słyszając to, Hubert bez słowa odwrócił się i wybiegł z kościoła. Musiał wiedzieć. Nieważne, że gdzieś we wsi wciąż mógł ukrywać się demon, że mógł kogoś naznaczyć i czekać na dogodny moment do ataku. Po prostu musiał wiedzieć, czy pozostali żyją, czy Iza jest cała.

Wyszedł w zamieć, ale nie czuł już zimna ani zmęczenia. Potykał się i ślizgał na śniegu, lecz nie zwracał na to uwagi. Do przodu gnał go strach. Przebiegł kilkaset metrów i z bijącym sercem uderzył w drzwi świetlicy. Te również były zabarykadowane od wewnątrz.

– Otwórzcie! – krzyknął.

Po czasie, jaki wydawał mu się wiecznością, wpuszczono go do środka.

Zobaczył Henryka, który nie wybrał się na polowanie, ponieważ wciąż kulał, Olę Górską, tulącą w ramionach niemowlaka, i całą jej rodzinę, łącznie z przybranymi dziećmi. Zuza z Klakierem u boku siedziała skulona pod ścianą i zapatrzona w dal, wydawała się nieobecna. Agata czuwała przy Kajetanie leżącym na ziemi. Chłopak jęczał głucho i rzucał się na boki.

Hubert dostrzegł, że jego tułów jest owinięty opatrunkiem z pociętych na pasy ubrań.

„Bies nie zrezygnuje z tej ofiary – przemknęło mu przez głowę. – Nigdy nie odpuszcza. Musimy go zabić, zanim dopadnie Kajetana”.

Oderwał wzrok od rannego chłopaka i znów powiódł po twarzach osób zebranych w świetlicy, a za gardło chwycił go niewymowny strach.

– Gdzie Iza? – zapytał.

– W kościele, z innymi – odparł Henryk

– Nie ma jej tam – szepnął chłopak

– Musi...

– A Natalia? Właśnie wracam z kościoła! Nie ma ich tam!

Henryk nic nie odpowiedział. Jego twarz zdawała się pozbawiona wyrazu, ale oczy płonęły. Zaciskając mocno szczękę, narzucił kurtkę.

– Zabarykadujcie za nami drzwi – powiedział grobowym tonem. – I pod żadnym pozorem nie wychodźcie, choćby nie wiem, co się działo na zewnątrz.

Wraz z Hubertem wyszedł ze świetlicy. Stanął na środku drogi. Śnieg prószył coraz słabiej, ale widoczność wciąż była marna.

– Znajdę go i zabiję – zagroził były wojskowy, po czym ruszył drogą przed siebie.

– Henryk! Poczekaj! Sami nie damy rady!

Ale mężczyzna, zaślepiiony strachem, na chwilę przestał logicznie myśleć.

Wiedząc, że liczą się sekundy, że bies nie mógł odejść zbyt daleko od Kajetana, a Iza i Natalia są same gdzieś we wsi, być może ranne, Hubert popędził do kościoła. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogą nie żyć.

Zebrał wszystkich mężczyzn z karabinami i razem ruszyli na poszukiwania. Zamieć ustała, wiatr przepędził chmury, odsłaniając srebrny, zimny księżyc.

Hubert stanął na środku wsi i skupił wszystkie zmysły. Musiał dać z siebie wszystko.

Poczuł demona. I wiedział, że bies nie odejdzie, dopóki nie dopadnie swojej ostatniej ofiary. Przez cały czas był we wsi, czekał na dogodny moment.

– Tam – powiedział łowca, wskazując przed siebie palcem.

Mężczyźni ruszyli naprzód, już się nie skradali. Wiedzieli, że nie mają szans zaskoczyć demona. Ich siłą była przewaga liczebna.

Wyszli zza zakrętu, a ich oczom ukazała się przerażająca scena. Na środku drogi, tyłem do nich, stała Natalia. Wiatr szarpał jej płaszczem i włosami, które wyrwały się z warkocza. Nie miała przy sobie żadnej broni oprócz trzymanej oburącz dzidy, z którą przybyła do Dąbrówki.

A przed nią przestępował z nogi na nogę bies. Uszy położył po sobie, szczyrzył zęby, odsłaniając dziąsła i marszcząc skórę na pysku. A gorejące oczy wlepił w Natalię. Hubert czuł jego wściekłość i wiedział, że demon nie odejdzie ze wsi, nim nie zabije wszystkich ludzi lub sam nie zginie.

– Mamo! – krzyknął Ernest, przykładając karabin do ramienia, lecz bał się strzelać, by nie zranić matki.

Natalia nawet się nie odwróciła. Nie odrywała wzroku od biesa. Stała w rozkroku na lekko ugiętych nogach.

Mężczyźni powoli szli w jej stronę. Jeżeli nie zdążą dotrzeć do niej szybciej niż potwór, nie będą mogli oddać ani jednego strzału, a wtedy kobieta zginie.

Bies kłapnął zębiskami kilka razy, z gardła wydobywał mu się basowy ryk. A potem ruszył do ataku. Z prawej strony rozległ się huk strzałów.

Hubert z przerażeniem patrzył, jak demon, nawet nie poczuwszy, że został trafiony, biegnie w kierunku Natalii. Kobieta w ostatniej chwili wbiła w jego tors dźwidź i rzuciła się na ziemię.

W górę wzbily się tumany śniegu.

– Nie!!! – wrzasnął Ernest i zerwał się do biegu.

– Stój! – Nagle z cienia wybiegła Iza. – Zatrzymaj go!

Hubert bez chwili wahania podciął przy jacielowi nogi, także ten wyładował w zaspie.

– Nie ruszać się! – rozkazała Iza takim tonem, że wszyscy mężczyźni się zatrzymali.

Powoli, nie spuszczać z celownika leżącego na ziemi biesa, zbliżyła się do niego. Śnieg opadł na ziemię, odsłaniając olbrzymie, pokryte grubym srebrnoszarym futrem cielsko demona. Ozór miał wywalony na zewnątrz, ściekała po nim wąska strużka krwi, barwiąc na karmazynowo śnieżną pierzynę. Jego oczy były zamknięte, a małe uszy przyciśnięte do ciała. Przygniół Natalię tak, że nawet nie było jej widać.

Iza ostrożnie podeszła do niego, ale nie bliżej niż na metr. Wtem demon szarpnął się, machnął łapą, podniósł łeb i kłapnął paszczą. Hubert drgnął zaskoczony, lecz Iza była na to przygotowana. Bez wahania oddała kilka strzałów prosto w czaszkę biesa, aż ten znów znieruchomiał.

Podniosła pełen strachu wzrok na mężczyzn, a potem opadła na kolana, odgarniając śnieg spod demona.

Ernest podbiegł do niej, tuż za nim Hubert i Henryk

– Mam ją! – krzyknęła Iza, chwytając za szczupłą dłoń wystającą spod futra i śniegu.

Wspólnymi siłami zepchnęli biesa z Natalii. Kobieta była nieprzytomna, ale wciąż oddychała. Ernest zaniósł ją do domu, Hubert sprowadził Irenę. Albert wraz z Woźnicą odnaleźli za wsią

rozszarpane ciało Konarzewskiego, zawinęli je w koc i zaniesli do świetlicy.

Tej nocy prawie nikt nie położył się spać.

Natalia miała złamaną rękę i, jak podejrzewała pielęgniarka, pęknięte żebra. Gdy Irena nastawiała jej kość w ramieniu, ból ją otrzeźwił i odzyskała przytomność.

Później pielęgniarka zajęła się Kajetanem, który wciąż majaczył i miał halucynacje. Zszyła mu dwie szramy na plecach i nasmarowała je wywarem z rdestu. Iza wraz z Hubertem przygotowała dla rannego napar z kozłka, melisy, lawendy i dziurawca, które chłopak zabrał ze sobą ze Świącina. Dzięki niemu trochę się uspokoił i nawet zasnął.

Była już późna noc, kiedy Hubert wraz z pozostałymi usiadł w salonie domu Alberta. Na noc zaprosili do siebie sąsiadkę Janicję i staruszka drzemała teraz w fotelu. Hans przyśnął na kanapie, tuląc do siebie pogrążoną we śnie, wciąż spuchniętą od płaczu Blankę.

Henryk był wściekły. Siedział nieruchomo na krześle, ale jego oczy ciskały gromami, gdy tylko spojrzął na Izę.

– Co ty sobie myślałaś?! – wybuchł w końcu.

Dziewczyna spuściła wzrok. Hubert delikatnie ścisnął jej dłoń, dodając otuchy. W tej chwili był tak szczęśliwy, że nawet nie potrafiłby się na nią gniewać.

– Czy już kompletnie ci odbiło, żeby zrobić coś tak głupiego?! – kontynuował tyradę Henryk – Obie mogłyście zginąć!

– Natalia wierzyła, że potrafi go zabić – powiedziała cicho Iza.

Hubert jeszcze nie widział jej tak skruszonej.

– Kiedy tylko zaatakował nas na drodze, a potem odbiegł w cień, wróciła do domu – mówiła dziewczyna. – Nikt tego nie zauważył oprócz mnie. Nie mogłam puścić jej samej. A nikt nie słyszał, jak cię wołałam. – Spojrzała Henrykowi w oczy, na co ten trochę się speszył. – Sprawdziła w demonologii, co napisano o biesie, i stwierdziła, że w Azji widziała podobne demony. Wiedziała, jak go zabić. Wzięła tę swoją dzidę i nawet nie chciała słyszeć o karabinie. Kazała mi się ukryć w jednym z ogrodów, a sama stanęła na drodze i czekała na demona.

Głos Izy drżał z napięcia. Ciągle targały nią silne emocje, choć tak bardzo starała się je ukryć. Hubert, wciąż trzymając jej dłoń, czuł, jak drży na całym ciele.

– Kazała mi strzelać pod łopatkę – podjęła opowieść. – „A jak to go nie zatrzyma, zrobię to ja”, tak powiedziała. Przestrzegła też, że jeśli demon padnie, ale będzie miał uszy przyciśnięte do głowy, to znaczy, że jeszcze żyje i w ostatnim porywie może zaatakować tego, kto się do niego zbliży.

Henryk nic już nie powiedział, choć wciąż wpatrywał się w Izę ze złością.

– A ja myślę, że powinniście iść już do łóżek i dać mi spać – odezwała się pani Aniela, nie unosząc nawet powiek.

Jej słowa rozładowały napięcie i wszyscy zaczęli się podnosić. Ernest zaniósł śpiącą Blanę do jej łóżka, tuż za nim podążyła Zuza, która dopiero w domu znów nawiązała kontakt z rzeczywiistością.

Hubert odprowadził Izę pod drzwi pokoju.

– Nie przejmuj się nim – odezwał się cicho. – Najważniejsze, że żyjecie. Dobrze sobie poradziłyście.

Iza niespodziewanie przyłgnęła do niego i ukryła twarz w jego swetrze. Hubert objął ją i stali tak przez kilka minut, czerpiąc siłę z bliskości.

Ranek wstał mroźny, ale pogodny. Słońce wzniosło się nad horyzontem, skrząc się kolorowo na śniegu. Niebo było jasne i przejrzyste.

Kilku mężczyzn zajęło się wykopaniem grobu dla Konarzewskiego. Na cmentarzu pod kościołem odgarnęli śnieg, a potem, pracując na zmianę, skruszyli kilofem zamrożoną warstwę ziemi. Ktoś zbił z nieociosanych desek trumnę.

Konarzewskiego pochowano w milczeniu. Dorota Borowska odczytała nad mogiłą kilka zdań z Biblii, po czym jej mąż i syn zasypali grób piachem i wbili w niego drewniany krzyż z tabliczką z imieniem, nazwiskiem i rokiem śmierci mężczyzny. Nikt nie znał daty jego urodzin.

Pierwsza wyszła z cmentarza Martyna. Od razu ruszyła wraz z Izą i Hubertem do ciała biesa, które wciąż leżało na drodze, na splamionym krwią śniegu. Demon był zbyt wielki i ciężki, żeby gdziekolwiek go przenosić w nocy. Prawie wszyscy, którzy przybyli na cmentarz, przyszli też obejrzeć truchło.

– Co z nim zrobimy? – zastanowił się Górski.

Hubert spojrział kątem oka na Ernesta i Woźnicę. Ludzie zdążyli się już przyzwyczaić do skór trojanów w ich domach i czuli dumę na widok czaszek wiszących na płotach. Obawiał się jednak, że trochę inaczej mogą zareagować na oskórowanie biesa.

– Jego futro pasowałoby do mojego salonu – odezwała się głośno Aniela Janicka.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni.

Hubert uśmiechnął się pod nosem.

– Zaciągnijmy go do nas na podwórko – postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Idź po linę, ja go popilnuję – odezwał się Ernest.

Z pomocą Woźnicy i Górskiego zaciągnęli demona do stodoły. Na linie przerzuconej przez

belkę pod sufitem podciągnęli go w górę za tylne łapy, a potem oskórowali.

Wyrwali mu pazury, o które później poprosiło kilka osób na pamiątkę. Bies miał grubą warstwę sadła. Wykroili je, przepuścili przez maszynkę do mielenia mięsa, a potem wytopili w dwóch dużych kotłach. Nie zamierzali jeść śnieżnobiałego tłuszczu, ale w gospodarstwie mógł się przydać do wielu rzeczy, chociażby jako paliwo do łaganików, a jak ty lko usłyszała o tym sąsiadka Janicka, przyszła do nich z własną miską.

Czaszkę, choć była mocno podziurawiona przez kule, wygotowali i jeszcze tego samego dnia zawisała na płocie przy wjeździe do Dąbrówki.

– Trochę krzywo. – Iza krytycznie przyglądała się, jak Hubert wiesza czerep na deskach.

– Przecież to nie obraz, żeby musiał wisieć prosto – mruknął. – A teraz?

– Teraz jest dobrze.

– Marty na? – chłopak poprosił o drugą opinię.

Jednak kobieta nie odpowiedziała, uważnie wpatrywała się w czaszkę. Iza delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu, czym wyrwała ją z zamyślenia.

– Znam się dobrze tylko na koniach – odezwała się.

Hubert i Iza wymienili zdziwione spojrzenia.

– Umieć dokładnie określić ich wiek po zębach. Nie mam pojęcia, jak to jest z demonami, ale wiecie, co myślę?

– Tak? – zapytał łowca.

– Że jego zęby wyglądają, jakby żył dłużej niż osiem lat.

Dłużej niż osiem lat. Hubertem wstrząsnął dreszcz, i to bynajmniej nie z zimna.

Następnego dnia z samego rana do domu Alberta wpadła Aniela Janicka. Rodzinę starszego pana zastała przy śniadaniu.

– Patrzcie tylko – powiedziała radosnym tonem i zamachała w powietrzu palcami.

– Tak? – zainteresował się grzecznie Albert, odrywając wzrok od kanapki.

– Stary pierniku, ty pierwszy powinienesz wiedzieć, że w moim wieku to każdy ma reumatyzm! A tymczasem nic mnie dzisiaj nie boli!

– To gratuluję – odparł lekko zbity z tropu.

– A wszystko dzięki sadłu tego demona!

Hubert zakrzuszył się jedzeniem i Ernest musiał z siłą klepnąć go w plecy, żeby przestał się dusić.

– Smarowałaś się sadłem biesa? – zapytał powoli Albert.

– A ty myślałaś, że po co mi ono?

– Do kaganków? – podpowiedział Ernest.

– A gdzie tam! – Pani Aniela usiadła na krześle, wciąż zginając i prostując palce. – Przecież każdy wie, jakie lecznicze właściwości ma sadło niedźwiedzia. To sobie pomyślałam, że ten demon to taki duży niedźwiedź, i podziało.

Domownicy wymienili niepewne spojrzenia, nie pozostało im nic innego, jak pogratulować sąsiadce odwagi i tego, że jej eksperyment się powiodł.

Po południu Hubert i Iza wymknęli się razem na strych, gdzie zawinęli się w kocę i ułożyli na starym sienniku.

– Pół roku temu nie wiedziałam zbyt wiele o demonach, oprócz tego, że są groźne – odezwała się w zamyśleniu Iza. – Potem okazało się, że można je oswoić, wczoraj widziałam, jak takiego oskórować, a dziś usłyszałam, że ktoś się smarował jego tłuszczem w celach leczniczych. Mój świat wyrócił się do góry nogami.

Hubert założył ręce za głowę i przez chwilę obserwował pyłki kurzu fruujące w powietrzu.

– A może ludzie mają do nich złe podejście? – zapytał, odwracając się w stronę dziewczyny. – Może one są właśnie jak zwierzęta? Można je hodować, brać ich futro, tłuszcz, nawet mięso...

– Nie, tak daleko bym na razie się nie posunęła – przerwała mu Iza. – Mięso zostawmy w spokoju.

– Masz rację, dopóki nie wiemy, czy istnieje niebezpieczeństwo zarażenia się czymś od nich, nikt nie powinien nawet myśleć o spożywaniu ich mięsa.

„Ale przecież mięso dzika też może być niebezpieczne, gdy jest zakażone pasożytami” – dodał w myślach.

Kajetan w ciągu trzech dni, dzięki kuracji ziołami, doszedł do siebie i choć rany na plecach goiły się powoli, najgorsze było już za nim. Co prawda Hubert zużył w tym celu cały swój zapas uspokajających ziół, ale wiedział, że melisę, dziurawiec i lawendę zdobędzie od kobiet z Dąbrówki, a kozłek lekarski zaś będzie musiał prosić Barbarę, kiedy tylko znów pojedzie do Świącinia. „Wezmę też od niej nasiona, żeby Zuza zasiała je u nas w ogrodzie” – postanowił.

Natalia jeszcze przez długi czas narzekała na ból w żebrach i chodziła z usztywnioną ręką, ale była to niezbyt wielka cena za stawienie czoła biesowi jedynie z dzidą. Na razie nikt nie odważył się użyć sadła demona, tak jak zrobiła to Aniela Janicka, ale zaakceptowano fakt, że można je wykorzystać w celach leczniczych.

Mrozy ustąpiły dopiero na koniec miesiąca, a ich miejsce zajęły kolejne śnieżyce. Całą Dąbrówkę przykrył mokry, ciężki śnieg, który trzeba było zgarniać z dachów, żeby się nie zawaliły.

Któregoś dnia z samego rana Albert wygonił chłopców z domu, aby zajęli się zwierzętami, i zabronił im wracać, dopóki nie skończą pracy. Ernest w poczuciu winy, że przed zimą Hubert sam rąbał drewno, zgłosił się na ochotnika do wywiezienia gnoju z obory i stajni. Hans został przydzielony mu do pomocy.

Hubert zaś wspiął się na piętro w stodole i zrzucił snopki słomy do wyłożenia nowej, czystej ściółki. Na dole Iza pakowała je na taczkę.

Chłopak właśnie schylał się po kolejny snopek, kiedy usłyszał cichy świst. Wyprostował się i rozejrzał się wokół, lecz zobaczył jedynie znacznie uszczuplone przez zimę warstwy słomy i siana. Wzruszył ramionami, lecz po chwili znów dotarł do niego ten dziwny świst, nie głośniejszy niż westchnięcie.

– Co jest? – zdenerwował się, wziął do ręki widły i ruszył przed siebie, szukając źródła dźwięku. Z dołu zawołała go Iza, lecz ją zignorował.

Dotarł na koniec stodoły, gdzie pod ścianą leżała sterta siana. To z niej wydobywał się świst.

Hubert zaczął ostrożnie przewracać ją widłami, aż natrafił na coś twardego. Odgarnął siano. Po chwili jego oczom ukazał się dość niecodzienny widok. Chłopak nie wiedział, czy odetchnąć z ulgą, czy krzyczeć z przerażenia, pytając niebios, czy tym demonom już zupełnie odbiło.

W sianie, skulony jak dziecko, leżał leszy. Miał długie patykowate kończyny, małe ciało, wielki łeb z grubą szramą i zamknięte ślepia. Chłopak przez chwilę go obserwował, potem poszturczał widłami.

– Ty, żyjesz? – zapytał bardziej siebie niż demona.

Stwór otworzył paszczę, westchnął i wydał z siebie cichy świst, nie otwierając przy tym oczu.

– Śpi – stwierdził Hubert. – Śpi w naszym sianie.

Obejrzał się za siebie, jakby szukając kogoś, z kim mógłby się podzielić informacją o tym niecodziennym znalezisku.

W końcu ukucnęła i palcem dźgnął leszego w łapę o grubej, chropowatej skórze, ale ten spał jak zabity.

– Hubert! Czy ty zdurniałeś? Jak głupia stoję na dole i cię wołam...

Iza podeszła do chłopaka i zaniemówiła. Otworzyła usta, zmarszczyła brwi i zapatrzyła się w demona.

– Teraz przy najmniej wiemy, gdzie postanowił przezimować – oświadczył Hubert, podnosząc

wzrokna dziewczynę. – Nawet nie wiedziałem, że leszy zapada w sen zimowy.

– On nie może tak sobie spać w naszej stodole! – zdenerwowała się niespodziewanie Iza.

Chwyliła widły i uniosła je nad demonem.

– Trzeba go zabić! – oświadczyła.

Skinął głową, wciąż na nią patrząc. A trzeba przyznać, że wyglądało to dość ciekawie. Po twarzy Izy przemylały najróżniejsze emocje, jej ciało było spięte. Drgnęła, opuszczając widły, które się zatrzymały tuż nad leszym.

– Szlag by trafił te przekłete demony! – warknęła, odrzucając widły na bok – Jak ja mam go zabić?! Przecież wygląda jak małe dziecko. I jeszcze śpi!

– Mam tak samo – westchnął Hubert. – Już się nie dziwię, że nie wy czułem go wtedy w lesie, jak zbieraliśmy żurawinę. Wciąż laził za mną, a teraz śpi w naszej stodole i po prostu tak się przyzwyczaiłem do jego obecności, że przestałem zwracać na niego uwagę.

– Co teraz? – zapytała Iza.

Przez dobry kwadrans stali nad demonem i nie wpadli na żaden dobry pomysł.

– Przykryjcie go, bo zmarznie i się zaziębi – usłyszeli niespodziewanie cichy, spokojny głos.

Hubert z Izą drgnęli nerwowo, zaskoczeni pojawieniem się Zuzy, która podeszła do nich cicho jak kot.

– Co ty tu robisz? – zapytał łowca. – Wiedziałas o nim? – Oskarżająco wskazał palcem demona.

– Przyszłam wam powiedzieć, że niedługo obiad, a o Platonie, owszem, wiedziałam.

– Zaraz, nazwałaś leszego Platonem?! – Iza patrzyła na Zużę szeroko otwartymi oczami.

– Musiałam mu nadać jakieś imię – odpowiedziała spokojnie. – A że często sprawiał wrażenie myśliciela, Platon wydał mi się odpowiedni.

Hubert i Iza zdębieli. Patrzyli osłupiali, jak dziewczyna bierze widły i z troską przykrywa leszego sianem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał z wyrzutem łowca, kiedy demon został dokładnie ukryty.

– Wierzyłam, że w końcu sam się domyślisz.

– Powiemy innym? – Hubert spojrział na Izę, kiedy po drabinie zeszli na dół stodoły.

– Nie wiem – westchnęła. – Nie mam pojęcia, jak na to zareagują.

– Nie ma co denerwować dziadka, wujka czy mamy – odezwała się Zuza. – Teraz Platon grzecznie śpi, nikomu nie robi krzywdy. Zresztą nigdy nie chciał skrzywdzić nikogo z nas. Myślę, że na swój demoni sposób on cię kocha i będzie ci wierny – zwróciła się do Huberta.

– Za jakie grzechy?! – jęknął chłopak

Hubert nie znosił mieć tajemnic przed najlepszym przyjacielem, więc wieczorem zaciągnął Ernesta do pokoju dziewczyn i opowiedział mu o leszym.

– Czy wy powariowaliście?! – Chłopak z niedowierzaniem patrzył na kumpla, siostrę i Izę. – Normalnie całej trójce odbiło!

Hubert udał skruchę, a Zuza spojrzała na brata z politowaniem.

– Ernest, oni mają rację – głos zabrała Iza. – On nie wygląda na takiego, który zrobiłby nam albo komuś z naszych krzywdę. W końcu zawdzięcza Hubertowi życie...

– Wiedziałem, że coś za nami łązi. – Rudzielec uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Zbyt często słyszałem ten jego piskliwy gwizd!

Spojrzał na trzy pary wpatrzonych w niego, wyczekujących oczu.

– Jak będą przez leszego jakieś problemy, to wy za niego odpowiadacie – powiedział w końcu.

Wszyscy z utęsknieniem czekali na wiosnę. Wszyscy oprócz Huberta, który wiedział, że kiedy pogoda się poprawi, Henryk i Iza wyjadą, a on nie miał pojęcia, co sam powinien zrobić. Aż pewnej nocy nad Dąbrówką przetoczyła się ulewa. Deszcz zacinał o szyby z taką siłą, jakby chciał je powybijać, wiatr wył na strychu. Ernest chrapał głośno, a Hans rzucał się na materacu, przez co Hubert nie mógł usnąć.

Wstał z łóżka i choć w pokoju było zimno, podszedł boso do okna i wyjrzał, spoglądając na pogrążoną w ciemności wieś.

„Idzie wiosna – pomyślał. – A wraz z nią przyjdą demony. Gdzie mnie bardziej potrzebują?”.

– Wszędzie – szepnął. – Potrzebują mnie wszędzie.

I pomyślał o osadach połączonych w miarę bezpiecznymi szlakami, przejezdnymi drogach i zadbanych miejscach na nocleg czekających na podróżników. W domach tych znajdowałyby się drewno, ewentualnie jakieś ubrania, ciepłe koce, może odrobina suchego prowiantu na wszelki wypadek

„Gdy nie jedzie się w ciemno, nagle cała droga wydaje się krótsza” – przemknęło mu przez myśl.

Ktoś musiał to zorganizować. A innych kandydatów niż on sam nie widział.

– Jeżeli pogoda pozwoli, za kilka dni planujemy wyjechać – oznajmił przy śniadaniu Henryk – Już i tak zasiedzieliśmy się tutaj.

– Wiem – odparł Hubert. – Jadę z wami.

Wszystkie osoby przebywające w kuchni spojrzęły na niego zaskoczone.

– Za mało się przemieszczamy – powiedział łowca, wywołując lekceważące prychnięcie u Alberta. – Nie chodzi o Ernesta i o mnie, ale o wszystkich. Ludzie siedzą tylko w swoich osadach i boją się je opuszczać. Powinniśmy to robić. Musimy wymieniać się sadzonkami, sprzętami i pomysłami. A co najważniejsze, musimy trzymać się razem. Tylko działając wspólnie, możemy przestać bać się obcych i demonów. Sami widzieliście, jak to działa. Gdyby nie nasi sąsiedzi, jesienią Dąbrówka zostałaby zrównana z powierzchnią ziemi, a wszyscy jej mieszkańcy, nie wyłączając dzieci, zabici. Musimy zacząć żyć...

– Młody, cały czas żyjemy – przerwał mu Albert.

– Nie. – Hubert pokręcił głową. – My tylko nie umieramy. Siedem lat. Tyle czekaliśmy, żeby w Dąbrówce pojawiło się nowe dziecko. A jaką przyszłość ma tutaj młodzież? Do niedawna Jagoda, Jędrzek i Oskar mieli tylko siebie. Za parę lat każde z nich będzie chciało założyć własną rodzinę. Ale w tych warunkach jest to prawie niemożliwe. Gdy się zamkniemy na innych, pokonać nas mogą nie tylko ludzie i demony, lecz także choroby czy głód. Musimy zacieśnić więzy, bo inaczej nie przetrwamy.

W kuchni zapadła cisza. W głębi duszy każdy przyznawał Hubertowi rację.

– Co planujesz? – zapytał w końcu Albert.

– Myślę, że na początek wystarczy zadbać o drogi i miejsca noclegowe na trasach pomiędzy osadami. Podzielimy się z innymi naszą wiedzą o demonach, a potem zobaczymy, co z tego dalej wyniknie.

– Pomogę ci – oznajmił nagle Ernest.

– Co?

– Słucham?

– Co?

Zapytali jednocześnie Hubert, Natalia i Zuzia.

– Przecież ktoś musi mu pomóc. A poza tym to taki trochę przedłużony szabier.

Hubert przekrzywił głowę i spojrzął na przyjaciela.

– A co na to powie Sylwia?

Ernest zmieszał się odrobinę.

– Zrozumie – odparł w końcu. – Przecież zawsze jeździłem na szabry, nie może powstrzymać mnie przed podrózkowaniem.

– Spoko, rozumiem. – Hubert poklepał go po plecach. – Każdy kiedyś potrzebuje wakacji od dziewczyny.

Po śniadaniu Natalia poprosiła syna, by poszedł z nią do salonu, i Hubert przez chwilę podsłuchiwał, jak usiłowała odwieść Ernesta od tego pomysłu. Najpierw przekonywała, że podróżowanie jest niebezpieczne, a gdy to nie poskutkowało, zagrała kartą matki, która przez siedem lat przemierzyła dwa kontynenty, żeby dotrzeć do swoich dzieci, a teraz jedno z nich chce ją opuścić. Hubert był przekonany, że przyjaciel się podda.

– Uważam, że jesteś wyjątkowa, bo udało ci się wrócić – odparł Ernest. – Jesteś najlepszą mamą pod słońcem, ale musisz pamiętać, że się zmieniłem, dorosłem. Nie możesz na zawsze zatrzymać mnie w domu. Zresztą to tylko kilka tygodni. Potem wrócę.

Natalia znów zaczęła coś mówić i Hubert usłyszał, jak głos jej drży, więc uznał, że to sytuacja zbyt intymna, by być jej świadkiem.

Odszukał więc ojca przeglądającego warzywa w ziemiance.

– Nie masz nic przeciwko temu, że wyjeżdżam?

Przez chwilę Daniel oglądał nadgniętego ziemniaka, po czym wyrzucił go do wiadra.

– A czy cokolwiek by to zmieniło? W zeszłym roku jakoś nie pytałeś, gdy zniknąłeś na kilka miesięcy.

– Cóż, gdybyś bardzo nie chciał, żebym jechał...

– To i tak byś wyjechał. Chcesz mojej zgody tylko po to, żeby mieć czyste sumienie.

Hubert zmieszał się lekko.

– Jedź – powiedział po chwili Daniel. – Ktoś w końcu musi odbudować stary świat. My tutaj sobie poradzimy. Teraz jest nas więcej, więc powinno być łatwiej.

Gdy Hubert wieczorem szedł przez wieś, usłyszał krzyki dochodzące z domu, w którym mieszkały Sylwia z siostrą.

„Chyba Ernest właśnie przekazał jej dobre wieści” – pomyślał, uśmiechając się lekko.

W ciągu następnych dni Hubert dużo pracował, żeby jak najbardziej odciążyć rodzinę przed wiosną. Dzień przed wyjazdem pożegnali się ze wszystkimi we wsi, spakowali ubrania, broń i suchy prowiant.

Hubert, kończąc wrzucanie ubrań do worka, zerknął na stare zdjęcie leżące na szafce przy łóżku. Przedstawiało jego i rodziców całe wieki temu na wakacjach nad morzem. Wziął je do rąk i przez chwilę wpatrywał się w uśmiechnięte twarze, a potem odłożył fotografię na szafkę.

– Hubert? – Do pokoju wszedł ojciec.

– O co chodzi?

– Pamiętasz, że obiecałem ci to dać? – Podał mu książkę.

Był to jeden z egzemplarzy demonologii przepisany na maszynie, wzbogacony szkicami i dodatkowymi informacjami. Książka miała równo przycięte strony i sztywną okładkę, na której był narysowany bies. Pod demonem widniały ich nazwiska.

– Składałem ją przez ostatnie dni, żeby wyglądała elegancko...

– Dziękuję – szepnął Hubert.

Pogładził palcami okładkę, a potem zawiązał książkę w koszulę i wcisnął do worka między inne ubrania.

– Gdyby mama wiedziała, że będziemy autorami tak poważnej książki – powiedział Hubert, gdy ojciec wychodził. – Prawie naukowej... byłaby z nas dumna. Z nas obu.

Daniel odwrócił się w drzwiach.

– Już wiem, jak mógł czuć się Darwin, opisując nowe gatunki – odparł z uśmiechem. – Obiecuj, że będziesz na siebie uważał.

– Obiecuję. Ty też bądź ostrożny.

A wieczorem Hubert wybrał się do stodoły, gdzie wciąż leżała sterta siana. Przerzucił ją rękoma, ale była pusta. Leszy vel Platon zniknęła. Chłopak jednak miał pewność, że kręci się gdzieś w pobliżu.

Następnego dnia wszyscy wstali niemal równo ze słońcem. Nawet Hubert zerwał się z łóżka wcześniej. Zjedli śniadanie, zabrali bagaże i wyszli na podwórko, odprowadzani przez wszystkich domowników. Prawie wszystkich, bo Zuzia jeszcze przed posiłkiem gdzieś zniknęła, Hubert podejrzewał, że się obraziła albo miała jakieś ciekawsze zajęcie, niż się z nimi żegnać.

– Co ty tu robisz? – zapytał nagle Ernest.

Na środku podwórka siedziała na koniu Zuza.

– Jadę z wami – oznajmiła.

– Nie jedziesz – zaprotestował jej brat.

– Jadę.

– Zuzia, kochanie, nie możesz z nimi jechać – odezwała się Natalia.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się.

– Złaż z tego konia – zdenerwował się Ernest.

Podszedł do niej z zamiarem ściągnięcia dziewczyny z siodła.

– Nawet nie próbuj – powiedziała cicho, a w jej głosie brzmiała groźba, która sprawiła, że Ernest cofnął się o krok.

– Niech ktoś coś zrobi! – zwrócił się do innych.

– Dlaczego? Jak chce jechać... – odezwał się Hubert, który dobrze wiedział, że jeżeli Zuzia na coś się uparła, to musiała mieć dobry powód i nic nie było w stanie jej powstrzymać.

Ernest pogroził przy jacielowi palcem.

– Zamknij się – warknął.

– Jedziemy już? Tracimy tylko czas – odezwała się znużonym tonem Zuza.

– Kochanie, to jest niebezpieczne, tam są demony... – zaczęła Natalia, ale córka spojrzała na nią protekcyjnie.

– Demony? Nic mi nie zrobią. A poza tym nie ma bezpieczniejszego miejsca na świecie niż przy Erneście i Hubercie.

– Dziewczyna ma rację – zabrał głos Albert. – Jedź. Tylko dobrze się nią opiekujcie – zwrócił się do wnuka i jego przyjaciela.

– Nie macie nic przeciwko temu? – Ernest spojrzał na Iżę i Henryka.

– Nie, skądże, może być... ciekawie – odparł mężczyzna.

Żegnani przez rodzinę i sąsiadów opuścili Dąbrówkę. Najpierw skierowali się do bunkra, żeby uzupełnić zapasy broni, amunicji i wojskowej odzieży. A gdy nikt nie patrzył, Hubert wsunął do kieszeni bluzy kilka granatów i zapalników.

Później Hubert i Ernest poprosili pozostałych, aby zboczyć z trasy, gdyż musieli odwiedzić pewne miejsce.

Zostawili przyjaciół w opuszczonej wsi, a sami udali się konno na wielką polanę, która kiedyś była polem uprawnym. Las przylegający do niej powoli wykraczał poza swoje granice i zajmował coraz większy obszar. Wokół polnego głazu rosło coraz więcej samosiejek.

– Wciąż mi go brakuje – wyznał Ernest, patrząc na mogiłę usypaną z kamieni. – Ostatnio, gdy przechodzę obok jego domu, a w oknach pali się światło, mam wrażenie, że zobaczę go, jak siedzi w kuchni i czyści karabin.

Hubert kiwnął głową, mocniej wbijając w ziemię krzyż.

Razem włożyli kamienie, które osunęły się z grobu, wyrwali kilka chwastów rosnących między nimi i poprawili kawałkiem zwęglonego patyka, zabranego rano z ogniska, wyrzeźbiony na drewnianej tabliczce napis. Mówił on, że właśnie w tym miejscu Michał oglądał swój ostatni wschód słońca.

Podczas podróży rozglądali się za domami, które mogłyby pełnić funkcję stałych przystanków w drodze. Pewnego razu zaatakował ich boruta, lecz Zuzia dużo wcześniej go wyczuła i zanim

demon zdążył wyrządzić jakąkolwiek krzywdę, już nie żył. A jednego popołudnia Zuza wskazała palcem gęsty las, twierdząc, że kilka kilometrów dalej jest staw, gdzie mieszkają mamuny. Ernest sprawdził na mapie i rzeczywiście znajdował się tam zbiornik wodny, jednak było to na tyle daleko od drogi, że postanowili te demony zignorować. Gdyby bowiem mieli uganiać się za każdym stworem, którego wyczuła Zuzia, nie dotarliby do celu podróży. Czasem w oddali słyszeli wysoki urywany gwizd. Co jakiś czas, szczególnie w porze posiłków, zjawiał się też Klakier.

– Patrzcie! – Iza, unosząc się w siodle, wskazała podekscytowana przed siebie.

W oddali, między drzewami, ujrzeli pnie pomalowane na wściekłe żółty kolor.

– W końcu w domu – ucieszyła się.

– Ej, nawet nie mów, że w Dąbrówce było tak źle – skrzywił się Hubert.

Nie przyspieszyli, jakby chcieli delektować się tym, że zaraz dojadą do celu, zresztą nastąpiło późne popołudnie i konie też były zmęczone.

Minęli żółte pnie, przejechali przez las i znaleźli się na zaoranych polach uprawnych. Nie zobaczyli na nich żadnych ludzi, wszyscy pewnie skończyli już pracę i przed zmierzchem przenieśli się do osady.

Hubert z rozrzewnieniem patrzył na palisadę, którą budowali przez tyle dni, i zastanawiał się, kogo zastaną na warcie przy bramie. Lecz tu czekała go niespodzianka, zresztą nie tylko jego.

– Kim jesteście i czego chcecie? – warknął strażnik, celując do nich ze strzelby.

Iżę zatkało, otworzyła usta, ale nie wy dobył się z nich żaden dźwięk. Widząc jej minę, Hubert parsknął śmiechem.

– No, słucham – powiedział strażnik.

Był mężczyzną średniego wzrostu, tak szerokim w barach, że wyglądał, jakby pół życia przepracował w kopalni. Miał ciemne proste włosy do ramion i spojrzenie, które sugerowało, że za wszelką cenę będzie bronił wstępu do osady. Tuż obok niego stał drugi mężczyzna. Był podobnego wzrostu, ale szczuplejszy. Nie trzymał broni.

– A może zabłądziliśmy i trafiliśmy nie do tego Świącina, co trzeba? – zaśmiał się Hubert.

Nie wiedzieć dlaczego ta sytuacja go rozbawiła.

– Jak to nie do tego?! – zdenerwowała się Iza. – Jestem córką Sołtysa! – zwróciła się do strażnika. – I jeżeli zaraz nie wpuścisz mnie do mojego własnego domu...

– To co?

– Henryk, zrób coś!

– Ja tu nie mieszkam – odparł były wojskowy, który też najwyraźniej dobrze się bawił, widząc wściekłą Iżę.

- Każda przybłęda może powiedzieć, że jest córką Sołtysa – oświadczył przytomnie strażnik
 - Ja też? – zapytał Hubert, za co mężczyzna wycelował strzelbę w niego.
 - Artur... – Strażnik, nie spuszczać ich z oczu, zwrócił się do swojego chudego towarzysza. –
- Leć po innych.

- Paranoja – mruknęła Iza.

Artur wrócił po minucie z Markiem.

- Ja ich nie znam, nie wiem, kim są – powiedział starszy strażnik

- To nie jest zabawne – warknęła do niego Iza.

- Tak długo nie wracaliście, że ojciec postanowił cię wydziedziczyć – odparł Marek z uśmiechem.

- Akurat! – prychnęła.

- No dobrze już, zsiadajcie z tych koni i przywitajcie się z człowiekiem, jak należy.

Marek uściskał po kolei każdego z nich.

- To jest nasz nowy strażnik, Mateusz. – Wskazał mężczyznę ze strzelbą. – Czasem bywa nadgorliwy – szepnął do Huberta. – A to jego brat, Artur. Przyjechali do Świącina niedługo po waszym wyjeździe.

Prowadząc konie, przeszli przez bramę i skierowali się do centrum wsi.

- Na twoim miejscu bym uważał, Iza potrafi być mściwa – Marek szepnął do Mateusza, klepiąc go po plecach.

Wszyscy powitali ich gorąco. Hubert jeszcze nigdy nie widział Sołtysa Mariana takiego szczęśliwego.

- Myślałam, że już nigdy do nas nie wrócisz – usłyszał łowca.

Odwrócił się i zobaczył Anię.

- Cześć. – Uściskał ją.

- Bez was było pusto we wsi.

- Ale w końcu jesteśmy, i to w większej liczbie. – Uśmiechnął się.

Zanim się obejrzel, zapadła ciemność. Sołtys nawet nie chciał słyszeć o zebraniu w szkolnej piwnicy i wziął córkę do domu.

- Ja też się zbieram do siebie – powiedział Henryk – Trzeba zobaczyć, jak tam w chacie. Trzymajcie się.

Hubert machnął mu ręką, a potem zaprowadził Ernesta i Zuzię do swojego mieszkania. Gdy przekraczał próg, między nogami śmignął mu Klakier.

W sieni panowały egipskie ciemności. Hubert, trzymając się ręką ściany, dotarł do kuchni, gdzie na stole odnalazł lampkę naftową. Z kieszeni wyciągnął krzesiwo i odrobinę suchego mchu zawiniętego w chusteczkę. Słaby płomień rozjaśnił mrok. Zuzia zapaliła drugą lampkę i ruszyła na zwiedzanie, które zakończyła w sypialni.

– Podoba mi się. – Postawiła lampkę na szafce i usiadła na łóżku, gładząc dłonią kóldrę. Tuż obok niej usadowił się Klakier. – Będzie wygodne.

Hubert stanął w progu i westchnął ciężko.

– Czujcie się jak u siebie – powiedział z przejęciem.

– Z pewnością będziemy – odparła. – A teraz możesz zamknąć drzwi, chciałabym się przygotować do snu.

– Ty śpisz na wersalce – oznajmił Ernestowi. Wziął z korytarza swój worek i powlókł się do małego pokoju.



ROZDZIAŁ XVII

Hubert miał piękny sen, gdy nagle poczuł na twarzy coś lodowatego. Otworzył szybko oczy, wziął głęboki wdech i zakrzusił się wodą. Kaszląc, usiadł na macie.

– Co, do cholery...? – zapytał, wciąż się dławiąc.

– Śniadanie – oznajmiła Zuzia.

W rękę trzymała dzbanek. W progu stała Ania.

– Co one...? – zwrócił się do Ernesta, który wciąż zaspany siedział na wersalce.

Dziewczyny wyszły do kuchni.

– Nie mogły cię dobudzić – powiedział przyjaciel. – A Ania przysłała ze śniadaniem.

– Co za... – mruknął. – Odbiło wam?! – krzyknął, po czym usłyszał cichy chichot Ani. – Tak się nie traktuje ludzi!

Wstał z maty i ubrany w mundur, jak poprzedniego dnia, poczłapał do kuchni. Zjadł coś i wybrał się do starej szkoły, gdzie miał nadzieję zastać Sołtysa.

Marian pił w kuchni kawę.

– Dobry – przywitał się chłopak

– Witamy z powrotem – odpowiedział mężczyzna.

Iza stała z boku, oparta tyłem o meble, i trzymała w rękach parujący kubek

– Opowiedziałam już o wszystkim, co robiliśmy przez ostatnie miesiące – odezwała się. –

O twoich planach również.

Chłopak spojrzał na Sołtysa.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – powiedział mężczyzna. – Ale wstępnie masz moją aprobatę.

Może rzeczywiście za rzadko nawiązujemy kontakt z innymi. Będziemy musieli porozmawiać, jak to wszystko by miało funkcjonować. A tymczasem możesz wrócić do pełnienia obowiązków strażnika.

Hubert uniósł lekko kąciki ust.

– W zamian za gościnę, jakiej udzieliliście mojej córce i Henrykowi, niech twoi przyjaciele czują się w Świącinie jak w domu – dodał Marian.

– Dziękuję. – Skinął głową. – W takim razie spotkam się z pozostałymi strażnikami. Do zobaczenia później.

– Poczekaj, pójde z tobą. – Iza odstawiała kubek na szafkę i ruszyła za Hubertem.

– Jak się czujesz znowu w domu? – zapytał, kiedy szli w stronę piwnicy strażników.

– Dziwnie – odparła. – Mój dom wydaje mi się teraz wielki i zimny... I pusty. Ojciec naprawdę się ucieszył, widząc mnie. Zamartwiał się całą zimę. Jeszcze nigdy nie był tak uradowany.

– To dobrze.

Iza powiedziała coś cicho.

– Co?

– Ojciec... – Znowu ściszyła głos tak, że jej nie usłyszał.

– Co ty tam mruczysz?

– Że ojciec chce urządzić imprezę z okazji naszego powrotu!

– Poważnie?

Pokiwała głową.

– Niestety.

– Dlaczego? Będzie wyżerka.

– Bo to tak naprawdę na moją cześć – burknęła.

Hubert parsknął śmiechem.

– Nie martw się. – Poklepał ją po łopacie. – Za kilka dni mu przejdzie i znów będziecie się kłócić.

Weszli do szkoły i skierowali się w stronę piwnicy.

– W końcu jesteście! – w głosie Jacka zabrzmiał wyrzut.

W rękę trzy małą gąbkę i zmazywał nią z tablicy grafik wart.

– Jak sobie radziliście? – zapytała Iza, siadając na ławce szkolnej. Kilka razy machnęła nogami w powietrzu.

– Oczywiście, że świetnie i wcale nam was nie brakowało – odparł z przekąsem strażnik.

– Och, stęsknił się za nami – powiedział Hubert, opierając się o ławkę tuż obok Izy.

– Dzisiaj jeszcze macie wolne. – Jacek zerknął na tablicę. – Zarządzenie Sołtysa. Ale od jutra możecie zacząć pracować i zarabiać na chleb. Bo zostajecie na dłużej, prawda?

– Na razie – odrzekł Hubert. – Przyda nam się kilka dni odpoczynku po podróży, a potem... potem mamy inne plany.

Jacek spojrzał na niego badawczo.

– Proponuję zebranie na drugą – odezwała się Iza. – Wszystko wam wyjaśnimy.

Zeskoczyła z ławki i skierowała się do wyjścia.

– Aha, Ernestowi też możesz wpisać w grafik jakąś wartość – rzuciła przez ramię.

Hubert wyszedł tuż za nią.

Stanęli przed szkołą w ciepłym marcowym słońcu.

– Do zobaczenia o drugiej – pożegnała się Iza. – Tylko się nie spóźnijcie.

Hubert wrócił do domu, który wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. W sieni stały jakieś wiadra, miski, leżały szmaty i krzesła.

– Co tu się dzieje?! – Oniemiały stanął w korytarzu.

Ernest wystawił głowę z kuchni.

– Zuza robi porządki – oświadczył.

– I sam nawet nie wiem, czy to dobrze, czy źle – westchnął Hubert.

Zanim zdążył się ewakuować z domu, Zuzia wcisnęła mu w rękę szmatę, wiadro, wysłała do studni po wodę i kazała powycierać z kurzu wszystkie szafki.

Do drugiej we trójkę posprząkali prawie całe mieszkanie.

– Powinniśmy już iść na to spotkanie – powiedział Hubert, zapinając pas z bronią.

Ernest również zabrał swój pistolet, upewniając się uprzednio, że magazynek jest pełny.

– Co z nią? – szepnął Hubert, wskazując brodą w kierunku ściany, za którą Zuzia urządziła swój

nowy pokój.

– Przecież poradzi sobie sama – odparł Ernest.

– Pamiętaj, że jest w zupełnie nowym miejscu...

Wyszli do sieni i akurat w tym momencie drzwi wejściowe się otworzyły. Zobaczyli Anię.

– Cześć. Co ro...? – zaczęła.

– O! Aniu! Jak dobrze, że jesteś. – Ucieszył się na jej widok Hubert. – W tym pokoju – otworzył drzwi – jest Zuza. Zabierzesz ją na wycieczkę po Świącinie? My musimy iść na spotkanie ze strażnikami.

– Dzięki, że się zgadzasz. – Ernest ucisnął dłoń zaskoczonej nastolatki, a potem obaj ją wyminęli i wyszli z domu.

Do piwnicy dotarli spóźnieni.

– Nareszcie – powitała ich z przekąsem Iza. – Dzięki, że nie musieliśmy czekać na was dłużej. Jak Boga kocham, on ma na ciebie naprawdę fatalny wpływ – zwróciła się do Ernesta.

– Przecież nie zaczęlibyście bez nas – odparł wesoło Hubert i usiadł na ławce. – To o czym będziemy mówić?

– Wiedziałem, że nasze życie bez tej dwójki byłoby nudne – westchnął ciężko Stanisław.

Hubert uśmiechnął się do niego, a potem wychwycił krzywe spojrzenie Mateusza, nowego strażnika. „Bufon” – pomyślał.

– To opowiadaj, co sły chać na dalekiej północy – poprosił Izę Adam.

Zaczęła mówić o tym, co robili przez całą jesień i zimę, o ludziach, których spotkali, i o demonach, z którymi musieli walczyć.

– Natknąłem się kiedyś na takiego potwora – odezwał się w pewnej chwili Mateusz – który wyglądał jak wielki wilk. Padł dopiero, kiedy wpakowałem w niego cały magazynek. Nie sądzę, że można zabić takiego zwykłą maczetą...

Nagle drzwi od piwnicy gwałtownie się otworzyły i uderzyły z hukiem o ścianę.

W progu stanęła Ania, blada jak ściana.

– Hubert... – Odszukała wzrokiem łowcę. – Zuza... ja... oprowadzałam ją po wsi i ona... ona chyba wyszła za palisadę tylną furtką...

– Cholera! – zaklął Ernest, zerwał się z krzesła i wybiegł z piwnicy.

– Zaraz wracamy – rzucił Hubert.

Za nim wybiegli Iza, Jacek i Mateusz.

Hubert dogonił przy jaciela, sprawdził, czy przy pasku wciąż ma bagnet, wyjął z kabury colta.

Równocześnie dopadli małej bramy na końcu wsi, która zazwyczaj była zaryglowana. Za nią znajdowała się droga do jeziora. Nie oglądając się za siebie, wybiegli z osady.

Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyli Zużę. Stała na wzgórzu tyłem do nich. Wiatr rozwiewał jej włosy.

– Zuza! Odbiło ci? – zezłościł się Ernest, gdy dobiegł do niej.

Dziewczyna miała zamknięte oczy i oddychała głęboko.

– Co się dzieje? – zapytała cicho Iza.

Jacek i Mateusz zerkali po kolei na wszystkich.

– Wiedzieliście, że marzec to miesiąc godów? – zapytała Zuza.

– Co? – Ernest był zbity z tropu.

Zuzia uniosła powoli rękę i wskazała las.

– Niecały kilometr stąd są dwa wije – wyjaśniła. – Zajmijcie się nimi, ja idę dalej zwiedzać.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wsi.

– Hubert? – Ernest zerknął na przyjaciela.

Łowca zamknął oczy i wziął głęboki wdech, lecz nic nie poczuł, ale to nie znaczyło, że demonów w lesie nie ma.

– Upewnij się, że Zuza dotrze do wsi, ostrzeż innych i zaryglujcie obie bramy. – Hubert zwrócił się do Mateusza, który stał najbliżej niego.

– Chyba sobie stroisz żarty – oburzył się nowy strażnik – Nie będę przyjmował rozkazów od ciebie! Jesteś ode mnie mło...

Hubert wywrócił oczy ma i spojrzał na Iżę. O dziwo, córka Sołtyśa nie zamierzała się kłócić.

– Dobra, uważajcie na siebie – powiedziała i pobiegła truchtem do wsi.

– Prowadź – odezwał się Ernest do przyjaciela.

Niepotrzebnie, bo Hubert już ruszył w stronę lasu.

Odbezpieczył pistolet i skupił się w marszu. Dopiero w lesie poczuł demony. Wije były zmęczone. Przybyły z daleka, szukały schronienia.

Nagle łowca stanął. Ernest, który był tuż za nim, zatrzymał Jacka i Mateusza.

Hubert znów zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Demony pozostawały uśpione, nie czuły żadnego zagrożenia.

– Może uda się je zaskoczyć – szepnął i postąpił naprzód.

Powoli i bezszelestnie szli między drzewami, aż dotarli do olbrzymiego, omszałego głazu. W jego cieniu spały splecione ze sobą wije.

Gdy samiec poczuł obcy zapach, mężczyźni już w niego celowali. Wij gwałtownie podniósł łeb, zasyczał głośno i rzucił się na strażników.

Jego partnerka wystraszona umknęła w las.

Hubert oddał cztery strzały. Wij zasyczał i rzucił się w bok Ernest również w niego strzelił.

– Trafiłem – westchnął z ulgą, stając plecami do Huberta.

– Ja też.

Uważnie lustrowali okolicę. Gdzieś niedaleko rozległ się gniewny syk

– Nie odpuści – mruknął Hubert.

Tuż przy nich stanęli Jacek i Mateusz.

– Ernest! – krzyknął Hubert.

Rudzielec strzelił, gdy w jego polu widzenia pojawiło się pokryte łuskami ciało.

Wtem z drugiej strony usłyszeli syk. Hubert strzelił trzykrotnie; przynajmniej raz trafił w ogon.

Zapomniał o strachu. Próbował się skupić. Wij był wściekły. Nie czuł bólu, łaknął wyłącznie krwi. Krew ludzi. Pragnął zamknąć paszczę na miękkich ciałach, poczuć ciepłą krew wylewającą się z ran...

– Mateusz, przygotuj się – powiedział powoli Hubert.

Sekundę później rozwścieczony demon rzucił się na nowego strażnika.

Mateusz wystrzelił w trójkątny łeb cały magazynek i w lekkim szoku stanął nad śmiertelnie ranionym demonem, który w konwulsjach bił ogonem o ziemię. Ernest przycisnął butem szyję wija i wbił bagnet w miękkie ciało u podstawy czaszki.

Hubert odwrócił się do nich tyłem i wziął głęboki wdech.

Samica nie uciekła daleko. Bała się, lecz nie o siebie, a o młode. Wkrótce miała złożyć jaja. Potrzebowała partnera, żeby jej strzegł i przynosił jedzenie. Poczawszy zapach jego krwi, wpadła w furję. Wspierając się potężnymi łapami, bijąc na boki ogonem, ruszyła do boju.

Hubert wsunął colt do kabury. Magazynek był pusty. Schylił się i podniósł z ziemi grubą gałąź. Była jeszcze twarda, prawdopodobnie niedawno złamał ją wiatr.

Łowca uniósł drąg i czekał. A gdy wij zaatakował, był gotowy. W cios włożył całą siłę. Gałąź z trzaskiem się złamała, a łeb demona gruchnął o pień pobliskiego drzewa.

Zanim wij doszedł do siebie, Hubert rzucił się na niego z bagnetem. Nogami objął grube cielsko i zablokował łapy. Jedną ręką chwycił za łeb, a drugą poderżnął demonowi gardło. Trwało to zaledwie kilka sekund.

Trzymał ją jeszcze chwilę, aż samica całkowicie się nie wykrwawiła. Odrzucił nogą ciężki tułów od siebie i usiadł na ziemi, opierając się o pień drzewa.

– Wszystkie? – zapytał Ernest.

Hubert kiwnął głową, wycierając bagnet o mech.

– Planowały znaleźć w okolicy gniazdo i złożyć jaja – powiedział.

– Wstawaj. – Przyjaciel wyciągnął do niego rękę.

Po kilku minutach zjawili się Jacek oraz Iza z ojcem.

– Dobra robota, panowie – pochwalił Marian, patrząc na martwe demony. – Boże, gdyby założyły gniazdo w naszym lesie... Dziś na kolacji wszyscy czterej dostaniecie najlepsze wino.

– Trzeba by je spalić, co? – odezwał się Jacek.

Ernest zerknął pytająco na Huberta.

– To idźcie po jakieś szpadle i podpałkę, dobra? – zaproponował łowca.

Kiedy tylko dwaj strażnicy i Sołtys zniknęli z pola widzenia, Hubert wyrwał demonom po zębie, a potem wraz z przyjacielem je oskórował.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. – Iza przyglądała się z niechęcią ich pracy. – Ludzie w Świącinie nie są aż tak wyrozumiali jak w Dąbrówce.

– Ale skóra, żeby tyle skóry się zmarnowało – odparł Hubert, ocierając wierzchem dłoni pot z czoła.

Wkrótce wrócili Jacek i Mateusz z podpałką i kilkoma szczapkami suchego drewna. Gdy zobaczyli, co zostało z wijów, byli – delikatnie mówiąc – zdziwieni. A mniej delikatnie mówiąc – zaczęli wyklinać i zastanawiali się głośno, czy Hubert i Ernest są przy zdrowych zmysłach.

– Nie przesadzajcie – próbowała ich ułagodzić Iza. – Przecież to tylko skóra.

– Skóra z demona! – gorączkował się Jacek.

Lecz dziewczyna jedynie wcisnęła strażnikowi w ręce szpadel, który ten wcześniej z wrażenia upuścił, i kazała mu wykopać dół.

Wkrótce martwe demony spłonęły. Dwaj przyjaciele z Dąbrówki i Iza starali się przejść przez wieś tak, żeby jak najmniej ludzi zobaczyło, jakie trofeum przynoszą.

Na szczęście do domu Huberta dotarli niezauważeni. W ogrodzie wyczyścili skóry, zakonserwowali solą, aby się nie popsuly, i ukryli w piwnicy. Nie mieli jeszcze pojęcia, na co je przeznaczą, ale można z nich było zrobić wiele rzeczy, choćby paski, torby i buty.

Hubert umył się w zimnej wodzie, a ponieważ Ernest jeszcze oglądał skóry, a Zuzia wciąż wólczyła się po wsi z Anią, z braku lepszego zajęcia postanowił się przespać przed wieczorną imprezą. Jedyнным pościelonym łóżkiem w domu było to w jego dawnym pokoju, który teraz zajmowała Zuza, więc bez wyrzutów sumienia padł na nie i od razu zasnął.

– Ty! Wstawaj! I wyłaż z łóżka mojej siostry!

Hubert burknął coś niezrozumiale.

– No już, bo cię zrzucę.

– Jeszcze chwilę – poprosił, otwierając jedno oko i obrzucając Ernesta niechętnym spojrzeniem. – Spałem tylko kilka minut.

– Chyba godzin. Zaraz zaczyna się impreza.

– Poważnie? – Hubert gwałtownie usiadł na łóżku.

W kącie pokoju stała Zuzia w niebieskiej sukience i zakładała kółczyki.

– Ubierz się przy zwoicie – powiedział Ernest. – Jesteśmy bohaterami dnia, musimy się dobrze zaprezentować.

Hubert próbował znów się położyć, ale przy jacieli zaczął szarpać go za ramię.

– No dobra, już wstaję – burknął.

Poczłapał do małego pokoju, gdzie trzymał ubrania w wojskowym worku. Grzebiąc w nim, natrafił na demonologię. Zabrał ją do kuchni i podał Ernestowi.

– Daj to Sołtysovi – powiedział.

– A niby dlaczego ja?

– Bo ty masz lepszą gadkę niż ja. Walniesz jakąś kwiecistą przemowę o przymierzu naszych wiosek. Zobaczysz, facet się ucieszy. A strażnicy jeszcze bardziej.

Ernest pokręcił głową, ale książkę wziął.

– A tak w ogóle to masz nowego fana! – krzyknął, gdy Hubert wrócił do pokoju, żeby się ubrać.

– Ta? Kogo? – odkrzyknął łowca, wciskając się w spodnie.

– Tego Mateusza.

– Akurat. Nie widziałeś, jak się przez cały czas na mnie gapił?

– Widziałem. I szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię.

– Niby dlaczego?

– Bo przyjeżdżasz nie wiadomo skąd, zachowujesz się jak błazen, opowiadasz niestworzone historie, a miejscowi cię uwielbiają.

– Hm, gdyby spojrzeć na to z tej strony, to sam siebie bym nie polubił. – Hubert, już ubrany, wszedł do kuchni.

– Ale gdy zabiłeś tego wija, zyskałeś w jego oczach. On chyba nie sądził, że jesteś w stanie zrobić choć połowę z rzeczy, o których opowiadała Iza.

– Skończyliście? – Do kuchni wmaszerowała Zuza. – Nie wypada się spóźnić.

Hubert spojrział na nią. Wyglądała zabójczo – jak zawsze, gdy się wystroiła. W chwilach, gdy nie mamrotała do siebie, można by pomyśleć, że jest zupełnie zwyczajną dziewczyną.

Po drodze spotkali Andrzeja z żoną i razem z nimi weszli do szkolnej świetlicy. W środku było trochę ciasno, ale za to ciepłej niż na dworze. Pod ścianami poustawiano stoliki, na których znajdowały się smakowicie pachnące jedzenie, ciasta i dzbany z winem.

Hubert odszukał wzrokiem Izę. Siedziała znudzona obok ojca, a potem zobaczył w kącie Henryka i ruszył w jego stronę z przyjaciółmi.

– Jak w domu? – zapytał, siadając obok niego.

– Zaskakująco dobrze – odparł były wojskowy. – Marian pewnie wysłał kogoś, by sprawdzał, czy wszystko w porządku.

– Miło z jego strony.

– On się opiekował moim domem, a ja jego córką.

Gdy wszyscy już przybyli, Sołtyś wygłosił krótką przemowę, jak bardzo się cieszy, że wrócili szczęśliwie z tak długiej podróży, oraz powiedział, że liczy na zacieśnienie stosunków z osadami z północy.

Kiedy ludzie się najedli, zaczęli krążyć po sali i przysiądać się do innych.

– To od ojca. – Do stolika Huberta podeszła Iza z butelką wina i napełniła dwa kubki. – Daliście dzisiaj niezły popis z tymi wijami.

– To się nazywa „wejście smoka” – odparł Hubert. – Musieliśmy przypomnieć miejscowym, jak bardzo nas potrzebują.

– Muszę was o coś poprosić – odezwał się nagle Henryk z grobową miną.

Hubert i Iza spojrzeli na niego zaniepokojeni.

– Rozumiem, że to będzie pewnie trudne. I ciężko będzie się wam pohamować, ale mając na względzie to, jak skończyła się nasza ostatnia tego typu impreza, jestem zmuszony was o to prosić.

– Ale o co? – Nie wytrzymała Iza.

– Bo wiecie, nie chcę, żeby potem Marian miał do mnie jakiegokolwiek pretensje.

– O co chodzi? – zapytał Hubert.

– Proszę was, nie wymyłajcie się z imprezy, żeby zabijać demony, dobrze? – poprosił Henryk, wciąż śmiertelnie poważny.

Nastąpiła chwila ciszy.

– To było wredne – stwierdziła Iza, po czym zerwała się, zabrała kubek z winem i odeszła.

– Cios poniżej pasa – dodał Hubert.

– Mnie się podobało. – Ernest się uśmiechnął.

Henryk uniósł lekko kąciki ust.

– Spadajcie – mruknął Hubert. – Idę poszukać towarzystwa bardziej godnego mojej osoby.

Przeszedł kilka kroków, gdy usłyszał, że ktoś go woła po imieniu. Odwrócił się i zobaczył Mateusza.

– Usiądź na chwilę z nami – zaproponował mężczyzna.

Odsunął od stołu wolne krzesło obok siebie. Z drugiej strony siedział chudy okularnik, jego brat Artur.

– Może być ciekawie – westchnął Hubert, przywołał na twarz uśmiech i dosiadł się do nowego strażnika.

Mateusz wcisnął mu w rękę kubek z winem.

– Opowiadałem Arturowi, jak świetnie poradziłyśmy sobie dziś z tymi demonami. Po prostu poszliśmy do lasu i je zabiliśmy. Bez zbędnych dyskusji, planowania. I muszę przyznać, że cię nie doceniałem. Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie te demony wyskoczą?

– Taki wrodzony talent – odparł chłopak, biorąc mały łyk wina.

– Podróżowaliśmy trochę po świecie – kontynuował Mateusz. – Byliśmy nawet za granicą, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Dzięki. A teraz wybaczenie, mam jeszcze z kimś do pogadania – wymówił się Hubert.

Nadszedł czas, żeby porozmawiać z Sołtysem. Ernest w kilku słowach opisał, jak powstała demonologia, wspominał o przymierzu Święcina i Dąbrówki, a potem wręczył książkę Marianowi, który z namaszczeniem zaczął ją przeglądać.

Potem przyszła kolej na Marka. Dołączył do niego Andrzej i inni strażnicy, każdy chciał zobaczyć tę niezwykłą książkę. Wiedza o demonach, o ich zachowaniach, o tym, jak stworzyć zabić lub przebłagać, była na wagę złota. A teraz święcinianie mieli własną demonologię.

– Ojciec jest w siódmym niebie. – Iza popatrzyła na Huberta z wdzięcznością.

– Zasłużył na to, w końcu musi mnie tu znosić – zażartował łowca.

Wtem na stole zobaczył wyjątkowo smaczną pieczeń i postanowił jej spróbować. Gdy jadł, dosiadł się do niego Jacek

– O, jak dobrze, że cię znalazłem – ucieszył się.

– Jestem dziś rozchwytywany – mruknął z pełnymi ustami.

– Słuchaj, ta siostra Ernesta to fajna dziewczyna, prawda? – Dyskretnie obejrzał się na Zużę.

Hubert wzruszył ramionami.

– No, fajna.

– A myślisz, że Ernest miałby coś przeciwko, jakbym trochę z nią pogadał?

Hubert zakrztusił się jedzeniem i Jacek musiał go mocno klepnąć w plecy.

– Że co? – zapytał, jak odzy skał głos.

– Wydaje się sympatyczna.

– Raczej nie powinienes... – zaczął Hubert. – Zuza jest... ona nie jest jak... inne dziewczyny.

Jest... wyjątkowa. Chociaż... jak chcesz, idź i gadaj z nią. Po pięciu minutach z nią będziesz wiedział, o co mi chodzi.

– Dzięki. – Jacek poklepał go w ramię i odszedł.

– To będzie naprawdę ciekawa noc – mruknął do siebie Hubert.

Skończył jeść mięso i rozejrzał się po sali. Miło było znów znaleźć się wśród tych ludzi. Tęsknił za nimi kiedyś, tak jak teraz brakowało mu Dąbrówki. Jego wzrok zatrzymał się na Marice. Jak zwykle ubrała się w kwiecistą sukienkę, włosy miała lekko upięte.

Jednak nie uśmiechała się tak jak zawsze. Wyglądała raczej na rozszalona. I co dziwniejsze, pewnym krokiem szła w stronę Izy. Gdy do niej dotarła, złapała dziewczynę za ramię. Zaskoczona córka Sołtysa spojrzała na wycelowany w nią palec. Marika zaczęła gniewnie mówić i żywo gestykulować. Iza coś odpowiedziała i chciała ją wyminąć, lecz nauczycielka zagroziła jej drogę, ciągnąc tyradę.

Hubert z zaciekawieniem podszedł bliżej. Dziewczyny stały nieco z boku sali i nikt więcej nie zwrócił na nie uwagi.

– Co ty sobie wyobrazasz?! Nie możesz tak robić! – prawie krzyczała Marika.

– Uspokój się – mruknęła Iza.

– Nie można kraść cudzych chłopaków!

„Że co?” – zdziwił się Hubert.

– Nikogo ci nie kradnę. Świat się nie kręci wokół ciebie.

Chłód i obojętność Izy doprowadzały Marikę do szału. Palcem wskazującym dźgnęła córkę Sołtysa w klatkę piersiową.

Iza spojrzała na nią z wrogością.

„O nie – pomyślał Hubert. – Przecież ona powali ją na ziemię jedną ręką”.

Postanowił interweniować, zanim poleje się krew.

– Cześć! O czym gadacie? – Podszedł bliżej. – Marika, próbowałaś tamtej drożdżówki? Jest przepyszna.

Jednak dziewczyny nie zwróciły na niego uwagi. Marika wciąż wbijała palec w mostek Izy, która mocno zacisnęła pięści.

„Iza zaraz jej połamie tę rękę”.

Stanął tuż za Mariką, złapał ją w pasie i nachylił się do jej ucha, by powiedzieć, żeby się uspokoiła. Wtedy wściekła nauczycielka szarpnęła się i machnęła na ślepo zacisniętą pięścią. Trafiała Huberta w twarz. Przed oczyma zaczęły mu latać mroczki.

Zaklął i przyłożył dłonie do twarzy.

– Zwariowałaś?! – krzyknął.

Marika spojrzała na niego z przerażeniem.

– Przepraszam! Nie zauważyłam cię.

– Jak to nie?!

– Bo tak się zakradłeś...

Iza parsknęła wściekłe.

– To twoja wina! – Marika wpatrywała się w niego zmieszana. – Nie trzeba było tak mnie zaskakiwać! – jęknęła i ze spuszczonego wzrokiem wymknęła się w głąb sali.

– I po co się wtrącasz? – Iza spoglądała na niego spod uniesionych brwi.

– Nie chciałem, żebyś ją zmasakrowała – jęknął.

Czuł, że oko, w które trafiła go Marika, puchnie.

– Sądziś, że nie potrafię nad sobą zapanować? I nie dam sobie rady z rozszluszczoną babą? – oburzyła się.

– Tak – jęknął. – To znaczy nie.

– Następnym razem się nie wtrącaj – burknęła i zostawiła go samego.

Jedyną osobą, na którą mógł liczyć, był Ernest. Przyjaciel przyniósł mu miskę z lodowatą wodą ze studni i szmatkę, żeby mógł sobie przygotować kompres.

– Tylko idiota wchodzi między dwie bijące się kobiety – oznajmił. – I jeszcze oczekuje, że będą mu wdzięczne.

– Nic mi nie mów. Pobila mnie dziewczyna. I to jeszcze Marika.

– Ciesz się, że to nie była Iza, bo wtedy tak łatwo byś się nie pozbierał. A o co w ogóle im poszło?

– A skąd mogę wiedzieć? Chyba o jakiegoś faceta. Obstawiałbym, że o tego nowego.

„Marika musiała zobaczyć, jak rozmawia z Izą – pomyślał. – I coś sobie ubzdurała. Bo oni przecież tylko rozmawiali”.

– Tylko rozmawiali – powtórzył cicho na głos, przekonując siebie, że Mateusz wcale nie jest w typie Izy.

Potem już wieczór przebiegał spokojnie, do czasu aż Mateusz przypadkowo wylał wino na Brunona. A że Bruno był impulsywnym mężczyzną, uderzył Mateusza w żołądek. Nowy strażnik najwyraźniej uznał, że musi „określić swoją pozycję w stadzie” i nie może pozostać mu dłużny, jak to później ujął Hubert, i przyłożył mu w szczękę. Bruno zatoczył się i wylądował na stole, zrzucając na ziemię kilka kubków oraz talerzy z jedzeniem.

– Nie powinniśmy ich powstrzymać? – zapytał Ernest.

– Ja już nie mieszam się w żadne bójkę – oświadczył Hubert.

Mateusz stanął spokojnie i czekał, co będzie dalej. Nie zamierzał kontynuować bójkę, ale był gotowy na ewentualny atak.

Bruno, klnąc siarczyście, pozbierał się ze stołu i wziął zamach, lecz Henryk złapał go za przedramię.

– Odbiło wam? – warknął. – Wypad z sali i nie wracaj, dopóki nie wsadzisz tego durnego łba do wiadra z lodowatą głową. A ty... – zwrócił się do Mateusza.

– Ja sobie spokojnie usiądę – powiedział nowy strażnik, rozkładając ręce.

Henryk kiwnął głową i wyprowadził Brunona na zewnątrz.

– A już zacząłem obstawiać zakłady – westchnął Hubert.

– Z tego, co pamiętam, mówiłeś mi, jaka to spokojna i przyjazna wioska jest z tego Święcina – powiedział Ernest.

– Nie wiem, co dziś wstąpiło w tych ludzi. Może to z radości na nasz widok?

– Aha, na pewno.

Przez chwilę siedzieli przy stole sami, a potem przysiadł się do nich Marek, żeby pogawędzić.

W końcu ludzie zaczęli się rozchodzić do domów.

– Ej, a gdzie jest Zuza? – zapytał nagle Ernest, wodząc dookoła wzrokiem.

– Bo ja wiem, przed chwilą gdzieś tu była – odparł Hubert.

– Udużę ją kiedyś. Normalnie udużę. I nigdzie więcej ze sobą nie zabiorę – wygrażał rudy chłopak.

– Spokojnie – odezwał się Marek – Przecież to nie małe dziecko. A w Święcinie jest bezpiecznie.

– Nie znasz jej możliwości – mruknął Hubert, wstając.

Razem z Ernestem jeszcze raz rozejrzeli się po sali, gdzie było już coraz mniej ludzi, a potem wyszli na zewnątrz. Wzdłuż drogi do świetlicy stało kilka pochodni wbitych w ziemię. Rzucaly

migoczące światło wokół siebie, lecz kawałek dalej panowały ciemności.

– Zuza! – krzyknął Ernest.

Odpowiedziała mu cisza.

– Zuza!

Znów nic.

– Jak Boga Kocham, zamorduję ją. Tylko proszę, nie mów, że w okolicy są jakieś demony.

– Nic nie czuję. – Hubert pokręcił głową.

Ernest nabrał powietrza w płuca, żeby ponownie zawołać, gdy uśmiechnięta Zuzia weszła w krąg światła.

– Gdzie ty byłaś? To nie jest Dąb... – zaczął, gdy tuż za dziewczyną pojawił się Jacek – Co on tu... Co ty tu robisz?

– Ja? – zapytał strażnik – Zuzia chciała się przewietrzyć, to jej towarzyszyłem...

Ernesta zatkało na chwilę.

– Jakie „przewietrzyć”?! – wybuchł. – Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! Żeby wyprowadzać ją z sali...

– Przecież jest dorosła – przerwał mu Jacek – I mówię: chciała odetchnąć świeżym powietrzem. Dotrzy mywałem jej towarzystwa...

– Następnym razem trzymaj się z daleka od mojej siostry – wycedził Ernest przez zęby.

Zuza, która z początku się im przysłuchiwała, nagle straciła nimi zainteresowanie i odeszła w mrok.

– No powariowali wszyscy. – Hubert wyrócił oczami. – Idziemy do domu. – Chwycił Ernesta za ramię i odciągnął od Jacka, zanim wpadli na pomysł, żeby się pobić.

Dogonili Zużę, która w spacerowym tempie przemierzała ciemną wieś.

– Zuzia, obiecałem dziadkowi i mamie, że odstawię cię całą do domu, ale ty mi wcale nie pomagasz... – zaczął Ernest.

– Przestań marudzić. Nie będziesz moją niańką do końca życia – odparła, przesywając go wzrokiem. – A poza tym nie jestem już dzieckiem i nie chcę być traktowana jak dziecko. Jestem dorosła i nie żyję sobie, żebyś nadal mówił do mnie Zuzia.

Wymięła brata w futrcie i weszła do ogródka. Hubert otworzył jej drzwi i wpuścił do domu.

– To był naprawdę ciekawy wieczór – mruknął do siebie.



ROZDZIAŁ XVIII

Hubert wstał przed południem. Powlókł się do kuchni, gdzie przy stole siedział Ernest i czyścił ich karabiny.

– Muszę znaleźć sobie jakiś materac – powiedział. – Bo kawałek maty na ziemi to żadne łóżko.

– A próbowałeś spać na tej przekłętej wersalce? – zapytał Ernest. – Ma tysiąc sprężyn i każda z nich wbija się w plecy.

– A myślisz, że dlaczego to ty na niej śpisz, a nie ja? – Usiadł przy stole. – Gdzie Zuza?

– Na zewnątrz – burknął przyjaciel, któremu wciąż nie podobało się to, jak siostra go zganiała poprzedniego wieczoru.

Hubert wyjrzał przez okno i zobaczył w ogrodzie Zuzię leżącą na wznak na drewnianej ławce. Dłonie miała splecione na brzuchu, a wzrok utkwiony w niebo.

– A właśnie... Jakąś godzinę temu była tu Iza i mówiła, że masz wartę po południu – dodał Ernest.

– No i koniec bycia bohaterem – westchnął Hubert, po czym wyszedł do ogródka. – Zuza? – zagadnął. – Ty wiesz, gdzie się teraz podziewa... Platon?

Bał się, że demonowi coś odbije i wejdzie do wsi, a nie mógł za niego ręczyć tak jak za Klakiera.

- Boi się ludzi i palisady – odparła dziewczyna. – Jest dość strachliwy, ale nie zostawi cię.
- Czyli co? Szwenda się po okolicznych lasach? – upewnił się.

Zuza skinęła głową, uśmiechając się z pobłażaniem, jakby to była oczywista rzecz, którą Hubert powinien wiedzieć.

Kiedy nadeszła pora jego warty, Hubert usiadł na ławce przed stróżówką i wystawił twarz do ciepłego wczesnowiosennego słońca. W pierwszej chwili, gdy dowiedział się, że ma wartę z Mateuszem, nie był zachwycony. Wolałby posiedzieć te kilka godzin z kimś ze starych znajomych. Ale potem przypomniał sobie, że Mateusz z bratem podróżowali trochę po kraju. Warto wypytać go o jego doświadczenia, również te z demonami. Musiał tylko być takowny, w końcu z tego, co słyszał, chłopak sporo przeszedł.

- Pomijając wczorajszy incydent z Brunonem, chyba jesteście tu już niezłe zadowoleni, co? – zagadnął w końcu.

- Można tak powiedzieć – zgodził się Mateusz. – To jest dobra osada.

- Ale ludzie trochę nieufni, prawda?

- Długo musiałem ich przekonywać, żeby pozwolili nam zostać. Ale cieszę się, że tu trafiliśmy.

- No właśnie, jak to się stało?

- Błąkaliśmy się z Arturem po okolicy i zaatakowało nas to stado dzikich psów, choć dałbym głowę, że to były demony, miały takie czarne pyski...

Hubert pokiwał głową, w zamyśleniu szurając butami po piasku.

- Mówimy na nie psy południcy.

- Wredne kundle. Miejscowi usłyszeli, jak strzelaliśmy do nich, no i przybyli nam z odsieczą.

- A co było wcześniej? Dlaczego sami podróżowaliście?

Ukradkiem zerknął na Mateusza, który lekko zeszywniał i zapatrzył się w dal.

- Mieszkałiśmy na południu z grupą ludzi, która dwa lata temu liczyła kilkanaście osób – zaczął mówić. Jego głos lekko drżał. – Dobrze sobie radzieliśmy, ale potem zaczął prześladować nas pech. Najpierw był atak dezertersów, którzy chcieli ukraść nasze zapasy żywności i broń. Zresztą częściowo się im to udało, ale w końcu ich odparliśmy. Straciliśmy przy tym sześciu mieszkańców. Potem nadeszła zima i ludzie zaczęli chorować. Nie wiedzieliśmy nawet, co to za choroba. Pewnie nic, czego kiedyś nie dałoby się łatwo wyleczyć, ale teraz nie mieliśmy leków, byliśmy wiecznie niedożywni przez zmniejszone racje żywności. Kiedy przyszła wiosna,

zostało nas ośmioro. Ośmioro z osady, która kilka lat wcześniej miała kilkudziesięciu mieszkańców. Wiedzieliśmy, że sami sobie nie poradzimy, szczególnie że dezertrzy mogli wrócić. Dlatego ruszyliśmy na północ szukać innych ludzi. Liczyliśmy, że trafimy na osadę, która zgodzi się nas przyjąć. I wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Po nocach słyszeliśmy zawodzenie, płacz i gwizdanie w lesie. Trafialiśmy na rozszarpane zwierzęta. Zaczęliśmy popadać w paranoję, wydawało nam się, że naszym śladem podążają całe hordy demonów.

Hubert pokłiwał głową. Boruta mógł zostawiać rozszarpane zwierzęta, a leszy gwizdać i gdy człowiek wmawiał sobie, że prześladują go demony, każdy cień skrywał dla niego potwory.

– I co się stało potem? – zapytał cicho, gdy Mateusz zamilkł.

– Jednego dnia nie przeszliśmy tylu kilometrów, ile zamierzaliśmy, i musieliśmy zanocewać w lesie przy ognisku. Nikomu się to nie podobało. Zresztą, co będą owijał w bawełnę, baliśmy się jak cholera. To stało się w samym środku nocy. Nie było żadnego ostrzeżenia, nic. Wartownik nie podniósł alarmu, podejrzewam, że zginął jako pierwszy. Obudziły mnie krzyki. Jakaś olbrzymia bestia wtargnęła do naszego obozu i mordowała jednego człowieka po drugim. Gdy się pozbierałem i chwyciłem karabin, nie żyły już co najmniej trzy osoby. Zobaczyłem dwie rozszarpane dziewczyny. Mój kumpel... to coś miotnęło nim o drzewo i połamało mu kręgosłup. Wszyscy krzy czeli z przerażeniem, zacząłem strzelać, ale niewiele widziałem w ciemnościach, a ta bestia była naprawdę szybka. I nagle wszystko się skończyło. Zapadła cisza. Rozdmuchałem ogień i płonąca żagwią rozświetliłem pobojowisko. Zobaczyłem cztery zmasakrowane trupy, w których ledwie mógłbym rozpoznać moich przyjaciół. Nie było wśród nich jednej dziewczyny i jej narzeczonego. Uznałem, że musieli uciec, i wtedy usłyszałem przeraźliwy wrzask. To coś ich dopadło. Wiedziałem, że nie możemy zostać tam ani chwili dłużej, demon wróciłby po nas. Wzięliśmy broń, trochę zapasów i razem z Arturem uciekliśmy. Zostawiliśmy ciała naszych towarzyszy na pastwę demonów i zwierząt... Biegliśmy przed siebie do samego świtu, a gdy wstało słońce, wciąż się nie zatrzymywaliśmy, szliśmy do utraty tchu, byleby dalej od tamtego miejsca, od tamtego potwora.

– Przykro mi – powiedział Hubert.

– Wiesz, co widzę, jak patrzę na tę wioskę? Martwych ludzi. Wszystkim wydaje się tu, że są silną społecznością, ale tak naprawdę wystarczy kilka niepowodzeń, żeby doszło do tragedii. My też uważaliśmy się kiedyś za silnych. – Nagle Mateusz się zmieszał. – Przepraszam, nie powinienem tak mówić.

– Nie przepraszaj, wcale ci się nie dziwię, że jesteś skłonny tak myśleć. Właśnie dlatego chciałbym, żeby różne osady nawiązały współpracę. Im będzie nas więcej, tym będziemy silniejsi.

– Może coś takiego ci się uda.

– A wracając do tamtego demona... mógłbyś go opisać bliżej? Cokolwiek, jaki miał wzrost, na ilu łapach się poruszał, czy miał futro, czy...

– Nie. – Mateusz pokręcił głową. – Jedyne, co potrafię powiedzieć, to że był wielki i zabójczy.

„W ciemności, gdy człowiek jest przerażony, każdy demon jest wielki i zabójczy” – pomyślał Hubert.

Jednak kilka tygodni później łowca uświadomił sobie, że już wtedy zaczął podejrzewać, jaki demon zaatakował ludzi Mateusza, tylko nie dopuszczał tej myśli do siebie.

Ernest szybko zyskał przychylność i sympatię mieszkańców Świącina. Wszyscy też polubili Zuzię, chociaż nie do końca ją rozumieli. Ale Jacek, ku niezadowoleniu Ernesta, chętnie spędzał z nią czas. Przyjaciel Huberta jednak niewiele mógł na to poradzić, w tak małej społeczności trudno było zapobiec czyimś spotkaniom, poza tym Zuza zawsze robiła to, na co miała ochotę.

Iza niemal codziennie wieczorem odwiedzała Huberta, Ernesta i Zuzię. Siadali we czwórkę w kuchni i rozmawiali albo po prostu milczeli. Hubert podejrzewał, że po ostatnich miesiącach córka Sołtysa jest po prostu spragniona towarzystwa ludzi i nie ma ochoty wracać do mieszkania w olbrzymiej starej szkole tylko z ojcem.

W każdej wolnej chwili chodzili nad jezioro, gdzie Łuczyk eksperymentował ze starym, porzeczonym urządzeniem zwanym taranem wodnym, który wiele lat wcześniej doprowadzał wodę do wsi. Jesienią odnaleziono część elementów zasypanych ziemią przy strumieniu, inne wyłowiono z jeziora, a resztę maszyny poskładano z przedmiotów znalezionych w rupieciarni.

– I to naprawdę będzie działać? – zapytał Hubert, wsłuchując się w charakterystyczne stukanie tarana. – Przecież do wsi jest dość daleka droga.

– Będzie działać – zapewnił Kazimierz. – Może kiedyś zrezygnowano z tego typu urządzeń, gdyż uważano, że nie są zbyt efektywne, ale pomyśl tylko: taran pracuje dzień i noc napędzany wodą ze strumienia, innej energii nie potrzebuje. Jego żywotność zależy od żywotności uszczelek, więc doglądany będzie działał przez dziesiątki lat.

– Tak po prostu? – Chłopak zerknął na ciężki metalowy „balon”, wciąż kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Potrzebujemy jeszcze czegoś w stylu wieży ciśnień umieszczonej w najwyższym punkcie we wsi. Na początek doprowadzimy wodę do domów węzami gumowymi, ale kiedyś uruchomimy system rurociągów podziemnych.

– Powiem ci, że prysznic w Piasecznie nie umywa się do naszego tarana – szepnęła Hubertowi na ucho Iza. Rozpierała ją duma.

Któregoś wieczoru Ernest uznał, że pora zacząć opracowywać plan działania na przyszłość, i rozłożył na stole stare mapy Huberta ukazujące trasę pomiędzy Dąbrówką a Świącinem.

– Co powiecie na pierwszy przystanek tutaj? – zapytał, wskazując miasteczko znajdujące się jakieś czterdzieści kilometrów od Świącina.

– Nie za blisko? – Iza zmarszczyła brwi.

– W dobrą pogodę i z dobrym koniem, owszem, ale weź pod uwagę, że podróżujemy w złych warunkach, gdy dzień jest krótki. Wówczas czterdzieści kilometrów to aż nadto – odparł. – A następny tutaj.

– Nie zapominajcie tylko, że tam było przewrócone drzewo – odezwał się Hubert, stukając w mapę. – Konno można je ominąć, jadąc poboczem, ale z wozem nie ma szans.

– To będziemy musieli je usunąć.

– Ale to zajmie cały dzień! – jęknął.

– Sam chciałeś przygotowywać szlak komunikacyjny – wypomniał mu Ernest. – Ze Świącina zabierzemy narzędzia i wszystko, czego możemy potrzebować. W ciągu kilku dni urządzimy tu bazę wypadową. A do kolejnych wiosek będziemy ruszać już z Dąbrówki. Tak będzie najwygodniej.

– Załatwię nam te narzędzia – zapewniła Iza.

– Nam? – zdziwił się Hubert.

– Oczywiście, że nam. Chyba nie sądziliście, że pojedziecie sami? Przecież to ma być sojusz Dąbrówka–Świącino. Też chcemy mieć swój wkład.

– Ojciec cię puści?

– Pewnie, przecież to tylko czterdzieści kilometrów.

– To co? Jedziemy pojutrze? – zapytał Ernest.

– Ścigać się z demonami i samą śmiercią – odezwała się Zuza.

– Jakimi demonami? – zapytał Hubert.

Lecz dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wyszła z kuchni.

– Czy mi się wydaje, czy jej odwała bardziej niż zazwyczaj? – zapytał przyjaciół.

– Ja nie wiem, nigdy jej nie rozumiem. – Iza rozłożyła ręce.

Następnego ranka Hubert zignorował wysiłki Ernesta, który usiłował dobudzić go na śniadanie, i odwrócił się na drugi bok. Rozkoszował się miękkim materacem, który dostał od Bartka.

Było po dziesiątej, gdy do małego pokoju wpadła Zuza i wskoczyła na materac, przy okazji

uderżając Huberta kolanem w udo.

– Wstawaj! – zawołała radośnie. – Wiosna przyszła! – A potem zniżyła głos do szeptu. – Słyszę, jak trawa rośnie.

Hubert z nierozumiejącym wyrazem twarzy usiadł na posłaniu i chciał ją wypytać, co ma na myśli, ale dziewczyna już wyszła.

– Co się z nią dzieje?

Zuza zawsze była inna i mówiła czasem od rzeczy, zwłaszcza gdy w pobliżu znajdowały się jakieś demony, ale od ich przyjazdu do Świącina zdarzało jej się to na okrągło.

Hubert zwlekł się z materaca i poszedł do kuchni, gdzie dziewczyna stała nieruchomo przy oknie i wpatrywała się w coś na zewnątrz. Stał obok niej, ale nie zobaczył nic ciekawego, więc wzruszył ramionami i usiadł za stołem.

Zuza nagle drgnęła.

– Potrzebujemy chleba – stwierdziła i nie oglądając się na niego, wyszła z domu.

Wtem wzrok Huberta padł na nienapoczety bochenek na blacie.

W tym momencie do kuchni wszedł Ernest.

– Gdzie poszła Zuza? – zapytał zdziwiony.

– Po chleb.

– Ale... – Rudy chłopak spojrzał na bochenek w rękach przyjaciela.

– No właśnie.

Ernest zamilkł.

– Wiesz, że nigdy nie sprzeciwiałem się jej udziałowi w naszych wypadach – zaczął ostrożnie Hubert. – Jako radar na demony jest niesamowita, ale teraz chyba powinniśmy jednak ją zostawić.

– Nie zostawię jej tu samej – burknął Ernest.

– Ernie, przypilnuje jej osiemdziesięcioro mieszkańców, tu jest bezpieczna.

– Nie. – Chłopak pokręcił głową. – Jak wyjeżdżaliśmy z Dąbrówki, miała rację, mówiąc, że najbezpieczniejsza będzie z nami.

– Czy ci czasem nie chodzi o Jacka?

– O żadnego Jacka mi nie...

– Bo wiesz, jest w sumie dorosła i...

– Daj mi spokój z tym Jackiem – warknął Ernest. – Zuza jedzie jutro z nami.

To miał być zwykły wyjazd do opuszczonej wsi położonej czterdzieści kilometrów od Święcina. Proste zadanie, szabry zajmują więcej czasu. Nie można było nawet porównywać tego z podróżą z Dąbrówki do Gdańska czy też do Święcina. Ale Hubert czuł nieokreślony niepokój. Martwiła go Zuza, która zachowywała się dziwnie nawet jak na nią. Częściej mówiła nonsensowne rzeczy, częściej też traciła kontakt z rzeczywistością.

Opuścili Święcino, żegnani niezbyt wylewnie przez miejscowych, ale przecież wkrótce mieli wrócić.

Wczesnym popołudniem zrobili sobie przerwę. Rozsiodłali konie i pozwolili im się popaść na młodziutkiej jasnozielonej trawie, która ledwo odrosła od ziemi. Na ciemnych gałęziach pojawiły się pączki, małe stadko wróbla ćwierkało w krzakach. Lekki wiatr niósł zapach wiosny.

Jeszcze przed wieczorem dotarli do celu.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – zapytał Hubert, gdy jechali przez małe, zniszczone miasteczko.

– Taa – odparł Ernest, rozglądając się dookoła. – Ale wcześniej wydawało mi się jakieś takie bardziej... przystępne.

– I mniej zrujnowane? – podpowiedziała Iza.

– Wy tu zostacie – Ernest zwrócił się do Huberta i Zuzi. – A my sprawdzimy okolicę, co?

– Dobra – zgodziła się Iza i skierowała konia w jedną z opuszczonych ulic.

Hubert patrzył, jak przyjaciela się oddalają.

– Chcesz suszonej wołowiny? – zapytał konspiracyjnym szeptem.

Zuza ochoczo pokiwiała głową, więc wygrzebał mięso z torby z zapasami. Dostali je od Stanisława, a stary myśliwy wiedział, jak dobrze ususzyć wołowinę.

Na powrót przyjaciół czekali godzinę.

– I co? – zapytał Hubert, gdy tylko ich zobaczył.

Iza pokręciła głową.

– Słabo – odparł Ernest. – Znaleźliśmy kilka domów, które mogłyby się nadawać, ale im lepszy znajdziemy, tym mniej się napracujemy.

– A co z tamtym gospodarstwem poza miastem? – zapytała Iza. – Kilka lat temu nasi strażnicy byli tam na szabrze, więc nie znajdziemy nic wartościowego, ale może sam dom jest w dobrym stanie. Na mapie wygląda obiecująco, położony jest tylko kilometr od głównej drogi. Możemy się tam przejechać, a jak nie będzie odpowiedni, przenocujemy i jutro zaczniemy szukać dalej.

Hubert i Ernest spojrzeli na siebie.

– To postanowione, jedziemy – zdecydowała dziewczyna.

Gospodarstwo znajdowało się ponad kilometr od głównej części miejscowości, na olbrzymiej

łące przy dziurawej asfaltowej drodze. Składały się na nie mały domek pomalowany kiedyś na upiorny zielonkawy kolor, rozsypująca się stodoła, obora i chlew.

Zuza została z końmi i wozem przy bramie, a pozostali z odbezpieczoną bronią wkroczyli do gospodarstwa. Hubert nie wyczuwał żadnych demonów, ale mogli przecież natrafić na niezbyt przyjaznych ludzi. W takich czasach ostrożności nigdy za wiele.

Ernest sprawdził dom, a Hubert z Izą budynki gospodarcze i po kilkunastu minutach spotkali się na podwórku.

– Mnie się podoba – oświadczyła córka Sołtysa.

– Też uważam, że to będzie dobry przystanek – dodał Ernest.

Zanim się ściemniło, nakarmili, wyczyścili i spętali konie. Ernest poszedł po drewno, Hubert sprawdził, czy komin jest drożny, i napalił w kominiku, Zuzia zabrała się do robienia kolacji, a Iza przygotowała łóżka do spania. Dom miał oczywiście wiele pokoi, ale w nocy wciąż panował chłód, dlatego nikt nawet nie myślał o spaniu w pomieszczeniu, gdzie nie ma kominika.

Jednak Hubert nie mógł usnąć. Przez jakiś czas leżał na macie z założonymi za głowę rękoma, patrzył na cienie na suficie rzucane przez płomień i wsłuchiwał się w spokojne oddechy przyjaciół. Potem zamknął oczy, uspokoił własny oddech i skupił myśli, lecz nic nie wyczuł. Okolica była spokojna.

Sen wciąż nie nadchodził, więc postanowił się przewietrzyć. Starając się nikogo nie obudzić, wstał z maty, zarzucił bluzę od munduru, wsunął stopy w buty i nie wiążąc sznurówek skierował się do drzwi. Zawiasy skrzypaneły cicho, gdy wychodził przed budynek. Usiadł na schodkach.

Było chłodno, chłopak poczuł na twarzy rześki powiew świeżego powietrza, który zupełnie go rozbudził.

Wtem skrzypaneły zawiasy i usłyszał ciche kroki.

Na schodkach tuż obok niego usiadła Iza, tak że stykali się ramionami. Przez jakiś czas w ogóle się nie odzywali, wsłuchani w odgłosy domu, trzeszczenie desek stodoły, szum wiatru, nocne zwierzęta na łące.

– We wsi nie doświadczysz tego rodzaju ciszy – odezwała się cicho dziewczyna.

– Tam, gdzie są ludzie, zawsze jest hałas – odparł również szeptem.

– Myślisz, że to wszystko się uda?

– Co? Czy damy radę posprzątać dom?

– Nie udawaj głupka, wiesz, o co mi chodzi.

– Mam nadzieję, że tak. Potrzebujemy siebie nawzajem.

– Chciałabym, żeby wszystkie osady były bardziej otwarte. Po podróży na północ i po tym

wszystkim, co się działo, nie wyobrażam sobie tkwić w izolacji w Świącinnie. Dobrze jest mieć dom z cegły, wieś otoczoną wysoką palisadą, czuć się tam bezpiecznie, ale...

– ...w takich warunkach zaczy nasz się dusić – dokończył za nią.

– Teraz chcę czegoś więcej od życia, chcę podróżować, poznawać nowych ludzi, spotykać dawnych znajomych, wiedzieć, że świat to nie tylko Świącino.

Hubert czuł ciepło bijące od jej ramienia i nagle zimny beton schodków przestał mu przeszkadzać.

– Czasem mam wrażenie, że gdyby nie koniec świata, byłbym nikim – powiedział po chwili. – Nie wiedziałbym tego, co wiem teraz, wielu rzeczy bym nie umiał. Byłbym po prostu szarym człowiekiem w tłumie.

– Może masz rację – odparła. – Już nie potrafię wyobrazić sobie życia takiego jak dawniej. I staram się w ogóle o nim nie myśleć.

Niespodziewanie położyła głowę na jego ramieniu. Tak go tym zaskoczyła, że przez chwilę siedział bez ruchu zupełnie zeszywniały. A potem oparł policzek o jej głowę. Pachniała dymem, prochem i koniem. Jakże różniła się od Beaty.

„Tak z nią mógłbym ruszyć na koniec świata i z powrotem” – pomyślał.

– Chodźmy do środka. – Iza dźwignęła się ze stopni, wspierając się o jego ramię. – Jutro czeka nas mnóstwo roboty.

– Tak jest – powiedział i wszedł za nią do ciepłego domu.

W pokoju panował półmrok rozświetlany przez dogasające płomienie w kominku. Hubert dorzucił do ognia kilka gałęzi.

– Iza? – odezwał się.

– Tak?

– Cieszę się, że z nami pojechałaś.

– To dobrze, kładź się spać.

Hubert odwrócił twarz od ognia i spojrzał na Izę. Uśmiechała się ciepło, a nie ironicznie jak zazwyczaj.

Rano obudziły go ostre wiosenne promienie słońca i głośny świergot ptaków.

– Niech one się zamkną – jęknął Hubert, przykrywając twarz bluzą, której przez noc używał jako poduszki.

Ernest usiadł nieprzytomny na macie, przetarł oczy i rzucił w przyjaciela butem.

Hubert stęknął głośno, gdy został trafiony prosto w brzuch.

– Nie musiałeś – powiedział z wyrzutem.

Do pokoju weszła Iza, wraz z powiewem chłodnego świeżego powietrza. Drzwi na dwór zostawiła otwarte.

– Wstawać! – zawołała wesoło. – Zdążyliśmy z Zuzą już nawet pójść nad strumień.

Postawiła na stole dwie butle z wodą.

Gospodarstwo znajdowało się ponad kilometr od miasteczka, więc udało mu się uniknąć ataków wandalii tuż po uderzeniu impulsu elektromagnetycznego i w trakcie epidemii. Nikomu przecież nie chciałoby się nadkładać kilometrów, żeby jedynie coś zniszczyć, a każdy wiedział, że w takim domu nie znajdzie ani pieniędzy, ani drogich sprzętów. Dopiero po wojnie przyjechali tu mieszkańcy Świącina i zabrali wszystko, co uważali za przydatne, zostawiając za sobą względny porządek

Hubert poszedł do lasu po zapas drewna. Ernest naprawiał zamek w drzwiach, który musieli wyłamać poprzedniego dnia, żeby dostać się do środka. Zrobił też przegląd okiennic, z których część okazała się wypaczona, ale można było je jeszcze zamykać. Dziewczyny uporządkowały kuchnię, wyrzuciły wszystko, co nie nadawało się do użycia, pozmywały naczynia oraz sztuce i je pochowały, posprzątały w pokojach, nawet umyły wodą z octem szyby w oknach.

Hubert kilka razy pojechał do lasu z Mokłą, która przyciągnęła gałęzie, a potem udało mu się znaleźć pniak, na którym mieszkańcy domu musieli kiedyś rąbać drewno, i zabrał się do pracy. Marek pożyczył mu swoją siekiere, była tak ostra i ciężka, że wchodziła w drewno jak w masło. Chłopak szybko się rozgrzał i rąbał już w samej koszulce.

Wkrótce odnalazł go Ernest.

– Patrz, co znalazłem! – zawołał triumfalnie, prezentując mu dwa metalowe pręty zakrzywione w kształcie litery U.

– Gratuluję – mruknął Hubert, zerknąwszy przelotnie na znalezisko przy jaciela.

– I nie zapytasz nawet, po co mi to?

– Po co ci to? – zapytał, nie przerywając rąbania.

– Gdyby to przymocować do ściany po obu stronach drzwi i znaleźć gruby prosty drąg, nikt by już nie wszedł do domu...

– Chyba że oknem.

– Od tego są okiennice.

– A po co chcesz się tak barykadować?

Ernest wzruszył ramionami.

– Ostrożności nigdy za wiele. Ja wymyślę jakiś sposób, żeby przymocować te pręty do ściany, a ty skróć tę gałąź na jakiś metr dwadzieścia. – Ze stosu drewna wyciągnął gruby konar.

Hubert dwoma cięciami zrobił to, o co został poproszony. Tyle razy już pracował przy budowie drewnianych rzeczy, że nie potrzebował miarki.

Wieczorem wybrali się całą czwórką nad strumień, żeby przynieść wodę do kąpieli. Zjedli kolację i usiedli na matach w pokoju, który zmienił się nie do poznania. Pajęczyny i kurz zniknęły ze ścian, nie śmierdziało już stęchlizną. Na stole stał wazonik z kwiatami, które zerwała Zuza. Zamierzali zostać w gospodarstwie na następny dzień i noc, gdyż mieli jeszcze trochę pracy. Trzeba było wapnem zabranym ze Świącina pomalować kilka pni drzew przy drodze wiodącej do gospodarstwa, żeby inni mogli łatwo odnaleźć szlak. Później planowali jechać dalej na północ, przygotować następny dom i wrócić do Świącina.

Huberta w nocy dręczyły koszmary. Kilka razy budził się zlany potem i niezdolny do ruchu. Nie on jeden spał tej nocy tak źle. Zuza też rzucała się na macie, jakby we śnie ścigały ją całe tabuny demonów.

Następnego dnia oboje wstali niewyspani i z podkrążonymi oczyma. Zuza cały rano szwendała się po domu, mamrocząc pod nosem i nie robiąc nic pożytecznego. Niestety Hubert nie dostał takiej taryfy ulgowej. Iza i Ernest nie widzieli żadnego powodu, dla którego miały spać dłużej niż pozostali i nie pracować.

Przed południem zaczęło się chmurzyć, zawiął chłodny wiatr. Nawet Hubertowi zrobiło się zimno, ale z Izą właśnie uprzętała w oborze miejsce dla koni i nie chciało mu się iść do domu po błuzę. Ernest zaczął znosić pod dach porąbane drewno.

– Dlaczego nie mamy kawy? – narzekał Hubert, gdy wyszli na chwilę przed oborę, żeby się przewietrzyć.

– Jak się nie wyśpisz, to jesteś okropnie marudny – zauważyła Iza. Zniemacka coś przyciągnęła jej uwagę. Coś niepokojącego. – Ej, co się dzieje?

Z domu wytoczyła się Zuza, trzymając się dłońmi za głowę.

– I tak nie uciekną – powtarzała bełkotliwie. – Tacy powolni, tacy nieporadni...

Opadła na kolana, wciąż pojękując.

– Zuza! – Hubert chciał do niej podbiec, ale zakręciło mu się w głowie i zatoczył się na ścianę obory.

Ogarnęły go mdłości.

– Zuza, co się dzieje? – Iza podbiegła, aby pomóc dziewczynie wstać, ale ta ją odtrąciła.

– Zabije... zabije ich, tych ludzi... – jęczała.

Na podwórko wpadł Ernest. Spojrzał na siostrę, która kłęzczała na ziemi, oburącz trzymając się za głowę, rude loki przesłoniły jej twarz. Potem zerknął na przyjaciela, który siedział na trawie,

opierając się plecami o oborę.

Hubertowi pojawiały się przed oczyma różne zamazane obrazy: las, ziemia, ludzkie sylwetki. Słyszał wyraźnie każdy szelest, każdy dźwięk i te zapachy ... Pot, strach, zmęczenie – tak pachniał człowiek. A każda woń miała swój kolor. Usłyszał bicie serca ofiary. Łomotało coraz szybciej, niemal jak obłąkane. Huk. Krzyk. Krew. Ciepła, słodka, wciąż pulsująca.

Nagle dobiegł go czyjś głos, dochodzący do niego jak zza gęstej mgły.

– Demon?!

Kiwnął głową.

– Gdzie?!

Ledwie uniósł rękę, wskazując kierunek

– Jaki?!

– Nie... wiem...

– Zostań tu! – krzyknął Ernest, po czym wraz z Izą pobiegł na ratunek ludziom zaatakowanym przez demona.

Hubert został na podwórku tylko z Zuzą.

Czuł krew spływającą w gardle, słodkie, miękkie mięso. Demon zagłębił pazury w ciele nieszczęśnika, łamał kości, wywłókł wnętrzności. Był niezwykle zony. Lecz nagle coś uderzyło go w plecy. Ze złością odwrócił się, wbił pazury w drugą ofiarę i odrzucił ją na bok. Jeszcze żyła. Z zainteresowaniem patrzył, jak usiłuje się odczołgać. Postawił zakrwawione przednie łapy na ziemi i powoli do niej podszedł. Nie zamierzał jeszcze kończyć zabawy, ale wtem dobiegł go nowy zapach. Wciągnął go głęboko w płuca. Nie był głodny. Łaknienie zaspokoił wcześniej, ale poczuł przyjemny dreszcz na samą myśl o zabiciu kolejnych ofiar. Nie bał się, nigdy się nie bał. W lesie nie było istoty groźniejszej niż on.

Hubert pochylił się do przodu, a potem gwałtownie do tyłu. Uderzył potylicą w ścianę obory tak mocno, aż zadudniło, ale dzięki temu znów znalazł się w swoim ciele. Wiedział, kim jest i co musi zrobić. Demon znajdował się kilkaset metrów dalej i właśnie zamierzał zabić Ernesta i Izę.

Hubert wstał. Podniósł karabin oparty o ścianę obory, podszedł do Zuzi kłęzącej na ziemi i pojękującej cicho. Mocno szarpnął ją za ramiona, a gdy nie zareagowała, dłonią uderzył dziewczynę w policzek, trochę mocniej niż zamierzał. Dziewczyna krzyknęła, a potem skierowała na niego przytomne spojrzenie.

– Widziałaś? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Zabarykaduj się w domu. – Wcisnął jej w dłoń pistolet, a potem wybiegł na drogę i popędził

ratować przyjaciół.

Słyszał krzyki i strzały. Przyspieszył. Nie pozwoli im zginąć tak jak Michałowi. Nie w ten sposób.

Skurczył z asfaltu na leśną drogę, a z niej na niezbyt rozległą polaną. Zobaczył dwa zakrwawione trupy. To byli mężczyźni, których demon przed chwilą zabił. Iza leżała nieruchomo trochę z boku, a Ernest próbował odczołgać się od potwora, który powoli podążał w jego stronę.

– HEJ!!! – wrzasnął Hubert.

Strzygoń odwrócił się zaskoczony. Nie spodziewał się kolejnego człowieka.

Był wyższy od dorosłego mężczyzny. Wydatne mięśnie i ścięgna zagrały pod szarą skórą, gdy stanął naprzeciw łowcy, opierając się na przednich łapach. Rozwarł zakrwawione szczęki i wrzasnął głośno, plując wokół śliną i krwią. Ruszył w stronę nowej ofiary, rude włosy na grzbiecie się zjeżyły.

Hubert nie zwolnił ani na chwilę, biegnąc w jego stronę. Uniósł karabin i zaczął strzelać. Wiedział, gdzie należy celować. Demon miał dość delikatne podbrzusze.

Strzygoń wpadł w furję. Był przyzwyczajony do ścigania ofiar, bawienia się nimi, nie powinny z dzikim wrzaskiem biec prosto na niego. Uniósł przednie łapy, by zaatakować...

Hubert padł na ziemię i przeturlał się pod strzygoniem, podcinając mu tylne łapy. Zabolalo, miał wrażenie, że coś chrupnęło mu w kolanie, ale wiedział, że nie może dać bestii czasu na zastanowienie się, dlaczego obiad ją atakuje, zamiast uciekać. Dźwignął się z ziemi, podpierając się jedną dłonią. Karabin, który wypadł mu z rąk i zerwał się z paska podczas upadku, wyładował dość daleko. Za to plecy strzygonia były zaskakująco blisko.

Łowca wyjął z pochwy bagnet, odbił się z rozpędu i wyładował na umięśnionych barkach demona. Ramieniem objął jego szyję. Mocno zacisnął dłoń na bagnecie i nie celując, wbił go po samą rękojęść w oko strzygonia. Potwór zawył rozdzierająco, pochylił się do przodu i rzucił z siebie człowieka. Chciał go zabić! Zniszczyć! Zmiażdżyć!

Krew zalewała mu pysk, wszystko było zamazane i ten palący ból...

Hubert, unikając wielkich łap lądujących co rusz na ziemi, odturlał się na bok, ale oślepiiony i rozwścieczony demon wciąż podążał za nim. Wtem usłyszał huk wystrzału. Odwrócił głowę i zobaczył Zuzę z pistoletem. Lekko się chwiała i choć wydawała się nieobecna, to za każdym razem, gdy naciskała spust, trafiała w łeb demona.

Strzygoń był zdezorientowany, już nie wiedział, kogo ma atakować, krew wciąż lała mu się po pysku i torsie. I nagle zobaczył ruch na ziemi tuż obok. To był ten sam człowiek, który zadał mu tyle bólu! Podbiegł i uniósł łapę, aby zadać ostateczny cios.

Hubert przekręcił się i przykłęknął. Wiedział, że nie zdąży uciec przed ostrymi pazurami.

Wyciągnął rękę przed siebie, złapał rękojeść bagnetu, który wciąż wystawał z oczodołu stworza, i go wyszarpnął. Strzygoń wrzasnął z bólu, na odlew machnął łapą, ale ta tylko ześlizgnęła się po ciele człowieka.

Hubert nawet nie poczuł, jak pazury rozcięły mu skórę na boku. Wkładając w to całą siłę, jąła mu pozostała, wbił bagnet w podniebienie demona. Nóż, poprzez kości i skórę, sięgnął samego mózgu.

Strzygoń zachłysnął się własną krwią. Zachwiał się i runął na pysk, przygniatając swoim ciężarem Huberta.



ROZDZIAŁ XIX

– Hubert, wstawaj. Za dziesięć minut mamy zbiórkę na śniadanie.

– Jeszcze pięć minut. – Hubert sennie odwrócił się na drugi bok

– Jak chcesz, ale ja nie zamierzam się przez ciebie znowu spóźnić. – Ernest wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Hubert gwałtownie otworzył oczy i usiadł na łóżku, wodząc dookoła wzrokiem. Był w hotelu, w miękkiej i czystej pościeli. Wiosenne słońce świeciło przez zasłony.

– Nie! – jęknął. – Tylko nie to, nie znowu.

Zwlekł się z łóżka i poszedł do łazienki. Z lustra spoglądał na niego śmiałym i wesołym wzrokiem siedemnastolatek z zaczątkami zarostu.

– Nie dam rady znów tego wszystkiego przeżyć. – Pokręcił głową.

Wtedy odbicie uśmiechnęło się do niego, podniosło dłoni i uderzyło go w policzek, aż zapiekło.

– Hubert – odezwało się.

Mruknął coś niezrozumiale i znów oberwał w twarz.

– Hubert!

Otworzył oczy i zobaczył nad sobą Izę z podniesioną dłonią.

Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą. Była blada i cała umazana krwią.

– Widzisz, mówiłam ci, że zadziała – powiedziała do Ernesta siedzącego na ziemi obok

Hubert uniósł głowę. Tuż obok leżał zalany krwią martwy strzygoń.

– Już myśleliśmy, że po tobie. – Ernest pokręcił głową. – Padł na ciebie, a ty się nie ruszałeś...

kiedy go zepchnęliśmy z ciebie...

Hubert powrotem opadł na miękką, suchą trawę i spojrzał w zachmurzone niebo.

– Wiecie, co mi się śniło? Paryż.

Iza spojrzała na niego, jakby znów chciała przyłożyć mu w twarz, w obawie, że ponownie straci przytomność.

Zuza podeszła do nich i przykucnęła na ziemi. Na jej trupio bladą twarz zaczęły wracać rumieńce, nawet słabo się uśmiechnęła.

– Co ty tu robisz?! – zdenerwował się niespodziewanie Ernest. – Skąd masz ten pistolet?! Dawaj go!

Wyciągnął rękę po broń, którą Zuza niechętnie mu oddała.

– I kiedy się nauczyłaś strzelać? – kontynuował. – Myślałem, że w niego trafisz! – Wskazał Huberta.

– Dziewczyny w wojsku mnie nauczyły. Nie mówiłam wam? Żebym umiała się bronić. – Zuza tłumaczyła się nieporadnie.

– Dziewczyny w wojsku? – zapytał Hubert. – Masz na myśli te, z którymi mieszkałaś?

Pokiwała z uśmiechem głową.

– Pięknie – jęknął Ernest.

Hubert przetarł brudną dłonią twarz, zostawiając na niej krwawobrazowe smugi, i zerknął na przyjaciela, który już od dłuższego czasu siedział nieruchomo.

– Ernest – zaniepokoił się. – Co z twoją nogą?

– Podejrzewam, że mam złamany piszczel.

– Szlag. A poza tym?

– Poza tym mam chyba jedynie siniaki i zadrapania.

Spojrzel na Izę.

– Nawet nie pytajcie, wszystko mnie boli, ale chyba to nic poważnego – odparła. – A ty?

Dopiero teraz Hubert zdał sobie sprawę z bólu, jaki czuje w boku. Pomacał się prawą ręką po

zębrach i wsunął ją pod plecy. Był cały mokry od krwi.

– Drań zahaczył mnie pazurami.

– Dobra, wstawać! – zarządziła Iza. – Trzeba się ogarnąć. Nie możemy tu zostać do wieczora.

– A co z nimi? – zapytał Ernest, wskazując trupy dwóch obcych mężczyzn.

– Potem – odparł zmęczonym tonem Hubert.

We czwórkę, podpierając się nawzajem, ruszyli z powrotem do gospodarstwa. Droga była długa i naprawdę męcząca.

W domu mieli wodę, którą rano przynieśli, by zrobić porządki i wieczorną kąpiel. Zmyli z siebie krew i oczyścili rany.

– Będzie trzeba szyć? – zapytał Hubert, gdy Iza bandażowała mu zebra.

– A bo ja wiem, nie znam się – westchnęła. – Wygląda paskudnie, ale rany nie są raczej głębokie.

Strzygoń pozostawił mu trzy szramy ciągnące się od kręgosłupa przez cały bok. Poza tym miał jeszcze mnóstwo zadrapań i siniaków. Bolesnie obił sobie kolana i łokcie, na głowie wyskoczyło mu kilka guzów.

Iza też ucierpiała w starciu.

– Możesz sprawdzić, co z moją łopatką? – poprosiła Iza, ostrożnie zdejmując bluzę. – Potwornie boli.

Hubert odsunął lekko ramię, odkrywając jej bluzki.

– Ee... nic ci nie jest – oznajmił, klepiąc ją w drugie ramię. – Nakleję ci jakiś plaster.

– Jesteś pewien, że zwykły plaster wystarczy? – Skrzywiła się, gdy moką szmatką wycierał jej krew na plecach.

– Pewnie, że tak. Przynajmniej na razie. A gdyby rana okazała się poważniejsza, to jak wrócimy do Świącina, Barbara ją porządnie opatry. Jednak nie sądzę, by na razie to było konieczne. – Palcami pokazał jej wielkość szramy, zmniejszając ją o połowę. – Ale wiesz, lepiej dmuchać na zimne...

Nakleił na ranę dziewczyny gazę. Po kilku minutach bandaż zaczął przesiąkać krwią, ale w tej chwili nie mógł zrobić nic więcej. Wolał jednak, by Iza się nie zamartwiała, że to coś poważnego.

Zuza zajęła się Ernestem, ale mogła tylko uszywnić jego złamaną nogę. Musieli wracać.

Ale wcześniej zostało jeszcze coś do zrobienia. Musieli pochować ludzi, którzy zginęli, i zająć się truchłem strzygonia.

Podczas tych wszystkich lat po wojnie ciągle natykali się na szczątki ludzkie w opuszczonych miejscowościach. Jednak inaczej się patrzyło na pobielale, wyczyszczone przez owady kości

beziemnych osób, a inaczej na ciała rozszarpanych kilka godzin wcześniej nieszczęśników. Niewiele brakowało, a Hubert i jego przyjaciele podzieliby ich los. Nie mogli zostawić ofiar padlinożercom.

– W tym stanie nie mamy rady wykopać dostatecznie głębokich grobów – ponuro powiedział Hubert, z trudem zeskakując z wozu.

– Musimy ich spalić – zdecydowała Iza.

Z lasu przyciągnęli suche gałęzie i zrobili z nich stos. Polali go resztką podpałki, którą na wszelki wypadek zabrali ze Świącina. Potem Hubert wraz z Izą położyli na nim poszarpane ciała mężczyzn. Zaczynały już cuchnąć. Budziło to u nich odruch wymiotny, lecz nie dawali tego po sobie poznać.

Po czasie, jaki wydawał się im wiecznością, stos zapłonął. Spojrzeli na martwego strzygonia. Najchętniej zostawiliby go tutaj, żeby zajęły się nim kruki i lisy, ale zbyt dobrze pamiętali, co było napisane w demonologii: „Aby strzygoń nie powstał ponownie z mogiły, należy odciąć mu głowę i ułożyć w nogach lub trzeba go pochować twarzą do dołu z sierpem wokół szyi”. Nie wiedzieli, czy te zalecenia miały sens, ale lepiej było nie ryzykować.

Hubert wziął z wozu siekiere, podłożył pod szyję demona grubą gałąź i kilkoma cięciami odrąbał mu łeb. Tak na wszelki wypadek

– Mogę ja? – poprosiła Zuza, gdy wrzucili demona na niewielki stos suchych gałęzi i polali podpałką.

– A proszę bardzo. – Hubert podał jej krzesiwo. – W końcu też miałaś swój udział w zabijaniu go.

Dziewczyna rozdmuchała iskrę na drobnych gałązkach, które od razu zajęły się ogniem.

– To za Michała – powiedziała.

Hubert się zamyslił.

– My ślicie, że to ten sam? – zapytał cicho.

– Oczywiście, że nie – odezwał się Ernest. – Niby jakim cudem miały się tu znaleźć? Po tylu latach, tak daleko od tamtego miejsca...

Zuza spojrzała na Huberta z tajemniczym uśmiechem.

Stanęli na skraju polany i patrzyli, jak stos się dopala.

„Zabiliśmy strzygonia – pomyślał Hubert, patrząc na płomień. – Nieważne, czy to ten sam, czy nie. W końcu zabiliśmy tego potwora, który nawiedzał nas w koszmarach. Teraz już wiemy, że jest to możliwe. Cholernie trudne, ale możliwe. Szkoda, że Michał tego nie doczekał”.

Hubert wreszcie poczuł, że pomscił przyjaciela.

Mogli ruszać w dalszą drogę.

Późnym popołudniem zatrzymali się, żeby konie mogły coś przeląsć i odpocząć.

Ból i zmęczenie zaczęły wszystkim dawać się we znaki. Hubert usiadł na ziemi, a Iza położyła się obok i przysnęła. Podobnie Ernest. Tylko Zuza była w znakomitym humorze, nabierała białych zawilców i nucąc pod nosem, plotła wianek.

Hubert ledwie powstrzymał się, by nie zasnąć. Ktoś jednak musiał czuwać. W lesie mogły się czać inne demony. Gdy usłyszał stukot podków na asfalcie, był przekonany, że to omamy. Tym bardziej że Zuza siedząca tyłem do drogi nie reagowała.

Ale dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Ktoś jechał kłusem w ich stronę.

– Hej, wstawać! – Hubert zaczął szybko budzić przyjaciół.

Klepnął Iżę w ramię. Dziewczyna poderwała się z ziemi i pomogła się podnieść Ernestowi. Zuza nadal siedziała na poboczu zajęta pleceniem wianka.

Hubert stanął na środku drogi z kałasznikowem w rękach. Tuż za nim ustawili się przyjaciele. Wkrótce zobaczyli w oddali dwóch jeźdźców.

Łowca nie lubił spotykać w trasie obcych ludzi. Zwykle nie prowadziło to do niczego dobrego. Skoro ci mężczyźni jechali konno, mogli również mieć broń. Jakby potwierdzając obawy Huberta, jeźdźcy przyśpieszyli do galopu.

– W końcu – odezwała się Zuza, nałożyła na głowę wianeki wstała z ziemi.

Hubert wycełował w obcych.

– Przecież to Henryk! I Jacek! – wykrzyknęła z ulgą Iza.

Mężczyźni zatrzymali konie tuż przed nimi.

– Nic wam nie jest? – Henryk nie marnował czasu na powitania.

Zdziwiony Hubert pokręcił głową.

– Jesteśmy nieco poturbowani – poprawił się po chwili. – Co tu robicie?

Henryk zeskokczył z konia, wyminął chłopaka i stanął przed Izą. Złapał ją za brodę i dokładnie przyjrzał się jej twarzy.

– Co to jest? – zapytał, wpatrując się w podrapany policzek.

– To? – Dziewczyna dotknęła dłonią twarzy. – Nic takiego. Mówcie, dlaczego przyjechaliście?

– Mamy sprowadzić was do domu – odparł Jacek, zeskakując z siodła.

Henryk po chwili milczenia wyduł z siebie wreszcie:

– Coś zabiło wczoraj Karola.

– Nie... – szepnęła Iza.

Hubert wymienił z Ernestem spojrzenie.

– To był strzygoń, prawda? – zapytał łowca.

– A skąd ja mogę... – zaczął Henryk, ale nagle zamilkł i przyjrzał się dokładnie najpierw Hubertowi, a potem Ernestowi. – Widzieliście to?

– Mało powiedziane – mruknęła Iza.

– Dziś w południe go zabiliśmy – wtrąciła Zuza lekkim tonem.

Usiedli na poboczu i jedno przez drugie opowiadali o spotkaniu z demonom.

– A co się stało w domu? – zapytała Iza, kiedy skończyli.

– Wczoraj późnym popołudniem Karol był z innymi na polu – zaczął Jacek – I to coś po prostu wylażło z lasu i go zabiło. Przy wszystkich. Pozostali strzelali, lecz kule nie robiły na tej bestii wrażenia. I zanim strażnicy przybiegli im na pomoc, demon uciekł. Tropiliśmy go przez kilka godzin, ale ślady się urwały. Wiedzieliśmy tylko, że idzie mniej więcej w waszą stronę. Twój ojciec się wściekł. – Spojrzał Izie w oczy. – Chciał od razu po ciebie jechać. Dopiero Henryk mu wyjaśnił, że sam nocą niewiele mógłby wam pomóc. I że demon nie musiał ruszyć tutaj. Mimo to z samego rana ruszyliśmy w drogę, żeby sprowadzić was do Świącina.

Hubert niewiele zapamiętał z drogi powrotnej. Trochę przysypiał na wozie, od czasu do czasu budząc się z bólu. Mięśnie mu zeszywniały, każdy siniak, każde zadrapanie boleśnie przypominały o sobie na dziurawej szosie.

Noc zastała ich w drodze. Zrobiło się naprawdę zimno, srebrzysty księżyc prześwitywał przez gałęzie drzew. W ciszy kopyta końskie stuknęły o asfalt przykryty warstwą zeszlaczonych liści.

Od poprzedniego wieczoru Platon nie dał znaku życia. Ale Hubert się tym nie przejmował. Leszy był taktchórzliwy, że najprawdopodobniej schował się gdzieś, gdy tylko w okolicy pojawił się strzygoń, lecz chłopak nie miał wątpliwości, że w końcu znów go usłyszy.

Było tuż przed północą, kiedy przekroczyli granicę terenów należących do Świącina i wyjechali z lasu na znajome pola. W oddali ujrzeli ciemną i wysoką palisadę.

Wartę pełnili Stanisław i Andrzej.

– Obudź Barbarę i powiedz, żeby przyszła do starej szkoły! – Henryk krzyknął do młodszego strażnika, gdy ten zamykał za nimi bramę.

Wieś była cicha i spokojna. Prawie wszyscy mieszkańcy spali. Tylko w starej szkole, wielkim budynku z czerwonej cegły, w jednym z pokoi świeciła się samotna lampka naftowa. Sołtys czuwał, czekając na szczęśliwy powrót córki. I gdy tylko zatrzymali konie przed jego domem, wyszedł na zewnątrz.

Henryk i Jacek odprowadzili wierzchowce do stajni, a pozostali weszli do budynku. Jedli

kolację, gdy pojawiła się pani Barbara. Nastawiła nogę Ernesta i ją usztywniła, zaszyła ranę na łopatkę Izy i opatrzyła obrażenia Huberta. Przenocowali w starej szkole – wszyscy byli zbyt zmęczeni, by wracać do siebie.

Rano Hubert planował leżeć w łóżku jak najdłużej, ale ciepłe wiosenne promienie słońca świeciły mu prosto w twarz i postanowił wstać. Zerknął jedynie na Ernesta, który nadal głęboko spał, i szedł do kuchni, gdzie zastał Izę.

Córka Sołtyś stała tyłem do drzwi i wpatrywała się w okno.

– Cześć – przywitał się Hubert.

– Mhm.

Nawet się nie odwróciła.

– Żyjesz? – zapytał, siadając za stołem.

– Wczoraj odbył się pogrzeb, wiesz? – odezwała się w końcu, wciąż patrząc za okno.

– Karola?

– Gdybyśmy zostali tu dwa dni dłużej, mogliśmy powstrzymać tego strzygonia. Wcześniej byś go wyczuł i tylko czekaliłbyś na polu uzbrojeni po zęby. Nie zabiłby Karola.

– Iza. – Hubert wstał, złapał ją za ramiona i posadził na krześle przy stole. – Nie pieprz głupot i zjedz śniadanie.

Dziewczyna otworzyła usta, by zaprotestować, ale ją uprzedził.

– Nic by to nie dało – ciągnął. – Nie pomogło tamtym dwóm facetom. Co z tego, że wyculiśmy z Zuzą strzygonia wcześniej, skoro i tak ich zabił? Nie możesz się obwiniać o każdą śmierć, jaka spotyka ludzi z naszego otoczenia.

Iza przez chwilę w milczeniu przyglądała się, jak chłopak kroci grube plastry szynki.

– Co teraz będzie? – zapytała po chwili.

– A co ma być? Poczłamy trochę, aż wszyscy wydobrzejemy, i będziemy kontynuować to, co zaczęliśmy.

– Kiedy to jest bez sensu! – wybuchła Iza.

Wstała z krzesła i zaczęła krążyć po kuchni.

– Jak mamy namówić ludzi, żeby zaczęli podróżować i wymieniać się towarami, kiedy to wciąż jest niebezpieczne? Co z tego, że oczyścimy drogę, przygotowujemy domy na trasie, skoro wszędzie wokół są te przekłete demony?! Było nas czworo i ledwie przeżyliśmy napaść strzygonia. Jak to ma zachęcić innych? Ludzie jeżdżą na szabry, bo muszą, i odwiedzają inne wsie tylko wtedy, kiedy te leżą po drodze. Ile razy w roku to robią? Dwa? Trzy? – Podeszła do stołu i uderzyła w niego pięścią. – Jest nas za mało!

Hubert spokojnie jadł śniadanie. Wiedział, że Iza zaraz się uspokoi.

– To, że pojeździmy sobie od wioski do wioski i wymienimy się jakimiś sadzonkami i nasionami, nic nie zmienia – kontynuowała Iza. – Wszyscy jesteśmy tacy słabi! Kiedyś myślałam, że Świącino to potężna osada, że sami sobie ze wszystkim poradzimy, ale po tym, co zobaczyłam, czego doświadczyłam... – Opadła na krzesło, kręcąc głową. – Piaseczno było samowystarczalne i jak skończyło? A co z osadą Mateusza? Z wszystkich mieszkańców przetrwali tylko on i Artur. Wystarczy jedno małe niepowodzenie, atakobcych, susza czy choroba i koniec.

– Skąd ten nagły pesymizm? – zapytał Hubert po chwili.

Iza posłała mu zmęczone spojrzenie. Zaczepnął głęboko tchu i podjął dyskusję:

– Popatrz na to z innej strony. Wciąż żyjemy. Mamy przyjaciół i znajomych w tak wielu osadach. I choć na razie wydaje się to bezsensowne, musimy utrzymywać z nimi kontakt, bo tylko pomagając sobie nawzajem, będziemy mogli przetrwać. Zobaczysz, ludzie to rozumieją. Nauczymy ich wszystkiego, co wiemy o demonach, może sami czegoś się od nich dowiemy o tych bestiach i rozpowszechnimy o nich wiedzę. Poradzimy sobie z nimi. A jeżeli chodzi o ataki obcych ludzi, to cóż, od tego, by je przetrwać, są właśnie sąsiedzi.

Hubert usłyszał szelest przy drzwiach. Odwrócił się i zobaczył stojącego w progu kuchni Sołtysa. Mężczyzna skinął lekko głową, a potem odszedł.

Hubert sam nie wiedział, na czym minął mu cały dzień. Przeniósł się z Ernestem i Zuzą do ich domu, a koło południa Kasia przyniosła dla nich obiad. Wraz z Izą spotkali się z pozostałymi strażnikami. Wybrał się do stajni, wyczyścił konie i porozmawiał chwilę z Maciejakiem, ale wtedy zjawiła się pani Barbara i nakrzyczała na Huberta, że ma się oszczędzać, a nie siedzieć w gnoju, po czym wyrzuciła go ze stajni.

Wieczorem odwiedziła ich Ania.

– Zostaniecie teraz na trochę dłużej, co? – zagadnęła, spoglądając na Ernesta i jego usztywnioną nogę.

– Nie mamy innego wyjścia. – Hubert puścił do niej oczko.

Ale Ernest westchnął ciężko.

– Dziadek mnie wydziedziczy – westchnął. – Mama się obrazi, a Sylwia mnie rzuci.

– Widzisz, jak się cieszy? Nie mógłby być szczęśliwszy.

– Zobaczysz, Hans i Blanka zajmą nasze miejsca... – kontynuował Ernest.

– I dobrze. Ktoś musi się zajmować starszymi, kiedy my będziemy podróżować po świecie i korzystać z życia.

– Muszę się zbierać – wymówiła się Ania, wyglądając za okno. Słońce zaszło już za drzewami.

– Tata wciąż nie pozwala mi chodzić samej po wsi, kiedy jest ciemno. Do jutra.

– Cześć – odpowiedzieli równocześnie przyjaciele.

– Do zobaczenia – odezwała się Zuza, która przez cały czas siedziała przy stole i do tej pory nie zwracała na nikogo uwagi.

Na dworze szybko zapadła ciemność, ale w Świącinie była jedna dziewczyna, która nigdy nie przejmowała się zakazami chodzenia po wsi w nocy.

Bez pukania weszła do domu Huberta i usiadła przy stole, jakby była u siebie.

– Jak żyjecie? – zapytała.

– Całkiem nieźle – odparł łowca. – A co u ciebie?

– Pomijając fakt, że mam wielką dziurę w łopatce, to jest w porządku.

– Ej, ale chyba nie jesteś na mnie zła? I tak nie mogłem nic z tym zrobić, a przynajmniej mniej cię bolało.

– Draśnięcie? Cholernie bolało, jeśli chcesz wiedzieć, a świadomość, że to nic wielkiego, wcale nie pomagała.

– Przesadzasz. – Machnął ręką i wstał, żeby pomóc Zuzi sprzątać ze stołu.

Iza przypatrywała mu się wilkiem.

– Jak nie macie nic przeciwko, to pójdę spać. – Ernest, pożegnawszy się, pokuszył się do małego pokójku.

Niedługo po nim wyszła Zuza, zostawiając Huberta i Izę samych w ciemnej kuchni, rozświetlanej przez słaby płomień lampki naftowej.

– Co tam u twojego ojca? – zapytał chłopak, siadając naprzeciw niej.

Wzruszyła ramionami.

– Ciesz się, że żyjemy. I że demon jest martwy. Choć nie do końca jest zadowolony z faktu, że ja również miałam udział w zabijaniu go.

– Martwi się.

– Ale mam wrażenie, że patrzy już na mnie inaczej niż wcześniej. W końcu chyba dotarło do niego, że jestem dorosła.

Hubert uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Dla matki i ojca nigdy nie będziemy dorośli. Zawsze muszą się o nas martwić, nawet gdy się zestarzejemy. Taką już rolę rodziców.

– Twój tata jakś nie panikuje, ilekroć wspomnisz o demonach albo wyjedziesz poza wieś.

– Przyzwyczaił się. Ale gdyby moja mama nadal żyła, założył się, że umierałaby z nerwów jeszcze bardziej niż twój ojciec.

Iza przez chwilę bawiła się kosmykiem swoich włosów.

– Miałeś rację... z tym, co powiedziałeś rano – odezwała się nagle. – Prawdopodobnie nie uratowalibyśmy Karola. Jednak za każdym razem trudno mi zaakceptować śmierć kogoś ze Świącina. Przecież obiecywaliśmy chronić tych ludzi. Ale na niektóre rzeczy po prostu nie mamy wpływu.

– Na niektóre – odparł Hubert, bujając się na krześle. – Ale nie na wszystkie. Poczekaj chwilę.

Poderwał się i szybkim krokiem ruszył do małego pokoju. Starał się zachowywać cicho, by nie obudzić Ernesta śpiącego na wersalce.

W bladej księżycowej poświacie zaczął przetrząsać swoje rzeczy. Wyrzucił z worka ubrania i przeglądał zawartość kieszeni. W końcu wyczuł pod palcami chłodny metal. Zaciśnął na nim dłoń i szepnął:

– Jest...

Wrócił do kuchni i wyciągnął rękę w stronę Izy.

– Co to? – zapytała, patrząc na wisiorek lekko kołyszący się na łańcuszku.

Światło lampki odbiło się w srebrnym listku.

– Nie jesteśmy liśćmi na wietrze – powiedział Hubert. – Sami kreujemy naszą przyszłość i tylko od nas zależy, jaka ona będzie. Pamiętaj o tym.

Zanim Iza zdążyła zaprotestować, stanął za nią i zapiął jej łańcuszek na szyi.

Dziewczyna uniosła wisiorek w kształcie bukowego listka i przyjrzała mu się bliżej.

– Będę pamiętać – odezwała się. – Dziękuję.

Hubert uśmiechnął się do własnych myśli.

„Kiedyś za taki podarunek nieźle mi się oberwało. Ale teraz jestem inny. Iza też jest inna”.

Następnego ranka Hubert przewracał się właśnie na drugi bok, zadowolony, że jako ranny nie musi wstawać skoro świt, gdy usłyszał naglące chrząknięcie. To była Iza.

– Już się stęskniłaś? – zapytał sennie.

Dziewczyna prychnęła głośno.

– Nie planuj sobie nic na wieczór – powiedziała.

– Zapraszasz mnie na randkę? – zażartował, wiedząc, że naraża się na atak furii.

Ale Iza nie dała się sprowokować. Odpowiedziała po prostu:

– Nie ja, mój ojciec.

Gwałtownie usiadł na materacu.

– A z jakiej to okazji? – zapytał.

– Odbyłam z nim dziś rano poważną rozmowę. I mamy wam coś do zakomunikowania.

Hubert spojrział na nią, nadal nic nie rozumiejąc. Iza uśmiechała się tajemniczo, ale nie zamierzała zdradzić nic więcej.

– Na razie – rzuciła zdawkowo i wyszła.

Łowca wstał, przeciągnął się i powędrował do kuchni. Ernest siedział przy stole i jadł śniadanie.

– Słyszałeś? – zapytał go od progu.

– Uhm. Ja też mam przyjść.

– Ciekawe, o co chodzi. – Hubert usiadł za stołem i podebrał przyjacielowi kanapkę.

– Sołtys wreszcie przejrzał na oczy – powiedziała Zuza, dołączając do nich. Tuż za nią dreptał Klakier.

– Skąd wiesz? – zapytał Ernest.

– Wiem. – Wzruszyła ramionami i zaczęła karmić swojego pupila.

Hubert zerknął na wielkiego kocura, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Niech mi ktoś wyjaśni, jak to się dzieje, że on zawsze zjawia się akurat wtedy, kiedy my jemy – powiedział.

– Jest mądry – odparła Zuza. – Dużo mądrzejszy niż niektórzy ludzie. – Zerknęła protekcyjnie na brata i jego przyjaciela.

Wieczorem całą trójką zasiedli przy stole z Izą i jej ojcem.

Sołtys wypytywał ich o zdrowie, powiedział, że mogą wrócić do wart, kiedy tylko będą czuli się na siłach. Iza niewiele jadła, niecierpliwie kręciła się na krześle, jakby nie mogła się doczekać, kiedy ojciec w końcu wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi.

Po posiłku Marian przyniósł butelkę wina i napełnił każdemu szklanekę.

– Myślę, że możemy przejść do rzeczy – powiedział w końcu. – Kiedy tu przyjechaliście i dowiedziałem się o waszych planach, nie byłem przekonany, że macie rację. Nawiązywanie bliższych relacji z innymi? Po co? Przecież jesteśmy samowystarczalni, wystarczy kontakt z tymi kilkoma osadami, z którymi handlujemy. Kto by chciał podróżować na północ taki kawał drogi? Od początku byłem sceptycznie nastawiony. Jednak uznałem, że poprę was ze względu na pomoc, jakiej nam udzieliliście. I oczywiście za ten niezwykły podarunek, jakim była demonologia.

Chociaż uważam, że nie zdołacie zrealizować waszych zamierzeń.

– Cóż... – Ernest szykował się już do polemiki.

– Dlatego mam dla was propozycję – przerwał mu Sołtys. – Zrobimy to inaczej. Nie może być tak, że to tylko wy będziecie podróżować z osady do osady i przekazywać, co kto komu ma do powiedzenia. Coś takiego nie zadziała. Tylko spotkanie dowódców lub przynajmniej ich przedstawicieli nada tej współpracy bardziej formalny wymiar.

– Co pan sugeruje? – zapytał Hubert.

– Zorganizujecie takie spotkanie. Iza mówiła, jak blisko jesteście z osadami z północy i że będziecie w stanie przekonać ich do swoich racji. My z kolei wpłyniemy na naszych sąsiadów. Wierzę, że nie odmówią mojej córce. I gdy spotkamy się na neutralnym gruncie, wówczas spokojnie porozmawiamy i każdy przedstawi wizję wspólnej przyszłości, może nawet ustalimy coś konkretnego. Ale nie będzie to możliwe bez bezpośredniego zebrania. Co o tym sądzicie?

– Mnie podoba się taki pomysł – odparł lekko Hubert.

– Warto spróbować – dodał Ernest. – Może się uda.

– Pamiętajcie, że to wy macie asa w rękawie – powiedział Sołtys.

– Asa? – Nie zrozumiał Hubert.

Marian pokiwał głową.

– Wasza demonologia jest bezcenna. Uważam, że za wiedzę w niej zawartą inne osady nie mogą odmówić wam niczego.

– Ale my nigdy nie chcieliśmy nią handlować – zaprzeczył Ernest. – Stworzyliśmy tę demonologię, żeby dzielić się nią z innymi.

– Ale oni nie muszą tego wiedzieć, prawda? – Sołtys uśmiechnął się przebiegle. – Wasza książka może zjednoczyć nas wszystkich. Nie zmarnujcie tej szansy.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Dziadkowi się to spodoba – odezwała się Zuza.

– Teraz wybaczcie mi, ale jestem umówiony ze Stanisławem. – Marian wstał od stołu. – Zostawię was samych, macie o czym dyskutować. Aha... – Odwrócił się jeszcze w prog. – Moja córka wie, gdzie jest ukryta kolejna butelka wina.

Gdy Sołtys ich opuścił, przez minutę czy dwie nikt nie zabierał głosu.

– Tego się nie spodziewałem – mruknął w końcu Hubert.

– I co o tym sądzicie? – zapytała Iza. – Uda się nam?

– Nam? – zdziwił się Ernest.

– Oczywiście jako przedstawicielka Święcina jestem zobowiązana, żeby wam pomóc.

Hubert uśmiechnął się do niej. Zauważył, że na szyi ma zawieszony listek od niego, i zrobiło mu się ciepło na sercu.

– To będzie dopiero coś. – Ernestowi błyszczały oczy. – Zorganizować spotkanie przy wódców. Choć nie jestem pewien, czy widzę Teresę lub Antoniego, jak opuszczają swoje wsie, by wziąć udział w takim zebraniu.

– Jeśli będzie trzeba, to ruszą tyłki – oznajmił Hubert. – A jak nie, to wyślą kogoś zamiast nich. Założę się, że Paweł pierwszy będzie się palił do wyjazdu.

– Skłonimy do tego też Lipczyńko – odezwała się Iza. – Po tym, jak pomogliśmy im z trojanami, nie odmówią nam. Zajrzyjmy też do Gniazda.

– Gniazda? – zapytał Ernest.

– Dzielnicy na obrzeżach Poznania – wyjaśnił Hubert. – O ile się nie mylę, Kruk miał u Izy dług wdzięczności.

– A ty skąd o tym wiesz? – zapytała córka Sołtysa, przyglądając mu się badawczo.

Hubert puścił do niej oczko.

– Później sobie jeszcze o tym porozmawiamy – oświadczyła.

– To będzie pracowity rok – stwierdził w zamyśleniu Ernest. – Odwiedzić wszystkie osady, porozmawiać z każdym, znaleźć i przygotować miejsce na to spotkanie. Nie posiedzimy za długo w Dąbrówce.

– Będzie dobrze. – Hubert mocno klepnął go po łopacie. – Zobaczysz, przecież uwielbiamy podróże. A teraz staną się naszym obowiązkiem.

– Mama i Sylwia mnie zabiją – westchnął przyjaciel.

– Przecież od początku do tego dążyliście – odezwała się nagle Zuza. – Wszystkie szabry, podróże, zawieranie przyjaźni z innymi osadami. O to zawsze chodziło. O odbudowanie świata.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni, jakby zdążyli już zapomnieć o jej obecności. Czasem Zuza wydawała się najprzytomniejsza z nich wszystkich.

– To będzie coś – westchnęła Iza.

Niespodziewanie położyła dłoń na ręce Huberta i mocno ją ścisnęła. Odwzajemnił się uśmiechem.

– Tak, na pewno zapowiada się ciekawy rok – przyznał i spojrzął po kolei w twarze towarzyszy siedzących razem z nim przy stole.

Ernest był przyjacielem na dobre i złe, na niego zawsze mógł liczyć i przez te wszystkie lata nigdy jeszcze Huberta nie zawiódł. Iza nie chybiała celu i choć impulsywna oraz wybuchowa, w potrzebie bez wahania potrafiła stawić czoła każdemu problemowi. Zużę Hubert od dawna

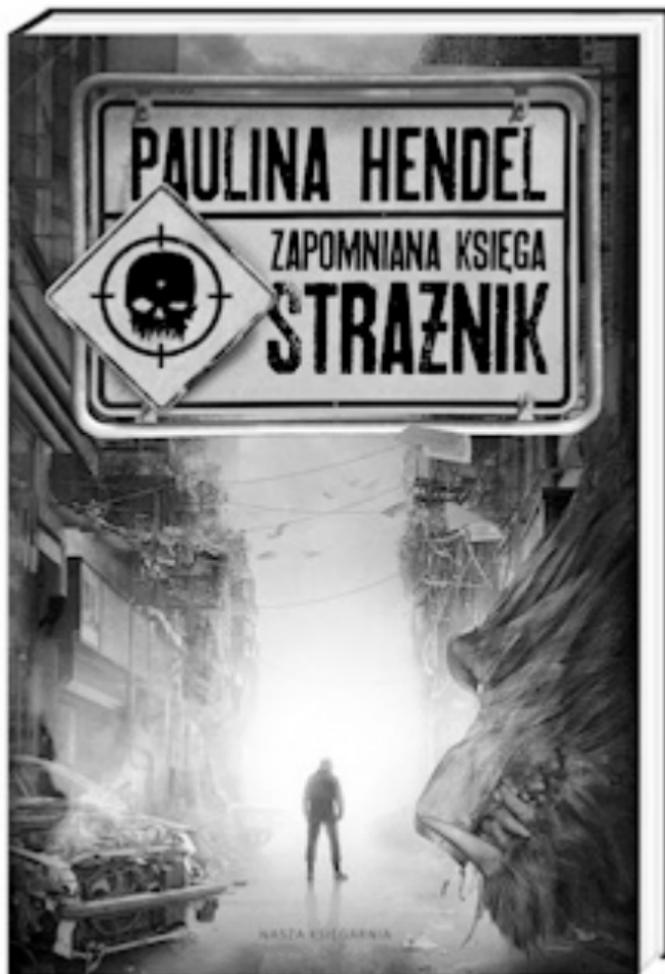
traktował jak siostrę; nieważne, że była inna niż wszyscy, z nią nie musieli bać się demonów. Nigdzie nie znalazłby lepszych towarzyszy, z którymi mógłby iść przez życie pełne niebezpieczeństw.

I nagle uświadomił sobie, że Zuza tylko częściowo miała rację.

„Odbudujemy świat – pomyślał, czując w sercu nagłą radość. – Ale nie taki, jaki był. Lepszy”.

Może jego prawdziwa misja zaczynała się właśnie teraz?

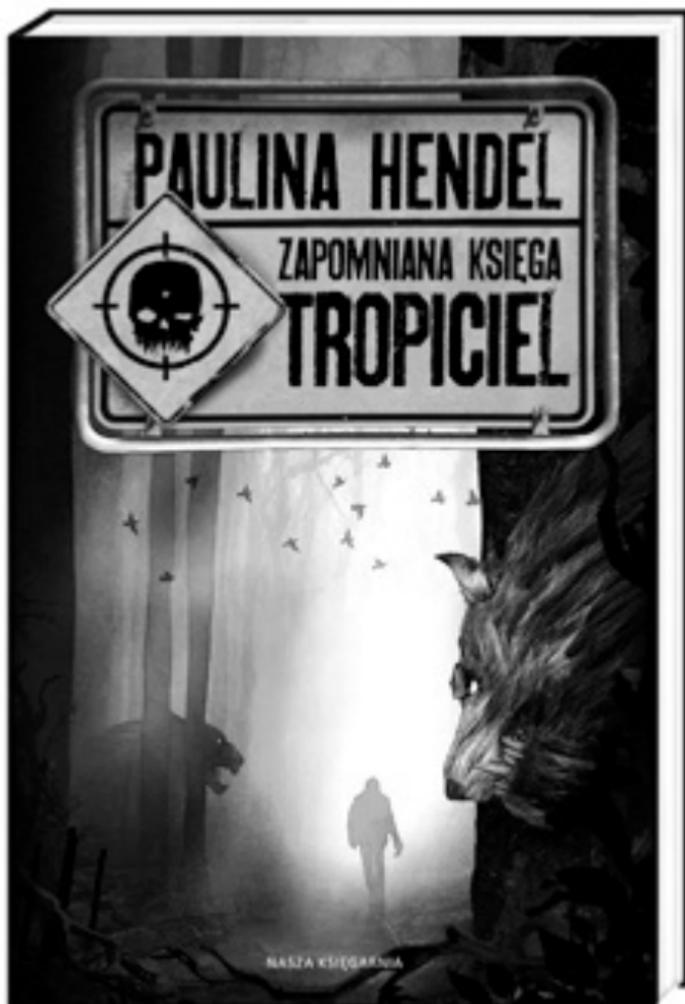
PRZECZYTAJ RÓWNIEŻ



Ostatnie, co zapamiętał Hubert, to eksplozja szklanej piramidy pod Lувrem. Teraz budzi się w zatęchłym pomieszczeniu, ranny, ubrany w łachmany, w ekwipunku zaś odkrywa... imponującą kolekcję broni. Okazuje się, że od feralnego wyjazdu do Francji minęło siedem lat. W tym czasie świat bardzo się zmienił – zarazy i epidemie przetrzebiły ludzkość, a potężny impuls

elektromagnetyczny zniweczył zdobycze techniki. Z ukrycia wyszły za to demony znane z ludowych opowieści...

Hubert musi rozwikłać tajemnicę własnej przeszłości i odnaleźć się w tym dziwnym nowym świecie. Niemal wszystko, co znał, przepadło. Ale czy bezpowrotnie?



Hubert budzi się w Paryżu, jak gdyby tragiczna w skutkach wyprawa po księgę nigdy nie miała miejsca. Zagłada cywilizowanego świata jeszcze nie nastąpiła, więc chłopak ma szansę zmienić bieg historii. Wyznacza sobie jeden cel: zdobyć księgę, która pomoże mu w walce z demonami.

Jednak wszystko dzieje się inaczej, niż chłopak się spodziewa. Impuls elektromagnetyczny

niszczy osiągnięcia techniki, ale nigdzie nie ma demonów, a ludzie nie traktują poważnie ostrzeżeń Huberta. Dramatyczne wspomnienia nie dają mu jednak spokoju...

Czy skradziona z biblioteki książka oraz wiedza na temat demonów pomogą przetrwać Hubertowi i jego bliskim?

POSTAPOKALIPTYCZNA PRZYGODA, KTÓREJ NIGDY NIE ZAPOMNISZ!

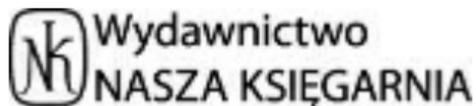
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015
Text © by Paulina Hendel 2015

Projekt okładki *black gear*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Korekta *Zofia Kozik, Malwina Łozińska, Jolanta Karaś*
Korekta pliku po konwersji *Irmira Garlej*

ISBN 978-83-10-12921-5

Plik wyprodukowany na podstawie *Zapomniana księga. Łowca*, Warszawa 2015



www.naszaksięgarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.